

Kaczowski zygmun

ROZBITEK

Dzień dwudziesty trzeci lutego roku 1846 chylił się już ku wieczorowi.

Był to dzień posepny i chmurny na niebie, krwawy i morderczy na ziemi.

Niedawne burze i straszliwe zamiecie jeszcze przed dwoma dniami ustały, mrozy zniknęły, powietrze się ociepliło, śniegi zaczęły puszczać, zlewając się potokami ku rzekom—nareszcie dnia dzisiejszego w południe lód pękt na Wisłoce, a wezbrane wody zaczęły nieść krę zdruzgotaną, to wywracając ją z trzaskiem i łomem pomiędzy spienionemi bałwany, to osadzając kawałami po brzegach.

Na lewym brzegu, wznoszącym się o kilka łokci nad poziom rzeki, stała chata wieśniacza. Było to zabudowanie dostatnie, wylepione i pokryte starannie, opatrzone osobną stajnią i szopą, okolone ciernistym płotem, który się daleko rozciągał wzdłuż brzegu rzeki, obejmując sobą kilkadziesiąt drzew owocowych i obszerne ogrody warzywne. W obejściu widać było bróg pełen siana i drugą jakąś szopkę, służącą za skład gospodarskich narzędzi, i jeszcze jakieś stajenki i chlewki. Nie brakło także i innych drzew statecznych dla cieniu: dwie wysmukłe topole stały po rogach dziedzińca jak dwaj żołnierze na straży, nad piwnicą rozpuściła swoje warkocze żałobne piękna brzoza płacząca, a we środku stał dąb starożytny, który opuściwszy stroskane konary ku ziemi, na wyniosłej koronie swojej mieścił osieroczone w tej chwili gniazdo bocianie. Zamiast pary bocianów, krążyło nad niem stado bieluchnych gołębi, to wzbijając się w górę i zaglądając ciekawie, co się tam działo we wsiach okolicznych, to upadając z przestachem jak kiście śniegu na zasypane ziarnem i plewą ścieżki dziedzińca,.. Zgoła we wszystkim widać tu było skromny, lecz nie łaknący cudzego dobra dostatek. Ztąd też na pierwszy rzut oka zdawało się, że siedziba ta, lubo tak oddalona od wsi, że jej ztąd nawet widać nie było, musi być własnością jednego z najzamożniejszych kmieci — tak jednak nie było. Jakoż rozejrzawszy się bliżej i obaczywszy porozwieszane pod strzechą ogromne zwoje rybackich sieci, nie trudno się było domyśleć, że właściciel tej chaty musi być przede wszystkim rybakiem; widząc zaś drogę, wiodącą tuż koło chaty na drugą stronę rzeki i porozrzucanych na brzegu kilka czółen większych i mniejszych, mimowoli nasuwa się myśl, że oprócz połowu ryb, trudni się także i przewodnictwem. Tak też było wistocie.

Stary Bernat nie mógł przez całe życie doprowadzić do tego, ażeby posiadał ^runt kmieci. Miał on nieraz sposobność po temu, bo i komuby łatwiej

było dostać którą pustkę osieroconą, jak jemu, który będąc każdemu potrzebnym, miał zachowanie' u wszystkich? — ale jak widać, nie miał nigdy dość silnej pożądliwości tego zaszczytu, przynoszącego wówczas prawie więcej ciężarów, niżeli pożytku. Przyzwyczajony zresztą od dziecka żyć z wodą, rybak i przewoźnik z dziada pradziada, nie umiał sobie wyobrazić szczęśliwego żywota na lądzie. I pozostał rybakiem i przewoźnikiem przez całe życie, jak jego wszyscy ojcowie i dziady. I nie było mu źle z tem, jak zazwyczaj źle nie bywa takiemu, który pilnuje ojcowskiej wiary i ojcowskiego rzemiosła. Rybka przynosiła grosz czysty, a przewóz jeszcze daleko więcej. Ba! przewóz, to Bóg wie tylko, ile właściwie przynosił—niestworzone rzeczy o tem gadano. Bo trzeba wiedzieć, że dawniej szedł tędy główny gościniec, co godzina co chwila stawał nad brzegiem podróży, a w dni targowe w miasteczku, ścisk tutaj bywał taki sam rano na brzegu lewym, jaki z wieczora na prawym. Był też tu wtedy prom jeden i drugi i członów wielkich kilkoro, Bernat utrzymywał po sześciu i po ośmiu parobków, a lubo płacił panu z tego przewozu dwadzieścia czerwonych złotych corocznie, jednak, jak ludzie mówili, miewał za same targowe dni najmniej trzy razy tyle. A cóż dopiero w dni inne? Cóż w dni wód wielkich o wiosnie i niebezpiecznego przewozu? cóż, jeśli w dniu takim jaki panicz bogaty śpieszył do swej ulubionej? Cóż jeżeli mąż śpieszył do żony swojej, a eóż dopiero jeśli do cudzej? Bernat miał spryt i odwagę, znał się z tą swawolnicą Wisłoką, jak z własną chatą i wiedział do niej wszystkie spo

soby. Przewiózł każdego choćby przez krę lub spienione bałwany i złożył cało na drugim brzegu. Za to też była zawsze suta nagroda: tu talar bity, nieraz czerwony złoty, a czasem nawet i więcej,... Dziś wszakże czasy się odmieniły. Niemcy wymurowali gościniec poniżej i zbudowali most na Wisłoce. Wprawdzie bujna Wisłoka, jakby zmówiona z Bernatem, ten most zabiera im co roku; ale już oni na to wynajdują sposoby, bo i na 'co to Niemiec nie wynajdzie sposobu? Przez myszą dziurę, ba, przez dziurkę od klucza przelezie, a przecież się tam dostanie gdzie zechce. Tak tedy przewóz Bernata upadł już od lat kilku zupełnie. Stara polska droga, koło jego chaty wiodąca, poszła w zaniedbanie i zapomnienie. Nigdy tutaj pan żaden, nigdy żyd, nigdy chłop nawet się nie pojawi — każdy woli łamać podkowy i osie na kamienistym gościńcu, woli ustępować z drogi przed każdą trąbką, woli nawet płacić powtórnie drogowe, boć je już raz zapłacił osobno na to wymyślonym podatkiem — a na starą drogę nie zjedzie. Tak upadły i Bernatowe dochody — a jego chata, która dawniej stała jakby wśród miasta, około której bywał zawsze gwar ludzi, czasem ścisk, a nieraz nawet małe odprawiały targi, zamieniła się w pustkę, osamotnioną, odludną, zdała ode wsi, w szczerem polu stojącą. Rzadko też tutaj było widać twarz obcego człowieka,, cicho było i głucho jakby na stepie i gdyby nie plusk bezustanny a rozmaity niestatecznej Wisłoki, byłoby cicho, jak w grobie...

Ale Bernat tą zmianą swojego położenia wcale się nie gryzł, a to z tego powodu, iż był jednym

z tych rzadkich ludzi, którzy umieli z dobrych czasów korzystać. Kiedy miał stałe i piękne dochody, nie pił, nie hulał, nie zbytkował jak inni, jeno skrzętnie grosz składał do grosza i chował, a jeżeli co kupił, to coś takiego, coby się zdało nietylko na dziś lub na jutro, ale coby mieć mogło wartość na zawsze. Nigdy też, nawet w czasach najlepszych, nie odmieniał dawnego sposobu życia, a kiedy go jego żona nieboszczka pociągała ku temu, odpowiadał rozważnie i mądrze:—A na co mi tego? Jestem rybakiem a przewoźnikiem i więcej niczem nie będę, czy zastawię mięso na stole, czy chleb powszedni, a mogą przyjść zasie czasy, w których będę czem mniejszem. Co ma tedy iść na mięsiwa, kołacze i inne rozmaite wymysły, niech raczej idzie do skrzyni: prędzej się grosz przyda zapaśny, niż okazałość przed ludźmi.—Tym też sposobem przyszedł Bernat do tego, że sobie zakupił u pana kawałek gruntu dobrego nad wodą, że chatę zbudował piękną i zaopatrzył we wszystko, że miał pełne obory i stajnie i skrzyneczkę nie pustą; że nigdy cudzego dobra nie łaknął, a wreszcie, że dziś nie narzekał i nie płakał na zmianę swego położenia i upadek dochodów.

Tak rozważnie i zacnie postępował on sobie we wszystkim. Jedyne miał syna, którego kochał nad wszystko. W nim widział drugiego siebie, w nim tylko żył w swoim osamotnieniu. Ale pomimo takiej miłości i pomimo swoich dostatków, uzbrajał go jak najskrzętniej we wszystko, coby mu mogło zapewnić poczciwe i samoistne życie do śmierci. Chował go tedy w surowości i pracy od dziecka,

oswoił z wodą, wyuczył rybołówstwa i przewoźnictwa, a ponieważ to były na teraz już niepopłatne rzemiosła, kazał go jeszcze nauczyć ciesielki. Tak wyrósł Antek—a lubo nie miał jeszcze lat dziewiętnastu, był już we wszystkich swoich rzemiosłach wyćwiczony tak dobrze, że choćby mu było przyszło dzisiaj wyjść z domu rodzicielskiego bez grosza, byłby był pewnie ani jednego dnia nie przepędził

0 głódzie. Jednej tyJko brakowało mu rzeczy, a to tej, że nawet tego świata, który go najbliżej otaczał, prawie nie znał zupełnie. Ojciec go trzymał w swej chacie, jak w zamknięciu. Wszedł z nim do kościoła co niedziela i święto, po mszy na małą chwilę do karczmy, czasem wziął na targ z sobą, czasem na pogadankę do organisty—ale też na tem kończyły się wszystkie stosunki młodego chłopaka ze światem. Uważał ojciec u siebie, że to nie dobrze, iż się chłopczysko nie ociera pomiędzy ludźmi, bo przecież to jest każdemu potrzebne; ale odkładał to zawsze na później, co wszakże nigdy nie przychodziło, bo sam nie miał rozleglejszych stosunków ze światem. Tak został się ów ukochany jedynak do dnia dzisiejszego z tem tylko, czego się nauczył od ojca

1 w co go uposażyła matka natura ...

Nie wymyślne to wychowanie—a nie koniec! nie najgorsze. Nad wielu z nas mozolili się przez lat kilkanaście nauczyciele sprowadzani z całego świata i uznali nareszcie, że wychowanie nasze skończone—w samej istocie nauczyli nas oni tak wielu i tak rozmaitych rzeczy, iż się dziś sami nieraz dziwimy, jak się mogło to wszystko w naszych głowach pomieścić; — lecz kiedyśmy potem sami przy

szli do lat dojrzałych i z doświadczeniem nabytym sumiennie zajrzeli wewnątrz siebie, tośmy się przekonali, iż przez lat kilkanaście mozolono się nad nami li tylko na to, ażeby w nas zepsuć to, w co nas Bóg uposażył. Gdyby nas pozostawiono samym sobie i tylko pilnowano, abyśmy na krzywe drogi nie zeszli, byłibyśmy na wstępie do życia matery-
łem wprawdzie surowym, lecz doskonałym—wychowani starannie i pracowicie, staliśmy się wykończonym wyrobem, ale częstokroć wartości najzwyczajnie wątpliwej. Szczęśliwi jeszcze z pomiędzy nas ci, w których przez wychowanie najwspanialszy twór ręki Boskiej, człowieka, tylko spaczono; w innych go całkiem zabito, zamordowano na zawzze i bez zmartwychpowstania...

Stary Bernat nie potrzebował się tego obawiać. W jego synu żył jeszcze cały człowiek, jak go Bóg stworzył, wprawdzie nienaprawiony, ale też nieze-
psuty. Jakim był w samej rzeczy, trudno tego odgadnąć; lecz jego ojciec, człowiek rozważny i zacny, wielką miał z niego pociechę. Siedząc go pilnie i nie mogąc w nim dojrzeć najmniejszego śladu zepsucia, kochał go jeszcze tembardziej. Umiał się nawet dla jego dobra poświęcać. Jakoż, lubo mu żona jeszcze przed kilku laty umarła, i już dla samej oszczędności wypadło mu się koniecznie ożenić, przecież się nie ożenił, bo wiedział, że przez to sobie małą przyniesie pociechę i małego uniknie uszczerbku, a synowi sporządzi uszczerbek wielki i może jeszcze zgryzotę na całe życie. Wyczekał też cierpliwie aż do tej chwili, którąby uznał za stosowną do ożenienia się syna. Ta chwila jeszcze

przeszłej jesieni nadeszła. Już więc w jesieni oglądał się za synową po swojej wsi i po cudzej, ale nic jeszcze nie znalazł. Wziął się do tej samej roboty po Świętach Bożego Narodzenia— ale tymczasem nowa się nawinęła przeszkoda.

Okolo tej pory bowiem zaczęły jakieś' straszliwe wieści chodzić po kraju. Apokaliptyczne wstrząśnienia jęły potrząsać ziemią, wulkaniczne namiętności i żądze zaczęły się odzywać po sercach. Pomiedzy lud wiejski zaczęły błądzić duchy białe i czarne, budząc go ze snu, jedni w imie Boga, drudzy w imię szatana. Miłość i poświęcenie, nienawiść i zemsta rozbłąkały się między chaty w kształcie wiedźm świątłych i krwawych. Przeczucia wieszczce, pieśni prorocze, uniesienia młodzieńcze, zapal szlachetny, lecz razem trwoga, przestach i rozpacz, rozsypały się między ludzi naprzemian, to jak kwiaty wiosenne, to jak węgle żarzące... Lud spał jak zabity, nieruchomy jak glaz. Obojętny na wszystko od wieków, nie chciał wiedzieć o niczem. Wszakże pomału, targany konwulsyjnymi rękami w obie strony, zaczął drgać w swoim śnie odrętwiałym, otwierać usta bezmowne, otwierać oczy szklane i poruszać machinalnie rękami, jak gdyby zmora mu siadła na piersiach i dusiła go we śnie. W tym gorączkowym półśnie, a półjawie nie wiedział sam, eo się z nim dzieje. Aż przyszedł zły duch i wstąpi! w próg jego chaty i rozwiązał mu ręce i rozgrzeszył sumienie. Wiedźma zemsty wzięła go na swoją przepaskę, a Anioł stróż jego duszy, odstąpił od niego i uleciał w powietrze. Zerwał się wtedy ten gad olbrzymi o milionie głów i rąk, uzbroił się

w mordercze narzędzia i rozlał się czernią po ziemi. I zalał sobą cały kraj od Karpat po Wisłę. W jednej chwili stanęły w płomieniach dwory, - tysiące łun rozgorzało na niebie, tysiące trupów legło na ziemi, a strumienie krwi rozlały się po polach...

Stary Bernat, który, pomimo oddalenia od wsi, wiedział przecież co się w niej dzieje, dzielił zrazu te wszystkie wrażenia, jakim ulegali jego sąsiedzi. Jakoż dopóki wieść chodziła niejasna, że się wielkie rzeczy dzieć będą, że nastanie sąd Boży dla wszystkich, że krzywdziciele odbiorą karę, ukrzywdzeni nagrodę i wygładzone będą wszystkie niesprawiedliwości, nagromadzone z latami—to nie miał nic przeciw temu. I owszem, na wspomnienie takiego zlitowania Bożego, na wspomnienie dnia tego, w którym najwyższy Sędzia widomie na swym tronie zasiędzie, ażeby wiekowe krzywdy naprawić, przejmowała go dreszcz świętobliwy i pomimo starości, unosił zapach młodzieńczy. • Poniósł i on przecież niejaki krzywdy, owo wymurowanie gościńca, wybudowanie mostu, zniszczenie jego przewozu i wiele innych; mówił więc sobie: Ha! niech się dzieje wola w tem Boża.—Lecz kiedy z czasem te wieści zaczęły występować wyraźniej, kiedy zaczęto mówić o porównaniu chłopów z panami, o darowaniu pańszczyzny, o podzieleniu gruntów dworskich pomiędzy gospodarzy i zagrodników—już mu się to jakoś nie podobało i mówił wtedy do swego syna:— Jeśli tak ma być, jako dziś mówią, to bodaj czy nad tą robotą spoczywa błogosławieństwo Boże. Nie wiem też, czyli który poczciwy będzie miał z tego pociechę, bo cudza własność nigdy nie grzeje.—

Poszedł też zaraz na naradę do księdza, bo był po staremu pobożnym i miał ufność w swym spowiedniku. Od księdza wrócił uspokojony cokolwiek— ale niebawem potem już wcale straszne zaczęły chodzić powieści. Powiadano po chatach wyraźnie, że będzie bunt między chłopami, że się zburzą od kołka do kołka i powstaną na nogi, że ktoby z nimi nie poszedł, tego trupem pościelą, a wtedy pójdą na dwory, panów wymordują do nogi i kobiety i dzieci, ażeby i nasienie nie pozostało. Zaczem ich dobytki między siebie podziela, a siedziby ich spalą, ażeby i pamięci nie było za czasem, że na tej ziemi byli kiedyś panowie. v Taki jest nakaz od starszych i tak ma być nieodmiennie... Z tem mu się zwierzył w sekrecie Strzygoń, który niedawno co z wojska powrócił i zaczął gospodarować, ale mu się nie wiodło, bo też się bardzo napijał; tak mówił Jędrek od Męki Pańskiej, co to dawniej był hajdukiem i złodziei łapywał, ale niegdy podobno sam był złodziejem; tak mówił także jakiś obcy wojskowy, który z dalekich krajów, wracał do swych a człek był dość wiarogodny, miał ze sobą grosza dostatkiem i wszystkich w karczmie częstował. Tak już nareszcie powiadano we wsi powszechnie, a i z innych wsi także, kiedy się trafił jaki przechodzień, powiadał prawie to samo...

Dowiedziawszy się Bernard o takich strasznych zamiarach, dziwnie się jakoś zatrząsł w swem wnętrzu i mówił sobie:—Nie daj że Boże, by przyszło do tego.—Lecz rozważywszy to wszystko, co słyszał, widział, że -to nie próżne postrachy. Cały lud wiejski drżał jak w gorączce, co chwila się ktoś nawijał, któ

ry go burzył, a co najgorsza, już się porozumieli ze sobą wszyscy wiejscy hultaje, podpalacze, złodzieje i schodzili się z sobą kryjomo, pijąc po całych nocach we spółkę. Zdarzyło się Bernatowi widzieć po- ostrzone siekiery, ponasadzane kosy, zdarzyło mu się nawet słyszeć wyraźne przeciw panu pogrożki... A natenczas już nie namyślał się długo, tylko dnia tego samego wieczorem poszedł milczkiem do dworu. We dworze przed gankiem zastał czworokonną karetę, wypakowaną we wszystkie pudła i gotową do drogi—a pańska to była kareta. Cieszył się tedy Bernat, że pan wyjeżdża, bo właśnie tak mu chciał radzić. Przecież kiedy już doszedł aż tutaj, chciał się z panem zobaczyć. Dostał się jeszcze do niego, choć trudno i opowiedział, z czem przyszedł. Podziękował mu pan za tę przychylność, zimno i grzecznie, jak zawsze, ale się uśmieł na końcu z wielkich frasunków Bernata o dom i dobytki i rzekł:—Bądź-no mi o to spokojny, ja sam wiem czego potrzeba. Jadę dzisiaj do miasta, ale jutro powrócę, a przecież sądzę, że mam tyle znaczenia u rządu, ażebym z żołnierzami powrócił.—Wiadomość ta mogła być zaspokoić Bernata, bo pan to był w samej rzeczy nie la- dajaki, miał znaczenie u rządu, nosił nawet uniformy cesarskie, a oprócz tego miał wielkie pieniądze; było tedy rzeczą więcej jak pewną, że przywiezie żołnierzy. Ale dziwnym sposobem Bernat tą wiadomością tylko się jeszcze bardziej przestraszył. Zda- wałb mu się bowiem najpierwej, że choć to pan tao znaczny, przecież może nie dostać żołnierzy. Jakby się ta czerń rozhulała, która się może rozhulać, nie oparliby jej się żołnierze, gdyby zostali

po miastach—a cóż dopiero, gdyby się pojedynczo rozsypali po dworach? Wiedziano przecież o tem po miastach, a każdemu milsze jest życie swe własne, niżeli najznacniejszego z panów. Ale co jeszcze mocniej zniepokoiło Bernata, to to, że pan wyjeżdża, a córkę swoją samą zostawiła w domu. Przywiezie z sobą żołnierzy, to ich przywiezie aż jutro-^a dzisiaj noc także i dziś już wszystko gotowe do buntu... Nie mógł się tedy powstrzymać, ażeby tą obawą nie podzielił się z panem. Ale pan śmiał się: — No no, już dobrze. Ty wiesz swoje, a ja też wiem swoje. Któren że dzień dzisiaj mamy? Środa, nieprawda? No, więc jeśli w piątek powrócę, to jeszcze także będzie zawczasu. — Zaczem natychmiast ubrał się w szubę, pożegnał się z córką, głową kiwnął swym domownikom i odjechał. Stał jeszcze długo Bernat przed gankiem, a domownicy i słudzy wypytywali go, co tam słyhać na świecie, co we wsi i co na starym przewozie? Ale on ani słowa nie powiedział nikomu, tylko patrzył na wszystkich niewidomemi oczyma i dziwnie frasobliwie przytem wyglądał. Zaczem się zbudził i rzekł do chłopięcia, co przy kredensie służyło: — Chłopię, zawołaj mi tutaj Basi, co to służy u panny. — Przybiegła w ten moment posłuszna Basia, zatulona w chusteczkę. Wziął ją Bernat na stronę i rzekł jej:—Słuchaj no Basiu, Bóg ta wie, co to będzie. Nie masz co o tem mówić, bo nic nie wiedzieć. Ale to wiedzieć, że was panisko odjechał i pozostałyście same, a cały ten dwór wasz nie wart złamanego szeląga. Ty jedna tylko co masz przywiązanie do panny i wiem, że jej nie odstąpisz w złej doli. Jeżeliby tedy co takiego wypadło, jeżeli

by ciasno było koło was, rozumiesz, Basiu, pamiętaj że o tem, że stary przewóz odewsi daleko, a stary Bernat dobrze was przyjmuje u siebie.—Ani się śniło naiwnej Basi o czem to mowa, dlatego stary przewoźnik musiał z nią stać z pół godziny na śniegu i tłómaczyć wszystko obszernie; ale jej wytlóma- czył nareszcie i odszedł uspokojony. Przypatrywali się dworscy tej przewlekłej rozmowie i trzeba im było czegoś się z tego domyśleć; jakoż domyślili się zaraz, że przebiegły przewoźnik zmawia Basię dla swego syna, co zresztą nie było bardzo niepodobnem do prawdy, bo istotnie w jesieni podobała się była Basia starcowi i rzekł był o niej: — Żeby to nie ze dworu, to by się to może i zdało dla Antka.

Nie darmo się powiedziało powyżej, że stary Bernat był człowiekiem rozważnym i zacnym; jeżeli bowiem zacnie sobie postąpił, że ostrzegł swojego pana przed grożącymi niebezpieczeństwami, to dowiódł tem wcale nie mniejszej rozwagi, jeżeli przewidywał, że myśl sprowadzenia żołnierzy z miasta może już być dzisiaj zapóźną. I była w samej rzeczy zapóźną...

Albowiem właśnie w tę samą środę, dnia tego samego wieczorem, wybuchnęła przeklętej pamięci i sławy rzeź Tarnowska, ów upiór obrzydliwy, powstały z grobów barbarzyństwa i dziczy, ów świadek nielitościwy, jak wiele zwierzęcości jest jeszcze w ludziach dziewiętnastego wieku!

I dnia tego samego rozszerzyła się ta rzeź aż nad Wisłokę. I tu znalazła jeszcze daleko silniejsze odbicie. Ile tu krwi wylano niewinni, ile szkód po

czyniono w dobytках, ile piekielnych spełniono zbrodni, nigdy się nikt nie doliczy...

Pocziwy Bernat liczył ze zgrozą wszystkie dwory które z kolei padały ofiarą tej dziczy. Płakał rzewnymi łzami nad każdym panem zamordowanym, burzył się do wściekłości nad każdym gwałtowniejszym rozbojem, włosy sobie rwał z głowy nad każdym gwałtem niewinności zadany. Ale przytem z tem większą trwogą spoglądał na pałac swojego pana. Pan jeszcze do dziś dnia nie wrócił, ale mimo to mijał dzień jeden za drugim i cicho jeszcze było we wsi. Bandy zbójcekie rozsypały się w inne strony; Bernat myślał: Może się tam krwi napoją do syta, może się większemi łupami obłowią, niżeli ich żądze, może już tutaj wcale nie przyjdą. Tak minęło już dwa dni, minął za niemi dzień trzeci, mijał już wreszcie i czwarty. Bernat był codzień spokojniejszym. Aliści dnia czwartego wieczorem, kiedy już stary przewoźnik zabierał się do spoczynku, nagle coś zaświeciło mu w oknach tak jasno, jak gdyby słońce wyskoczyło z pod ziemi. Wybiegł przed chatę, wszystkie zabudowania dworskie stały w płomieniach. Zobaczywszy to, ścisnął syna za rękę tak silnie, jak gdyby mu ją chciał złamać i myślał tak małą chwilę; ale potem się zerwał, wcisnął czapkę na głowę, i rzekł:—Chodź, synul już i my chyba zginiemy.

Tak pobiegli obadwaj. Ale nim doszli do dworu, już nie było co widzieć... Pałac, wymurowany z cegły i cynkiem pokryty, stał wprawdzie na swoim miejscu; ale nie było w nim ani jednego okna, ani drzwi jednych; porozwalano piece, powydziera-

no posadzki. Z drogocennych sprzętów, sprowadzanych przez szambelana z najodleglejszych krajów, leżały tylko kupy gruzów i trzasek. Kilka bab obdzierało jeszcze do reszty aksamitne kanapy i ko- Tonkowe firanki, robiąc sobie z tych szmat kosztownych fartuchy i zawitki na głowę. Zresztą było pusto w pałacu, wiatr przewiewał przez powyrywane z ramami okna i gasił po jednej dziesiątce świec pozapalanych w żyrandolach i kandelabrach...

Ale za to w dziedzińcu było rozgwarno i huczno. Tam, przy jasnych płomieniach jeszcze gorejącego pożaru, huczała czerń rozwęciekłona tanem piekielnym. Owo więc w środku rozstawiono całą spi- żarnię, całą domową apteczkę i wszystkie zapasy korzenne. Wydzierali sobie z rąk zbójcy rozmaite przysmaki, o których częstokroć nie wiedzieli, jak je mają spożywać. Tak jedni żarli konfitury z serem, inni marynatę z powidłami, trzeci się karmił musztardą, czwarty łykał oliwę, a piąty wypił* flaszkę araku i zapił się na śmierć na miejscu. Ci pożerali łakomie listki herbaty, tamci warzyli w kotle nie- upaloną kawę, wrzuciwszy weń kilka głów cukru. Inni znowu dzielili się między sobą sukniami paó- skiemi i połciami słoniny—a kiedy jeden, ubrawszy się w mundur szambelański i przypasawszy szpadę do boku, harcował na nieposłusznym ogierze wokoło dziedzińca, drugi przywdział na siebie mundur stanowy, włożył na głowę stosowany kapelusz i zapaliwszy lulkę na najdłuższym cybuchu, przechadzał się pomiędzy pijaną gawiedzią. Zgoła z któ- rejbądź strony było popatrzeć na tpff kłęb ludzi,

trudno było odgadnąć: piekłoli to jest, czy dom szalonych?..

Bernat przypatrywał się temu wszystkiemu z poczciwą zgrozą i z jeszcze daleko pocziwszym wstydem za swoich braci. Ale nie mógł długo się przypatrywać. On tu przybiegł tak rączo, ażeby przyjść w pomoc osieroconej córce swego dziedzica, i jeśli można, aby ją zabezpieczyć. Ale już przebiegł wszystkie komnaty pałacu, najskrytsze wszystkie zakątki i nigdzie jej nie zobaczył. Nie mógł się o nią nawet dopytać, jak cały dwór bowiem, nie było już w tej chwili ani jednego człowieka. Jedni z trwogi przed tym napadem pouciekali zawczasu; inni pierwsi rzucili się do rabunku, a obładowawszy kieszenie, w obawie, aby się nie musieli dzielić ze zbójcami, także zemknęli; trzeci zaś przyłączyli się do gromady i teraz rej wodzili przy wyżej wspomnianej biesiadzie. Tych pytać, albo też kogokolwiek innego, nie było bardzo bezpiecznie. Chciał to uczynić niecierpliwy syn przewoźnika, ale mu Bernat tego zakazał, mówiąc do ucha:—Nie pytaj się, bo to nic nie pomoże. Gdyby który z nich wiedział, kędy się ona znajduje, toby tu nie był, boby był za nią poleciał. A jeśli ją już zabito, to się i tak o tem dowiemy. — Zaczem wziął syna za rękę i przeszedł z nim jeszcze raz wszystkie kąty pogorzelska, i cały ogród warzywny i owocowy i owe klomby drzew rozmaitych, których pomiędzy sadzawkami i altanami było bez liku, ale jej nigdzie nie znalazł. Westchnął tedy do Boga i rzekł:—Jedna jest jeszcze nadzieja, może choć ta nie zawiedzie.—I szedł już wtedy do domu. Około północy przyszedł i właśnie się

zbliżał do bramy swego obojścia, kiedy tuż pod nią ujrzał jakies' dwie kobiety stojące. Obiedwie były po wiejsku ubrane jak baby, w inderakach na sobie i z chustkami na głowach, ale mimo to dygotały od zimna. Przypatrzył się im Bernat zbliżka i aż krzyknął z radości.

Basia nie zapomniała jego nauki, panienka była uratowana.

Spadł tedy najcięższy kamień z serca poczciwemu starcowi. Tego, co się stało we dworze, żal mu było niezmiernie: tyle tam poniszczono pracy, oszczędności, dobytków, zabrano pewnie i gotowiznę, której pan miał niezmiernie wiele, bo w gotowiznie trzymał większą część swojej fortuny, ale przynajmniej córka jego ustrzegła się hańby lub śmierci, a to było warte daleko więcej, niżeli wszystkie dobytki. Przyczynił się Bernat niepomalu do tego, to go też pocieszyło i rozpostarło ową nadziejską błogość w jego sumieniu, którą każdy poczciwy człowiek uczuwa po spełnieniu zacnego czynu, a która jest tylko doczesną nagrodą za poczciwość i cnotę.

Był tedy rad sobie, lecz przeto nie uspokoił się jeszcze zupełnie. Bo i jak mu tu było się uspokoić, gdy wiedział, że . takich samych rabunków i gwałtów, jakich dokonano nocy dzisiejszej na dworze tutejszym, popełniono już całe setki i jeszcze wciąż popełniano. Ba, gorzej nawet, gdzieindziej bowiem dokonano już mordów najkrwawszych. Tak zginął już wtedy nieodżałowanej pamięci Prosper Konopka, padł ukochany przez wszystkich Kotarski, Broniewski ordynat zabity, wymordowana cała ro-

dżina Boguszów! A wielu już padło innych, równie kochanych i zacnych, o których Bernat nie wiedział; wiele zginęło starców, niewiast i dzieci! Jak mu to było się uspokoić, choćby tylko na chwilę! Jakoż jak tylko się przespał i schronione u siebie ofiary „ jak mógł uspokoił i ubezpieczył, przez cały dzień następny co godzina, co kwadrans, wychodził przed sWoją chatę, ażeby się przysłuchać, co się gdzie dzieje i popatrzeć, jakie gdzie nowe łuny rozgorzały na niebie. I teraz, na małą chwilę przed zmrokiem, znów wyszedł i stanąwszy przy bramie, przyłożył dłoń wyciągniętą do ucha i słuchał. Słuchał z taką uwagą i natężeniem, jak gdyby chciał, aby żaden odgłos najdalszy go nie ominął, a na jego twarzy malowała się trwoga pełna zacności i najpocziwsza boleść na świecie...

I pięknie mu było z takim bolesnym wyrazem na pooranej zmarszczkami twarzy, i cała postać jego była nie brzydka. Był to już starzec podówczas liczący lat pewnie blisko siedemdziesięciu. Wysoki był i chudy niezmiernie, piersi miał zapadnięte i pochyło się trzymał, lecz mimo to widać w nim było siłę niezwykłą, kości potężne i mięśnie silnie na wierzch występujące, które wykształcił w sobie natężeniem i pracą, bo ich nie miał z natury. I twarz miał chudą i szczupłą, rzadkim siwym włosem dokoła okrytą, nos długi, szpiczasty i oko siwe duże, ocienione silnymi, gęstymi brwiami. Głowa ta nakryta była zresztą przerzedzoną już trochę nad czołem, lecz jeszcze dosyć obfitą czupryną, którą wszakże i dziś i zwykle nosił w wielkim nieładzie. Na pierwszy rzut oka zdawało się widzieć w tej twarzy

tylko spryt i przebiegłość, czemu się wcale nie przeciwil nos szpiczasty i długi; lecz rozejrzawszy się bliżej, narzucała się .oku prawie sama ze siebie rozważa, rozmyśl stateczny i głębszy i wogóle jakaś wcale niepospolita powaga tego niepospolitego człowieka, który jednak w samej istocie był bardzo nie- posolitym, choćby tylko dlatego, iż umiał się zachować w nieskażonej zacności nawet i wtedy, kiedy tysiące innych, równie pocziwych i może nawet równie rozważnych, dali się przecież porwać gorączkowemu oblędowni tej chwili i obladowali swoje sumienia najkrwawszemi zbrodniami. Bernat stał tak przez chwilę przy bramie i słuchał, lecz nie mogąc złowić żadnego echa swem uchem, postąpił naprzód 0 kilkadziesiąt kroków i zbliżył się do Wisłoki. Tam patrzył przez chwilę ze znawstwem mistrza na krę, hulającą szalenie że spienionemi bałwany, a przypatrzwszy się dobrze, rzekł półgłosem do siebie:

— Niktby się teraz na drugą stronę nie dostał.

Wtem zliżył się Antek do niego. Antek był wcale niepodobnym do ojca. Mniejszy od niego o jakie pół gło^y, był zarazem zbudowany barczyściej

1 silniej. I także miał już wykształcone mięśnie i wyrobioną siłę jak mąż dojrzały, bo ojciec go ćwiczył w sile od dziecka i powtarzał mu zawsze: — .Choćbyś nie potrzebował siłą zarabiać na chleb powszedni, to dobrze ją mieć i dla siebie samego. Człek silny zawsze nosi czapkę na bakier, nawet i tam, kędy inni się kulą a robią na piersiach krzyż święty. Pierwsza rzecz czyste sumienie, a druga dwie dobre garście przy sobie; choćby nie było

nic więcej, już i z tem jakoś człowiek wyżyje na świecie[^]To też Antek, chociaż jeszcze tak młody, brał korzec pszenicy pod jedną pachę, a kiedy trza było, to i drugi pod drugą i nosił zawsze czapkę na bakier. Nie było też twarzy, którejby czerwona czapeczka przewieszona na ucho lepiej przystała jak jego. Bo to liczko tam było jakby krew z mlekiem, oczy ciemno-niebieskie jak dwie gwiazdy na niebie, a włos czarny, błyszczący, jako pióra u kruka. Jasno też było tam na tej twarzy jak w dzień piękny na wiosnę, wesoło w sercu i w głowie jak w gaiku o świcie, a spokojnie i cicho jak w kościele. Czasem tylko zakipiała krew młoda. tak nagle, jakby chciała wykipieć, a wtedy Antek byłby w stanie zranić kogo śmiertelnie, lecz zato znowu chwilami, przychodził na niego spokój tak cichy i zamyślenie tak głębokie, że nie wiedział, co się z nim dzieje, a wtedy dusza jego wymykała się z ciała i mieszkała przez oka mgnienie u Boga. Ale to było tylko chwilami bo zresztą zawsze był rażny i wesół i prawie zawsze jednaki.

Teraz zbliżył się do ojca i zaczął się razem z nim przypatrywać Wisłoce.

— Hej! hula sobie Wisłoka, jak, na weselu— rzekł Antek.

— Patrzajże, Antku—powtórzył ojciec — kiedy taką krę niesie, a kra się chyba, a bałwany ją przeskakują, niema się co porywać, n\ktby natenczas na tamtą stronę nie przeszedł.

— Kiedyby się uparł, a wiedział sposób, prze- cieby ta jakoś i przeszedł — rzekł na to Antek i oczy mu zabłyszczały, jakby już chciał próbować.

— No, ja nie mówię, żeby już wcale nie można— rzekł stary — ale nie podejmować się tego dla żartu. Jużci i ja raz poszedłem po takiej krze, ale to szło o życie człowieka. Pani pułkownikowa z Zawisłocza już umierała i trza jej było przenieść lekarstwo. Pułkownik sam stał na brzegu z doktorem i błagali na klęczkach No, to się jakoś i przeszło. I chwała Bogu, bo zacna pani żyje sobie do dziś dnia, a jegomość sowicie mi się za to wypłacił. Bo to te wszystkie budynki, jak je tu widzisz, to z jego drzewa, a co Boże Narodzenie, to jak bułka za grosz, jest trzy korce żyta i trzy korce pszenicy, a to temu już tyle lat! jużby i dworskie grunta zasiadł tem zbożem, com. go dostał z Zawisłocza.

Tak rozprawiwszy się z Wisłoką, której nie mógł nie oddać pierwszeństwa nad wszystkim innym, począł się stary rozglądać po kraju rozłożonym po tamtej stronie rzeki. Nie było tam wiele widać, bo przeszkadzały lasy i góry, lecz stary Bernat, który znał każde drzewo na którym stało gruncie, widział wiele, a więcej się jeszcze domyślał. Wszystkiego zaś domyślał się po łunach, rzucających coraz to krwawsze odblaski na niebo, i po dymach to wznoszących się w górę, to ścielących się ponad lasy. I wyliczał synowi, które z tych wsi już uległy zniszczeniu, które z nich już dogasały w pożarze, a nad którymi nowe podnosiły się łuny...

A tych nowych łun było coraz to więcej.

Powiat pilzneński, niegdyś tak bogaty i piękny, tak ludny w szlachtę najznamienitszej krwi w Polsce, tak ochoczy i żwawy podczas konfederacji Barskiej, owe dwory, pełne zamożności i cnoty,

owe murowane zameczki, modlące się Bogu w swojej skromnej powadze, owe starożytne siedziby Rychterów, Stojowskich, Boguszów, Bobrownickich i Rogalińskich, które od Zygmunatów i Jagiellonów do dnia dzisiejszego przechodziły spadkiem z ojców na synów, owe odwieczne po pradziadach pamiątki, bogate szable z pod Obertyna i Orszy, drogie namioty z pod Chocima i Wiednia, obrazy święte, Anioły stróże tych rodzin, wszystko to dzisiaj drapieżna podruzgotała ręka, spaliła domy do fundamentów i zmazała się krwią tych szlachetnych, którzy przez całe wieki własnymi piersiami ochraniali tę ziemię! Wszystko to poszło z dymem i śmiercią w wiekiustą zagładę. Pośród popiołów na gruzach pozostała się czereda zbójów i gwałcicieli, obwijających swoje zbrodnicze członki w skrwawione złotogłowa i lamy...

Myślał nad tem poczciwy Bernat, kiwał głową boleśnie i mówił do syna:

— Tyle tam bogactwa marnieje! tacy to zacni panowie!

I syn jego zesmutniał przy tem— i tak oba- dwa stali w milczeniu, patrząc przed siebie i myśląc.

A wtem po drugiej stronie Wisłoki, ba, na samej Wisłoce, pokazał się jakiś człowiek, nietylko, o ile się zdało, nieznany, ale nawet dziwny cokolwiek. Dył to jakiś smjikły i cienki mężczyzna, miał zieloną kurtę na sobie, białą czapkę konfederatkę na głowie i wielkie buty powyżej kolan na nogach. Miał przytem dużą ładownicę skórzaną, pałasz i kordelas u boku, parę pistoletów zapasem i dubeltówkę w prawicy. Tak skoczył z tamtego brzegu na

krę płynącą, a podniósłszy strzelbę do góry dJa utrzymania się w równowadze, skoczył potem na drugą, z tej na trzecią i czwartą i widocznie dążył, ażeby się dostać na brzeg przeciwny, do starego Bernata,

Zobaczywszy go Bernat, złożył ręce z przestachem i zawołał:

— Chryste Panie! miej-że go w swojej opiece!

Zaczem patrzył wytężonemi oczyma na każdą krę, na którą śmiały wędrowiec miał skoczyć, wskazywał mu ją rękami i pocił się biedak z niecierpliwości i trwogi, ażeby kra pod nim nie pękła, lub się nie przeważyla. Jeden skok taki niezręczny lub nieszczęśliwy, to była śmierć najpewniejsza, bo niktby go był z pod kry i bałwanów nie dostał.

Ale młodzieniec miał przytomność i zręczność. Zawsze spokojnie na krze jednej wytrzymał, póki nie opatrzył dokładnie tej, na którą miał skoczyć, a kiedy skoczył, zawsze trafił jaa środek i równowagę zachował. Tak już się przeprawił przez dwie trzecie części Wisłoki. Skoczył raz jeszcze szczęśliwie i drugi—lecz dalej przy samym brzegu była zatoka, właśnie w tem samym miejscu, gdzie dawniej był przejazd przez rzekę. Tu zataczały się kry wirem powolnym w zatokę i jedne z nich osiadały wprawdzie u brzegu, lecz za to drugie z tem większym pędem porywały rozhukane bałwany i czasem tylko je unosiły na środek rzeki, ale daleko częściej roztrzaskiwały w kawałki. O to też teraz chodziło, ażeby trafić na taką krę, która zawinie w zatokę i siądzie. Zdaje się, że wiedział o tem młodzieniec, bo się chwilę zatrzymał i pilnie po

krach rozpatrywał. Upatrzył sobie jedną nareszcie i skoczył—ale najniezwyklej. Uderzona kra jego ciężarem, zanurzyła się najpierw cokolwiek w wodę. zaczęła ją bałwan przesadził i porwał z sobą z gwałtownością piekielną; niósł ją tak jeszcze przez kilka kroków, ale niebawem uderzył o drugą i roztrzaskał w kawałki. Młodzieniec padł na wznak i runął, jak kula pod wodę, tylko jego czapka spłynęła.

Hej! trzeba było widzieć w tej chwili Bernata!—W imię Ojca i Syna! — zawołał, podniósł ręce do góry i rzucił się jak lew rozjuszony między mordercze bałwany. Ledwie można było przypuścić, żeby chciał wyratować rozbitka, trzeba prawie myśleć, że sam chciał zginąć, tak niepodobną była ta walka z rozhukany żywołem, tak niepodobny ratunek! Ale tam, gdzie chodziło o życie człowieka, nie było dla tego starca nic niepodobnym... Tak również myślał i nieodrodny syn jego. Jakoż w tem okamgnieniu porwał za wiosło, które leżało na brzegu i skoczył z nim na pomoc swojemu ojcu. Z tem wiosłem stanął on u brzegu w tem miejscu, gdzie Bernat skoczył do wody i ją najpilniej kry odpychał od brzegu. Odepchnął w ten moment jedną, odepchnął czempredzej drugą, a nim trzecią odepchnął, jego ojciec już był z powrotem na brzegu. I wyniósł w swoich silnych ramionach młodzieńca i złożył go w bezpieczeństwie na ziemi. Odetchnął z głębi piersi stroskany Antek, otarł zimny pot z czoła i rzekł:

- Jakbyście powrócili z tamtego świata!
- Panu Bogu niech będzie chwała!—odpowie-

f

dział Bernat, zaczerpując powietrza — trudno było dać zginąć bliźniemu,

A już się wtedy zmierzchało. Zaczem Bernat natychmiast do rozbitka przystąpił i nachylił się nad nim, bo młodzieniec zdawał się być bez przytomności. Jakoż istotnie był on omdlały zupełnie. Młodziuteńka twarz jego była blada, jak ściana, oczy zamknięte, a na czole powyżej skroni miał ranę świeżą, z której krew się lała strumieniem. Lecz Bernat, nachyliwszy się nad nim, zamiast go trzeźwić w ten moment, uderzył w dłonie i zawołał:

— Matko moja najświętsza! toż to syn pułkownika z Zawisłocza! nasz ukochany Karolek! Pa- niczku mój!—wołał starzec w radości i wziął go na- powrót w ramiona, ażeby nim potrząść i wodę zeń wylać.

Ale za terażniejszym dotknięciem rybaka młodzieniec się zbudził natychmiast. Otworzył oczy i siadł, rozpatrując się ze zdziwieniem, co się z nim dzieje. Poczem głowę wsparł- na rękę, jakby sobie musiał dopiero przypominać to wszystko, się z nim stało. Wszakże przytknąwszy rękę do czoła, uczuł krew ciepłą, spojrzął na rękę skrwawioną, wzdrygnął się i zawołał:

— Krew! oni mnie tam raniM...

Wtedy Bernat siadł przy nim i jak mógł, tak go poeieszał. Zawiązał * mu też zaraz ranę na głowie, a potem mówił:

— Bądźcie spokojni, paniczku. Jakoś to będzie powoli. Ani wam włos z głowy nie spadnie! tak mam w Bogu nadzieję. Ale cóż tam się dzieje na

«

waszym zamku? gdzie ojciec wasz a mój jegomość kochany?

Na to młodzieniec wpatrzył się w niego swemi wielkimi, błękitnymi oczyma tak silnie, jakby obłąkania dostawał. Ale w ten moment łzy rzęsiste i duże wytrysnęły mu z oczu, zasłonił twarz obydwoma rękami i płakał głośno, jak dziecko...

Stary Bernat już się domyślił, co się tam stało na zamku. Zrobił krzyż święty na piersiach i zaczął zcicha szeptać modlitwę za dusze zmarłych.

Nim jeszcze starzec modlitwę skończył, młodzieniec się zerwał na równe nogi, wpatrzył się w przeciwległy brzeg rzeki i zawołał:

— Oni gonią za mną. Uciekajmy copędzej!

Obadwaj rybacy spojrzeli także w tej chwili

na tamten brzeg rzeki i w samej rzeczy zobaczyli tam teraz kilkudziesięciu ludzi. Przybiegli za młodzieńcem mordercy i stanawszy nad brzegiem, wołali w niebogłose w tę stronę.

— Hej! Bernacie! rybaku! a trzymaj tam dobrze tego ciaracha! Nazabijał on ludzi niemało! Zawieź go do Tarnowa, niechaj go tam obwieszają!...

Zawrzał gniewem pocziwy Bernat, zgrzytnął zębami i rzekł:

— Bodajże was pierwej powywieszano! — Ale chodźmy, paniczku, do chaty, bo niema się co tak bardzo pokazywać tym zbójcom.

Jakoż go wziął natychmiast pod ramię i zaprowadził do siebie.

Wieś Zawisłocze była to jedna z najpiękniejszych wsi, położonych po tamtej: stronie rzeki. Sześćset morgów ornego pola, sto morgów łąk, około tysiąca morgów nietykanego lasu, sto dwadzieścia osad, a do tego stawy, młyny i propinacya — była to zawsze piękna szlachecka fortuna. Dziś, po nabytych doświadczeniach z postępem czasu, jesteśmy zdania, że każda wieś taka była podówczas państwem, na którym można było żyć wyśmienicie bez wielkiej pracy, co roku do wód zagranicznych wyjechać, co roku jakieś ulepszenia porobić i jeszcze pod koniec życia znaczne pozostawić zapasy. Ale podówczas mało kto wiedział o rzeczywistej wartości swego majątku — dowiedział się o niej dopiero teraz, kiedy mu z państwa, przynoszącego nieomylnie dochody, pozostał nagi kawałek ziemi, z synekury warsztat rzemieślniczy, do którego trzeba umiejętności, pieniędzy i pracy, ażeby zeń chleb powszedni wydobyć.

Zawisłocze było od kilkuset lat w posiadaniu rodziny Karola. Była to starożytna szlachecka rodzina, która wprawdzie nie należała do tak zwanych dynastów, ale jej ilustracyi nie brakło. Było trzech kasztelanów w tym rodzie, jeden biskup przemyski i dwóch starostów grodowych. Wszakże najczęściej bywali oni komisarzami do spraw kurlandzkich, gdańskich, toruńskich i tym podobnych, niemniej nadzwyczajnymi posłami do Tatar, Moskwy lub Turcji, bo też przedewszystkiem innem służyli ojczyźnie wojskowo. Żołnierze, jak to niestety wiadomo, najlichszą w Polsce odbierali nagrodę — mieli tylko w tem swe ukontentowanie, że uczeni nie odbierali żadnej. Wolno im wszakże było odbierać nagrody z rąk sprawiedliwszej płci pięknej, jakoż tak zawsze czynili, że o ile nadszarpali swych fortun na wojnach, o tyle je potem naprawiali wianami. Tak i dziadowie Karola utrzymali się przy swych większych majątkach dopóty, dopóki miewali zawsze świeżą sławę wojenną i mogli ją potem zamieniać na wiana. Ale za czasu Augustów, czasu spokoju, już podupadli cokolwiek — podczas konfederacyi Barskiej, bijąc się na dwie strony, bo i z nieprzyjaciółmi kraju i z sąsiadami dysydentami, w których Pilźnieńskie obfitowało, stracili dwie trzecie części swojej fortuny — i odtąd już nigdy się nie podnieśli. Pozostało im Zawisłocze i na niem tylko siedzieli.

Ojciec Karola, pan Kalasanty, już tylko podstolic Pilźnieński, byłby niezawodnie podniósł sławę swego imienia, ale trafił na czasy najniezwyklejsze. Poszedł on torem swoich pradziadów! Zaczął swoją

praktykę w kawalerii narodowej pod przewodnictwem Zajączka, a skończył ją pod Kościuszką. Nie można było piękniej w świat wstąpić i trza to przyznać, że nie można było lepiej tego wstąpienia uświetnić, jak to uczynił pan Kalasanty. Powrócił ze sławą i ze wspomnieniem miłości i szacunku u braci. Jednakże raz zacząwszy wojskową karierę, nie mógł na tem poprzestać. W dwa lata potem wyjechał do Włoch, zaciągnął się do legionów i odtąd służył bez przerwy aż do Wiedeńskiego traktatu. Przeszedł potem w randze majora do wojska polskiego, a lubo dotychczas jeszcze nie osiągnął takiego stopnia, któryby był sprawiedliwą jego zasług nagrodą, jednak* teraz otwierała się pora po temu. Inni to potrafilir-ale on nie miał szczęścia do tego. W parę lat bowiem swej nowej służby znalazł się w położeniu postawienia oporu jednemu z najwyższych swych przełożonych, walka była nierówna, musiał służbę porzucić. Z żalem niezmiernym składał ten zacny człowiek i żołnierz zrodzony swój mundur wojskowy— byłby też może nawet tego nie przeżył, ale na jego szczęście, miłość przyszła mu w pomoc. Stojąc niedawno w Lubelskiem, poznał panienkę zaoaągo domu, zakochał się w niej i tylko dlatego tę miłość w sobie utłumił, iż mu się zdało, że dla żołnierza żona być może tylko ciężarem. Wystąpiwszy jednak z wojska, pobiegł zaraz w Lubelskie, wypowiedział się ze swoich uczuć i powrócił z żoną do Zawisłocza. Tu każdemu zapewne się zdaje, że Zawisłocze wówczas w najgorszym znajdowało się stanie. Tak jednak nie było. Majątek ten był wprawdzie przez lat trzydzieści w dzierżawie, ale przez

piętnaście lat pierwszy trzymał go brat stryjeczny pana Kalasantego, a przez drugie piętnaście lat dziwnym zbiegiem okoliczności, trzymał go rodzony brat jego żony, pan Robert, który o miedzę miał wieś swoją własną i tutaj mieszkał od lat dwudziestu. Obadwaj ci dzierżawcy byli ludzie porządni i zacni— i tym sposobem się stało, że ojciec Karola odebrał majątek w stanie dobrym, a nawet możnj, powiedzieć najlepszym. Przywiózł on oprócz tego posagiem żony dziesięć tysięcy czerwonych złotych, a to go znów postawiło w możności urządzenia się wedle woli i postawienia swojego domu na stopie takiej, jaka mu się zdawała być odpowiednią godności jego imienia. Było też w jego domu porządnie, zamożnie, a nawet dosyć wystawnie—było nawet i pięknie. Pan Kalasanty nie był wprawdzie umiętnym rolnikiem, na płodozmianie się nie znał, nawozów sztucznych nie robił, nasion olejnych nie siewał, a nawet i w koniczynę nie wierzył, ale miał zdrowy sens w głowie i umiał rygor utrzymać pomiędzy ludźmi. Były to wtedy dwa najgłówniej sze przymioty dobrego gospodarza i były wystarczające. Niemi zaopatrzony, wymurował on odpowiednią gorzel- nię, wysadzał dla niej po tysiąc korcy ziemniaków i na jej odwarach po sto dwadzieścia wołów wypasał. Ziemniaczyska zasiewał jęczmieniem, jęczmień na piwo przewarzał, a młotem karmił dojrzałe krowy jejmości. Pobudowawszy do tego młyny, zregulowawszy wyręby po lasach i wyciągnawszy propi- riacyę jak kwintę, miał bardzo piękne dochody. I cieszył się tem zacny ojciec Karola i rozumiał o sobie, że jest jednym z najznamienitszych rolni

ków — a nie wiedział tego nieborak, że był żadnym rolnikiem, że robił w roli najgorzej, że mimo gorzelni i browaru, daleko więcej wyczerpywał z tej roli aniżeli jej wracał, że nakoniec właściwie nie miał ani grosza dochodu z roli, tylko mając gotową pracę od stu dwudziestu kmieci, tę pracę jako tako w produkt pokupny zamieniał i jako tako sprzedawał. Lecz mniejsza o to na teraz. Umiał on bowiem przynajmniej tych dochodów przyzwoicie używać. Jakoż istotnie prowadził dom taki, który mógł za wzór służyć wszystkim sąsiadom.

W Zawisłoczu był stary zameczek. Pan Kalasanty jeszcze się w tym zameczku urodził i nawet trochę wychował, ale gdy dorósł, pozostały z tej starożytnej budowy tylko dwie baszty i jednopiętrowe pomiędzy niemi skrzydło. W tem skrzydle przemieszkał jeszcze pierwszy dzierżawca cały czas swojej dzierżawy, drugi nie potrzebował mieszkania i zostawił go pustką, pan Kalasanty zastał już tylko ruinę. Mimo to jednak, iż na początku swojego gospodarstwa potrzebował stawić gorzelnię i browar i dom mieszkalny, nie rozebrał tej starożytnej pamiątki, pełnej materiałów wybornych, tylko przeciwnie zrestaurował ją przynajmniej o tyle, ażeby mogła na długie lata zostać pamiątką. Do niej przy- murował dom mieszkalny mniej więcej w tym samym stylu i tym sposobem urządził sobie bardzo poważną siedzibę, chociaż właściwie zupełnie nową, jednak przynajmniej bezpośrednio złączoną z siedzibami jego ojców i dziadów. I w tej starej siedzibie, chociaż po większej części była dziś przeznaczona na lamusy i magazyn, odnowił on jeszcze kilka ko

mnat poważnych i zrestaurował galerię zewnętrzną, na którą mając tam bezpośrednio przejście ze swego domu, wyprowadzał niejednokrotnie swych gości i pokazywał im wieś, pola i lasy, które niegdyś należały do Zawisłocza. Czynił to wszakże nadzwyczaj rzadko, bo chociaż nie był dumnym nad miarę, jednak go to bolało, że jego przodkowie kilkaset lat w takich dobrych czasach przeżyli, a zostawili mu tylko jedną wioskę górzystą. Ale się na nich nie skarżył, a wspomnienie o nich zawsze go raczej pobudzało do pokory, niż dumy. Z tej galerii można było wejść ukrytymi drzwiczkami do baszty, w której znajdowały się schody, sprowadzające na dół do włoskiego ogrodu, pełnego rozmaitych wałów i szkarp, pełnego pysznych drzew starożytnych i starych po- wyszczerbianych alei; ten ogród zaś spuszczał się na dół i przytykał do Jasu, a las rozciągał się aż do brzegów Wisłoki...

Mając tak piękne z Zawisłocza dochody, a do nich jeszcze i gotowiznę, pan Kalasanty prowadził dom bardzo gościnny, a nawet i okazały. Nie widział wcale, dlaczego miałby sobie żałować. Przez pierwsze lata po ożenieniu nie było jakoś potomstwa. Gryzło to niepomału starożytnego szlachcica, zamyślał się wtedy, łzy mu stawały w oczach i mówił do siebie:— Zeby choć jedno chłopczysko! Więcej nie pragnę. Ale i to jakoś nie idzie!—Jednakże prędko się w tym frasunku pocieszał, a może tylko przez miłość dla żony udawał i wtedy mówił z westchnieniem:—Skończyło się na mnie. Ot! i tak dobrze. Nawet i lepiej... A więc hulajmy sobie, moja jejmość kochana, nie mamy, ktoby po nas dziedziczył

czył.—I otworzył wrota swojego domu na ścieżaj. Oczywista rzecz, że mu gości nie brakło. Gdzie była dobra kuchnia i dostateczna piwnica i gdzie tem obojgiem rozporządzał gospodarz, posiadający miłośer i szacunek u braci, tam w owych czasach nigdy się nie trzeba było frasować o gości. Pan Kalasanty posiadał to wszystko troje w jak najlepszym gatunku. To też czy zimą, ęzy latem, w post i w zapusty, w dzień pogodny, czy słotny, zawsze u niego siadało po kilkanaście osób do stołu, zawsze bywało gwarno, huczno, wesoło, zawsze się zajmujące- w noc późną przeciągały gawędy, a czasem nawet ich miejsce zajmowały muzyka, tańce i biesiady. Ojciec Karola miał wtedy wszystko, co do prowadzenia takiego^ domu potrzebne. Utrzymywał na swoim dworze gmach służby, trzymał nawet kilku kozaków do ustawicznych posyłek, zaopatrywał spiżarnię powicie i co roku sam jeździł na winobranie- do Węgier, zkąd zawsze dwie bryki ładowne przyprowadzał ze sobą. Był nawet w jego domu pewien ton jakiś, który o cokolwiek . przenosił zwyczajny nastrój innych domów szlacheckich. I tak znajdo* wał się u niego jakiś quasi marszałek dworu, było zawsze kilku rezydentów i rezydentek, liczna służba domowa nosiła barwę herbowną, była jakaś kapela nadworna, pani miała swe ekwipaże osobne, pan trzymał koni dla siebie bez liku i zresztą był we wszystkim ten ład, ten rygor żelazny, ta służbistość dokładna i nagła, którą się dzisiaj spotyka tylko po wielkich i od lat wielu trwających dworach. Była tedy już dlatego samego na jego dworze jakaś pewna wystawność, niekoniecznie błyszcząca nowiu-

teńkami świecidelkami, ale zato imponująca powaga. Pan Kalasanty lubił zresztą wystawność. Jego żona nie jeździła nigdy inaczej, jak ogromną herbowną karetą i poczwórnym cugiem anglezowa- nych fryzów, on sam jak żyw nigdy nie siedział na bryczce—a kiedy jechał w odwiedziny do księcia, bawiącego czasami w Tarnowie, którego razem ze wszystką szlachtą wielkim był wielbicielem, to szły przynajmniej trzy poczwórne powozy w otoczeniu kilku kozaków. Odwiedziny takie były dla niego największym świętem, tak on cenił wysoko i tak kochał serdecznie tego znamienitego reprezentanta dostojnej rodziny Sanguszków, w czym zresztą nie różnił się wcale od całej szlachty tarnowskiej, a nawet od całego narodu;—jakoż gdy wrócił z takich -odwiedzin do domu, bywał w złotym humorze, co moment coś opowiadał o księciu i mówił:—Otóż to mi pan całą gębą. Pan tam, gdzie trzeba, a zresztą szlachcic taki, jak inni. Takich mi dajcie a więcej, ^a wtedy... Ale tu nagle ucinał i kończył ze smutkiem:—Ale to próżna! polutrzyło się to wszystko do niepoznania i zaprzedało dyabłu duszę na zawsze.— Tak prawie wszystkie swoje refleksje kończył zwykle z goryczą—a lubo zresztą zazwyczaj niby wesoły miał humor, często nawet był pełen figłów i żartów; jednak ta gorycz przebijała się zawsze w jego rozmowach i była na dnie jego pogodnej duszy, jak czarna chmura, zasłoniąca jasnymi promieniami słońca. Czasem nawet ta gorycz objawiała się jeszcze daleko wybitniej natenczas, kiedy mu przyszło wspomnieć o ludziach, którzy w najświeższych czasach dorobili się fortun świeżutkich i jeszcze śwież

szych zaszczytów. Wtedy ojciec Karola nie mógł wcale ukoić swej zółci. Kozłem jego ofiarnym byt zazwyczaj jego najbliższy sąsiad z za rzeki, pan Bernata i starego przewozu, wspomniany już powyżej szambelan. Tego człowieka nie mógł on strawić na żaden sposób, wywlekał go zawsze przed siebie i mówił:—Albo ot! jak ten panicz za rzeką! Wier- cipięta, szacherek, europejczyk! Nie wiem sam, komu dziad jego lulki nakładał, a on już na sejmy jeździ, francuszczyzną zaplata, o małej szlachcie rozprawia! Mundurki nosi, w szklanej karecie się wozi—a sam o tem nie wie, że wygląda jak małpa w drucianej klatce, którą we frak czerwony ubiorą, ażeby sztuki wyprawiała przed gtninem! Tak mówił także o innych, jemu podobnych. Były to wszakże chwile, w których starzejący się major złośliwego człowieka raczej udawał, aniżeli nim był wistocie. Był on bowiem tak dobrym, a nawet i dobrotliwym do tego stopnia, że gdyby tenże sam szambelan, którego tak nienawidził, był podupadł przypadkiem i przyszedł go prosić o pomoc, to byłby był pewnie połę uciął od swojej granatowej czamary, a nie odtrącił od siebie. Takim był także i względem wszystkich. Nigdy tam nikt od niego nie odszedł nie otrzymawszy zawezwanej pomocy, a wiele wspafcia udzielał bez zawezwania, wielu ludzi ubogich się przeżywiło na jego dworze, wiele sierot się wychowało pod opieką jejmości, tegoby nikt nie przeliczył. Był przecież przytem ojciec Karola tyle rozumnym i doświadczonym, iż mimo swojej dobrotliwości, nie dał się tak łatwo odrwiwać i jak to często bywa z takimi ludźmi, nie stał się bankierem

-oszustów — znał on się dobrze na ludziach i umiał im także odmawiać—a tym sposobem, jak z jednej strony zyskiwał sobie miłość serdeczną u ludzi, tak znowu z drugiej umiał utrzymać się we czci i poważaniu.

Dziwnie strojnie i pracowicie dopomagała mu tem wszystkim jego ukochana małżonka. Jak on był wysoki wzrostem, barczysty, silny, potężny, tak ona znowu była malutka, szczupłutka, chuda i prawie niewidzialna przy jego boku. Ale widzialnym był błogi jej wpływ tak na niego, jak na cały porządek domowy. Żołnierz od dziecka, który całą swą młodość, ba! i połowę męskiego wieku przepędził między obozowem ogniskiem a hulaszczym spoczynkiem po miastach, trochę birbant za młodu, trochę libertyn, a zresztą nigdy nie dbający o jutro, -człowiek taki, kiedy raz się rozhulał, kto wie do jakich przyprowadzić mógł rezultatów i w jakie popaść ostateczności. Ale miał on w swej żonie nieodstępного anioła - stróża. Ona to swoim łagodnym wpływem, swoją roztropnością pełną pogody, religijnością swoich przekonań, a zresztą swoją powagą, którą mimo swego małego, umiała zawsze i wszędzie utrzymać, ułagodziła znacznie ten umysł, częstokroć szorstki i lekkomyślny; ona uszlachetniła mu serce, ona go nauczyła poznawać, gdzie wesołość, serdeczność i dobrotliwość winny mieć swoje granice, czem się zyskuje miłość, a przez co traci powaga, co się winno swym przyjaciołom, a co sobie samemu. Z jej to może przyczyny ton ich domu nastroił się trochę wyżej nad inne domy szlacheckie—lecz niezawodnie z jej także przyczyny roz

chodziły się z tego domu, jako piękny przykład dla innych, poszanowanie i cześć dla przeszłości, zamiłowanie w rzeczach ojczystych, pociąg do czytania ksiąg polskich, odpowiednia powaga i godność w zachowaniu się względem nieszczęśliwych okoliczności ogólnych i znoszeniu dolegliwości bieżących. Tak ożywiwszy swoim duchem szlachebnym dom cały i nastroiwszy pomału swojego męża do tego tonu, daleką była od tego, ażeby z tej swojej przewagi wyzyskiwać korzyści dla siebie — nigdy jej na myśl nie przyszło zdobywać sobie trwałą przewagę nad mężem — naprawiła w nim, co było do naprawienia i nie dawszy mu nawet poznać, że kiedykolwiek była jego mistrzynią, poddała mu się zupełnie i była tylko aniołem-stróżem jego uczuć, myśli i czynów. I tak niebawem ustaliła się między niemi owa nieporównana harmonia, w której mąż głosem przeważnym rej prowadził we wszystkim, a żona wtórowała mu wiernie i dźwięcznie, dodając tylko jego donośnym tonom słodczy, miękkości, kwiecistości i blasku. Błogosławione takie małżeństwo, któremu Pan Bóg dozwolił takiego szczęścia dostąpić.

Jakoż istotnie w kilka lat takiego pożycia pobłogosławił Pan Bóg to szczęśliwe małżeństwo Dzieciątko małe zakwiliło w kołysce—urodził się im synek prześliczny. Ile tam było szczęścia, ile pociechy, ile radości, nie potrzeba powiadać. Pan Kalasanty, w szale nieznaney dotąd ojcowskiej miłości, wyprawił chrzciny tak sute, że o kilka mil w koło sprosił szlachtę do siebie, biesiadował z nimi przez cały tydzień i wypróżnił całą piwnicę. Dopier<^

kiedy ostatnia pękła butelka, ostatni gość odjechał z przed ganku...

Była to wszakże ostatnia feta na jego dworze. Od tego czasu bowiem pan Kalasanty, o ile bliższym węzłem związał się ze swoją żoną, o tyle stawał się stateczniejszym. Przesiadywał całe godziny przy kolebce Karola, patrzył w anielską twarz jego, myślał o jego przyszłości i mówił często do żony: — Mamy syna, moja gołąbko, mamy już obowiązki, trzeba się ustatkować.

Nie było nic więcej po myśli matce dziecięcia, jak teri zamiar jej męża. Wzmacniała też go w nim ile możliwości. Mówiła mu, że czasy dziś trudne, że się zbliża wiek nowego w świecie porządku, że w tym wieku straci zupełnie znaczenie blask dziedzicznego imienia, że może nawet cnoty zaprzestaną popłacać, a kto nie będzie miał odpowiedniej swoim ambicyom fortuny, ten może nigdy tych ambicyi nie zadowolili. Ich syn powinien mieć i te i owe ambicye, powinien mieć nawet pretensye, ma do nich prawo po swoich ojcach i dziadach — trzeba zatem przed wszystkim innem postawić go w możliwości pokuszenia się o te pretensye. Trzeba mu tedy dać wychowanie staranne, pracowite, nawet kosztowne, lecz trzeba także pamiętać o tem, ażeby mu odpowiednią pozostawić fortunę. Ma ten ród z woli Bożej istnieć i dalej, to niech istnieje w takim samym znaczeniu, jak dotąd — a miałyby się zniżyć i' pójść w poniewierkę, to niechaj raczej całkiem istnieć przestanie... Zgodził się na to mąż jaknajzupełniej—

I odtąd miała być przedewszystkiem zaprowadzona oszczędność w ich domu. Jakoż istotnie od tego

czasu zaczęło z każdym dniem coraz mniej gości bywać w ich dworze, zmniejszono o troszeczkę służbę domową, zredukowano ilość stajennych kpmi, a pan Kalasanty zaczął czytać książki o wychowaniu i rozmawiać o tym przedmiocie z poważnymi sąsiadami.

Tak minęło lat kilka we wzrastającej powadze i ciszy—stary żołnierz jej nie przerywał, bo już takie było postanowienie — ale trudno tego zataić, że mu takie życie nie smakowało. Kochał żonę i dziecko z całego serca, bawił się z nimi po kilka godzin serdecznie, przez drugie kilka godzin bawił się gospodarstwem, ale zresztą nudził się nieraz do mdłości i powiedział swojemu dawnemu wachmistrzowi w sekrecie:—Miłe to życie w domku swym własnym, przy kochającej żonie, przy ukochanym dziecięciu, to bardzo miło; ale... przecież to niema jak koń i kulbaka!

Jakoż, gdy wojna wybuchnęła owego czasu, pan Kalasanty ani na łzy żony, ani na płacz dziecięcia nie zważał, tylko dmuchnął za Wisłę, jakby go nigdy nie było... W rok potem wrócił—i przywiózł wprawdzie tytuł pułkownika ze sobą, ale nie można powiedzieć, ażeby mu ten tytuł przyniósł jakąkolwiek pociechę. Z tytułem bowiem przywiózł on jakąś gorycz, jakąś boleść tak ciężką ze sobą, że mimo najlepszej chęci, nie mógł jej w sobie przetrwać. Bardzo smulne było usposobienie pana Kala- santego. Uważała to żona i bardzo się tem martwiła. Teraz, kiedy ich synek coraz to żwawiej podra- stał, kiedy się trzeba było nim coraz więcej zajmować, kiedy najskrzętniej trzeba było myśleć o przy-

sparzaniu fortuny, właśnie teraz jej mąż zaczął upadać, opuszczać ręce i zapominać o wszystkim. Usiłowała ona wyrobie w nim rezygnację poważną, usiłowała go natchnąć energią, obudzić w nim nowe zajęcie się życiem, jeżeli już nie dla siebie, to przynajmniej dla syna. Ale było to prawie na- próżno. Żelazny ten mąż wobec bagnetów i armat, słabym był wobec straconych nadziei. Jego czas już przeminął, rola się jego skończyła—żył jeszcze ciałem, ale duszą już umarł. Tak poszedł i on między te dziwne utwory losów przeciwnych, pomiędzy te straszliwe ofiary półśmierci — powiększył sobą liczbę niepogrzebanych umarłych...

Wszystkiem też • odtąd zajmował się tylko na poły, wypełniał wprawdzie swe obowiązki, lecz machinalnie. Pilnował gospodarstwa, ale tylko o tyle, ażeby nie podupało zupełnie; zajmował się wychowaniem swojego syna, lecz sam nie wiedział, jakby miał sobie przy tem poczynać. W długich ze swoją żoną rozmowach o tem, wypowiadał niejednokrotnie bardzo rozumne zdania, ale najczęściej kończył rozpaczą i mówił:—Najlepiejbyśmy się przysłużyli naszemu synowi, gdybyśmy go tak wychowywali, żeby się stał handlarzem na wielką skalę: zdobędzie sobie ogromne skarby, przyjdzie do wielkich zaszczytów i nawet nie obruszy się na to jego sumienie. Zabić dziś w dziecku sumienie, to najpewniejszy warunek szczęścia dla niego.

Okropna to filozofia—wypowiedzieć ją choćby żartem, może tylko rozpacz ostatnia. Rozumiała to przecież pani pułkownikowa i tylko litowała się nad swym mężem, a zresztą nie zwracała na to

SI

uwagi. Była ona sama i zdań i usposobień jaknaj- zupełniej przeciwnych. Była kobietą. Mężczyzna, który przez całe życie żył i zajmował się tylko losami całego narodu, kiedy go te losy zawiodły i rzuciły na ziemię, skończył już swoją kary erę, już mu natenczas niepodobna obracać się w kółkach małych, kiedy jego całe życie obracało się w kole tak wielkiem. Za nic mu wtedy wszystkie pomniejsze widoki, za nic szczęście domowe, za nic los własnej rodziny; on sam jest niczem w swych oczach, bo nie wie, po co ma jeszcze żyć na tyra świecie. Nie tak wszakże kobieta. Kobieta, mimo daleko większej skłonności do ideałów, przecież w istocie rzeczy o wiele praktyczniejszą jest w życiu. Nie obejmuje ona nigdy tak obszernych planów swem sercem, a chociaż je kiedy obejmie, to nigdy do ich ziszczenia tak gorąco się nie przywiąże, ażeby doświadczywszy zawodu, nie umiała go przenieść na siebie. Zniesie go zawsze i z w^rysokości swoich zawodnych myśli zawsze potrafi zstąpić w sferę ciałniejszą. I w każdej sferze potrafi żyć jeszcze dalej i dalej, bo myśl jej wiecznie tylko dąży ku temu, ażeby mogła być pożyteczną. I dopóki tylko jest w stanie, bez względu na stokróć miań i stokróć utracone nadzieje, nie opuszcza swoich rąk pracowitych, nie poddaje się żadnej rozpacz, nie porzuca nawet nadziei. Znkmmy kobiety, które wybiegały z szablą w rękę na pole i bezwątżenia marzyły o urzeczywistnieniu przez siebie nowej ery dla świata; upadły i potem skubały szarpie* i pielęgnowały ranionych. Wróciły do domu, wychowywały dzieci i zaopatrywały spiżarnię. Kobieta jest

to niespracowana mróweczka, nie znająca nigdy spoczynku i nie gardząca żadnym zajęciem. Próbuje ona czasem podnieść kłodę ogromną, potem cokolwiek mniejszą i jeszcze mniejszą; ale nakoniec nosi małe słomki i szpilki szyszek z takim samym zapalem, jak gdyby burzyła światy i budowała nowe w ich miejsce. Kobieta powinna być pod tym względem wzorem dla mężczyzn.

Taką też była pułkownikowa. Widząc, że mąż: jej opuścił ręce, ona ich nie opuściła tembardziej. Zajmowała się skrzętnie gospodarstwem domowym, wglądała często w sprawy ważniejsze, a przede- wszystkim oddawała się pilnie wychowaniu dziecięcia.

•> Karolek był wychowywany nadzwyczajnie starannie. Do małego dzieciątka sprowadzono jedną; bonę Francuzkę, drugą Angielkę, a jak tylko podrosło cokolwiek, przyjęto nauczyciela, sprowadzonego także z niemałemi zachody. Pułkownik sam, będąc czasu wojny w Warszawie, poszedł pomiędzy tamtejszych uczonych i prosił ich o wybór takiego człowieka. Wybrano mu go i przedstawiono—nie były to czasy do uskutecznienia tego zamiaru bez zwłoki— ale zato po wojnie dał się uskutecznić ten zamiar, z wielkimi wprawdzie kłopotami dla pułkownika, ale za to z tem większem zadowoleniem dla nauczyciela.

Z tego nauczyciela byli oboje pułkownik owstwo niekontenci cokolwiek, bo był to człowiek, który częstokroć takie objawiał zdania i takie wypowiadał zasady, że ich obojga dreszcz przejmował. Co- czasem mówił o szlachcie, o jej moralnym upadku,

o niepojmowaniu przez nią ducha czasu, a ztąd

o przyszłości gotującej się dla niej, tegoby się był nie powstydział i najzagorzalszy demagog. Przypatrywała mu się za to przez złotą lornetkę matka Karola i nie mogła mu się napatrzeć—lecz sam pułkownik czasem się tak niecierpliwił, że się porywał z miejsca jak zwierz raniony i wołał: — A waćpan •co powiedzieleś, mościpanie Skiba?—Poczem stał, patrzył na niego zmrużonemi oczyma i dodawał mrukliwie:—Nie darmo mnie ostrzegano, że waćpan także do Honoratki zaglądał.—Po takiej s(fenie zachodził zwykle pułkownik do pokoju swej żony i mówił w tej alteracyi: — Trzeba będzie, moja gołąbko, pozbyć się tego pana nauczyciela, bo nam napoi Karolka takimi zasadami, że go na dziwołaga wystrychnie.—I ja jestem tego samego zdania — odpowiadała pułkownikowa—i myślę o tem odda- wna. Żeby się tylko trafił jaki inny na jego miejsce!—I tak oboje rodzice ciągle myśleli o tem, ale nigdy nie przychodziło do tego. Przy ich usposobieniach, usposobieniach ludzkich, zwyczajnych, nie mogło nawet przyjść kiedykolwiek do tego. Nauczyciel ten bowiem miał tylko tę jedną wadę, że wyznawał niektóre ogólne zasady takie, które się nie podobały rodzicom—a natomiast miał tyle cnót rozmaitych, cnót szczególnych, codzienne przynoszących owoce, a ztąd có chwila widzialnych, że wobec nich zawsze znikala owa jedyna wada, której ci ludzie, niezbyt daleko sięgający swym wzrokiem, nawet właściwie nie umieli ocenić. Jakoż w samej istocie był to człowiek pod wielu względami dość niezwykajny.

Pan Skiba był mały wzrostem, chudy niezmiernie i może nie ułomny z natury, lecz od ciągłego garbienia się nad księgami tak przygarbiony, że jak ułomny wyglądał. Nie miał może podówczas więcej jak lat dwadzieścia siedem lub osiem, ale nie było na nim już ani śladu młodości. Przeciwnie, twarz jego zżółkła, wybladłe usta, wzrok zmęczony i krótki i widoczna siwizna, przedstawiały go starszym o drugie tyle. Jego wiekiasty fraczek czarny, lub granatowy, krótkie pantaloniki, kaszkiecik tkany z włosienia, tabakierka i chustka kraciasta to lewej, a w prawej ogromna trzcina czerwona, były niejednokrotnie dziwowiskiem dla elegantów—jego roztargnienie sławne na całą okolicę i równie sławna niezaradność w zwyczajnym życiu, robiły go czasem i śmiesznym. Tak wyglądał nauczyciel Karola zewnątrznie, lecz wcale innym był w rzeczywistości. Skłonny do wszelkich idealnych uniesień, pełen uczucia dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, lubo wrzekomo tylko jak płazik pełzał po ziemi, latał wistocie jak ptak zuchwały po wymarzonych przez siebie światach. I zarówno mu było—czy to w odbudowanych w swej wyobraźni dziejach zamierzchłych Egiptu, czy w pełnych poezji krainach Grecyi, czy w orężnych czasach średniowiecznego rycerstwa, czy w błędnem kole owoczesnych prac naukowych, czy między nie- stałymi siedzibami pierwotnych Słowian, czy w wyśnionym przez siebie świecie gminowładnych rzeczy- pospolitych — wszędzie zarówno umiał się znaleźć, wszędzie swobodnie sterować dzielnie ✓skrzydły swojego ducha i wszędzie znaleźć nową rozkosz dla niego. Podówczas najwięcej znajdował rozkoszy dla

siebie w gmino-władnej rzeczy pospolitej— i za to, jak się wspomniało powyżej, nie lubili go rodzice Karola. Ale Skiba nie zawsze latał tak po powietrzu; najczęściej siedział nad starami księgami, które napchana była cała baszta starego zamku i nawet z nich bardzo piękną bibliotekę ułożył. Za to już go rodzice lubili; lecz jeszcze daleko więcej za to, że był niezmiernie cichym a pracowitym i pilnym, jak Benedyktyn ze średnich wieków. Godzin swoich pilnował daleko lepiej, niż stary zegar w sali jadalnej, łagodnym był przy nauce, jak baranek, a cierpliwym jak mrówka. Sto razy powtórzyć jedno swemu uczniowi, sto sposobów wynaleźć, ażeby mu trafić do przekonania, było u niego rzeczą zwyczajną; nie rozgniewać się nigdy, nigdy się nie zachmurzyć, a zawsze wynagrodzić za pilność, było jego zasadą. Był przytem równie dobrym dla wszystkich, miłosiernym do tego stopnia, że sam był wiekuiście bez grosza, choć był nieźle płaconym; był niewzruszenie pocziwym, czasem szlachetnym, wprawdzie nieraz kapryśnym, albo upartym, lecz mimo to, zdawał się mieć pewny i wyrobiony charakter. Prócz tego posiadał on i rzetelną naukę; mimo skłonności do mrzonek i ideałów, gdzie chodziło o fakta, był nadzwyczajnie gruntownym; znał wiele starożytnych języków i prawie wszystkie europejskie, żyjące, a lubo nie wszystkimi mógł mówić płynnie, znał je tak dobrze, że nad czem zająknęły się bony, to się zawsze znalazło u niego. Nad to wszystko, był on jeszcze tak przywiązany do domu rodziców Karola, jakby do rodziny należał, a ucznia swego tak serdecznie . ukochał, że oka z niego nie spuścił: ze.

zdrowym bit się w palcaty, zbierał kwiatki po łąkach i wiązał równianki dla matki; nad łóżeczkiem chorego czuwał po całych nocach. Takiego człowieka nie mogli oddalić rodzice; nie dozwalało im tego ich serce, nie zniosłoby było sumienie...

Jakoż ich syn nietylko się pod okiem tego nauczyciela wychował do lat szesnastu, ale gdy pod tę porę uznano za rzecz najlepszą wysłać go na naukę do Lwowa, to go wysłano razem ze Skibą.

W roku 1845 w jesieni obaj wrócili: Skiba jeszcze daleko siwszym i jeszcze więcej zgarbionym— Karol dorosłym i na pociechę rodziców bardzo pięknym młodzieńcem. Skiba powrócił do swojej baszty i zasiadł tam znowu nad swojemi księgami—Karol został przy rodzicach, do dalszego namysłu.

Z wielką ciekawos'cią przypatrywali się oboje rodzice synowi, który teraz już miał to wszystko, co na człowieka potrzeba. Matka widziała w nim wszystko najlepsze—i ojciec także nie inaczej rozumiał, z tą tylko małą różnicą, iż mu się zdawało, że Karol pod względem pewnych zdań i opinii już teraz miał zupełnie tak samo usposobioną głowę, jak Skiba. Zaniepokoił się tem zacny pułkownik i badał go coraz ciekawiej.

— Szlachta zgubiła Polskę!—powiadał groźnie młodzieniec—szlachta już niema żadnej przyszłosci i nie powinna mieć żadnej. Delenda est haec Car- thagol Zrywał się na to stary karmazyn, jak oparzony, cofał się w kąt i załamywał ręce przed sobą.

— Ale mój Karoleczku—powiadał potem, wychodząc z kąta — powiedzże mi z swej łaski, któż

miał zgubić tę Polskę, kiedy już miała być zgubioną? Trudnoż ją miał lud zgubić, kiedy był martwą bryłą i nie miał w niczem żadnego głosu?

— To tem gorzej dla szlachty! — odpowiadał młodzieniec — to jest właśnie jej winą! to jest występkiem nigdy nieodpuszczonym! to nawet jest zbrodnią, wołającą o pomstę do nieba, j

— Jeszcze o pomstę?!—jęknął sędziwy starzec z boleścią.—Ale mój Karoleczku, przecież ty jesteś także szlachcicem.

— Jestem — odpowiedział gorączkowo młodzieniec -V- ale się wstydzę tego, że nim jestem! Dałbym niezmiernie wiele za to, gdybym nim nie był!

Na to już tylko łzy stanęły w oczach starcowi, przystąpił do syna, ścisnął go za ramię i rzekł z pokorą:

— Przepraszam cię, moje dziecko, że jestem twym ojcem... Ale bądź mi spokojnym, to już nie długo.

Nie wiemy, co się po tych słowach działo synowi. Ojciec wyszedł ze łzami w oczach do przyległej komnaty.—I odtąd nigdy już o tem z nim nie rozmawiał. Jeżeli miał jaką zgryzotę, to ją zgryzł w sobie i tłumił. Był wprawdzie od tego czasu smutnym, ponurym i bardzo mało mówiącym—czasem, kiedy patrzył na syna, dziwnie głęboka boleść (malowała się na jego twarzy—ale kiedy się spostrzegł, to ją ukrył jaknajstarannie] i nigdy nie dał widzieć po sobie. Owszem, przeciwnie, bywał wesołym przy synie, wdrażał go zwolna w cały stan " interesów, oddawał mu je kolejną i mówił, że z wio-

sną wszystko mu odda w całości. Biedny, szlachetny starzec! Szlachetnym był nawet w swojej najgłębszej boleści, szlachetnym w najdrażliwszej dla siebie« sprawie, szlachetnym do ostatniego oddechu.

Tak minęła reszta jesieni i wreszcie zima ną- szia. Z zimą zaczęły się pomału rozchodzić owe burzliwe, zatrważające wieści, o których się wspomniało powyżej. Karol był temi wieściami nadzwyczajnie zajęty, często wyjeżdżał z domu, nie powiadał nigdy, gdzie był, a kiedy wrócił, długie miewał ze Skibą narady. Od czasu do czasu pokazywały się jakieś osobliwsze figury na zamku, nigdy dotąd niewidywane, przez nikogo nieznane, które przyjeżdżały, Karola odwiedzać. Panowie ci zwykle tylko krótką chwileczkę na pokojach bawili, poczerń spiesznie się wynosili do starego zamczyska i tam, albo w wielkiej komnacie, obwieszanej starymi obrazami, albo w zbrojowni, albo w komnatce Skiby długie w noc późną wiedli rozmowy. Czasem nawet nikt nie zajechał widomie do dworu, a pomimo to Karol przysyłał służącego do matki, prosząc ją, aby do komnat zamkowych przysłała wieczerzę dla osób sześciu, ośmiu, albo dwunastu. Rozpytywany przez pułkownika służący, opowiadał, że tam, w górnych pokojach, było gości bez końca. Oczywiście, ci goście przychodzili pieszo przez ogród, wślizgiwali się przez owe wschodki kręcone do baszty i tak samo potem znikali...

— Za szpiega mnie mają — powtarzał sobie z przytłumioną boleścią staruszek — mnie, który ży

cie stawiłem na usługach ojczyzny. O Boże wielkiż cóż to za czasów dałeś mi dożyć!...

Ale przed synem milczał. A natomiast wybrał się do Krakowa i bez zwłoki wyjechał. W parę dni wrócił — i wrócił dziwnie wesołym. Śmiał się, rozprawiał huczno i butno, pił stare wino, i znowu się śmiał i rozprawiał. Dość, że szalona to była wesołość, wesołość taka, jaką tylko rozpacz sprowadzić może...

Widział to Karol i patrzył z niedowierzaniem na ojca. Chciał go pytać o powody tej wesołości, a nie śmiał, chciał go zrozumieć przecuciem, a nie mógł. Było już wtedy pomiędzy nimi nieporozumienie gruntowne—ojciec i syn byli sobie obcy zupełnie—nie było pomiędzy nimi ani jednej nitki wiążącej. Byli obaj jak dwie planety, które krążą około tej samej sfery i widzą siebie nawzajem, ale* nie dotkną się nigdy...

Czuł to w swem sercu syn, lecz zdało mu się, że tak być musi. Był pod tym względem nielito- ściwym, jak duch czasu, jak nowa idea wchodząca w życie. Czuł to i ojciec, lecz ten był litościwszym od syna. Jakoż starał się to ile możności naprawić. Wkrótce też po powrocie swoim z Krakowa wziął go za rękę, posadził przy sobie i rzekł mu wesoła i dobrotliwie: ^

— A waćpanowie coś tam robicie a kryjecie się z waszą robotą przedemną.. —Spłonął się Karol a starzec mówił dalej:

— A ja przecież wiem, o'co chodzi. Powiedziano mi to w Krakowie. No, i więcej ci powiem: ja tego nawet nie ganię...

Syn patrzył ze zdziwieniem na ojca.

— Głupstwo to będzie—ciągnął po wypoczynku staruszek — głupstwo wierutne, głupstwo, jakiego jeszcze nie było na świecie; ale... ale wiesz co, ^bywają głupstwa, które niekoniecznie złe rzeczy przynoszą w skutkach. Upić się aż do stracenia przytomności, to także głupstwo, a przecież upicie się takie od czasu do czasu pomaga zdrowiu...

— Ej! „nie głupstwo to bejłzie, mój ojczy — rzekł na to śmieiej młodzieniec — bo to c&ty łpd rolny.... * .

— Ale co mi wać gadasz!—zawołał na to starzec z energią—głupstwo wierutne! Dajno mi takich sto koni, jakie ongi miewałem, sto tylko; rozumiesz mnie wać, młokosie! a ja ci pokażę, co ten wasz lud wart jest w takich imprezach! Na sieczkę go 'zerznę, w błoto zadcpczę, razem z takimi komendantami, jak ty i twój Skiba!... Rozumiesz wasze? ty malec jesteś, a tamto błazen, niech kichnę tylko, to z was ani ślad nie zostanie!

To rzekłszy, przeradzał się prędkim krokiem po komnacie, sapiąc mocno, waś gryząc i spoglądając z pod oka na syna. Syn stał jak wmurowany. Wysapał się przeciej staruszek i znów zlagodniał, zaczem przystąpił do niego i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł dobrotliwie:

^— No, ale minjo to i ja nie od tego. Pójdiesz ty i ja pójdę, nie puszcę cię przeciej samego. Tylko to mi wiedz, proszę, że komendy żadnej nie przyjmę, w szeregu stanę, jeżeli między tem tałajstwem będą jakie szeregi!

Na tem skończył staruszek i wyszedł. Zdzi

wiony Karol sam nie wiedział, co myśleć. I myślał sobie w swojej zbałamuczonej głowie: albo to podstęp jest jakiś, albo... albo co to takiego?

Ale tymczasem staruszek zaczął myśleć na seryo o swem przedsięwzięciu. Zajął się bronią, kazał ją czyścić i opatrywać. Wybrał dla siebie konia, ostrzelał go i jeździł na nim co dzień po dwie godziny. Wybrał drugiego konia dla syna, kazał mu jeździć przy sobie i uczył rozmaitych obrotów. W parę tygodni potem namówił żonę, ażeby wyjechała na jakiś czas z domu i wyprawił ją do Krakowa z całym dworem kobiecym i wszystkimi [kossztownościami.. Widział tedy Karol dowodnie, że ojciec wcale z tem nie żartuje. I kontent wreszcie był z tego, rozmawiał wiele ze staruszkim, a nawet zaczął zbliżać się sercem do niego. Nie mogąc przecież zrozumieć tego, dlaczego ojciec, który z przekonania i z serca jest tym wojennym zamiarom przeciwny, sam przecież chce w nich wziąć udział, badał go pod tym względem jak najciekawiej. Ale staruszek łodpowieź wymijał i składał się raz tem, drugi raz owem. Nie mogąc zresztą tak łatwo pozbyć upartego natręta, udawał przed nim najczęściej, że sam w to wierzy i ma jak najlepsze nadzieje. I uwierzył temu młodzieniec, bo i czemużby nie miał uwierzyć? Zdawało mu się to tak naturalnem, tak prostem, jak każda prawda codzienna. Aż dopiero ostatniej nocy prawda się przed nim wykryła... *

Było to dnia 18 lutego zaraz z północy. Dnia tego mieli oni jeszcze na czas przed świtem wyruszać i z tego powodu już po północy byli obaj.

gotowi. W sali jadalnej na wielkim stole paliła się lampa oliwna, Karol stał przy niej i pistolety nabijał, Skiba chodził wielkimi krokami popod ścianą podłużną, a staruszek siedział na sofie, głowę oparł na dłoni i jakoś smutno był zamyślony. Z początku Karol rozmawiał ze Skibą, który dziwnie się tem niepokoił, że inni idą, a on jak baba na gospodarstwie zostaje.

— Hm!—mówił Skiba, zażywając potężnie tabakę— wprawdzie ja nie tak bardzo zdolny do szabli, na koniu także jeździć nie umiem, liehoby było ze mną na wojnie... No, ale jakże mi zostać w domu? co na to powiedzą ludzie? co świat na to powie?...

Spojrzał pułkownik z pod oka na frasującego się Skibę i rzekł:

— Już to, że tęgich macie dziś ludzi, o tem niema co mówić. Przypatrzywszy się twórcom tej sprawy, nie trudno zgadnąć, jaki koniec jej będzie.

Spojrzał znów teraz Karol na ojca i zdaje się, że się tą uwagą obraził, bo zaraz rzekł:

— No, to kiedy ojciec już tak napewno wie o złym końcu tej sprawy, to czegoż ojciec sam rękę przykładą do tego?

— Czemu? — powtórzył starzec, wstał i zaczął się po komnacie przechadzać, ale odpowiedź zamilczał.

— Ja tego doprawdy już nie rozumiem — ciągnął syn dalej — jest w tem jakaś dziwna niekonsekwencya.

— A chćecz wiedzieć, czemu to robię? — rzekł wreszcie starzec, kładąc rękę na jego ramieniu — ja

kuli szukam, której nie mogłem znaleźć przez całe życie. Wtedy nie czas był jeszcze, ale dziś czas wielki; już mam też w Bogu nadzieję, że mojej prośby wysłucha.

Dziwnie jakoś przejęły Karola te słowa — ale starzec zerwał się w ten moment i jakby go jakaś żelazna ciągnęła ręka, zawołał dziwnym, nie swoim, półmartwym głosem:

— Naprzód! naprzód! już czas!

I niechaj nikt nie myśli, ażeby to usposobienie starego żołnierza było wyjątkowym. Wszyscyśmy wtedy byli usposobieni tak samo. Wszyscyśmy byli pełni straszliwych, złowieszczych przeczuć, pełni nieznanej trwogi, pełni krwawej rozpacz, a próżni wszelkiej nadziei—aleśmy szli. Szliśmy ze spuszczo- nemi głowami, jak ofiary na rzeź — patrząc z rezy- gnacją szaleństwa na topór, który miał koniec położyć naszym cierpieniom, spoglądając z goryczą na tę ziemię, na której prócz łez i wspomień nic się nie zostawało naszego. Tak szliśmy—i poszli, aby już nigdy nie wrócić...

I wielu z nas rzeczywiście już nie wróciło. Jedni się rozproszyli po świecie, drudzy potonęli w więzieniach, najniezszczęśliwsi zginęli w polu, albo pozabijani po domach.' Ale pułkownik jeszcze powrócił...

Wyjechawszy przed świtem z domu, razem z synem wrócił około półnoy. Gdzie byli, co tam widzieli, nikt o tem nie wiedział. Powrócili i zasiedli cichutko w domu, jakby nic nigdy nie było. , Było coś wszakże i zapewne nie mało. W obudwóch bowiem przez ten dzień jeden zaszła niezmierna zmia-

na. Obaj byli smutni, z warzeni i jakby struci. Jeden z nich nie znalazł ziszczenia swych złudzeń, drugi kuli nie znalazł—dość to powodów do smutku. Jednak obaj i przed sobą milczeli. Siedzieli w domu, patrząc i słuchając, ^jco będzie...

Tak mijał dzień jeden za drugim i minęło ich cztery. Do starego dworu tylko zbłąkane donosiły się wieści, z których nie można było wyrozumieć dokładnie, co się gdzie działo na świecie. Ale na co tu było koniecznie wieści? Wyszędłszy na basztę, widać było wszystko, jakby na dłoni. Luny pożarów i snujące się wszędzie gromady rozbestwionego ludu przedstawiały widomie całą historię tych dni piekielnych. Wychodził tam czasem starzec z synem, rozglądał się po całej okolicznej krainie i wpatrywał się łzawem okiem w gorejące pożarem zamki i dwory. Tak patrząc z baszty dnia czwartego wieczorem, rzekł z rozpaczliwą boleścią do syna.

— Ostatnie {chwile starego świata! Na co krwa- wemi trudy, poświęceniem i pracą długie składały się wieki, zmienia się w oka mgnieniu w gruz i ruinę. Pomiedzy popiołami i zgliszczem jeszcze przez jaką chwilę widać będzie zbielałe kości i czaszki tych, którzy byli sercem i duchem narodu — przez jaką chwilę będzie się jeszcze błąkać koło nich cicha pieśń o ich życiu i ich wielkiej przeszłości wspomnienie. Ale niebawem chwasty i zielska tam wzrosną, węże i płazy się w ich siedzibach zagnieżdżą, umilknie pieśń i obumrze wspomnienie—i cisza będzie na wieki!...

I byłby zapłakał starzec, ale już nie miał łez w oczach. Rozpacz tylko odbiła się w jego zmęczono

nym wzroku i gorycz okrzykiwała usta wybladłe. I stał tak, jak martwy posąg, oparty plecami o basztę starego zamku, patrzący na łuny pożarów, rozścielające się wkoło, z rękami załamane na piersiach.

Na te słowa dreszcz przeszedł młodzieńca. Pierwszy to raz w jego życiu jakaś inna krew uderzyła mu w żyłach. Pierwszy raz w życiu objawiła się jego oczom przeszłość narodu, taka wielka i piękna jak była—stokroć piękniejsza jeszcze w tej chwili, kiedy wśród powszechnej pożogi i mordów ostatnie jej resztki waliły się w gruzy... I zdało mu się, jak gdyby na niego jakieś zupełnie nowe spłynęło światło, światło dziwne, urocze, zachwycające. W jego bladawym, półmartwym blasku ujrzał swój własny zamek w wielkiej świetności: komnaty pełne rycerstwa, pancernicy w krużgankach, giermki z rajtaryą w dziedzińcu. Pomiedzy nimi wiał duch chrobry i czerstwy, życie bujało w pełni, wielkość przechodziła widomie...

Spojrzał potem na kraj roztoczony szeroka—około niego i ujrzał ów obraz przerażający, który taką rozpaczą jego ojca napoił. I zadrżał w głębi swojego wnętrza, bo zdało mu się, jakoby widział wcieloną jedną z najstraszliwszych scen Apokalipsy. Zasłonił ręką strwożone oczy i znowu pogonił w przeszłość...

Ale już teraz przeszłość sama uciekła od niego — a na jej miejsce zaczęły mu się snuć jakieś obrazy, może gdzieś z niedalekiej przyszłości. Zdawało mu się bowiem, że widzi swój własny zamek w najstraszliwszej ruinie: z po wyszczerbianych murów kapały na dół kwitnące bluszcze i róże, lecz na

ich szczyt kołysał się puszczyk, ptak zapomnienia i śmierci, i wył pieśń pogrobową. On sam, sieroce, opuszczone pacholę, stał pod murami i wyciągnął ramiona, aby tę czcigodną siedzibę swych ojców wziąć w swe objęcia i przycisnąć do piersi — ale wicher jakiś straszny porwał go z sobą i niósł gdzieś w przepaść, tłukąc i rozbijając go o zimne skały bez pamięci, bez końca...

I znowu zadrzał młodzieniec—i spojrzął z trwogą na ojca.

I ojciec spojrzął teraz na niego, zbudził się z zamyślenia i rzekł:

— Chodźmy ztąd. Jakoś ciemno mi w oczach...

— Och! i mnie ciemno, mój ojcze! — odpowiedział młodzieniec z boleścią—i poszli obaj do dolnych komnat.

Tam się obaj rozeszli — obaj, ażeby się oddać swobodnie myślom—jeden z nich myślom o śmierci, drugi zapewne o życiu, lecz może gorszem od śmierci.

Nazajutrz rano długo nie było widać staruszka. Karol był niespokojny i wszedł ostrożnie do jego sypialni. Zastał go klęczącego przy łóżku i trzymającego krucyfiks w ręku. Dziwne to jakieś wrażenie zrobiło na nim i patrzył z trwogą na ojca. W samej istocie staruszek był jakiś nieswój i mówił rozmaite rzeczy, nie koniecznie w związku.

— Chciałbym—powiadał—ażeby to Zawisłocze przecież nie wyszło z twych rąk. Inny to będzie świat, w którym żyć będziesz, pełen kramarzy i wyrobników... no, ale i między takimi można być samym sobą. Mogą ci wydrzeć to, co jest do wy dar

cia, ale nie mogą ci przecież wydrzeć sumienia... A zresztą, jak tam sam zechcesz; wszakże nie o mnie tu idzie. Zróbże mi to przynajmniej, ażeby matka twoja tu dni swoje skończyła. Pamiętaj także i o naszych pamiątkach. Buzdygan mego pradziadka, rzę- dzik mojego ojca, szabla gdzieś moja, och! choć tej szabli nie daj się sponiewierać; dwadzieścia i kilka lat była zawsze przy moim boku!... Dubienka, Raclawice, Warszawa, Włochy, Niemcy, Hiszpania i znowu Polska i znów Warszawa... och! moje dziecko, choć mi tę szablę zachowaj!...

Przy tych słowach Karol już nie mógł się wstrzymać i w płacz wybuchnął jak dziecko.

— Ojczy mój!—wołał—mówisz tak, jakbyś już dzisiaj miał mnie porzucić!

— Bądź-no spokojny—mówił staruszek—śmierć to jest fraszka, nie pierwszy raz myślę ja o niej, nie pochwyli mnie ona zniecka. Umrzeć, to nic; ale z żalem umierać, och! z takim żalem!...

I rozplakał się starzec jeszcze daleko głośniej od syna. Widząc to Karol, rzucił mu się do nóg jak długi. Podniósł go ojciec, przyjął w swoje objęcia i nie wypuścił z nich długą chwilę. Ukoili się potem obaj, a ojciec mówił:

— Nie myśl-że, proszę cię, że mam żal jaki do ciebie. I cóżeś ty mi zawinił? Dzieje się tylko to, co z urny losów wypadło. Świat na miejscu nie stoi, wiem o tem dawno. Wszystko, co żyje, musi też zginąć—a ginie na to, ażeby swą śmiercią dać życie swemu następcy. Przecież i ja znam tę filozofię, samiście mnie jej nauczyli...

Poczem już mówił spokojniej, a wkrótce wy

szedł ze swojej sypialni, ażeby się przekonać naocznie, czy wszyscy ludzie są na swych miejscach i czy obrona dworu jest w pogotowiu. Od czterech dni bowiem wszystko tu było do obrony gotowe, broń ponabijana, amunicja pod ręką, ludzie pod pilną komendą. Staruszek zawsze pilnował domowego porządku trochę po wojskowemu, a dziś' tembardziej. Nie było niby zresztą czego się tak bardzo obawiać: Zawisłocka gromada sama się pojawiła we dworze i zapewniła pana, że mu włos z głowy nie spadnie, trzymała strażę i w dzień i w nocy, i zdawała raporty do dworu; był to nakoniec już piąty dzień rzezi, zdawało się więc dosyć prawdopodobnem, że kiedy dotychczas żadna banda zbójcka nie wpadła, to już nie wpadnie. Uspokojono się tedy tą myślą— a kiedy pora obiadu nadeszła, staruszek był nawet dosyć pogodny, przy obiedzie pił stare wino, żartował sobie z Karola, że taką wojnę odprawił i drwił całą gębą ze Skiby, że nawet do takiej wojny nie miał dosyć odwagi.

Tak siedzieli we trzech przy stole i już im przyniesiono ostatnie danie — kiedy wtem okrzyk się rozległ po sieni, że chłopci nieprzejrzaniem chmurami Avpadli w dziedziniec. Na tę wiadomość Karol zbladł jak nieżywy i spojrzawszy okiem rozpaczy na < ojca—Skiba znikł z sali jadalnej jak duch, jak gdyby świecę kto zdmuchnął — a staruszek porwał się z krzesła i skoczył jak opętany do okna. Ale w tej właśnie chwili wszystkie szyby w całym przyziemiu dworu pękły odrazu i brzękiem spadły w drzazgach na ziemię, przez potłuczone okna zaczęli się na

pastnicy wdzierać do komnat, a zarazem szturm przypuszczono do drzwi od sieni.

Staruszek miał przez te dniе wszystkie jednego konia okulbaczonego dla siebie, a drugiego dla syna i miał ten zamiar, kiedy mu dadzą znać, że czerń się zbliża, wskoczyć wraz z synem na siodło i albo umknąć, albo z konia się ze zbójcami ucierać. W tym celu trzymał on dniem i nocą strażnika na wierzchu baszty, który go miał zawiadomić o zbliżaniu się czerni. Ale, jak widać, strażnik go zdradził, zdradzili go także prawdopodobnie i własni słudzy, kiedy go o zjawieniu się zbójców zawiadomili tak późno, co zresztą niema być dziwno nikomu, bo tak się działo wszędzie natenczas. Obaczywszy się tedy staruszek napadniętym zniecka i nie widząc sposobu dostania się do swych koni, porwał tymczasem za gar- łacz i lunął z niego pomiędzy chłopów całą garścią grankulek. Zrobił to samo Karol i także nieźle uderzył. Upadło kilku w ten moment, kilkunastu się się z jękiem zwinęło i ustąpiło z dziedzińca. Lecz pozostały tysiące. Więc w miejsce ich skoczyli inni i jeszcze z tem większą natarczywością zaczęli się pchać przez powybijane okna do komnat—rzucili się nawet z taką wściekłością do okien, że odstepili szturmowi do drzwi od sieni. Widząc to ojciec Karola, w tem oka mgnieniu się spostrzegł, że ta obrona okien na nic się nie zda, bo okien było bez końca, a obrońców dwóch tylko; znalazł też jednocześnie inny ratunek. Zawołał więc w ten moment do syna:

— Szablę do boku, a dubeltówkę do ręki i za mną!

Sam zaś uczyniwszy to samo, rzucił się naprzód do sieni. Przed drzwiami do sieni, jak się wspomniało powyżej, nie było w tej chwili chłopów, bo wszyscy się rzucili do okien; stary więc drzwi otworzył dębowe i wypadł w ganek. x Tam stanął chwilę, ażeby przejrzeć pole przed sobą. W samej istocie przed gankiem chłopów nie było i środek dziedzińca także był pusty; wprawdzie w głębi dziedzińca, około oficyny, stajen i bramy, było ich mnóstwo; ale to próżna była praca, wypadłszy już raz na dziedziniec, trzeba się było przez nich przebijać. Rzekł tedy raźnie do syna:

— Naprzód co siły! ognia dwa razy, a potem szablę do ręki! przecież jakoś się wyrąbiemy.

W tej samej chwili Karolowi przyszła myśl inna: komunikacja dworu ze starym zamkiem, a zatem- tąd przejście do starego ogrodu! Z tą myślą porwał ojca za ramię i już pierwsze słowa wymówił— ale w tem oka mgnieniu zjawia się hurma zbójów za nimi, którzy już dotąd przez okna wdarli się do pokojów. Zwracają się do nich czempredzej ojciec z synem, dają ognia raz, drugi i trzeci; przywitani tak chłopci, pierzchają nazad i drzwi od pierwszego pokoju do sieni zamykają za sobą, Karol już tryumfuje i mówi:

— Teraz na wschody i w zamek!

Ojciec go nie rozumie przez okamgnienie — a wtem pada strzał ze środka dziedzińca i uderza w sam lewy bok starca. Pochwycił starzec syna za ramię i zbladł jak ściana, ale w ten moment się zachwiał i padł na kamienną posadzkę. Kula szu

kana przez niego przed pięciu dniami, znalazła go wreszcie!

Co się działo Karolowi w tej chwili, trudno opisać. W pierwszym momencie nie pragnął zapewne nic innego, jak drugiej takiej kuli dla siebie. I może nawet w głębi jego serca odezwało się takie uczucie. Ale w takich wypadkach zawsze jest silniejszym w człowieku instynkt zwierzęcy, aniżeli każda inna myśl ludzka i aniżeli inne uczucie. Instynkt ten oczywiście kazał mu siebie ratować — i poszedł za tym instynktem bez żadnego namysłu. Jakoż w ten moment rzucił się na Wschody, z których się dostał do komnat starego zamku, z tych komnat w galeryę, ztamtąd do baszty, a z baszty kręconymi schodami wpadł do ogrodu. Ogród ten, jak już wspomiano, gubił się w lesie, a las rozciągał się aż do brzegów Wisłoki. Tym to sposobem Karol zjawiał się tak niespodzianie u starego przewozu, gdzie w tym dniu po raz wtóry uszedł niechybnej śmierci...

Zaledwie poczciwi przewoźnicy przyprowadzili Karola do chaty, wpadł on w stan jakiś' tak dziwny, który się nie da opisać. Piekła go rana na głowie, paliło go coś jakby ogniem we wnętrzu — a mimo to zimno mu było i trząsł się cały jak w febrze. Przytem co chwila coraz silniejsza opadała go senność; budził się i znowu głowę opuszczał na piersi, tracąc zupełnie przytomność. Rzeźki syn przewoźnika musiał stać przy nim i trzymać go obiema rękami, aby nie upadł na ziemię. Naniesiono nareszcie słomy do chaty, wyścielono mu legowisko i złożono go na niem, aby przynajmniej wygodnie odpoczął. Karol natenczas już nic nie wiedział, co się z nim działo; zasnął, jak kamień, i spał całą noc...

Nad ranem niby się zbudził, tak mu się przynajmniej zdawało. Otworzył oczy, siadł na barłogu i zaczął się rozpatrywać po chacie. Jeszcze nie rozwidniło się było natenczas i ciemna noc zasłaniała

okna, wychodzące na dziedziniec. Przedewszystkiem tedy uderzyło go światło płomienne, które wychodziło z komina i połowę świetlicy napełniało blaskiem czerwonym. Przed kominem stała stara, obdarta, bezzębna baba i w^rarzyła coś w garnkach. Szary, ogromny kot siedział tuż przy ognisku, spoglądał babie w twarz pomarszczoną, mrugał i grzał się. Jaki/dreszcz mimowolny przeszedł Karola na widok tego sielskiego obrazka, wzdrygnął się i odwrócił oczy od niego...

Po chwili rzucił okiem ku przeciwległej ścianie i tam trochę swobodniej odpoczął. Tam bowiem siedział Antek na ławie i strugał jakieś kołki toporkiem, a niedaleko od niego stał stary Bernat pr[?]y warsztaciku i wiązał sieci rybackie. Zobaczywszy pogodną twarz tego zacnego starca, rozboleły młodzieniec z głębi piersi odetchnął; przypomniał sobie, jakie mu dobrodziejstwo ten starzec wyświadczył i idąc za tem wspomnieniem, głowę opuścił na piersi i począł się błąkać swemi skostniałemi myślami po niedalekiej przeszłości. Za moment wszakże spojrzął na Bernata i rzekł:

— Chodźcie no do mnie, staruszku.

Spostrzegł dopiero teraz stary przewoźnik, że jego gość się obudził; jakoż przystąpił raźnie ku niemu i spytał:

— No, i cóż tam paniczku? zdrowicie dzisiaj? wypalście się? głowa nie boli?

Na te wszystkie pytania Karol nie 'odpowiedział, tylko wzamian zapytał:

— Proszę was, odpowiedzcie no mi wyraźnie, co to się stało? Może to być, żeby cały lud wiejski

tak się obalamucili? może to być, ażeby tego nie pojął, żeśmy nie chcieli niczego więcej, jak jego(swobody? Niel to być nie może. To było tylko ©balamucenie chwilowe, może tylko miejscowe. Inaczej tam jest na wielkim świecie. Tam gdzieś się biją. Puśćcie mnie, dajcie mi moją szablę, ja pójdę!...

To mówiąc, zaczął się zrywać. Lecz stary Bernat zaraz go ręką powstrzymał i rzekł:

— Dajcie - no pokój paniczku. Niema tam czego się zrywać, nikt się tam nigdzie nie bije. Już tam pobitych nie mało...

— Hm!—odpowiedział na to młodzieniec, a widać już było po nim, że wcale nie był przytomnym.— Hm! to powiedcież mi to przynajmniej, czy wszędzie napadano na dwory? czy i w Zawisłoczu napadali?!

— Otóż to masz!—rzecze mu Bernat—a gdzież pułkownika zabili?

— Mego ojca zabili! — zawołał Karol przerażającym głosem, chwycił się obiema rękami za głowę, uraził się w ranę na głowie, jeszcze raz krzyknął i padł na poduszkę bez przytomności.

Na odgłos tego wykrzyku otworzyły się nagle drzwi od alkierza i jakiś głosik młodziutki, dźwięczny, prześliczny, zawołał z przestachem w chatę:

— Co tam się dzieje? chodźcie-no tu, Bernacie- co tam takiego?

Poskoczył Bernat ku drzwiom i odpowiedział:

— Nic, nic, panienko. Ot! zaboląa go rana co

kolwiek, ma też gorączki trochę, jak to bywa zwyczajnie; ale już usnął sobie nanowo.

— Znow zasnął? — zapytał tenże sam głosik, a w tym momencie na ramieniu Bernata pokazała się rączka maleńka i biała, a ponad jego głowę wyrzała główka prześliczna, promieniejąca owym nie wysłowionym urokiem młodości, która nie dba o piękność i z każdej z nią walki wychodzi zawsze zwycięzko. Główka ta była otoczona papilotami i pokazała się w tem świetle czerwonym, jak głowa świętej, otoczona promiennym blaskiem; tak się unosząc nad ramionami Bernata, wpatrzyła się pilnie w twarz leżącego na ziemi młodzieńca. Wszakże po małej chwili zjawisko to zniknęło, a w jego miejsce dał się znow słyszeć tenże sam głosik, mówiący z żywością:

— Śpi dosyć spokojnie, ale zaraz my się zbierzemy i będziemy już czuwać nad nim bez przerwy.

W samej rzeczy od tej godziny daleko więcej dusz czuwało nad zdrowiem Karola, aniżeli było potrzeba. Przeniesiono go z ziemi na łóżko, sporządzone przez Antka naprędce, podłożono dwie poduszki pod głowę, nakryto kołdrą wygodną. Zawsze siedziało przy nim po dwie lub trzy osoby obkładano mu lodem głowę bez wypoczynku, opatrywano ranę starannie. A Karol spał ciągle bez odetchnienia. Zbudził się czasem, powiódł dokoła błędnymi oczyma, zawołał wody i znowu zasnął. Czasem się rzucał we śnie i wymawiał jakieś burzliwe słowa, niezrozumiałe nikomu. Czasem płakał przez sen, albo kwilił jak dziecko. Miał jeszcze ciągle gorączkę, lecz

coraz słabszą. Nazajutrz rano oddychał już całkiem swobodnie, a w południe już i wyraz jego twarzy się zmienił: zdawało się jakby usnął tylko na chwilkę i śnił o kwiatach i wiośnie.

Samym wieczorem się zbudził nareszcie i otworzył oczy takie pogodne i czyste, jakby przez jedno niebo był przeszedł we śnie, a drugie miał zobaczyć na ziemi. Ciemno już było teraz tak, jak dnia wczorajszego przed świtem, i tak samo jak wczoraj płonęło czerwone światło na kominie, i tak samo stała owa bezzębna baba przy garnkach i szary kot mruczał i grzał się, Obejrzał Karol ten obrazek teraz trochę dokładniej i chłodniej i pomyślał sobie: — Nie wszystko to takie piękne pomiędzy ludem, jak w gminnych pieśniach. — Potem patrzył na Antka i na Bernata, którzy znów byli jakąś pracą zajęci, a to mu się podobało daleko lepiej. Pracowitość naszego ludu jest już dawno uznana, — szkoda tylko, że ta pracowitość nie zabija w nim owej szkaradnej, niepowściągliwej chciwości, która go niestety tak łatwo skłania do występków i zbrodni. Szkoda to wielka! Tak myślał Karol — i myślał potem: — Jak też to dziwnie dzieje się na tym świecie; jabym był dla nich krwi utoczył z pod serca, a oni mi ojca zabili! — I na wspomnienie 'ojca łzy mu stanęły w oczach i zakrył twarz obiema rękami i płakał.

A kiedy zaczął łkać głośno, tuż obok niego odezwał się jakiś głosik kobiecy cichym, bolesnym szeptem:

— On płacze...

I słyszał to Karol i zdało mu się, jakby się

ły przebijają w tym głosie. Zwrócił się prędko i dziwna rzecz, co w tej chwili obaczył. Tuż obok głów jego łoża siedziały dwie niby wiejskie kobiety, lecz lubo były jak najzupełniej po wiejsku ubrane, już na pierwsze wejrzenie miały w sobie coś takiego, że wyglądały raczej jak napowietrzne zjawiska, aniżeli ziemskie istoty. Może zresztą w samej istocie nic w nich napowietrznego nie było, ale tak się to młodzieńcowi o rozigranej i gorączkowej wyobraźni zdawało.

Więc jedna z nich siedziała na żarnach, na których miała wyścieloną poduszkę, i unosiła się nad nim tak wysoko, że musiał na nią spoglądać jak w niebo. Ta miała na sobie jakąś gurmankę z granatowego sukna, prostego kroju, lecz bardzo zręcznie wciętą w staniku, spódniczkę białą haftowaną u dołu i buciki wprawdzie skórzane, ale tak drobnutkie i delikatne, że jeszcze nigdy żadna gurmanka nie miała zaszczytu chodzić we spółkę z taką parą bucików. Lecz jeszcze daleko więcej, niż z temi bucikami, klóciła się ta dziwna postać niewieścia ze swoją gurmanką swą młodocianą twarzyczką. Szatynka była i miała swe bujne, lśniące włosy splecione z tyłu w pospolite warkocze, ale na czole i obok twarzy kręciło się pełno filutków i loczków, takich figlarnych, takich wesołych i trzpiotowatych, że lubo były w jak największym nieładzie, przecież tam między niemi siedział niejeden koncepcik, o którym dobrze wiedziało zwierciadło. Temi loczkami i filutkami była ocieniona jej drobnutka twarzyczka, rysów tak delikatnych i cery tak przezroczystej, jak gdyby ją zefir wydmuchnął z mgły

porankowej, unoszącej się nad kwiatami; do tego oczy duże orzechowego koloru, usta jak koral, ząbki jak perły. Tak siedziała na swej wysokości, a oparta niedbale o ścianę z wyciągniętymi przed siebie nóżkami, którymi kołysała podstawiony stołeczek, zdawała się być królową mórz, płynącą na miękkich falach ku brzegom jakichś nieznanymi krajów, nieznanymi jeszcze, lecz w wyobraźni pewnie już wystrojonych w miłość i wiosnę i kwiaty i najpiękniejsze nadzieje....

Druga była także niepospolitem stworzeniem. Nie tyle może delikatna, jak tamta, nie eteryczna, nie wychuchana, ale zato co do zaokrąglenia form i ich pulchności przewyższała o wiele tamtą Brunetka była, o włosach czarnych jak heban, twarz miała białą, jak marmur, oczy niebieskie. Niby nie było w tem nic osobliwego, ale jakie tam ognie płonęły w oczach, jakie różowe barwy się mieniły na licu, jaka krew płomienna grała na ustach, tego nie łatwo opisać. Wielki też kontrast był pomiędzy temi dwiema kobietami, może to nawet były dwa typy dwóch odrębnych od siebie światów: tam duch i nerwy, tu poprostu ciało i krew. Tak się przynajmniej zdawało. Patrząc na te obiedwie kobiety, wybór nie był tak łatwy. Pierwszą otaczał ów urok, wypływający z tysiąca rozmaitych źródełek, a ożywiony blaskiem młodości, który tak silnie zwykł działać na wyobraźnię; druga zaś miała tę prostą, okrągłą, skończoną piękność, która najczęściej wyobraźni nic nie zostawia, ale zato tak silnie chwyta zdrowe, wesołe serce.

Wybór był tutaj niezmiernie trudny, ale A"-

tek podobno już wybrał, bo odkąd te kobiety tutaj siedziały, nie mógł oczu oderwać od drugiej i cho* ciał niby coś robił toporkiem, ani jednego nie za- strugał kołeczka. Widział to ojciec, cmoknął ustami, i rzekł mrukliwie:

— Już ci mi widzę zgłupiał do reszty. Masz strugać kołki do czólen, a ty sam siedzisz jak kołek.

Karol jeszcze nie wybrał, lecz zobaczywszy te obiedwie kobiety, niesłychanie się zdziwił. Cofnął się nawet pod tem wrażeniem ku ścianie, przypatrzył się im po raz drugi i trzeci i spytał całkiem po prostu:

— Kto wy jesteście?

Na to pytanie, zapewne wcale niespodziewane, okrążył usteczka pierwszej uśmiech pomimo wolny, ' spojrziała mu śmiało w twarz i widać było po niej, że miała na myśli jakąś mistyfikację. Ale spotkaw- szy się z temi dużemi, błękitnemi oczyma młodzieńca, które w tej chwili po raz pierwszy widziała, a które były pełne niewysłowionej słodczy, razem z uśmie- • chem i rumieniec rozkwitł na twarzy. Za okamgnienie uśmiech przeleciał, ale rumieniec coraz się wzmagał i wzmógł się wreszcie do tego stopnia, że młoda dziewczyna musiała oczy spuścić ku ziemi. Chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła, oddech jej zaparł się w piersiach...

— Któż wy jesteście? — powtórzył Karol łagodniej, a przypatrując się twarzy i ubiorowi dziewczyny pierwszej, mówił potem jękając się:—Niepodobna jest... niepodobna jest przecież... Ja już sam nie wiem...

Te słowa Karola zmieszały jeszcze tembardziej dziewczynę. W jej młodej głowie uroiło się było zapewne, że choć ten obcy młodzieniec wróci do przytomności, ona się przed nim w swojej przybranej roli potrafi utrzymać do końca, a tymczasem zaraz za pierwszym wejrzaniem okazało się to niepodobnym. To ją niezmiernie zaniepokoiło- Jakoż zeskoczyła w ten moment ze swej wysokości, złożyła rączki przed sobą i zaczęła mówić, zaledwie trochę przytomna:

— I ja już nie wiem! Doprawdy... to jakoś tak dziwnie...

I umilkła, kręcąc się niespokojnie na miejscu, płonąć od wstydu, bojąc się zostać, a przecież odejść nie mogąc. Ta niepewność, ta trwoga, to zmieszanie, ten wstyd niewinny, otoczyły ją nowym urokiem, takim pięknym i takim zachwycającym, że zdumiony młodzieniec pod jego silnym wrażeniem, jakby się nanowo odrodził. Tak mu się jakoś zrobiło błogo, tak swobodnie, tak lekko, jak gdyby więzy wszystkich ziemskich boleści odrazu opadły z niego, skrzydła mu odrosły od ramion i uleciał w powietrze!

Tak się poczyna miłość u mężczyzn, bo to poczęcie jest tylko przecuciem błogości, zadowolenia i szczęścia, które im miłość przynosi. Przeciwnie się dzieje u kobiet. Ich miłość poczyna się jakimś straszliwym niepokojem, niewysłowioną obawą i trwogą. I słusznie. Albowiem dla nich miłość jest tylko bramą do nieskończonych cierpień i bólów, drogą do ustawicznych poświęceń zdrowia i życia, czasem się staje rzutem w objęcia śmierci, szczęścia z niej

mają li tyle, ile go może dać poświęcenie się dla szczęścia drugiego, ile go daje świadomość, że uszczęśliwiły tego, którego ukochało ich serce.

Tak patrzyli oboje n[^]i siebie, nie umiejąc przemówić ani jednego słowa.

Jednakże na ich szczęście przystąpił do nich Bernat w tej chwili i rzekł:

— A państwo już patrzają na siebie przez dwie doby, a pono się jeszcze nie znają.

— Ja już się trochę domyślam — rzekł na to Karol swobodniej, a obracając się do dziewczyny pierwszej, dodał z uśmiechem:—Przepraszam panią za moje obcesowe pytania. Ani mi przez myśl nie przeszło, ażebym mógł znaleźć takiego towarzysza niedoli...

— Widzi pan—odpowiedziała mu na to wesoło dziewczyna — jak to się dziwnie jakoś zrobiło. Pan mnie nie umiał zapytać, a ja nie umiałem odpowiedzieć. Patrząc na pana wciąż przez dwie doby, zdawało mi się, że pana znam już tak dobrze, jak mego brata; ale jak pan oczy otworzył, takem się jakoś zmieszała...

— Przepraszam panią i za to.

— Oh! cóż to szkodzi! Zresztą pan temu nie winien. Tylko ja temu winna, bo przecież powinnam była to wiedzieć, że póki się nie widziało oczu człowieka, to jest tak samo, jak gdyby się go wcale nie znało. Wiedzą o tem ludzie i nigdy nie robią znajomości z sobą z zamrużonemi oczyma.

Uśmiechnął się Karol z naiwności młodej dziewczynki, lecz rzekł z uczuciem:

— Pani byłaś łaskawa troskać się osobiście

Biblioteka - T. 383

6

o zdrowie nieszczęśliwego człowieka, nie wiedząc może nawet, kto on jest i jak się nazywa?

— Prawdę mówiąc — odpowiedziała dziewczyna — nie potrzeba mi było koniecznie o to się dowiadywać; dość jest wiedzieć, że człowiek, ażeby mu być w potrzebie pomocnym. Ale ja już wiem wszystko o panu, to jest wiem to, co mi powiedział Bernat, a nareszcie i to, co pan sam powiadałeś w gorączce.

— Dla Pana Boga żywego! — zawołał Karol — cóż ja takiego gadałem?

— A! tego panu nie powiem! — odpowiedziała mu na to trzpiotowata dziewczyna z bardzo figlarnym uśmieszkiem — tego panu nie powiem. Ale możesz pan być zapewnionym, żeś mi się wypowiadał ze wszystkich grzechów. Tak już wiem wszystko o panu... tak wszyściuteóko...

I nie skończyła filutka, tylko uderzywszy w swoje drobnuteńkie rączki, wykręciła się tak zgrabnie — tko na pięcie, jak kwiatek róży na wietrze i odpłynęła na środek chaty. Lecz powróciła i patrząc w oczy Karolowi, uśmiechała się do niego z pod swoich gęstych filutków i loczków tak samo, jak się fijołek uśmiecha, kiedy się ukrył pod splotem cierni przed drapieżną ręką człowieka.

Patrzył na nią Karol także z uśmiechem, lecz w tym uśmiechu malowała się tylko rozkosz i szczęście. I jakaś pokorna wdzięczność malowała także za taki sen złoty na jawie, za takie błogie złudzenie. Czytała to w jego twarzy dziewczyna i dziwnie się tem zajmowała.

Po chwili pierwszy przemówił Karol:

— Pani wiesz wszystko o mnie, a ja, niestety, nic nie wiem o pani
— Ale się pan 4domyśla...
— Domyślam się, że panią także podobne musiało spotkać nieszczęście jak mnie, kiedy się ukrywaś w chacie Bernata...
— Dom nam zrabowano—odpowiedziała dziewczyna z przelotnym smutkiem — powybijano okna, poniszczono ozdoby... ale nic więcej.
— Rodzice pani?—zapytał Karol.
— Matki nie mam już dawno... ojciec mój wyjechał do miasteczka zawczasu.
— I ma pani już wiadomości o ojcu?
— Nie mam jeszcze do dziś dnia, ale wiem pewnie, że się mojemu ojcu nic stać nie mogło.

— Zazdroszczę pani tej pewności...—rzekł Karol—ale się cieszę nią całym sercem. Chciałbym, ażeby oprócz mnie, nie poniósł takiej straty nikt więcej. Ja może sobie jeszcze jakoś dam radę na świecie! cóżbyś pani poczęła, gdybyś została sierotą!...

To szlachetne, żywe współczucie młodzieńca przemówiło daleko wymowniej do młodziutkiej dziewczyny, aniżeli boleść, malująca się w jego oczach niebieskich. Onby był w stanie się dla niej poświęcić! Ważne to było odkrycie. Zbliżyła się też zaraz do niego, usiadła przy nim na niskim stołku i przypatrywała mu się ukradkiem. I nie znalazła w nim ani cienia kłamstwa lub fałszu, prawdą to było, co mówił. To otworzyło jej serce, zapragnęła mu się odwdzięczyć, zapragnęła przede wszystkim dać mu

się poznać. Jakoż usiadłszy przy nim, spojrzała mu w oczy, spojrzała potem na ziemię i rzekła:

— Pan wie, kto ja jestem?

— Jeżeli mnie moja domyślność nie myli, jesteś pani córką właściciela tej wsi...

— Tak—rzekła ona—Józia jest mi na imię.

Po tem wyznaniu, tak naiwnem i prostem, zdawało im się, jak gdyby się gdzieś znali od wieków, tylko dziwnem zrzędzeniem losu nigdy się nie spotkali. Nowo zabrana znajomość postępowała pędem, jak między dziećmi, jak w takich okolicznościach nieszczęsnych, gdzie etykieta nie może nawet przyjść na myśl, jak zresztą w takiej chacie wieśniaczej, gdzie człowiek nie potrafi być czem innem, jak Bo-żem stworzeniem, człowiekiem. Była to tedy już pora do zwierzeń wzajemnych; główne to fundamenty przyjaźni u ludzi starych, a cóż dopiero u młodych? Im kto jest młodszym, tem żywiej czuje ich potrzebę. Józia była o wiele młodszą, ona zaczęła. Jej serce było w tej chwili tak pełne, ona może nigdy w swem życiu nie znalazła nikogo, komuby się zwierzyła otwarcie. Nie miała matki. Ale niestety! nie miała podobno także z czem się zwierzae tak bardzo. O lalkach, które porzuciła niedawno, o kwiatach, które ukochała niedawno, nie chciała mówić w tej chwili. Coś się z nią teraz stało takiego, że te lalki i kwiaty zdawały się jej niesły- chanem dzieciństwem. Jakaś powaga napłynęła do jej umysłu, czuła to, że już przestała być dzieckiem. Najważniejszym z całego jej życia wypadkiem była ucieczka z domu, schronienie się w chacie, poznanie

Karola, pielęgnowanie go w jego słabości. O tem zaczęła mówić:

— A pan nic nie wie, co się z panem działo przez te dwie doby, jak pan tu jesteś? Kiedy pana ci ludzie przyprowadzili i ja zobaczyłam tak straszną ranę na czole, byłam pewna, że pan zabity. Ta- kem się złękła, żem oniemiała z przestachu. A śmieszna była, bo przecie pan szedł i mówił. Drugi znów przestach, kiedy pan zemdłał. Znowum myślała, że pan zabity. I bardzo długo to trwało, bośmy pana złożyli na słomie, tarliśmy pana po skroniach, a pan ani oczu nam nie otworzył. Dopiero potem, za godzinę może, ej! gdzietam! to trwało strasznie długo, zaczął pan zrywać się we śnie i mówić...

— Co ja mówiłem?

— Doprawdy, ja sama nie wiem. Coś straszego pan mówił. Jam się tak bała, żeśmy obie dwie z Basią przez całą noc ani oka nie zmrużyły. Ucichł pan potem, a my przecież nie spały. Aż nad ranem znów pan się zerwał i coś zawołał. Znowuśmy się przelekły, ale pan zaraz usnął. Na drugi dzień nam Bernat powiedział, że to wszystko z tej rany, którą- by trzeba opatrzyć. Bardzom się tem zmartwiła, bo to ci chłopci takie grube mają ręczyska, ta baba tutejsza taka szkaradna, a ja anim wiedziała, jak się koło ran chodzi. Kazałam więc Basi, ale wyobraź pan sobie, taka to dziewczyna niezręczna, że jak tylko się głowy pana ^ dotknęła, pan tak krzyknął, że aż mnie ukłóło coś w sercu. Jużem nie wiedziała, co zrobić. Dopiero pomalutku zaczęłam sama od- wijać panu chusteczkę z głowy i wciąż zlewałam ją

ciepłą wodą, i tak pomaleńku odwiązałam panu tę ranę, a tak szczęśliwie, że pan ani się ruszył.

Dziwnie ta spowiedź otwarta chwyciła za serce Karola. Z uwielbieniem spojrzął na zasnęłą dziewczynę, chciał rękę ku niej wyciągnąć, lecz nie śmiał, lży mu się tylko w oczach zakręciły. Dostrzegła ta uczucie wdzięczności Józia, zarumieniła się zlek- ka i oddech na chwilę wstrzymała. Potem mówiła dalej:

* — Otóż ja myślałam, że tam Bóg wie, jak wielka ta rana, a to tylko tak, jakby nożem kio przeciął. Bardzom się tem ucieszyła. Więc wzięłam zaraz nożyczki, wystrzygłam panu włosy w tem miejscu, a potem użyłam chleba, pajęczyny, świeżego masła i takeśmy panu tę ranę zaopatrzyli. Bernat powiada, że to za kilka dni się zgoi i ja tak myślę; ale cóż?...

— Cóż takiego? — zapytał Karol.

— A nie bardzo pan się przestraszy? — zapytała z trwogą dziewczyna.

— Ale ja wcale się nie przestraszę.

— Cóż z tego wszystkiego, kiedy podobno panu z tej rany zostanie znaczek na czole...

Karol musiał się uśmiechnąć.

— Pan się śmieje, a to może będzie znak duży, może taki jak blizna, bo trzeba panu wiedzieć, że ta rana idzie w dół czołem aż niedaleko oka. Bernat mi mówił, że można było i na to poradzić, ale mi kazał wziąć igłę i zaszyć panu tę ranę. Aż mnie dreszcz przeszedł na taką radę...

Karol milczał w zamyśleniu przez chwilę.

— Pan może się gniewa na mnie, że nie po

szła za radą Bernata? — zapytała dziewczyna smutnie i prawie ze łzami. — Ja wiem już teraz, że źle zrobiła, no, ale cóż?...jaby była tego nigdy nie po* trafiła.

— Ale gdzież tam! — zawołał Karol, budząc się z zamyślenia — gdzieżbym się gniewał na panią! Co mi tam może zaszkodzić blizna! Ja myślę o tem, jak pani dobrą jesteś, jaką szlachetną! ja nie mam słów, abym to opowiedział, co czuję.

— No to dobrze! — zawołała wesoło dziewczyna — to ja się cieszę niezmiernie, że to przynajmniej zrobiła, com mogła. Pan będzie zdrow już niezadługo i teraz pan już zdrow całkiem, tylko jeszcze osłabiony cokolwiek. Nieprawda?

— Osłabiony jestem troszeczkę — rzekł Karol — lecz mimo to czuję, że z dniem dzisiejszym zupełnie nowe we mnie wpłynęło życie. Zbudziłem się na to, ażeby boleć i płakać — grób świeży leży przedemną i tyle innych grobów prócz niego! — ale nad temi grobami nowa weszła jutrzienka, która już mnie dotknęła dobroczynnymi rękami pani. Zdaje mi się, jakbym się nanowo odrodził; cały świat nowy otworzyłaś mi pani!

Trwała chwilka milczenia. Dziewczyna oczy spuściła ku ziemi. Zrozumiała zapewne tych słów znaczenie, może nawet nie była jej nieprzyjemną treść ich, ale nie przypadała jej do serca ich forma- Było to jeszcze dziecko, proste i naturalne, jak je Bóg stworzył, a nie popsuli jeszcze wymyślni ludzie; tylko to tedy, co było równie proste i naturalne, jak ona, przypadało z łatwością do jej umysłu i serca; wszystko zaś, co wymyślne, wygórowane i sztuczne,

budziło wstręt w niej i mimowoli obudzało niewiarę. Dby się z takim wstrętem zachowała do śmierci! Jest on po wszystkie czasy najpiękniejszą ozdobą kobiety i z pomiędzy wszystkich przymiotów niewieścich, on jeden tylko może stanąć na równi z najszlachetniejszym klejnotem ich serca: ze wstydem dziewiczym,

Jednak ten wybuch uczucia, zrodzony raczej w gorącej głowie, aniżeli w sercu, lubo się mniej podobał dziewczynie, nie zbił jej przecież z toru. Prowadziła dalej rozmowę. I prowadziła ją zawsze w sposób sobie właściwy. Naciągała ze szczególniejszą energią jej ducha ku wesołości, naturalności, swobodzie, omijając jaknastaranniej wszelkie wspomnienia smutków, wszelkie ekstazy bolesne. Bo to nietylko sztuka lub filozofia życia, nietylko zimne sobkostwo, nabyte doświadczeniem lat długich, omija tak starannie to wszystko, co nam niemiłe, co nas przygniata i boli—czyni to jeszcze z daleko większą energią natura. Im kto młodszy, im żywszy, im więcej ma sił żywotnych, tem żwawiej się prześlizguje przez wszystkie bóle i smutki, tem uporniej wrywa się wszystkim trującym zmartwieniom. Jest to ta sama energia, ta żyłastość, ten upór nigdy niepokonanej i wiecznie się w sobie odradzającej natury, który widzimy w ogniu tak łakomie szukającym dla siebie żeru, w wodzie, przeżerającej największe tamy, w drzewach pokaleczonych, a przecież ciągle odrastających, w płazach stokroć strąconych z drogi i stokroć na nią powracających...

— Pan jesteś z Zawisłocza — mówiła dalej dziewczyna — to tak blisko jest od nas, tylko

przez wodę, a ja przecież nic nigdy nie słyszałam

O panu... To jest tak, niby ja coś słyszałam, bo mi tatko powiadał, że w Zawisłoczu mieszkają państwo pułkownikowstwo, którzy mają jednego syna; ale coby się działo z tym synem, jakoś mi nigdy nie przyszło zapytać.

— Nie dziwna rzecz — rzekł na to Karol — że pani o mnie nic nie słyszała. Ja prawie nigdy tu *nie mieszkalem. Przez całe życie byłem w szkołach we Lwowie...

— Ale pan skończył już szkoły?

— Skończyłem przeszłego roku w jesieni.

— A! to pan się musiał ucieszyć! I ja już także skończyłam. Co to tam moje szkoły! nic przeciw panu, a przecież tak mnie niemi zmęczyli, tak mnie wymordowali, że gdyby było tylko rok jeszcze, jużbym była nie wytrzymała, Taka to nudna była Francuzka, taka nudna...

ah! że nie umiem tego powiedzieć. Kiedy odjeżdżała tego roku po świętach

1 przy pożegnaniu zaczęła płakać i troszeczkę omdlewać, jużem i ja mało co nie omdlała.

Myślałam sobie, pewnie jeszcze zostanie. Com tylko miała wódek kolońskich i octów, wszystkie na nią wylałam. Otrzeźwiła się przecież i odjechała, aż mi się lżej jakoś zrobiło. Bo trzeba panu wiedzieć, co ja się nacierpiałam od tych Francuzek, to jeno Bogu wiadomo. Bo to nietylko tę jedną miałam, cztery ich było kolejną i Niemka była przez całe dwa lata i Angielka przez rok, a każda mnie czegoś uczyła. Przecież to wreszcie minęło... Teraz, po odjeździe Francuzki, przyjechała ciocia ze Lwowa, ale jak tylko

zaczęły chodzić wieści o jakichś rozruchach, znów odjechała — a teraz już nie wiem co będzie.

— Bardzo panią żałuję, że pani tyle się nacierpiała. Ja przez twardsze i dłuższe przeszedłem szkoły, ale nie mogę się na nie uskarżać. Uczyć się trzeba było, to prawda, ale nie brakło też i rozrywki. Nasze schadzki studenckie w jesieni, nasze literackie wieczory, a potem bale w karnawał, wycieczki do dalekich ogrodów o wiosnie, pływalnia w lecie, ujeżdżalnia, sala szermierska, a na koniec wakacje! Daleko więcej mieliśmy rozrywek niż trzeba. A cóż dopiero powiedzieć o tych wszystkich marzeniach, o rozmaitych widokach, zamiarach, nadziejach, których się tyle przesunęło przez głowę! Każdego z nich wprawdzie za ledwie wystarczyło na tydzień, ale ich nigdy nie brakło. W tym właśnie było szczęście największe. Nie żyło się nigdy dniem jednym, ale całymi latami w jedrej godzinie, czasem całą przyszłością w jednej maleńkiej chwili. A przyszłość ta zawsze pełna zieleni i kwiatów, pełna rozkoszy

i szczęścia. Tak życie przeżyć, w samych snach tylko, snach wymarzonych dowolnie i nie być nigdy dotkniętym żelazną ręką rzeczywistości — tak życie przeżyć, byłoby godnym aniołów. Ale, niestety, krótkie to tylko są chwile. Mijają prędko, a człowiek sam nie wie, kiedy się zbudził i stanął na progu całkiem innego świata. Wczoraj się jeszcze dał sobie położyć na miękkim puchu, budzi się dziś i widzi twarde deski pod sobą...

— To może prawda, ja nie wiem — odpowiedziała dziewczyna, idąc wiernie za jego myślą — ale przecie panowie jesteście szczęśliwsi od nas. Jeżeli

który z was się obudzi na twardych deskach, to sobie je potem wyściele, jak mu się będzie podobało > a biedna dziewczyna musi przez całe życie spać na takim łożu, jakie jej los wyścielił. I nie poradzi nic, choćby chciała tak, jak ja z moją Francuzką.^

Uśmiechnęła się przytem, milczała chwilę, a potem mówiła dalej:

— Doprawdy, ja kiedy o tem pomyślę, to mnie* dreszcz jakiś przejmuję. Al<e przecie ja sobie na to poradzę. Gdyby mnie chcieli za takiego wydawać, któryby mi się nie podobał, to ja nie pójdę — i cóż: mi zrobią! Ubiorą mnie, zaprowadzą przed ołtarz,, a ja ani słówka nie powiem! Spyta się ksiądz, powiem, że nie chcę — i co rai się stanie? Ale tatko. mój, dobry, on mi tego nie zrobi...

Było zmartwienie, była wnet i pociecha, I znów się śmiała pusta dziewczyna i szczebiotała dalej:

— Otóż ja panu powiem, że w naszym ogrodzie jest jeden punkt taki, z którego widać basztę Zawisłockiego zamku. Widać także kawałek zębatych murów, a kiedy jesień nadejdzie i drzewa z liści? opadną, to widać prawie połowę zamku. Ale powiadał mi tatko, że rodzice pana tam nie mieszkają,, tylko wybudowali sobie pałac przy zamku. To się tatkowi nie podobało i mówił...

Tu szczebiotliwa dziewczyna nagle ucięła, a Karol spytał z uśmiechem:

— Cóż tatko mówił?

— Ej! tego panu nie powiem,..

— Spodziewam się, że przecież nie mówił niezłego?

— Ani złego, ani dobrego; tylko tak, jakies

morały, których tatko ma zawsze dość w pogotowiu, kiedy co mówi o szlachcie.

— Proszę pani— zapytał Karol z uśmiechem— o tatko mówił o szlachcie? bardzo mnie to interesuje.

— Oh! tego ja panu nie potrafię powtórzyć. Nigdy mi się to jakoś nie chciało trzymać pamięci....

— O małej szlachcie mówił tatko zapewne! — ciągnął dalej swoje badania Karol, patrząc w oczy dziewczynie.

Spostrzegła się przy tych słowach niebaczna Józia, że już za wiele mówiła, zarumieniła się i rzekła z niecierpliwością:

— Ej! ja już nie wiem... co nam tam z tego! I dlaczego to pana interesuje?

— To mnie interesuje dlatego, że to drobne słóweczko: mała szlachta, była podobno najgłówniej- szym powodem, dla którego nasi ojcowie nie harmonizowali ze sobą. Każdy z nich miał się za lepszego szlachcica i żaden nie chciał drugiemu ustąpić. Smutne zaprawdę czasy, w których zawsze pytano o to, jaki kto szlachcic, a nie pytano nigdy, jaki kto człowiek!

— O! mój tatko bardzo uważa na to, jaki kto szlachcic. Na stoliku w salonie zawsze jest pełno herbarzy. Jak tylko o kim jest mowa, tatko zaraz do herbarza. Dopiero mu rachować matki, babki, dziadków, pradziadków. Czy mógłby być szambel- nem? czy w danym razie mógłby być hrabią? Jeszcze jak ciocia przyjedzie z Krakowa, to jak zaczną

oboje rachować nazwiska i pokrewieństwa, na mnie aż poty biją, tak mnie to nudzi.

Śmiał się Karol i mówił:

— Szkoda, że mój ojciec nie wiedział o tem, byłby się pewnie z panem szambelanem pogodził, bo to było i jego ulubionem zajęciem. Ta tylko była pomiędzy nimi różnica, że mój ojciec do herbarzy nie chodził. Wszystko wiedział na pamięć, a zresztą wartość szlachectwa rozróżniał uchem. Kiedy kto wspomniał jakie nazwisko, które należała do nowszych, to zaraz mówił: A to co za nazwisko? nie było go w Polsce. Jakiś to będzie posthumus.. Chwast, który wyrósł na naszych grobach... A kiedy przeciwnie wspomniano nazwisko inne, to wołał głośno: Dobry szlachcic, z dziada pradziada. Siedzieli na Podlasiu, Wołyniu, Litwie, bili się pięknie, rotmistrzowali, jest tam kasztelan jeden i drugi, są starostowie, biskup łucki albo kujawski, jest Potocka, Tarnowska, albo Działyńska. I dziwna rzecz, że nigdy się w tem nie omylił. Po takiej konwersacji myśmy nieraz ze Skibą szli do herbarzy i za- wsześmy potwierdzenie znaleźli.

— Proszę pana, kto jest pan Skiba! Pan o nim ciągle coś mówił w gorączce,

— Skiba — powtórzył Karol — to dawny mój nauczyciel.

— On mieszka w tej baszcie, którą widać z naszego ofrodu?

— Tak, pani,

— We' fraczku, w kaszkieciku, z laseczką, króciutki, malutki, siwiutki, łysiutki, a do tego garbaty i z głową ogromną jak dynia. Cha, cha cha! myśmy

isię tak uśmieły z niego z moją Francuzką, żeśmy isię aż za boki trzymały.

— Gdzież go pani widziała?

— On raz był u nas, przeszłego roku.

— Co on tam robił?

— Miał jakiś interes do tatka. Był w tatko- Avym pokoju ze dwie godziny, a potem był na herbacie. Ale trzeba mu to przyznać, że jakiś mądry jest -człowiek. Mówił po francusku fak gładko i tak wymownie, że moja Francuzka powtarzała po kilka razy: Voild le bel accent polonais! I opowiadał nam bardzo piękne rzeczy o kwiatach, a tak ciekawie, żeśmy się go odsłuchać nie mogły. Bo my widzimy kwiat tylko z wierzchu, a on nam powiadał, co jest we środku; dlaczego który kwiat rośnie tu, a nie ro- isnie gdzieindziej, dlaczego jeden rośnie tak, a drugi inaczej! On zna każdy kwiat, choćby najmniejszy i każdą trawkę. Poszliśmy potem do ogrodu, a oh •nam takich kwiatków nazbierał na naszej łące, żeśmy o nich i nie wiedziały. Bardzo się nam potem podobał i nawet żal nam było, kiedy odjeżdżał. Ale nigdy potem już nie był!... Pan musi bardzo kochać tego nauczyciela! On taki dobry. Jak zrywał kwiatki, to tylko kilkanaście ich zerwał, a więcej nie -chciał i mówił: „Szkoda. To jest także zabójstwo.” I opowiadał nam potem, że każdy kwiatek żyje tak samo jak człowiek, w dzień karmi się sokami, poi powietrzem, oddycha, cieszy się, śmieje się«w słońcu. A na noc się skuli biedaczek i zasypia. A jak się chowa przed deszczem, jak zwija swoje listeczki, jak się odwraca!—bardzo mi żal było tych kwiatów.

— O! Skiba, Skiba!—zawołał Karol—co to tam skarbów jest w tym człowieku! Żeby tak inna fizy- czność! Lecz na nieszczęście, duch ją roztargał zawczasu, zmiął, zniszczył, wyszał, wypalił, że zaledwie zostało tyle, ile mu trzeba na pomieszkanie! O! Skiba.—
powtarzał Karol—nikt go tu nie zna i na jego nieszczęście, nikt znać nie będzie do śmierci. Przejdzie i zniknie niepostrzeżony niczyjem okiem, niezbadany niczym rozumem. Lecz pozostaną po nim olbrzymie ślady na wieki. Dojrzą kiedyś ludzie te ślady i dziwić się im będą, nie wiedząc, kto je zostawił. Dziwić się będą ruchowi tego wielkiego zegara, który zacznie obiegać popędem nowego ciężaru:

0 kołach, o sprężynach rozum was naucza, Lecz nie widzicie ręki i klucza!...

Kiedy to mówił Karol, dziwnie się twarz jego zmieniła. Obrócił się na znak, patrzył szeroko otwar- temi oczyma do góry i mówił jakby w boleści. Słuchała go dziewczyna z wielką uwagą, ale zarazem jak gdyby ze grozą. Twarzyczka jej nawet obciągnęła się jakąś chmurką posępną; milczała chwilę, a potem rzekła:

— Kiedy pan tak mówi, mnie jakieś mrowie przechodzi. Zdaje mi się, jakbym się pana bała. Nie trzeba tak mó,vić...

Obrócił ku niej młodzieniec twarz swoją, rozpromienioną w tej chwili uśmiechem niewysłowio- nej słodyczy.

— Otóż tak to jest dobrze! —zawołała z radością — nie trzeba się zapuszczać w żadne głębokie mądrości. Kiedy kto mówi o takich rzeczach... do

prawdy, może to bardzo niemądre, co ja tu powiem, ale dlaczego nie mam powiedzieć? Kiedy kto mówi o takich rzeczach, to mnie dreszcz jakiś przejmuje. Jakoś tam duszno jest w tym waszym świecie duchowym, duszno i zimno zarazem, jak w grobach pod kościołami. I zdaje mi się, że nie można być bardzo szczęśliwym, zaglądając co moment do takich grobów. I zdaje mi się, że sam Bóg tego po nas nie żąda, bo groby dał dla umarłych, a dla żywych dał ziemię. Pan nie woli tej ziemi, na której takie zdrowe powietrze i kwiatów tyle i tyle pięknych rzeczy bez końca? Ja wolę. I pan to woli i już pan nie będzie mówił więcej tych rzeczy.

— Nie, już nie będę — rzekł Karol.

— Widzi pan, tak to najlepiej. Zostańmy sobie na ziemi. Brzydka jest teraz ta ziemia; tyle na niej spełniono morderstw, tyle rabunków! Ach! kiedy o tem pomyślę, to mi się zimno robi na całym ciele. Biedni ci ludzie! co oni mają do przecierpienia ze wszystkich stron! Jeszcze im domy spalono teraz, porabowano dobytki, pozabierano ostatnie suknie. Patrz pan! ja tak zostałam, jak mnie pan widzisz. Nie mam już nawet żadnej sukienki, ani czepeczka na noc i tylko te jedne buciki. Wszystko mi tam pozabierali... Ale ja się tem przecież nie martwię, bo tak nie zostanie. I pałac się odmuruje i sukienki się sprawią i buciki i wszystko jak trzeba. A jak śnieg zginie, to i wiosna znów będzie! słońce, powietrze, kwiatki i całe roje słowików. I ja znów będę żyła tak, jak dotychczas—i pan niech tak zrobi, to jest najlepiej.

— Jakże pani żyła dotychczas?—zapytał Karol.

— Cóż tu jest opowiadać? — odpowiedziała, rumieniając się dziewczyna.
— Niechże mi pani opowie, ja słucham bardzo ciekawie.
— No, to opowiem panu, kiedy pan chce tak koniecznie. Otóż rano jak wstanę, to pacierz mówię. Potem się trochę ubieram, ale nie bardzo — a potem już idę do herbaty, bo tatko tego nie lubi, kiedy nie przyjdę zawczasu. Przy herbacie tatko czyta gazety i ja czytam troszeczkę. Potem muszę iść do spiżarni, bo tatko chce, żebym się gospodarstwa uczyła. Więc ja idę i patrzę, jak szafarka wydaje kucharzom. I wie pan, co ja tam widzę? widzę zawsze jak kradną; ja wszystko widzę.,, ale im tego nie mówię, jakoś nie mogę. A potem idę do tatka i raportuję, czego już wkrótce będzie brakować, bo tatko sam musi wiedzieć o wszystkim. Potem już idę do salonu i gram troszkę na fortepianie. Żeby pan wiedział, jak mi wtedy jest dobrze. Po tych słoninach, mąkach i krupkach, tam jakbym nanowo odżyła. Kiedy gram z pół godziny, to jakbym drugi pacierz zmówiła. A potem idę do mego pokoju i czytam. Ej! nie mam książek takich, żeby mi się podobały! Tatko ich ma dosyć, ale mi ich nie daje. Dał mi ich kilka, ale cóż? Lamartine, Cha- teaubriand, Alfred de Vigny i coś tam jeszcze, to takie wszystko jakby nieżywe. Ale ja przecie mam jakieś książki. Całego mam Mickiewicza, Zaleskiego trzy tomy, „Zamek Kaniowski* i rozmaitych innych całą szafeczkę. Wszystkie te książki zostały się po- mojej mamie, tatko je kazał wynieść na strych i zamknął tam w lamusiku; ale ja sobie je powykradałam

pomału i mam. I czytam sobie ukradkiem, ażeby tako nie widział. A pan może myślał, że ja nic nigdy nie czytam? O! ja i na pamięć umiem niejedno. Ja nawet wiem, z kąd pan wziął te wiersze, co pan dopiero powiedział. To z Dziadów. Ja ich nigdy nie mogłam zrozumieć, a teraz tak mi się zdaje, jakbym je zrozumiała. Oh! żebym ja miała kogo, co by mi to wszystko objaśnił! Pan pewnie każde słó- weczko rozumie... Ja bardzo mało, tylko gdzieniegdzie...

Niedawno odwiedzałam dom nieboszczki matki,

Ledwie go poznać mogłam! już ledwie ostatki!

Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!...

Ach! może i ja tak powiem, jak do domu powrócę!—Bo trzeba panu wiedzieć, że te Przewoźniki to po mojej mamie. To moje będzie kiedyś, bo mama mi je zapisała. Może i nic więcej nie będę miała; bo te majątki, co tatko na Podolu pokupił, to przeznaczone dla Fonsia, a Borówka to tatkowa oddawna. I pewnie ją także kiedyś Fonsio dostanie. Bo tatko chce, żeby Fonsio był bardzo bogaty i żeby się pięknie ożenił i żeby coś znaczył na świecie. O mnie już mniejsza; ja jestem sobie sierotka!... Ale i tak dobrze—a może nawet i lepiej...

I zamyśliła się [biedna dziecina nad swoją dolą. Widać, że i w tej wonnej różyczce siedział już w głębi jakiś robaczek, który ją toczyć zaczynał. Odpędzała go ona jak mogła, nie chciała o nim nic wiedzieć, lecz mimowoli musiała go czuć chwilami...

Bardzo to zajmowało rozbudzonego młodzień-

ca. I wszystko go zajmowało, co słyszał z ust tego ślicznego dziewczęcia. A śliczna była w tej swojej szczebiotliwości. Wesolutka jak dziecko, zwinna jak ptaszek, lekka jak maleńki motylek i jak motylek tylko unosiła się nad każdym przedmiotem, o którym mówiła: i łzy i radość, smutek i szczęście, uśmiech i groza, wszystko przebiegało przez jej u- myśl tak lekko, jak chmurki majowe po niebie. Karol był zachwycony. Już się wiele dowiedział, ale chciał się wszystkiego dowiedzieć. O, gdyby się był wszystkiego dowiedział, jeszczeby mu było nie dosyć. Chciałby był ją całą wpoić w swą duszę, całą ogarnąć swem sercem i nigdy już nie powrócić...

— Pani mi tyle rzeczy opowiedziała — rzekł po chwili — takich pięknych, a tak zajmujących, że ich się nie mogę odsłuchać. Ach! czemuż ja nie umiem pani za to nic oddać wzamian. Moje życie tak było proste, tak jednostajne...

— Ale gdzież tam! przerwała mu dziewczyna — daleko więcej rai pan opowie, aniżeli ja panu. Pan tyle starszy odemnie, tak długo do szkół chodził, tyle się uczył, pan ma wiele do powiedzenia. Ja to widzę po panu i nie dam sobie niczego zataić. Pan mi to wszystko będzie musiał opowiadać, ja tego bardzo ciekawa. Ale to chyba aż jutro. Pana męczy czuwanie. A i ja także już dwie noce nie spałam, muszę szkaradnie wyglądać... Więc jutro znowu się obaczmy—a teraz dobranoc panu.

— Dobranoc pani — rzekł Karol prawie z boleścią i wyciągnął ku niej swoją rękę wybladłą. Przecie się na to odważył.

Dziewczyna spojrzała na jego rękę, potem spój-

rzała mu w twarz i spuściła oczy ku ziemi. Sama nie wiedziała, co robić i bardzo się tem pomieszała.

— To jakoś tak dziwnie... szepnęła cicho, ale w ten moment dodała raźnie: — ale nie! cóż to dziwnego?

I położyła swą rączkę drobniutką na jego dłoni. Lekkie ściśnienie jak myśl połączyło ich ręce na oka mgnienie:

— Dobranoc — zawołała dziewczyna i już jej nie było w świetlicy.

Pod tę porę stary Bernat już spał, jak zabity na ławie. Przewrócił się czasem na drugą stronę, pomruczał coś sobie pod nosem a czasem zadygotał zębami. Śnił zapewne o rybach. Kiedyindziej wyciągnął się na wznak, nabrał w piersi powietrza i świsnął przeciągle i długo: śniło mu się natenczas, że czólnem tak szybuje po wodzie. Nakoniec zaczął zgrzytać zębami, bo i ten piękny zwyczaj posiadał, a wtedy śniło mu się zapewne, że widzi swoich niezacnych braci, nurzających się w zbrodniach...

Ale Antek siedział zawsze jak kolek na ławie. Z otwartymi oczyma, z wyostrzonymi uszami, słuchał bezustannie, co państwo młodzi z sobą mówili. Czy słuchał li przez ciekawość, czy w słuchającym budziło się współczucie, czy zazdrość, trudno odgadnąć.

W tej chwili wbiegła Basia do chaty. Przyniosła ona na sobie całą płachtę napelnioną rozmaitemi gratami, zrzuciła ją zaraz na ziemię i odetchnęła. Zerwał się Antek i stanął koło niej...

Basia powróciła w tej chwili z dość niebez-

piacznej wyprawy. Ale sama ona ją sobie wymyśliła i miała odwagę wykonać. Okryta zmrokiem, wkradła się milczkiem do dworu i poszukała po wszystkich kątach, czyby tam czegoś nie wynalazła, coby im się zdać mogło w tem ubogiem schronieniu, które im nawet najpierwszych potrzeb nie było w stanie dostarczyć. Dwór już na teraz był pusty, żywej w nim duszy nie było, a po pokojach było porozsypywanych rozmaitych gratów bez liku. Basia zrobiła pomiędzy temi gratami wybór i całą płachtę przyniosła.

— Widzisz, panie Antoni — rzekła z tryumfem do chłopca — co ja tam nazbierałam różnaitości. To się moja panienska jutro ucieszy! boć są tu rzeczy, eo i coś warte...

Odrzucił Antek dwa końce płachty i dziwił się tym błyszczącym rupieciami. Jakoż w ten moment zaiskrzyły ma się- oczy, zarumieniły policzki i rzekł:

— Słuchajno Basiu! a żeby my teraz we dwoje poszli do dworu, możebyśmy co więcej przynieśli!

— Ba, kiej się boję.

— O! toś się sama nie bała, a teraz ze mną się boisz?

— Jakież to proste chłopisko! ja się sama nie boję, bo jak mnie złapia, to nic — a kiedyby nas oboje złapali, zarazby się domyślili, że się tu panna ukrywa. O pannę jeszcze i mniejsza, bo przecież by jej nic nie zrobili; ale tego panicza pewnieby wzięli.

— Ej! gdzie się ta zaraz domyślą! To jak nas złapia, to się przyznamy do siebie.

— A i to prawda. To chodźmy.

Podskoczył chłopiec z radości, podobno nietyle dlatego, że szedł do dworu, ale że szedł razem z Basią. Jakoż rzekł, biorąc za kłamkę:

— Kiedyby nas napadli, będę się bronił do krwi. Choćby mnie i zabili, to nic. Ale cię za to choć pocałuję na drodze...

— A nie!—zawołała na to z energią dziewczyna, stając prawie w żołnierskiej postawie. Zmiękł trochę chłopiec, ale rzekł jeszcze:

— Ej! już cię ta pocałuję koniecznie, przecie ta w tej ciemnicy nikt nie obaczy.

— A nie! — zawołała dziewczyna jeszcze gwałtowniej — bobym cię tak trzasnęła po gębie, żeby ci świeczki stanęły,

Jtdnak w tej chwili ona znów zmiękla i rzekła:

— Albo nie pójdę...

— O! a to co znowu? — zawołał chłopiec— no to już nie, jeno chodźmy.

— Chodźmy—odpowiedziała—ale pamiętaj!

I wybiegli oboje czempredzej z chaty.

Tak, tam na polu, jeszcze nie pogasły zgliszcza spalonych domów, jeszcze krew poległych nie skrzepla, jeszcze nie pogrzebiono ich ciała, a tu w tej chatce już się nowe ruszało życie. Jeszcze tam pod niejednym dachem łzami zalana małżonka nie wypuściła ze swych dłoni martwej ręki swojego męża, inna leżała krzyżem na jego grobie, a tu już miłość znalazła nowych dla siebie adeptów, sypała kwiaty nadziei na ich półsenne skronie i budziła w ich sercach tętno, mające odżyć we krwi nowych pokoleń. Ale tak zawsze dzieje się na tej ziemi. Nie potrzeba tu takich katastrof wielkich, rzezi tak krwawych,

wojen takich morderczych, zawsze śmierć wojnę prowadzi z człowiekiem, pożera ludzi, niszczy jego prace i dzieła. A zawsze człowiek mężnie z nią walczy — pada sam, walczy jego następca i tak dalej i dalej. I nigdy tych wojowników nie braknie, walka trwa dalej i przedłuża się w nieskończoność. Prawie nie wiedzieć, kto tu zwycięzca a kto zwyciężony.... Ale podobno zwycięzcą jest tu duch ludzki wiekuisty i nieskończony, wciąż pracujący i nigdy niespracowany, nie znający spoczynku, ani żałoby, a postępujący wciąż naprzód i naprzód, bez zmęczenia, bez końca. A zwycięzcą w tym duchu jest Bóg sam, który go stworzył i żywi i tę walkę olbrzymią własną prowadzi ręką...

Karol przespał noc niespokojną. Za ledwie zasnął, zaczęły mu się jawie jakieś' straszliwe pożary, pękające i w gruz się sypiące zamki, krew lejąca się strumieniami, trupy niepogrzebane. Budził się z przestachem co chwila i drżał ze zgrozy. Po północy dopiero wypogodziło się niebo jego marzenia. Zjawiła się przed nim biała sukienka, kaftaniczek błękitny, twarzyczka śliczna, loczki, filutki, oczka śmiejące, kwiaty i wiosna. Zasnął tedy spokojnie i marzył sny najpiękniejsze...

Kiedy się zbudził, prawie mu się jeszcze zdawał®, jakby był we śnie. Albowiem przed jego łóżkiem stała już Józia we własnej osobie—a jaka śliczna była w tej chwili! I co się to z niej zrobiło! Ubrana była w spódniczkę jasną błękitną, miała na sobie kaftaniczek czarny jedwabny, a do tego rękawki, mankietki, kołnierzyki jak śnieg białuteńkie. I perełki już były na szyi i bransoletka na rączce i te wszystkie filutki i loczki niby w nieładzie a prze

cież jakoś inaczej. Ale co z tego wszystkiego było warte najwięcej, to jej twarzyczka, wyspana dziś, świeżutka jak listek róży, a rozpromieniona radośnie jak najpiękniejszy ranek wiosenny. Tak stała przed nim i patrząc mu w oczy, powiedziała:

— Dzień dobry.

Gdyby się to było Karolowi stało kiedyś— indziej, gdyby jakakolwiek kobieta była się pojawiła nad jego łóżkiem, byłby się pewnie zarumienił po uszy i nie wiedział, co mówić; ale zjawienie się to zdawało mu się tak naturalnym, tak prostym, tak prawie koniecznym, że byłby się może daleko więcej zadziwił, gdyby go było nie było, aniżeli, że było.

— Dzień dobry pani!—zawołał wesoło—a jaka pani dziś śliczna! Jaka sukienka ładna, jakie rękawki piękne i kołnierzyki!

— Patrzaj-że pan, to jest wszystko, co mi się z mojej garderoby zostało. A tyle tam miałam sukienek!—Ale popatrzno pan, co tu stoi przy panu...

Karol spojrział około siebie—a tam stał mały stoliczek piękną nakryty serwetką, na nim taca srebrna ogromna, samowarek maleńki, nalewka porcelanowa, dwie filiżanki ze złotymi brzegami, cukier, bułeczki, troszkę rodzenków, troszkę migdałów, bułeczka chleba i masło. Co tylko można było łączyć tak z przyniesionych przez Basię zdobyczy, jak ze skromnych zasobów Bernata, wszystko to skrzętnie pozbierała gospodarna dziewczynka i zastawiła przed tym, o którym także przez noc całą marzyła. Na i jej rozpromienionej twarzyczce widać było tę całą

radość nieopisaną, jaką jej zrobienie tej niespodzianki przyniesie...

Karol się nie mógł napatrzeć na nią, a lubo w tem zachwyceniu nie umiał jej opowiedzieć, co czuje, jednak ta wdzięczność, która się malowała na jego twarzy, była dla niej dostateczną nagrodą. Zrozumieli się w oka mgnieniu bez słów i w tem oka mgnieniu powiedzieli sobie daleko więcej, niżeli wczoraj przez cały wieczór... Tak zasiedli do tego skromnego śniadania—ale oboje milczeli. Może już sobie powiedzieli za wiele — i nie wiedzieli, co mówić dalej?—Weszli w świat całkiem nowy i jakoś dziwno im było...

Ale niebawem znów się zaczęła rozmowa. Tylko dziś szło to całkiem inaczej niż wczoraj: dziewczyna była więcej milczącą, więcej rozmownym młodzieniec. Ona wypowiedziała już wszystko, co umiała powiedzieć. Przebiegła zlekka całą swą przeszłość—o przyszłości zaś nawet jeszcze i nie umiała Zamarzyć. Nie tak było u niego. On jeszcze nic nie powiedział, a miał jej tyle do powiedzenia. On pizeżył przeszłość tak pracowitą, tak wiele rzeczy wsiąknął w swój umysł i serce i nic jeszcze z tego nie wydał. Oprócz tego, od wczorajszego wieczora zdawało mu się, że tak wie wiele, tak ma pierś pełną, że jeśli jej nie otworzy, to mu pęknie z wezbrania. A nad to wszystko miał jeszcze i przyszłość przed sobą, w którą już nieraz zaglądnął, w której niejedyn już pałac zbudował i jeszcze nikomu go nie pokazał. Dawniej, gdy sobie taki pałac zbudował, szukał w nim pomieszkania tylko dla siebie; dziś widział, że nie zaszkodzi, jeśli tam be-

dzie miejsce i dla kogo innego... Karol miał mnóstwo rzeczy do powiedzenia i mówił bez odpoczynku.

I Bóg nie wie, co mówił. Było to bowiem jeszcze także dzieciątko; wszystko tam było jeszcze zamknięte jak w pączku. Pączek pełny, materyałów bogactwo wielkie, ale wszystkie surowe. Nikt jeszcze dziś wiedzieć nie mógł, co się z tych materyałów wyrobi: czy gmach wspaniały, jednostajnym wyniosły stylem, który lśnić będzie w słońcu przez długie- lata? czy kupa gruzów, która osiadzie w cieniu i za- rośnie chwastami i zielskiem?—I to jeszcze być mogło i tamto.

Tak też i mówił...

— O! jakże ja jestem nieszczęśliwym w tem życiu! Zaledwie wstąpić w progi rzeczywiściego świata i tak się rozbić szkaradnie! Czyż się mogłem spodziewać kiedy, ażeby to, co mi się zdało tak pe- wnem, okazało się niepodobnem?... Gdzież moje najpiękniejsze marzenia, gdzież ta jutrzienka, która miała przyświecać całemu życiu? Jeszcze nie weszła—a już przy odbłaskach pożarów zagasła!—Ale... może ja widzę za krótko. Przez szkiełko dnia dzisiejszego trudno obaczyć wieki. A któż wie, jak wygląda nasienie, z którego z czasem wykwita duch przyszłych epok? czy powiedziałby kto, że ten kwiat jasno ponsowy, taki pełny i piękny* że gasi wszystkie blaski ogrodu, wystrzelił ? ziarenka "szarego maku?— Jeszcze to wszystko w Boskiem jest rękę;— biada tylko tym, którzy musieli być przy posiewie..

Po chwili zaś mówił dalej:

— Biada mnie przed wszystkimi! Jam ojca

stracił—i zostałem sierotą... O! pani nie znałaś mojego ojca: był to już jeden z ostatnich. Prosty człowiek jak tysiąc innych, jakich milion jest w Polsce, lecz jaka to wielkość w tej prostocie! Jaka tam miłość niezwykła, a jaka wzniosła szlachetność!— Ja wprawdzie nie zakochałem się tak w tej szlachcie naszej, ażebym w niej całkowicie utonął. Nie myślałem wiązać mojej przyszłości z jej losem. Do walącego się domu nikt się nie sprowadza. Bluszcz tylko ob wije a się 6 drzewo spróchniało i pada z niem razem w śmierć, bez zmartwychwstania... Ale nic mi to nie przeszkadza wyznać, że byli pomiędzy nimi wielcy i nieźrównani. Każdy z nich był czemś nie- pospolitem, choćby tylko jako jednostka tak olbrzymiej całości, choćby tylko jako następca takich moralnych bogaczy. Właściwie mówiąc, żaden z nich nie był nigdy jednostką; nigdy nie był sam na tej ziemi, bo zawsze za nim stało kilkudziesięciu, którzy już wprawdzie zeszli z tej ziemi, ale towarzyszyli mu duchem. On, kiedy działał, to w imieniu całego rodu, a kiedy mówił, to jakby wieki z niego mówiły... Takim był mój ojciec. Szlachcic dumą i wyniosłością; lecz jaki szlachcic sercem i sumieniem! Dla powszedniego oka, zdawał się niby być zakutym w żelazo, twardy jak gład, niedosięgniony jak wieża, lecz pod tem żelazem jaki tam miękki, jaki serdeczny był człowiek! To był mój ojciec. Nie umiałem go nigdy zrozumieć, nigdy uszanować; dziś dopiero to czuję, kiedy go straciłem! Śmierć jego zapomnę—a tego nigdy nie przeboleję!...

To rzekłszy, wyciągnął się z boleścią na łożu i patrzył w górę zażawionemi oczami. I dziwnie

10S>

pięknym był w tym momencie. Jego twarz ściągała rysów szlachetnych, a cery tak delikatnej, jak ją można mieć tylko w takim wiosennym wieku, wybladła teraz jeszcze daleko więcej, i oblała się przejmującym wyrazem smutku. Jego usta, okrążone jasnym puchem pierwszego zarostu, otworzyły się do połowy i zdawały się pragnąć jakiejś ochłody. Jego- oczy, duże, błękitne, patrzyły przez łzy ku niebu i zdawały się wzywać ztamtąd pociechy. Bardzo pięknym był ten młodzieniec w tej chwili;—nie można było nie patrzeć z żywym współczuciem na tę twarz tak jeszcze młodą, a tak bolejącą, nie uiożna było nie połączyć się sercem z jego szlachetną żalobą...

Dziewczyna patrzyła w twarz jego, jak w tęczę. Ani jej na myśl teraz nie przyszło powiedzieć mur „że tak mówić nie trzeba” — ważne to były rzeczy, ważniejsze, aniżeli to wszystko, co kiedykolwiek, w swem życiu słyszała; to całe światy były, o kró- rych dotychczas nie miała nawet pojęcia. Kilka słów tylko, może tylko głos jakiś niezrozumiany obił się o jej uszy —a przecież otworzyła się przed nią cała głąb jego duszy, jakaś bezdeó tak wielka, większa niżeli cała ta ziemia, większa niżeli świat ten, o którym z nauk wiedziała. I bezdeń ta jakąś nadludzką siłą ją pociągnęła ku sobie, stanęła na brzegu, główka jej się zakręciła i wpadła. Za nic jej już było to wszystko, co znała dotychczas, za nic wszyscy ludzie na ziemi; jeden był tylko człowiek- na całym świecie, ten jeden tylko, na którego pa- trzyła.

Trwała chwilka milczenia. Karol leżał tak nie

rucho mo jeszcze przez oka mgnienie i patrzył bo- lejącemi oczami w jakiś' świat niewidzialny, sobie tylko znajomy. Ale niebawem twarz jego Avypogo- dziła się trochę, lice mu wyjaśniało, przez czarną chmurę promień słońca się przedarł; z takim uśmiechem obrócił się do dziewczyny i rzekł łagodnie:

— Przepraszam panią, znowu mówił tak smutnie. Ale są boleści w tem życiu naszym, którym się oprzeć nie mamy władzy. Są one jak wicher szalony, w którego rękę my tylko jesteśmy jak liście zwiędłe. Pani nie masz pojęcia o takich boleściach....

— O! gdzież tam! — rzekła kwilącym szeptem dziewczyna — wiem i ja o tem, i nie pierwszy raz słyszę, że są takie boleści na świecie. Ile razy sobie matkę moją przypomnę, zawsze mi taka boleść staje w pamięci. Może nawet ja sama doświadczyłam czego takiego w życiu, co niepodobne do szczęścia. Tylko jestem jeszcze tak lekka, znowu się umiała przez to prześliznąć....

— O! zmiłuj się pani — zawołał Karol— jeżeli możesz, zachowaj tę lekkość przez całe życie. To najpewniejszy warunek szczęścia. Lekkość ptaszyny, lekkość motylka, lekkość oddechu tylko — o! jakże będziesz szczęśliwą! Będziesz młodą i piękną aż do późnej starości, w latach zgrzybiałych będziesz wesołą i świeżą jak dziecko, umrzesz i w śmierci obudzisz tylko zazdrość w patrzących!... Naucz mnie pani tej sztuki

— O! już się pan nigdy jej nie nauczysz!

Spojrzał na nią Karol z uwagą i rzekł po chwili:

— Odpowiedziałaś mi pani jak mędrzec. Tak, jest to rzecz, której się nigdy nie można nauczyć. Jest to nie sztuka, lecz przymiot, a przymiot taki, który trza przynieść z sobą koniecznie. Można go tylko stracić, lecz nigdy nabyć. Raz utracony, nigdy się już nie wraca. Jest on jak nie wiadomość.... a może się nawet na niej głównie gruntuje.

I znowu chwilę pomilczał i tak mówił dalej:

— Trzeba jednak wiedzieć, iż wedle zdania ludzi uczonych, tę umiejętność prześlizgiwania się z taką lekkością ponad ziemskie boleści można jeszcze odzyskać potem, w późniejszym wieku. Nauka i doświadczenie z życia mają nam ją przynosić, jako nagrodę za cierpliwość i pracę. Może tak jest — ja

O tem nie wiem. Wiem tylko tyle, że kiedy się raz ma świadomość czegoś takiego, co jest rzeczywiście

I swoim istnieniem ból nam przynosi, to tej świadomości już się pozbyć nie można do grobu. Bólu można się pozbyć, to prawda, ale czy można inaczej jak przez odrętwienie, to Wątpię. A zresztą przypominam sobie, że raz widział brzoskwinię, zrobioną z wosku. Była tak piękną, tak świeżą, tak naturalną, że nawet ten delikatny puszek był na niej, który tak podziwiamy w brzoskwini. Ale.... przybliżyłem ją do ust, woni nie miała — ukąsiłem ją, zęby mi w niej uwięzły. Nie słuchaj pani nigdy, kiedy kto przed tobą odkrywa tego świata boleści. Ja już nigdy o nich przy pani nie wspomnę....

— O! niech pan mówi — rzekła półgłosem dziewczyna—wszystko to, co pan mówi, nie robi mi żadnej przykrości....

Młodzieniec spojrzał na nią z wdzięcznością

prawie zachwyty się odbił na jego twarzy. A potem tak mówił dalej:

— O! to dziwna jest rzecz z tą naszą boleścią. Jest ona jak gdyby we krwi naszej, otacza nas ciągle jak nasze chłodne powietrze. I nie może być inaczej. Dziedziczymy ją bowiem po ojcach naszych bolesnych, wysysamy z mlekiem matek naszych bolesnych, uczymy się czytać na książkach pełnych boleści. O! te książki nasze! ile tam w nich jest bólu, ile rozpaczy! — Ale ja, kiedy patrzę na panią, to mnie jakaś dziwna chęć zbiera odjąć się tym boleściom. Na co mi cierpieć nad rzeczami, którym boleść nic nie pomoże! Tylu już cierpiało przede mną i czy się to na co przydało? Dam temu pokój, otrząsnę się z tego i będę żył tak, jak człowiek żyć powinien na ziemi. Będę używał, będę wesół i szczęśliwy, jak wielu innych. Czy to tak trudno? czy nie mam środków po temu? O! mam ich dosyć i wszystkie pod ręką. Obejmę rodzicielski majątek, urządzę go sobie wedle mojej fantazyi: będę miał piękne mieszkanie, ogrody ładne, konie wyborne, ekwipaże dogodne, sług podstatkiem — i będę sobie żył w wesołości, swobodzie, szczęściu, do śmierci.

To mówiąc, patrzył na Józję. Ona patrzyła w ziemię ze złożonymi przed sobą rękami; ale w tej chwili uśmiech zabłysnął na jej twarzy, jakby przez łzy, i rzekła cicho:

— Niech pan tak zrobi.

— Pewnie, że tak zrobię — odpowiedział młodzieniec stanowczo — byłbym też bardzo naiwnym, gdybym zrobił inaczej.

— Niech pan tak zrobi — powtórzyła dziewczyna swobodniej—to będzie bardzo rozumnie. Ja w Przewoźnikach pozostanę na zawsze, będę pana widywać codziennie i będę się cieszyć, że pan taki szczęśliwy. Potem ja pójdę zamaż, pan się ożeni i będziemy sobie żyć razem, jak najbliższe rodzeństwo....

Nie było w niej jeszcze żadnej innej myśli w tej chwili, ale przecież, gdy to mówiła, lekki rumieniec okrył jej lice.

Karolowi oddech zaparł się w piersiach, popatrzył na nią, a potem rzekł:

— Maleńkie słówko—a przecież mnie zabołało.

Na te słowa dziewczyna się lekko wzdrygnęła, krew jej uderzyła do twarzy, opuściła oczy ku ziemi i przez jedno oka mgnienie była jakby nieżywa. Ale w tej chwili łzy jej się zakreśliły w źrenicach, powstrzymywała je póki mogła, lecz gdy widziała, że ich ukryć nie zdoła, zerwała się raźnie i wyszła śpiesznym krokiem do alkierzyka.

Karol ją odprowadził wzrokiem aż do drzwi; byłby pół życia dał za to, gdyby ją mógł być powstrzymać, a przecież kiedy odeszła, odetchnął z głębi ściśnionej piersi, jak gdyby mu jakiś ogromny ciężar spadł z serca....

To oka mgnienie było kulminacyjnym punktem ich znajomości. Odtąd nie byli już sobie znajomi, ale jedni z sobą. Nacferające dotąd na siebie prądy ich serc wpadły w siebie nawzajem i popłyły jednym korytem. I popłynęły tak harmonijnie, tak spokojnie i cicho, że zaledwie można było dosłyszeć ich szmer....

Biblioteka. T. — 383

Wieczorem siedzieli oboje przy sobie i rozmawiali. Ona mówiła:

— Ach! gdybyś ty wiedział, jaka ja nieszczęśliwa! Tak mnie tam źle jest w tym naszym domu, tak nudno, tak zawsze smutno, że nie umiem ci tego powiedzieć. Ja nie mam matki— tak dawno ją już straciłam! Od tego czasu jestem wciąż na opiece kobiet obcych, a zawsze takich, które strasznie mnie nudzą, tak męczą, tak prześladują, że trzeba było mieć świętą cierpliwość, ażeby z nimi wytrzymać. Tak ciągle cierpiąc, tak się męcząc w zgryzotach, żebym choć jedno serce miała, które- by mnie kochało, żeby choć jedno ucho, któreby moich skarg wysłuchało cierpliwie! Nigdzie nikogo. — Ojciec mój taki zimny jest dla mnie. Zawsze zajęty interesami, zawsze jakąś rachubą, czasem przez kilka dni ani na mnie spojrzy. On mnie kocha, ja wiem; on mnie często do swojej piersi przycisnie, czasem nawet w rękę mnie pocałuje; ale co mnie z takiego kochania! On się mnie nigdy o nic nie spyta; on nie wie, co ja myślę lub czuję. On nawet nie chce nic wiedzieć o tem i postępuje ze mną, jak z jakim sprzętem. Mniejsza już o to, że z Fonsiem postępuje inaczej. — O! dla Fonsia wszystko tam jest; spowiadają się przed sobą z grzechów śmiertelnych, mniejsza już o to. Ja Fonsiowi nic nie zazdroszczę; i ja go kocham. Ale czy nie mogłoby także i dla mnie być troszkę takiego serca? Jabym się kontentowała tak małym, odrobineczką tylko... ale i tej dla mnie tam niema!

I płakała biedna dziewczyna. I jemu łzy w oczach stanęły, ale je wstrzymał z zapalem i rzekł:

— Nie płacz, Józiu! nie płacz dzieciątko moje! to tak nie pozostanie, to się już skończyło na zawsze. Ja ciebie kocham, żebym sobie dał wszystkie żyłki wypruć za ciebie. Ja ciebie nie pozostawię na pastwę twoim cierpieniom i nudom. Ja ciebie wydrę choćby z objęcia piekiel! Wydrę i przyniosę na własnych rękach do siebie. Tam oddam ci cały dom mój i zamek i wszystko, i będziesz nad tem jak królowa panować do śmierci. Moja matka cię przyjmie jak swoje dziecko rodzone, przyciśnie cię do swej piersi i każdą łezkę własną ręką osuszy;—ona jest taka dobra, tak mnie kocha, jest święta! Ja będę u nóg twych klęczał przez całe życie, będę cię pieścił jak najpiękniejszy kwiatek mego ogrodu, będę strzegł twego szczęścia, jak anioł-stróż strzeże snów w kolebce śpiącego dziecięcia! Nie płacz, aniołku mój; ty będziesz najszczęśliwszą ze wszystkich kobiet na ziemi.

Z lubością spoglądała dziewczyna na niego i mówiła z serca:

— O! ja wiem, jakbym ja była szczęśliwą przy tobie! Tak mi się zdaje, że ty tylko jeden jesteś »a całej ziemi, z którymby poszła w świat i zapomniała wszystkiego-, ty tylko jeden, ani chcę wiedzieć o innym! Ty masz coś w sobie takiego, jak ten obrazek Matki Najświętszej, wiszący nad mojem łóżkiem, któremu bym życie moje oddała. Ty mi się zdajesz być bliższym, niżeli brat mój i ojciec, tyś prawie mi bliższym niżeli ja sama. Ja nie wiem; co to takiego, tak cię znam od niedawna, a zdaje mi się, jak gdybym cię znała od wieków. O! jakże- byśmy byli szczęśliwi oboje!—Ale cóż! czy nam po

zwolą pójść z sobą razem gdzie nam się będzie podobać! Doprawdy, ja tego nie wiem i jakiś dreszcz mnie przejmuję, gdy o tem myślę...

— Nie pozwolą? — rzeki na to Karol ze zdziwieniem— a to dlaczego?... Któż to ja jestem? czy- lim nie taki dobry, jak każdy inny, któryby mógł się zgłosić o twoją rękę! czy nie mam wychowania od- powiednego temu towarzyskiemu kółku, w jakim się twoja rodzina obraca? Czy nie mam dostatecznego majątku, z któregobym mógł żonę utrzymać?

Pomyślała nad tem dziewczyna i rzekła:

— To prawda. Coby oni mogli mieć przeciw tobie? — Tak mnie ta myśl tylko przeleciała przez głowę... tak mi się to jakoś zdawało; sama nie wiem dlaczego. Ale to pewnie dlatego, żeś ty tak mało podobny do mego ojca i Fonsia. Jakoś mi się to w głowie pomieścić nie może, żebyście wy porozumieli się ze sobą, żebyście się kochali...

— Moje dzieciątko! — rzekł na to Karol porywczo—porozumiemy się z sobą, to dobrze; pokochamy się, to jeszcze lepiej. Ale jeżeli nie, to ja dla tego głowy sobie nie urwę. Jak ciebie kocham, na nich mnie nic nie zależy; wszystko na tobie. Jeżeli tylko ty będziesz moją, nic nie chcę więcej...

— Ach! zmiłuj się, moje życie, tak nie mów...

— Dlaczegoż to, mój aniołku? — spytał Karol łagodnie.

— Bo oni wszystko mają w swym ręku. Kie- dyby się na mnie zgniewali, oniby nic mi nie dali...

— To niech nie dadzą.

— Oniby może nie dali mi nawet i tego, co moje...

— To niech i tego nie dadzą!—zawołał ze szlachetną energią młodzieniec,—a co mi! czyja potrzebuję twojego majątku?—Owszem, niech tylko nic ci nie dadzą, to mi będzie najmilej. Owszem, niech tylko cię mogę wziąć bez niczego. Bez sukienki, bez trzewiczków, tak jak tu jesteś, tak ciebie kocham najbardziej. O! gdyby mi ciebie tylko taką oddali!

Z uwielbieniem prawie patrzała dziewczyna na niego, a radość promienna wymalowała się na jej prześlicznej twarzy.

— Ty jesteś dobry jak anioł—mówiła szeptem do niego; — ty jesteś takim, jakiegom sobie nawet w najpiękniejszych snach moich nie umiała wymarzyć.... Umrę i jeszcze cię w grobie nie zdołam zapomnieć!

Już tutaj prawie zbyt cieżko jest opisywać, jak z każdym słowem, z każdym spojrzeniem te młode serca coraz ściślej łączyły się z sobą. Było troszeczkę obawy o to, czy ich nadzieje, ich gorące pragnienia, potrafią się ziścić bez przeszkód — było w trwożliwym sercu młodej dziewczyny jakieś niedobre przeczucie — lecz wobec ich chęci gorącej, w obec ich żywego uczucia, które prawie zawsze się równa natchnieniu, wszystko to wprędce zniknęło jak mara. Już odtąd ani im na myśl nie przyszło, żeby ich miłość znalazła opór najmniejszy. Szczęśliwi byli i marzyli tylko o owych czasach, kiedy będą jeszcze szczęśliwsi!

Takie też były ich długie, niewyczerpane rozmowy. Młodzieniec opisywał dziewczynie, jak wyglądał dwór jego, jakie wokoło dworu ogrody, jaki

był sposób życia i jakie obyczaje za jego ojca. Dziewczyna go słuchała z wyteżoną uwagą, wypytywała się o najdrobniejsze szczegóły i wszystkie się jej podobały.

— Ja już wiem, jak tam jest u was, — mówiła na to z zajęciem, — tak już znam wszystko, jak gdybym na moje oczy widziała. I wszystko to mi się bardzo podoba. Tak tam ciepło być musi u was, tak jakoś dobrze, tak jakoś... że nie umiem tego powiedzieć. Te staroświeckie sprzęty, te starożytne obrazy, ta kaplica domowa, ci starzy słudzy, ta cisza taka poważna i świątobliwa, ach! jak mnie to chwyta za serce. To mi przypomina dom mojej babki w Krakowie, to moją matkę wywołuje mi z grobu — jaby tam płakać, mogła, ja będę płakać, kiedy tam wejść. Ale mi dobrze tam będzie... ja to tak czuję, jak gdybym już tam mieszkała. — O! w naszym pałacu jest nie tak, całkiem inaczej. Tam wszystko błyszczy, jak gdyby dopiero wczoraj było przywiezione ze sklepu — tam nigdzie niema ani jednego pyłeczku tatko tego przestrzega nadzwyczaj pilnie; — ale jakś tam zimno jest u nas. Ja, kiedy patrzę na te złocone tapety, na te ryciny lśniące szklanymi szybami, to mi tak jest, jakbym się gołą ręką dotknęła lodu. Tylko mój pokój — czek jest inny. U mnie niema ani tapet złoconych, ani jednej ryciny, tylko obrazek Matki Najświętszej po mojej matce i duży obraz olejny od babki i niema nic więcej — ale tak tam jest u mnie ciepłutko, tak dobrze... jak w Zawisłoczu.

To mówiąc, spojrziała z filuteryą w oczy Karola.

— Ach! chciałbym, żeby ci w Zawisłoczu było jak w niebie.

— Ja sobie wyobrażam, jak mi tam będzie. Pomędzy temi starożytnościami, przy twojej matce staruszcze, my oboje wyglądać będziemy jak dzieci, które przyjechały na święta z konwiktu. Będiesz widzieć, że ci starzy bezzębni słudzy jeszcze przez czas długi będą mnie nazywać panienką, a ciebie paniczem. A cóż dopiero, jak nas wywiozą w tej starej ogromnej karecie, po której czterech rogach u góry sieią cztery prześlicznie z drzewa rzeźbione papugi?

— Przecież ci nową sprawię karetę, najpiękniejszą, jaką dostanę w Wiedniu.

— Ja nie chcę. Ja będę jeździła w tej starej. Ludzie się może śmiać będą ze mnie, ale ja z nich jeszcze daleko więcej i powiem: Albo wy wiecie, gdzie mieszka szczęście?

Byłby się Karol mógł do nóg jej rzucić, taką śliczną była w tej chwili.

A ona szczebiotała wciąż dalej.

I szczebiotała przez dziś i przez jutro—a młodzieniec się jej nie mógł nasłuchać.

Za każdym zwrotem nowym w rozmowie, za każdym słowem odkrywał w niej coraz piękniejsze przymioty umystu, coraz żywsze uczucia młodego, niezepsutego serca. Co chwila powiadał, że jest zachwyconym do najwyższego stopnia, a przecież co chwila jeszcze się bardziej zachwycał. Zdawało mu się, że przez coraz bliższe poznawanie jej moralnej istoty może się z nią bliżej zespoli sercem, ale straci niejeden kwiatek z tego niewymownego uroku,

który nań w pierwszej chwili wywarła.—Ale gdzież tam! im bliżej ją poznawał, tem większy ją jeszcze urok w jego oczach otaczał, tem piękniejszą, tem czystsza, tem świętszą wydawała mu się jej postać. O! bo niewyczerpaną w swoich wdziękach moralnych jest każda kobieta, dopóki jest taką, jaką ją na tę ziemi postawiła natura. Sztuka, rzecz ludzka, bardzo płytkie ma dno—tylko to, co Bóg stworzył, choć takie zazwyczaj proste, jest bezdenne i niezgłębione. Gdyby o tem chciały wiedzieć kobiety, jakżeby je wiernie, jak nieskończenie kochano!

Oboje młodzi byli niewyczerpani w swoich rozmowach. Zrywali się codzień równo ze świtem, schodzili się z sobą już przy śniadaniu, nie odstępowali się przez dzień cały, szczebiotali przez cały wieczór — i jeszcze zawsze żegnali się z żalem, że noc tak prędko nadeszła. Co mówili z sobą, Bóg wiedzieć raczy. Dzieckiem trzeba być takim, jak oni, ażeby to dosłownie powtórzyć. A nie każdemu jest dano, zachować takie nieocenione dzieciństwo na zawsze.—Wiemy więc tylko tyle, że w tych nieustających rozmowach byli niewymownie szczęśliwi. Stracili świadomość siebie, sam czas przed nimi ustąpił. Prawie cała ta ziemia z pod nóg im się wysunęła, byli jak gdyby w czystym powietrzu, jak gdyby w niebie. I nie myśleli już o tem, ażeby kiedykolwiek być mogło inaczej. Zdawało im się, że na wieki tak będzie...

Ale niestety! tak nie było.

Żal chwyta za serce, przerwać te chwile takiego szczęścia, chwile tak rzadkie, tak krótkie, niejedne-

mu wcale nieznane. Lecz trzeba je przerwać, bo się istotnie przerwały.

Jakoż dnia jednego wieczorem, kiedy właśnie oboje dopiero co mieli zasiąść do długiej na cały wieczór rozmowy, jakiś turkot gwałtowny dał się słyszeć przed chatą. Dziewczyna się zerwała z krzeselka i zbladła jak ściana.

— Basiu! co to takiego?—wymówiła głosem zamarłym.

Basia, która około komina droczyła się jak zwyczajnie z zakochanym w niej Antkiem, chciała wybiec do sieni — ale wtem wszedł stary sługa szambelana, jeszcze pozostały po jego nieboszczce żonie, do chaty i ze łzami w oczach rzucił się do nóg swej ukochanej pani.

Jemu się serce rzucało z radości — a jej biedaczce serce się zakrwawiło z bólu.

Spojrzała na Karola — on był martwy jak glaz.

Tymczasem sługa zaczął się rozwodzić ze swoją radością, opowiadając przytem, że pan ich przysłał z Tarnowa, ażeby pannę zabrali i tam do niego przywieźli.

— A gdzie bym ja wam jechała! — zawołała dziewczyna z niechęcią — żeby mnie jeszcze gdzie na drodze zabili.

— Nic nam nie będzie, panienko! — powiedział sługa, — mamy ze sobą dwóch żołnierzy, jednego na koźle, drugiego z tyłu; ani nam włos z głowy nie spadnie. Siądziemy zaraz — a jeszcze pan spać nie pójdzie, kiedy będziemy w Tarnowie.

Był to wyrok ostatni i niecofniony.

Obróciła się dziewczyna do zdrętwiałego na łóżku młodzieńca i rzekła bolesnym szeptem:

— Ach! czegobym za to nie dała, gdybym mogła nie jechać!

Ale młodzieniec odpowiedział jej z rezygnacją:

— Jedź! Inaczej nie można.

— 'Jedź—dodał trochę swobodniej, zaczerpnąwszy powietrza; — przecież niebawem się obaczymy. Jak tylko troszkę się wzmogę, zaraz za tobą przylecę.

Te słowa powróciły jej życie. W pierwszym momencie, 'pod bezpośrednim wrażeniem tej wiadomości straszliwej, zdawało jej się zapewne, że jak się dzisiaj rozłączą, to się rozłączą na wieki; teraz dopiero spostrzegła, że przecież nie odjeżdża na Ukrainę, a i tam jeszcze nie trudnoby ją odszukać. Tak odetchnęła cokolwiek — ale zarazem niezmiernie się tem przeraziła, że nic nie mówiła z Karolem o tem, co poczną na ten wypadek, jeżeli im się przyjdzie rozłączyć. I jemu także przyszła ta sama myśl w tej chwili. Spojrzeli oboje na siebie i zrozumieli się samem spojrzeniem; ale niestety! tylko to sobie powiedzieli, że nic sobie powiedzieć nie mogą.

Sługa naglił. Szalona Basia już wszystkie rzeczy do karety wyniosła, już przywiezione futro jej zarzucała na plecy.

— Bądź zdrow!— szepnęła jeszcze przez łyzy, nachylając się nad łóżem młodzieńca — i już była za drzwiami.

Nim jeszcze Karol zdołał jej odpowiedzieć, łyzy rzuciły mu się do oczu i całą twarz mu zalały.

Tak nieubłagana konieczność, nielitościwa i nagła jak śmierć, rozdarła w jednym oka mgnieniu te dwa młodziutkie serca, złączone z sobą najczystsza spójnią, jaka kiedykolwiek złączyła dwoje ludzi ze sobą.

Po jej odjeździe cisza zaległa świetlicę, cisza straszna, przerażająca, jak gdyby samo życie umarło' jak gdyby je w tej chwili wyniesiono na cmentarz i tylko cztery nagie ściany po niem zostały....

W godzinę potem przystąpił Antek do łóżka Karola, siadł poufale na stołku i patrzył w twarz jego ze współczuciem.

Karol był blady jak ściana i na połowę ztrętwiały, ale bez przykrości spojrzął na tego młodego chłopaka, w którym przeczuwał współlnika swojej żałoby.

Patrzył tak miody rybak przez długą chwilę na niego, namyślał się trochę, a potem rzekł jakby z żalem:

— Czegóż to panicz się smuci?

Karol mu nic nie odpowiedział.

—" Bo co prawda, to prawda,—rzekł Antek—żebym ja był na paóskiem miejscu nawet by mi łza jedna nie poszła. Pokochaliście się państwo, to się i pobierzecie. Wielki to pan ten ojciec naszej panienki, ale i paniczowi nie chybi. Już wam ta nikt nie przeszkodzi. Ale to mnie ciężki smutek, nie tak, jak panu!

— Cóż tobie? — odezwał się Karol nareszcie — wszakże i wyście sobie tak samo równi.

— Licha tam równi! Strasznie to sztuczna jest dziewczka ta Basia.

— Co to jest sztuczna?

— O! albo to pan nie wiedzą? Sztuczna jak wszystkie dworki. To takie kute a zmyślne jak lis. I tak i inaczej, już i trudno powiedzieć...

— Cóż? więc nie chce, ażebyś się z nią ożenił.

— I chce i nie chce, ot! jak to u nich zwyczajnie. Ale ja wiem, co się tam święci. Stangret jej się podoba od grafa, co to chodzi w tym kusym kaftanie, właśnie jak dyable niemieckie. On tam z końmi zajeżdża przed bramę, a jużem i sam widział z daleka, jak rozmawiali ze sobą. Chociaż i niewiem, jak się ta rozumieją ze sobą, bo to istne Niemczysko. Sprowadzili go gdzieś z za morza, żeby konie ujeżdżał. Zabij go, a nie przemówi ani słowa po ludzku. No! ale jak ja go kiedyś w garść wezmę, to on przecie przemówi! I ona wtedy przemówi; żeby ją jeno kto potem uciszył, bo to dużo będzie gadania.

— Mój kochany — rzeki na to Karol, orzeźwiwszy się trochę — ja się domyślam, i akie ty masz zamysły. Ale to bardzo nie dobrze. Bo proszę cię, cóż ty masz za prawo mścić się na Basi za to, że cię nie kocha? Przecież każdej dziewczynie wolno jest kochać lub nie, jak jej się samej podoba.

— A kto tam pyta w takich nieszczęściach na prawo! Ja kiedy chwycę tego Niemca za kark, to jeno mi kwiknie w rękę jak zając. Niechże mnie potem powieszą! Jeszcze im podziękuję — a co mi wtedy po życiu!

— Bardzoś się widzę, mój Antku, rozdaś. Musiała ci Basia dokuczyc. Ale nie mniej jej tego za złe. To jest kobieta, to dziecko; kobietom nic

nie można brać za zię. Jakie to słabe, jak nieszczęśliwe, jak umęczone przez wszystkich! Przyjdzie maleńka chwila swobody, to sobie igra natenczas jak dziecko, jak maleńkie kociątko. Zabijesz kocię, jeżeli w takiej igraszce drapnie cię kędy po ręce? Możesz mieć serce, choćby je tylko uderzyć? — A wszakżeś sam sobie winien, mój Antku; nie było igrać z kociątkiem! — Rozmyśl to sobie z uwagą, a jak rozmyślisz, pewnie przyznasz mi rację. Niemca bij, jeżeli cię to pocieszy — ale dziewczynie daj pokój...

Słuchał go chłopak z zajęciem i widocznie był rozbrojony.

— Jużci to prawda — rzekł po chwili z namysłem;—niema się ta mścić na kim, choć może i byłoby za co. Bo trza panu wiedzieć, że mnie okrutnie unieszczęśliwita. Kiedy nie miała chęci isć za mnie, czemuż mi nie powiedziała odrazu? A ona mnie bałamucila coraz to lepiej i jeszcze wciąż bałamuci. Tędy i tędy, i pójdę za ciebie i nie pójdę, dzisiaj zaczekaj; a jutro zasie daj pokój — a ja jej widzę po twarzy, że wciąż do stangreta się wraca. A to tak się nie godzi, bo to, panie, grzech wielki; trzeba się z niego spowiadać, a nie wiedzieć, czy go ksiądz odpuści...

— Nie dziwże się temu, mój Antolku, bo to tak zawsze jest z dziewczętami. Tobie się zdaje, że ona ciebie bałamuci, a ona sama jest jeszcze więcej zbałamucona od ciebie. Ty chcesz, ażeby ci powiedziała tak albo owak, a ona sama może nie wie, co się z nią dzieje. Tu ją serce pociąga do ciebie, a tam może co innego, bo to rozmaite bywają

u dziewcząt powody. Ale miejno cierpliwość, daj jej się dobrze namyśleć, a ja jestem pewny, że dobrze będzie na końcu. Bardzobym źle rozumiał

0 Basi, gdyby ciebie, gospodarza osiadłego na roli, mającego jeszcze prócz tego rzemiosło, nie przeniosła nad jakiegoś niemczyne, który w cudzej chodzi liberyi i cudze konie ujeżdża...

Dosyć te słowa przemówiły stroskanemu chłopakowi do serca, uspokoił się trochę i rzekł:

— Bardzo pan pięknie mi mówią. Pewnie

1 panby tak zrobił, gdyby panienka tak z panem bałamuciła. Niema co mówić, trza mieć jeszcze cierpliwość...

Tak biedny Karol, choć sam był rozdarty na sercu i prawie zdrętwiały od bólu, jeszcze musiał drugiego pocieszać. Jednakże ta pociecha, udzielona młodemu przewoźnikowi, przyniosła i jemu samemu ulgi cokolwiek. Uczuł się swobodniejszym, weselszym na umyśle i sercu. Byłby był teraz mógł całą noc myśleć pogodnie o Józi i marzyć o tej szczęśliwej chwili, kiedy ją znowu obaczy.

Ale niestety! nad jego stroskaną głową wisiała już w tym momencie druga ciężarna gromami chmura, może jeszcze daleko groźniejsza od pierwszej.

W tej chwili bowiem wszedł stary Bernat do chaty. Wszedł cały drżący i roztargniony, twarz jego była zmieszana do najwyższego stopnia, oczy jego błyszczały gniewem i zgrozą. Przystąpił raźnie do łóżka swojego gościa i rzekł głosem zachrypłym:

— Paniczku! źle pono z nami.

— Cóż tam takiego?—zawołał Karol, zrywając się nagle i siadając na łóżku.

— Złe, panie! żołnierze są we wsi, byli u księdza i strzęśli całą plebanię do nitki, poszli teraz do dworu i tam znów trzęsą. Jeżeli pójdą do Zawisłocza, to ani chybi, że zajdą także i tutaj. A może nawet przyjdą umyślnie! Zbieraj się panicz, siadajcie z Antkiem na szkapy i uciekajcie póki czas...

Jakimi uczuciami ta niespodziana wiadomość przejęła serce Karola, nie potrzeba powiadać. Oparł głowę na dłoni, pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Uciekać mówisz? I gdzie uciekniemy? Pój* dziemy w lasy, to zginiemy z głodu i zimna. Uciekniemy w pole, to nas zbójcy uchwycą i zamordują, Pójdziemy do miasta, a czyż nas tara Niemcy nie znajdą?

Bernat spojrział na niego i prawie skostniał na miejscu. Prawdę mówił młodzieniec— nie było dokąd uciekać. Upadł też zaraz napowrót w poduszki i czekał z rozpaczliwą determinacją tej chwili, w którą los jego przyszłość rozstrzygnie.

Na szczęście ,swoje nie potrzebował przynajmniej czekać zbyt długo. %

Za krótką chwilę zrobił się brzęk i hałas pod chatą. Obsadzono żołnierzem okna i drzwi, a do świetlicy wszedł oficer z osławionego podówczas pułku szwoleżerów z kilku pomocnikami swej służby.

Znaleziono Karola w łóżku, a przy nim płaszcz pistolety i strzelbę. Były więc zaraz i dowody, że winny, wtedy aż nadto wystarczające.

Rozpoczęto z nim małe pobieżne śledztwo, ale się nic nie dowiedziano od niego.

— Macie mnie—rzeki im krótko i węzłowato— to mnie weźcie i nie pytajcie o resztę. Powiedział te słowa z taką godnością i rezy- gnacją, że nawet najzawziętsza nienawiść umilkła.

Wzięto go tedy, okuto w ciężkie kajdany i wyprowadzono ze świetlicy.

Na progu jeszcze się raz zatrzymał i jeszcze raz spojrzął do wnętrza chaty. Chatka to była tak nędzna, tak mała, a on w niej przecież cały świat szczęścia zostawił! Na to wspomnienie łąy mu się rzuciły do oczu, ale je zgryzł w sobie i stłumił, aby się nie stał uragowiskiem dla nienawistnych siepaczy. Raźnie wskoczył na wóz, [zawołał: Bywajcie zdrowi! i w oka mgnieniu zniknął gdzieś razem ze strażą wśród ciemnej nocy.

Ojciec z synem powrócili do chaty, posiadali w odległych kątach i nie umieli słowa przemówić do siebie. Tego dnia już wieczery nie jedli, zapomnieli nawet pacierza. Pokładli się potem każdy na swoim łożu i posnęli w tej osieroconej izdebce snem takim bolesnym, jak gdyby ich żywcem pokładzono do trumny.

V.

Narożna baszta Zawisłockiego zamku mieściła w sobie jedno z tych mieszkań, jakie się dzisiaj już bardzo rzadko spotyka. Gdzieś w jakimś niespalonym klasztorze, w jakimś zamczysku ze średnich wieków, nareszcie w którejś z starożytnych kamienic jakiegoś starożytnego rynku, zdarza się jeszcze znaleźć takie połamane, powykęcane komnaty, pełne przymurków i framug, rozmaitych krużganków i schodków; ale pewnie tam nowożytnie poprawki zmieniły wiele, a niezawodnie zatarły tę pleśń starożytną, tego ducha zagasłych wieków, który nieraz z jakiegoś niezgrabnego floresu, z jakiejś rzezbami ozdobionej framugi, z jakichś ukrytych drzwiczek albo schodków kręconych, daleko żywiej do nas przemówi od najmoźniej spisanej księgi. Nie zrozumielibyśmy z całych bibliotek życia dawno umarłych ludzi, gdybyśmy byli nie obaczyli naocznie ich komnat i sprzętów, ich starych zbroi i mieczów. Czasem po dziesięć razy przewertowana księga nie po-

Bibliotek» -T. 383.

9

lii v lit

trafiła powiedzieć tyle, ile powiedział jeden zardzewiały pancerz; czasem całe domowe archiwum dało tylko rejestr dat suchych, a dopiero komnata starego dworu natchnęła je ruchem i życiem...

Tu jeszcze stare basztowe mieszkanie zachowywało się w dawnej swojej postaci. Była tu wtedy najpierw wązka długa komnata, która się półokrągło kończyła od frontu zamku. W tej półokrągłej ścianie znajdowało się wielkie gotyckie okno, które dawało widok na obadwa brzegi Wisłoki, przenosiło pomniejsze wzgórza i zaglądało w dalekie krainy aż ku brzegom Dunajca. Przy prawej ścianie okna stał stół ogromny dębowy, niegdyś zielonem, dziś już bezbarwnem nakryty suknem, nad tym stołem podnosiły się półki coraz wyższe i wyższe, zarzucone mnóstwem ksiąg i papierów, na najwyższe z nich dwa globusy, jeden ziemski, drugi niebieski, a między nimi we środku Chrystus na krzyżu. Wokoło dalszych ścian, to w głąb framug wsunięte, to do przymurków przyparte rozciągały się szafy, bardzo misternie z dębowego rzeźbione drzewa, a ozdobione to symbolami mitologii pogańskich, to wspomnieniami hieroglifów egipskich; w tych szafach pełno ksiąg rozmaitej wielkości i w rozmaite skóry oprawnych. Na wierzchach szaf pełno najrozmaitszych rupieci: zwierzęta powypychane i ptaki, skóry wężowe, czaszki ludzkie, misiurki zardzewiałe, surmy strzaskane i tygle podziurawione, tu pozytywka oniemiała od wieków, gdzieindziej jakieś narzędzie nieznajome już dzisiaj ani z nazwiska, ani też z przeznaczenia. Na bocznych ścianach głębokich framug porozpinane mapy, przedstawiające świat cały, od brzegów sta

rożytnej Hellady aż po ultima Thule, od Chersonesu Cymbrów aż po biota meockie, a dalej morze zakryte ręką olbrzyma. W głębi komnaty komin ogromny, umieszczony w ścianie przecinającej kąć cały; w tym kominie jakieś osobliwsze czeluście i lufty, stare kociołki i tygle, nad nim sowa wypchana zagładająca swemi okrągłemi oczyma w ognisko, a jeszcze wyżej jakieś ogromne zamalowane płótno, na którym już tylko znać było litery, wychodzące z ust osób dawno zatartych. W sąsiednim kącie, który się znowu wrył w głąb kamiennej ściany, widać było schodki kręcone, prowadzące na małą galeryę, a z niej na zębaty wierzch baszty, między kominem a temi schodkami, drzwi wielkie, a w nich schodki podwójne, wiodące na dół niżej o jeden sążęń do obszernej sypialni, drugie o sążęń w górę, do znajdującego się nad tąż sypialnią archiwum. W całej zresztą komnacie pierwszej było pełno pyłu i kurzu, gdzieniegdzie nawet tak grubo, że przedmiot nim obsypany stracił swą formę, a nigdzie nie było widać żadnego nowego sprzętu: krzesła te same złoconą obite skórą, na których siadywano od wieków, te same ciężkie żelazne lichtarze, którymi się ongi posługiwano, stały na stole, nocny kaganiec nawet, w kształcie głowy Meduzy, zawieszony u stropu, wisiał na swoim miejscu i może dziś jeszcze można było w nim znaleźć olej, za którego z Augustów nalany i niewypalony do dziś dnia...

Tak wyglądało to starożytne mieszkanie w narożnej baszcie Zawisłockiego zamku.

Owo więc w tej komnacie, którą oświetlało jedno gotyckie okno, za owym ogromnym stołem, nad

którym zwieszały się dwa globusy i Zbawiciel na krzyżu, siedzi dzisiaj mąż jakiś przygarbiony nad księgą.

Kto jest ten mąż, obwinięty w te płyty i prochy dziejowe, jak gąsienica w pajęczyn zwoje, zawieszony na szczycie wieży, jak gniazdo orle w koronie dębu, siedzący ze spokojnymi myślami nad księgą, kiedy cały świat koło niego w płomieniach?— Kto jest ten mąż, martwy już, albo jeszcze nie żywy?—ja nie wiem.

Chmurno jest w tej komnacie, dymno i czarno na niebie, przypatrujemy mu się i nie możemy rozeznąć. Zaciemnionemu oku wyobraźnia przychodzi fa pomoc i dziwne stroi domysły...

Wyobraźnia wierzy w duchy i zagrobowe zjawiska i każe przed sobą stawać tym wszystkim dawno umarłym, którzy w tej samej komnacie, za tym samym stołem siadywali przed laty.

I staje przed nią najpierwej mąż kościsty i chudy, z wąsem zuchwale zakręconym do góry, z brodą szpiczastą, strzyżoną ze szwedzka, z kryzą do kola szyi, w kaftanie ze złotej lamy, w butach z szarej skóry, z szerokimi jak konwie cholewy, opuszczonymi na dół i z ogromnymi ostrogami. Jakiś to dziad z czasów ostatniego Zygmunta. Ten tutaj niegdyś tak samo siadywał nad wielką łacińską księgą i topił swój rozum misterny w jej kartach. Wstawał potem z poręczowego krzesła i szedł do komina na którym pomiędzy sztucznymi czeluściami płonęły ognie nieustające. Tam do tych ogniów kociołki przystawiał. zawieszał tygle na drutach i smażył w nich jakieś tajemnicze dryakwie. Był-li lekarzem? Ucho

waj Boże. Panem był, a z fantazyi alchemią się bawił, sztuczne złoto wymyślał, preparował kamień filozoficzny. „Król się bawił alchemią, dlaczegóż on miał -być gorszym od króla?” I to broń Boże! Właśnie dlatego, że król to sztuczne złoto wymyślał i nie wymyślił, on się zabrał do tego i był pewnym, że je wymyśli. Dla siebie? Jeszcze raz: chowaj Boże! Dla całej Polski. On czuł, że Polska choruje, że potrzebuje lekarstwa, on ją chciał zabawić i szukał lekarstwa w alchemicznych dryakwiach. Taka była mądrość, taki duch czasu natenczas...

Po nim zjawiał się inny za owym stołem. Ten był siwowłósy staruszek, miał lat dziewięćdziesiąt, albo i więcej, zgarbiony był ciałem i pomarszczony na twarzy, ale zdrow i czerstwy. Był to syn tego alchemisty, całkiem niepodobny do niego, inaczej nawet zewnętrznie wyglądał. Czuprynę miał króciutko strzyżoną i wąs przystrzyżony, żupan błękitny długi z twardego sukna i kord [^]bojowy u boku. Siedział za stołem, lecz ksiąg nie czytał, tylko miał plik papierów przed sobą, a pióro w ręku i pisał. On nawet nigdy w swem życiu żadnej księgi nie czytał, nie miał czasu po temu, bił się przez całe życie. Kilkunastoletniem pacholęciem pobiegł pod Wiazmę, Kaługę, Możajsk, aby odebrać Smoleńskie i Czernihowskie, ubezpieczyć Kurlandę i Estonię dla Polski. Bije się potem z Kozactwem i Tatarzy na przemian, a tak Sine, jak Żółte krwią się jego farbują. Ledwie trochę odpoczął, biegnie pod Bere- steczko i odtąd już wcale nie zna pokoju. Od Ku- daku po brzegi Danii, od mórz bursztynowych po Siedmiogrodzkie fortece, przebiega ziemię z kordem

w prawicy i jeśli znajdzie chwilę spokojną, to ledwie na to, ażeby kord swój wyostrzyć i przesiąść się na innego bachmata. Ukończył wreszcie tę straszną wojnę, wyswobodził ojczyznę, obrał nowego króla, osadził go spokojnie na tronie, chciałby i sam już odetchnąć, aliści nowe wołają go obowiązki. Biegnie więc przeciw Turkom pod Lwów i Kamieniec, broni powagi królewskiej w konfederacyi Go-łąbskiej. Nie koniec jeszcze z Turkami, a więc i jego pracy nie koniec; ma jeszcze siły, nie umie ich pożałować; trwa w swojej wyprawie aż do wyprawy Wiedeńskiej. Starcem już prawie, całkiem zgrzybiałym, wraca do domu. Wspaniałe przeżył życie, wspaniałą powinien zastać nagrodę. Lecz jej nie zastał. Uspokoilo się jego[^] serce o terażniejszość, ojczyzna jego uratowana; ale go trwoga przejmuje o przyszłość. Patrzy w tę Polskę i widzi, że ona zawsze jeszcze choruje. Obroniła się teraz, lecz gdy powtórnie przyjdą tak niebezpieczne terminy, obro- niż się im powtórnie? On myśli o tem, przelicza siły, przeważa ducha i wątpi. Dlaczego wątpi, sam nie Wie, tak mu powiada tylko jego przeczucie. Ale on wierzy więcej temu przeczuciu, niż rozumowi. Ożywia się w nim pragnienie, aże,by temu złemu zaradzić. I tutaj nie wie, jak sobie ma począć; gdyby miał takie siły, jak chęci! ale ich niema. Zdaje mu się wszakże, iż aby tej Polsce przyjść z jakimś ratunkiem, trzebaby coś zbudować. Nie stać go było na więcej, ale na co go stało, to zrobił. Umyślił pozostawić potomności wielką* przestrogę, umyślił spisać te wszystkie środki, z pomocą których się z tych niebezpieczeństw wyratowała. Tak się

dział on tutaj w tej basztowej komnacie przez wszystkie ostatnie lata swojego życia i pisał. Staremu żołnierzowi spracowana nie statkowała ręka, zbujały na polu umysł nie umiał się wciskać w wąziutkie pióro; ale jego przemożna wola, jego energia w tem, ażeby sobie nie dać odebrać pierwszeństwa w każdej służbie okolo pospolitego dobra, przemogła niewprawność ręki i niesforność umysłu, i spisał swoje czyny od początku do końca. I zaprawdę, dokazał daleko więcej niż jego ojciec: tamten tylko butną wiedziony fantazją, nie chciał się w zbawieniu świata przez alchemiczne dryakwie dać uprzedzić nawet samemu królowi, ten tak w czynach zbawczych, jak i w pozostawieniu zbawczej spuścizny, nie dał się rzeczywiście uprzedzić nikomu...

Po jego zniknięciu zasiadł w tem krześle mąż trzeci. Ten był znowu odmienny od tamtych. Wysoki wzrostem jak olbrzym, czoło miał wzniosłe, jak małych niebios sklepienie. Jego duże oko błękitne było pełne świetnego blasku, a zarazem i pełne te- gp wrzącego ognia, który jest świadkiem głębszego umysłu, łaknącego rzeczywistości i czynów. W jego zewnętrznej postaci było widać znamienitą ogładę, była też w nim rzeczywista oświata. Starał się o nią pilnie i nabył. Wiotkim młodzieńcem jeszcze wyprawiał się za granicę, zwiedził miast wiele i krajów, służył przez rok w wojsku cesarskim, potem lat kilka w armii francuskiej. Nabył tam wprawy w sztuce wojennej, a co ważniejsza, rozpatrzył się w życiu wewnętrznym narodów. Powrócił do kraju pełen nowych idei, pełen gorących chęci zamienienia ich w rzeczywistość w ojczyźnie. Nie on sam był tak

usposobiony natenczas, było ich wielu, a ich głów- nem oparciem był przyszły nieszczęśliwy król polski, Leszczyński. I on się do niego przyłączył — i wyruszył na pole'czynów. Jako jeden znajwalecz- niejszych żołnierzy, walczył przeciwko Sasom, jako zręczny pośrednik liczne odbywał poselstwa. Po upadku Leszczyńskiego, tu, w tej komnacie trawił długie mozolne noce nad historią i prawem, nad rozmyślaniami o stanie zgnuśnialego narodu, nad sposobem wrzucenia w ciemnię jego rozkisającej duszy iskier nowego światła i ^ycia. Niebawem znów się zerwał do czynów, poleciał do blizkiego Dzikowa, do domu wrócił, tu w temże samem zamczysku małą konfederację zawiązał i wyszedł w pole. Nie- szczęsne losy chciały, ażeby żadna z jego ożywczych myśli nie weszła w życie, to też mu śmierć przyśpieszyło. Umarł w tem samem krześle złoconą obitem skórą, wobec tych globów i Zbawiciela na krzyżu, z „Głosem wolnym" swojego króla w skostniałem ręku. Zasnął cichutko po długich latach beczynnych, ale przecież zrobił, co mógł, pierwszy szedł naprzód ku podniesieniu ducha swego narodu, a jego ślady pozostały w historii...

Po jego zejściu syn jego w tej komnacie siadywał. Była to znowu postać odmienna. Barczysty, krępy, nabity, już swoją powierzchownością zdradzał, w jakich wychował się czasach. Umysł jego nie wystrzelił zbyt jasnym płomieniem w otaczającej go ze stron wszystkich ciemnicy, ale pozostało mu zato serce wrzące jak ukrop, a czyste jak łza. Jadł wprawdzie za czterech a pił za dziesięciu; ale gdy dosiadł konia, mógł zastąpić dwudziestu. Suro

wym panem był dla swych poddanych, ale gdy trzeba było ofiary dla dobra kraju, wszystkie swoje gromady zastąpił. Pobożnym był przy tem jak święty, miłość- ojczyzny a wiara było u niego jedno; ztąd nieprzyjacieli wiary był wrogiem ojczyzny i odwrotnie. Taki był duch popolity owego wieku, którego on nieodrodnym był synem. Jakoż na gorących modlitwach i hucznych biesiadach z dodatkiem tro- chy pieniactwa, małych kłótni sąsiedzkich i niewielkich zajazdów, minęła mu prawie połowa życia. Ale odtąd los go powołał na inną drogę. Przygotowywała się konfederacya Barska, a on był pierwszym, który do niej przystąpił i przystąpił z całym pułkiem, wysztyftowanym z własnej szkatuły. Trzy wioski sprzedał, ale ani mu w myśli nie było, kiedykolwiek za nimi żałować. Onby i Zawisłocze był sprzedał i pas ostatni i czapkę dla takich celów, a co ważniejsza, zostawszy się nagim po wojnie, byłby się jeszcze potrafił uczuć daleko bogatszym od innych. Czy go do tego czynu powodowała ambicya, czy miłość, a co nam do tego? Bóg będzie sądził pobudki, my widzimy czyny. On tak uczynił i ze swoim pułkiem bił się przez pięć lat całkowi- t ch z taką samą fantazyą, z jaką czasu spokoju hulał, pieniał się w sądach albo sam egzekwował wyroki. Konfederacya upadła — czy i on upadł także? Bynajmniej. Zesmutniał bardzo, sfrasował się niesłychanie, ale nie upadł. Było zresztą na- ówczas dość rozszerzone przekonanie w Galicyi, że jej zajęcie przez Austryę jest tylko chwilowem, że się z nią stało to, co się w ubiegłych wiekach stawało z temi albo owemi województwami, graniczą-

cemi z Turcyą i Rosyą. Pełen siły żywotnej w sobie, i on dzielił to przekonanie, a jakkolwiek od Polski władzej odcięty, przecież tam tylko żył sercem i duchem. Wtedy też najczęściej przesiadywał w narożnej kamienicy i czytał pilnie gazety przychodzące z królestwa, czytał wszystko, co tam wychodziło. Mimo ciemności wieku, w którym się urodził i wychował, już jako potomek tak znamienitej rodziny, wreszcie jako syn tak światłego ojca, nie był on nieczytelnym i niepiśmiennym, jak bardzo wielu szlachty podówczas. Brano się wówczas powszechnie do czytania, naonczas rozchwytywano łakomie wszystko, co druk ogłaszał, był instynkt jakiś rozpowszechniony, że czego nie dokazała szabla, tego dokáže nauka, toż i on poszedł za tym instynktem. Biedny starzec oczy sobie wypatrzył na książkach. Szukał on w nich może tego, czego nigdy nie znalazł; lecz za to znalazł to, czego nie szukał. Znalazł kierunek dla swego syna. Jakoż wychował go bardzo starannie, utrzymywał w Warszawie pod okiem najznamienitszych ludzi, a potem wprowadził na najwłaściwszą drogę, jaka się młodzieńcowi polskiemu otwierała natenczas. I ten tedy dopełniał wiernie swych obowiązków: w czasach działania nie dał się nikomu uprzedzić ani w pracy, ani też poświęceniu, na bezczynność skazany, przekazał dalsze przodowanie w sprawach narodu swemu synowi i dał mu środki po temu...

- Szczęśliwą była ta staroświecka komnata w baszcie narożnej; nie darmo w niej siadywali praojcowie tej szlacheckiej rodziny; wszyscy się wywiązali ze swych obowiązków i wszyscy się utrzymali do

końca życia przy pierwszeństwie w narodzie, bo swoje dziedziczne pierwszeństwo umieli zawsze podeprzeć i zawsze nanowo ożywić pierwszeństwem w pracy, w zasługach i poświęceniu.

Ale ten konfederat był już ostatnim, który w tej komnacie siedział. Jego syn, pułkownik, a ojciec Karolą, prawie nigdy tu nie zaglądał. Tego znakomitego z wielu miar męża już znamy, nie potrzebujemy go opisywać. Wyborny żołnierz, czysty, szlachetny człowiek, przeżył życie najpiękniej, można nawet powiedzieć: wspaniale — ale... w swych obowiązkach nie wytrzymał do końca. Wytrzymał pięknie czynami, lecz nie wytrzymał swym duchem— skostniał w pojęciach i nie poszedł naprzód z szybko ubiegającym czasem— stracił nadzieję i zakończył rozpaczą. W tem rozpaczliwym usposobieniu zrzekł się dobrowolnie swojego tak mozolnie przez swoich przodków utrzymywanego pierwszeństwa—a co ważniejsza, nie umiał tego pierwszeństwa ubezpieczyć dla syna. Dał mu wychowanie staranne, ale nie umiał go natchnąć duchem, nie powiadam duchem tej albo owej zasady, lecz duchem tym dzielnym, pracowitym, wyniosłym, który jego ojców i dziadów niepowstrzymanie parł do pierwszeństwa, nie na tej lub owej wyłącznej drodze, lecz na tej, po której duch społeczeństwa postępował do świetności, do sławy i dalszego rozwoju. Zamiast właśnie o to jak najusilniej się starać, zamiast swemu synowi tę iskrę życia, ten główny warunek dalszego bytu, tę najwspanialszą i najcenniejszą puściznę przekazać—on go napoił rozpaczą, on wetchnął w niego zabijające' nasienie śmierci,

które pomimo wszelkich wpływów postronnych, musiało się w nim z czasem rozwinąć. Umarł zatem, nie powiemy bezdziejny, lecz pozostawił swoje dziecko wydziedziczone z najpiękniejszej puścizny, którą sam odebrał po ojcach. Za jego też życia zamieszkał inny człowiek w tej narożnej komnacie, która dotychczas była jakby kolebką ducha tej starożytnej rodziny...

Któż jest ten człowiek, który zajął to znamienite miejsce w zamczysku?

Jaśniej jest teraz w komnacie, możemy mu się lepiej przypatrzeć...

Małeńki, chudy i tak wy wędły, jak zaszuszone roślina w zielniku, gubi on się w tem krześle ol- brzymiem, że za ledwie go widać. Jego kadłub skurczony, wyschnięty, jest jak cień tylko; jego życie fizyczne tli w nim tak słabo, jak płomyk lampy nocnej nad ranem. Całe też ciało jego za ledwie warte spojrzenia. Lecz zato głowa jego zwraca tem większą uwagę, głowa stosunkowo ogromna i, że tak powiem, wybujała nad wszystko. Twarz jego, wyzółkła, wychudła, zwiędła, jeszcze na pozór dość strojnie licuje z jego całą postacią, lecz na tej twarzy jest tak widomie wybite piętno czynnego, pracowitego ducha, że go niepodobna nie dojrzyć. Cały jej wyraz zresztą jest tak pełen życia, świeżości, energii, siły, że nie tylko zdumiewa, ale nawet i ciągnie ku sobie. Może nie tyle ciągnie sym- patyą, ile jakąś dziwną tajemniczością; patrząc na nią, mówimy sobie: tam w głębi jest jeszcze coś więcej, aniżeli widzimy — i chcielibyśmy wiedzieć, co to takiego? Dzieje się nam tak, jak gdy znajdziemy

strumyk wpadający pod ziemię; stajemy wtedy przy tym otworze, słuchamy ciekawie i słyszymy tarcie w głębi pod ziemią jakiegoś szumu straszliwego, jakiegoś jakoby wichry, ścierającego się z sobą, bałwany wody pluskające o skały. Zdaje nam się, jak gdyby tam całe morze gdzieś było, wzburzone do dna i szumiące z wichrami. Takie wrażenie sprawiała i twarz tego człowieka. Tak przynajmniej świadczyły jego usta, niby na pozór spokojnie, a nawet czasem okrążone uśmiechem, ale drgające co chwila nerwowo* tak świadczyły jego blado-siwawe, głęboko osadzone oczy a przykryte gęstymi siwymi brwiami, tak wreszcie świadczyło jego ogromne czoło, wysklepione wysoko i zdające się mieścić w sobie cały świat, tak szumiący wichrami ducha, jak owo morze podziemne.

Tak siedział on w owym krześle głębokim, przygarbiony nad wielką księgą, w której całą swą duszę utopił. Po poważnej wielkości tej księgi, po tekście jej drukowanym w dwie kolumny, po klamrach wreszcie, przedstawiających symbole męki Boga- Człowieka, nie trudno ją było poznać już na pierwszy rzut oka—była otwartą na jednym ze środkowych rozdziałów Apokaplisy. Te tajemnicze proroctwa burz wielkich, z których ma się wyłonić era nowego świata, odpowiadały dzisiaj czytelnikowi najwięcej. Czy chciał odgadnąć mistyczne ich przepowiednie, czy szukał w nich znaków tych samych, jakie się objawiały na ziemi—nie wiemy. Siedział zatopiony w tę księgę i milczał...

Wstał potem, duszno mu się zrobiło w tym nieruchomym zgarbieniu i przystąpił do okna.

I jeszcze duszno mu było. Otworzył więc wazkie to okno na ścieżaj i wyjrzał w ten świat szeroki, który sięgał w dal nieskończoną i niknął tak gdzieś w tej dali. Jaki widok mu się przedstawił, już wiemy. Cała ziemia była okryta rojowiskiem pożarów, z których jedne gasły powoli, a drugie z nową wybuchają wściekłością — całe niebo było obleczone czarnymi jak piekło chmurami, z których co niższe czerwonym odbłyśkiwały płomieniem. Zdała dochodził jakiś głuchy szum, jakby dzikiego żywiołu, jak gdyby gdzieś w oddaleniu fale morskie uderzały o skały—w ustępach chwilowej ciszy zdawało się słyszeć jakby łoskot walących się murów.

On patrzył z wytężeniem w straszliwy ten obraz zniszczenia i zdawał się go całą swą duszą pożerać. Jego oko się roziskrzyło, jego twarz blada obciągnęła się żółto - czerwoną barwą płomienia, około ust jego zaczęły drgać jakieś nerwy, jakby w konwulsyi. Wtedy z tych ust zaczęły mu się wyrywać pojedyncze słowa bez związku: zdawało się, jak gdyby pędząc swym duchem koleją myśli, gubił je tylko po drodze...

— Roma!—zawołał — Roma! wszechładna pani całego świata! Roma, sypiąca się w gruz i ruinę... Ostatnie dni jej wielkości i sławy! — Skończona uczta Heliogabala! Biesiadnicy jeszcze siedzą za stołem, ale już ostatni kielich spełniają, ostatni... własną krwią swoją. Gmach już cały w płomieniach, pretoryanie na schodach, wpadają wewnątrz, jak wichur wszystko niszczący: i oto wieńce laurowe tych biesiadników wspaniałych umoczyły się we krwi, a ich togi z tyryjskiej purpury i tuniki z weł

ny medyjskiej podścieliły się krwawym mścicielom pod nogi!—Za małą chwilę — cisza będzie na Kapi- tolium—i Kapitolium nie będzie!

Poczem ucichł, oparł się obiema rękami na oknie, głowę oparł na rękach i patrzył. I patrzył przez to wąskie okno na upadek nowego Rzymu, jak który więzień gocki przez szczelinę swej kaźni na pałającą pożarem Romę. Jemu się zdało, że patrzył jak chrześcjanin ze swej katakumby...

I nie było to niepodobnem. Nie był on bowiem krwi chciwym, zemsty nie łaknął. Owe powyższe słowa były tylko błyskawicą chwilową. Mignęła w chmurze' i natychmiast zagasła. Jakoż w ten moment twarz jego nanowo zbladła i tylko w oczach grały jeszcze płomienie, ale już inne. I rzekł łagodniej:

— Żal mi was przecie... ale samiście sobie winni. Nie było Graccha pomiędzy wami, nie stać was było na niego! Dziś już zapóźno, już go nie trzeba. Możecie nawet i opór stawić, tylko wam on zaszkodzi. Myśl, wypuszczona z zamknięcia, szumi już siłą wszechmocną: nie powstrzymacie jej pędów, nie obezwładnicie jej mocy! Dziś albo jutro lud ten musi być wolnym, musi odzyskać prawa które mu się należą. Azaliż nie jest człowiekiem?..

I znowu umilkł — a natenczas myśl jego pobiegła w przyszłość...

Pod ową porę, kiedy on tu stał przy tem oknie, tam na galeryi, o kilka kroków od niego, stał pułkownik ze swoim synem i obadwa także patrzyli na to straszliwe widowisko zniszczenia. Napatrzywszy się dosyć, także obadwa nie znaleźli drogi

przed sobą. Ciemno im się zrobiło w oczach i zesli na dół...

Ale jemu jasna była ta przyszłość, jak dzień. Przez całe życie dla niej pracował, stokroć ją w swoich myślach przemarzył i znał ją może daleko lepiej, niż terażniejszość i przeszłość. Dlatego myśli jego poleciały w jej nieskończoną krainę, jakby po bitym gościńcu...

I mybyśmy chcieli polecieć tam za nim: kraina ta jest dla nas niezmiernie ciekawą. Któżby z nas nie chciał się zaznajomić z temi drogami, na których duch nowy, wytryskający ze swych źródlisk tajemnych, oznacza swe koła i kręgi na przyszłość? — Ale ta droga za daleką jest dla nas: przepadlibyśmy może w labiryntach marzenia i nie trafili co celu. My znamy drogę krótszą, pewniejszą i realniejszą. Poznajmy przeszłość tego człowieka, a tym sposobem przyszłość, przez niego marzona, sama nam się wyświeci...

Skiba był synem chłpca z Mazowsza. Dzieckiem już zdradzał on wielką ciekawość do nauk, a ucząc się w szkółce swojej rodzinnej wioski, złożył aż nadto dostateczne dowody wytrwałości i pracy. Tym tylko środkiem mógł on doprowadzić do tego, iż uzyskał od swego ojca pozwolenie udania się do Warszawy dla uczęszczania do szkoły miejskiej. Środki, jakimi go zaopatrzone do tego zawodu, były prawie żadne. Biedny chłopaczek, zaledwie jako tako okryty, z małym węzełkiem na plecach, w którym miał parę koszulek i swoje ukochane książeczki, z laseczką w rękę i kilku groszami w kieszonce, szedł sam jeden w ten chaos

wielkiego świata z rezygnacją godną podziwu. W tem mieście wielkiem, do którego dążył, nie miał ani jednej duszy znajomej, ani jednego serca krewnego — na samym wstępie mógł się zabłąkać, za kilka dni mógł umrzeć z głodu — ale mimo to szedł z odwagą, z trwogą trzęsącą jego sercem dzie- cięcem, ale z postanowieniem silnem i niewzruszo- nem. Dziwić się trzeba zaprawdę temu nowemu rycerstwu, rekrutującemu się wtedy w ten sposób, dziwić się trzeba tym dzieciom, które partę jakąś jakoby wyższą, nadziemską siłą, z takim natchnio- nem pragnieniem wiedzy, z taką pogardą niebezpieczeństw i trudów, chmarami się garnęła do nauk; były też to istotnie te dzieci, które w kolebce borykały się z [hydrą, głodu, i nędzy i pracy, przewyższającej ich siły. Cnotę tę trzeba w nich uznać i zaledwie któremu z nich można się dziwić, jeżeli przeżywszy tak heroiczne dziecięctwo, młodzieńcem potem chciał dławić Centaury. Przez jakie chłopaczek ten przeszedł w Warszawie koleje, prawie nie trzeba wspominać. Ko- muż to nie są znane te czasy, komu nieznanym owy- czesny stan społeczeństwa naszego? Pieniądz wszystek, jaki znajdował się w kraju, spoczywał wyłącznie w rękach możniejszej szlachty i nielicznej klasy bogatszych mieszczan —r- wszelka praca, wszelki zarobek był płacony mizernie—a kto jeszcze i zarobić nie umiał, dziecko, czy starzec, ten nigdy grosza nie widział i musiał mrzeć głodem. Nie była to wina społeczeństwa, lecz czasu. Postęp, kształcający uczucia ludzkiego serca, rozprzestrzeniający ludzkość pomiędzy ludźmi i wprowadzający obowiąz-

ki człowieka w wykonanie i życie—ten postęp wielki i najwspanialszy ze wszystkich, który nas tak uderzająco różni od naszych przodków i który nam nigdy nie może być zaprzeczonym — zaczynał się dopiero rozwijać w krajach zachodnich, a u nas był jeszcze wcale nieznanym. Nie było jeszcze ochron dla chorych i kalek — a o pomocy dla ubogiej młodzieży, garnącej się do nauki, jeszcze nikt ani pomyślał. Nieszczęśliwe te dzieci musiały się same łamać ze srogością nielitościwych losów. Dziwnie ciekawe i wzruszające są historie tych ludzi, którzy taką przeżyli młodość. Jeden z nich służył jakiemuś księdzu, najtwardszą służbę koło niego wypełniał, nie miał spokoju ni w dzień, ni w nocy—a za to dostawał resztki niedojedzonej strawy i wolno mu było sypiać w kurytarzu na gołej ziemi.—Drugi służył swym zamożniejszym kolegom, niesfornym, zuchwałym, źle wychowanym hultajom, którzy w swojej nielitościwej pustocie zrobili sobie z niego lalkę do swej wybrednej swawoli. Bity i szturchany bez odpoczynku, pełen guzów i sińców, trzymał się ich jednak biedaczek, bo przy nich przynajmniej z głodu nie umarł i miał jakieś schronienie.—Inny, najnieszczęśliwszy, nie znalazł nawet schronienia. Brzydki i chorowity z natury, do tego jeszcze ciągle • zasołomiony to swoją biedą, to trwogą, aby w naukach nie został, wypędzany był przez wszystkich. Ten nigdzie nie mieszkał i nosił w małej torebce wszystkie swoje manatki. Sypiał przez całe lato na schodach szkoły lub w pobliskim ogrodzie, zimą wprasał się na noc do stróżów, do rzemieślników ubogich albo innych nędzarzy, nędzą sobie pokrewnych.

Nigdy on dzisiaj nie wiedział, co będzie jadł jutro; czasem nie jadł dzień ca/y, czasem dwa dni i trzy dni. Lecz nie dbał o to, już się był przyzwyczaił. Daleko więcej tem się zawsze kłopotał, gdzie się swych lekcyi nauczy, gdzie, albo na czem swe oku- pacye napisze? W lecie jeszcze to była mniejsza, lecz w zimie, u nas tak długiej i mroźnej, musiał się biedak zakradać na kurytarze, do przysionków otwartych kamienic, i tam cały drżący od zimna, opuchłemi rękami, na jakimś przymurku okna, w ja- kiejś framudze spisywał swoje pensa i lekcye sobie powtarzał. A i to jeszcze nie zawsze się udawało. Nieraz nielitościwi słudzy wypędzali go nawet i ztamtąd; wybiegał wtedy ze łzami w oczach na miasto, patrzył na ten świat tak obszerny i ludny i serce mu się krajało z bólu, że w całym tym świecie nie masz ani jednego kącika dla niego! A przecież nie znienawidził on tego świata — co większa, nie upadł na swojej ciernistej drodze. Strawiony nędzą, omdlewający od głodu, odarty, bez jednej duszy sobie przyjaznej, potrącany i odpycha^{ny} przez wszystkich, szedł wytrwale i mężnie naprzód w swą drogę, nie ustając ani na chwilę. Szedł, bo w głębi jego młodzieńczej duszy kipiało coś jakby ogniem i parło go naprzód, szedł, bo w jego wyobraźni młodzieńczej błyszczała przed nim jakaś gwiazda promienna, która mu przepowiadała, że przebrnie* przez tę kałużę błota, wyjdzie na brzeg zielony i wzniesie się na takie wyżyny ducha, gdzie jeszcze nie powstała stopa żadnego człowieka!...

To była kolej losu, jaką przechodził brzydki, chorowity i z młodu wiecznie czemciś oszołomiony

Skiba. Po takich głodach i nędzach, po takiej poniewierce ostatniej, jakiejże doznał pociechy, kiedy dorósłszy cokolwiek i odznaczywszy się już w naukach, przyjął obowiązek nauczyciela u rzemieślnika i dostał za to schronienie i strawę codzienną! Najlichsze to było schronienie, najlichsza strawa, z nie- posłusznymi dziećmi miał roboty bez końca; ale on panem już był natenczas i miał czasu aż nadto. To też natenczas ze skwapliwością godną podziwu, z nieugaszonym ogniem, rzucił się na wszystkie źródłiska wiedzy, których mógł tylko dostąpić. Bóg nie wie, ile książek nie pożarł; Bóg nie wie, ilu się nie nauczył języków! Takich lat kilka — a Skiba nie potrzebował już więcej. Albowiem rozszerzywszy swe wiadomości, ugruntowawszy je w sobie «zarliwą pracą w spokoju, nie trudno mu było pozawiazywać stosunki z ludźmi, mającymi niejaki wpływ na świecie. Tak przyszedł pomału do tego, że miał co jeść, miał się czem okryć i mógł swobodnie oddawać się dalszym naukom. Zaprawdę było to bardzo niewiele, co dotychczas osiągnął. Zawsze on mieszkał na jakimś dachu, w sąsiedztwie wiatraka lub gołębnika, w jego izdebce nie było nigdy nic więcej, jak jedno łóżko, stolik, parę krzesełek, szaragi na suknie i kilka półek na bieliznę i książki, na nim zawsze tylko leciutki fraczek na tandecie kupiony, a w zimie płaszczyk dziwnie wytarty: ale on był już bardzo bogatym, bo miał czas, czas do pracy swobodny, a w nim niewyczerpane źródło bogactwa...

W takiej też pracy, niczem nieutrudzonej i ni

gdy nieustającej, przeżył swoją młodość', a jak ta praca była ceniona, dowód jest w tem, iż go najznamienitsi uczeni polecili na nauczyciela pułkownikowi.

Tak związaliśmy przeszłość tego człowieka z jego terażniejszością, znaną już nam poprzednio; aleśmy przez to powiedzieli jeszcze bardzo niewiele. Idźmyż tam, gdzie się dowiemy więcej...

Skiba, przeżywszy tyle lat w takiej doskwie- rającej nędzy i głodzie, zmuszony tarzać się po najniższych nizinach społecznego życia, przypatrzył się już za młodu tym, że tak powiem, podziemnym nurtom ludzkiego ducha, które dziś są przystępne zaledwie umyślnie badającemu je oku, a wtedy jeszcze były nieznane nikomu. Boleść, wynikła z dziejowych zdarzeń, natenczas jeszcze daleko żywsza niż dzisiaj, obejmowała wszystkich; ale choroba ta krwawa, choroba, na którą społeczeństwo nasze chromaio od wieków i wskutek której śmierć polityczną poniosło—nędza moralna i materyalna niższych warstw społeczeństwa—była tajemnicą dla wszystkich. Chorobę tę Skiba dojrzał już w swej własnej kolebce— poszedłszy w świat i zetknąwszy się j/ik najbliżej właśnie z najbardziej chorującymi warstwami, dotknął się własną ręką ich ran ciekących i niegojonych, spoił się sercem z ich milczącą boleścią, spokrewnił się poufale z ich duchem, blakającym się po najskrytszych tajnikach i wtedy jeszcze ani marzącym o tem, ażeby się mógł kiedykolwiek wyrwać z tych więzów na jaśnię. Myśl aby temu, na wieczne milczenie skazanemu duchowi bolejącego ludu, do przemówienia dopomódz, myśl, aby go kiedyś z niemowłęcego

spowicia rozpowić i tym albo owym sposobem równy udział w darach Bożych tej ziemi dla niego sporządzić, była naturalnym wynikiem tych bolesnych doświadczeń, jakich sam doznał na wstępie w świat rzeczywisty. Im więcej potem w swem dalszym życiu się przekonywał, jakim paryą jest na tym świecie, im częściej mu przychodziło przepędzić dzień cały o głodzie, a noc pod gołym niebem, tem jaśniej ta myśl rozświecała się w jego umyśle, tem głębiej zakorzeniała się w sercu. Zamieniła się wreszcie w sen wiecznie żyjący w jego wyobraźni, w główną zasadę jego pracowitego rozumu, w naczelny dogmat jego religii...

Ale gdy wyrósł w dojrzałego młodzieńca — a wcześniej dojrzewa się w nędzy! — gdy się już ze znanstwem niejakiem rozpatrzył w obszernej krainie nauk i poznał, że mimo najgenialniejszych popędów serca, niepodobna jest należycie swoich zdolności rozwinać, nie dawszy im gruntownej i jak można najgłębszej naukowej podstawy—rzucił się i on także do nauk i oddał się przedewszystkiem historii. Nauka ta, prowadzona umiejętnie, pracowicie i z zamiłowaniem, pochłoneła go całkiem. Kto wie, jak ponętą jest ta bezdenna skarbnica rodu ludzkiego, jakim mistrzem w podbijaniu serc i umysłów jest ten duch dziejowy, co chwila pełen nowych uroków, a niewyczerpany w swych obietnicach—ten się dziwić nie będzie, że Skiba wówczas tak się głęboko zagrzebał w tej uwięzionej w księgach przeszłości, iż terażniejszość i przyszłość zniknęła mu z oczu. Był też on wtedy nadzwyczajnie szczęśliwym. Jak duch wyzwolony z więzów cielesnych, kroczył on po bez

miarach nieskończoności, przenosząc się jak błyskawica z jednego świata w drugi, wieki lieząc na oka mgnienia, a lat tysiące na chwile. I Bóg sam nie wie, gdzie nie był! Przetrawił dzisiaj noc całą w starej Polsce piszącej prawa, a jutro biegł szukać tych praw pierwiastków w dziejach starego Rzymu. Dzisiaj powiernik Kazimierza Wielkiego i kilku Jagiellończyków, jutro się bratał z Cyncerem, Trogem Pompejem i Justynianem. I tam jeszcze dna nie dojrzawszy, przebiegał pojutrze wszystkie Rzeczypospolite Greckie, spowiadał ze wszystkich tajemnic Solona, zaglądał w serce Likurga, ważył sumienie Dra-kona. Przy takich zajęciach czasem tak się zabawił, że kilka miesięcy przesiedział w Grecyi i ledwie wiedział, że pośród tego czasu zrobił wycieczkę do starożytnego Egiptu, że cały tydzień przebawił w Indyach, kilka dni w Persyi—przekonał się o tem dopiero wtedy, kiedy się spostrzegł, że się znajduje w Jerozolimie i otrząsa się z tych obłądów pogańskich u grobu Chrystusa Pana. Tam zaczerpnąwszy sił świeżych i światła, powracał znowu do Polski, aby musztrować wojny krzyżackie, wyrozumiewać właściwe powody buntów i wojen kozackich, albo przeważać siły, które wyswobodziły Polskę czasu Gustawa Adolfa. Tak żyjąc tylko z pierwszymi władcami świata, ważąc na szali myśli losy państw i narodów, pędząc za powiewami ludzkiego ducha w przeszłości, żył tu na ziemi jak gdyby we śnie. Czasem naówczas nie wiedział, że z jego własnego fraka łokcie wylazły — azaliż dziwna, że się nie pytał, co się działo około niego?

Przyszedł czas wszakże, w którym się zbudził.

Wszyscy się wówczas zbudzili, i on się zbudził]. Wszyscy gdzieś' biegli, w przyszłość — i on pobiegnął za nimi. Ale wyszedłszy prosto z 'historii, po historycznej biegł drodze. Obudziła się w nim dawna jego idea, może nawet i tu i owdzie coś ó niej mówił; lecz skończył na tem, na czem wszyscy jemu podobni a zacni skończyli, że poszedł w ogień! O! biedny Skiba, na takim twardem polu rzeczywistości! Ale zrobił, co mógł; nie umiał się bić, dał się zrąbać przynajmniej. I to coś warte. Wkrótce potem zjawił się w Zawisłoczu...

Zamieszkawszy w domu pułkownika i znalazłszy niezbyt wiele zajęcia ze swym małym uczniem, a ztąd aż nadto wiele czasu dla siebie, zaczął pilnie i trzeźwo rozważać, zaczął przetrawiać w sobie to wszystko, co już to przez pracę książkową, już doświadczeniem nagarnął w siebie. Tu miał też sposobność przypatrzeć się zblizka tej szlachcie, którą dotychczas znał tylko zdaleka—tu znalazł porę przypatrzenia się również ludowi i jego roli nieszczęsnej, jaką w społeczeństwie odgrywał. Wychodząc jeszcze zawsze ze stanowiska idei historycznej, uważał on przedewszystkiem owoczesny stan szlachty. Na jakim punkcie stała szlachta natenczas?—Oto najpierwej dawało się w niej widzieć rozprężenie niezmierne. Dzieliła się ona pomiędzy tysiące najrozmaitszych usposobień, quot capita tot sensus, z których wszakże nie występowało ani jedno przekonanie stanowcze, ani jedna opinia przeważna, górująca nad inne. Jeżeliby jednak te rozmaite usposobienia trzeba koniecznie podzielić i rozgatunkować, tobyśmy powiedzieli, że dawały się wtedy widzieć pomiędzy

szlachta cztery odrębne odcienia. I tak: pierwsi z nich, czy to wiekiem, czy doświadczeniem najstarsi, urodzeni i wychowani w historycznych tradycjach, doświadczywszy dopiero co tak krwawego zawodu, podupadli na duchu zupełnie i zamarli moralnie. Grobowa ciemność otoczyła ich oczy—dosnowalijuz tylko nitek swojego życia w żałobie. Drudzy, porzuciwszy wszelkie wyższe nadzieje, oddali się materialnym widokom: ci pędzili gorzałkę, tuczili woły dla zagranicznych targów, wysysali wszelkie możliwe korzyści z niewolniczego ludu i robili fortuny. Trzeci, podobni najczęściej w tym względzie do nich, niby się gdzieś wyżej podnieśli, nie duchem swoim, ale ambicyą, zakochali się w cudzoziemskich błyskotkach, ozdobili niemi' swoje imiona lub piersi i wyróżnili się przez to od reszty społeczeństwa. — Pozostała nareszcie młodzież, w części oddana próżniackim i rujnującym podróżom, w części niby naukom, lecz w samej rzeczy tylko niesformym, na źle zrozumianych naukach opartym marzeniom, rozbijała się po najodleglejszych krańcach Europy i własnej myśli, przywożąc z sobą z wędrówki pierwszej zniechęcenie i nudę, z drugiej mało co więcej. — Wogóle zaś, w całej tej klasie, tak rozprężonej i czekającej już tylko ostatniego „rozbicia”, nie było widać żadnej spójni duchowej, nie było widać ani śladu wytkniętej drogi na przyszłość. Co gorsza, pomimo tylu najrozmaitszych odcieni, we wszystkich razem było widocznym jakieś zniechęcenie ogólne, drewnianą prawie ospałość, czasem jakoby rozpacz. Niektórzy żyli tak majątkowo, jakgdyby jutro mieli umierać, wszyscy z dniem każdym podu

padali moralnie, nikt nie myślał o odpowiednim wychowaniu swych dzieci. Szkody były napchane, lecz po największej części młodzieżą klas najuboższych: szlacheckie dzieci w piętnastym roku powracały do domu, a jeżeli który z nich skończył nauki, najczęściej prawo, to powracał z tem, co najprędzej na zagon rodzinny, uradowany niezmiernie, że już się na zawsze pożegnał z książkami, których prócz kalendarza i może kilku francuskich romansów, przez kobiety czytanych, w domu jego rodziców nie było. Tak stało wychowanie podówczas — tylko jedna arystokracja, mająca swoją podstawę w historii, z małym dodatkiem bardzo zamożnej szlachty, wychowywała swe dzieci jaknajstaranniej, nie szczędząc do tego celu czasem nawet ogromnych wydatków; taż sama arystokracja także okazywała roztropną dbałość o stan swych fortun, zaprowadziła pierwsza u siebie oszczędność i wogóle najpiękniejszy dawała z siebie przykład pod względem domowego pożycia, niestety, rzadko naśladowany przez innych...

Ten stan rzeczy Skiba zrozumiał, rozważył i ocenił wedle słuszności. Pierwsza myśl, jaka mu się tu nasunęła, jaka mu się musiała nasunąć, była ta oczywiście, że szlachta, jako taka, już bezpowrotnie przepadła, a zatem przy wprowadzaniu w życie na jej miejsce innej potęgi, n^o ma jej czego żałować. Taka myśl przyszła także i innym i usadowiła się nawet w ich głowach—ale nie utrzymała się w głowie roztropniejszego Skiby. On poszedł głębiej w swem rozważaniu i przyszedł do innych zasad. On wiedział o tem, że aby nowy

zupełnie świat stworzyć, na to trzeba być Bogiem— ludzie mogą tylko istniejący porządek swojego świata odmienić. Ludzie mogą tylko? dać inne podstawy spodziewanej przyszłości, a ażeby to mogli uczynić, muszą koniecznie główną nić tych idei, na której zamyślają zbudować przyszłość, nawiązać u kłębka nici pozostającej z przeszłości. Niemasz tu w życiu tej ziemi, ani fizycznym, ani moralnym, żadnych nagłych przeskoków—a jeżeli skok taki uczynionym ♦ zostanie przez jakieś niecierpliwe wstrząśnienie, to potem zato następuje tylko o tyle silniejsza re- akcja. Trup, wrzekomo zabity, powraca potem w strasznej postaci upiora i błąka się w takim razie jeszcze daleko szkodliwiej i dłużej, aniżeli gdy- by go była pomału zdławiła śmierć przyrodzona. Żadna nowa idea nie wchodzi jednym nagłym rozbłyskiem w życie—idea Boga*Człowieka była bezsprzecznie najsilniejszą ze wszystkich, jakie się zjawyły na ziemi—a przecież jeszcze wieków potrzeba było na to, ażeby się stała wątkiem i miazgą duchową ludzkości.—O tem wszystkim wiedział Skiba z historii, a co ważniejsza, chciał wiedzieć o tem. Toż wedle tej niewzruszonej zasady stosował on swoje czynności...

Człowiek ten, lubo zajmował w społeczeństwie stanowisko takie podrzędne i lubo zresztą był dość niezaradnym w praktycznym życiu, był jednak w swoim zakresie niezmiernie czynnym. Utrzymywał ciągle stosunki ze wszystkimi znakomitszymi oświatą ludźmi swojego czasu, z niektórymi z nich łączyły go osobiste przyjaźnie. Był zresztą jednym z tych ludzi, którzy się umieją z łatwością udzielać.

Obdarzony gruntowną i wielostronną nauką, każdego umiał czegoś nauczyć, zaopatrzony ogromnym zasobem wiadomości szczególnych, umiał się nawet podobać kobietom, mając zaś przytem znamienitą wymowę i łącząc do niej ten najcenniejszy przymiot wykładu, który jednoczy piękność i łatwość z powagą i gruntownością, potrafił wpływ pewien wywierać na wszystkich. Niejednokrotnie przywitano go uśmieszkami, kiedy wszedł w towarzystwo, ale potem przez kilka godzin nie można go było się nasłuchać. Ztąd już podówczas, gdy -siedział na wsi, uzyskał sobie miłość powszechną, zyskał uznanie swojej wartości moralnej, a tu i owdzie pewien rodzaj szacunku. Pojechawszy z Karolem dó stolicy, znalazł tam obszerniejsze pole dla siebie. Niebawem też urósł znamieniem w opinii, zdobył sobie zaszczytną przyjaźń ludzi poważnych, a u młodzieży zjednał ufność i poważanie równające się części. Był on też wtedy niespracowanym w rozprzestrzenianiu szlachetnych, wzniosłych myśli, zamiłowania do pracy i jakichś wyższych widoków między młodzieżą—jego mieszkanie było w południowych godzinach czasem tak pełne, że się nie można było przecisnąć—przyszły nareszcie czasy, w których, gdy szedł ulicą, wszystka spotykająca go, choć nieznojoma młodzież ze czcią go witała...

Miał on już wtedy bardzo rozległe wpływy i w owych czasach, tak wrzących w sobie, a tak mało opatrnych, mógłby był użyć tych wpływów nawet do urzeczywistnienia jakiegokolwiek wybryku. Mimo to przecież pozostał zawsze wiernym swojej zasadzie. Zawsze rozszerzał ideę usamowolnie-

*nia i uwłaszczenia wiejskiego ludu—ale nigdy mu na myśl nie przyszło spodziewaną przyszłość ludów opierać na zupełnej i ryczałtowej ruinie całej przeszłości. Gorąco pragnął moralnego i materialnego wzniesienia się ukochanego przez siebie stanu—ale wcale nie pragnął, ażeby to wzniesienie się zostało sporządzone z krzywdą któregośkolwiek stanu innego. Nigdy też nie upadł tak nisko, ażeby się uniósł nienawiścią do szlachty, jak to zrobili inni jego koledzy. Nigdy, też nie ociemniał do tego stopnia, ażeby pochwałiał owe pisma ówczesne, które nie pragnęły niczego więcej, jak aby szlachtę najpierw splugawić i zbezczęścić moralnie, a potem obdrzeć ją jeszcze z jej dziedzicznej własności... Na takich się opierając zasadach, przyszedł oczywiście do przekonania, iż chcąc o urzeczywistnieniu idei usamowolnienia i uwłaszczenia wiejskiego ludu pomyśleć, nie można o tem pomyśleć bez szlachty. Tysiące za tem przemawiało historycznych i politycznych powodów — a gdyby nawet tamte> wszystkie zostały unieważnione potrzebą czasu, to jeszcze zawsze pozostawał ten, najważniejszy ze wszystkich, który miał swoje źródło w sumieniu, Odebrać komuś własność tego rodzaju, jak poddaństwo drugiego, można jeszcze bez niego — przynajmniej pełna jest takich przykładów historia; ale odebrać mu własność fizyczną ziemi, która mu przynosi dochody, stanowiące jego sposób do życia, odebrać mu taką własność bez jego woli i wiedzy, równa się poprostu gwałtownie dokonanej kradzieży. Nigdzie też jeszcze nie dokonano takiego czynu, nawet najgwałtowniej sza ze wszystkich rewolucya fran

cuzka nie spełniła go w zupełności; tylko reformatorom owego czasu mogła się uroić taka myśl monstrualna. Skiba był pod tym względem innego zdania—i wskutek tego, kiedy czas przyszedł, w którym rozpowszechniona powyższa idea zaczęła już tu i owdzie dojrzewać, starał się o jej przeprowadzenie porozumieć ze szlachtą. Ale niestety! nie znalazł on u niej najmniejszego odgłosu. Prawdą jest, i niechaj to będzie wypowiedzianem wyraźnie, że pewien odcień ówczesnej reprezentacji szlacheckiej nosił się już oddawna z projektem usamowolnienia wiejskiego ludu—prawdą jest dalej, iż usiłowania szlachty w tym celu rozbiły się o nieczułość ówczesnego rządu i na tej drodze nie mogły osiągnąć celu—prawdą jest w końcu, iż forma, w jakiej koryfeusze postępowego stronnictwa przekładali ten projekt szlachcie, była tego rodzaju, że im się podobać nie mogła; ale nie był to czas zaprawdę, w którym można było zważać na te lub owe trudności, nie był to przedmiot tak małej wagi, od którego godziło dać się odstraszyć formą. Co- kolwiekby, faktem jest to, iż szlachta odsunęła się całkiem od tego ogniska, w którym ważyła się myśl tak przeważna, myśl mająca odmienić do gruntu jedną z głównych podstaw ówczesnej więzi społecznej. Był to błąd nigdy nieodpuszczony, za który potem też szlachta zapłaciła po dwakroć. Wyrzekłszy się bowiem dobrowolnie swojej przeważnej roli w sprawach krajowych, nie była w stanie powstrzymać tej krwawej burzy, którą wywołano z jednej strony bez niej, a z drugiej strony przeciw niej samej, a która ją kosztowała tyle krwi i zasobów; za-

pjačila zaś za to jeszcze powtórnie, bo kiedy przyszło nareszcie do aktu zniesienia pańszczyzny, ona już nie była w stanie ani wziąć w tem inicjatywy, ani nawet zabrać w tym akcie takiego głosu, jaki jej się należał — wskutek czego oczywiście inicjatywę wzięła ulica, a samego aktu dokonał kto inny i dokonał go w sposób dla szlachty nadzwyczajnie niemiły i niekorzystny. Oby ten fakt, już po dziś dzień dziejowy, stał się nauką dla tych, którzy w nim pobłądzili i oby ich raz na zawsze przekonał o tej prawdzie niemyślnej, iż kto się umyślnie odsuwa od udziału w sprawach społeczeńskiego życia, ten bywa zawsze stawiany na równi z nieruchomością, a ktokolwiek bądź temi sprawami steruje, postępuje z nim zawsze jak z rzeczą...

Powracamy do Skiby. Owoż więc Skiba, widząc się odtraconym od szlachty, uczuł głęboki żal w sercu. Żał mu było jego pocziwych chęci zmarnowanych naprózno, żał jego marzeń o zaszczepleniu nowych idei na gruncie historycznym i ścisłem ich powiązaniu z przeszłością, żał wreszcie mu było takich materyałów wyborowych, które z tego powodu skazywały się na bezczynność. Skutkiem jednakże tej żałoby było opuszczenie rąk i martwota — Skiba to zrobił, co każdy człowiek byłby zrobił na jego miejscu — chciał pójść drogą pośrednią, zamknięto mu ją, przerzucił się w ostateczność. Na takim krańcu dotrwał on już do ostatka i do przygotowania wypadków, które właśnie co zaszły, bardzo się żwawo przyczyniał...

Z tem wszystkim to, na czem się te wypadki skończyły, było niespodzianką, jak dla wszystkich,

tak i dla niego. Kto się naówczas spodziewał, że taki obrót weźmie ta sprawa? — Tem większa rozpacz na widok rzeczywistości. Jak wielka rozpacz obejmowała innych natenczas, widzieliśmy to na pułkowniku i jego synu. Takie mniej więcej było usposobienie wszystkich. Mimo to wszakże Skiba był usposobiony inaczej. W pierwszej chwili i on się zdziwił, i on rozboleł nad tem głęboko; ale po jednej dobie zastanowienia umiał się podnieść na wyższy punkt swoich myśli i ztamtąd się rozpatrywał w zdarzeniach. Jeżeliśmy rozumieli Skibę dotychczas, to go zrozumiemy i tutaj. Obląkał się lud, rozzuchwalił, rozbawił i wdarł się w krwawe granice zbrodni, to prawda, to smutna, bolesna prawda! Wiele z niej szkody wypłynie i strat* niezmiernie wiele. Ale te straty i szkody będą zawsze tylko chwilowe. W rok jeden, w kilka lat zresztą, odbudują się te dwory spalone, napelnią się znowu porabowane śpizarnie, sieroty odpłaczą śmierć swoich rodziców i opiekunów. Nie będzie już wtedy ani śladu tych przymiotów tego zdarzenia, które nas dziś taką zgrozą przejmują. A pozostanie z tego zdarzenia rzecz wielka! Myśl, która dotychczas leżała spowita w kolebce i błąkała się bezcielesna po głowach, wydobyła się na świat i przybrała postać widomą. Myśl, która dotychczas mieszkała w krainie marzeń i wedle wielu należała do mrzonek, zdobyła się na fakt i rozpoczęła swoją historję. Rzecz to niezmiernie ważna, jedynie ważna w tem wydarzeniu...

Tak myślał Skiba—i ztąd jego spokój stoicki, z jakim siedział nad księgą, ztąd jego zapał, z ja

kim się[^] przypatrywał grasującym dokoła pożarom... Tuśmy go już odkryli zupełnie i odtąd nie potrzebujemy już postępować krok w krok za jego marzeniami przyszłości, w które zapadł w tej chwili; każdy ich sobie dosnuć potrafi bez niego.

.. Przystępujemy do dalszych faktów.

Owo więc, kiedy Skiba tak stał przy oknie i marzył sobie o tych wsiach zbudowanych porządnie, otoczonych bogatymi sadami i błyszczących wybielonymi chatami, w których lud oświecony, pracowity, pobożny będzie wiódł życie swobodne—na[^] gle rozbłysło mu coś przed oczyma, nowy pożar wybuchnął. To, przewoźnicki pałac stanął w płomieniach. Widok ten dziwne wrażenie sprawił na Skibie. A widział całą tę scenę straszliwą jakby na dłopi— drzewa opadłe z liści odkrywały całe to wzgórze, na którym stał pałac szambelana razem ze wszystkimi zabudowaniami. Straszliwy widok! Rozzuchwalony żywioł ogarnął wszystkie domostwa, płomień się tak rozszerzył, że był jakby chmurą Ognistą, na której jakieś czarne postacie piekielnym roznosiły się tanem. Niebawem płomień dostał się do folwarku i znów wystrzelił nowym wulkanem. Tu opadają dachy ze straszliwym łomem i trzaskiem, tam znowu nowy wybucha pożar. Straszliwy widok! Skiba pomimo woli musiał się spuścić ze swego wysokiego punktu widzenia na ziemię—i rozpatrywać się w tem zdarzeniu, tak, jakim dziś było. A dziś roznoszono tam głównie pożaru, krwawiono ręce w mordach, siano śmierć między niewinne! Czy tak się powinna rodzić idea, która ma przynieść zbawienie? Czy mord i pożoga powinny być

temi szczeblami, po których ludzkość ma postępować do coraz wyższych stopni swojej potęgi i szlachetności moralnej?

Skiba sam już nie wiedział...

On tak jakoś zesłał na widok tego zniszczenia, tak omdlał w sobie, że byłby się rzucił sam w te płomienie, ażeby się spalić i nie patrzeć więcej na to dzieło okropne, do którego sam się przyczynił. Ale nie dziwić się tej jego słabości. Widok tak olbrzymiego nieszczęścia, widok tak wielkich cierpień, które się własną ręką sporządziło niewinnym, jest w stanie osłabić ducha nawet najsilniejszego człowieka. I Napoleon, otoczony pożarem Moskwy, zachwiał się w swoim duchu potężnym i chciał się rzucić w płomienie. A nie silniejszym zaprawdę mógł być duch Skiby, zamieszkały jeszcze do tego w tak wątłym ciele...

Przez wielkie wtedy przeszedł ten człowiek cierpienia. Myśl jego, że ta straszliwa postać, w jakiej się dziś objawia jego zbawcza idea, jest tylko jej formą przelotną, chwilową, z której niebawem nie pozostanie śladu, a duch pozostanie na wieki i najpiękniejszym kwiatem wykwitnie, myśl ta zbawienna nie opuszczała go wprawdzie ani na chwilę, ale cóż z tego, kiedy ta myśl mogła ożyć dopiero w przyszłości, która była daleko — a straszliwe widmo teraźniejszości było tuż obok niego? Skiba cierpiał niezmiernie i mimo całej mocy swej duszy, nie mógł się odjąć cierpieniom.

Przepędził noc całą na nogach, gorączka go trawiła, dreszcze go przejmowały, nie mógł ani oka zamrużyć. Nazajutrz było mu jeszcze gorzej, de

wczorajszej gorączki bowiem przyłączył się jeszcze niepokój, straszliwa myśl, że to, co się stało wczoraj w Przewoźnikach, może się dzisiaj stać w Zawisłoczu. Ta myśl wstrząsnęła jego cały organizm i zburzyła biednego Skibę do gruntu. Czy o siebie w mu może chodziło? Bynajmniej. On tyle nędzy przeżył na tym świecie, tak tutaj nie miał nic i nikogo, coby mu żal było porzucić, tak zresztą cały i tak oddawna mieszkał za granicami tej ziemi, że mu się zdało, jakby przez całe życie stał w przedpokoju i czekał tylko otwarcia drzwi do salonu. Miałżeby się obawiać tej chwili, w której raz przecież skończy taką stójkę lokajską. Ani mu w myśli to nie powstało. Ale miał na pamięci pułkownika i swego ucznia Karola. Jeżeliby ci mieli zginąć na ogniu męczeńskim, ci ludzie, którzy go taką otaczali miłością i stali mu się jakoby drugą rodziną... na tę myśl samą Skiba odchodził od przytomności. Chciał temu radzić, nie mógł—a to go jeszcze tem więcej męczyło. Tak męczył się z samym sobą przez cały ranek, a o południu poszedł do pułkownika, aby pomówić z nim o środkach ratunku. Ale zgryźliwy staruszek przyjął go z oburzeniem, prawie odtrącił od siebie i rzekł mu w końcu gwałtownie:

— Ja waści nie potrzebuję do tej obrony! a nawet ci to mówię wyraźnie, żebyś mi się natenczas nie pokazywał. Bo jak mnie chłopci napadną, a znajdę waści pod ręką, to cię porwę za kołnierz i między nich rzucę przez okno. Napij się waści najpierwszy tego piwka, któregoś dla nas nawarzył!

Ztąd poszło, że jak tylko hałas się zrobił, gdy

chłopi wpadli w dziedziniec, Skiba tak nagle zniknął z sali...

Tymczasem jednak jeszcze przez bardzo dotkliwą przejęć musiał boleści. Wpadł on do swojej baszty-prawie bez przytomności. Obawa jego już się ziściła—pułkownik z synem byli już napadnięci przez chłopów. Skiba drżał na całym ciele, usta jego nerwowe dygotały ze zgrozy i mówił:—Oh! żeby tylko nie zginął!—Wszakże w tej właśnie chwili dały się słyszeć strzały na dole. Skiba się trząsał, jak listek na drzewie. Za moment zatętniły jakieś gwałtowne kroki koło jego komnaty i spadły na dół kręconymi schodami, wiodącymi do starego ogrodu: to Karol wtedy uciekał. Jeszcze za jeden moment wpadło chłopię służebne do niego z wielkim lamentem i krzykiem:—pana zabito!

Skiba struchlał na miejscu. Załamał ręce nad głową, stał tak w nieruchomości przez chwilę, zawołał nagle:—Ha! to' i ja zginę!—i rzucił się w tej 'rozpaczy na dół ciemnymi schodami do sieni nowego dworu.

Ale tymczasem chłopci pędzili już temi samymi schodami do góry, w pogoń za zbiegłym paniczem. Skiba im wpadł w otwarte ramiona, jak w paszczę. Porwał go jakiś chłop barczysty, ścisnął w swoich ramionach:—Mam cię, paniczu!—Zniósł go też zaraz z wściekłą radością do sieni... Ale tam, gdy zobaczył przy świetle, kogo to trzyma w swych rękach, rzucił go precz od siebie z przestachem i rzekł:

— Tfu! a to co za dyable niemieckie!

W samej istocie maleńki Skiba, w swoim wążutkim fraczku i krótkich pantalonikach, ze swoją

ogromną głową i wzburzonemi na niej włosami, bardzo dziwacznie wyglądał. Ale to go właśnie uratowało. Kiedy go bowiem chłopci ze zdziwieniem opatrywali, to i on oprzytomniał i oni oprzytomnieli, a tak w ten moment się wzajemnie poznali.

Z jakiej strony Skiba był znany tak w Zawi- slockiej, jak i w niektórych sąsiednich gromadach, jużemy nawiasowo wspomnieli. Nie miał on nigdy własnego grosza, lubo był nieźle płacony: wszystko to szło na lekarstwa dla chłopów, na zapomogi dla biednych, na nigdy nieoddawane pożyczki. Skiba był nawet ich lekarzem i to na wszystkie dolegliwości. Temu żonę wyleczył, tamtemu dziecko od kalectwa ochronił, trzeciego od rekrutacyi obronił, czwartemu kozuch kupił na zimę, piątego wspomógł po pogorzeli, a dla wszystkich wogóle, w każdej dolegliwości był zawsze najpewniejszą i* nigdy nie wymowną ucieczką. Nie mogło być tedy, ażeby pracując na tej drodze lat kilkanaście, nie miał uważania u chłopów, có ważniejsza, miał miłość u nich, a najważniejsza to, że wcale nie był przez nich uważany za pana. Patrzyli tedy chłopci na niego, śmiali mu się w oczy śmiechem bydlęcym i mówili, szczerząc zęby do niego:

— He, he, he, to nasz, to Skiba.

To powróciło Skibie całkowitą przytomność, jakoż wziął się natychmiast do rzeczy. I nie był tak nieroztropnym, żeby miał zaczynać długą perorę do chłopów, jak w położeniu podobnem zrobiło wielu, przez oo znudziwszy chłopów, jeszcze ci pewniej zostali pozabijani. On się wziął do nich poprostu:

— Jak się masz, Bartku? a co tam dziecko?

A i ty tutaj, Wojtku? a ciepło ci w nowym kozuchu? a gdzie Jacenty, Teodor, Maciek? No, i cóż wy myślicie? Zabiliście pana—a trzeba to było? Nie było się mnie poradzić? he?

— A gdzie my go ta zabili!—zawołał jeden — to pan kapral strzelili...

— A gdzież ten kapral?

— Gdzieś się ta bawi w pokojach.

— Hm! no, chodźcie-no ze mną...

To mówiąc, przystąpił z nimi do ciała pułkownika, które we krwi zbroczone leżało wyciągnięte na ziemi.

— No!—mówił Skiba, bledniejąc cały—godziłoż to się? nie pan to był, nie białowłosa staruszek? nie będzie za to grzechu, którego Bóg nie odpuści?

— No, jużci prawda—rzekł na to inny—szkoda jegomości... ale to darmo. Taki czas przyszedł i taki był nakaz...

—Nakaz!—zawołał Skiba we wzburzeniu—idźże ty sobie do tysiąc dyabłów z taką wymową? A któż to tobie może nakazać zabijać ludzi? któż to ty jesteś, zbójca najęty, czy kat?

Trochę się chłopci nad tem zastanowili, ale tam w głębi tłumu ten i ów się odezwał:

— To darmo, panie, taki czas przyszedł.

— Co jeno chodzi w surducie, wszystko ma być wygubione — rzekł drugi, a jakiś zuchwalec zawołał:

— Nie poczynaj jeno kazania, boś ty nie biskup.

Skiba zmiękł trochę.

— No i czegoż wy chcecie?'—rzekł trochę łagodniej.

— Godziłoby się nam trochę poplądrować po dworze — mówili ci i owi nieśmiało — wszędzie już dwory pozamiatano i każdy jak mógł tak się omaścił.

— Hm!—mówił Skiba—a co wy tu brać będziecie? tu same stare graciska.

— Ale chodźcie, ja was sam poprowadzę.

To rzekłszy w samej istocie poprosił ich do komnat i pokazywał im sprzęty, zniżając wartość każdego do zera.

— Co to wam z tego?—mówił—a jejmość, jak wróci, nie miała by się na czym i przespać.

Deptali po komnatkach chłopiska, oglądali wszystko rękami, wierzyli i nie wierzyli.

— To złoto—mówili jedni, dotykając się ramy złoconej u olejnego obrazu.

— Idź, idź! gdzie to złoto! to drzewo.

Uderzył drugi pałką po ramach i rozbił na miazgę. Śmiali się z niego, mówiąc:

— A złoto, Maćku?

— Złoto, co w lesie rośnie — odpowiadał im zbójca ze śmiechem.

Tak szli przez wszystkie komnaty i niby słuchali Skiby, ale przecież ten i ów porwał, co mógł zachwycić, to jakiś lichtarz, to dzwonek, to figurkę, to szkatuleczkę. Weszli potem do sypialni jegomo- ścinej, tam już ich trudno było powstrzymać. Suknie i buty, jaknajłakomsze to rzeczy dla chłopów. Rozebrali wszystko co było. To samo zrobili i w sypialni jejmości, ani jeden gracik się tam nie zostali

ale przynajmniej, który co wziął, zaraz umykał. Tym sposobem zmniejszała się ciągle ich liczba, Skiba coraz swobodniej oddychał. Miał jeszcze spiżarnię w odwodzie, nią ich umyślił zadowolić do reszty/ Jakoż im już tę myśl natrącił. Jedni się zaraz zerwali, aby iść do spiżarni, ale drudzy mówili:

— Szpiżarnia ta nie zaginie, a jest tu gdzieś kasa jegomości, a w niej niemało pieniędzy.

Skiba struchlał na to wspomnienie, lecz rzekł przytomnie:

— Kasa jest, ale próżna, jejmość zabrała pieniądze do Krakowa.

— Trza to obaczyć—mówili chłopil

Skiba ich powstrzymywał jak mógł, ale bez skutku.

— Co nam pan mówi—wołali chłopil—wszystko,- co było pańskie, to będzie nasze. My i grunty dworskie zabierzem,*a nie dopiero kasę.

Co miał robić nieborak, prowadził ich sam do kasy, żeby choć widział, co który weźmie. Ale gdy przyszli do kancelaryi, która się znajdowała pod sypialnią ńa dole, a w której stała żelazna skrzynia nazwana kasą, jakież ich było zdziwienie, kiedy tę skrzynię zostali otwartą na ścieżaj i wypróżnioną zupełnie! Na widok ten niespodziany stanęli wszyscy jak głupi. Kto to mógł zrobić? Pachole im powiedziało, że ten sam żołnierz, który pana zastrzelił, wydobył klucz z jego kieszeni, pobiegł tutaj do kancelaryi, otworzył kasę, wybrał z niej wszystko i uciekł.

— Widzicie! — zawołał Skiba — a kto to wami przewodzi? Zbójca i złodziej. Hej! lećcież za nim-

odbierzcie mu te pieniądze, a za to przynajmniej mu wszystkie kości połamcie.

Bardzo ta myśl przypadła chłopom do serca, tzcili się wszyscy razem i polecili za zbiegiem.¹

Mało który został we dworze. Jeszcze ten i ów błąkał się koło śpiżarni,^s także już wypróznionej bez wiedzy Skiby, inny wyprowadzał jaką sztukę bydła ze stajni, kilku plądrowało po kuchni, po masztami i magazynach, wynosząc milczkiem, co im Się pomieściło na plecach. Ale na tem się skończył rabunek Zawisłockiego dworu. Skiba był uszczęśliwiony, że przynajmniej choć grubsze sprzęty i budynki zostały uratowane, rzadkie to szczęście w owych czasach i w tej okolicy. i

Tak odetchnąwszy cokolwiek, niezaradny po wszystkie czasy Skiba, teraz z młodzieńczą energią się wziął do czynności i co było do zrobienia, wszystkiemu dał radę. Porozumiawszy się z księdzem, poodzukiwał dworskich ludzi, straż zaprowadził we dworze i na folwarku, poopatrywał drzwi, pozamykał i ubezpieczył. Zajął się potem nieboszczyka pogrzebem i pochował go bez wystawy wprawdzie, lecz z zachowaniem religijnych obrzędów. Innym i to się nie dostało w udziale.

[#]W kilka dni potem, jak się uspokoiło cokolwiek, usiłował zasięgnąć jakichś wiadomości o swoim uczniu. I dowiedział się o nim wszystkiego. Pobiegł też zaraz na stary przewóz i porozumiał się z samym Bernatem. Rozmowa ta nakłoniła go do podróży do Rzeszowa, gdzie się Karol znajdował. Skiba wiedział o tem aż nadto dobrze, na co się naraża, udając się osobiście do miasta, ale nie zwa-

żał na to. Pojechał i bądź to wymową swoją, bądź też zewnętrzną niepozornością swojej postaci, wyjednał sobie, że mu pozwolono się z nim zobaczyć. Widzenie się to było bardzo korzystnym dla nich obydwóch: Karol został ostrzeżony o wielu względach, o których byłby może i nie pomyślał, a na które zawczasu należało zwrócić uwagę. Przywiózł mu też Skiba sukien, bielizny i pieniędzy cokolwiek, co wszystko było mu tembardziej potrzebne, ile że już w kilka dni potem został wywieziony do Lwowa...

Tak załatwiwszy, co było napilniejszego, Skiba powrócił do Zawisłocza, a ztamtąd pojechał w ten moment do Krakowa. Tam spełnił misję nadzwyczajnie bolesną, musiał zawiadomić pułkownikową

o śmierci jej męża, o uwięzieniu jej syna i dopełnionych w ich dworze rabunkach. Dowiedział się wprawdzie, ku swojemu uspokojeniu, że to, co zrabowano z nieboszczykowskiej kasy, było tylko niewielką częścią ich gotowizny, bo kapitały swoje mieli oni po większej części w skryptach, ale była to w tym momencie bardzo mała pociecha. Cokolwiek bądź, pułkownikowa zniosła swą boleść z chrześcijańską pokorą, powróciła natychmiast do domu, urządziła jak mogła przyszły porządek domowy. Skibę pozostawiła na gospodarstwie, a sama pojechała ezempredzej do Lwowa, ażeby syna zobaczyć

1 ile możliwości ratować.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

VI.

W pół godziny potem wszyscy goście się rozjechali z Przewoźnik. Napróżno ich zatrzymywał szambelan, bez Izydora jego dom wcale nie był zabawnym.

Po ich odjeździe Józia, uskarżywszy się na ból głowy, wyszła do swego pokoju, wyszła za nią i ciotka, a szambelan z synem wynieśli się do sąsiedniego pokoju i mieli tam z sobą następującą rozmowę. Szambelan siadł w poręczowe krzesło, zapalił lulkę i zaczął:

— Cóż ty rozumiesz, Fonsiu? Rozsnuliśmy jakąś intrygę i spodziewaliśmy się po niej, że nas w ten moment zaprowadzi do celu, a teraz sami nie wiemy, jak stoimy.

— Z Izydorem nie łatwa jest sprawa — rzekł Fonsio, przechodząc się, jak zwykle, z zachmurzonym czołem i nastrzępionymi brwiami po gabinecie.

— Ja tego pana nie rozumiem zupełnie .—

mówił szambelan. — Proszę cię, czy widziałeś to dobrze, że jego dom jest urządony nanowo?

— Wszystko ^widziałem.

— Ale czy urządony jest tak wyraźnie, jak na przyjęcie żony potrzeba, bo to ci wielcy panowie mają rozmaite fantazy.

— Połowa domu jest urządzona jak najwyraźniej na przyjęcie kobiety, żadnego tam świeczka nie brakuje, a nawet, jak memu Franciszkowi mówili tamtejsi służący, poszły już konie do Krakowa po sprowadzone z Wiednia powozy.

— Hm! w takim razie jeszcze 'mniej go rozumiem. Czyż chce, ażebyśmy przed nim ukłękli i może jeszcze żonę mu zawieźli do domu?

Trwała chwilka milczenia.

— Cóż ty rozumiesz? — zapytał znowu szambelan.

— Ja nic nie rozumiem napewno — rzeki Alfons — ale zdaje fty się, że ta rzecz tak się ma. Izydorowi podobała się Józia i w pierwszej, chwili uniósł się dla niej, ale potem nie podobały mu się te i owe okoliczności i teraz jest na drodze rozstajnej. Złe się zrobiło, że Józia, poznawszy się z Izydorem, bywała tak często u hrabiny Millefleurs i tak dalej, a nie bywała gdzieindziej; źle może i to, żeśmy, tu ściągnęli Karola, bo Izydor już zrozumiał, na cośmy go tutaj ściągnęli i widocznie drwi sobie z tego. Na każdy wypadek, jabym był zdania, ażeby z tym Karolem dać pokój, bo to już teraz oczywiście nic nie pomoże, a może nas uwikłać w zajścia wcale niemiłe. To jest człowiek żyjący tylko sercem, namiętny, niepowściągliwy, burzliwy, a jeszcze do

tego z gorącą głową: z takimi ludźmi wszelkie stosunki są niebezpieczne.

Patrzył na niego szambelan, poprawiał okulary i mys'lał. Zdawało się, jak gdyby go chciał o cos zapytać, a nie miał odwagi. Odważył się wreszcie i rzekł:

— A cóż ty o Karolu rozumiesz?

— Czy jako o mężu dla Józi? — rzekł Alfons z nietajonem szyderstwem.

Szambelan milczał.

— Takiego szwagra—mówił dalej Alfons—wcale sobie nie życzę.

— Powiedz-że mi, dlaczego?

— Dlaczego? ze stu powodów. Majątek ma mały i na tej drodze nigdy nic znaczyć nie będzie. Skompromitowany jest—a zatem ma drogę zamkniętą do wszelkiego innego znaczenia. Do tego jeszcze głowa gorąca, lada dzień może się znowu skompromitować—a wtedy proszę sobie wyobrazić, jaka piękna rzecz dla mnie, mieć szwagra w kozie albo i w fortacy! Nie śmiałbym oka pokazać pomiędzy ludźmi i zagryzłbym się od wstydu.

— To wszystko prawda—mówił na to szambelan—okoliczności te mówią przeciwko niemu, ale chcąc go sprawiedliwie osądzić, trzeba wymienić i te, które mówią za nim.

— Nic o nich nie wiem.

— A ja ci powiem. Najpierw tedy Zawisłocze nie jest to taki mały majątek, jak ci się zdaje. Zawisłocze, urządzone dobrze, to bardzo przyzwoita fortuna. Ja wprawdzie nie widzę w Karolu żadnego administracyjnego talentu, ale naprzód jest to chłó

piec bardzo młody, z którego się jeszcze wszystko da zrobić i zrobi się pewno, jeżeli ja go wezmę w moją opiekę, Powtóre, przecież i Józi coś damy, a chociaż jej damy daleko mniej wtedy, jeżeli pójdzie za Karola, aniżeli wtedy, kiedy pójdzie za Izydora, to zawsze posag jej znacznie fortunę Karola pomnoży. Nie przeczę temu, że pomiędzy Izydorem a Karolem nie masz żadnego porównania: tamto jest człowiek skończony i mający już dzisiaj niezaprze-: czony i wielorakie znaczenie, a to jest sobie nic. A to nic ma dla nas wielką wartość właśnie dla swojej nicości. Jakoż gdy Izydor, ożeniwszy się z Józją, niezawodnie od nas odpadnie i zaledwie z niego tyle będziemy mieć korzyści, iż świat będzie wiedział, że jego żona to moja córka a twoja siostra, przeciwnie z Karola możemy sobie wyrobić narzędzie, które nam bardzo będzie przydatnem. Ha- niebnaby to rzecz była, bez żadnego wątpienia, gdyby się Karol potem [skompromitował nanowo, ale nawet i z takiego zdarzenia jeszcze byśmy prędzej wyciągnęli pożytek, aniżeli szkodę odnieśli. A coby nam to szkodziło w tych kołach, w których mamy jakieś znaczenie, że się ktoś z naszej rodziny skompromitował? A przyniosłoby nam niemałe korzyści w kołach tych, gdzie żadnego znaczenia nie mamy, a mamy wrogów nieubłaganych. Ty powiesz pewnie, że nie dbasz o takich wrogów, ale wierz memu doświadczeniu, że tak mówić nie można. Opinia publiczna, choćby nawet uliczna, nie jest to przecież rzecz taka, którąby można pogardzać bezkarnie. Jest tam coś w tem koniecznie, jest tam daleko więcej, aniżeli się nam wydaje. Ja to wiem z doświadczeń—

nia, a i ty się przekonasz, jeżeli weźmiesz to na uwagę, że tą opinią nikt nie pogardza, nawet z tych ludzi, którzy mniej więcej pod każdym względem są z nami na równi. Miej ty w tem kole nie wiedzieć jak ustalone znaczenie, a niech cię raz tylko ta opinia uliczna błotem obrzuci, zobaczysz, że uciekać od ciebie będą nawet ci, którzy by ją radzi widzieć na szubienicy. To jest rzecz pewna, jakoż nie mniej pewna i ta, że jeżeliby się z nami spokrewnił, to powinniśmy się jaknajusilniej starać o to, ażeby w opinii publicznej jak największą popularność uzyskał i przy niej się utrzymał. Materiał do tego w nim jest, tykoby go potrzeba umiejętnie pokierować, o co nie byłoby trudno, a widziałbyś potem niebawem, jak taki człowiek w naszej rodzinie byłby nam pożytecznym.

— Nie przeczę temu—rzekł Alfons---jest to myśl dosyć praktyczna; ale na cóż nam człowieka takiego z Karola dopiero wyrabiać, kiedy go w Izydorze mamy już gotowego? Izydor jest bardzo popularnym i szanowanym przez wszystkie warsty, od najwyższej do najniższej.

— Izydor jest popularnym, to prawda, ale ta popularność jest bardzo wątpliwego dla nas pożytku. Izydor stoi zanadto na własnych nogach, ażeby się nam dał powodować. Jest on weredyk zresztą— i jak z jednej strony z pewnościąby nas wtedy odstąpił, kiedyby się przeciw nam obruszyła opinia, tak znowu z drugiej, kto wie, czyli będąc naszym zięciem, nie zechciałby się mieszać w nasze interesy, ażeby je wedle swego widzenia prostować...

— Tegobyśmy mu przecież nie dopuścili.-

— To w takim razie najniezawodniejby się z nami poróżnił i zamiast pomagać, jeszczeby nam przeszkadzał...

— Dziwak to jest, nie ma co mówić—rzekł na to Alfons — ale przecież trudno przypuścić, ażeby mógł być dziwakiem do tego stopnia.

— I ja tego nie przypuszczam—odpowiedział szambelan— chcę tylko wszystko rozważyć i należycie ocenić. Albowiem tylko na takim postawiwszy się gruncie, można być dostatecznie roztroptym. A roztropność, wiesz dobrze, bardzo nam jest potrzebną, względ na opinię konieczny. Jeszcze i z naszych interesów tutejszych nie jeden rozmaicie jest tlómaczony, a cóż dopiero sprawa o nasze dobra podolskie, na którą już mnie samego dochodziły sarkania?

— Za nadto wiele względu zwraca ojciec na tę opinię! Ja się na tę rzecz zapatruję wcale inaczej. Nie zapominam o tem, że żyję w dziewiętnastym wieku, którego głównem bożyszczem jest pieniądz. Opinia, sława, familijne relacye i tak dalej, wszystko to są dziś dii minorurn gentium, które tak tańcuja, jak pieniądz Jowisz im zagra. Mój ojciec, gdybyśmy nie mieli pieniędzy, aniby Izydor, ani Karol, ani pies nawetby do naszego domu nie zajrzał. To jest rzecz główna, a wszystko reszta to bagatela!...

Z podziwieniem prawie patrzył szambelan na syna, który jak widać, w postępowej nauce, nazwanej brzmiało ekonomią materyalną ludzkiego społeczeństwaj jeszcze o wiele go przeszedł. I on wy- 2nawał takie zasady i wedle nich postępował przez

całe życie, ale przyznać się do nich tak otwarcie i śmiało przecież nie miał odwagi. Aleć to tak najczęściej się zdarza w tem życiu! Zaczny, prawy, cnotliwy ojciec rzadko kiedy się widzi prześcignionym w swych cnotach od syna; ale syn ojca niepocziwego, zaledwie szkoły ukończy, już mu w niepoczciwości mistrzuje. Dopiero kiedyś, gdy niepocziwość wszelką przebierze miarę, w jakimś pokoleniu da- lekiem, następuje nagła reakcja, a wtedy wnuk, jak gdyby duchem świętym natchniony, zstępuje z drogi przez swoją rodzinę utartej i idzie pokutować za wszystkie grzechy swoich ojców i dziadów.

— Na tej też opierając się zasadzie —■ ciągnął dalej syn szambelana—już dla samego majątku przenoszę hrabiego nad Karola.

— A cóż ty rozumiesz o majątku hrabiego?

— Rozumiem to, że jego konie są więcej warte, niż pół Zawisłocza.

— Ale jego długi są więcej warte, niż dwa Zawisłocza.

— Czy tak?

— A tak.

— Karol nie ma długów?

— Być może, że w tych dniach zaciągnął dług towarzystwa kredytowego, o czem mnie wieści dochodzą z boku; ale i w takim razie jeszcze to nic, zwłaszcza, że na to mają dość znaczne sumki, polo- kowane na wsiach sąsiedzkich.

— Już ojciec, jak widzę, wyraźnie za Karolem pociąga. Musiał Izydor czemś ojca obrazić Nie jestem koniecznie za tem, ażeby zapominać obrazy;

ale tego nie mogę pochwalić, jeżeli się o nich pamięta przy interesach.

Znowu odebrał ojciec naukę' od syna, ale ją znowu przemilczał, a natomiast rzekł:

— Ja ani za Izydorem nie pociągam, ani też za Karolem, bp wybierając z pomiędzy tych dwóch, prawie zupełnie mi jedno, czy tamtemu dam córkę, czy temu? Idzie mi tylko o to, aby tę rzecz już skończyć nareszcie...

— Otóż i mnie o to idzie — przerwał mu Alfons—bo tylko dlatego tu siedzę i siedzę tak długo, a tam kto wie, co się u mnie dzieje i tyle tam mam interesów na głowie.

— W tem się więc zupełnie nie zgadzamy, a zapewne i w tem, że teraz, kiedy się nam nie udało przez Karola zniewolić Izydora do deklaracyi, trzeba tę rzecz kończyć czempredzej. Jestem nawet zdania, że nie ma co teraz już między środkami przebierać, ażeby potem nie było zapóźno. Zdeklarowani konkurenci około panny to rzecz najgorsza. A zresztą Józia ma już dwudziesty rok. Do dwudziestego roku panna wychodzi zamaż z łatwością, po roku dwudziestym, już to tylko szczęśliwy przypadek...

— No, więc cóż ojciec zamyśla?

— Ja tedy myślę wziąć się najpierwej do Izydora i przyprzeć go teraz, nie tym to owym sposobem, a choćby nawet całkiem otwarcie...

— I ja tak myślę.

— A jeżeli Izydor zrejteruje, dopuścić bez ceremonii Karola i pobłogosławić.

— Dobrze—rzekł Alfons stanowczo — ja tylko sobie to jeszcze wymawiam: że jeżeli Izydor się oże

ni z Józią, to już nareszcie da mu się Prze woźniki, z tym oczywiście warunkiem, że Józia pozostanie w hipotece i że mu ich na żaden sposób obdłużyć nie wolno. Kładę tó na wypadek najgorszy, ale rozumie się samo przez się, iż będziemy prób ywali, ażaliby on nie wolał odebrać zamiast Przewoźnik, jakieś sumki w gotówce, wzamian za to, ażeby cały swój majątek przeniósł na Józię. Zważywszy na jego bladość, czasem odzywający się kaszel, a zawsze tak mocno wypalone rumieńce, jabym to wolał i gotówbym był nawet nieźle zapłacić za Przewoźniku.. Jeżeli zaś Karol ożeni się z Józią, wtedy o Przewoźnikach ani mowy nie będzie, Karol dostanie rentę. Po kilku latach, jak się tego okaże potrzeba (a pewnie się ta potrzeba okaże), dostanie jedną zaliczkę, potem drugą, a przy . trzeciej zamieniamy Prze woźniki na Zawisłocze/ Tym sposobem Zawisłocze się łączy z Bobrówką, o! a Przewoźniki dla takiego szlachcica to bardzo piękna fortuna.

Na taką propozycję godnego syna szambelano- wi głos zamarł w gardle. W rozczeniu najwyższem poszedł do biurka, wydobyl zeń papier na tysiąc guldenów i dając go Alfonsowi drżącemi rękami, rzekł prawie ze łzami w oczach!

— Masz, moje dziecko, kup sobie „Beauty” od Jasia.

Miedziany Alfons schował papierek z największą⁴ obojętnością do kamizelki i zaczął się po swojemu przechadzać po gabinecie. Był wszakże mniej pochmurnym w tej chwili, nawet dosyć pogodnym, co też nie dziwna: niespodziewanym sposobem zrobił dobry interes.

Ale szambelan, choć bezwątpienia zły zrobi! interes, nie przestał na tem, tylko zabrał głos bardzo wymowny, rozwodząc się nad tem, coby to było, gdyby mu się udało Zawisłocze połączyć z Bobrówką? Byłaby to według niego już prawie pańska fortuna, zwłaszcza, że koło Borówki i Zawisłocza jest jeszcze kilka pomniejszych wiosek, któreby nabyć można z łatwością, a których dzisiaj nabywać nie warto, bo choćby ich nabyć nie wiedzieć wiele, zawsze im będzie brakować środkowego punktu i zawsze będą wyglądać tylko jak zawisłockie fpl- warki. Zawisłocze, ze starym zamkiem, ze starożytnym ogrodem o kilkunastu morgach, z tysiąco- morgowym lasem, Zawisłocze tak panujące wspaniale na kilka mii naokoło, wywróciłe głowę szambelanowi na nice...

Jakoż o tera już tylko trwała rozmowa pomiędzy ojcem i synem do późnej nocy, którą co chwila przeplatało powtarzane postanowienie, ażeby zaraz jutro jechać do Grzymalina i Izydora niewolić do deklaracyi—jeżeli zaś to się nie uda, żenić w ten moment Karola.

Postanowienie to było nadzwyczaj trafne, obawiamy się tylko, czyli nie było już troszeczkę za- późne...

Tymczasem, kiedy na prawem skrzydle pałacu tak żarliwie radzono o losach Józi, nie pytając jej wcale ani o jej uczucia, ani o zdanie — ona sama znajdowała się na ostatnim krańcu lewego skrzydła i była dziwnie smutną i przygnębiałą. Siedziała na małym krześle przy stole, główkę oparła na rękę i miała twarz tak wzburzoną, jakgdyby dopiero co

jakąś olbrzymią stoczyła walkę, albo ją jeszcze teraz toczyła. Po pokoju powolnym krokiem przechadzała się siostra jej ojca, ze złotą lornetką w ręku, i przypatrując jej się od czasu do czasu nadzwyczaj pilnie, urywaną z nią prowadziła rozmowę.

— Nie smuć się, moje dziecko — rzekła ciotka nareszcie — wszystko to jest jaknajwiększe dzieciństwo. Minie rok jeden i drugi—a potem sama nie będziesz się mogła temu wydziwić, że cię takie drobnostki mogły tak boleśnie dojmować.

— O nie! moja ciotko, nie! — odpowiedziała Józia z taką energią, jakiej po jej melancholicznej powierzchowności z ostatnich czasów zaledwie się można było spodziewać—nie, moja ciotko. To nie są wcale drobnostki. Oh! — zawołała, porywając się z krzesła i łamiąc ręce ze łzami — tak go nie- litościwie odprawić, tak po tyrańsku rozszarpać kochające to serce, nie! to jest nad moje siły. Miałam już siłę po temu... ale ja straszny popełniłam występki, ja tego nigdy nie przeboleję!

— Czas moje dziecko, jest doskonałym lekarzem na wszystko, a najlepszym na miłość. I czy ty myślisz istotnie, że Karol będzie tak bardzo rozpaczał, żeby to aż zdrowiu jego szkodziło? Nie znasz ty jeszcze mężczyzn, moja Józio kochana, poznasz ich kiedyś, a wtedy będziesz wcale inaczej o nich rozumieć.

— Ciocia nie zna Karola.

— Nie jest on innym od wszystkich.

— Oh! wcale innym. Przynajmniej dzisiaj jest innym i jeszcze długo nim będzie.

— Ja w nim nie widzę nic odmiennego. I cóż!

Koęha się, tak jak każdy się kocha w tobie, któr[^] cię. tylko zobaczy.

— Ale jak on się kocha!

— Tak, jak każdy. A Izydor czy się także nie kocha?

— Także się kocha, niestety! — odpowiedziała Józia z ciężkim westchnieniem.

— Więc o cóż chodzi? jużci jednego z nich trzeba poświęcić. A wybierając pomiędzy tymi dwoma, zaprawdę niema żadnej trudności w wyborze. Niema tu zresztą już co się wdawać w żadne długie dysputy, rzecz skończona. Odprawiłaś już Karola, już nie wróci...

— Także mi ciocia powiada! — odpowiedziała dumnie szambelanówna — każdy z nich odprawiony sto razy, na każde skinienie się wróci.

Westchnęła na to ciotka, myśląc zapewne: •Gdzież te czasy, kiedy i ja tak samo mogłam powiedzieć o sobie!

. Józia zapadła znów w zamyślenie. Zbliżyła się do niej ciotka, pogłaskała ją pod brodę i rzekła:

— Nie myśl już o tem, moje dziecko, to cię, tylko irytuje tem więcej. Zrobiłaś wybór najlepszy i n^e powinnaś mieć sobie nic do wyrzucenia.

v — Ja nic o tem nie wiem, jaki zrobiłam wybór. Czas to dopiero pokaże: nateraz i zapewne nadługo pozostałam w niepewności najsroźszej. O! gdybym przynajmniej wiedziała, że ten, któregom tak nielitościwie odepchnęła od siebie, będzie na tem raniej cierpiał, aniżeli ten, któregom sobie wybrała?

— O! to przecież najmniejszemu nie ulega wątpieniu.

— Dlaczegoż to? ja tego wcale nie widzę — zapytała Józia, rada zapewne usłyszeć, coby odpowiadało terażniejszemu jej przekonaniu.

— To jest rzecz najprostsza po słońcem—Odpowiedziała jej ciotka.—Widzisz moje dziecko, Karol to jeszcze chłopiec młodziutki, zakocha się prędko, może nawet dosyć gwałtownie, ale dlatego właśnie tem prędeż swoją miłość zapomni. Pocierpi trochę, popłacze może, będzie się rzucał niepowścią- gliwie w boleści; ale lada dzień nawinie mu się jakaś inna twarzyczka, podoba mu się, bo młodemu zawsze się coś musi podobać, i on się jej także podoba, bo miody — ot! i już koniec boleściom.

— Nigdy tego Karol nie zrobi — zauważyła stanowczo Józia.

— Zrobi najniezawodniej i zobaczysz, że wkrótce same się o tera dowiemy. A nie tak się ma Izydor. Izydor stoi dziś na tym punkcie, na którym człowiek żegna się z młodością. Ty nie wiesz, moje dziecko, jaka to jest chwila ważna; z jaką to skwapliwością, z jakim zapalem chwyta się wtedy za to wszystko, co młodość z sobą przynosi, z jaką namiętnością przywiązuje się do tego, co te resztki młodości są w stanie zdobyć i przekazać dalszemu życiu. Nie pierwsza to miłość, moje dziecko, jest tak gwałtowną, jak ją opisują poeci, ale właśnie ostatnia. Nie pierwsza to miłość, która nas nawiedza wtedy,- kiedy cały świat przed nami otwarty, jest w nas nieuleczoną; ale ostatnia, która przy-

chodzi wtedy, kiedy oprócz niej niczego się już nie możemy spodziewać po świecie. Taka to miłość jest tą chorobą, na którą niema żadnego lekarstwa — i ona to w nas zostawia tę gorycz, tę rozpacz, która nam towarzyszy do grobu. A w takim właśnie wypadku znajduje się Izydor. Sto razy Karol jeszcze się może wyleczyć z zawiedzionej miłości—Izydor nigdy się już nie wyleczy. Odprawiając Karola, sprawiasz mu przykrość—Izydora, zabijasz!

Józia milczała. Po chwili znów diotka mówiła dalej:

— A zresztą, moje dziecko, nie na to stworzony jest człowiek, ażeby się drugimi zajmował, lecz przedewszystkiem samym sobą. Niedorzeczna to panna, która dlatego idzie za kogoś, że gdyby nie poszła, to onby na to chorował. Może kiedyś były takie poczciwe panny na świecie, ale dziś nie zostało z nich ani śladu. Nawet tradycja ich zaginęła, jeżeli była; ja przynajmniej nic o niej nie słyszałam. Dziś każda panna ma rozum i rozumnie wybiera. A proszę cię, jak tu można tylko się zastanawiać, mając do wyboru pomiędzy Karolem a Izydorem? Karol, jakiś mały sztachetka o jednej wiosce, ledwie sam z czego ma wyżyć, bez znaczenia, bez stanowiska, bez żadnych relacyj na wielkim świecie, studencik jakiś, stojący jeszcze do dziś dnia pod opieką swej matki, kobiety, jak słyszę, nieznośnej, nudnej, kapryśnej bigotki i dziwnej jakiejś arystokratki. Cóżbyś* ty tam miała za życie, choćbyś się nawet i w twoim mężu kochała? Miłość mężowska, choćby się w pierwszych czasach zdobyła

na jakie takie powozy, na znośną służbę, a nawet w pierwszym roku na jaką podróż do Maryenbadu, jeżeliby na nią zezwoliła mamunia wprędce potem wcaleby się zmieniła, bo musi się zmienić—na Zawisłoczu. Po latach kilku, kiedy ty właśnie będziesz jaśnieć najświetniejszą pięknnością, kiedy ci właśnie używać tego świata, którego cała młodzież u nóg leżeć ci będzie, ty co natenczas? Ty, jako prosta szlachcianka, siedzieć będziesz ha wsi, będziesz mamczyć i niańczyć swym dzieciom, pocieszać skłopotanego męża, który ci się skarżyć będzie na ciężkie czasy, przez miłość dla niego klucze nosić u pasa i odmawiać sobie nawet wstążeczek — a za to wszystko wolno ci będzie w niedzielę rano do parafialnego wyjechać kościoła, a po południu przyjmować księdza plebana, a w najlepszym razie pana Piotra i Pawła, którzy cię będą tytułować panią dobrodziejką i bawić konwersacją o pszenicy i o życie. Dodaj jeszcze do tego ukochaną babunię, która od świtu do nocy oka z ciebie nie spuści, w której oczach ty zawsze za mało będziesz kochać swojego męża i która cię będzie gospodarstwa uczyć przez całe życie—dodaj do tego te wiejskie obiady, na których szlachta się spije, jak susły i zmoczone- mi wąsami będzie zamiatać twe rączki; bodaj te wiejskie bale, na których będziesz musiała hulać z młodzieżą wiejską, zamaszystą i tupającą, że aż ci w uszach będzie strzykało; dodaj jeszcze do tego wszystkie odpusty i imieniny, na których siedzieć będziesz na kanapie pomiędzy wyczupierzonemi parafiankami, patrzącemi na twoją suknię z rozdzia- wionemi gębami i obnoszącemi cię potem po całym

świecie, że tracisz, rujnujesz męża, niepotrzebne zbytki wprowadzasz, albo jeszcze i gorzej — a będziesz miała wierny obraz przyszłości twojej w Zawi- słońcu. Roztyjesz się, zestarzejesz przed czasem i zostaniesz jejmością—a za kilka lat i pamięć o tobie zaginie na świecie! Przyjdzie potem kiedyś żal i skrucha i ciężkie wyrzuty przeciwko sobie—wtedy ci się i oczy otworzą, „ale, niestety! zapóźno. Znam ja to wszystko jaknajdoskonalej, tak to było i ze mną!...

Józia ciągle milczała — a ciotka mówiła dalej:

— A nawzajem, czyż potrzebuję ci przedstawiać, jakie będzie twoje pożycie z Izydorem. Człowiek to taki bogaty, mający imię tak piękne, taki ton wzniosły, tak delikatne uczucie, smak taki wykwinny i tak wspaniałe relacje na wielkim świecie! A jak cię kocha, o tem nie trzeba i mówić. Wszystko to, co on dzisiaj powiada, najwierutniejsza bajka. Niechno się tylko ożeni, wszystko z nim zrobisz, co zechcesz. Nie tacy tó straszni są ci mężowie, jakich radzi udają; ja to wiem z doświadczenia. Na klęczkach będzie chodził przed tobą, jeżeli tylko tego nie będzie trzeba, bo tu rzecz przewidziana, jak on sam dom swój urządzi. Ja tobie ręczę, że ty z nim ani jednej zimy nie przepędzisz na wsi, będziecie ciągle we Lwowie, w Krakowie, w Wiedniu, a bezwątpienia i w Paryżu. Nie zaśniedziejesz za nim, nie potrzebujesz się obawiać tych kół towarzyskich, w które on cię wprowadzi— a przy twojej piękności, twoje życie będzie tylko łańcuchem nieprzerwanych tryumfów. Wróćcie na

wieś na chwilę, a choćby nawet na dłużej, to i tu jeszcze nie będzie ani porównania pomiędzy Zawi- sloczem a Grzymalinem. Dom elegancki, najpiękniejsze powozy i konie, gość doborowy, ciągle relacje ze światem—to wcale jest co innego. Przy takim życiu będziesz wesolą, piękną i młodą na wieki, chmury najwykwintniejszej młodzieży otaczać cię będą bez przerwy, będziesz się nimi bawić, jak ci się będzie podobać — a zestarzejesz się, to i tak jeszcze zatrzymasz to stanowisko na świecie, jakie ci się słusznie należy... Cóż, czy jeszcze ci żal twego Karola?

Józia się w tej chwili trzymała obydwoma rękami za głowę i zdawała się być mocno cierpiącą. Jej fizyczny organizm nawet, chociaż może bezwiednie, wzburzył się pod naciskiem tej perory szatańskiej i targał się w mękach piekielnych.

— Cóż tobie?—spytała ciotka.

— Głowa mnie pali, jak ogniem, muszę się troszkę położyć.

— To połóż się, moje dziecko, i poleż sobie spokojnie, to przejdzie.

Biedna Józia! Oh! czemu nie było przy niej w tej chwili jakiego dobrego ducha, któryby ją był gwałtem powrócił na ową drogę, na której była, siedząc w chatce Bernata! A było to teraz tak łatwo Był tam wprawdzie obraz Matki Najświętszej, który! wisiał nad jej łóżeczkiem—jedna modlitwa, jedno serdeczne westchnienie na klęczkach, byłoby może poradziło wszystkiemu—ale niestety! nie było niko-

go przy niej, któryby jej oczy obrócił w tę stronę i ugiął pod nią kolana!...

Józia się położyła na łóżko i cierpiała troszeczkę—a jak ból głowy przeminął, zaczęła marzyć o błyszczących powozach, galonowanej służbie i salonach Paryża.

Dziwnie są czasem leniwi ludzie we wzięciu postanowienia wtedy, kiedy to postanowienie od nich samych zawisło i kiedy go najpilniej potrzeba; ale natomiast ileż razy rwą się do ostatecznej decyzji tam, gdzie ona wcale od kogo innego zależy. Bodaj czy nie tak samo działo się w Przewoźnikach. Wszyscy tam bowiem, i szambelan i Alfons, i ciotka i Józia, rozumieli o sobie, że dosyć jednego ich słowa, ażeby jednego z konkurentów przyjąć, a drugiego odrzucić—a żadnemu z nich ani na myśl nie przyszło, że ani Izidor, ani Karol, nie są martwymi rzeczami i mogą mieć także swą wolę. Ale to taka zarozumiałość, taka szatańska pycha siedzi w tych ludziach, którzy ugięli kolana przed bożkiem dziewiętnastego wieku, przed złotym ciel- cem-materyą. Nie zapoznali oni ducha, lecz zlekceważyli moc jego; widząc w nim tylko pomysły, uniesienia, namiętności, zapęły, o których im się zdaje, że są tylko na to, ażeby się zamieniały w cy

fry dla ich niechrześcijańskiej rachuby. Niechaj-że się ten duch broni, niech nie ustaje w swej waleczności, niech nie da wyrzeć ani jednej stopy ziemi z siebie; bo zaprawdę niemałe jest podobieństwo, że może uleść i stać się niewolnikiem materyi na tak długo, aż póki go jaki wiekowy geniusz nie wyswobodzi z tych więzów i nie powróci mu panowania nad światem...

Obadwa konkurenci dawno już byli w Grzymalinie. Tak jadąc, jak ruszyli z przedganku, za kilkanaście minut byli już na dziedzińcu. Przez całą drogę nie mówili ani słowa do siebie — trudno im nawet było co mówić, kiedy konie, puszczone na wiatr, parły takim gwałtownym pędem, że kabriolet rzucał się po drodze jak piłka i raz tylko, kiedy ten lekki powozik, uderzywszy o kamień, podskoczył o dwa łokcie od ziemi, Izydor się na to uśmiechnął, obrócił się do Karola i rzekł:

— Ot! i małośmy karków nie pokręcili! Ale kto wie, możeby to było i nieźle?...

— Nie miałbym nic przeciw temu w tej chwili—odpowiedział mu Karol ozięble i nie przerywał dalszego milczenia.

Zajechali nareszcie w dziedziniec. Tam się zatrzymali na moment, tam bowiem zastali trzy powozy, właśnie co przywiezione z Wiednia i dopiero co uwolnione z opakowania. Śliczne to były powozy; była jedna, duża kareta, na wiszących resorach, tak zwany: Staatswagen, z wyniosłym kozłem, ozdobionym pysznym czaprakiem, druga była mała karetka, trzeci powóz był duży, oszklony—a wszystko to eleganckie, pyszne i w smaku, jak tylko można

najlepszym. Oglądali obadwa młodzieńcy te tak ciekawe dla każdego konkurenta towary, a Karol bardzo je chwalił. Przybliżywszy się wszakże do eza- | praka wielkiej karety, lubo się mógł tego spodziewać, jednak nie pomału się zdziwił, zobaczył tam bowiem dwa herby i już połączone za sobą: jeden Izydora, a drugi szambelanówny. Spostrzegł to Izy- f dor i spytał:

— Czy widzisz?

— Widzę — rzekł Karol — i tak rozumiem, że obaczywszy to, najlepiejbym zrobił, gdybym natychmiast nawrócił i do domu pojechał.

— O! toby nie miało sensu. Pierwej wyrok, a potem egzekucya, tak zawsze bywa. Te powozy mogą się przydać i tobie, ja ci je zaraz odstąpię. Każesz tylko na każdym z nich jeden herb zmienić, a i to nie będzie zbyt trudnem: wszakżeż twój herb, to krzyż i podkowa, moja podkowa i pół krzyża, cóż za wielka rzecz domalować jeszcze pół krzyża?

— A! — rzekł Karol, wchodząc w żart jego — jeszcze na tem nie koniec: hrabska korona i strusie pióra, to także nie moje*.

— Ani za koronę, ani za strusie pióra Józia pewnie się nie pogniewa, za to ci ręczę. Ale chodźmy.

To rzekłszy, obrócił się do swego marszałka dworu i rzekł mu:

— Samowarf fajek! świec i ognia na komin do zielonego pokoju! wszystko w lot! i żeby mi potem cicho było w całym domu, jak mak siał!

Z tem poszli do zielonego pokoju; lecz ledwie

poskładali kapelusze i rękawiczki, rozkazy pańskie już były spełnione. Jeden sługa przyniósł kipiący samowar, który zapewne bez przerwy kipiał w tym domu, drugi wniósł filiżanki, trzeci przekąski, czwarty świece, piąty rozpalał ogień w kominie. Izydor sam nasypał herbaty w nalewkę, a nim naciągnęła, obadwa młodzieńcy przechadzali się w milczeniu po wielkiej komnacie, graniczącej z sypialnią.

Za małą chwilę była już cisza koło nich, jak na cmentarzu — a Izydor, wypiwszy całą filiżankę chińskiego napoju, przystąpił do Karola i tak zaczął:

— Będziemy mieli bardzo przyjemną z sobą rozmowę, mianowicie z tego powodu, że będziemy sobie prawdę mówić w oczy, rzecz nadzwyczajnie rzadka dziś na tym świecie, chociażby nawet pomiędzy braćmi. Proszę cię tedy, siadaj naprzeciw mnie i pozwól mnie wziąć inicjatywę.

To mówiąc, odsunął stół z niezapalonymi świecami, bo jeszcze słońce świeciło, przysunął dwa fotele naprzeciw sobie, w których oba usiedli, i tak mówił dalej:

— Przedewszystkiem innym tedy muszę ci w tem prawdę powiedzieć, dlaczego cię tutaj przywiozłem i dlaczego nie postąpiłem z tobą, jak się zwyczajnie postępuje z rywalem. Otóż dwa miałem powody. Najpierwszy ten, że zaraz jutrobym się powiesił, gdyby dwóch zacnych ludzi zrobiło szambelano- wi tę satysfakcję, żeby się bili o jego córkę. Takiego tryumfu za nic mu nie dopuszczę: to jest zwierzę, ssące krew z naszej spuścizny, mam sobie za najświętszy obowiązek deptać po nim, jak

tylko mogę... Drugi zaś powód jest ten, że cię kocham. Kochałem twój ojca ze czcią świątobliwą; stary ten żołnierz, który walczył usque ad finem i zginął potem, jak męczennik li tylko dla swojej pochopności do walki, był moim bożkiem. Taka krew, dochowana w takiej czystości, aż do czasów dzisiejszych, to jest świętość, do której się modlić należy. Ta krew płynie i w twoich żyłach. Co z ciebie będzie, ja jeszcze nie wiem, ale wierzę w krew i nie widzę po tobie wcale, abyś się jej zapierał. Dla takiej krwi warto jest coś poświęcić, warto nawet wylać i własną krew, zwłaszcza taką, jak moja. Była ona może także niezła po ojcach, ale dziś warta nie wiele... Ja nie widzę dla niej żadnej przyszłości; nie jestem nawet pewnym, czy syn mój nie będzie ślepym, albo kosonogim lub suchotnikiem, jeżeli go skruffy nie zabiją w kolebce. Ja zresztą sam już niewiele wart jestem. Na- demną wisi miecz Damoklesa, którego ja nie potrafię odsunąć. Ja jestem z tej starej, przesądnej szlachty, która pomimo rozumu i wykształcenia, nie potrafi pójść z prądem czasu i którą przeto wiek dziewiętnasty najniezawodniej wymiecie. Takimby był i syn mój. Pocóż rozmnażać takie pokolenie nieszczęsne? — Samolubembym tedy był i w moich własnych oczach występny, gdybym dla szczęścia takiego człowieka, jak ja, poświęcał szczęście takiego, jak ty, który jesteś zdrow na ciele i duchu i możesz się stać pożytecznym, ba! świetnym nawet członkiem tej wielkiej rodziny, którą tak wszyscy kochamy. Czy zrozumiałeś mnie? — Zrozumiałem zupełnie — odpowiedział mu

Karol — ale nie widzę wcale, dokąd nas może zaprowadzić taka dysputa? W najlepszym razie doprowadzi nas ona do tego, że się jeden z nas dla drugiego dobrowolnie poświęci...

—r Oczywiście do tego. Czyż trzeba więcej?

— Wcale nie trzeba, ale w takim razie i dysputy nie trzeba. Czy ty przyjmiesz taką ofiarę odemnie?

— Każdy z nas przyjmie, na którego ten los wypadnie.

— No to ją masz — odpowiedział Karol po- pywczno — i daj Boże szczęście!

To mówiąc, chwycił już za kapelusz.

— A! ba! — zawołał Izydor na to, wyjmując mu z ręki kapelusz i sadzając go napowrót na jego miejsce — tak to nie będzie. Nie ten ustąpi, który się pierwszy z gotowością ustąpienia odezwie, ale ten, któremu chłodną rzeczy rozważą ten obowiązek przyznamy. Spodziewam się, że się zgodzisz na to, wszakże jesteście ludzie rozumni. Ale żebyśmy doszli do celu, trzeba nam oczywiście wypowiedzieć się obustronnie przed sobą, a mianowicie, opowiedzieć ze szczegółami, jak każdy z nas przyszedł do tego, że się w Józi zakochał. Moja historia jest krótka; zaczynaj ty, twoja dłuższa.

— Cóż tu w tem może być ciekawego?—rzekł na to Karol z niechęcią. — Jeżeli chcesz zresztą, to ci powiem, że od dnia dzisiejszego wcale się w Józi nie kocham. Odprawiła mnie ostatecznie i ja przyjąłem odprawę. Jeżeli o to idzie, to nawet nie mam żalu do niej za to tyraństwo; musiała to zrobić, była do tego zmuszoną.

— Zmuszoną? — zapytał Izidor z ironicznym zdziwieniem—a to przez kogo?

— Przez ojca.

— Ale fe, śmieję się z tego. Józi nikt do niczego nie zmusi, a najmniej ojciec. Jeżeli on o tem marzy, to się myli zupełnie i zapomina o tem, że Józia ma Przewoźniki i sama jest w hipotece. Tylko to się stać może, co "ona sama zechce; za to ci mogę zaręczyć.

Karol pomyślał nad tem i rzekł:

— A to w takim razie jeszcze, tem mniej mamy co mówić z sobą, bo najwidoczniej ona kocha się w tobie.

— I to nieprawda. Ona ani się we mnie kocha, ani w tobie, ale kochać się będzie w tym, który się z nią ożeni i umiejętnie ją poprowadzi. Jeżeliby się zaś już koniecznie w kimkolwiek kochać miała, to prędzej w tobie, niż we mnie; pomiędzy wami są dawne reminiscencye—ja się jej tylko podobam, może głównie dlatego, że sobie obiecuje za mną świetniejszą przyszłość, aniżeli za tobą. Główka tani dziwnie nabita ekwipażami, liberyą i salonami, czem wszystkim ją okarmiono we Lwowie, a szkoda, bo grunt tam był wcale inny...

— Wiesz! — zawołał na to Karol, zrywając się nagle z siedzenia—wiesz, jeśli ta Józia jest choćby tylko podobną do tamtej, którą poznałem w chatce Bernata, to chyba ja ślepy zupełnie. Co się to z niej zrobiło! Bodajby przepadł na wieki ten, który tę czystą anielską duszę taką zaraził zgnilizną!

— No siadaj-no — odpowiedział mu Izidor ze spokojnym na twarzy uśmiechem—siadaj i powiedz

mi coś o tej chatce Bernata. Ja już wiem trochę o tych dwóch romansach, które się tam zawiązały, ale chciałbym się wszystkiego dowiedzieć.

[†]— O! ta chatka Bernata! —mówił na to Karol na pół w zamyśleniu —ile tam szczęścia mieszkało niegdyś pomiędzy temi ubożuchnemi. ściankami! Jaka to była ta Józia, który mi tam pielęgnowała moją ranę na głowie, herbatki sporządzała co rano, opowiadała o tym przewoźnickim pałacu, w którym jej było tak zimno, cieszyła się Zawisłoczem, które sobie wyobrażała tak ciepło! Oh! jaka to Józia była natenczas! — A cóż się to z niej teraz zrobiło! Zimna, wyrachowana kobieta, marząca o ekwi- pażach i salonowych tryumfach, depcząca najpiękniejsze uczucia, jak kwiaty zwiędłe, lekkomyślnemi nogami, odtrącająca kamienną ręką tego od siebie, któremu dopiero wczoraj dozgonną przysięgła miłość! i odtrącająca go tak nielitościwie dlatego, że jest ktoś drugi, który ma o dwie gałki więcej w koronie, o dwa powozy więcej w wozowni, o dwa pokoje więcej w swym domu! Oh! Izydorze! tak się oszukać, z takiego nieba być wyrzuconym w taką plugawą kałużę, to nie ziemską jest rzecz, to jest paszcza piekielna!

Ostatnie te słowa mówił Karol ze łzami, a zaledwie je skończył, w głos się jak dziecko rozpłakał. I płakał tak bez ustanku, chodząc chwiejąco- mi się krokami po komnacie i drgając spazmatycznie na całym ciele.

Izydor milczał, lecz przypatrywał mu się z pilną uwagą.
Za małą chwilę uspokoił się Karol cokolwiek,

ale z dziwnie zmieszaną twarzą do Izydora przystąpił i mówił dalej:

— Ale wiesz, niechaj kto mówi co chce, jest przecież coś osobliwego w tej zagadkowej kobiecie. Jakiś demon tam siedzi, anioł, czy szatan, sam nie wiem, ale jakiś duch zawsze z szatańską siłą atrakcyjności. Cóż powiesz na to? Ja ją dziś widzę jak najzdrowszymi oczyma, widzę w niej wszystko złe, jakby na dłoni, widzę, że przecież o wiele lepszej wart jestem żony, widzę, że kto wie nawet, czyby to dla mnie nie było największym nieszczęściem, gdybym się z nią ożenił — a przecież... ale nie! nigdybym tego nie zrobił, choćby tam ciebie nawet nie było! Nigdy i nigdy! Życie moje, zdrowie, najzwyklejszą pracę do grobu, dam dla kobiety, któraby mnie kochała — ale mnie, mnie samego, nie moje powozy, konie lub stanowisko pomiędzy ludźmi! Dla takiej nic — i żebym na to chorował przez całe życie, gdybym nawet wiedział, że umrę, jeśli się z nią nie ożenię: to jeszcze nie! jeszczebym się z nią nie ożenił! — Rękę moją zawsze jej podam, jeżeli jej kiedy zapotrzebuje, czuję to, że gotów bym był zrobić dla niej każdą ofiarę, ale ofiary z siebie samego...

Tu umilkł, odwrócił się i dodał znowu ze łzami:

— Och! co mnie ta kobieta kosztuje, to tylko Bogu jednemu wiadomo!

Poczem przechadzał się po komnacie, zaledwie na pół przytomny.

Izydor przypatrywał mu się jeszcze zawsze z uwagą, ale już teraz całkiem inny był wyraz

na

jego twarzy. Wyglądał tak, jak gdyby zrobił komuś coś dobrego i czuł w swem sercu owo błogie- zadowolenie, będące najwyższą i najczystsza rozkoszą człowieka. Jakoż zdawało się rzeczą pewną, że w tej chwili powziął już jakieś postanowienie, zapewne dla Karola korzystne. Z wesołym uśmiechem na twarzy rzekł do niego:

— Siadaj-no tu koło mnie.

A gdy Karpi siadł, tak mówił:

— Nic rozumniejszego nie mogło się stać, jak to, żeśmy tu przyjechali. Bo co też za głupstwo solenne byłbym ja zrobił, że nie wspomnę o tych, które już porobiłem.. Umieblować dom, posprowadzać powozy... a czy to nie jest to samo, co łowić ryby przed niewodem? Ale to tak zawsze jest ze raną. Niech mnie się kto spyta, jak ma postąpić w tym albo owym wypadku, ja mu z pewnością doskonale poradzę; ale to, co ja sam zrobię dla siebie, jest zawsze największą niedorzecznością. Niepraktyczność! śmiertelny grzech w czasach dzisiejszych! Dawnemi czasy można było żyć z takim grzechem Bóg wie jak długo i nawet być wielkim człowiekiem, ale w dziewiętnastym wieku się na to umiera. I mnie też ta śmierć nie minie, jak Bóg na niebie...

Karol tego wszystkiego słuchał, ale za ledwie w połowie rozumiał. Utkwiły mu tylko w pamięci umieblowanie i sprowadzenie powozów, jakoż rzekł na to:

— A ja nie widzę wcale, coby w tem było nierozsądnego, żeś się naprzód wyekwipował. Mogłeś przecie być pewnym, że jak się tylko odezwiesz

O rękę Józii, to ci jej nikt nie odmówi. Gdyby było konkurentów piętnastu, to i toby ci nic nie szkodziło, zwłaszcza, że Józję już zapewne poznałeś
I wiedziałeś o tem, że na twoje zgłoszenie się gotowa porzucić nawet i tego któregooby do szaleństwa kochała..

Uśmiechnął się na to Izydor i rzekł:

— A widzę żółci w tobie wcale nie braknie! Nie spodziewałem się tego po tobie, chociaż się mogłem spodziewać, bo najpierw, przesiedziałeś się dwa lata w kozie, a po wtóre, Józia cię obraziła. Ale jakkolwiekby, muszę ci to dobitnie powiedzieć, że ty na Józję z najfałszywszego zapatrujesz się punktu. Ty nie znasz kobiet wogóle, a co gorsza, ty nie znasz nawet i Józii. Czy wiesz, co to kobieta? Kobieta jest to stworzenie bierne nawskróś — kobieta nie jest sama w so. bie jednostką — kobieta jest tylko dopełnieniem mężczyzny i dopiero z nim połączona stanowi całość. Kobieta jest tylko tem, czem ją uczyni mężczyzna; mężczyzna jest za wszystko odpowiedzialnym, za nic kobieta. *Toute folie de la femme est une sottise de Vliomme* — powiedziano już dawno i doskonale. Ja kiedy widzę występłą kobietę, to ją żałuję, ale się brzydzę jej mężem. I nawzajem, kiedy widzę cnotliwą, zawsze mam poszanowanie dla męża, choć go w takim razie dwa razy tyle mam dla niej. O! zmiłujcie się, tylko mi kobiet tak surowo nie sądzcie! To są anioły, które się zabłąkały na ziemię przez całe swe życie po tej obcej dla siebie krainie, jak po ciemnicy — żadna z nich nie potrafi się obejść bez przewodnika — azliż winna z nich która, jeżeli dostała za przewodnika głupca

albo szatana? —A czemuż jest panna? Panna jest pączkiem, który sam jeszcze nie wie o swych kolorach, jest wyłożonem zewnątrz naczyń, w które w najlepszym razie nakładzono i tych i owych co najpokupniejszych towarów bez ładu; jest gąsienicą śpiącą, na pół martwą moralnie, z której dopiero kiedyś ma wylecieć ten piękny motyl, kobieta. I czegoż ty możesz wymagać po takim śpiącym stworzeniu? Tu ją podnoszą ku niebu jakieś pół-święte natchnienia, natchnienia, których nie pojmie żaden poeta, tam ciągnie ją jakieś uczucie do jakiegoś młodzieńca, tu ją olśniewa blask imienia, majątku, szczęścia, tam jej imponuje światłość wysokiej cnoty albo potęga rozumu — sama nie wie, gdzie iść, tak ją to wszystko rozrywa, ona, która dopiero wczoraj, półsenne otworzyła na świat oczęta — a tu tymczasem huczą nad jej głową ojciec i matka, dziadek, babka, stryj, ciotka, guwernantki, przyjaciółki, sąsiedzi, a każde huczy innym sposobem, każde jej prawi co innego, każde ją ciągnie gdzieindziej.— Ah! daj ty mi pokój! Gdybym ja był panną, ja, który mam rozum mężki, trzeźwy i doświadczony, jeżelibym nie zwaryował w pół roku, byłby to cud prawdziwy od Pana Boga!

Po chwili mówił Izidor dalej:

— Daj że ty pokój i* Józi. Co ona winna? Że się tam to i owo nie zupełnie potrzebne zakradło w umysł i seree, tego przed tobą nie taję. Przy takim ojcu i bracie, przy takiej ciotce, którąbym mógł prosto odesłać do domu poprawy, przy takim zresztą otoczeniu, w jakie ją wprowadzono we Lwowie, jak ty chcesz nawet, aby pierwotna przezro

czystość jej duszy nie została troszeczkę przyćmioną. Ale to przyćmienie jest tylko leciutkim pył- Jdem, który osiadł na brylantowej bryle jej serca. Przyjdzie mąż, raz tylko dmuchnie — i wszystko to sZginie bez śladu.

Nawzajem teraz znów Karol przypatrywał się z wielką uwagą Izydorowi, a lubo młody i wcale jeszcze niedoświadczony, przecież nie mógł tego nie widzieć; że tylko głęboka miłość, połączona z równie głęboką zacnością duszy, mogła się tak .zapatrywać na Józię, zwłaszcza nie znając jej wcale, jaką była w samej istocie przed dwoma laty. Słowa te nadzwyczajnie rozrzewniły Karola — a tymczasem Izydor mówił dalej:

. — I będziesz widział, co się to zrobi z tej Józi, zwłaszcza jeżeli dostanie odpowiedniego męża. Ale niema się co o to obawiać, ja nie znam lepszego męża dla niej od ciebie...

— Ja znam, bo jestem pewnym, że jej przyszłość będzie daleko bezpieczniejszą pod opieką twoją.

— Fi...—mówił na to Izydor — to jest bardzo wątpliwe... Są może we mnie niektóre rzeczy, kt- remi w tej chwili ciebie przenoszę, może cokolwiek więcej mam doświadczenia; ale są znowu rzeczy do szczęścia małżeńskiego niezbędne, o których nie -chcę wspominać, a których mnie może brakuje. To wszakże wspomnę, że ja nie bardzo zdrow jestem. Piersi mnie bołą, czasem mnie jakaś ospałość obejmuje, czasem hipochondryczne miewam napady, wszystko to znaki bardzo nie dobre. Ja mam sumienie, które wprawdzie Józia swoją postacią we

mnie uspiła, ale tyś je obudził nanowo, za eo ci bardzo dziękuję...

— Ot! gadasz sobie. Ja nie znam człowieka zdrowszego od ciebie. Ja sam dziękowałbym Bogu, gdybym był w stanie to wytrzymać, co ty wytrzymujesz

— Otóż to jest, że się wytrzymało za wiele. Bagatela! Trzeba było być wszędzie i ze mną i we- mnie, ażeby temu uwierzyć, co się już wytrzymało. Jakoż doprawdy,* że te nogi jeszcze tak czuję; ja sam ledwie wierzę, kiedy o tem pomyślę, gdzie nie był, przez com nie przeszedł i czegom już nie- przecierpia!

Tu się Izidor zamyślił i trwała chwila milczenia. Ale niebawem się zbudził, nadzwyczaj... zajęty i ożywiony i tak mówił:

— Ale wróćmy do Józi. Wiesz co, ty bardzo dobrze powiadasz, że tam w niej jest jakiś demor* ukryty. To w samej rzeczy jest wcale niecodzienna kobieta. Ja już niejedną piękną kobietę widziałem, bardzo piękną, a nie pamiętam, żeby która takie na mnie/ sprawiła wrażenie, jak ona. Ja ją po* raz pierwszy ujrzałem tego roku we Lwowie. Za-* stałem ją w salonie Millefleurs i zastałem ją w oto czeniu najgorszem. Kobiety, które się w takim towarzystwie spotyka, nie robią nigdy na mnie- wrażenia: to są spręciki, ten się bierze, tamten się mija. Ale kiedy ją tam ujrzałem, pomimo- to, że tam ją ujrzałem, zaraz za pierwszym rzutem oka obudziło się we mnie jakoby jakieś zdziwienie a cóż ta tutaj robi?— spytałem, kto to jest, poznałem ją, pomówiłem kwadransik — i miałem dosyć.

Śmiej ty się ze mnie, jeśli ci się będzie podobało, ale ja ci przecież to powiem, że jak na dwadzieścia pięć kul, które biję kula na kulę, o głowę moją idę, że najwięcej dwie pójną mi w blachę — tak na dwudziestu pięciu ludzi, których obejrzę i z którymi się wedle woli rozmówię, także pewnie nie więcej, jak na dwóch się omylę. Ale nie dziw się temu, bo to jest najprostsza rzecz: zdrowy sens w głowie i wprawa. A ja już lat kilkanaście się poniewieram po .-świecie i nic innego nie robię, tylko czytam te książki, które chodzą na nogach. Może wprawny literat za kilka minut dowiedzieć się od niemej książki, która niema oczów i twarzy i nie odpowiada mu na pytania, czego się po niej może spodziewać; może również do takiej samej wprawy doprowadzić i znawca ludzi. Oto ja Józię przeczytałem odrazu i daję ci słowo na to, że mi się ani o jeden cień nie omylił; prześliczna rzecz, którą opylono cokolwiek — wiedziałem o tem w pierwszym momencie. A że mi to stworzenie okazało się nadzwyczajnie sym- patycznym i dziwnie mnie ku sobie porwało, więc zacząłem chodzić koło niej. Ja się z takimi rzeczami nigdy długo nie bawię, bo i niema się z tem co bawić; co się nie zrobi w trzech dniach, to się nigdy nie zrobi, trzeba tylko mieć pewną decyzję i puszczać odrazu „na wiatr!” —Jakoż wistocie, po trzech .wieczorach spędzonych razem, już mi więcej nie było potrzeba. Nie powiadam tutaj, notez Hen, iebym mi się Józia do czego przyznała, ale już wiedziałem wtedy na pewno, co być może, a co nie może. Tymczasem nadszedł ten wieczór u Millefleurs, na który ciebie przyprowadziłem. Przybliżyłem się wte

dy do Józki, dziwna rzecz! tak mnie czegoś odtrąciła,, tak nagle i tak nawet szorstko, że mnie to oburzyło, że się skłamałem, jak woda w garnku. To mnie* nawet tak rozgniewało, że się porwał zaraz tego* Niemca za kark, którego potem zabił nazajutrz. Biedny Niemiec, nie będzie wiedział do śmierci, za co został tak haniebnie pocięty...

— No, ale mówiąc prawdę—rzekł na to Karol— kiedy już tylko samą prawdę dzisiaj mówimy, to ten Niemiec coś tam na mnie powiedział?

— Coś tam powiedział, już nie pamiętam, ale zapewne, że coś musiał powiedzieć, bo inaczej przecież nie byłbym go się uczył... Wracam do rzeczy. Dlaczego mnie Józka wtedy tak nagle odtrąciła od siebie, dzisiaj już wiem—ciebie zobaczyła i przypomniała jej się chatka Bernata—ale wtedy tego nie wiedział i powiadam ci, że taką noc przespałem, a raczej przeczuwałem, jakiej dawno już nie pamiętam... Coś dziwnego jest w tej kobiecieL.

Tu się Izidor znowu trochę zamyślił, poczerni mówił dalej:

— Cokolwiekbyś, mała ta rzecz trochę nas oddaliła od siebie. Gdybyś ty był dnia tego nie przyszedł do Millefleurs, do dnia dzisiejszego Józka byłaby już dawno panią na Grzymalinie, bo to już wtedy tak było, że się miał zaraz oświadczyć i nawet już dniem przedtem napisałem był do Wiednia do Brandmajera, aby przygotował dla mnie- powozy. Ale ta mała scenka oziębła mnie trochę i jeżeli chcesz wiedzieć, dlaczego tu na wsi rozrwał się tak na długo, że szambelan aż ciebie- sprowadził na mnie, aby mnie tobą zastraszyć, to

wszystko tylko dlatego, iżem wiedział, że to ówczesne odtrącenie mnie przez Józię, odtrącenie, takie serdeczne, nie mogło być bez powodu, a ten powód nie był mi wcale wiadomym. I jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to ten powód nie był mi wiadomym aż do dnia dzisiejszego. Oh! nie byłoby się to ukryło przedemną! Chociaż Józia tak cię maltretowała widocznie i chociaż ty byłeś tak powściągliwym, byłbym ja z waszych twarzy wszystko wyczytał. Ale co się stało? zatumanilo mnie to, iżem wiedział o tem, że cię szambelan ściągnął do swego domu umyślnie i umyślnie na to, ażeby zniewolić mnie do przyśpieszenia oświadczeń. To mnie całkiem zbałamucilo i odwróciło uwagę od ciebie. Że ci się Józia podobała, że się w niej kochasz, to było dla mnie jasnym, jak dzień, ale to mnie najmniej obchodziło, chociaż rzecz pewna, że jako przyjaciela, byłbym cię i tak ostrzegł niebawem, ale tylko ostrzegł, nic więcej. Mnie bowiem nie

0 tego chodziło, który się w niej kocha po mnie lub razem ze mną, ale o tego, kto się w niej kochał przedemną, a mianowicie, w kim się ona kochała

1 jeszcze kocha, co było także rzeczą dla mnie nie tajną. No, ale omamienie to względem ciebie, w jakie mnie szambelan wprowadził, nie trwało długo: wczoraj się dowiedziałem o tem od przewoźników, co mnie mogło obchodzić, a dziś was znalazłem na wyspie... To jest ta cała historia — skończył nareszcie hrabia, wysuwając się na brzeg krzesła— obustronne wyznania są, a teraz już i o wyrok nie trudno. Jakież tedy są dane, na których wyrok oprzemy? Oto najpierw, tyś się zakochał w Józi

przedemną, powtóre ona się w tobie kochała, a co . ważniejsza, kocha jeszcze do dziś dnia...

—Ot! pleciesz, Bóg nie wie co—powiedział Karol prawie z goryczą.

.— Tylko prawdę. Potrzebie, ty się w niej i kochasz...

— Ani mi się śni.

— Poczwarne, ona popełniła wprawdzie grzeszek przeciwko tobie, że pomimo miłości dla ciebie, zawiązała maleńką intryżkę ze mną; ale czyż to jest , grzeszek śmiertelny, albo nawet nieodpuszczony? podobało jej się z namowy ojca i ciotki moje jakieś tam imię, moje jakieś tam niby relacje, moje powozy, konie, folwarki; ale jak ciebie kocham, to jż , niejednej się podobało. Niema o czym mówić. Kon- senkwencya ztąd taka, że Józia się tobie należy (i musi być twoją — a mnie się nie należy i nawet nigdy nie może być moją. Kobieta, która-by poszła za mnie nie dla mnie, tylko dla mojego imienia i moich folwarków, nigdy moją żoną nie będzie!

Te ostatnie słowa powiedział Izydor nadzwyczajnie dobitnie i zasunął się na powrót w głąb krzesła. Palił on w tej chwili lulkę z przepysznego bursztyna, który sobie sam wywiózł ze wschodu i miał na głowie fez ponsowy z szafirowym kutasem—ale jak ten fez był dziwnie pomięty i przytłoczony na jeden bok głowy, tak i tę lulkę palił z takim roztargnieniem, że ciągnął z niej dym bez pamięci i tak gęstymi okrył się obłokami, że Karol, który wciąż patrzył na niego, prawie go całkiem nie widział. Po długiej ohwili dopiero, kiedy dym zwolna uniół się w górę, a w lulce go więcej nie

•stało, wystąpiła twarz Izydora ku światłu. Ale jakżeż ta twarz była w tej chwili zmienioną! Błada zazwyczaj, teraz była ona bledszą niż kiedykolwiek. I jeżeli to nie był refleks od zielonych tape- tów, to obciągnęła się nawet troszeczkę zielo- nawym kolorem. Przytem miał brwi dziwnie ja- jakoś ściągnięte i nastroszone; około ust, tak zawsze uśmiechnionych łagodnie, teraz jakaś żółciowa osiadła gorycz, a w oczach jego przyćmionych i jak gdyby osłupiałych cokolwiek, tyle się odbijało ciężkiego smutku, tyle boleści, że litość brała patrzeć na niego. Kie potrzeba było być wprawnym fizyo- nomistą, ażeby za jednym rzutem oka rozpoznać, że człowiek ten musi cierpieć okropnie, że cierpienie to opanowuje go całkiem, że się chwilami w ból zamienia piekielny, że prawie graniczy z rozpaczą. Widział Karol tę boleść, odgadywał jej powód i unosił się najrzewniejszym, chociaż milczącym współ- zuciem...

Izydor zaś tymczasem zmiął jeszcze raz czapkę na głowie, drgnął przy tem tak boleśnie, jak gdyby go żmija ujadła, i zaczął mówić — a mówił głosem drewnianym, jakby półmartwym i nawet trochę ochrypłym:

— Ale patrz! Otóż to takie szczęście ja mam przez całe życie! Ja, który tak wysoko, tak idealnie cenię kobiety, który im wyższość bezwzględną przyznaję nad nami, który bym niebo chciał zrobić dla nich na ziemi i zrobiłbym pewnie dla tej, któ- raby się mnie powierzyła i wstąpiła w me progi: ja... jeszcze nigdy nie spotkałem ani jednej kobiety, któraby mnie nie zniewoliła do tego, ażebym rzu

cił na cały ród ten przekleństwo i moje oczy na zawsze odwrócił od niego. Nie uczyniłem tego, patrzę tak na nich do dnia dzisiejszego, jak gdybym lat miał piętnaście, sobie to przypisuję, że trafił tak nieszczęśliwie — oh! ale inaczej mówiłoby serce, gdybym go w kleszczach nie trzymał moim rozumem!... Posłuchaj tylko — mówił Izidor dalej — i płacz nademną, jeżeli możesz mieć łzy dla takich ludzi. Wiotkim młodzieńcem jeszcze, kiedy stąpał po ziemi oskrzydłonymi nogami, kiedy świat cały stał w pełnym kwiecie przedemną, kiedy tak szukał skwapliwie ludzkiego serca, z którymby się mógł moim szczęściem podzielić, znalazłem kobietę, która mnie z demonicznym zapałem pociągnęła ku sobie. Upadłem przed nią ze skruszonym sercem na klęczki, ziemia mi zniknęła z przed oczu, niebo się otworzyło przedemną. Myślałem wtedy: choćby i zginąć, takie nadziemskie szczęście kupić za cenę życia, to bezcen. Ale po kilku miesiącach, jakżem się straszliwie przebudził! com wtedy ujrzał, nie potrzebuję ci mówić. Kobieta ta była to najzwyklejsza ludożerczyni, która mnie jadła... jak „beef-steak”. Padłem bez zmysłów na ziemię, uciekłem... Przez kilka lat potem ani mogłem spojrzeć na kobiety! Dziwne o nich miałem wyobrażenie. Słuchałem kursów historii, heraldyki, anatomii i weterynaryi w Paryżu, bywałem po wielkich salonach i małych; gdzie mnie kobiety niesłychanie nudziły—ale bawiły mnie za to w Jardin d'hiver, tak jak mnie bawił Jardin des plantes, gdzie widziałem lwy i hieny. Po kilku latach powróciłem do kraju, gdzie znowu znalazłem kobietę, która mnie dziwnie pocią

gnęła ku sobie. Zbliżyłem się z sercem takim otwartym, że mógłbym być w nim cały system słoneczny pomieścić—jużem się ze światem pogodził* Bogu dziękowałem za szczęście — o egzystencji takiego anioła na ziemi nie miałem ani pojęcia. Ale znowu nie długo trwało to szczęście. W kilka tygodni bowiem powrócił dawny amant z prowincyi^ przyleciał do mnie rozczochrany i blady, rzucił się: na kolana przedemną: Panie! miej zlitowanie nade- mną! byłem więc tylko tym, z którym grano w piłkę przez ferye. Uśmiechnąłem się tylko z goryczą* uszczęśliwiłem kochającą się parę moim wyjazdem i zamknąłem się na wsi... Bóg wie, jak długo tutaj siedziałem. Ale przyszedł czas na mnie, w którym mi zaczęło być tęskno samemu: widok męża, prowadzącego wesołą uśmiechnioną żonę pod ramię* widok cichego domku, gdzie dwoje serc ludzkich chwali Pana Boga swoją miłością, widok małego* dzieciątka szczebioczącego prześlicznie i tulącego się- do kolan rodziców, napełniał mnie jakąś niewymowną czułością, a zarazem obudził we mnie dziwnie niepokojącą tęsknotę. Boże—myślałem sobie—tyle tu szczęścia jest na tej ziemi, tak ono proste,Itak tanie i tak zresztą konieczne — a ja się błąkam samotny jak wielbłąd, widzę tylko wyschniętą, piaszczystą, bezludną puszcę przed sobą! czyż na tym świecie, na którym wszyscy tak żyją gromadnie, gdzie najwyższem szczęściem jest właśnie udział wzajemny, czyż na tym świecie ja tylko jeden będę się błąkał samotny i tylko ja jeden nie znajdę nigdy nikogo, z którymbym się mógł życiem mojem podzielić? O! przecież się zenią ślepi, kulawi, gar*

baci i najubożsi, chacun trouve sa chacune, dla czegożbym ja nie miał jej znaleźć?— postanowiłem tedy poprostu, żony sobie poszukać; ale mając już takie doświadczenia za sobą, postanowiłem zarazem nie szukać jej sercem, ale rozumem. Jaki był skutek takiej kwerendy, nie trudno ci zgadnąć ztąd, że w samej rzeczy żadnej nie znalazł. Zona to nie jest węgiel kamienny... Tak znowu minęły lata. Znudzony wreszcie tem szukaniem daremnie, zacząłem pomału uczuwać niemałą zmianę w mojem usposobieniu. Tak zawsze dotąd swobodny, wesół i zawsze gotów do tego, co mi przyniosła fantazyja zacząłem uczuwać coraz częściej czczość, jakąś ospałość, a często tak dziwną tęsknotę, że nie umiałem jej nadać nazwiska. Co gorsza, niejednokrotnie nachodziły mnie chwile hipochondryi tak gorzkiej, że wtedy mógłbym się być napić trucizny, czasem obejmowała mnie nawet rozpacz tak czarna, że prawie mi przychodziły na myśl jakieś heroizmy pogańskie. Ale znałem ja dobrze tego wszystkiego przyczynę. Jakoż natenczas postanowiłem sobie, spuścić troszeczkę z dawnego tonu: nio koniecznie dziewięć punktów w koronie, nie koniecznie tyle a tyle posagu i nie koniecznie lat siedmnaście; co większa, nie koniecznie taki a taki umysł, takie a takie serce, jakiem sobie z góry przeznaczył. Przez długi czas i to mi nie pomagało... Przecież nareszcie pomogło. Przyjechałem tej zimy do Lwowa i obaczyłem tam Józję. Zamknawszy oczy na to i owo, trudno zaprzeczyć, że znalazł w niej jeszcze daleko więcej, niżelim teraz sam już wymagał. Z jakim zapalem chwyciłem się tej ostatniej gwiazdeczki, ja, stojący

pod niebem, na którym już wszystkie gwiazdy pogasły, nie potrzebuję powiadać. I jak byłem już pewny mego zbawienia, jak pewny... świadczą te nowe sprzęty w mym domu, te sprowadzone powozy. I nie byłby każdy na mojem miejscu postąpił sobie tak samo? Czy można tu było wątpić, że Bóg się ulitował nademną i wyswobodził nareszcie z niewoli?... Ale patrz, co tu znowu się stało! — dodał Izydor z twarzą jeszcze bardziej zmienioną. — Ah! niech przepadnie!—zawołał, porywając się z krzesła, i podnosząc obiedwie ręce do góry—niechaj się ziemia rozstąpi pod takim przeklętym człowiekiem^ który nawet jednego serca znaleźć nie może dla siebie!... .

To wymówiwszy głosem rozziewającym i prawie łzami zalanym, uderzył jednocześnie łuką o ziemię, że się rozbryzgnęła w kawałki—i wybiegł prędko do przyległego pokoju.

Właśnie się wtedy zmierzchało.

Karol tak uczuł głęboko tę boleść gwałtowną* tego nieszczęśliwego człowieka, że go na chwilę odstała przytomność. Lzy mu stanęły w oczach i skrzęły, i przez te lzy patrzył we drzwi otwarte,, w których zniknął jego przyjaciel. Oparł się o poręcz krzesła i stał tak pochylony przez chwilę. Ale niebawem się zbudził, wziął cichutko kapelusz, rzucił wzrok pożegnawczy za Izydorem i wyszedł na palcach do sieni.

Przez całą prawie godzinę Izydor nie powracał. Musiał zapewne cierpieć okropnie, wstydział się- tego cierpienia i dlatego nie chciał się pokazywać przyjacielowi. Po godzinie dopiero wrócił, błądy

*jak śmierć, ale już całkiem spokojny. Przyszedł ze -świecą jarzącą w rękę i zapalił od niej cały sied- mio-ramienny świecznik, który stał przygotowany na stole. Ani mu się śniło natenczas, że był sam tylko w komnacie. Dopiero rozejrzawszy się przy tem świetle, jakże się zdziwił, kiedy nie ujrzał Karola. Wybiegł w ten moment do sieni:

— A gdzie pan Karol?

— Jeszcze o zmroku odjechał.

Zdziwił się tem jeszcze więcej—a kiedy do zielonego pokoju powrócił, zaczął się przechadzać wolnymi krokami i bardzo był zamyślony. Jednak to trwało niedługo, wkrótce bowiem uderzyła go myśl, która mu się musiała nasunąć. Karol został jego spowiedzią porwany, ulitował się nad nim i wyjechał z postanowieniem odstąpienia mu Józki na zawsze. Co większa, on się zerwał tak nagle niezawodnie dla tego, ażeby zaraz jutro jeszcze, dziś może, gdzieś za granicę wyjechać! Taki postępek był bardzo do niego podobnym, odpowiadał on jego szlachetności i jego wygórowanej ambicyi, doskonale Izydorowi znajomej — a ponieważ właśnie przed kilku dniami odebrał pożyczkę Towarzystwa kredytowego, więc mu do tej podróży nie mogło nawet nic stanąć na przeszkodzie. Myśl ta podpałała Izydora jak ogniem.

— A ba! — zawołał prędko do siebie — na takiej drodze ty ze mną nie wygrasz!

To mówiąc, wybiegł znów prędko do sieni i krzyknął do ludzi:

— Hej! niech mi siodłają „Sovereign^a”, a John ^niechaj siada na „Sweeting”!

^{1 f} W niedługiej chwili przyprowadzono konie przed ganek.

„Sovereign^K był to ogier przepyszny, krwi pełnej angielskiej, którego Izidor z końcem przeszłego roku sam przyprowadził z Anglii. Zapłacił on za niego cenę bardzo wysoką; ale zwierzę tego rodzaju jest prawie bezcenne. Jakoż istotnie, dość było tylko raz rzucić okiem uważnym na tego konia, ażeby być przekonanym że Izidor wcale nie ulegał tej ślepej manii koniarskiej, która idąc tylko za modą, a nie znając się wcale na rzeczy, sprowadza same wybiórki z Anglii i dziwi się potem, że produkuje z nich zwierzęta liche i najczęściej kaleki — ale że był amatorem serdecznym a co ważniejsza, znawcą gruntownym i niezawodnie jednym z tych ludzi, którzy w tej arcy-ważnej gałęzi rolniczego przemysłu są w stanie rzeczywiste położyć zasługi. Koń ten bowiem łączył w sobie te wszystkie przymioty, które najwyższą doskonałość stanowią a które razem, niestety, tak rzadko się napotyka. Duży był, mierzył z pewnością sześćdziesiąt sześć cali jeśli nie więcej, maści karej jak gałka bez najmniejszej odmiany i tego włosa krótkiego, lśniącego metalowym połyskiem, który daleko lepiej świadczy o wysokości krwi, niż rodowody pisane. Wyniosłość jego, związaną szyi, jej wspaniałe zagięcie, było prawie bajecznym, z którego-to powodu, mianowicie przy łbie suchym, oku pełnym, otwartym i chrapie rozdartej, co do piękności mógł śmiało się mierzyć z wyborowami egzemplarzami pustyń arabskich, z których sam także przez swoich dalekich dziadków bezwątpienia pochodził. Lecz co ważniejsza, cała bu

dowa tego wspaniałego zwierzęcia była zadziwiająca: każda tam partya była olbrzymią, a nawet silną do tego stopnia, że wzięta na oko w odosobnieniu, zdawała się prawie przesadną — a przecież wszystkie te partye razem stanowiły całość tak harmonijną i piękną, że trudno było oka od niej oderwać. Tak zbudowany korpus był osadzony na silnych, a wcale nie długich nogach, po których nie- tylko to było widać, że stoją jak słupy żelazne, ale się czuło zarazem, że kiedy ruszą, to tam łopata będzie chodzić jak skrzydło sokoła, a cała ta wielo- centnarowa machina będzie płynąć tak lekko, jak łódka. Patrząc na tego konia, można było izydoro- wi z całego serca pozazdrościć jego doświadczonego znawstwa—a wtedy też innem zupełnie okiem trzeba było spojrzeć na ową wspaniałą stajnię i ujeżdżalnię, zbudowane z tak wielką starannością i kosztem...

„Sweeting” była to klacz złotogniada, mniejsza cokolwiek i subtelniejsza w budowie, ale prześliczna, prawdziwa Łubka. Pochodziła ona z ojca araba, a matki angelki—produkty takie nigdy nie mylą, dorównują one prawie zawsze piękną swym ojcom, a przenoszą ich często o wiele wielkością i potęgą budowy—jeżeli tylko krzyżowaniu takiemu towarzyszyło w doborze rodziców prawdziwe znawstwo.

Kiedy się Izidor zbliżył do swego konia i położył rękę na siodle, wspaniały „Sovereign” podniósł głowę do góry i stanął przodem prawie tak prosto jak człowiek, poczem się śmiało rozejrzał, jak gdyby do walki z sobą cały ten świat chciał wyzy

wać, który leżał przed jego oczyma i parsknął z całej siły nozdrzami. Izydor w oka mgnieniu już siedział na siodle i patrząc w twarz pełną księżycą, który całymi garściami rozrzucał swe srebrne światła po ziemi, ruszył stępą z dziedzińca. Ale jak tylko za bramę wyjechał, ruszył kłusem. Wiadomo znawcom, co to jest kłus wyciągnięty takiego konia; nic w tem nie będzie przesadzonego jeśli powiemy, że się równa zupełnie pośpiesznemu biegowi niemieckiej lokomotywy. Z taką też samą szybkością sunął Izydor teraz przez pola, a były chwile, w których unosząc się w lekko falistej linii nad ziemią, sam prawie nie wiedział, czy stoi na jednym miejscu, a ziemia się z pod nóg jego z szybkością błyskawicy usuwa, czy ziemia stoi na miejscu a jego niosą jakieś siły piekielne — Cokolwiek bądź, za kilkanaście minut był on już u Starego Przewozu.

Lecz przyjechawszy na brzeg Wisłoki, nagle się zastanowił, a twarz jego odmalowała na swej powierzchni wyraz ósobliwszego zdziwienia. Wspomnieliśmy już nawiasowo powyżej, że nocą przedtem zerwały się były w Beskidach gwałtowne burze, a nawet tutaj spadła rześista ulewa; ta musiała być jeszcze daleko rześistszą w górach, albowiem teraz Wisłoka szumiała tak gwałtownymi bałwanami, że aż piana na nich stawała, a zataczana coraz bardziej szalonym, a coraz mniej regularnym prądem, całymi warstwami osiadała na brzegach.

Przypatrzwszy się hrabia temu igrzysku, zwrócił się do swego dżokeja i rzekł:

— Zawołaj-no mi tu przewoźników.

John, zrodzony Niemiec, Brandenburczyk podo-

Biblioteka.-T. 385

bno, a udający Anglika, właśnie ów nielitościwy rywal Antka rybaka, już kiedy pan jego skręcał do Starego Przewozu, okrył się prawie śmiertelną bledością. Teraz, gdy dostał rozkaz wejścia do chaty swego głównego wroga, skostniał na siodle jak trup. Poznał on się już bowiem z potężną garścią tego polskiego chłopca, który pomimo jego nożowej obrony, byłby go pewnie zadusił, gdyby szczęśliwy przypadek nie był naclniósł Karola; zdawało mu się wtedy, że wleźć teraz do chaty takiego dusiciela, to śmierć pewniuteóka. Jakoż ani się ruszył, choćby był miał i miejsce, a nawet i miłość Basi utracić... Ale na jego szczęście usłyszano już w chacie tętent przejezdnych koni, a stary Bernat właśnie co wyszedł w obejście, aby obaczyć, azali kto nie potrzebuje jego pomocy. Ujrzawszy jeźdźców, zbliżył się do nich — poznawszy najpierw owo dyable niemieckie, które jego synowi tyle przyniosło zgryzoty, nie pomału się zdziwił i zrobił krzyż święty na piersiach — ale w moment poznał i Izydora i przystąpił do niego.

— Słuch aj-no stary — rzekł hrabia, zwracając konia ku niemu — a jak ja się dostanę na tamtą stronę?

—. Jaśnie wielmożny panie! niema na to sposobu...

— Ot! pleciesz sobie. Przecież tu jechał niedawno pan z Zawisłocza...

— Ej! jechał, panie!—rzekł na to Bernat zgryźliwie—taj jakoś za Bożą łaską przejechał, ale niechaj Bóg broni każdego od takiej jazdy. To, jaśnie panie, jeno łby koniom było widać z wody, bałwa-

O1

ny waliły przez powóz i wszystko się tam tak chwiało, że ja jenom już mówił: „Kto się w opiekę”. Mo-, że go też tylko modlitwa moja uratowała, bo jakem żyw, jas'nie panie, od pięćdziesięciu lat jeszcze tu nikt takiej wody nie zbrodził. A było to jeszcze o samym zmierzchu — a gdzie to tamtej wodzie do terażniejszej? Niema tu, jasnie panie, sposobu; do jutra koło południa nikt się nie dostanie na tamtą stronę.

— E! co mi gadasz! a cóż to, promu nie masz żadnego?

— A niema, panie—ale gdyby i był, toby się na nic nie przydał, nigdyśmy i na promie nie wozili przy takiej wodzie. Patrz-no jegomość, jak to tam rwie samym środkiem; żeby tam wieżę ciosową postawił, toby nie wytrzymała.

— No to czólno masz jakieś, przecież się czólno prześlizgnie.

— Jaśnie panie! czólno teraz to śmierć.

— Ej! stary Bernacie, już się widzę nie pomału postarzał. No! bierz-no czólno, dziesięć czerwonych złotych dam tobie.

— Fe! jasnie panie! Bógby mnie ciężko pokarał, gdybym dla jasnie pana zrobił to za nagrodą, czemu się opieram za darmo.

— Ale cóż u stu dyabłów, żeby znów taka rzeczka była tak straszną! Jużem też całe morza przepływał podczas najstroższych burz, a przeciem jest zdrów z łaski Boskiej i cały. Więc nie?

— ,Nie, jasnie panie, niema na to sposobu.

Patrzaj-że, jaki ja na to mam sposób —
rzekł pędko Izydor i zebrał w ten moment konia.

Widząc to Bernat, struchlał na miejscu, otworzył usta i podniósł obiedwie ręce do góry— ale tymczasem dzielny koń ruszył już ze zwykłą sobie szybkością i poniósł swojego jeźdźca w wodę.

Bernat stał osłupiały i prawie skrzepły na brzegu. A nawet Antek sam, który tymczasem wyszedł także z chałupy i obaczywszy swego rywala, zaczął zaciskać pięście i szczyrzyć zęby ku niemu, umilkł na widok takiej odwagi, która i jemu także, pomimo daleko gorętszej krwi od swego ojca, zdawała się tylko dziwnie zuchwałą igraszką ze śmiercią.

Tymczasem Izydor brnął coraz dalej w rozhukaną Wisłokę. I dopóki koń jego stapał po ziemi, nie było nic jeszcze straszego, ale jak tylko spłynął, okazało się zaraz wielkie niebezpieczeństwo. Już bowiem za pierwszym krokiem widać było po jeźdźcu, że się koń zachwiał pod nim i w oka mgnieniu woda go zniosła o cały sążeń lub więcej. Mimo to jeszcze się trochę posunął dalej, ale w ten moment uderzył bałwan w niego tak silnie, że przeniósł siodło, i tak skręcił jeźdźca, że zdawało się, jakby zupełnie wyleciał z siodła. W tem oka mgnienia— wszakże druga nadbiegła fala, a wtedy i koń i jeździec tak się zanurzyli głęboko, że było widać tylko głowę hrabiego. Musiała zapewne woda dołem poderwać konia, co go zniecierpliwilo tak, że się cały zanurzył i wtedy dał skok taki silny, że w jednej chwili i jeźdźca i prawie całego konia było widać nad wodą, jak gdyby napowietrzne zjawisko... Ale jak upadł napowrót w wodę, tak i jeździec i koń zanurzyli się całkiem, wybili sobą jamę piekielną, która się wszakże zwarła w ten moment i zakipiała

tylko jak w garnku. I koń i jeździec bezpowrotnie przepadli...

Widząc to Bernat, krzyknął z przestachu, zakrył rękami oczy i zaczął mówić: Zdrowaś Marya, laskiś pełna...

Ale Antek patrzył na wodę rozdziawionymi oczyma. Jakoż niebawem szarpnął on ojca za poję i wskazał ręką na drugą stronę Wisłoki. Spojrzał tam stary i ku zdziwieniu swemu obaczył, że koń tam wypłynął i właśnie stojąc na brzegu, otrząsał się z tej lodowatej kąpieli. Spojrzeli potem oba- dwa po tymże samym brzegu, na którym stali; ba,

1 tu w oddaleniu kilkudziesięciu kroków coś się im pokazało czarnego. Pobiegli tam obadwa czemprę- dzej i już zdaleka poznali hrabiego. Przybliżyli się ku niemu i przekonali się, że cudem Boskim i on także wypłynął. Stał teraz na brzegu, zaczerpywał wielką pierśią powietrza i rozglądał się w koło, aby obaczyć, gdzie jest. Ujrzawszy obudwóch rybaków, już się na pewno przekonał, na którą stronę wypłynął; lecz przedewszystkiem zapytał:

— A mój koń nie wypłynął?

— Jest jaśnie panie! oyo go widać po tamtej stronie.

— Jest, jest — rzekł na to hrabia z radością.— O! taki koń nie utonie.

— Ale jakże ja go teraz dostanę?...

To mówiąc, szedł z rybakami brzegiem rzeki ku chacie, patrząc na nich z pod oka i obawiając się pewnie, ażeby mu nie czynili wyrzutów za jego nieufność i nierostropne zuchwalstwo. Ażeby to

2 pewnością odwrócić, rzekł do Bernata:

— Dyabelski tu jakiś bród masz przy twej chacie, mój stary; jakoż dobrze to robisz, że przynajmniej w czas podróży ostrzegasz. Kto inny na mojem miejscu byłby był pewno poszedł do Gdańska, chociaż tam wcale nie zmierzał...

— Ej! co tam już mówić, o tem, mój jaśnie panie! — rzekł na to Bernat, który miał zdrowe serce jak brylant i ani mu w myśli nie powstały wyrzuty. — Panu Bogu dziękować za łaskę, a jutro dać na mszę świętą. Ale tymczasem chodźno jegomość prędko do chaty, bo się tu nie trudno zaziębić, a wtedy i o pokutę łatwo.

— Czekajno, mój staruszk — rzekł na to Izydor, zbliżając się właśnie do tego miejsca, z którego ruszył był w wodę — czekajno trochę, bo ten koń był u mnie wart wieś, a teraz nawet jest za dwie, ja go nie mogę tam pozostawić. Ej! żeby on umiał gadać! posłałbym go do Zawisłocza, a wielką- by mi sprawił przysługę...

Tak stał na miejscu i patrzył w zamyśleniu na tamten brzeg rzeki. Ale niebawem zaczął patrzeć z zajęciem. „Sovereign^a bowiem, który tymczasem szedł tamtym brzegiem, także do góry, stanął teraz na środku drogi naprzeciw brodu i zarżał z taką tęsknotą, że Izydorowi aż serce zadrżało. Poczem zaczął biegać ponad wodą, głowę podniósłszy do góry, kitę zmoczoną zrównawszy z krzyżem i rżąc coraz załobliwiej. Odrżała mu „Sweeting” nareszcie, po raz i drugi. Usłyszawszy ten głos, stanął prosto ku wodzie, wyprężył szyję i zdawał się patrzeć wytę- żonemi oczyma w tę stronę. A kiedy jeszcze raz „Sweeting” zarżała, on odrżał nadzwyczajnie rado

śnie i zaczął się zbliżać ku wodzie i próbować nogami, to postępując naprzód, to się napowrót cofając. Jeszcze raz „Sweeting” zarżała. A wtedy on cofnął się o parę króciutkich kroków w tył, stanął twardo na ziemi i rzucił się takim szalonym skokiem do wody, że prawie połowę rzeki przesadził. Przez oka mgnienie nie było go widać, ale w ten moment wystawił głowę o kilka kroków poniżej i parskając, jakby z moździerzów, w kilka sekund już był na brzegu. Rzucił się ku niemu Izydor jak opętany, objął go obydwoma rękami za szyję i przez długą chwilę słowa nie mógł wymówić z radości. Wziął go potem za cugle, a prowadząc do sługi, rzekł do Bernata:

— Przynieś-no mi jaką derkę, staruszku, żebym go nakrył, bo mi się jeszcze zaziębi.

— Biegaj Antek po derkę—rzekł prędko stary— ale i jegomość chodź także do chaty, bo się pewno zaziębisz. Konia takiego wszędzie dostanie, ale zdrowia nie kupi na wagę złota.

— Takiego konia dostanie!! — zawołał Izydor na to i śmiał się dobrodusznie ze starca; poczem kazawszy słudze przejechać konie klusem, poszedł do chaty.

Tam jeszcze się palił ogień w kominie, dorzucono do niego drewek — a Izydor, przemoczony do nitki i zziębnięty jak kość, stanął przy tym ogniu i grzał się. Stał tak przez długą chwilę i myślał. I widać było po nim, że niebawem wcale* o koniu zapomniał, a myślał zapewne o Karolu i Józi. Myślał gorąco i niecierpliwił się nie pomału, że się do Zawisłocza dostać nie może—i niecierpliwił się tem

bardzo długo — lecz w końcu uspokoił się trochę, uspokoił się wreszcie zupełnie i rzekł do siebie:

— Ha! takie jest przeznaczenie!

Myśli te, które po tem postanowieniu snuły mu się po głowie, musiały być zapewne bardzo zajmujące dla niego. Bo jego twarz wypogodziła się całkiem, swobodny uśmiech okrążył jego usta szlachetne, a w oczach jego zaświecił ten blask łagodny, który jest nieodstępny promieniem uczucia szczęścia.

Jednak pomimo wszystkich oznak błęgiego spokoju wewnątrz, zdawało się, jak gdyby od chwili do chwili oddech mu się zamykał w piersiach. Oddychał bardzo nieregularnie, a czasem prawie boleśnie. Niejednokrotnie przytem dotykał się ręką piersi i przyciskał ją silnie, tak jak gdyby go tam wewnątrz coś piekło i chciał sobie ulżyć takim naciskiem. Niebawem zaczął kaszleć—i kaszłał coraz częściej i krócej, krztusząc się przytem, a chwilami tracąc nawet oddech zupełnie. Kaszel ten musiał być jakiś niedobry, bo stary Bernat, który się znał na tem cokolwiek, spoglądał na niego z coraz większą obawą. Zakaszłał się biedny młodzieniec nareszcie tak silnie, że musiał aż chustką zasłonić usta i kaszłał tak długą chwilę — a kiedy odjął chustkę od ust, na chustce pokazała się krew...

Spojrzał on na tę krew zrazu prawie z przestrawieniem — ale niebawem gorzko się tylko uśmiechnął i zapadł w jakąś długą i bardzo smutną zadumę.

Niezadługo potem wstał, dobył pugilaresu, wy-

darł zeń małą karteczkę, napisał coś na niej i oddał ją Bernatowi, mówiąc:

— Jak tylko się będziesz mógł przeprowić przez wodę, zanieś tę kartkę do Zawisłocza i oddaj ją paniczowi, a jeżeliby go w domu nie było, to oddaj ją pani.

Oprócz tej kartki wcisnął Bernatowi kilka sztuk złota do ręki, poczem wsiadł zaraz na konia i wielkim pędem odjechał.

Nic trafniejszego nie było jeszcze pod słońcem, jak to przecucie, które Izydora jeszcze dnia tego samego pędziło do Zawisłocza. Albowiem Karol, rozbiwszy się tak szkaradnie po raz wtóry w swem życiu, jak tylko do domu przyjechał, rzucił się do nóg swej matce, spakował sobie tylko mały węzełek i jeszcze tego samego wieczora odjechał. Przy pożegnaniu nie wspomniał, dokąd odjeżdża, a za ledwie natracił nawiasem o tego odjazdu powodach...

Zacna pułkownikowa, którą ten nagły odjazd zaskoczył tak niespodzianie, jakby ją była nie mogła zaskoczyć śmierć sama, na którą zawsze była przygotowana, z początku bardzo się tem zasmuciła; jednak po chwili, rozważywszy to zdarzenie wszechstronnie, nie tylko na nie się nie skarżyła, ale nawet nie miała nic przeciw niemu. Przede- wszystkim bowiem temu ożenieniu się syna z szambelanówną nie była ona nigdy przychylną, nawet, jak wiemy, była temu przeciwną; rozerwanie tego

związku, tak gruntowne, a nawet ubezpieczone na przyszłość, było jej wcale na rękę. Powtóre, uważała • ona to sama, że jej syn, lubo był pełen materiałów wybornych, był jednak jak najszkaradnie w sobie rozdarty. Pełen bujnej imaginacji i nią rzucany na wszystkie strony, był on w szczęśliwych chwilach zdolnym do najpiękniejszych czynów, lecz w nieszczęśliwych do największych niedorzeczności, nie mając zaś żadnych ustalonych pojęć ani o świecie, ani o obowiązkach człowieka, ani nawet o sobie samym, nie miał żadnego fundamentu pod sobą, żadnej wytkniętej drogi na przyszłość: był jak liść z drzewa burzą zerwany, który tak samo mógł być zanieiony na szczyty gór najwznioślejszych, jak i zgnić uiewidziany w jakimś dołku mizernym. Wprawdzie ta podróż jego, którą nie wiedzieć nawet dokąd przedsięwziął, mogła go właśnie narazić na takie burze, które takich rozbitych ludzi zanoszą czasem na wiekiiste bezdroża — ale pułkownikowa, jak pod tym względem liczyła wiele na jego własne uczucie, jeszcze dotychczas niepokrzywione i niezsute, tak znów pod innym była tego zdania, iż gdyby nawet rzeczywistemu światu cokolwiek bliżej zajrzał w oczy, to mu to nie zaszkodzi, bo ma zdrowe serce i oko i z tych doświadczeń wyjdzie tylko tem rozumniejszym, silniejszym i mocniej uzbrojonym na przyszłość. Jednak, pomimo tak zbudowanych nadziei, nie obeszło się także bez , pewnych obaw i smutków. Już bowiem to samo, że Karol zabrał z sobą całą tę sumę, którą z towarzystwa zaciągnął, było dla gospodarnej i o przyszłość dbającej matki smutkiem niemałym — a cóż:

dopiero powiedzieć o tem, że całe gospodarstwo i wszystkie sprawy rodzinne zwały się teraz na nią, i samą jedną? Bez przyjaciół, bez bliższych krewnych, z delikatnem zdrowiem i głową jak najmniej usposobioną do prowadzenia gospodarstwa w okolicznościach tak nieszczęśliwych, jakie zaszły podówczas, nie miała ona ani nadziei, aby mogła temu podołać. Przypominała sobie wciąż szambelana przestrogi, które jej bardzo trafiały do przekonania — a to ją jeszcze tem większą napępniało obawą. Być może—myślała ona sobie natenczas— że Karol z tej zagranicznej podróży powróci człowiekiem skończonym i znamienitym; ale jeżeli tam lat parę zabawi, to kto wie, czy będzie miał jeszcze do czego powrócić? — Cóżkolwiekbądź, pełna trwogi i nie wiedząc sama, coby jej teraz należało przedsięwziąć, napisała przynajmniej do Skiby, aby, o ile możności, jak najprędzej przyjeżdżał. Skiba był to jedyny człowiek, o którego skołatana i opuszczona staruszka mogła się oprzeć z ufnością i nadzieją ^choć jakiegokolwiek pomocy. Wyprawiwszy ten list na pocztę, wyglądała odpowiedzi z niecierpliwością, ale zarazem nie bez pewnej obawy, było bowiem rzeczą bardzo podobną, że Skiba może i nie przyjedzie. Przebywał on wówczas we Lwowie, piepokoje zaczęte w miesiącu marcu, trwały wciąż jeszcze, Lwów był ich głównem siedliskiem, a Skiba, zawsze równo gorliwy o wprowadzenie w życie zasad gminowładnych, brał w nich udział niemały. Było tedy rzeczą bardzo podobną, że zajęty daleko ważniejszymi sprawami, anizeli los jednej, choć uko-

•chanej przez siebie rodziny, stanowiska swego nie

rzuci i pozostanie we Lwowie. Jednak, na szczęście- pułkownikowej, sprawa publiczna przeszła już była natenczas w stan taki, iż rola ta, którą nawet w najlepszym razie można było odegrać we Lwowie, nie była wcale tego rodzaju, ażeby się od niej nie można było oderwać.

Natenczas bowiem przed wszystkim innem już się był zebrał sejm w Wiedniu i rozpoczął swoje obrady — a więc główny ster całej tej sprawy przeniósł się do stolicy monarchii, to zaś, co się działo po stolicach prowincjonalnych, było już rzeczą podrzędną. Prócz tego jeszcze, w stolicy Galicyi działy się takie rzeczy, po których trudno się było czego dobrego spodziewać. Podówczas bowiem już wystąpiło było stowarzyszenie ziemiańskie, podówczas także już wcale inny kierunek wzięła rada centralna — i nietylko, że z tego powodu pomiędzy, temi obydwojma obozami dążności sobie przeciwnych wywiązały się spory drobnostkowe, miejscowe, partykularne i niesłychanie gorszące, lecz, co ważniejsza, z powodu tak już długiego, a tak gruntownego nieładu, objawiło się w ogólności rozprężenie, rozstrzelenie się ogólnego ducha tak wielkie, iż było rzeczą widoczną, że reforma tą na tej drodze do żadnego celu nie dojdzie—a inny jej nadać kierunek mogłyby tylko jakieś gwałtowne, a przy tem bardzo- szczęśliwe wypadki, których się wszakże wcale spodziewać nie było można.

Taki stan rzeczy, obudzający ze wszystkich względów najprzykrzejsze uczucia, był już natenczas dla każdego tylko cokolwiek chłodniejszego człowieka widocznym— i to nawet do tego stopnia, iż.

każdy sąd o tej sprawie, w któremkolwiek powa-
żniejszym kole wydany, wypadł na
niezmierną niekorzyść całej prowincyi. Co ważniejsza, jeszcze dziś nawet, gdziekolwiek
o tych rzeczach dadzą się słyszeć jakie uwagi, to rzadko kiedy bywają one czem innym, jak
najboleśniej zarytami przeciwko sobie samym, a często nawet bezwzględny
wyrokiem potępienia na to wszystko, co tylko pod owe czasy pomyślano, albo zrobiono. Sąd
taki, zazwyczaj na szczegółowych dowodach oparty, jest i sprawiedliwym i
niesprawiedliwym. Niesprawiedliwym dlatego, iż rozpatrując się zaledwie blisko w
drobiazgach, które częstokroć nawet uwagi nie warte, traci z oka wzgląd jeden niezmiernie
ważny, mianowicie wzgląd na to, iż prowincya ta, przeżywszy lat osmdziesiąt w
najzupełniejszej ciemnicy, do działań politycznych roztropnych ani usposobioną była, ani być
mogła. Ale sąd ten jest w gruncie rzeczy sprawiedliwym zupełnie — a to dlatego, iż wogóle
cały duch, cały kierunek tej sprawy, był już z natury swojej, z przyczyny obcego źródła, z
którego natchnienie odebrał, z przyczyny zlania się swego z żywiołami sobie obcymi, jak
najzupełniej fałszywym — a jako taki twór sztuczny, nienaturalny, odlatujący od serca
swojego organizmu przyrodzonego, nawet w najszcześniejszych okolicznościach, nie mógł
żadnego istotnie- pożytecznego osiągnąć skutku. Jest bowiem prawdą bezsprzeczną a bardzo
ważną, że ile razy Galicya przedsięwzięcie jakąbądź sprawę publiczną, a przy obraniu
kierunku dla niej zapomni o tem, że jest rodzoną córką organizmu innego, tyle razy zawsze
wyda z siebie

tylko płód krzywy, niedonoszony, niewczesny, z którego żadnego, miłego Bogu i ludziom, nie odniesie pożytku. Zapatrując się z tego punktu na ową sprawę, o której mowa, nie potrzebujemy się wcale wdawać w drobnostkowe szczegółki, ażeby o niej wydać sąd sprawiedliwy i taki, który, jakiegobądź kiedyś zasady społeczne przeważą w opinii, ostanie się na zawsze w historii.

Do takiego widzenia rzeczy przyszedł do tego czasu także i Skiba. Wtajemniczony we wszystkie najskrytsze ówczesne zamiary, wierzący w zbawienie wstrząśnień ludowych, brukowych i tym podobnych, a ztąd nie widzący dosyć dokładnie ani słabości sił, którym ufał, ani reakcyi podnoszącej już coraz śmielej głowę natenczas, miał on jeszcze wprawdzie i te i owe nadzieje, ale nadzieje te były tak słabe, tak połowiczne i nieodpowiednie jego dawniejszym marzeniom, że wiadomość o potrzebie jego przyjazdu do Zawisłocza całkiem je przeważała. Pokręcił się tedy Skiba jeszcze przez kilka tygodni po Lwowie, urządził sobie korespondencyę, po abo- nował gazety — i zjechał nareszcie do Zawisłocza.

Przyjazd jego przyniósł zacnej staruszce niewymowną póciechę. Stary ten przyjaciel jej domu okazał się i teraz zarówno przywiązany do jej rodziny, jak dawniej, gotowym do wszelkich usług, a choćby nawet i ofiar. Tem tylko jednym nie przyniósł jej pociechy, iż dowiedziawszy się o wszystkich okolicznościach, towarzyszących wyjazdowi Karola, bardzo się tem zdarzeniem sfrasował, nawet daleko więcej, aniżeli się sama staruszka mogła po nim spodziewać. Zapatrywał on się na ten krok

t>4

swego ucznia ze stanowiska swych własnych zasad i sąd jego o nim był zupełnie odmiennym. Prowadzono o tem obszernie i szczegółowe gawędy...

— Daj Boże—powiadał natenczas Skiba—ażeby Karol zachował się tak, jak się pani spodziewa, ale tymczasem ja tę rzecz widzę inaczej. Karol największą niedorzeczność popełnił, że dla tak błahych powodów wyjechał. Azaliż w takim człowieku jest jakakolwiek świadomość siebie, jakabądź ufność w swej woli, który przed marną pokusą musi aż za morze uciekać? To mi też żadnej nie daje rękojmi, że się potrafi oprzeć pokusom, które go spotkają gdzieindziej. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że tyle zabrał z sobą pieniędzy? — Mówiąc to Skiba, dziwnie się niecierpliwił.

— Ale to tak, widzi pani! — powiadał dalej — taka to jest ta nasza szlachta. Nic nie pomoże pchać w nich naukę i wiadomości, nic nie pomoże ani najlepsze w nich wpajać zasady, ani też najwspanialsze stawiać przykłady, bo tam w nich jest jakiś ogień piekielny, który swojego czasu mnsr koniecznie zakipieć. Na nic podczas takiego wybuchu wszystkie przestrogi! Nieszczęśliwy ten szlachcic musi odbyć swój paroksyzm gorączki i póty z żadaego z nich człowiek stateczny nie będzie, póki ten ogień zeń nie wykipi. Zapewne, że tak samo bywało i dawniej — lecz dawniej takiego kipiącego młodzieńca wsadzano na siodło i wyprawiano na wojnę, nabił się i natyrał przez jakie lat kilkanaście i potem wracał rozumny, chłodny i ludzki. Ale teraz—to wielka z tem bieda. Ci młodzi ludzie, zamiast na wojnę, której niemasz pod ręką, jadą do

wielkich miast i zamiast kipieć w pożytecznej usłudze, kipią w rozpuście. Wracają potem, wprawdzie tak ochłodzeni jak tamci, lecz kiedy tamci przywozili z sobą hartowną duszę i ciało, ci przywożą duszę ospałą, a ciało miękkie i wyniszczone. I co tu robić z taką fatalną puścizną! Choćby tylko dla tego samego, z całej tej szlachty nic już nie będzie...

— Pan Skiba zanadto generalizuje swe spostrzeżenia — rzekła na to pułkownika poważnie. — Może te spostrzeżenia są całkiem prawdziwe, może nawet i bardzo ważne, ale tu, zdaje mi się, nie zupełnie stosowne. Mój syn jest wprawdzie jeszcze bardzo młody i z tego powodu może się tak łatwo obalamucić, jak każdy inny, ale ja przecież śmiem ufać w Bogu, że nie dozwoli mu upaść tak nisko, ażeby się zepsuł zupełnie.

Tu kochająca matka wypowiedziała się całkiem otwarcie z tych wszystkich, nadziei, jakie pokładała w swym synu, a o których jużemy wspomnieli powyżej. Skiba słuchał tego wszystkiego z uwagą, ale tylko w połowie uwierzył—a potem tak mówił:

— Wprawdzie i ja się po nim spodziewam, że nie ulegnie on tak łatwo pokusom, jak wielu innych. Wyłożyliśmy przecież nie mało pracy na jego wychowanie, a praca ta nie poszła daremnie, albowiem prócz dobrych zasad, któreśmy w niego wpoili, zachował on jeszcze ten zmysł naturalny a zdrowy, ten smak subtelny a dobry, który go niezawodnie od wszystkiego złego odrzuci, a przynajmniej mu tego złego brzydotę wykaże. Ale pomimo to wszystko niepodobna nam z oka spuszczać i tego, że w czasach dzisiejszych rozpowszechnione

Biblioteka — T 885

uczucie piętna, sztuka i cała zresztą cywilizacja, lubo bezwątpienia nie mało zrobiła na drodze dobrej, jednak także nie mało się przyczyniła do tego, ażeby zło i wogóle wszelkie zepsucie moralne przybrało formy na pozór piękne i nadzwyczajnie ładujące. Nie trudno było oprzeć się złemu natenczas, kiedy to zło w zbrukanych szatach, z napiętnowaną twarzą, walało się po szynkowniach i najplugawszych zaułkach; ale dziś, kiedy Wenus występuje w jedwabnych szatach i. brabanckich koronkach, kiedy jej Gracye wykształceniem, wdziękami i wszelkimi przyborami piękności najcnotliwsze, a nawet częstokroć i najwykwintniejsze kobiety górują, kiedy w ich towarzystwie spotyka się młodzież jak najpiękniejszych zalet zkadinał, kiedy nareszcie bale, dla takich bogiń dawane, świetnością, bogactwem i zgoła wszelkimi płodami dobrego smaku przenoszą częstokroć nawet domy najpierwsze—dziś, pani droga, żelaznej potrzeba woli, brylantowego na sercu puklerza, ażeby być pewnym siebie wśród takich pokus. Ja mówię o tem z taką precyzyą dlatego, iż jestem pewny, że Karol do Paryża pojechał. Wątpię ażeby pojechał gdzieindziej — a tam jeszcze się podobno temu złemu żaden z takich nie oparł, którzy mieli potemu fundusze...

Na tę uwagę pułkownikowa odpowiedziała już tylko westchnieniem — natomiast wspomniała o za- mierzonym i rozerwanem przez Karola małżeństwie. Przedmiot ten Skiba natychmiast podchwycił i tak o tem mówił:

■— Jedno, co w tem całym zdarzeniu bezwątpienia jest dobre, to rozerwanie tych niedorzecznych

związków z domem szambelana. Ja z mojej strony znalazłem niegdyś także niemałe upodobanie w pannie Józefie. Widziałem ją przed trzema laty, będąc raz w Przewoźnikach, uważałem ją pilnie i bardzo •sobie w niej upodobał. Była tam w niej prześliczna i żadnym oddechem sztucznego świata nie popsuta natura; jakoż natenczas myślałem sobie: — Ot! gdyby Karol taką mógł dostać żonę, jakżeby on i siebie i nas uszczęśliwił! Ale już wtedy, rozważywszy to pilnie, jaki to człowiek jest szambelan i jakim jest cały dom jego, przyszedłem do przekonania, że nawet i taka żona nie zdołałaby jeszcze -nagrodzić tego złego, któreby wyniknęło ze związków z tak mało zaczął rodziną. A cóż dopiero o tem rozumieć teraz, dowiedziawszy się ze szczegółami, •w jakich towarzystwach ta panna się obracała w stolicy? Bywała po tych domach, gdzie oficerowie bywają; tańcowała z żołnierzami; nie wahała się należeć do wieczorynek i biesiad, na których rej wodzili żołnierze! Nie przeczę ja zresztą, że ona może temu nie winna; panna tam bywa, gdzie ją zaprowadzą rodzice. Nie przeczę także, że nawet i z takiej panny może być żona najlepsza — ale to nie jest żona dla naszego Karola. Jakoż dobrze się stało, że się to rozerwało, trzeba, żeby się to już nigdy nie zeszło — i takby to jakoś należało prowadzić..;

Byłaby mogła uścisnąć Skibę za to pułkownikowa, co jej teraz powiedział, tak jej to trafiło do przekonania, tak pocieszyło jej serce. Jakoż wypowiedawszy mu się 'jeszcze i z tego, o ile jej na tem zależy, ażeby nie dopuścić do tego związku,

zapomniała mu wszystko, co mówił o Karolu i szlachcie.

Tak przez dni kilka trwały pomiędzy tem obojgiem staruszków (bo i Skiba już coraz więcej się ku starości naginał) rozmowy bardzo ożywione i zajmujące, to o spodziewanych losach Karola, to o spodziewanem ożenieniu się Izydora z szambelanówną, to o polityce dziennej—aż nareszcie przyszedł czas, w którym trzeba było koniecznie dotknąć przedmiotów bliższych, wprawdzie daleko mniej zajmujących, ale nieledwie ważniejszych, bo stanowiących o przyszłej egzystencji rodziny. Były to rzeczy w samej istocie bardzo niezajmujące. Doświadczenia, porobione z nowym trybem gospodarowania dotychczas, acz bardzo krótkie, były jednak niezmiernie smutne. Połowa siana została w polu, bo robotnika nie było; nadeszły żniwa, a robotnika było jeszcze daleko mniej. Chłopi, udarowani tak nagle jaknajzupełniejszą swobodą, do której wcale nie byli przygotowani, oszołomieli tak niespodzianem szczęściem zupełnie, zaczęli pić, hulać po karczmach, włóczyć się po odpustach i targach i wogóle, na rachunek spoczynku po długoletniej niewoli, takie dosadne zaczęli odprawiać ferye, że nietylko przestali zasilać dwory swą pracą, ale nawet i w gospodarstwach swych własnych dziwnie się opuścili. Jeszcze gdzie dziedzic, raniej zważając na konstytucję, z pozostawionej sobie dominikalnej władzy choć jako tako korzystał, zagrodników była dość znaczna liczba z dziennego zarobku żyjących, gdzie wreszcie interes własny przelożono nad wszystkie względy i poczęto najemnika z wsi cudzych sprowadzać, przepłacając

go wedle chwilowej potrzeby — tam lubo nieraz z kosztem ogromnym, unikniono strat jako tako i przynajmniej z pola zebrano. Ale biedna wdowa, staruszka, po części nie umiała, po części zaś wcale nie mogła z wyżej wymienionych środków korzystać—i u niej żyto spadło z kłosa, a pszenica stała jeszcze do dziś dnia na pniu, chociaż to był już środek miesiąca września.

Tak samo nie umiała ona sobie także dać rady w domu. Pod wpływem owej okrzyczanej wolności, której najdziwaczniejsze pojęcia, aż do najniższych warstw docierały, cała domowa służba radykalnie się odmieniła. I tak, ekonom, zamiast pilnować półkopków, jeździł najregularniej co tydzień na posiedzenia rady powiatowej do poblizkiego miasteczka, a nabiwszy sobie tam głowę rzeczami, które się w jego głowie na żaden sposób pomieścić nie mogły, chodził potem jak pijany, przez cały tydzień i co wieczór się gdzieś wymykał na polityczne gawędy. Pisarz, pierwszy orator w tejże samej radzie partykularnej, prócz tego jeden z koryfeuszów lewicy tamże, a nad to wszystko jeszcze sekretarz klubu prywatnych oficyalistów, zawiązanego w temże samem miasteczku niedawno, choćby był chciał, rzecz oczywista, że nie mógł pilnować swych obowiązków głównych, których, również rzecz oczywista, nawet nie miał teraz za główne, tylko za najpod« rzedniejsze, choć one właśnie chleb mu dawały. Ale nacóż tu i pisarza, kiedy nawet stary kamerdyner jejmości, który dotychczas najzawziętym nieprzyjacielem był wszelkich podróży, a za najulubień szą miał sobie rozrywkę drzemać w skórzanym krze

śle w antykamerze, przebudzić się, zażyć tabaki, na zegarek popatrzeć i znów zadrzemać — kiedy nawet ten kamerdyner musiał teraz być nieodbicie na każdym posiedzeniu rady pilzneńskiej, powróciwszy do domu, już nie spał, ale po całych dniach czytał gazety, a zasłyszawszy o istnieniu klubu lokajów we Lwowie, prawie co drugi dzień gdzieś wybiegał pomiędzy lokajstwo sąsiednie, propagując w niemi myśl zawiązania takiego samego klubu w Pilźnie, Dębicy, albo też Brzostku. Szczęście to wielkie, że się na miejsce nie zgodził; bo mąż tak poważny i odczytany ani wątpienia, że byłby w samej istocie, klub taki zawiązał ~ a ci, którzy utrzymywali lokajów, byłiby dożyli jeszcze i tych skutków źle zrozumianej wolności, żeby byli musieli doświadczyć na samych sobie, jak ważną a trudną jest służba lokajska. A kiedy takie panowało usposobienie w wyższych warstwach hierarchii, rzecz jasna, że się musiało udzielać i warstwom niższym; jakoż istotnie nie rzadka to rzecz była usłyszeć natenczas, jak chłopcy stajenni, zamiast konie czyścić, rozmawiali 'z sobą o zbombardowaniu Pragi—jak parobcy przy pługach zapytywali ekonoma, co tam słyhać z Sejmu i rady — i jak klucznica przy dojeniu krów wykladała dziewczkom, co to jest konstytucya? — Cień kawość ta, lubo zkańad bardzo chwalebna i roku * jąca na przyszłość, rfa teraz jednak kosztowała matkę Karola dość drogo — bo z tego powodu niesłychany zakradł się nieład na miejsce dawnego porządku: gospodarstwo upadło znacznie, ucierpiał bardzo zaniedbany inwentarz, ucierpiał także budynki—a co najgorsza, dawny rygor domowy, dawne.

posłuszeństwo znikło bez śladu, o rozkazach już ani mowy nie było, a jeżeli jeszcze co uczyniono, to za* ledwie na prośbę.

Kiedy się Skiba w tem wszystkim zbliżka rozpatrzył, to nie tylko się odrazu przekonał, jak niezmiernie kosztowne są wszystkie reformy radykalne a nagle —ale, co gorsza, zwróciwszy słuszny wzgląd na to, że Karol zabrał z sobą wszystkie gotowe pieniądze, zaledwie się mógł spodziewać, ażeby tak bezładnemu a teraz już dobrze nadniszczonemu gospodarstwu w jakibądź sposób można dać radę. Rozmyśliwszy tedy to wszystko, zaproponował pułkownikowej, aby poprostu puścić Zawisłocze w dzierżawę, a poprzestając na małym, lecz pewnym i bez kłopotu, siedzieć sobie spokojnie, póki Karol nie wróci, albo szczęśliwsze nie przyjdą czasy. Ale pułkownikowa odrzuciła tę propozycję stanowczo. Była ona bowiem już dlatego wydzierżawieniu prze* ciwną, iż w takim razie wypadłoby było pozbyć się inwentarzów i wszystkich gospodarskich urządzeń, rzeczy w dzisiejszych bezpieczeństwańskich stosunkach niezmiernie ważnych, do których potem tak łatwo się nie przychodzi. Wieś, wypuszczona dzisiaj; w dzierżawę, podobno z niej już nigdy nie wyjdzie bo miałby właściciel potem, chcąc gospodarstwo objąć na siebie, włożyć w tę wieś prawie tyle, ile ona jest warta, to się zapewne rozmyśli i albo drugą wieś kupi, albo nabędzie procentowych papierów, zawsze daleko lepszych, niż wieś galicyjska, która ponosi na sobie takie ciężary, jak gdyby leżała w Anglii, a zato żadnych nie używa korzyści. Wydzierżawieniu zresztą była pułkownikowa jeszcze

i dlatego przeciwną, iż, jak mówiła:—Kto wie, w jakim usposobieniu Karol powróci?— może jedynym dla niego ratunkiem będzie zajęcie się gospodarstwem? W każdym zaś razie objęcie gospodarstwa na siebie będzie jedynym stanowiskiem, jakie będzie mógł zająć w swem społeczeństwie. Wolę ja tedy już sama ucierać się ze wszystkimi gospodarskimi biedami i stracić w nich zdrowie do reszty, aniżeli- bym miała mieć sobie do wyrzucenia, żem zaparła drogę do zajęcia odpowiedniego stanowiska memu synowi.

Uznał Skiba odrazu słuszność tych uwag poczciwej matki i rzekł z determinacją;

— Hal to weźmy się sami do gospodarstwa.

I wziął się w samej istocie Skiba do gospodarstwa z całą energią, na jaką mógł jeszcze się zdobyć, i z całym tem poświęceniem, którego dla dobra bliźnich nigdy mu nie brakowało. Wziął się nawet do tego zawodu całkiem gruntownie i oczywiście zasadnie. Będąc tedy przede wszystkim zdania, że żadnej praktyki nie można wykonać skutecznie, nie znając jaknajdokładniej teorii, wziął się Skiba do książek, ażeby się obznajomić z nauką agronomii, fizyki, chemii i wszystkich innych tu należących; nie omieszkał zarazem zapoznać się z nauką ekonomii, czyli administracyi, bez której, lubo się jej naszym zdaniem z żadnych książek nauczyć nie można, tylko ją trzeba dla siebie koniecznie własną głową wynaleźć, wszystkie tamte nauki na nic się nie przydadzą. Jako człowiekowi uczonemu, a zatem mającemu i wprawę do studyów i elemen- ta tych nauk, nie było to trudno; jemu zaś jeszcze

0 tyle łatwiej, ile że przez dwa lata minione obeznał się już cokolwiek z gospodarską praktyką, a do tych studyów miał całą zimę przed sobą. Pobom- bardowano. już zresztą do tego czasu wszystkie stołeczne miasta, skąpano we krwi całą tę rewolucję legalną—bolał nad tem poczciwy Skiba niezmiernie, gryzł się i smucił — ale ugiąwszy się pod ciężarem konieczności, jak wszyscy, rad był nareszcie, że mu się zdarza taka rozrywka w zajęciach, nie mających z polityką i socyalizmem żadnego związku. Jakoż przez tę zimę przeszedł on prawie całą bibliotekę agronomiczną francuską, angielską, niemiecką, pol* ską—i co tylko było pomiędzy Humboldtem, do którego się po rozwiązanie niektórych wegetacyjnych 1 klimatycznych zagadek odnosił, a naszym zacnym Oczapowskim, wszystko to przeczytał, zanotował, spamiętał i uczynił swoją własnością. I nie można mu tego wcale zaprzeczyć, że czytać umiał i czytał z jakn aj surowszą krytyką, przywłaszczając sobie to tylko, co w miejscowych okolicznościach wytrzymywało próbę zdrowego rozsądku. Jak tedy z jednej strony stanowczo odmówił wiary zdaniu Liebiga, że każda roślina żywi się tylko z powietrza, tak znowu z drugiej nie przyjął wcale zasady, ażeby otrzymane z ziemi produkty koniecznie w najbardziej wydoskonalonej sprzedawać formie, np. drzewo w kształcie pasztetów. Skiba na mniejszem poprzestał. I tak wyuczył się gruntownie nauki rozpoznawania rodzajów ziemi i osądzenia, do czego który z nich jest przydatnym, wyuczył się dalej teorii wegetacyjnej, z czego która roślina się składa i co powinna zastać w przygotowanej dla siebie ziemi, ażeby wydała

oczekiwane owoce; wyrozumiał potem zasady skur tecznoego pielęgnowania i zastosowania nawozów, wyrabiania kompostów i wszelkich innych środków pomocniczych, a wreszcie obeznał się także z narzędziami gospodarskimi, z ich przeznaczeniem, budo- wną, użyciem, w którym to celu odbył umyślną po* dróż do Berlina, gdzie zarazem się poznał z wielu znakomitymi agronomami i o niejednej rzeczy dowiedział się z pierwszej ręki. Poradziwszy się jeszcze do tego sąsiadów i oświeciwszy się od nich o istniejących tutaj klimatycznych warunkach, jak niemniej o sposobach postępowania ze służbą i najemnikiem — pod koniec zimy już tylko tem był zajęty, jakiby system najstosowniejszy dla gospodarstwa zawisłockiego wymyślić. To też przez resztę zimy, prócz zajęć około dopełnienia inwenta* rzów roboczych i przysposobienia gospodarskich narzędzi, biedny Skiba i dniem i nocą przechadzał się po swojej basztowej komnacie, a w jego głowie krę* cił się tylko turnus i turnus bez końca. Sto tablic najrozmaitszych zmianowań leżało na jego stole, które po całych dniach, patrząc na mapę Zawisłocza, to zmieniał, to poprawiał, to uzupełniał — a w nocy już mu się nic nie przyśniło innego, tylko żyto, ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica, we wszystkich możliwych i niemożliwych po sobie następstwach. Biedny, uczony Skiba! Czy myślał on kiedy, ażeby w tej głowie, w której dotychczas tylko Platony i Justyniany, Cezary i Napoleony tak wspaniale odbywały rotacye, zamieszkały kiedyś same pszenice i grochy, azoty i fosforany? I czy myślał on kiedy, ażeby z temi grochami i azotami da

leko trudniejszą była sprawa, aniżeli z najstarszymi mędrkami najstarszych światów, aniżeli nawet ze skandynawskimi runami, albo i z samym sanskrytem?—A tymczasem w samej istocie nieraz, osobliwie kiedy mu w żaden sposób nie chciały kwadrować układane rotacye, dziwnie się gorszył i niecierpliwił i nieledwie upadł. Jakoż niejednokrotnie wołał natenczas z rozpaczą:—Wolałbym objaśniać Statuty wiślickie, szukać początków polskiego prawa w piramidach egipskich i decyfrować pieniążki, choćby tak gładkie, jak szkło, aniżeli się brać do tych ziemniaków i grochów. Jeżeli policuję z sobą niezgodne paragrafy statutów, choćby i takie, które żadnej ze sobą zgodności nie mają i mieć nie mogą, co jej skutkiem owoczesnego nieoświecenia i nieumiejętności pisania nigdy nie miały — jeżeli wywiode powinowactwo praw polskich z utajonem znaczeniem hieroglifów egipskich—jeżeli na zatar* tych pieniążkach jakikolwiek sensik wyczytam, chociażby za pomocą alfabetu wymyślonego przeze- mnie — kto mnie w tem dojdzie, kto skontroluje?— W najgorszym razie jakiś drugi uczony coś innego sobie wyroi, inny alfabet wymyśli, coś innego wyczyta i poważnie się ze mną posprzecza; lecz coram populo zawsze będę człowiekiem rozumnym, ba, nawet im bardziej niezrozumiałe i oschłe rzeczy popi^szę, tem głębszej uczoności pozyskam sławę. A tu niech i najgłębiej zbadam wszystkie siarczany i fosforany, niechaj najmisterniejszą wymyślę rotacyę, . kiedy się nie urodzą ziemniaki, albo groch nie dopisze, każdy sąsiad się na tem pozna, każdy chłop wyrozumie, a wszyscy razem wyśmieją. —
Dziwnie

się niecierpliwił tem Skiba, a nieraz, kiedy o skutkach pomyślał, śmiertelne przechodziły go dreszcze. Lecz jako człowiek rozumny, a do tego stateczny, trwał wiernie przy swoim, a z obawy niepowodzenia tylko tem pilniej, tem skrupulatniej jeszcze przygotowywał się do rozpoczęcia tego Zawodu, który już teraz uznał za najtrudniejszy ze wszystkich. Jakoż z początkiem wiosny był on wistocie gotów ze swojemi planami i wziął się z całą energią do •czynu...

Szczegółowe opisy gospodarstw nie należą zapewne do rzeczy tak bardzo zabawnych, ażeby się mogły bez ujmy zajęcia, a może nawet bez grzechu przeciwko sztuce mieścić w powieści, której celem przedewszystkiem powinna być piękność i prawda. Ale jeżeli Francuzi, Anglicy, Niemcy mieszczą niejednokrotnie w swoich romansach całe wykłady nauk tak specjalnych, jak marynarka, fizyka, chemia, a nawet i astronomia — to cóżmybyśmy mogli najprędzej do naszych powieści przypuścić, jeżeli nie gospodarstwo, my wszyscy razem, i czytelnicy i autorowie, po największej części i przed wszystkim innem ziemianie, rolnicy i gospodarstwem zajęci?— Toż w przekonaniu tem, że i ta książka, jak wszystkie nasze poprzednie, najgęściej się rozejdzie pomiędzy ziemian rolników, którzy się sami gospodarstwem zajmują, a zatem, że ich te gospodarskie opisy przynajmniej zbytecznie nie znudzą—przyjrzymy się także cokolwiek bliżej gospodarstwu Skiby, co naszym jest obowiązkiem, a to dlatego, iż, jak to widać z poprzedzających rozdziałów, stosunki gospodarskie w Galicyi są jedną z główniejszych

nici, z których się powieść niniejsza wysnuwa. Lecz przebiegniemy to krótko, jak tylko można najkrócej.

Owo więc plan, który Skiba dla gospodarstwa zawislockiego wymyślił i natychmiast wprowadził w życie, nie był wcale bez sensu. Owszem, czynił on nawet zaszczyt jego głowie, że się umiała tak łatwo znaleźć na nowem zupełnie polu. Idźmy za jego planem. Przedewszystkiem tedy przyjął on za zasadę: iż ponieważ grunty zawislockie nie wszyst* kie są jednej natury, a zatem nie można dla wszystkich jednej postanawiać rotacyi. Wskutek rozgatu- kowania całego obszaru, wypadło mu go podzielić na cztery główne oddziały.

Pierwszym oddziałem objął on około stu morgów gruntów górnych, piaszczysto- gliniastych, lekkich i próżnych humusu, które, nie dowierzając im, aby mogły opłacić wyłożone na nie nakłady, wyłączył z góry z pod wszelkiej rotacyi. Postanowił zasiewać tam owsy i podsiewać je pastewnemi trawami, albo poprostu pozostawiać ugorem na pastwiska dla owiec, z czasem zaś doświadczać na tych gruntach skutków łubinu, z którą to rośliną zaczął natychmiast robić doświadczenia w szkółce umyślnie ad hoe urządzonej.

Drugim oddziałem objął około osiemdziesiąt morgów jaknajlepszego pola, które leżało tuż koło karczmy i młyna, nad samą rzeką i składało swą warstwę rodzajną z samego prawie humusu. To pole obrócił głównie pod rzepak, nazwał je rzepa- kowem, podzielił na cztery poletka i zaprowadził na niem następującą rotacyę: rzepak, pszenica, koni*

-czyna na nasienie, koniczyna raz cięta na paszę, powozem znów nawóz i rzepak i tak dalej. Dostarczyć tak wielkiej ilości nawozu spodziewał się Skiba w ten sposób, iż z młynarzem i propinactorem, którzy na dobrej karmie utrzymywali corocznie po kilkadziesiąt sztuk bydła, zrobił umowę, że wszystek zbywający im nawóz będzie zabierał. Manipulacja taka i z tym kawałkiem pola i z nabyciem nawozu była dość trafną; Skiba zrozumiał wartość tego pomysłu i cieszył się nim niezmiernie, obiecując sobie zeń bardzo znaczne korzyści.

Pozostałą resztę gruntów ornych, wynoszącą jeszcze około czterechset osiemdziesięciu morgów, objął Skiba pod gospodarstwo regularne i systematyczne. W tym celu podzielił on całą tę przestrzeń na dwa równe oddziały, z których jeden pod uprawę jesienną, a drugi pod wiosenną. I na jednym i na drugim zaprowadził rotację ośmiopolową. Na jesiennym następującą: żyto, ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica, groch albo wyka, owies i ugór, na wiosennym zaś taką: w pierwszym roku buraki, turnips, brukiew, kapusta i t. d., - w drugim jara pszenica, żyto jare lub jęczmień, w tem koniczyna, potem pszenica, groch, bób i wyka, żyto lub owies, podsiany trawami na lat dwa.

Jak tedy widzimy, rozporządził Skiba zawi- słockiem gruntami, może z cokolwiek przesadnym •względem na karmę i paszę dla bydła, zwłaszcza, że oprócz tego miał sto morgów łąk — ale zresztą bardzo systematycznie, na przyszłość nawet bardzo praktycznie; albowiem, jak to wiadomo, nigdy ten końcu źle wyjść nie może, kto zaprowadzi u sie

bie tak silną produkcją paszy, rozumie się wszakże, że tylko wtedy, jeżeli jest w stanie przetrwać te pierwsze lata, w których zmniejszona produkcja ziarna silny wywiera wpływ na dochody, a inwentarze jeszcze żadnych nie mogą przynieść korzyści.

Co do innych gospodarskich potrzeb, urządził się Skiba oczywiście wedle potrzeby. Podopiecznym inwentarzem roboczym był silny i piękny, uregulował także inwentarz stajenny. Był wszakże w tym ile możliwości oszczędny: koni tylko kilka przykupił, mając zamiar przez dobre żywienie poprawić jakość przychowku — owiec na początek nabył tylko sto dwadzieścia — a co do krów, choćby ich mógł być, a nawet powinien znaczną liczbę wyprzedać, jednak tego nie zrobił, raz dlatego, iż się obawiał, ażeby Karol, powróciwszy do domu, nie pogniewał się na niego za zmarnowanie najulubieńszych przez niego zwierząt — a powtóre dlatego, iż na tak wielką ilość produkować mającej się paszy trzeba było koniecznie odpowiedniej ilości konsumentów. Tylko już co do gospodarskich narzędzi nie mógł się Skiba oszczędzić i posprawał wszystkie zupełnie nowe i odpowiednie. Również i co do ludzi, nie mógł na dawne poprzestać, a lubo tych i owych odprawił, przyjmował jednakże nowych i uzupełnił ich liczbę* tak, że każdy Zaprząg miał osobnego parobka, każdy oddział polowy swego nadzorcę, każda robota, czy to w polu, czy w domu, swego kierownika i stróża.

Taki plan ułożywszy, przystąpił Skiba do wykonania — i trzeba mu to przyznać, iż wykonywał to

z taką ścisłością, jak tego dokazać może w Niemczech wprowadzić każdy człowiek chodzący, lecz w Polsce chyba tylko profesor. I z początku jak najpiękniejsze okazały się rezultaty, tak w polu, jak w domu, a nawet w każdym domowym zakątku. Wszystko odpowiedziało Skibie, nic nie chybiło. Ażeby nie wpaść pomimo woli w zbyt długą rotację około jednego i tego samego przedmiotu, przejdźmy od razu do czasu zbioru drugiego roku. Owa więc, nawet po upływie dwóch lat całkowitych, nie mógł się Skiba na nic skarżyć, bo mu się wszystko powiodło najdoskonalej. Zasiewy, porobione w gruntach przez niego sprawionych, wydały plony nadzwyczajnie obfite. Zyto miał takie, jakiego nie pamiętano w Zawisłoczu od najdawniejszych czasów; rzepak wydał około dwunastu korcy z morga doskonałego ziarna, turnipsy, brukwie, buraki porodziły się tak ogromnie, że się sąsiedzi zjeżdżali, ażeby widzieć te dziwy, a jęczmień po okopowych roślinach dał ziarno tak obfite i tak dorodne, że jeszcze go Skiba nie wymłócił, kiedy go już zakupiona na browary, drąc się o niego i płacąc wyżej nad ówczesną cenę targową. Również nie mógł ctn sobie nic zarzucić, tak co do zasiewów ozimych, które były w czas porobione, nie widziały ani kropelki deszczu i były jak najporządniej złożone w stodołach.

Ze służącymi i najemnikami przeszedł Skiba męki piekielne. Jakoż tu się dopiero dowodnie zacny nasz demokrat przekonał, że to nie chciwa zysków, butna a nieużyta arystokracja, nie nienawiść albo też niechęć rodowa przemawia wtedy ze szlach

ty, kiedy się ona skarży ten lud wiejski r z pe- wnym zastanowieniem przystępuje do wyświadczenia tych dobrodziejstw dla ludu, które" końca nie mają, a które ją tak drogo kosztują; ale móWi z nich wtedy tylko właspe' ich doświadczenie, dokładna znajomość ludu i to wrodzone ludzkie uczucie, które nie może rozlewać się "z dobrodziejstwa⁴- mi te dla tych, którzy najpospoliej i złe i dobre przyjmują z meczulością kamienną. Zapewne, nie winien lud wiejski tej zdrętwiałości swojego serca; winny temu ubiegłe wieki, winna może i sama szła* chta; ale ta szlachta, na której ciążą te winy, już oddawna spoczywa w grobie, a na tę, która dziś żyje, trochę za ciężkie te wielorakie pokuty! Gier* piec i cierpieć bez końca, drzeć resztę szat niedo* darych na sobie i dzielić się niemi z uboższą" brav cią, to jeszcze rzecz ludzka i to czyni szlachta; ale za takie cierpienia i poświęcenia być z jednej strony obtyzgiwanym wyrzutami i błotem, a z drugiej spo-i tykać obojętność drewnianą, a czasem najczarniej-- są niewdzięczność i nawet nie westchnąć i nie poskarżyć się na to—tego nikt nie potrafi, bd to byłyby rzeczy nadludzkie. Nie potrafił też tego i Skiba, choć sam nie był szlachcicem, tylko wszfcdł w położenie szlacheckie. Ej! ileż-to razy natenczas on, tak łagodny i słodki i tak pry wiązany dó ludu, zgrzytał zębami i wściekle połykał przekleństwa, kiedy mu trzeba było stu przynajmniej żniwiarzy, a wyszło ich pięciu lub sześciu? Zboże spadało z kłosa, czeladź wiejska zbijała bąki pomiędzy płoty i radowała się swoją swobodą, a na jego • ginące plony nikt ani spojrział. Pobiegł Skiba sam na wieś:

Maćku, Bartku, Wojtaszku! owo siedzicie, ręce za pas włożywszy; chodźcie na pole, dostaniecie zapłatę!— Ba! kiej mi się nie chce—powiadał Maciek. Mam ja swoje zboże na polu, co mi tam do pańskiego! — powiadał Bartek, a Wojtaszek nawet się zaśmiał:—Ej! jak się to pany teraz kłopotą, przecie czas przyszedł i na was! — Ale zmiłujcie się—wołał Skiba — przecie się to nie godzi; Maćku, a czy nie dałem tobie dwa korce żyta, kiedyś marł z głodu w wiosnie i czyś mi nie przyrzekł odrabiać to w czasie żniwa? Bartku! a czyś ty nie wziął cztery korce ziemniaków, któreś winien do dziś dnia? Wojtku! a czym ja tobie nie wyjechał w wiosnie z dworskiemi pługami i czym cię nie poratował! Pomilkli na to na chwilę, a jeden z nich, poskrobawszy się w głowę, rzekł: — Jużci my pana także poratujemy, ale pierwszej zrobimy sobie.— Zacisnąwszy czapkę na uszy, Skiba uciekał wtedy, połykając łzy gorzkie, które mu się cisnęły do oczu. I z temi łzami stawał nad upadającym jęczmieniem lub żytem i myślał sobie... Czy powiedzieć, co myślał?—i pomyślał sobie:—Ej! żebym miał pańszczyznę! żebym ją miał przynajmniej póty, póki się z biedy nie wyrwę, póki się choć troszeczkę nie zapomogę, póki choć do połowy nie zaprowadzę mojej ośmiopolowej rotacyi. Zawczasem to podobno, za radykalnie, za nagle przeprowadzono tę wielką reformę! Gospodarstwa muszą podupaść, szlachta zniszczyć do reszty, a z nią kraj cały. I wtedy przypomniał sobie tę chwilę, kiedy to szlachta podpisywała petycję o zniesienie pańszczyzny. Z jakimże to zapałem, z jakim zaparciem się siebie garnała się ona do dopełnienia tego

aktu, którym się swoją fortuną na połowę dzieliła z ludem. Skiba sobie przypominał tę wielką scenę, znał on ją dobrze, ale dopiero teraz, kiedy sam na sobie dos'wiadczył, o ile ta szlachta przez ten akt uszczupliła swych fortun, na jaką się naraziła ruinę, potrafił słusznie ocenić jej wartość. Jakoż od tego czasu całkiem innem on okiem zapatrywał się z tego względu na szlachtę. Wyrzeczenie się poddaństwa i wszelkich z niego płynących korzyści, wyrzeczenie się tego pochmurnego zabytku nieoświeconych wieków, było bez wątpienia jednym z najświętszych obowiązków szlachty, było ono obowiązkiem względem cywilizacji dziewiętnastego wieku, a co ważniejsza, obowiązkiem względem tej chrześcijańskiej religii, którą wyznaje od tylu wieków, ale dopełnienie tego obowiązku było tak kosztownem, tak gro- inem i niebezpiecznem dla jej własnego istnienia, iż z obowiązku się zamieniło w ofiarę, ofiarę wspaniałą i tak zaszczytną, jakiej napróżno szukalibyśmy może nawet w dziejach całego świata. Do takiego przekonania przeszedł dziś nauczyciel Karola—a lubo to się stało trochę za późno, jednak lepiej późno niż nigdy.

Owo więc Skiba, jakby na ukaranie za swoją 4ak bardzo wrzącą i tak nieogłędą gorliwość o uwłaszczenie wiejskiego ludu, musiał z tym ludem przechodzić sam przez to wszystko, przez co przechodziła cała podówczas szlachta. Ale jak nad szlachtą, tak też i nad nim czuwała Opatrzność Boska i dała mu cierpliwość, skrzętność a wytrwałość—a tak przecież o tyle sobie poradził, że z tego względu przynajmniej zbyt wielkim nie uległ stratom.

Nie gorzej powodziło mu się także i w domu. Sługi domowe, lubo jak zwykle, - krriąbrne, leniwe,; niechętne, utrzymywał on w. posłuszeństwie. nie tyle surowością i grozą, na którą nigdy zdobyć się nie mógł, ile swoją własną pilnością, systematycznością, i pedantyzmem.. Najdoskonalsze to są środki na sługi, które, jako nasze nie odrębne rodzeństwo, wszystko przenieść potrafią, ale nudami dałyby się nakłonić nawet do samobójstwa. Miał tedy Skiba i, sługi porządne i pracowite i w ogóle w całym domu taki ład piękny, że wszystko się tam robiło, podług zegara; oczywista rzecz, że i wszystko . się, wiodło. Bydło robocze, karmione według wagi; i miary, a nigdy, nie przeciążane pracą, wyglądało; wybornie-r-krówki, choć zaniedbane niegdyś, dziwnie się poprawiły, a znaczna liczba dorodnych cielątek sprawiała matce Karola swą okrągłością i wzrostem nieznaną dotąd pociechę. . Ze stu dwudziestu owie- . czek zrobiło się po dwóch leciach około trzysta, a wychowane przez Skibę jarki okazały się bez porównania lepszymi od matek. Nawet i konie, na których Skiba najmniej się znał, a każdego z nich oglądał z wielkim respektem i niezmiernie z daleka, także się poprawiły i pomnożyły do tego . stopnia, że'można było z nich znowu coś wybrakować. Dość, że we wszystkim widać to było jawnie, co może rozum człowieczy, co w gospodarstwie znaczy gruntowna nauka i jaką zasługę położyli ci znamienici mężowie, którzy rolnicze rzemiosło, miane jeszcze do niedawnego czasu za zajęcie zbyt niskie i nie wymagające żadnych umysłowych natężeń, osadzili na naukowych podstawach i przez to nietylko mu

otworzyli drogę do przyszłości nieograniczonej i świetnej, ale już dzisiaj wyrobili dla niego jedno z najzaszczytniejszych miejsc między zajęciami człowieka.

Tak wyglądało tedy owo' gospodarstwo w Zawisłoczu, które Skiba z takim* mozołem wymyślił i z taką pracą wprowadził w życie! Ale nie dosyć? na tem, bo teraz każdy zapyta:—Jakież był tego gospodarstwa rezultat? jakież były dochody?

Że dochodów nie było żadnych, że po zaprowadzeniu takich zmian radykalnych już zaraz w drugim roku być wcale nie mogło, o tem zdaje mi się zaledwie potrzeba wspominać.

Lecz czy się to gospodarstwo opłacało, czy Skiba z jego powodu nie wpał w jakie kłopoty? Otóż to właśnie, że się nie opłacało, a kłopoty, w których się Skiba znalazł pod koniec drugiego roku, były zatrważające.

Jakież tedy były tego powody?

Oto pierwszy i główny powód był ten, iż radykalizm w gospodarstwie, radykalizm tak ryczałtowy a nagły, lubo w szczęśliwych okolicznościach może się doskonale opłacić każdemu kapitaliście, jednak szlachcica, nie mającego nic więcej oprócz swego kawałka ziemi, prowadzi prosto do zguby. Gdyby Skiba miał o czem wytrwać przez tyle lat, na ile lat była rozłożona jego rotacja, chociażby zresztą dwa lub trzy lata mniej, to byłby pewnie z tryumfem wypłynął i przyprowadził Zawisłocze do ogromnych dochodów. Ale to było niepodobieństwem. Albowiem przyjąwszy ten system dla gospodarstwa Zawisłockiego, powiększył wydatki, a na lat kilka wyrzekł się prawie całkiem dochodów.

I tak, w pierwszym roku zebrał, tylko jeden szczególny plon odpowiedni, to jest z poletka wziętego pod rośliny okopowe; w drugim roku zebrał plon tylko z czterech poletko w, rośliny okopowe, jęczmień, żyto i rzepak—a reszta poletków musiała albo leżeć odłogiem, albo, co gorsza, wydawała plony nie opłacające nawet roboty. Dochody w roku pierwszym były żadne, w drugim zaś nadzwyczajnie małeńkie. A tymczasem już w pierwszym i drugim roku nakłady na robociznę i całą administrację musiały być takie same, jak gdyby najodpowiedniejsze plony zbierano ze wszystkich kwater. Pociągało za sobą agronomiczne zasady, od których, kiedy już raz zostały przyjęte, nie podobna było odstąpić. Na taką administrację trzeba było dużo pieniędzy, których nie było. Tak trzeba było już na samym początku posprawić nowe gospodarskie narzędzia; bo jakże można przy racjonalnej uprawie orać stami pługami, drapać po wierzchu niezdarnymi bronami, jak nie mieć walców, podskibników, ekstyrpatorów, kiedy te wszystkie narzędzia stały się już dziś niezbędnymi? Dalej, jak można nie mieć inwentarza roboczego tyle, ile wedle rozmiaru roli potrzeba? Trzeba było tedy kupować inne. Jak nie okopać pól, kiedy są niskie? jak nie kopać rowów po łąkach, kiedy są mokre? jak nie bronować i nie spociołować tych łąk, kiedy są zamszone i wydają siano kwaśne, a mogą wydać słodkie? Już tedy rok pierwszy pochłonął wiele wydatków, wprawdzie według zasady niezbędnych, ale bardzo kosztownych. Ledwie nadeszła zima, okazały się nowe wydatki. Okazało się bowiem, iż pomimo najlichszych zbiorów

rów ze wszystkich pól niesprawionych, zebrano się przecież paszy daleko więcej, niżeli jej mógł spo- trzebować własny inwentarz. Sto morgów łąk, dwadzieścia cztery morgi roślin okopowych i pokoszone ugory dostarczyły paszy niezmiernie wiele. Cóż tedy począć? Sprzedać połowę siana, to grzech śmiertelny przeciw przyjętej zasadzie; sprzedać ze dwa tysiące cetnarów buraków nie było komu—coż tedy począć? Trzeba było pożyczyć pieniędzy, a inwentarza nakupić. Manipulacja ta mogła być niezłą, ale to była już spekulacja, a Skiba był tylko agronomem; na tym inwentarzu nie wiele przyrosło; w przewidzeniu, że na drugi rok także taki sam zajdzie wypadek, zatrzymano go dla siebie, a tymczasem dług z procentami został na karku. Okazało się także, iż młócić cepami jest niepodobna, bo ani młocków na zawołanie dostać nie można, ani te zmłocki wymłacają tak jak należy. Sprawiono się zatem młócić jak tylko można najlepszą; sprawiono się do niej równie najlepszą siewkarnią, a chcąc ją ustawić gruntownie i systematycznie, przebudowało się z gruntu budynek. W następnym roku było odpowiednich zbiorów cokolwiek więcej, ale też i wydatków o wiele więcej. Jak bowiem nie robić dalszych rowów po łąkach, jak ich nie popiołować, kiedy te doświadczenia odpowiedziały tak doskonale przeszłego roku? Okazało się również potrzeba niektórych nowych narzędzi, trzeba było nowe kupować nasiona, ceny robocizny podnosić, a przytem ciągle i bezustannie naprawiać i podtrzymywać budynki, bo niepodobna im przecież dać upaść. Oprócz tego wszystkiego trzeba było żyć jeszcze, utrzymy-

wae dwór cały prawie tak samo jak dawniej, trzeba było opłacać raty Towarzystwa i opłacać poda* tki, w galopujący sposób podrastające. Na tó wszy-^t stko trzeba było niezmiernie wiele pieniędzy.

Temu całemu gospodarstwu Skiby przypatrywała się pułkownikowa z początku może z pewnem niedowierzaniem—lecz widząc, że ten poczciwy człowiek z taką skrzętnością, z takim poświęceniem, •a nawet z taką umiejętnością dla niej pracuje, uczuła się tak dla niego ujętą, że nawet i pod. tym względem na ślepo mu zaufała. Jakie tylko miała pod ręką środki dostania pieniędzy, nie zaniedbała żadnego, ażeby mu ich dostarczyć. Później, kiedy wydatki zaczęły się ciągle powiększać, trwożliwa o los swój staruszka za każdym razem zastanawiała się nad tem cokolwiek; ale jak z jednej strony już przez samą delikatność nie śmiała się Skibie sprzeciwić, tak znowu z drugiej już się podtenczas pokazywały jego pracy owoce, a te były tak dalece zadawalające, że nakłaniały ją tylko do tem większej ufności. Tak tedy pułkownikowa pomaleńku za- brnęła w długi, które będąc najrozmaitszej natury, składały razem sumę dość znaczną.

Ze swojej znów strony Skiba także się w swoich rachunkach nie pomału powikłał. Był on wprawdzie niezmiernie oględnym, nawet i skąpym; lecz na nieszczęście, nie miał żadnych finansowych talentów. Uczciwość, szlachetność, czystość, ze spraw pieniężnych, nawet najprostszych, natenczas tylko bez szkody wychodzi, jeżeli jest uzbrojoną w rozum jak n aj trzeźwiej szy, doświadczenie lat wielu i lisią prawie ostrożność. A jakże dopiero taka uczciwość

może wyjść tam, gdzie trzeba koniecznie łątać, sztukować, kręcić, ażeby i kredyt zachować i nie przeładować się procentami? A w takim właśnie położeniu znajdował się Skiba, najpocziwszy pod słońcem. Prócz tego, przez całe życie ubogi i nigdy ze znacznymi pieniędzmi nie mający styczności, jak z jednej strony nie miał wcale wyobrażenia o tem, jakimi sumami musi koniecznie obracać, ażeby takie gospodarstwo prowadzić, tak znowu z drugiej, mając wzrok wyteżony tylko w ostateczny rezultat swoich teoryj, a nie zwracając dostatecznego względu na bieżące fazy jej przejścia, był w każdym kłopotcie zdania, że to już kłopot ostatni. Ztąd poszło, iż w każdym razie ratował się tylko chwilowo, z czego oczywiście skutek wyniknął taki, iż wprawdzie się nie spętał jednym grubym postronkiem, ale się opłatał całemi setkami cienutkich nitek, których wszakże było tak wiele, że byłby z nich wcale dosadny postronek. Włazł on tedy w najrozmaitsze zaległości kupieckie i rzemieślnicze i w niezliczoną moc dłużników żydowskich — a przytem w tak nie- rostopny sposób ponadbierał dochody z propinacyi, młyna i t. d-, tak niedorzeczne pozawierał umowy z kupcami lasu, zboża i tym podobnych produktów, że nareszcie już sam nie wiedział, komu co winien i ile długi kosztują.

Nie przywiązując jednak zbyt wiele wagi do tych drobiazgów, a pamiętając tylko o tem, ile mu w tym lub owym roku przyniesie rzepak, konieczyna, pszenica, brnął coraz dalej w te sieci, które sam sobie zgotował.

- Tak się miały te rzeczy pod jesień drugiego

roku. O tej porze nowy kłopot opętał biednego Skibę. Oto, zebrawszy z pola, przekonał się, że w tym roku ma znowu tak wiele paszy, iż jej swym inwentarzem nie nakarmi. W roku minionym spał taką nadwyżkę paszy inwentarzem drobnym i zakupionymi krowami, ale to się nie opłacało, bo inwentarz drobny nie wiele zyskał, a krowy, lubo niezmiernie wiele dały mleka, jednak to mleko nie miało odpowiedniego nabywcy. Rozważywszy tedy tę sprawę przyszedł do przekonania, iż najlepiej uczyni, jeżeli woły postawi na stajni, ale na kupno wołów trzeba było dług nowy zaciągnąć, a na zaciągnięcie takiego długu trzeba było zezwolenia pułkownikowej. Trwały o to dość długie dyskursy, bo staruszka była zdania, ażeby sprzedać zbyteczną paszę tak jej się to zdawało naturalnem, tak korzystnem, tak nawet w tych ciasnych okolicznościach koniecznem; ale na przedstawienia Skiby, że to na żaden sposób nie może być, bo w takim razie braknie na przyszłą wiosnę nawozu, w skutek czego cały system dotychczasowy zostanie zburzonym na zawsze—zezwoiła nareszcie, zwłaszcza, że jej nieboszczyk raj? takie karmił woły co roku i zawsze na nich zyskiwał.

Ale i dług zaciągnąć podówczas, a jeszcze do tego tak znaczny, nie przychodziło z taką łatwością jak dotąd. Były to pod tym względem najfatalniejsze czasy w Galicyi. Zły stan finansów państwa, nagłe zniesienie pańszczyzny, a ztąd równie nagły upadek wszystkich większych gospodarstw, o których jeszcze nie można było nic pewnego powiedzieć, a trzeba się było najgorszego spodziewać, zmniejszały

szyły do niepoznania wszelki obieg gotówki, przez, co wszystek kredyt prywatny tak bardzo się zachwiał, iż właściciele kilku wsi nie byli częstokroć w stanie pożyczyć tyle pieniędzy, ile im trzeba było- na opędzenie bieżących wydatków, ubożsi zaś żyli krupami i mąką, nie mając za co kupić mięsa. Nic nie przesadzam w tem sprawozdaniu, jest to prawda najrzetelniejsza. Skiba tedy, lubo się rzucił i ta i owdzie, nigdzie nie dostał pieniędzy; jakoż już zaczął tracić nadzieję.

Ale już to jakoś tak jest na tym świecie, że* kiedy kto biegnie w przepaść, to chociaż mu czasem stanie na drodze jaka przeszkoda, zawsze się znajdzie jakiś dobrodziej, który tę przeszkodę usunie^ W czasach największego braku kredytu, kiedy żaden rzetelny człowiek nie dostanie pieniędzy, ten, który ma długów po uszy i już- się tylko dorzyna, zawsze ich zkąd dostanie. Czy to pochodzi ztąd, iż takiemu jest pilniej, a więc i lepiej szuka, nie ogląda się tyle na wysokość prowizyi, zaczem i znajdzie; czy stąd, że zawsze się chętniej tam garną lichwiarze,, gdzie trupa czują, niżeli tam, gdzie widzą zdrowie i siły—sam nie wiem, ale tak się to dzieje. Cokol- wiekbądź, kiedy się Skiba tak za pieniędzmi zwija napróżno i już rozpaczał, nie jadł, nie pił i nie sypiał po nocach, zjawił się w Zawisłoczu pewien człowiek, który mu zaraz poradził.

Był to z pozoru, nie człowieczek, ogromny wzrostem, barczysty, silny, czerwonej twarzy i owych oczek maleńkich siwych, które w tłuste policzki zapadły bardzo głęboko, lecz niezawodnie ztamtąd widziały bardzo daleko. Był on niby dzierzawcą-

Borówki, wsi szambelana z Zawisłoczem granicznej, lecz. w rzeczy tylko jego ekonomem i totumfackim, z pozwoleniem używania tytułu dzierżawcy przez wzgląd na długoletnie* zasługi i niektóre ważniejsze sprawy, do których był używanym, a które wymagały więcej niż ekonoma. Człowiek ten nazywał się Kacki.

Owo więc ten Kacki przyjeżdżał często na gru- bopłaskim mierzynku na zawisłockie pola i przypatrywał się pilnie przedsiębranym na nich robotom. Spotykał on się tam prawie zawsze ze Skibą, a wtedy wypytywał się go jaknajciekawiej o jego gospodarskie zasady, oglądał narzędzia, zagony, zasiewy, plony i chwalił to wszystko niezmiernie. Człowiek ten, najpospolitszy i nieoświecony, byłby wcale obojętnym oświeconemu nauczycielowi Karola —ale że chwalił bezwzględnie wszystko, co Skiba zrobił, a jego rozumowi nie mógł się nigdy dosyć nadziwić, Skiba, człowiek tak słaby jak wszyscy inni, rozmawiał z nim chętnie i nieraz w sprzedażach jego pośrednictwa używał. Później zabrał z nim bliższą znajomość, a znalazłszy w nim człowieka wcale usłużnego, pieniędzy od niego pożyczał, których mu ten lichwiarz, ukryty zawsze, przez swoich żydków dostarczał, potem za niego wypłacał, znów przekazywał na żydów, lecz zawsze z tak małą dla Skiby ♦szkodą, że mu nigdy nic nie mógł zarzucić.

Otóż ten człowiek zjawił się teraz już nie na polu, ale we dworze i poszedł prosto do Skiby na basztę. Kiedy go Skiba w terażniejszym swoim usposobieniu obaczył, prawie się go przestraszył, był mu bowiem winien jakąś sumkę, niewiel

ką wprawdzie; ale miał kasę zupełnie próżną. Jakoż mu się zaraz usprawiedliwił. Ale imć Kacki ani sobie dał mówić o gospodarstwie,, z ką łatwo przeszedł na kwestyę paszy i oczywiście zakończył na tem. że w Zawisłoczku jest tyle brukwią buraków, rzepy i siana, że możnaby mieć piękny grosz za to, gdyby było co karmić. Zabłysnęła Skibie jakaś nadzieja, jakoż zaczął mówić o swoim z tego względu kłopotcie—niebawem też ta nadzieja się zupełnie ziszcila, bo Kacki mu po prostu oświadczył, iż nietylko gotów postarać się o pieniądze dla niego, ale co lepsza, ma ón u siebie około ośm- dziesięciu wołów, które mu gotów odstąpić.

Nie przewidział Skiba tych sideł haniebnych, jakie tu zastawiono na niego i dał się w nie jakńaj- łatwiej uławić. Jakoż pojechawszy w ten moment z Kackim do Borówki, wszystkie te woły bez namysłu zakupił. Mając zaś głowę nabitą tylko tem szczęściem, które mu się trafiło, nie tylko nie zważał na to, iż za duże pieniądze kupował woły liche,, wązkie, o cienkich kościach i tak wyskrzypane robotą, że wykarmienie ich było za ledwie podobnem,. a w najlepszym razie musiało się stać niezmiernie kosztownem — lecz prócz tego zapłacił je jeszcze weksłami, z terminem tak krótkim, że go tego czasu na żaden sposób nie mógł być w stanie wydobyć tej sumy z tych wołów.

To też się stało grobem dla niego, w którym się sam własną ręką położył. Jeszcze być może, że gdyby się był trzymał samej roli, w której był silnym i mógł być jako tako praktycznym, byłby z czasem przez oszczędzenie się w wydatkach, przez od

stąpienie chwilowe od niektórych zasad, przez podniesienie się cen produktów, które w samej istocie już się zaczęły były podnosić, możeby przebrnął to błoto, a przynajmniej w niem nie utonął; ale tak słaby w administracyi, rzucił się jeszcze do speku- iacyi; oczywiście, że musiał grób sobie wykopać i zginać.

Jakoż istotnie, zaledwo te fatalne woły stanęły na stajni, zaczęły się pomału pokazywać znaki s'miertelne. Żydzi to wiedzą najlepiej, kiedy mogą swe kapitały jeszcze nadal zostawiać, a kiedy już

0 nie upominać się trzeba. Teraz zaczęli się jawić kolejną i dziwnie natarczywie nalegać.

Skiba był prawie w rozpaczy. Godził się z nimi jak mógł, wypłacał procenty zbożem, drzewem i rozmaitemi zobowiązaniami na przyszłość, pożyczał gdzieindziej, a tu oddawał, lecz przez to tylko się ratował chwilowo

1 oczywiście wikłał się jeszcze tembardziej. A tymczasem się rzucał na wszystkie strony za środkami pomocy. Natenczas rzucił się on także do dłużników pułkownikowej, których przez dobroć serca oszczędzali dotąd oboje; ale i to nie pomogło. Poczciwego i czulego na, ludzkie nieszczęścia Skibę umiano wszędzie schwycić za serce — i nigdzie nic nie oddano. Po powrocie do domu, znów przyci- śniony przez wierzycieli, powytaczał dłużnikom procesy— a te procesy to nie pieniądze. Rzucał się po kolei do obywateli, do sąsiadów, do żydów i zgoła wszędzie, gdzie tylko jakąkolwiek przeczuwał gotówkę — ale już wtedy cały świat wiedział o wikłani- nach, w jakie się Skiba wplątał, wiedział nawet da

leko więcej, aniżeli było w istocie, a ztąd najlepsi za ledwie politowaniem odpowiadali na jego pros'by.

Doszła nareszcie całkowita wiadomość o tym fatalnym stanie do samej pułkownikowej, skonfrontowano długi, zestawiono je razem—a wtedy piekło zrobiło się w domu. Poważna i świątobliwa matrona, która przez całe życie widywała żydów tylko w postaci żebraków, płoszących przez drzwi o jaką łaskę, kiedy ci żydzi zaczęli wchodzić do jej komnat spokojnych i wykadzonych, kiedy się zaczęli upominać o swoje należności z natarczywością żydowską, ba, grozić skargami, procesami, a nawet i uwięzieniem — poczciwa matrona wpadła w rozpacz ostatnią. Zrywała się biedna staruszka, przyprowadzała się kosztem własnego zdrowia do przytomności, ażeby jakieś środki ratunku wymyśleć, zdawało jej się bowiem niepodobieństwem, ażeby przy długach nie wynoszących więcej jak dwie piąte części całego majątku, nie było już żadnego ratunku; ale jak Skiba, utraciwszy w tej nowej około weksłów i długów rotacyi, resztę swej przytomności, nie umiał już wpaść na tę drogę, na której się można było ratować—tak ona, lubo chwilowo do przytomności wracała, jeszcze tem mniej się mogła domyśleć tej drogi, na którą zresztą kogobądź mogły wprowadzić tylko zmysł bardzo zdrowy i nadzwyczajna energia. Było tedy piekło w ich domu. Staruszka chorowała, płakała, poszcząc i usiłując całonocnymi modlitwami wyzobrazić sobie miłosierdzie u Pana Boga — a Skiba był jak żebrak-kaleka, którego zgraja psów rozwścieklonych opadła. Klócił się z nimi, opędzał się im na wszystkie strony, pożyczal, ale przez to

tylko się jeszcze mnożyły długi i mnożyli się wierzyciele. Dwór zawisłocki wyglądał wtedy jak kar - czma zajezdna dla żydów i innych spekulantów podobnych— stan rzeczy wiioicznie się corś' pogarszał—i był to wtedy już nmant ostatni dla przyjazdu Karola. Kilka miesięcy odwłoki jeszcze — a zastałby pewnie wszystkie dobytki rozdrapane przez wierzycieli, Skibę w więzieniu za długi, a matkę może na katafalku...

Tymczasem Karol siedział przez ten czas cały prawie ciągle w Paryżu. Szczegół ten dobrze przewidział Skiba. Paryż jest dla każdego Słowianina tem, czem światło dla ćmy. Nie chcemy przez to wcale porównywać Słowian do ćmów, ale że Paryż jest światłem, że nawet pod wielu względami jest słońcem teraźniejszego świata, o tem nie ma wątpienia. Lecieć do słońca, niezły to smak, byle tylko nie po to tam lecieć, ażeby sobie skrzydła osmalić, wlokącym się krokiem do domu wrócić, a z całej podróży przywieźć tylko tę korzyść, ażeby można powiedzieć: byłem i ja tam. Skiba, jak wiemy, podejrzewał swojego ucznia i o to; ale co w tem, to się cokolwiek omylił.

Zdarzało to się niegdyś i bardzo często, ale dziś już się prawie całkiem nie zdarza. Młodzież tej warstwy, co Karol, im młodsza, tem więcej niepodobna jest do swych poprzedników. Ani jej krew tak gorąca, ani fantazya tak bujna, a o skłonności

do szaleństw, u niej za ledwie wyjątkowo może być mowa. Nie rozumiem koniecznie, ażeby w tej młodzieży już z rodu temperament był inny; ale rzecz pewna, że jakoś dziwnie prędko się zmysł praktyczny w niej budzi, a nieraz może nawet zanadto [prędko otwierają się oczy na to, co jest korzystne a co niekorzystne. Niech* mi kto powie, który to z dzisiejszej młodzieży czemubądź się oddaje z tą wrzącą miłością i poświęceniem, która całą istotę człowieka porywa z sobą i chłonie? — prócz gospodarstwa i interesom, na których zazwyczaj się znają tak dobrze, że dnia dzisiejszego prawie zawsze łatwiejszą jest każda zmienna sprawa ze starym, aniżeli z młodym. Nagi, trzeźwy, liczebny realizm dziwnie wziął górę nad wszystkim — dzisiaj już sobie prawie całe pokolenie wychował.

. Wszakże narzekać na to, wymyślać, płakać, albo co gorsza, rozumieć, że zapieckowem gderaniem można taki stan rzeczy odmienić, byłoby równą niedorzecznością, jak te płaczliwe dodatkowych, choć wcale niedodatnich krytyków i korespondentów gderania, że w literaturze dzisiejszej nie rodzą się same Szekspiry.

Nie wiem zaprawdę, co by z nowymi Szekspirami robili, kiedy tamtego jeszcze nie zrozumieli, jak to widać dowodnie z ich krytyk, ale to śmieszne jest i podaje ich w podejrzenie, jakoby się własno- wolnie wyrzekali rozumu. Aby nie wpaść w taką samą śmieszność, nie będziemy się wcale rozwodzić z żałami nad tem, że umysły dzisiejsze tak trzeźwe i że chłodny realizm tak bierze górę nad wszystkim. Natomiast zaś, widząc w tym zwrocie narodowego

geniuszu takie samo dzieło Opatrzności, jakim był także ten wulkan poezji i wszelkich uczuć gorących, który wybuchnął przed trzema lat dziesiątkami, chcielibyśmy dopatrzeć w tem Opatrzności zamiarów, coby było daleko pożyteczniejszem, bo by nam dopomogło do tego, żebyśmy się do nich zastosowali.

Otóż, zastanawiając się nad tem uważnie, przychodzimy do przekonania, że chwilę tak trzeźwą dała nam na to Opatrzność, ażebyśmy po wielkich i bardzo kosztownych trudach, po wysileniach, konwulsjach nawet i konwulsyjnych miotaniach, przez któreśmy przeszli w dwudziestoleciu, kończąc pierwszą połowę dziewiętnastego, wypoczęli cokolwiek, rozpatrzyli się w naszej przeszłości i uczynili rachunek sumienia. Trzeźwość ta, która nas przy tem zatrudnieniu objęła, przynosi nam wprawdzie niemałe szkody: ci, którzy nie umieją albo nie czują potrzeby obliczać się z grzechami, tak się zatapiają w rachunkach pieniędzy, że idą w kupcy i żydy; ale dla kilku niesprawiedliwych nie zgubi Pan Bóg Ni-niwy, a chwila taka niezmiernie nam jest potrzebną. W niej bowiem spoczniemy, nabierzemy siły, spotężniejemy moralnie—a jeśli się przytem zapomożemy także i materialnie, to po tych stratach, któreśmy dopiero ponieśli, a z których jeszcześmy się nie otrzęśli, wcale nam to nie zaszkodzi. Czyż nie jesteśmy jeszcze zawsze najuboższym ze wszystkich europejskich narodów? — A zresztą, ta chwila trzeźwości jest razem, jak to z pociechą widzimy, i chwilą cichej, spokojnej, gruntownej pracy. Taka praca była nam dotąd, choćbyśmy w ten rachunek

wzięli całe dzieje, prawie obcą zupełnie. Na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się dorazowe, na wojnę, choćby śmiertelną, stać było nas każdego czasu, ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwałą pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codziennie przez całe życie, nigdyśmy nie umieli. Chwila tak trzeźwa, jak jest dzisiejsza, może nas bardzo tego nauczyć. Powinna tego nauczyć — i w samej istocie już uczyć zaczyna, jak tego widoczne są ślady. W Bogu nadzieja, że z każdym dniem będzie ich więcej, a skrętna, wytrwała, nieustająca praca, do jednego wiedziona celu, stanie się hasłem powszechnem. Jakoż jeżeli nam dzisiaj czego braknie, wcale nie wrzących, serdecznych, rozpaczliwych wybryków, ale właśnie jakiegoś trzeźwego, silnego, górującego głosu, któryby zabłysnąwszy zdrowego rozsądku słońcem, resztki zbłąkanych i chorowitych chmur rozpędził, wijące się między nami, a na dnie realizmu osiadłe robactwo podeptał, półgębki zamknął, usta mówiące otworzył i tym sposobem szeroki, bity a prosty zarysował gościniec, po którymby nas do naszej przyszłości mogła prowadzić nasza praca pospólna. Tak my rozumiemy te czasy—i zdaje narę się, że w rozumieniu naszym nie mijamy się z prawdą.

Owo więc Karol, jak się o tem wspomniało powyżej, pojechał wprost do Paryża. Należał on wprawdzie wiekiem już do tej trzeźwiejszej warstwy, o której mowa, lecz pacholęctwem swoim zasięgnął jeszcze czasów wybujałego marzenia, zaczem i zachowanie się jego w Paryżu nie mogło pójść torem

jego rozmyślnych następców. Rozbity zresztą w swem wnętrzu, bez zasad wyrobionych i pewnych, bez drogi przed sobą wytkniętej, bez znajomości statecznych, a do tego młody, żywy i zaopatrzony w daleko większy dostatek środków, aniżeli mu go było potrzeba, wpadł on, jak wielu innych, w tę jadowitą paszczę Paryża, która tak lśni i błyszczy i porywa ze sobą, i tak gościnnie jest otwartą dla wszystkich.

Jak długo się kręcił w tym wirze, dokładnie nam nie wiadomo.

Rzeczą jednak jest pewną, iż przejrzał jeszcze dosyć zawczasu przez róż i bielidła, ażeby jasnymi zobaczyć oczyma, że wstąpiwszy do jednego z najpiękniejszych tegoczesnego świata ogrodów, pominął kwitnące klomby, zielone kioski i wspaniałe świątynie, a włożył w najbrudniejszą kałużę. Cofnął się wtedy, straciwszy wprawdzie na to doświadczenie niezmiernie wiele pieniędzy, ale na szczęście swoje, prócz tego nie wiele więcej.

. Po dokładniejszym rozmyśle zaczął z coraz większym niesmakiem patrzeć na ten czas utracony tak marnie, ale zarazem jął się rozglądać, gdzieby się miał teraz obrócić, ażeby się powtórnie na taki sam zawód nie narazić i tamten, ile możliwości, naprawić.

Pełen jeszcze dotychczas tej reakcyi, która w nim zaszła po jego pierwszym rozbiciu, pełen głębokiej niechęci dla zasad demokratycznych, a rozmarzony prawie w zasadach im przeciwnych, zaczął on szukać ludzi takiegoż samego usposobienia.

Ale natenczas zaledwie ich można było zna

leżąc w Paryżu. Obóz ten, do niedawna tak liczny, rewolucja rozbiła, Rzeczpospolita nie dopuściła, a prezydentura rozproszyła zupełnie. Błąkały się jeszcze tylko jego ostatnie rozbitki. Kilka salonów* które jeszcze pozostały w Paryżu, a do których Karol wstęp zyskał, nie mogły go zadowolić pod żadnym względem. Zastawał on wszędzie tylko ból, smutek i odrętwienie, rzeczy ani zabawne, ani nauczające. Salony inne, arystokracji, nowej i sztucznej, kupieckiej, piętnej i tym podobnej, nie tylko nie obudziły w nim żadnego do siebie pociągu, ale przeciwnie odrazę. W zielonym i dopiero co zawiązanym owocu nikt nie może smakować. Ludzie ci, każdy z osobna, mogą być bardzo szanowni, zacni i znamienici, ale ze swoją pretensją lepszosci en Moc wydali się oni Karolowi czemś niestłuchanie niesmacznym, najniebezpieczniejszym wynalazkiem dziewiętnastego wieku. Pomiedzy nimi też on wcale towarzystwa nie szukał.

Ale nie mogąc znaleźć zajęcia, pomiedzy ludźmi oddanymi towarzyskiemu życiu, a dzięki wychowaniu odebranemu od Skiby, czując jego potrzebę konieczną, szukał go kędy indziej, a i niedługo potrzebował go szukać w Paryżu. Jakoż niebawem zwrócił swoją uwagę na to, co w tem mieście zawsze jest znamieniem i świetnym i zawsze niem będzie, jakiekby panowały opinie polityczne i rządy. Są to nauki i na ich cześć urządzone zakłady. Zakłady te, bez porównania bogatsze od najbogatszych słałego lądu, sprawiły na mnie niezatarte wrażenie; ale prelekcye porwały go prawie i uniosły ze sobą.

Nieźródlnie przymioty, któremi błyszczą wszystkie tamtejsze akademickie wykłady, chociażby treścią ich były najściślejsze i najsuchsze przedmioty, ten wdzięk wymowy, ta jasność, płynność i przystępność wykładu, są w samej istocie nieominioną matnią dla słuchaczy wszelkiego usposobienia i wieku. Jakoż i Karol, jak tylko kilku się przysłuchał prelekcjom, już się od nich nie mógł oderwać. Całe dnie trawił, połykając z nieugaszonem pragnieniem te bogate strumienie wiedzy, tak jędrne i zdrowe, a z taką łatwością się podające pojęciu. Nawet z początku tak się był rozłakomił, tak rozsmakował w tem biesiadnictwie duchowem, że zarówno połykał wszystko, co mu się tylko nawinęło 'pod rękę i do czego czasu mu wystarczało. Wszakże pomału przyszedł do przekonania, że jest to także tylko swawola, chociaż najmniej szkodliwa, ale zawsze, jak każda swawola do niczego nie prowadząca. Pomyślał tedy o jakimś łądzie w tem napawaniu się wiedzą, o jakimś trwalszym i stateczniejszym z tego pożytku. Już ta myśl sama była krokiem niezmiernie ważnym w jego rozbitem życiu. Przyniosła mu też ona ten nieoceniony pożytek, iż idąc za nią, a wybrawszy sobie historję powszechną i historję literatury, nauki tak sobie zbliżka pokrewne, wcisnął swoje porozstrzelane myśli na pewną ubitą drogę, na której z każdym dniem więcej bogacił swój umysł, a co ważniejsza, wdrażał go w światy, wymagające koniecznie głębszego i stalszego rozmysłu. Jakoż istotnie przy tak poważnej, a przytem gorliwej pracy, jego duch zaczął nabierać coraz jaśniej świadomości siebie samego, spajać się z sobą, mężnieć i twardnieć i wynosić się

na stanowisko, daleko wyższe, aniżeli go dać może jakaś kapryśna miłość albo nienawiść, jakaś tak ciasna zasada, jak demokracja albo arystokracja, lub tym podobna inna teoria partykularna, czy to odziedziczona z przeszłości, czy dopiero dziś wymyślona.

Wszakże ta praca poważna, dokonywana w towarzystwie całego zbiegowiska młodzieży, nastęczyła mu także nieuniknioną sposobność przypatrzenia się zblizka ludziom, li tylko pracy oddanym. To wprowadziło go także i w cały świat ten, tak pracujący i pracowity, stanowiący najznacniejszą część populacji Paryża, a tak mało znany przez cudzoziemców. Było to także niemałą dla niego korzyścią. Tu bowiem dopiero zobaczył on rzeczy, o których dotąd nie miał pojęcia i tu dopiero poznał dokładnie, na jakiej to drodze Francja przyszła do takich doskonałości pod każdym względem i dlaczego to ona dziś tak góruje nad światem. Hojnie zapewne naturą uposażyła Francuzów, dając im bystrość pojęcia, umysł niezmiernie giętki, a do tego ten humor nieoceniony, który w najtwardszych nie opuszcza ich losach, ale tych samych darów nie odmówiła także natura narodom innym, przynajmniej nie odmówiła im w zupełności, czemu my sami może najlepsze ze wszystkich dajemy świadectwo. Jednak te dary natury, chociażby najobfitsze, pozostawione odłogiem, na nic się przydać nie mogą, czemu my także dosyć dobitnie dajemy świadectwo. Jakoż o tej niezmordowanej pracy, o tej wytrwałości kamiennej, o cierpliwości nadludzkiej, o tem wyłącznem poświęceniu się wreszcie obranemu raz zawodowi, mo-

^e dokładnie powziąć wyobrażenie ten tylko, kto wszedł pomiędzy te ciche i umyslnie przed ludzkim okiem schowane przybytki pracy i naocznie się temu przypatrzył. Karol nie wahał się wchodzić w te ubogie zakątki i wynosił ztamtąd codziennie niezatarte na całe życie wrażenia. Nabral on razem poszanowania dla pracy, uczucia zaledwie znanego u nas, przekonał się, co może poświęcenie się i wytrwałość, a co jeszcze ważniejsza, zrobił to spostrzeżenie, iż w narodzie zdrowym, silnym, żywotnym, każdy człowiek ma "jakiś swój zawód wyłączny, jakieś rzemiosło, które spawując, i sam się staje walnym członkiem społeczeństwa swojego i przyczynia się do utrzymywania tegoż społeczeństwa w sile żywotności i wzroście. Wyjąwszy niewielką liczbę pasorzytów, których nigdzie nie braknie, każdy tam człowiek jest czemś, każdy dźwiga na sobie część społecznego ciężaru, każdy jest jakimś czynnym organem całości, a tym sposobem bezładne kędy- indziej mrowisko ludzi jest tam społeczeństwem, jest spójnym, jednym i silnym narodem. Spostrzeżenie to naprowadziło go na jeszcze poważniejsze, a raczej dokładniejsze myśli o sobie, jego, który cokolwiekby przecież jeszcze zawsze był niczem i nie obrał dla siebie żadnego zawodu. Jest to zapewne nie bardzo dobrze, jeżeli o obraniu zawodu aż myśleć trzeba. Kto wskutek rozmysłu dopiero obrał zawód dla siebie, ten może wprawdzie wywiązać się dosyć znośnie ze swego zadania, ale do znamienitych rezultatów rzadko on doprowadzi. Tylko ten, który się, że tak powiem, urodził już z obranym dla siebie zawodem i kiedy przyszedł do roz

poznania się z sobą, ani sobie mógł wyobrazić, ażeby mógł zostać czem innym, jak tylko tem, co od dziecięctwa nosił w swgm sercu, jest prawdziwym człowiekiem zawodu i pewnie go dopełni świetnie i niepospolicie. Ale kiedy komu takiego przyniesionego z sobą zawodu brakuje, co zresztą bywa najpospolitszym wypadkiem, dobrze jest, jeżeli się nad jego obraniem namyśli. Tak zrobił Karol i długo myślał... ale nic nie wymyślił. I nie dziwna to wcale. Nie wiele jest takich zawodów, któreby dla nas były otwarte, a te, które takimi są, przynoszą z sobą najczęściej wymagania tak trudne, że zaledwie podobna wobec nich się nie zachwiać. Ze wszystkich tedy zawodów pozostało mu gospodarstwo, które go nie mogło zniewalać myśleć inaczej, a działać inaczej, obiecywało pożądaną swobodę, a które zresztą miał już gotowe. Jakoż na" to się zdecydował. Zaczął tedy natychmiast słuchać prelekcji fizyki, chemii i nauk innych, wyższych i niższych,, a z jego przyszłym zawodem styczność mających. Miał on już dzięki staraniom Skiby nieobojętne ele- menta tych nauk, zaczem nie trudno mu było wcale do nich przystąpić i zapoznać rsię z niemi gruntownie. Nauki te trwały blisko półtora roku, a ten czas zbiegł mu tak prędko, tak lekko, a na dobitkę jeszcze tak go mało kosztował, że wtedy nieraz,, przypominając sobie, jak drogo zapłacił za zabraną znajomość z tą właśnie stroną Paryża, która nie była warta ani złamanego szeląga, łzy mu stawały w oczach i nie mógł sobie nigdy tego grzechu darować...
Pod koniec lata drugiego roku swego pobytu

w Paryżu, zaznajomiwszy się już z teoryami, na których się gospodarstwo dzisiejsze opiera, wyjechał Karol na prowincję, a z tamąd do Anglii i Szkocji, ażeby się zastosowaniu tychże teorii przypatrzeć. Co tam widział, nie będziemy tu opisywać, są na to osobne książki. To jednak musimy dodać, iż. obejrzawszy te arcydzieła, w których teoria tak świetnie nie objawiła w praktyce, nie uważał ich przecież za rzeczy, któreby można tak samo wprowadzić w życie u nas. Do przekonania tego przyszedł on mianowicie przez pilne rozważenie warunków, które istnieją np. w Anglii, a które, tylko one, jedynie, są w stanie zapewnić powodzenie tak śmiałym krokom postępu gospodarstwa rolnego i gałęzi przemysłowych z niem połączonych. Pomędzy warunki te policzył najpierw wysokość cen tancecznych nie niezmierną, bo przeciw spadkom zbyt znacznym ubezpieczoną zmienianemi wedle potrzeby ustawami celnemi. Jako drugi szczęśliwy dla rolników warunek, uważał tamtejszy stan atmosfery, który mniej więcej jest stałym, a nigdy tak bardzo zmiennym, ażeby produkcyja, zamierzona z wielkim nakładem, mogła jeszcze na pniu uleść zniszczeniu skutkiem nieprzewidzianych przypadków, Trzecim, również szczęśliwym warunkiem, zdawał mu się być stosunek tamtejszej ludności do przestrzeni roli pod uprawę przyjętej, skutkiem czego robotnik jest zawsze pewny, robotnik zapewne drogi, ale tak zręczny, sumienny i pracowity, że się sownie wypłaca za odebraną nagrodę. Wziąwszy jeszcze na koniec w rachunek tamtejszą opiekę rządu, liczbę rolniczych szkół i zakładów, rolnicze banki, policję

polową, drogi komunikacyjne w najlepszym stanie i t. d., nie tylko nie dziwił się temu, co zastał, ale dziwiłby się być musiał, gdyby przy takich warunkach rolnictwo nie było się wzniosło do tego stopnia doskonałości i jeszcze ciągle się nie wznosiło.

Lecz u nas, mianowicie w Galicyi, gdzie ceny zboża są zdane na opiekę przypadku, zawsze są niskie, a czasem nawet zupełnie żadne—gdzie atmosfera jest tak niepewną, grady takie dosadne, a śloty nieustępujące ani na jotę gradom, gdzie wiatry karpackie tak nieraz wściekle hulają, a mgły, osobliwie nad brzegami rzek, między wzgórzami, nie- odbiją rdzę z sobą przynoszą —w Galicyi, gdzie stosunek ludności do obszarów roli jest tak niezmiernie małym, robotnik nigdy pewny, a zawsze niezręczny, leniwy i niesumienny—u nas nareszcie, gdzie na opiekę nad rolnictwem czas jeszcze nie przyszedł, na szkoły nas nie stać, banków rolniczych choć najtrafniejsze projekty na trudności trafiają, a politycy polowej jeszcze niemasz wspomnienia, a drogi komunikacyjne dopiero się robią—u nas można za ledwie westchnąć za takim stanem rolnictwa, jakim się cieszą Anglia, Belgia i Niemcy, ale o wprowadzeniu go w życie, choćby przy chęciach najlepszych, nawet nie można pomyśleć.

Tak sobie Karol wiadomości nabyte o gospodarstwach tamtejszych zastosował do swego kraju i z takim zdaniem wrócił do Francyi. Zdanie to było zapewne dość trzeźwym, jak na młodego, bo któż sztandary postępu wywiesi, któż zardzewiałe przesady zetrze i nowe wprowadzi rzeczy, jeśli nie

młodzi! — lecz niemniej przeto zdanie to ciężką go napoiło goryczą. Smutno jest bowiem czuć w sobie siły, mieć chęci, mieć i środki pod ręką, a wiedzieć, że wszystko to skutkiem barbarzyńskiej a nienawistnej przemocy, jest na bezczynność wskazane. Nawet chleb nasz powszedni, naszą własną wydo- wywany pracą, jest ściśle ograniczony wagą i miarą, ażebyśmy się nie przesycili przypadkiem, ażebyśmy nie przyszli broń Boże! do zbytlicznych zapasów. Gorzkie to przekonanie! Poniżej ono, przygniata umysł i prawie koniecznie do ospałości zniewala. Takiemu uczuciu uległ także i Karol — a to uczucie jego jeszcze daleko więcej zgorzkniało, kiedy sobie rozmyślił, jakie to jest stanowisko dzisiejsze obywatela w Galicyi. Wspomnienie to otworzyło drogę jego melancholicznym myślom o upadku szlachty w tej nieszczęśliwej prowincyi. Szlachta ta, rozbita dwiema rewolucjami moralnie, zniszczona materialnie, przebywa dziś jakoby w kleszczach podwójnych, które ją cisną z góry i z dołu. Straciła dawne swe przywileje[^] i nietylko, że nie dostała nic za to, lecz jeszcze pod niektórymi wzglę- dami nie wolno jej używać nawet tych prerogatyw, jakie służą właścicielom gruntów włościańskich—odebrano jest stanowisko dawniejsze, nie nadawszy żadnego nowego—a ztąd jej dzisiejsze istnienie, wszystkie stosunki tak społeczne, jak urzędowe, które ją otaczają, są tylko masą nieoznaczonych przypadków, zawisłych od złej albo dobrej woli urzędów. O ile życie w takich okolicznościach jest nieprzyjemnem i trudnem, Karol jeszcze nie wiedział, lecz się domyślał — a to go od zajęcia się

diu

/gospodarstwem odstręczyło stanowczo i ostatecznie. Jakoż porzucił tę myśl z zalem i smutkiem, ale z determinacją.

Czy dobrze zrobił, czy tak był zrobić powinien, przyszłość dopiero okaże. Ale on o przyszłości wcale jiiie myślał. Jakoż wróciwszy do Paryża, oddał się znowu naukom. Przeszedłszy mistrzów dzieje powszechne, rzucił się teraz z tem większą ciekawością # na historię swego narodu, wertując kroniki, inne pisma źródłowe, napawając się chrobrym duchem praojców i żyjąc cały w pobożnem rozmyślaniu przeszłości...

Tak minęła mu większa połowa zimy.

Tymczasem już od. początku zimy zaczęły go dochodzić coraz częstsze listy od matki. Przez cały czas swego pobytu zagranicą miewał on zawsze wiadomości z Zawisłocza. Opisywała mu matka dosyć dokładnie to, co się tam działo, ale z początku wystawiała mu rzeczy te ze strony najlepszej i nigdy najmniejszym słówkiem nie zachęcała go do powrotu. Miała ona do tego swoje partykularne powody, o których nigdy nie wspominała—a w swoich listach chwaliła mu tylko jego oddawanie się naukom, zachęcała go do nich i dodawała na końcu, że do zamknięcia się na wsi będzie miał czasu aż nadto. O gospodarstwie Skiby wiedział listów jego własnych. Dawny jego nauczyciel, a teraz agronom, opisywał mu ze szczegółami swoje systemy, swoje podziały roli i sposoby uprawy, lecz jak z jednej strony zawsze najszerszej się rozpisywał o pozbieranych już plonach bajecznych, tak z drugiej znowu kwestyę administra

cyjną i finansową zawsze przemilczał. Karol widział niektóre błędy w gospodarczym systemie Skiby, ale je, jak też i słuszną, miał za mało znaczące—nie wiedząc zaś nic o każdorocznym stanie rachunków, a spodziewając się po Skibie, iż w żaden sposób być rozrzutnym nie może, ani mu się przyśniło, aby to gospodarstwo jego mogło go przyprowadzić do jakichkolwiek kłopotów. Jeszcze nawet z początkiem zimy, kiedy już z listów matki zaczęły dosyć wyraźnie przeglądać zdania wcale niekorzystne o administracji Skiby, a nawet tu i owdzie przebijała się pewna obawa o przyszłość, Karol na to wcale nie zważał, mając te rzeczy zawsze tylko za drobnostki. Aż tu pod koniec miesiąca lutego odbiera list kilkuarkuszowy, w którym matka mu opisuje cały stan rzeczy tak, jakim był w samej istocie. Długi, lichwiarze, procesy, żydy, piekło w domu. Natenczas Karol już doskonale zrozumiał, jakim to kosztem Skiba wydobywał plony tak bajeczne. Jakoż niedługo bawiąc, wsiadł na kolej i do Krakowa przyleciał, a ztamtąd pocztą pobiegł na całą noc do Zawisłocza.

Wrócił więc młody dziedzic nareszcie do swego majątku —i wrócił, jak to widzimy, człowiekiem zupełnie innym, aniżeli niegdyś wyjechał. Półtrzecia roku czasu, strawionego na poważnych zajęciach i pracy, sprawiły w nim zmianę niemałą. Usposobił on młody swój umysł do statecznego myślenia, wzbogacił go wiadomościami, czerpanymi z najlepszych źródeł, a lubo nie ugruntował w sobie zasad pewnych i niezachwianych, nie wziął się jeszcze moralnie w całość harmonijną i zgodną i zasze był jesz

cze „Rozbitkiem," jednak wznosił się już na stanowisko daleko wyższe, z którego mógł lepiej panować nad sobą, i przez uzyskaną oświatę wyższą usposobił się lepiej do uzyskania pewnej więzi wewnętrznej. Taka więź, takie wewnętrzne ujęcie, stanowiące dopiero właściwą dojrzałość człowieka, rzadko kiedy bywa skutkiem samego wykształcenia umysłowego, albo owocem myślenia — ale go daje zazwyczaj dopiero czyn jakiś, czyn energiczny, stanowczy, dokonany z całą przytomnością umysłu, a będący zarazem jakoby hasłem lub drogowskazem na całą przyszłość. Szczęśliwi są ci, którym sposobność do podobnego czynu zdarzyła się na samym wstępie do życia; rozpoczęli oni swój zawód wcześniej, obaczyli kierunek całej swojej przyszłości odrazu i rzadko kiedy potem omylili swe drogi. Karol, jak to już wierny[^] nie należał do tych szczęśliwych. Rozbił się raz w swoich politycznych marzeniach, rozbił się po raz wtóry w miłości i rozbijał się potem przez pół- trzecia roku po światach wiedzy, wprawdzie nie bez korzyści dla siebie, ale zawsze nie zrobił przez, to nic z sobą takiego, coby go wewnątrz ujęło- i dało mu upragnione, stateczne stanowisko pomiędzy ludźmi. W tej chwili, lub może nie taka, jakaby się należała jego zdolnościom, zdarza mu się. po temu przecież choć jakaś sposobność. Obaczymy, czy ją potrafi uchwycić i obrócić na swoją korzyść?...

Karol przyjechał do Zawisłocza jeszcze na parę godzin przed świtem. Zastawszy wszystkich śpiących, wszedł cicho do swego dawnego pokoju i spać się położył.

Kiedy się zbudził około jedenastej godziny i zeszedł do dolnych komnat, zastał już tam i matkę i Skibę, czekających z niecierpliwością na niego. W pierwszym momencie wielka oczywiście była uciecha. Biedna matka, pod wrażeniem radości, zapomniała o wszystkich dolegliwościach, które ją tak utrapiły i tylko wypytywała syna o jego podróże i doświadczenia. Cieszył się także i Skiba, ale się mienił co chwila, wiedząc dobrze, że po krótkiej radości będzie musiał przystąpić do egzaminu bardzo dziwnego, przy którym nauczyciel nie- tylko ma zdawać lekcję przed swoim uczniem, ale co gorsza, jak najpewniej jej nie zda i zostanie osadzonym in scamno asinorum. Ta sama myśl straszliwą napawała go trwogą.

Przyszła nareszcie ta chwila fatalna, w której Karol zapytał:

— No, opowiedzcież mi państwo, coście tu ^r porobili?

Na szczęście Skiby, zabrała pierwsza głos matka i opowiedziała pobieżnie skutki, jakie się dziś okazują, zwalając, przez delikatność sobie wrodzoną, ich winę raczej na nieszczęśliwe okoliczności, aniżeli na tego, który je własnoręcznie sprowadził. Zapytał jeszcze Karol o te i owe szczegóły Skibę — i tak dowiedział się reszty.

Natenczas zabrał głos nieszczęśliwy agronom, chcąc mu się wytłómaczyć ze swojego systemu, a jednocześnie dowieść, że system ten jest nieomylnym i musi w końcu najpożądańsze przynieść owoce; ale jakim sposobem przyszło do takiej kryzys fatalnej, jakoś na razie nie wiedział. Jednakże. Ka-

roi, do najwyższego stopnia zgryziony tym niebezpiecznym stanem jego fortuny, który nawet o wiele przeszedł jego oczekiwanie, ani na to nie zważał, co mówił Skiba. Przechadzał on się ze spuszczoną głową, z założonemi za sobą rękami po obszernej komnacie i milczał. Po dłuższej chwili dopiero przystąpił do Skiby i rzekł mu, wprawdzie z wyrzutem, ale niezmiernie łagodnym:

— Ja tylko jednej rzeczy w tem nie rozumiem, mianowicie zaś tej, jakim sposobem mogłeś .się ty tak dalece omylić, ty, który wszystko usiłujesz sprowadzić do jak najprostszej zasady i każdą rzecz masz za niepewną i ciemną, która się nie da dowieść cyframi?

— Ja ci dowiodę cyframi...— zaczął Skiba, ale Karol mu przerwał, mówiąc:

— Już mi nic nie dowiedziesz, bo cyfry są i świadczą przeciwko tobie. Dziwno mi nawet, jakieś mógł nie przewidzieć tych cyfr. A przecież było to nie tak trudnem. Przedsięwziąłeś gospodarstwo wkładowe, przedsięwziąłeś wydatki, na które nie miałeś funduszków: czyż nie konieczną w takim razie są rzeczą zaległości i długi?...

Skiba milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— No, ale proszę cię, jakże sobie było postąpić? Niepodobna przecież było prowaęzić gospodarstwa takiego, jak za czasu pańszczyzny, które dziś nie może na żaden sposób opłacić. Ja to wyrachowałem jak najdokładniej.

— To źle rachowałeś. Ja nie zaprzeczam temu, że gospodarstwo takie, jak za czasu pańszczyzny, nie może się dziś odpowiednio opłacać, ale się

<może licho opłacać, a to zawsze jest lepiej, aniżeli . "żeby się całkiem nie opłacało i sprowadzało jeszcze .za sobą długi. Są może wsie w położeniu tak nie- -szczęśliwym, że chcąc z nich opłacić tylko podatki i robociznę pomierną, trzeba się koniecznie chwycić jakichś środków pomocniczych, czasu pańszczyzny nieużywanych; ale jak z jednej strony i tam tylko natenczas można się chwycić takich środków, jeżeli są na to fundusze, tak znowu z drugiej Zawisłocze nie jest wcale w tem położeniu. Tu, zapewne, że ci się żyto urodzi wybornie, jeżeli pod nie trzy razy zorzesz żelaznymi pługami, ziemię wyczyścisz, zwałkujesz i dasz nawóz silny, przygotowany na umiejętnie urządzonej gnojowni; ale jeżeli raz tylko zorzesz pługiem drewnianym i dasz nawóz zwyczajny, to ci się także urodzi. A cóż jest lepszem: czy sprodukować sto miar żyta bez kosztu, czy sprodukować sto pięćdziesiąt, lecz z kosztem, którego nie można zastąpić inaczej, jak tylko pożyczanemi pieniędzmi? — Tak samo się ma stosunkowo ze wszyst- kiem. Wyborna jest rzecz zbierać co roku po dwa tysiące centnarów turnipsu, brukwi; ale kiedy kto ma po kilka tysięcy centnarów siana, a inwentarze tak małe, że i to siano jeszcze mu jest zbytecznym, nacóż mu produkować jarzyny, znowu z kosztem ogromnym i takim, na który niema funduszów? I tak dalej, i tak dalej, mój Skibo, z czego wynika ta ważna prawda, że gdybyś się był trzymał starej rutyny i więcej miał względu na okoliczności, niż na agronomiczne zasady, to byłbyś propinacją i młynem opłacił podatki i towarzystwo, sprzedażą połowy łąk robociznę i bieżące wydatki, a coby ci

się urodziło na roli i w oborze, tobyś miał w zysku; zaprowadziwszy zaś gospodarstw wzorowe, masz ogromną ilość karmy dla bydła, której nie masz. czem skarmić, a sprzedać nie możesz; masz śliczne zboża, ale na ilość niezmiernie mało; masz mnóstwa mleka, o które się nikt nie zapyta, a przytem towarzystwo niezapłacone, podatki niezapłacone i długów po uszy.

Słuchająca tych uwag matka bardzo niemi się ucieszyła, bo widziała w nich sens dosyć zdrowy, a ztąd rękojmię, że Karol, kiedy się weźmie do gospodarstwa, potrafi sobie dać radę. Już mu to miała powiedzieć— kiedy wtem żydki, dowiedziawszy się o przyjeździe panicza, zbiegli si\$ ze swemi pretensyami do niego. Weszło ich razem trzech do pokoju—i weszli tak, jak ich już nauczyła tu wchodzić niezaradność Skiby i delikatność, a trwoga w ciągłym przestachu przed ich procesami utrzymywanej starszki. Z taką też samą poufałością, ba? prawie zuchwalstwem, zwrócili się oni do Karola, prezentując mu swoje terminatki, kontrakciki i weksle. Karol, lubo z surową powagą, spotkał ich jednak dość grzecznie i rzekł im, że wszystkie te pretensye będą im popłacone z pewnością, ale tymczasem muszą mieć jeszcze cierpliwość.

— Co to cierpliwość? — mówili żydzi, biorąc się do młodego panicza odrazu z góry i grożąc po- prostu skargami i procesami. Zdarzyło się przytem najzuchwalszemu z nich wymówić kilka słów takich, które były z ujmą samej pułkownikowej. Ale zaledwie odważny mówca wypowiedział te słowa* kiedy go Karol swoją silną dłonią chwycił za koł*

nierz i przestraszoną jego figurą z taką nieogłębnością uderzył w jego kolegów, że wszyscy trzech jerozolimczycy zniknęli tak nagle z komnaty, jak gdyby ich nigdy nie było a w komnacie; na ziemi zostały po nich tylko trzy czapki... Widząc to Skiba, tak się tem uradował, że aż ręce zatarł z radość, a nawet sama pułkownikowa się uśmiechnęła—musieli oni oboje nie mało od nich wycierpieć.

Był to zapewne dość niewłaściwy sposób korespondowania z wierzycielami, ale w tym razie konieczny, a zresztą bardzo skuteczny, bo od dnia tego żaden z wierzycieli, nawet ani Kacki, chociaż dopiero wczoraj tu był i dusił Skibę o jakieś dłużki pomniejszych, nie pokazał się w Zawisłoczu.

Znalezienie się to dało nową rękojmię matce, że Karol potrafi postawić czoło tym gospodarskim kłopotom, nie da się im przygnieść do ziemi i może je w końcu zwyciężyć.

Ale niestety! ta scena z żydami była ostatnim dowodem jego energii.

Od tego czasu bowiem nie zdarzyła się już żadna sposobność do podobnych dowodów, a Karol sam jej wcale nie szukał. Nawet o całym stanie interesów mówił on wcale inaczej, aniżeli się można było po nim spodziewać. Wspomniał wprawdzie jakby przez zęby, że z wielką pracą, z poświęceniem się, z trudem, możnaby może kiedyś wybrnąć z tych nieszczęśliwych wikłanin, ale przedsięwzięcie to byłoby ryzykownem niezmiernie, bo jest zawisłem od tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, a zresztą, ta praca, ten trud, to poświęcenie, nie mogą być nigdy wynagrodzone odpowiednimi skut

kami, które w najlepszym razie muszą być tyłka mierne, zaledwie znośne i w gruncie rzeczy nic nie- znaczące.

— Pracować krwawo — mówił on wtedy—targać siły, rujnować zdrowie, borykać się z temi obrzy- dliwemi okolicznościami, jakie nas otaczają, a wszystko tylko na to, ażeby .uzyskać mamy kawałek chleba i nigdy nie doprowadzić ani do mienia, ani też do żadnego znaczenia, to oczywiście nie warto.

Słowiańskie lenistwo, połączone z tą staropolską zasadą, która powiada: albo coś, albo nic zgoła—tak go usposobiło nieznośnie.

Jakoż, choć widać było po nim, iż mu myśli nie brakło, których urzeczywistnieniem mógłby fortunę swą wyratować od zguby, jednakże brać się do tego nie miał najmniejszej ochoty, a nawet do całej tej sprawy miał widoczną* odrazę. Z dalszych jego zdań zresztą nie trudno się było domyśleć, iż jest poprostu za tem, ażeby Zawisłocze sprzedać* co wszakże tylko zdaleka dawał do zrozumienia* nie mając zapewne odwagi wypowiedzieć wyraźnie.

Był przytem z każdym dniem coraz bardziej } zgryziony, gorzki, smutny, milczący...

Takie usposobienie tego młodzieńca, w którego rękach spoczywała ostatnia nadzieja ratunku, napoiło niezmierną goryczą tak samą pułkownikową, jak też i Skibę. Ale milczeli oboje—i tak minęło dni kilka.

Jednakże tak pozostać nie mogło. Na coś się zdecydować trzeba było koniecznie. Nie mógł się zdobyć na krok stanowczy zdrów, silny i właśnie do dźwigania kłopotów jakby stworzony młodzieniec,

zdobyła się na krok taki jego matka, wiekowa, słaba i nieszczęściami skołatana staruszka.

Jakoż natenczas wystąpiła ona w całej swojej świetności i blasku z tą wolą silną w wielkiem swem sercu i z tą koroną poświęcenia na skroni, jakiej dosięgać umiały tylko nasze prababki. Bóg sam wie tylko, ile tam łez wypłynęło w ukryciu, ile tam modlitw zostało zasłanych do nieba, ile to nocy kosztowało bezsennych, nim się ta biedna zdobyła na takie przewyciężenie swoich uczuć najdroższych i najdotkliwszych boleści; ale kiedy trzeba było ofiary, to się na nią zdobyła i przyniosła ją temu, -który o ofierze ze swej strony ani pomyślał.

Z największym tedy spokojem duszy, z najpiękniejszą pogodą na czole, przystąpiła ona dnia jednego do syna i rzekła mu prawie te słowa:

— Moje dziecko kochane, czas nagli, a my nie możemy nic postanowić. Tak to pozostać nie może, a jakabądź przyszłość nas czeka, lepiej ją zawsze uprzedzić, aniżeli żeby ona sama nas * zaskoczyła. Ratunek dla nas zwyczajny jest niepodobnym, ale jeszcze zawsze położenie nasze nie jest takie, ażebyśmy musieli rozpaczać. Zawisłocze jest to wieś piękna, na którą zawsze kupiec się znajdzie i nawet nieźle zapłaci. Nie jest ono zadłużo- nem ani w połowie i to, co po zapłaceniu długów zostanie, zawsze nam jeszcze na utrzymanie wystarczy — a oprócz tego mamy jeszcze in~ demnizację i jakieś należytości bierne. Podzieliwszy się temi funduszami, będziemy mieli oboje dostatek: i ty będziesz miał dosyć środków do za

kupienia wsi innej i dla mnie pozostanie aż nadto. Postąpienie takie — mówiła dalej poczciwa matka, kłamiąc własnemu sercu — co do mnie, będzie mi nawet bardzo na rękę. Życie na wsi nie jest już dzisiaj tem, czem było dawniej. Żyje się tutaj tak kosztownie jak w mieście, a nawet jeszcze kosztowniej. I ja już nie jestem taką, jak dawniej. Jeździć codzień do kościoła o pół mili, to już nad moje siły; nie mieć lekarza i apteki pod ręką, to już prawie ofiara. Nic niemasz pożądanszego dla mnie, jak zamieszkanie w mieście. A dla ciebie także to będzie dogodnem. Ty sobie kupisz jaką wieś mniejszą i będziesz miał na niej egzystencję, wprawdzie skromną, ale za to swobodną. Nie zechcesz tego, to możesz zamieszkać w mieście i oddać się naukom, które tak lubisz; możemy nawet razem zamieszkać we Lwowie albo w Krakowie, a tak będzie nam jeszcze lepiej. Z pewną obawą przekładałam ci ten projekt, bo wiem, że ci żal Zawisłocza. I mnie go żal trochę — ale cóż robić! Życia nam żal jeszcze więcej, a przecież je porzucamy z pokorą i rezygnacją. Nie ma tu zresztą innego środka—a wierz mi, nie jest on jeszcze tak złym., abyśmy musieli rozpaczać.

Kiedy to matka mówiła, Karol patrzył na nią z początku z pewnem niedowierzaniem—ale widząc ją tak spokojną i tak jednostajnie pogodną, niezmiernie się tą propozycją ucieszył. On od tygodnia o niczem innem nie marzył, jak o sprzedaży ojcowskiego majątku: to była jego idea, jego kaprys, jego fantazya; jeżeli zaś o niej nie wspomniał, to tylko przez wzgląd na matkę, o której myślał, że

bez wielkiej boleści nie potrafi się od Zawisłocza oderwać; ale teraz matka sama mu tę myśl narzu- ciła. Karol nie posiadał się z radości.

Jakoż natychmiast postarał się o to, ażeby postanowienie sprzedaży rozeszło się między ludzi,

A zaledwie wieść o tem mogła się wynieść za bramę, tego momentu zdarzył się kupiec.

Był nim naturalnie Kacki.

Przyjechał on do Zawisłocza, poszedł do pokoju Karola i tak mówił:

— Słyszałem, że wielmożny pan chcesz sprzedać Zawisłocze. Dobrze to pan dobrodziej robisz, bo ten Skiba takich tu głupstw ponarabiał, że aż włosy wstają na głowie. Jeszcze i mnie za sobą pociągnął, a ja, za pozwoleniem, osioł jak zawsze, gdzieś mógł, tom pieniędzy dobywał, a dawałem. No, nie stracone to rzeczy dla mnie; ale mi żal pana dobrodzieja serdecznie, bo to strata jest wielka. Dużoby o tem mówić...

— A niema wcale potrzeby—przerwał mu Karol—mówmy zatem o Zawisłoczu.

— Otóż co do tego interesu — mówił dalej Kacki — to, panie dobrodzieju, to jest wielki interes, trzeba dużo pieniędzy. Ja biedny człowiek, może i nie stać mnie na to. Ale myśląc ja sobie, że tu jest jakiś dług towarzystwa... a może i szparkasy?

— Nie, niema szparkasy.

'— A innych długów niema?

— Żadnych niema, prócz towarzystwa.

— To bardzo źle. To trzeba dużo pieniędzy. No, ale myśląc ja sobie, że i ja tu mam jakichś kilkanaście tysięcy, więc jeżelibyś się wielmożny pan

bardzo nie drożył... Wieleż wielmożny pan żąda za Zawisłocze?

— Mój panie Kacki — rzekł na to Karol — znasz Zawisłocze, nie potrzebuję ci go opisywać. Gena jego jest sto tysięcy.

— Sto tysięcy! — powtórzył Kacki, niby bardzo zdziwiony — a długi?

— Długi wszystkie ja płacę.

Jakoż zaczęto zaraz targ, który poszedł nadspodziewanie, bo kupujący ofiarował natychmiast dziewięćdziesiąt tysięcy, niebawem dziewięćdziesiąt i dwa i trzy i cztery. Gdyby się Karol był trzymał, byłby z łatwością dostał sto całkowitych, ale przez niecierpliwość dwa spuścił, a tak stanęła zgoda na dziewięćdziesięciu i ośmiu. Poczem mówiona już tylko o czasie, w którym kontrakt ma być spisany i wypłacone pieniądze. Kacki żądał dłuższej odwłoki i żądać jej musiał, bo szambelan był na Podolu —' a Karol nie chciał na nią zezwolić. Zgodzono się wszakże na dni czternaście i oznaczona piętnasty dzień kwietnia na przedłożenie wyciągu hipotecznego, spisanie kontraktu i danie części pieniędzy; wypłatę zaś reszty należności wymówił sobie Kacki do św. Jana, na co Karol przystał bez sporu. Jeszcze może nigdy kupno tak znaczne nie zostało uskutecznione tak prędko — ale też jeszcze nigdy sprzedający tak upornie sprzedaży nie łaknął i może nigdy kupujący tak długo na swoje kupno nie czekał.

. Rachunek tego interesu był następujący: Dług towarzystwa wynosił przeszło dwadzieścia tysięcy, a inne zaległości i długi także przeszło dwadzieścia

tysięcy — pozostawało zatem Karolowi jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, inwentarze żywe i martwe, woły stojące na stajni i długi bierne. Były to zatem, środki dla skromnego człowieka jeszcze dość dostateczne do przyzwoitego wyżycia. Spodziewana indemnizacja wynosiła przeszło czterdzieści tysięcy, a już natenczas płynąca od niej renta przeszło dwa tysiące — zaczęła i matka Karola miała zabezpieczone' utrzymanie dość znośne.

Ale rachunek ten wykazuje zarazem, iż luba interesy były w tej chwili przez nieopatrzności Sibię niesłychanie zawiśnię, jednak położenie rzeczy było jeszcze takim, iż niepodobna jest, ażeby się nie- można było bez sprzedaży zeń wyratować. Widać tu bowiem już na pierwszy rzut oka, że indemnizacja pokrywa wszystkie długi zupełnie — a więc Zawisłocze właściwie jest już dziś czystem. Zachodzą- tu wprawdzie te niekorzystne okoliczności, że kapitał indemnizacyjny nie jest płynnym, powtóre, że- nawet i stopa procentowa tegoż kapitału nie wyrównywa stopie procentowej pozaciąganych przez Sibię długów, a nareszcie, że te długi są tego rodzaju, iżby je trzeba zaraz popłacić; ale jużby to- była cała drewniana głowa, któraby nie zdołała temu złemu zaradzić. A przecież połowa długów, t. j. dwadzieścia tysięcy towarzystwu należnych, nie- muszą być zaraz spłacone i wyrównują stop\$ procentową indemnizacji, a więc tak jakby ich całkiem nie było. Pozostaje zatem do spłacenia tylko druga połowa długów — na które jest co do sumy kapitału tyleż indemnizacji, są dochody z całego- Zawisłocza, są woły na stajni, są jakieś długi bierna-

i jest nareszcie samo Zawisłocze z inwentarzami, lasami, łąkami, propinacją i młynem, a więc ze źródłami takimi, o których niepodobna pomyśleć, ażeby w razie potrzeby nie wytrysnęły jakąś znaczniejszą gotówką. Trzebaba chyba być takim transcendentalnym teoretykiem w gospodarstwie jak Skiba, ażeby w tak małym błotku ugrzęznąć i aż sprzedażą ^wej ojcowizny się z niego dobywać. A zresztą choćby się też i pomozolić cokolwiek, choćby i trochę pocierpieć, to czyż nie warto nawet i dobrze pocierpieć, ażeby się utrzymać w posiadaniu ziemi ojcowskiej?

O tem wszystkim nie mógł Karol nie wiedzieć—ale któż nie zna naszych szlacheckich kaprysów, uporu i tych najrozmaitszych fantazyi, ria które niemasz lekarstwa? Sprzedaż Zawisłocza była jego fantazyą. Jakoż ucieszony tak doskonale zrobioną zgodą z Kackim, pobiegl on z tą nowiną do matki. W samej istocie rzeczy taki obrót tej sprawy, zwłaszcza po tylu zgryzotach, które wycierpiała staruszka, był jeszcze dla niej dość znośnym, znośnym zapewne tak, jak lżejsze kajdany po cięższych, a może najznośniejszym dlatego, że był tak nagłym. Przyjęła też tę wiadomość pułkownikowa z zadowoleniem — ale natychmiast zarządziła wszystko po temu, ażeby mogła Zawisłocze jak najprędzej opuścić. Wysłano zaraz nazajutrz wiernego sługę do Tarnowa dla wyszukania odpowiedniego mieszkania dla pani, a kiedy to się niebawem znalazło, zaczęto pomału pakować rzeczy staruszki i do Tarnowa wyprawiać...

Działo się to wszystko niby dosyć spokojnie

i ładnie — ale jeżeli kiedy było piekło cierpienia w domu, to teraz. Nikomu to bowiem nie było tajno, iż jeszcze były, a przynajmniej być mogły środki rstunku—a przecież najniezwyklejszym zdarzeniem, trzeba było się poddać tak okropnemu losowi. Biedna matka Karola cierpiała nad tem okropnie. Cierpiała nad sobą, że na lat kilka, na kilka miesięcy, a kto wie, może tylko na dni kilka przed grobem, musiała opuszczać te miejsca, w których całe życie przeżyła i iść wycierać cudze kąty do miasta—cierpiała nad swymi sługami, nad sierotami* które wychowała od dziecka, a teraz musiała porzucać—najwięcej wszakże cierpiała nad swoim synem* który się takim niedołągą okazał, a może gorzej* może tak złym i nieczułym, że się nie umiał poświęcić nawet dla swojej matki. Krwawe to były łzy, które natenczas ta biedna staruszka płakała— oh! a ileż ich wypłakała! — Ale milczała. Nigdy przez te dni wszystkie nie było widać w jej oku łzy jednej, nigdy smutku „na jej poważnej twarzy, nigdy najmniejszej chmurki na czole. Z niesłychaną mocą niezłomnej duszy, z nadludzką siłą zdruzgotanego serca, znosiła ona ten cios okropny — na srom, na hańbę tym terazniejszym młodzieńcom i mężom* którzy nie umieją wstąpić nawet w ślad starodawnej kobiety!

Lecz nie mniej także cierpiał nad tem i Skiba, o mało, że pomieszania zmysłów nie dostał. Przede- wszystkim bowiem czcił on tę zacną staruszkę jak świętą, patrzył na nią uważniej niż Karol, a zatem wiedział, co ona cierpi. Widzieć te jej cierpienia, nie być w stanie jej pomóc, a co najgorsza, wie

"dzieć, że to on sam te cierpienia zgotował, było dla niego srogą męczarnią. Powtóre, czuł on to w swoim sercu, był przekonany, że ratunek jest jeszcze możliwym—ratunek ten przynieść mógł Karol, mógł, gdyby był tylko chciał być człowiekiem — lecz nie chciał. I taki Karol był jego uczniem! Strawić więc -życie całe, tyle poświęcić trudów, zabiegów, pracy, - aby wychować człowieka—a wychować takiego mazgaja—to jest okropna, to rozpacz. Skiba sobie darł włosy z głowy, wił się jak wąż w najstraszliwszej bóleści, byłby dał życie swoje za jedno słowo Karola— lecz próżno. On nawet mówić nie mógł o tem, bo wszakżeż to on był sprawcą tego nieszczęścia. A zatem milczał—i nawet nie dał poznać tego po sobie, że cierpi tak, jak i matka...

%

Tak więc cierpieli wszyscy naokoło Karola — ■a on o tem ani wiedział. Nie myślał o tem, nie zwracał na to uwagi, nie odgadł tego, czego nie widział, lubo to było tak naturalnem i prostem. On, cały zajęty swoją sprzedażą, myślał już tylko o tem, * jak będzie swobodnym z gotowem pieniędzmi, jak ich dla siebie użyje. I może nieźle z tem myślał, bo w samej rzeczy marzył tylko o nowej do Paryża podróży, o naukach tamtejszych, które tak stoją - otworem dla wszystkich, o nauce historyi, którą tak namiętnie ukochał. Aleć te obowiązki człowieka, to dziś, które nam cięży na barkach, to jutro, które nas czeka za progiem, ważniejsze są od najpiękniejszych historyi!

Tak przyszedł nareszcie piętnasty dzień kwietnia. W tym dniu, jak to już wiemy, miał przybyć .Kacki, ażeby sprawę kupna ukończyć — iw tym

dnia także miała pułkownikowa wyjechać z Zawisłocza. Pilnujący s»voich spraw kupiec przyjechał ze swoim prawnikiem już o godzinie dziewiątej rano i chciał się brać zaraz do spisania kontraktu. Karol nie miał nic przeciw temu — ale pułkownikowa, która tylko na zjawienie się tego złego ducha czekała, ażeby przed nim ustąpić, powstrzymała ich na małą chwilkę w swojej komnacie bawialnej, ażeby jej zaprzężono tymczasem i aby mogła wyjechać, nim się zacznie pisanie kontraktu. Kiedy jej zaprzężano, rozmawiała jeszcze z Kackim, opowiadając mu, gdzie jakie szczepy są po ogrodach, jakie wydają owoce, gdzie się znajdują inspekty, gdzie brzoskwinie, morele i winogrona. Opowiadała mu przytem, z jakim to trudem i kosztem wypielegnowała ona te drzewka, jak to są rzeczy pożyteczne i miłe a rzadkie, jak je zatem trzeba chować starannie i chronić od mrozów i wiatrów. Przystąpiła potem do ludzi i polecała mu niektórych gospodarzy ubogich, potrzebujących pomocy, innych, którzy są chorzy i jak tym chorobom trzeba radzić, a nareszcie jego osobliwszej opiece poruczała sieroty, które sama pozbierała po drogach, powychowywała, a teraz tylko Boskiemu i jego poleca je miłosierdziu...

Tego wszystkiego słuchał Karol z nadzwyczaj- nem zajęciem, a lubo matka opowiadała te rzeczy jak najnaturalniej i z tą równowagą umysłu i serca, która ją nigdy nie opuszczała— jednak on jakoś zaczął tracić swą równowagę pomału i uczuł się dziwnie wzruszonym. Zamyślił się przytem, ckliwo mu

się zrobiło i zdało mu się, jak gdyby jakaś wilgoć uczuł w swych oczach...

Tymczasem zajechała wypakowana przed ganek kareta, a pułkownikowa wyszła do swojej dawnej sypialni, aby się ubrać do podróży.

Za chwilę potem pokazała się w progu, ubrana w płaszczyk, kapelusz i trzymając laseczkę w ręku. Tam się zatrzymała na oka mgnienie i obróciła się jeszcze raz ku swojej sypialni. Zdawało się, jakby coś zapomniała. Ale nic ona nie zapomniała, tylko chciała jeszcze raz rzucić okiem na ten kącik swój ulubiony i po raz ostatni go pożegnać. Karol popatrzył na nią z boku i ujrzał, że łzy strumieniami płynęły po jej zgrzybiałych licach. To go wzruszyło do głębi i zdało mu się, jakby się sam zachwiał na nogach.

W tej chwili wszakże staruszka przewyciężyła się ostatecznie, zerwała się raźnie i puściła krokiem tak szybkim przez środek komnaty ku drzwiom otwartym, jak gdyby się nie chciała z nikim pożegnać, tylko dopaść karety i uciec czempredzej.

Widząc to Skiba, chwycił się obydwoma rękami za głowę i drżał cały jak w febrze, a jego oczy kapały się we łzach.

Jakoż istotnie, widzieć było tę biedną matkę, jak przygarbiona starością, zalana łzami i opierająca się na laseczce, wybiegała tak szybkim krokiem ze swego domu, ażeby swoje zgrzybiałe kości ponieść gdzieindziej — widzieć było tę starość, tę rozpacz, ten ból, te łzy, i nie zapłakać — trzeba było chyba nie być człowiekiem.

A! przecież Karol był także jakimś człowiekiem!

To też w tej chwili spłonął cały od wstydu* łyzy mu trysnęły z oczu i rzucił się w objęcia sta-* ruszki.

— Nie, matko moja!—wołał on, łkając—nie! ja tego nigdy nie zniosę!

Na widok tego Skiba rzucił się z wzniesionymi ramionami ku niemu, wołając głośno:

— Karolu! życie dam moje za ciebie, a nie puść matki z jej domu!

Staruszka, która zapewne już przedtem była tak skołatana, że nie bardzo była przytomną, zaledwie teraz mogła zrozumieć, co się z nią dzieje; jakoż rzekła przez łyzy:

— Puśćcie mnie! czego wy chcecie odemnie?

— Nie, matko moja!—zawołał Karol—będę chodził w siermiędze, poprzestanę na suchym kawałku chleba—a Zawisłocza nie sprzedam!

A to mówiąc, wziął matkę pod ramię i przy pomocy Skiby zaniósł ją prawie napowrót do jej sypialni. Tam ją posadził na krześle i padł przed nią na kolana, tuląc swoją splakaną twarz na jej łonie...

Za oka mgnienie wybiegł Skiba z sypialni, przebiegł uskrzydłonymi nogami komnatę, wskoczył do sieni i zawołał do ludzi:

— Hej! wyprzęgajcie! pani już nie pojedzie.

Zaczem wrócił napowrót do gości; ale jak gdyby ich wcale nie widział, przechadzał się po komnacie, zaledwie dotykając się ziemi, zacierając

ręce z radości, śmiejąc się głośno i mrużąc coś ciągle do siebie.

Nie mało tem zadziwiony Kacki ze swoim prawnikiem, siadł na kanapie, czekając z niecierpliwością, co z tego będzie.

Za chwilę potem wszedł Karol. O! jakżeż on teraz całkiem inaczej wyglądał! Mężczyzna piękny, wyniosły, miał on coś wspaniałego w swojej postaci. Na jego wysokim czole siedziała myśl, ten niezatarty ślad ducha, co jak rumieniec w owocu, dojrzałości jest cechą. W jego oczach połyskiwał ten blask spokojny a świetny, który być może tylko wyrazem tej równowagi, pewności siebie i jasności umysłu, o jaką próżno się kusić bezczynnej a rozmarzonej młodości. Na jego ustach, cokolwiek w tem oka mgnieniu ściśnionych, widać było tę męzką, stanowczą i niezachwianą wolę, która dopiero co się w nim objawiła, jak gdyby go odrodziła nanowo i była zarazem już prawie pewną rękojmią jego całej przyszłości. Tak wszedł on teraz, z ręką założoną za pierś zapiętą surduta, z powagą i stanowczością w całej swojej postaci i rzekł do dzierżawcy Borówki:

— Mości panie Kacki, bardzo pana przepraszam, że muszę się cofnąć od zrobionej pomiędzy nami umowy. Ale widzisz pan sam, że postąpiłbym sobie najniewłaściwiej, gdybym jej chciał dotrzymać.

— A jakto, panie dobrodzieju? — zawołał na to Kacki—to pan mi już Zawisłocza nie sprzeda?

— Nie.

— A jakże-to, panie? to ja tyle kosztów poniosłem...

— Koszta te panu nagrodzę.

— Hm! ale to, pan^e dobrodzieju, pan sobie z tem rady nie da na żaden sposób...

— O to się pan nie troszcz bynajmniej, to moja rzecz.

— Ba! ale to panie dobrodzieju i moja także. Bo ja tu mam przecież kilkanaście tysięcy, które w takim razie trzeba zaraz zapłacić...

— To, co się panu należy, będzie wypłacone, jak tylko można najprędzej.

— Ale, panie dobrodzieju! to nie można najprędzej, to trzeba zaraz, bo te weksle już dawno przepadły...

— Weksle, podpisane przez pana Skibę — dodał Karol dobitnie — które ja panu obiecuję wypłacić. Jeżeli panu jeszcze i to nie na rękę, to możesz zanieść skargę do sądu. Ale pamiętaj o tem, mój panie, że w takim razie ja mogę złożyć tę sumę w sądzie, a pana się kazać zapytać, jaką to drogą przyszedłeś do tych pretensyj. Rozumiesz mnie? Zaczem bądź zdrów. Jak go będę potrzebował, to pošlę po niego.

Z tem się obrócił i wyszedł napowrót do sypialni swej matki.

Tak ten nieszczęsny rozbitek przecież nareszcie na jakiś brzeg stały wypłynął. W tej chwili widzimy w nim już całego człowieka, który staje na jakimś stanowisku, bierze coś przed się i otwiera

sobie drogę jakiejś pewnej i oznaczonej przyszłości. Życzymy mu z serca, ażeby się na tej drodze z powagą i wytrwałością utrzymał — a lubo ta rola, którą przyjmuje na siebie, wydaje się ciasną i małą, jednak możemy go z góry zapewnić, że i ta rola, pojęta dobrze i odegrana umiejętnie, może go kiedyś zadowolić zupełnie.

Od tego momentu całkiem inny duch wstąpił w mieszkańców zawisłockiego dworu. Postanowienie Karola nie zmieniło jeszcze dawnego stanu rzeczy ani na jotę, a przecież druga połowa tego jakżeż była niepodobną do pierwszej i do wszystkich dni upłynionych! Dotąd każdy zgarbiony, osowiały i jakby struty, dzisiaj się czuł orzeźwionym, odrodzonym nanowo i śmiało spoglądał w przyszłość. Albowiem już samo postanowienie, będące skutkiem gorącej wiary w swe siły, jest połową wygranej. Potem już tylko wytrwałości potrzeba—a wszystko inne samo się znajdzie i pewnie nie minie zwycięstwo.

Powziąwszy tedy tak stanowcze postanowienie, ażeby się przy Zawisłoczcu utrzymać, Karol się wziął z odpowiednią energią do rzeczy. Umiał on nawet w ten moment ocenić całą krytyczność swojego położenia i zwrócił przedewszystkiem wzgląd na to, ażeby przez zbytek ufności w swe siły nie włożyć odrazu zanadto ^obowiązków na siebie, którymby

nie mógł podolać. A mogło się to stać bardzo łatwo, bo właśnie wtedy wiosna się zaczynała i zdawało się rzeczą niezmiernie ważną zaraz i w gospodarstwie rolnem stanowcze zmiany poczynić, a nawet poprostu cały ster jego we własną wziąć rękę. Czyn jednak taki byłby był w tym wypadku najnie- właściwszym. Jak bowiem Skiba głównie przez to pobłądził, iż odrazu, gwałtownie i radykalnie, cały system gospodarstwa zawisłockiego na inną stopę przerzucił, tak i Karol byłby pobłądził, gdyby przez prędkość był to wszystko zrujnował, co Skiba z takim mozołem i kosztem doprowadził do skutku.

Radykalizm, zastosowany przy obejmowaniu zarządu nad jakim bądź mechanizmem skomplikowanym, nie powiem, ażeby kiedyś nie mógł przynieść pożądanego skutku, ale na razie bywa zawsze niesłychanie kosztownym. Widzimy to najdowodniej na państwach, które ilekroć przedsięwzięły w admi- nistracyi zmianę radykalną a nagłą, zawsze się tak powikłały pod finansowym, a nawet częstokroć i politycznym względem, iż rzadko kiedy ta sama ręka wywiodła je z ty cli wikłanin, która je w nie wprowadziła. W gospodarstwie jest także tak samo. Każdy nowy gospodarz, jeżeli się nie chce na niechybne narazić straty, musi w swym gospodarskim obrębie być konserwatystą—a przynajmniej pod żadnym warunkiem nie wolno mu być rewolucyoni- stą. Konserwatyzm, ustępujący powoli i z namysłem wymaganiom postępu, oto jest, naszym zdaniem, najwłaściwsza dla gospodarza zasada. Taką też zasadę przyjął Karol na całą przyszłość dla siebie — i zastosował ją w swoim zachowaniu natych

miast, chociaż właściwie w przeciwnym od wszystkich innych znajdował się położeniu. Mając wszakże i w tem położeniu głównie to na uwadze, iż jakkolwiek już zaprowadzony porządek ma zawsze tę wielką korzyść za sobą, że już istnieje—a każdy dopiero się zaprowadzić mający tę równie wielką niekorzyść, że go dopiero zaprowadzać potrzeba, na pierwszy moment tylko o tyje zajął się gospodarstwem rolnem, ażeby się przekonać, czyli istotnie w niem jaki porządek istnieje i jakie jest jego istnienie. Przekonawszy, się zaś, że Skiba zaprowadzonemu przez siebie systematowi ślepo był wiernym i istotnie taki miał w domu i w polu porządek jak w najlepszym zegarze, na początek nie zmienił nic i zostawił buławę polną i domową przy nim, jak była.

Sam zaś rzucił się przedewszystkiem na departament finansów.

Na samym wstępie niemałe spotkał trudności, Skiba bowiem, jak z jednej strony tak wielką ilość zaległości namotał, że oprócz weksli i egzekucy i sekwestracye siedziały jak zmory na karku, tak znowu z drugiej prawie wszystkie te źródła, z których można było spodziewać się jakiejś znaczniejszej pomocy, pozabieranemi drobnemi nadpłatami i zobowiązaniami tak pomącił i popieczętował, że niepodobna było do nich przystąpić. Prócz tego, były to czasy pod względem finansowym najfatalniejsze i stan ten codziennie się jeszcze pogarszał. Ale Zawisłocze, wieś reputacyi najlepszej, firma nowa, jeszcze wprawdzie nieznana, ale też nie zepsuta, a do tego energia rozumnego młodzieńca, jakoś

pomału pootwierały sobie te drogi, które dla Skiby były całkiem zamknięte.

Tak przedewszystkiem zaczął on chodzić kolo młynarza i propinatora, usiłując ich zniewolić do zrobienia umowy na lat sześć albo więcej i do zaliczenia należności z góry. Byli to ludzie pieniężni i mogli to zrobić; długo nie chcieli, ale nareszcie dali się namówić. Wpłynęło stąd zaraz kilka tysięcy. Po nich wziął się Karol do lasu. Skiba tam coś posprzedawał, jakieś drzewa materyałowe, jakieś sągi, za co wszystko wziął jakąś sumkę niewielką; Karol sprzedał sto morgów lasu na pniu, do wycięcia na lat sześć, i wziął większą połowę należności natychmiast. Trzecim źródłem, w które uderzył, były gorzelnia i - łąki. Gorzelnia potrzebowała restauracyi bardzo maleńkiej a żydzi, pamiętający do dziś dnia te czasy, kiedy z półgorzel- nianej rurki lało się płynne srebro i złoto, zawsze mają na nią niesłychane łakomstwo. Nie były to czasy dla gorzałczanej produkcyi korzystne, ale Karol rozmaitemi dodatkami, a głównie dodatkiem zbioru siana z sześćdziesięciu morgów łąk i pozwoleniem wyrestaurowania piwnego browaru, tak ich umiał zachęcić, że zrobili umowę trzechletnią i także zaliczyli znaczną sumę pieniędzy. Uskuteczniwszy te trzy operacye, Karol już z całej piersi odetchnął. Interesa te, ściśle je wzięwszy, były jak najmniej korzystne, na prawdę Karol sobie poły ucinał; ale któż o tem wątpi, że lepiej utracić poły, aniżeli całą siermięgę? — Zawisłocze było uratowane. — Nie popłacił on jeszcze wszystkich długów, ale stracił co naglejszą połowę — a te, które zostały, miał czem

odroczyć i wiedział, że będzie je miał z czego popłacić.

Nie ustał wszakże na tem. Jakoż natenczas rzucił się do ojcowskich dłużników, przeglądając z pilnością, od których-by mógł coś odebrać. Od tych dłużników. Skiba nic nie mógł wydobyć, a znecierpliwiwszy się ich nieczułością, powytaczał im procesy. Karol postąpił sobie z nimi wcale inaczej. "Wiedział on bowiem najpierw, iż włączenie się między sobą po sądach, w okolicznościach zwłaszcza takich, w jakich my dziś żyjemy, powinno być rzeczą ostatnią — a powtóre wiedział i to, iż największa część dłużników głównie dlatego nie uiszcza się z długów, iż są za leniwi, za obojętni, za opieszali, ażeby poszukać środków, któreby im do wypłacenia się z długu pomogły. Zmusić ich do tego sądownie jest zapewne drogą najprostszą, ale niezawodnie i znacznie jest to, jeżeli wierzyciel sam się zatrudni wyszukaniem tych środków i sam je poda swoim dłużnikom do ręki. Tak zrobił także i Karol—tym sposobem nie tylko, że się wobec dłużników ochronił od zarzutu o nielitościwość i nieuwzględnienie tych czasów fatalnych, ale zarazem i cel swój choć w części osiągnął. W jednym miej - scu bowiem przekazano go z długiem do kogoś pie- niężniejszego, który się natychmiast wypłacił, w innym przelano na niego indemnizacyjną zaliczkę, w trzecim dano mu jakieś inwentarze zbyteczne, w czwartym jakiś folwarczek w dzierżawę, który sub-arendował — a tak przecież odebrał przynajmniej to, co się odebrać dało bez wielkiego ucisku, i bardzo się tem poradował. Około Zielonych Świąt do

pasł nareszcie te woły nieszczęsne, w które przebiegły Karolki tak po łotrowsku ubrał biednego

Skibę, i jako tako je sprzedał — czem pospychał ostatki długów i zaległości, jeszcze to tu, to owdzie się błakających. O św. Janie żmudna ta praca była już ukończoną — a Karol mógł śmiało każdemu popatrzeć w oczy, bo nie był nikomu winien ani jednego grosza. Mógł nawet z pewną dumą spojrzeć na siebie samego, bo pracą, wytrwałością, energią, przełamał, zwalczył, rozproszył okoliczności tak nieszczęśliwe, w których już inni tonęli, ba! przed którymi on sam ugiął kolano na chwilę i już miał cofnąć się przed nimi.

Praca ta kosztowała go trudów niezmiernie wiele: zgadał się nieraz tak, że mu głosu zabrakło w piersiach, naponiewierał się po podróżach jak komornik lub sekwestrator, zmęczył się czasem scenami takimi, przed którymi może niejedyn byłby uciekł i wszystkiego się wyrzekł — ale kiedy się to wszystko skończyło, to się i zapomniało, a zostało zwycięstwo świetne i piękne, a jakże miłe dlatego, że własnymi odniesione rękami! Radość ta, która Karola wtenczas objęła, nie da się z niczem porównać, chyba z radością pocziwej matki i tak serdecznego przyjaciela, jak Skiba, któremu się natenczas zdawało, że nad to szczęście, którego doznaje, nie masz większego na całej ziemi.

Postanowienie ratowania Zawisłocza własnymi siłami, szczęśliwie doprowadzony do skutku, przyniosło Karolowi nieocenione i wielorakie korzyści, których i my nie możemy przepomnieć, choćby tylko dlatego, ażeby wykazać, jak każda rzetelna pra

ca, każde przewyciężenie naszej leniwej, ospalej, a często i niedbalej natury sownie nam się wypłaca. I tak najpierw przyniosło mu korzyść materialną bardzo znaczną, albowiem pomimo to, iż przez te operacye pieniężne dochody Zawisłocza tak znacznie uszczuplił, nie umniejszył wcale jego realnej wartości, czego najlepszy dowód złożył mu znany nam już Kaci, ofiarując mu dzisiaj tę samą sumę za Zawisłocze, co dawniej. Powtóre, przez wzięcie się do tej pracy wstąpił na drogę rzeczywistego zajęcia, rzecz bardzo ważna dla każdego młodzieńca — a przez utrzymanie się przy swej ojcowiznie zajął stanowisko obywatelskie w swem społeczeństwie, stanowisko w dzisiejszych galicyjskich stosunkach wprawdzie już bardzo ograniczone, okrojone i podupadłe, lecz w naszej rolniczej Polsce zawsze jeszcze wiele znaczące i ważne. Po trzecie, wyratowawszy swoją ziemię ojczystą z niebezpieczeństwa przejścia w niegodne, a przynajmniej wątpliwe ręce, położył już tem pewną zasługę, złożył dowody swojego dobrego usposobienia i swojej mężkiej dzielności, która nie przeszła niespostrzeżona w sąsiedztwie i zjednała mu uważanie u braci. Wreszcie zaś przez ten trud, przez tę pracę tak żmudną, którą już sam włożył w tę ojcowiznę, przywiązał się do niej, ukochał jakby uosobioną część siebie samego, potrafił uszanować jako takąż samą część swoich ojców i dziadów—a przez to ugruntował w sobie tę miłość, która nie tylko jużby mu teraz nie dopuściła była pozbyć się tej ojcowskiej puścizny tak lekkomyślnie, lecz zniewalała go także

do tem troskliwszego pracowania koło niej na przyszłość.

Z taką też ciepłą miłością wziął się teraz do gospodarstwa. Znalazł on i tu jeszcze trudności, może daleko większe, aniżeli w wypłaceniu się z długów. Gospodarstwo dziś, bez pańszczyzny, a jeszcze do tego w Galicyi, gdzie mu tak nieszczęśliwe towarzyszą warunki, o jakich wspomnieliśmy powyżej, jest' niesłychanie żmudnem rzemiosłem.

Najlepsza zietnia, najłatwiejsza produkcya i naj- rostopniejsza głowa, jeżeli potrafią osiągnąć ten skutek, że opłacą podatki i z oszczędnością wyżyją, to już bardzo szczęśliwe są rezultaty. Gospodarstwo nasze, nawet tam, gdzie mają do dyspozycyi kapitałów tak wiele, ile ich każdej chwili potrzeba, są pracą ciężką, wymagającą ustawicznej baczności i pełną nieskończonych kłopotów — a cóż dopiero tam, gdzie kapitałów tych nie ma?—Karol, jak wiemy, wprowadził długi popłacił, ale pozostał bez grosza. Taki stan jego kasy otworzył przed nim całą paszczę nieustających trudów i zgryzot. Musiał się przygotować na wielkie biedy, uzbroić w cierpliwość żelazną, opatrzyć w lisią ostrożność. Jakoż natenczas, chcąc czy nie chcąc, musiał on pójść za jedną z rad szamhelana: ubrać się w buty juchtowe, w kubraczek z grubego sukna i jąć się własnymi rękami wszystkiego. O! były to trudy niemałe. Wstawać raniej niż słońce, obchodzić obory, stajnie, stodoły, stać przy wydawaniu obroków, obiegać po kilka razy codziennie całe obszary roli, nad- gładnąć przy każdej robocie, wszędzie czegoś uczyć, coś poprawiać, sto razy jedno powtarzać i wszędzie się

gniewać, za ledwie mieć Czas do przyjęcia posiłku, a w wieczór całe godziny trwać na wypłatach i dy- spozycjach — nadto zaś wszystko jeszcze przez całą, noc myśleć o tem, czemuby wypłacić robotników jutrzejszych, a często i z kąd tych robotników wydobyć, to już nie państwo, to jest rzemiosło, to praca. Ale Karol, władowawszy raz taką pracę na swoje barki, trwał w niej jak mąż—będąc tego pewnym, że tylko wytrwałość może go od powtórnego upadku ochronić, a nawet z czasem tę pracę jego znacznie umniejszyć, postępował po tej ciernistej drodze śmiało, wesoło i próżen trwogi o przyszłość.

Nie można też tego zataić, iż lubo początkowo znalazł się położeniu niezmiernie trudnem, nie brakło mu także i pewnych ułatwień, które po części już znalazł gotowe a po części sam sobie sporządził. Tak jednym z największych ułatwień było to wszystko, co przedtem Skiba porobił w roli. Rzeczy te były fatalnemi pod względem finansowym, bo sprowadziły za sobą długi, lecz miały one wartość realną, z której można było korzystać. Już bowiem sam podział ról, podział oparty na tej zasadzie, ażeby dawać jak najsilniejsze nawozy na mniejsze stosunkowo przestrzenie, był wcale mądrym, bo zapewniał zbiór plenny, a umniejszał kosztów produkcji. Odcięcie kawałka roli pod rzepak, pszenicę i koniczynę i sprawianie go w większej części cudzym nawozem, było także korzystnem — a i wyłączenie z pod uprawy pól górnych i lichych miało także na początek swoje słuszne powody. Były w tem wszystkim niektóre chyby, jak np. konieczne sadzenie ziemniaków w przepisanej ilości, kie

dy się nie rodziły, jak niestosunek obszaru roli, przeznaczonej corocznie pod uprawę, do corocznego nawozu, którego przy takiej produkcji karmy dla bydła mogło być więcej i t. p. — ale te chyby można było łatwo naprawić, a silnie nawiezione grunty, które dziś w trzecim roku już trzech ósmych części zapewniały plony obfite i pewne, stanowiły ułatwienie niezmiernie. Prócz tego systematyczny Skiba wcale nieobojętnie się Karolowi przysłużył w domu, w oborze i stajni. Podchowwał mu bowiem już dwie warstwy młodzieży rogatej, karmionej suto i dziś już przerastającej swe matki—nie zmarnował mu koni, a nawet ich liczbę w dwójnasób powiększył—a wreszcie zaprowadził mu ład w całym obejściu, pomiędzy wszelką służbą, rzecz tak nieoceniona, a u nas do osiągnięcia tak trudna. Karol tedy, zaprowadziwszy te i owe odmiany w porządku rolnym, przy których miał głównie wzgląd na to, ażeby bez uszczuplenia sił roli, jak największe na teraz wydobywać dochody, tak mu niezbędnie potrzebne, zresztą ile możności uszanował prace swego nauczyciela — a natomiast z całą energią się rzucił na zmianę systemu administracji i domowego budżetu...

Tu hasłem jego stać się musiała oszczędność— i słusznie, bo bez niej do niczego się nie dochodzi. Nie obeszło się i tu bez trudności, z których i te i owe były po prostu nieprzełamane. Bo jak tu np. matce starszce odmówić tych wszystkich rzeczy, do których ona była przyzwyczajoną przez całe życie? jak nie trzymać dla niej tych niezbędnych czterech anglezowanych koni, któremi zawsze jeździła,

kiedy i te konie nawet, tu urodzone i tu wychowane, na jej usługach strawiły swe życie? jakże jej nie dozwolić utrzymania tych kilku sierotek, kiedy zajęcie się temi dziećmi jest jej jedyną rozrywką i pobożnym uczynkiem, tak niezbędnym jej sercu? jak wreszcie nie dostarczyć pieniędzy na wyszywanie ornatów, haftowanie poduszek, stuł i dywanów, na dar do kościoła, kiedy te ofiary są dla niej tak koniecznymi, że gdyby je zaniedbała, toby nie miała ani snu, ani spokoju? Jak oprócz tego poodprawiać te stare sługi, które od dziecka służyły w tym dworze i siły swoje stargały na tutejszych usługach? jak nie dać staremu Kubie, Maciejowi, Janowi, dawnym ojcowskim włodarzom, woźnicom, lokajom, tej samej pensyi i ordynaryi, którą pobierali od ojca? A jak znów dawać to wszystko, kiedy dziś niema z czego?—Dziwnie się Karol mozolił, coby z tem począć: niepodobieństwem było przyjmować na siebie takie wydatki, bo nie było ich z czego zastąpić; niepodobieństwem równem zrzucić je z siebie, bo były one zacnemu sercu jak gdyby święte, były jak gdyby domową religią. Spierało się serce z rozumem, a żadne z nich nie mogło zwyciężyć,...

Ale na szczęście, jak to się dziać zwykło w każdej rodzinie, przysłała z pomocą matka i sama się zrzekła większej połowy swoich wydatków. Szczęśliwa matka, widząc Zawisłocze uratowane, a syna na takiej chwalebnej drodze, byłaby się wyrzekła wszystkiego. Jakoż i dopomogła do rozstrzygnięcia innych kwestyi pomniejszych. Tak zostawiono wszystkie sługi co zacne, a co niegodne poddalano, gracyali- ści zaś, którzy ubodzy, pozostali przy swoim, a któ

rzy się z bogacili, widząc, że się czasy zmieniały, sami się pozzekali części swych gracyi. Lecz co do sług nowych, poprzyjmowanych przez Skibę, postąpił sobie Karol wedle swej własnej potrzeby. Wogóle pod tym względem pozbył się tej, że tak powiem niemiecczyni, której systematyczność zapewne, że się w końcu końców opłaci, ale u na«* nietylko że jest zwykle bardzo kosztowną, lecz często nie jest wcale potrzebną. Zaprowadziwszy tedy w każdym kąci, ile możności jak najściślejszą oszczędność i podzieliwszy się zajęciami ze Skibą, we- zwał już tylko cierpliwości na pomoc i oddał się z rezygnacją swojemu powołaniu, pracując pilnie* nie lękając się żadnych trudów i oczekując z ufnością swojej pracy owoców.

Wszystkie te znużone i wielorakie zajęcia, któreśmy opisali powyżej, zajęły mu tak dalece jego czas wszystek i tak pochłonięły jego całą istotę, iż do tego momentu, lubo to już się żniwa zbliżały* nie przyszło mu nawet na myśl zapytać o dawnych znajomych. Co się działo z szambelanówną, co z Izydorem? kiedy się odbył ich ślub? jakie ich było pożycie? — co robił Bernat stary? co jego syn Antek i jego niestała Basia? czy się z nią także ożenił? czy Niemiec odniósł nad nim zwycięstwo? — o tem wszystkiem nic nie wiedział.

Nie można nawet powiedzieć, ażeby był tych rzeczy tak bardzo ciekawym. Widzieć Bernata i Antka, tych ludzi poczciwych, którzy go niegdyś uratowali od śmierci, byłoby mu bardzo przyjemnem. Obaczyć Izydora, takżeby mu było nie sprawiło przykrości — ale chcąc widzieć jego. musiałby byt

i Józia obaczyć—a to go wcale nie pociągało. Nie miał on do niej już dzisiaj żadnego żalu—nie umarł przez to, ani nawet swych dróg tak bardzo nie skrzywił, że za niego nie poszła; ale zawsze widok tej, która dla marnych błyskotek innego przeniosła nad niego, która mu niegdyś miłość przyrzekła dozogonną, a potem prawie się tego wyparła, nie mógł mu być pożądanym.

— Niech sobie będą szczęśliwi — myślał on w duchu — nie zazdroszczę im szczęścia i owszem życzę z całego serca, ale ja między nimi nie jestem wcale potrzebnym.

Takie było jego postanowienie i było ono bardzo chwalebne. Po co on miał się pokazywać tam, gdzie jego obecność mogła wywołać tylko takie wspomnienia, które powinny być zapomniane na wieki? —Ale to postanowienie wskazywało zarazem, że przecież jego dawna miłość dla Józki jeszcze nie całkiem w nim zgasła. Trzy lata czasu, wielka to przestrzeń, z jej upływem można wiele zapomnieć; lecz są uczucia, których ni czas najdłuższy, ni silna wola, ni najprzeciwiejsze okoliczności, nie zdołają utłumić. Czy w sercu Karola żywiło się jeszcze to całe uczucie, czy tylko jego wspomnienie, może obaczmy poniżej. Na teraz widzimy tylko tyle, iż był w jego sercu z tamtych szczęśliwych czasów głos jakiś, który się bardzo często odzywał. Nieraz odzywał się może daleko głośniej, aniżeli mu to było przyjemne. Dlatego też tłumił go w sobie szlachetny młodzieniec o tylfc silniej, a widząc, że mu się to nie zawsze udaje, postanowił sobie, jak najstaranniej tego wszystkiego unikać, coby ten głos

Bibliotek? — T 393.

1®

w nim ożywiało tem więcej. Ztąd poszło, że dotychczas jeszcze ani razu imienia szambelan⁵wny nie wspomniał, o odwiedzinach u Izydora ani pomyślał, a nawet nie odważył się wstąpić do chaty Bernata, chociaż nieraz znajdował się od niej tylko 0 parę set kroków i chociaż dziwnie go tam ciągnęło serce.

Aż raz, był to dzień skwarny i właśnie żęto pszenicę na Zawisłockim łanie nad wodą, naprzeciw chaty Bernata, Karol, jak zwykle, wyjechał na koniu w pole i długi czas jeździł pomiędzy żeńcami

1 półkopakami, licząc i jednych i drugie i obrachowu- jąc, ile dziś w wieczór trzeba będzie wydać pieniędzy. Wzdychał przy tem nieborak z całego serca, bo rzepak, chociaż już był zebrany z pola i wymłó- cony, nie znalazł jeszcze do dziś dnia odpowiedniego kupca, jego kasa była nadzwyczaj szczupła— a tu żniwa szły całym pędem, a tu już jesienne zbliżały się zasiewy. Każdy dzień wtedy kosztował po kilkaset złotych. Zkąd tu aastarczyć pieniędzy? Jeszcze dzisiaj się jakoś wypłaci, może jeszcze i jutro, ale co począć pojutrze i dalej i jeszcze dalej!

Karol myślał nad tem, a głowa go bolała piekielnie.

A tymczasem żniwiarze, pomykając się raźnie zagonami, śpiewali pieśni wesołe, a ich głosy się rozchodziły po dalekich polach i lasach.

Bezwiednie słuchał Karol tych pieśni i mimo- woli jakoś umysł jego się wypogadzał. Za przewodem Skiby znał on wszystkie pieśni ludowe, drukowane, pisane i niegdyś w uścich ludu 'żyjące, ale tych nigdy jeszcze nie słyszał. Nawet i tej melodyi

nie słyszał, tak wesołej, swobodnej i lekkiej, jak gdyby sama swoboda. Zdawało mu się, jak gdyby rano przed świtem znajdował się w gaju i słyszał chóry naj swobodniej szych ptasząt. Było coś dziwnie lekkiego, coś rażącego, coś tak unoszącego się w tych głosach, że niepodobna było wobec nich pamiętać o jakichkolwiek smutkach lub żalach...

Karol spojrział w siebie: smutnym był, uciśnionym, stłumionym, ale on tylko jeden był takim, a obok niego trzystu ludzi na łące było wesołych, swobodnych, szczęśliwych. Możnaż-to, godzi się pamiętać o sobie w takim wypadku? Nie. Byłoby to nie po chrześcijańsku, byłoby nawet nie po ludzku. Karol był chrześcijaninem i był człowiekiem. Jakoż w tej chwili wcale nie zapomniał. Był jeszcze prócz tego szlachcicem, powinien być zawsze szlachetnym

I był nim, rzucił więc bez namysłu swoje troski o ziemię i rzekł do siebie:

— Ciężko mi bez was, to prawda; ale kiedy wam tak lekko bezemnie, poganinem byłbym, gdybym za wami żałował! Cierpię ja twardo i nie prędko przecierpię, ale kiedy przez to ujął cierpię tak wielu, to się skarżyć na to nie będę, zniosę i przetrwam, a o ile mnie za to nie wynagrodzi moje przekonanie, Bóg mnie nagrodzi.

To mówiąc, zeskoczył z konia i wylazł na wierzch półkopka, a położywszy się na świeżo zżętej pszenicy, aby trochę odpocząć, oddał się myślom, pozwalając się im nieść wedle upodobania. Niemasz przyjemniejszej rzeczy, jak zrobić się listkiem zwiędłym i oddać się wichrom duchowym na łaskę. Jak się to wtedy nie pędzi, czego się to nie widzi, gdzie

się to nie zaleci. Jakoż i jemu Bóg nie wie, co się w tej chwili nie przesnuło przez głowę. Tu szlachta średniowieczna, nie umiejąca pojąć swego istnienia bez panowania nad niewolnikami i błakające się jej niedobitki do dziś dnia, tam ten lud nieszczęśliwy, śpiący jak gaśienica przez tyle wieków, to znów Polacy, którzy się tyle razy zrywali do usamowolnienia wiejskiego ludu, a nigdy zamiaru tego do skutku doprowadzić nie mogli, to nareszcie Kościuszko, wyborny żołnierz, ale słaby polityk, a jeszcze słabszy naczelnik narodu, który to zrobić mógł, a nie miał do tego odwagi... Gdzieżbyśmy byli choćby tylko pod materyalnym względem do dziś dnia, gdyby natenczas był lud został usamowolnionym i uwłaszczonym! Jakieby dziś były gospoderstwa nasze, jaka pracowitość, jaki ruch skrzętny w całej naszej ojczyźnie! A czyżby za tem nie musiała była pójść także i oświata? Te myśli zaprowadziły go bardzo daleko i tak [go pochłonęły całego, iż nic wcale nie widział ani około siebie, ani przed sobą.

Nie widział również, iż myśląc to, patrzył ciągle na chatkę Bernata, która stała dotąd na swoim miejscu i wyglądała tak zupełnie jak dawniej. Dopiero, kiedy się koło tej chatki jakiś ruch zrobił, przedmiot ten wpadł mu w oko i zaraz go z jego myśli obudził. [Karol popatrzał tam i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał, iż z dziedzińca tej chatki wyjechał bardzo ładny, nizko przy ziemi idący powozik, zaprzężony parą eleganckich koników, a w nim siedziały jakieś dwie damy. Powóz wyjeżdżał bardzo ipemalii, a towarzyszyło mu pieszo aż do bramy

jakichś dwóch ludzi, którzy się tym damom bardzo nisko kłaniali; damy się wyginały z powozu i coś jakby tym ludziom nakazywały, poczem powóz wyjechał za białą i ruszywszy wielkim pędem w okamgnieniu zniknął w chmurach żółtego kurzu. Karol stanął równemi nogami na półkopku, [ażeby widzieć, dokąd ten powóz pojedzie: na prawo, czyli na lewo, ale nie mógł tego zobaczyć, bo grunty Zawisłockie były niskie, a tamte zaraz z samego brzegu wysokie.

Zdarzenie to, lubo nic nie znaczące, jednak jakoś go poruszyło. Że tymi obydwoma ludźmi, którzy powóz odprowadzali, byli Bernat i Antek, to mu się zdawało być pewnem; ale kto były te damy? Jedną mogła być hrabina Izydorowa, ale kim druga? I cóż tu mogła robić hrabina? czy znów kto chory leży w tej chacie? czy ci rybacy znów kogoś wyratowali od śmierci? A zdawało się to bardzo podobnem, bo przecież te panie nie odwiedzały Bernata i Antka, którzy obydwaj byli zdrowi.

To wszystko tak rozciekawiało Karola, że sobie kazał podać konia, dosiadł go i [puścił się wbród przez Wisłokę.

Za małą chwilę był już na tamtej stronie i stał na tem miejscu, z kąd dopiero co powóz wyruszył. Stali tam także Bernat i Antek i rozmawiali ze sobą.

Zobaczywszy ich, zeskoczył z konia i rzekł:

— Jak się macie, moi kochani! Dawno już wybieram się odwiedzić was, ale wśród tych gospodarskich kłopotów nawet i na to nie było czasu. Myślałem, że który z was przecie pokaże się w Za-

wisłoczu, ale i wam jak widzę jakoś nie mogło się zebrać na to.

' Obadwaj przewoźnicy kłaniali mu się, witając go z wesołością serdeczną, a Bernat rzekł:

— Jużemy nie pomału zgrzeszyli, żeśmy się dotychczas nie pokłonili jegomości na zamku, aleć to i u nas nie obywa się bez kłopotów.

— No, cóż to wam takiego dokucza? Powiedzcie mi, może wam będę mógł pomódz, a wielką mi to przyniesie pociechę.

— Ztrudna nam co jegomość pomoże—rzekł na to Antek—bo już nam pomaga kto może, a przecież bez skutku.

— No, cóż to takiego?

— Ot, co!—rzekł Antek—żonisko moje, jak zaniemogło o wiosnie, tak się nie mcze opamiętać do dziś dnia.

— Twoja żona? — zawołał Karol — toś ty się, Antku, ożenił? a z kimże? przecież nie z którą inną jak z Basią?*

— Ajużci z Basią — odpowiedział młody małżonek, z pełnym zadowolenia uśmiechem—i zrazu za łaską Bożą było nam dobrze i szło nam wszystko szczęśliwie. Ot! i chłopczysko jakieś Pan Bóg nam dał, co się tu bawi na przyźbie...

To mówiąc, wskazał Karolowi na dwuletnie chłopiątko, które ubrane w czystą koszulkę i czerwoną czapkę z pawiem piórkiem, bawiło się w piasku pod chatą.

— Ale jak znowu przyszła z kolei córeczka — ciągnął dalej stroskany mąż—tak mi Basia zaniemogła ostatnio i nie może się podnieść do dziś dnia.

Wolałbym już sam leżeć obłożnie, aniżeli się patrzeć, jak to biedactwo kwęka, a z sił opada codziennie.

— To mi cię żal, mój Antku, z całego serca— odpowiedział mu Karol, zamyślając się nad tem—ale chodźmy do chaty, niechaj też Basię zobaczę.

Z tem weszli do chaty. Dziwne wrażenie sprawiła na Karola ta uboga izdebka, w której niegdyś przeżył tyle dni, tak błogich i bolesnych naprzemian. Pięć lat z okładem już minęło od tego czasu—lecz mimo to, jakże żywo stanęło mu to w pamięci!— Cały oddech zatrzymał mu się w piersiach, tak go to wspomnienie wzruszyło.

Tymczasem na łożu, na łożu tem samem, na którym niegdyś cierpiał i kochał podwójnie zraniony Rozbitek, leżała teraz wycieńczona na siłach młoda żona rybaka. Była ona i dzisiaj tak samo piękna jak dawniej, tylko śmiertelna bladość pokrywała jej lica, a oczy jej, niegdyś tak żywe i tak jasnym błękitem świecące, były jak gdyby mgłami zakryte. Trzymała w tej chwili w ręku różaniec z metalowym krzyżykiem i oparta o kilka białych, a wysoko wypiętrzonych poduszek, zdawała się mówić pacierze.

Kiedy Karol z obydwojma przewoźnikami wszedł do chaty, Antek przystąpił do łóżka i rzekł do chorej:

— Patrzajno, Basiu, jakiego nam gościa Tan Bóg przynosi. Poznajesz-że jegomości?

Ale chora już go na samym wstępie poznała, a serdeczny uśmiech okrążył jej usta.

— Panu Bogu niech będzie chwała—rzekła ona

dosyć swobodnie — że jegomość sobie przecież nas przypomniał. A takim o to pana Boga prosiła!

— I wysłuchał cię Pan Bóg— odpowiedział jej Karol wesoło—miejże to sobie za dobry znak i bądź pewną, że cię i w czym innym wysłucha, jeżeli masz jeszcze jakie prośby do niego.

—r- Och! a cobym nie miała! A toż już leżę z jakie pięć miesięcy i ciężko mi się podnieść choć na godzinę. Już mi to lepiej teraz cokolwiek, już czasem stanę na chwilę na nogach, ale do zdrowia jeszcze mi daleko. Ale niech-no pan siada, ot tu na tej ławeczce, albo na żarnach, gdzie to niegdyś moja panienska siadała: takam rada, że pana widzę, że i miejsca mu znaleźć nie mogę.^r

— Dziękuję ci bardzo, moja Basiu kochana— rzekł Karol, siadając przy niej—ale mi powiedz naj- pierw, co ci to właściwie brakuje?

Ale Basia, zamiast mu odpowiedzieć, obróciła się do męża i zapytała:

— I cóżeście uradzili?

— Ha! jużci trzeba jechać. Ojciec chyba pojedą sami. f

— Gdzież-to jedziecie?—zapytał Karol.

— A gdzieżby indziej, mój panie! — odpowiedział mu Bernat—po doktora do Pilzna. Po doktora a do apteki, do apteki a po doktora, oto moje terazniejsze podróże.

To rzekłszy chmurnie, wyszedł starzec z świetlicy, a Antek wyszedł za nim.

Basia odprowadziła ich wzrokiem i milczała przez chwilę z oczyma nieruchomie wpatrzonemi

przed siebie, poczem te oczy zaszczyły, jej łzami i płakała przez oka mgnienie. Odgadł Karol natychmiast przyczynę jej łez, żal mu się zrobiło biednej kobiety i rzekł:

— Nie frasuj się tem, moja Basiu. Starzy są zawsze gderliwi, a Bernatowi pewnie nie z serca to idzie. Gderze, bo stary, ale pocziwy jest i pewnie ci nie żałuje ani trudu, ani pieniędzy.

Otworzyło się serce cierpiącej Basi i rzekła na to ze łzami.

— Och! żebyś jegomość wiedział, jak mi to przykro jest, że ten stary już tyle wydał pieniędzy na moją chorobę i jeszcze ciągle wydaje, tobyś się jegomość nie zdziwił, że ja tak płacę. Jużbym wolała umrzeć, niż tak chorować. A to mnie gryzie jeszcze tem więcej, bo wiem to dobrze, że nie jest to żadna choroba, jeno kara Boża prawdziwa. Bo też i nic mi nie jest, nie boli mnie nic, jeno mnie taka niemoc opadła, jako to bywa za grzechy...

— A cóżbyś ty takiego zgrzeszyła — rzekł Karol pocieszająco—żeby cię Pan Bóg aż karał chorobą?

, — Jużcim ja nie pogrzeszyła tak bardzo, jako się może komu zdawało, albo jak ludzie gadali. Jeździł ci do mnie ten Niemczyna, podobał mi się, bo greczny był i światowy; bałamucił mnie, że koniuszym zostanie u grafa i że się ze mną wtedy ożeni-^T ja sobie myślałam i tak i siak, ot jak zwyczajnie biedna dziewczyna... ale Pan Bóg to wie najlepiej, jeżeli co zawiniła. Ot! właśnieby też! nie tacy panowie tańcowali koło mnie, a czego by mi też był nie dał sam graf! Ale zawszem ja ciężko zgrzeszyła.

żem tego chłopczyska bałamuciła tak srodze. Obraził się wtedy nieborak, nacierpiał się, już i pić zaczął nareszcie, a ja byłam tak zła, że nic na to nie uważała. I żeby nie moja panienka, która mi zaraz potem iść kazała za niego, to byłabym go może bałamuciła do dziś dnia. A to, powiadam jegomości, takie dobre chłopczysko, że już lepszego chyba niema na całym świecie. Otóż to za niego mnie Pan Bóg tak karze...

Bardzo się Karol zbudował taką wiarą w do- raźność kary boskiej, ale ażeby ją pocieszyć, rzekł na to:

— Nie przeczę ja temu, że może to być kara boska; ale może też być, że cię Pan Bóg tylko doświadcza, bo i to bywa. Wątpię nawet, ażeby cię za to bałamuctwo karał tak srodze, bo jak uważam, była to prawie niewinna rzecz.

— Gdzie tam jegomość niewinnal Nigdy takie bałamuctwo nie jest niewinnem i nigdy też nie uchodzi bez kary. Albo to sam graf za co innego tak ciężko choruje, że już leży bez mała całe trzy lata?

— Jak to? — rzekł Karol nie pomału tą wiadomością zdziwiony—to pan Izydor doprawdy tak ciężko chory?

— A jużci tak. Czy to jegomość nie, wie?

Bardzo się Karol nad 'tem zamyślił i rzekł:

— No, to niema co wcale zazdrościć szczęścia hrabinie?

Patrzyła znowu z kolei ze zdziwieniem Basia na niego i zapytała po chwili:

— Jakiejże, proszę pana, hrabinie?

Spojrzał na nią Karol i umilkł. Krew w nim zastygła. Mogłoby to być? Karol nie śmiał nawet zapytać. Ale niecierpliwość go piekła jak ogniem, jakoż rzekł wreszcie:

— Proszę cię, powiedz mi krótko, bo ja nic nie wiem. Czy pan Izydor się nie ożenił z twoją panią?

— W imię Ojca i Syna! O! toż to jegomość nic a nic nie wie! A jakich-to ktoś jegomości plotek nanosili Ani tam mowy nie było o ożenieniu. Graf leży już trzy lata na łożu i ani się ruszyć nie może...

Wiadomości te, jak tego się łatwo domyśleć, wzruszyły Karola do dna. Zerwał się z miejsca i chodził jak gdyby we śnie po izbie. Coś mu tam Basia opowiadała, ale on nic nie rozumiał, ani nawet nie słyszał. Myślał tylko, pocierał czoło i coś dziwnie się z sobą borykał. Przeprósł ją wreszcie, że jej nic nie odpowiada, przyrzekł, że niebawem ją znowu odwiedzi i przywiezie jej swego lekarza, prosił ją, ażeby się śmiało udała do niego, jak tylko czego zapotrzebuje, poczem wybiegł pośpiesznie z świetlicy, dosiadł konia i popędził prosto do Grzy- malina.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

£03BOJ56HO U,eH3ypOH).

BapinaBa, 9 Maa 1905

VI.

W pół godziny potem wszyscy goście się rozjechali z Przewoźnik. Napróżno ich zatrzymywał szambelan, bez Izydora jego dom wcale nie był zabawnym.

Po ich odjeździe Józia, uskarżywszy się na ból głowy, wyszła do swego pokoju, wyszła za nią i ciotka, a szambelan z synem wynieśli się do sąsiedniego pokoju i mieli tam z sobą, następującą rozmowę. Szambelan siadł w poręczowe krzesło, zapalił lulkę i zaczął:

— Cóż ty rozumiesz, Fonsiu? Rozsnuliśmy jakąś intrygę i spodziewaliśmy się po niej, że nas w ten moment zaprowadzi do celu, a teraz sami nie wiemy, jak stoimy.

— Z Izydorem nie łatwa jest sprawa — rzekł Fonsio, przechodząc się, jak zwykle, z zachmurzo- niem czołem i nastrzępionymi brwiami po gabinecie.

— Ja tego panka nie rozumiem zupełnie —

mówił szambelan. — Proszę cię, czy widziałeś to dobrze, że jego dom jest urządzone nanowo?

— Wszystko zwidziałem.

— Ale czy urządzone jest tak wyraźnie, jak na przyjęcie żony potrzeba, bo to ci wielcy panowie mają rozmaite fantazy.

— Połowa domu jest urządzona jak najwyraźniej na przyjęcie kobiety, żadnego tam świeczka nie braknie, a nawet, jak memu Franciszkowi mówili tamtejsi służący, poszły już konie do Krakowa po sprowadzone z Wiednia powozy.

— Hm! w takim razie jeszcze 'mniej go rozumiem. Czyż chce, ażebyśmy przed nim uklękli i może jeszcze żonę mu zawieźli do domu?

Trwała chwilka milczenia.

— Cóż ty rozumiesz? — zapytał znowu szambelan.

— Ja nic nie rozumiem napewno — rzeki Alfons — ale zdaje tti się, że ta rzecz tak się ma. Izydorowi podobała się Józia i w pierwszej, chwili uniósł się dla niej, ale potem nie podobały mu się te i owe okoliczności i teraz jest na drodze rozstajnej. Złe się zrobiło, że Józia, poznawszy się z Izydorem, bywała tak często u hrabiny Millefleurs i tak dalej, a nie bywała gdzieindziej; źle może i to, żeśmy, tu ściągnęli Karola, bo Izydor już zrozumiał, na cośmy go tutaj ściągnęli i widocznie drwi sobie z tego. Na każdy wypadek, jabym był zdania, ażeby z tym Karolem dać pokój, bo to już teraz oczywiście nic nie pomoże, a może nas uwikłać w zajścia wcale niemiłe. To jest człowiek żyjący tylko sercem, namiętny, niepowściągliwy, burzliwy, a jeszcze do tego z gorącą głową: z takimi ludźmi wszelkie stosunki są niebezpieczne.

Patrzył na niego szambelan, poprawiał okulary i myślał. Zdawało się, jak gdyby go chciał o coś zapytać, a nie miał odwagi. Odważył się wreszcie i rzekł:

— A cóż ty o Karolu rozumiesz?

— Gzy jako o mężu dla Józii? — rzekł Alfons z nietajonem szyderstwem.

Szambelan milczał.

— Takiego szwagra—mówił dalej Alfons—wcale sobie nie życzę.

— Powiedz-że mi, dlaczego?

— Dlaczego? ze stu powodów. Majątek ma mały i na tej drodze nigdy nic znaczyć nie będzie. Skompromitowany jest—a zatem ma drogę zamkniętą do wszelkiego innego znaczenia. Do tego jeszcze głowa gorąca, lada dzień może się znowu skompromitować^ a wtedy proszę sobie wyobrazić, jaka piękna rzecz dla mnie, mieć 'szwagra w kozie albo i w fortecy^ Nie śmiałbym oka pokazać pomiędzy ludźmi i zagryzłbym się od wstydu.

— To wszystko prawda—mówił na to szambelan—okoliczności te mówią przeciwko niemu, ale chcąc go sprawiedliwie osądzić, trzeba wymienić i te, które mówią za nim.

— Nic o nich nie wiem.

— A ja ci powiem. Najpierw tedy Zawisłocze nie jest to taki mały majątek, jak ci się zdaje. Zawisłocze, urządzone dobrze, to bardzo przyzwoita fortuna. Ja wprawdzie nie widzę w Karolu żadnego administracyjnego talentu, ale naprzód jest to chło-

piec bardzo młody, z którego się jeszcze wszystko- da zrobić i zrobi się pewno, jeżeli ja go wezmę, w moją opiekę. Powtóre, przecież i Józci coś damy, a chociaż jej damy daleko mniej wtedy, jeżeli pójdzie za Karola, aniżeli wtedy, kiedy pójdzie za Izydora, to zawsze posag jej znacznie fortunę Karola pomnoży. Nie przeczę temu, że pomiędzy Izydorem a Karolem nie masz żadnego porównania: tamto jest człowiek skończony i mający już dzisiaj niezaprzeczone i wielorakie znaczenie, a to jest sobie nic. A to nic ma dla nas wielką wartość właśnie dla swojej nicości. Jakoż gdy Izydor, ożeniwszy się z Józcią, niezawodnie od nas odpadnie i zaledwie z niego tyle będziemy mieć korzyści, iż świat będzie wiedział, że jego żona to moja córka a twoja siostra, przeciwnie z Karola możemy sobie wyrobić narzędzie, które nam bardzo będzie przydatnem. Ha- niebna by to rzecz była, bez żadnego wątpienia, gdyby się Karol potem [skompromitował nanowo, ale nawet i z takiego zdarzenia jeszcze byśmy prędzej wyciągnęli pożytek, aniżeli szkodę odnieśli. A coby nam to szkodziło w tych kołach, w których mamy jakieś znaczenie, że się ktoś z naszej rodziny skompromitował? A przyniosłoby nam niemałe korzyści w kołach tych, gdzie żadnego znaczenia nie mamy, a mamy wrogów nieubłaganych. Ty powiesz pewnie, że nie dbasz o takich wrogów, ale wierz memu doświadczeniu, że tak mówić nie można. Opinia publiczna, choćby nawet uliczna, nie jest to przecież rzecz taka, którąby można pogardzać bezkarnie. Jest tam coś w tem koniecznie, jest tam daleko więcej, aniżeli się nam wydaje. Ja to wiem z doświadczenia, a i ty się przekonasz, jeżeli weźmiesz to na uwagę, że tą opinią nikt nie pogardza, nawet, z tych ludzi, którzy mniej więcej pod każdym względem są z nami na równi. Miej ty w tem kole nie wiedzieć jak ustalone znaczenie, a niech cię raz tylko ta opinia uliczna błotem obrzuci, zobaczysz, że uciekać od ciebie będą nawet ci, którzy by ją radzi widzieć na szubienicy. To jest rzecz pewna, jakoż nie mniej pewna i ta, że jeżeliby się z nami spokrewnił, to powinniśmy się jaknajusilniej starać o to, ażeby w opinii publicznej jak największą popularność uzyskał i przy niej się utrzymał. Materyał do tego w nim jest, tyłkoby go potrzeba umiejętnie pokierować, o co nie byłoby trudno, a widziałbyś potem niebawem, jak taki człowiek w naszej rodzinie byłby nam pożytecznym.

— Nie przeczę temu—rzekł Alfons—jest to myśl dosyć praktyczna; ale na cóż nam człowieka takiego z Karola dopiero wyrabiać, kiedy go w Izydorze mamy już gotowego? Izydor jest bardzo popularnym i szanowanym przez wszystkie warsty, od najwyższej do najniższej.

— Izydor jest popularnym, to prawda, ale ta popularność jest bardzo wątpliwego dla nas pożytku. Izydor stoi zanadto na własnych nogach, ażeby się nam dał powodować. Jest on weredyk zresztą— i jak z jednej strony z pewnościąby nas wtedy odstąpił, kiedyby się przeciw nam obruszyła opinia, tak znowu z drugiej, kto wie, czyli będąc naszym zięciem, nie zechciałby się mieszać w nasze interesy, ażeby je wedle swego widzenia prostować...

■ — Tegobyśmy mu przecież nie dopuścili.'

— To w takim razie najniezawodniejby się % nami poróżnił i zamiast pomagać, jeszczeby nam przeszkadzał...

— Dziwak to jest, nie ma co mówić—rzekł na ¹ to Alfons — ale przecież trudno przypuścić, ażeby mógł być dziwakiem do tego stopnia.

—• I ja tego nie przypuszczam—odpowiedział szambelan— chcę tylko wszystko rozważyć i należycie ocenić. Albowiem tylko na takim postawiwszy się gruncie, można być dostatecznie roztropnym. A roztropność, wiesz dobrze, bardzo nam jest potrzebną, względ na opinię konieczny. Jeszcze i z naszych interesów tutejszych nie jeden rozmaicie jest tlómaczony, a cóż dopiero sprawa o nasze dobra podolskie, na którą już mnie samego dochodziły sarkania?

— Za nadto wiele względu zwraca ojciec na tę opinię! Ja się na tę rzecz zapatruję wcale inaczej. Nie zapominam o tem, że żyję w dziewiętnastym wieku, którego głównem bożyszczem jest pieniądz. Opinia, sława, rodzinne relacje i tak dalej, wszystko to są dziś dii minorum gentium, które tak tańczą, jak pieniądz Jowisz im zagra. Mój ojciec, gdybyśmy nie mieli pieniędzy, aniby Izydor, ani Karol, ani pies nawetby do naszego domu nie zajrzał. To jest rzecz główna, a wszystko reszta to bagatela!...

Z podziwieniem prawie patrzył szambelan na syna, który jak widać, w postępowej nauce, nazwanej brzmiąco ekonomią materyalną ludzkiego społeczeństwa jeszcze o wiele go przeszedł. I on wyznawał takie zasady i wedle nich postępował przez całe życie, ale przyznać się do nich tak otwarcie i śmiało przecież nie miał odwagi. Aleć to tak najczęściej się zdarza w tem życiu! Zaczny, prawy, cnotliwy ojciec rzadko kiedy się widzi prześcignionym w swych cnotach od syna; ale syn ojca niepoczciwego, za ledwie szkoły ukończy, już mój w niepoczciwości mistrzuje. Dopiero kiedyś, gdy niepoczciwość wszelką przebierze miarę, w jakimś pokoleniu da- lekiem, następuje nagła reakcja, a wtedy wnuk, jak gdyby duchem świętym natchniony, zstępuje z drogi przez swoją rodzinę utartą i idzie pokutować za wszystkie grzechy swoich ojców i dziadów.

— Na tej też opierając się zasadzie — ciągnął dalej syn szambelana—już dla samego majątku przenoszę hrabiego nad Karola.

— A cóż ty rozumiesz o majątku hrabiego?

— Rozumiem to, że jego konie są więcej warte, niż pół Zawisłocza.

— Ale jego długi są więcej warte, niż dwa Zawisłocza.

— Czy tak?

— A tak.

— Karol nie ma długów?

— Być może, że w tych dniach zaciągnął dług towarzystwa kredytowego, o czym mnie wieści dochodzą z boku; ale i w takim razie jeszcze to nic, zwłaszcza, że na to mają dość znaczne sumki, położone na wsiach sąsiedzkich.

— Już ojciec, jak widzę, wyraźnie za Karolem pociąga. Musiał Izydor czemś ojca obrazić. Nie jestem koniecznie za tem, ażeby zapominać obrazy;

ale tego nie mogę pochwalić, jeżeli się o nich pamięta przy interesach.

Znowu odebrał ojciec naukę^v od syna, ale ją znowu przemilczał, a natomiast rzekł:

— Ja ani za Izydorem nie pociagam, ani też za Karolem, bp wybierając z pomiędzy tych dwóch, prawie zupełnie mi jedno, czy tamtemu dam córkę, czy temu? ¹ Idzie mi tylko o to, aby tę rzecz już skończyć nareszcie...

'.— Otóż i mnie o to idzie —przerwał mu Alfons—bo tylko dlatego tu siedzę i siedzę tak długo, a tam kto wie, co się u mnie dzieje i tyle tam mam interesów na głowie.

— W tem się więc zupełnie nie zgadzamy, a zapewne i w tem, że teraz, kiedy się nam nie udało przez Karola zniewolić Izydora do deklaracji, trzeba tę rzecz kończyć czem prędzej. Jestem nawet zdania, że nie ma co teraz już między środkami przebierać, ażeby potem nie było zapóźno. Zdeklarowani konkurenci około panny to-rzecz najgorsza. A zresztą Józia ma już dwudziesty rok. Do dwudziestego roku panna wychodzi zamąż z łatwością, po roku dwudziestym, już to tylko szczęśliwy przypadek...

— No, więc cóż ojciec zamyśla?

— Ja tedy myślę wziąć się najpierwej do Izydora i przyprzeć go teraz, nie tym to owym sposobem, a choćby nawet całkiem otwarcie...

— I ja tak myślę.

— A jeżeli Izydor zrejteruje, dopuścić bez ceremonii Karola i pobłogosławić.

— Dobrze—rzekł Alfons stanowczo — ja tylko sobie to jeszcze wymawiam: że jeżeli Izydor się oże

ni z Józią, to już nareszcie da mu się Prześwoźniki, z tym oczywiście warunkiem, że Józia pozostanie w hipotece i że mu ich na żaden sposób obdłużyć^v nie wolno. Kładę tó na wypadek najgorszy, ale rozumie się samo przez się, iż będziemy próbowali, ażeby on nie wolał ■ odebrać zamiast Przewoźnik, jakieś sumki w gotówce, wzamian za to, ażeby cały swój majątek przeniósł na Józię. Zważywszy na jego bladeść, czasem odzywający się kaszel, a zawsze tak mocno wypalone rumieńce, jabym to wolał i gotówbym był nawet nieźle zapłacić za Prze- woźniki... Jeżeli zaś Karol ożeni się z Józią, wtedy o Przewoźnikach ani mowy nie będzie, Karol dostanie rentę. Po kilku latach, jak się tego okaże potrzeba (a pewnie się ta potrzeba okaże)* dostanie jedną zaliczkę, potem drugą, a przy . trzeciej zamieniamy Przewoźniki na Zawisłocze. Tym sposobem Zawisłocze się łączy z Bobrówką, o! a Przewoźniki dla takiego szlachcica to bardzo piękna fortuna.

Na taką propozycję godnego syna szambelano- wi głos zamarł w gardle. W rozczuleniu najwyższem poszedł do biurka, wydobył zeń papier na tysiąc guldenów i dając go Alfonsowi drżącymi rękami, rzekł prawie ze łzami w oczach!

— Masz, moje dziecko, kup sobie „Beauty”^{tt} od Jasia.

Miedziany Alfons schował paperek z najwięk- * szą obojętnością do kamizelki i zaczął się po swojemu przechadzać po gabinecie. Był wszakże mniej pochmurnym w tej chwili, nawet dosyć pogodnym, co też nie dziwna: niespodziewanym sposobem zrobił dobry interes.

Ale szambelan, choć bezwątpienia zły zrobił interes, nie przestał na tem, tylko zabrał głos bardzo wymowny, rozwodząc się nad tem, coby to było, gdyby mu się udało Zawisłocze połączyć z Bobrówką? Byłaby to według niego już prawie pańska fortuna, zwłaszcza, że koło Borówki i Zawisłocza .. jest jeszcze kilka pomniejszych wiosek, któreby nabyć można z łatwością, a których dzisiaj nabywać nie warto, bo choćby ich nabyć nie wiedzieć wiele, zawsze im będzie brakować środkowego punktu i zawsze będą wyglądać tylko jak zawisłockie folwarki. Zawisłocze, ze starym zamkiem, ze starożytnym ogrodem o kilkunastu morgach, z tysiąco- morgowym lasem, Zawisłocze tak panujące wspaniale na kilka mil naokoło, wyrzuciły głowę szambelanowi na nice...

Jakoż o tera już tylko trwała rozmowa pomiędzy ojcem i synem do późnej nocy, którą co chwila przeplatało powtarzane postanowienie, ażeby zaraz jutro jechać do Grzymalina i Izydora niewolić do deklaracji—jeżeli zaś to się nie uda, żenić w ten moment Karola.

Postanowienie to było nadzwyczaj trafne, obawiamy się tylko, czyli nie było już troszeczkę za- późne...

Tymczasem, kiedy na prawem skrzydle pałacu tak żarliwie radzono o losach Józi, nie pytając jej wcale ani o jej uczucia, ani o zdanie — ona sama znajdowała się na ostatnim krańcu lewego skrzydła i była dziwnie smutną i przygnębioną. Siedziała na małym krześle przy stole, główkę oparła na ręce i miała twarz tak wzburzoną, jakgdyby dopiero co jakąś olbrzymią stoczyła walkę, albo ją jeszcze teraz toczyła. Po pokoju powolnym krokiem przechadzała się siostra jej ojca, ze złotą lornetką w ręku, i przypatrując jej się od czasu do czasu nadzwyczaj pilnie, urywaną z nią prowadziła rozmowę.

— Nie smuć się, moje dziecko — rzekła ciotka nareszcie — wszystko to jest jaknajwiększe dzieciństwo. Minie rok jeden i drugi—a potem sama nie będziesz się mogła temu wydziwić, że cię takie drobnostki mogły tak boleśnie dojmować.

— O nie! moja ciotko, nie! — odpowiedziała Józia z taką energią, jakiej po jej melancholicznej powierzchowności z ostatnich czasów zaledwie się można było spodziewać—nie, moja ciotko. To nie są wcale drobnostki. Oh! — zawołała, porywając się z krzesła i łamiąc ręce ze łzami — tak go nie- litościwie odprawić, tak po tyrańsku rozszarpać kochające to serce, nie] to jest nad moje siły. Miałam już siłę po temu... ale ja straszny popełniłam występki, ja tego nigdy nie przeboleję!

— Czas moje dziecko, jest doskonałym lekarzem na wszystko, a najlepszym na miłość. I czy ty myślisz istotnie, że Karol będzie tak bardzo rozpaczał, żeby to aż zdrowiu jego szkodziło? Nie znasz ty jeszcze mężczyzn, moja Józiu kochana, poznasz ich kiedyś, a wtedy będziesz wcale inaczej o nich rozumieć.

— Ciotcia nie zna Karola.

— Nie jest on innym od wszystkich.

— Oh! wcale innym. Przynajmniej dzisiaj jest innym i jeszcze długo nim będzie.

— Ja w nim nie widzę nic odmiennego. I cóż!

Koęha się, tak jak każdy się kocha w tobie, któi^ cię tylko zobaczy. » i — Ale jak on się kocha!

— Tak, jak każdy. A Izydor czy się także nie kocha?

— Także się kocha, niestety! — odpowiedziała Józia z ciężkim westchnieniem.

— Więc o cóż chodzi? jużci jednego z nich trzeba poświęcić. A wybierając pomiędzy tymi dwoma, zaprawdę niema żadnej trudności w wyborze. Niema tu zresztą już co się wdawać w żadne długie dysputy, rzecz skończona. Odprawiłaś już Karola, już nie wróci...

-

— Także mi ciocia powiada! — odpowiedziała dumnie szambelanówna — każdy z nich odprawiony sto razy, na każde skinienie się wróci.

· Westchnęła na to ciotka, myśląc zapewne: <3d¹ziez te czasy, kiedy i ja tak samo mogłam powiedzieć o sobie!

. Józia zapadła znów w zamyślenie. Zbliżyła się do niej ciotka, pogłaskała ją pod brodę i rzfekła:

—• Nie myśl już o tem, moje dziecko, to cię tylko irytuje tem więcej. Zrobiłaś wybór najlepszy i nje powinnaś mieć sobie nic do wyrzucenia,

... — Ja nic o tem nie wiem, jaki zrobiłam wybór. Czas to dopiero pokaże: nateraz i zapewne nadługo pozostałam w niepewności najsrozszej. O! gdybym przynajmniej wiedziała, że ten, któregom tak nielitościwie odepchnęła od siebie, będzie na tem rfmiej cierpiał, anizeli ten, któregom sobie, wybrała?

— O! to przecież najmniejszemu nie ulega wątpieniu.

— Dlaczegóż to? ja tego wcale nie widzę — zapytała Józia, rada zapewne usłyszeć, coby odpowiadało terażniejszemu jej przekonaniu.

— To jest rzecz najprostsza po słońcem—odpowiedziała jej ciotka.—Widzisz moje dziecko, Karol to jeszcze chłopiec młodziutki, zakocha się prędko, może nawet dosyć gwałtownie, ale dlatego właśnie tem prędziej swoją miłość zapomni. Po cierpi trochę, popłacze może, będzie się rzucał niepowsięcią- gliwie w boleści; ale lada dzień nawinie mu się jakaś inna twarzyczka, podoba mu się, bo młodemu zawsze się coś musi podobać, i on się jej także podoba, bo młody — ot! i już koniec boleściorb.

— Nigdy tego Karol nie robi — zauważyła stanowczo Józia.

— Zrobi najniezawodniej i zobaczysz, że wkrótce same się o tera dowiemy. A nie tak się ma Izydor. Izydor stoi dziś na tym punkcie, na którym człowiek żegna się z młodością. Ty nie wiesz, moje dziecko, jaka to jest chwila ważna; z jaką to skwapliwością, z jakim zapałem chwyta się wtedy za to wszystko, co młodość z sobą przynosi, z jaką namiętnością przywiązuje się do tego, co te resztki młodości są w stanie zdobyć i przekazać dalszemu życiu. Nie pierwsza to miłość, moje dziecko, jest tak gwałtowną, jak ją opisują poeci, ale właśnie ostatnia. Nie pierwsza to miłość, która nas nawiedza wtedy, kiedy cały świat przed nami otwarty, jest w nas nieuleczoną; ale ostatnia, która przy-

chodzi wtedy, kiedy oprócz niej niczego się już nie możemy spodziewać po świecie. Taka to miłość jest tą chorobą, na którą niema żadnego lekarstwa — i ona to w nas zostawia tę gorycz, tę rozpacz, która nam towarzyszy do grobu. A w takim właśnie wypadku znajduje się Izydor. Sto razy Karol jeszcze się może wyleczyć z zawiedzionej miłości—Izydor nigdy się już nie wyleczy. Odprawiając Karola, sprawiasz mu przykrość—Izydora, zabijasz!

Józia milczała. Po chwili znów Ciotka mówiła dalej:

— A zresztą, moje dziecko, nie na to stworzony jest człowiek, ażeby się drugimi zajmował, lecz przedewszystkiem samym sobą. Niedorzeczna to panna, która dlatego idzie za kogoś, że gdyby nie poszła, to onby na to chorował. Może kiedyś były takie poczciwe panny na świecie, ale dziś nie zostało z nich ani śladu. Nawet tradycja ich zaginęła, jeżeli była; ja przynajmniej nic o niej nie słyszałam. Dziś każda panna ma rozum i rozumnie wybiera. A proszę cię, jak tu można tylko się zastanawiać, mając do wyboru pomiędzy Karolem a Izydorem? Karol, jakiś mały szlachetka o jednej wiosce, ledwie sam z czego ma wyżyć, bez znaczenia, bez stanowiska, bez żadnych relacyj na wielkim świecie, studencik jakiś, stojący jeszcze do dziś dnia pod opieką swej matki, kobiety, jak słyszę, nieznośnej, nudnej, kapryśnej bigotki i dziwnej jakiejś arystokratki. Cóżbyś* ty tam miała za życie, choćbyś się nawet i w twoim mężu kochała? Miłość mężowska, choćby się w pierwszych czasach zdobyła na jakie takie powozy, na znośną służbę, a nawet w pierwszym roku na jaką podróż do Maryenbadu, jeżeliby na nią zezwoliła mamunia wprędce potem wcaleby się zmieniła, bo musi się zmienić—na Zawisłoczu. Po latach kilku, kiedy ty właśnie będziesz jaśnieć najświetniejszą pięknnością, kiedy ci właśnie używać tego świata, którego cała młodzież u nóg leżeć ci będzie, ty co natenczas? Ty, jako prosta szlachcianka, siedzieć będziesz ha wsi, będziesz mamczyć i niańczyć swym dzieciom, pocieszać skłopotanego męża, który ci się skarżyć będzie na ciężkie czasy, przez miłość dla niego klucze nosić u pasa i odmawiać sobie nawet wstążeczek — a za to wszystko wolno ci będzie w niedzielę rano do parafialnego wyjechać kościoła, a po południu przyjmować księdza plebana, a w najlepszym razie pana Piotra i Pawła, którzy cię będą tytułować panią dobrodziejką i bawić konwersacją o pszenicy i o życie. Dodaj jeszcze do tego ukochaną babunię, która od świtu do, nocy oka z ciebie nie spuści, w której oczach ty zawsze za mało będziesz kochać swojego męża i która cię będzie gospodarstwa uczyć przez całe życie—dodaj do tego te wiejskie obiady, na których szlachta się spije, jak susły i zmoczone- mi wąsami będzie zamiatać twe rączki; bodaj te wiejskie bale, na których będziesz musiała hulać z młodzieżą wiejską, zamaszystą i tupającą, że aż ci w uszach będzie strzykało; dodaj jeszcze do tego wszystkie odpusty i imieniny, na których siedzieć będziesz na kanapie pomiędzy wyczupierzonymi parafiankami, patrzącemi na twoją suknię z rozdzia- wionemi gębami i obnoszącemi cię potem po całym

świecie, że tracisz, rujnujesz męża, niepotrzebne zbytki wprowadzasz, albo jeszcze i gorzej — a będziesz miała wierny obraz przyszłości twojej w Zawi- słoczcu. Roztyjesz się, zestarzejesz przed czasem i zostaniesz jejmością—a za kilka lat i pamięć o tobie zaginie na świecie? Przyjdzie potem kiedyś żal i skrucha i ciężkie wyrzuty przeciwko sobie—wtedy ci się i oczy otworzą, %ale niestety! zapóźno. Znam ja to wszystko jaknajdoskonalej, tak to było i ze mną!.,.

Józia ciągle milczała — a ciotka mówiła dalej:

—..A nawzajem, czyż potrzebuję ci przedstawiać, jakie będzie twoje pożycie z Izydorem. Człowiek to taki bogaty, mający imię tak piękne, taki ton wzniosły, tak delikatne uczucie, smak taki wykwinny i tak wspaniałe relacje na wielkim świecie! A jak cię kocha, o tem nie trzeba i mówić. Wszystko to, co on dzisiaj powiada, najwierutniejsza bajka. Niechno się tylko ożeni, wszystko z nim zrobisz, co zechcesz. Nie tacy tó straszni są ci mężowie, jakich radzi udają; ja to wiem z doświadczenia. Na klęczkach będzie chodził przed tobą, jeżeli tylko tego nie będzie trzeba, bo tu rzecz przewidziana, jak on sam dom swój urządzi. Ja tobie ręczę, że ty z nim ani jednej zimy nie przepędzisz na wsi, będziecie ciągle we Lwowie, w Krakowie, w Wiedniu, a bezwątpienia i w Paryżu. Nie zaśniedziejiesz za nim, nie potrzebujesz się obawiać tych kół towarzyskich, w które on cię wprowadzi— a przy twojej piękności, twoje życie będzie tylko łańcuchem nieprzerwanych tryumfów. Wróćcie na 'wieś na chwilę, a choćby nawet na dłużej, to i tu jeszcze nie będzie ani porównania pomiędzy Zawi- słoczem a Grzymalinem. Dom elegancki, najpiękniejsze powozy i konie, gość doborowy, ciągłe relacje ze światem—to wcale jest co innego. Przy takim życiu będziesz wesołą, piękną i młodą na wieki, chmury naj wykwinniejszej młodzieży otaczać cię będą bez przerwy, będziesz się nimi bawić, jak ci się będzie podobać — a zestarzejesz się, to i tak jeszcze zatrzymasz to stanowisko na świecie, jakie ci się słusznie należy... Cóż, czy jeszcze ci żal twego Karola?

Józia się w tej chwili trzymała obydwoma rękami za głowę i zdawała się być mocno cierpiącą. Jej fizyczny organizm nawet, chociaż może bez wie-' dnie, wzburzył się pod naciskiem tej perory szatańskiej i targał się w mękach piekielnych.

— Cóż tobie?—spytała ciotka.

— Głowa mnie pali, jak ogniem, muszę się troszkę położyć.

— To połącz się, moje dziecko, i poleż sobie spokojnie, to przejdzie.

Biedna Józia! Oh! czemu nie było przy niej w tej chwili jakiego dobrego ducha, któryby ją był gwałtem powrócił na ową drogę, na której była, siedząc w chatce Bernata! A było to teraz tak łatwo Był tam wprawdzie obraz Matki Najświętszej, który! wisiał nad jej łóżeczkiem—jedna modlitwa, jedno serdeczne westchnienie na klęczkach, byłoby może poradziło wszystkiemu—ale niestety! nie było niko

go przy niej, któryby jej oczy obrócił w tę stronę i ugiął pod nią kolana!...

Józia się położyła na łóżko i cierpiała tro- szeczkę—a jak ból głowy przeminał, zaczęła marzyć o błyszczących powozach, galonowanej służbie i salonach Paryża.

VII.

Dziwnie są czasem leniwi ludzie we wzięciu postanowienia wtedy, kiedy to postanowienie od nich samych zawisło i kiedy go najpilniej potrzeba; ale natomiast ileż razy rwą się do ostatecznej decyzji tam, gdzie ona wcale od kogo innego zależy. Bodaj czy nie tak samo działo się w Przewoźnikach. Wszyscy tam bowiem, i szambelan i Alfons, i ciotka i Józia, rozumieli o sobie, że dosyć jednego ich słowa, ażeby jednego z konkurentów przyjąć, a drugiego odrzucić—a żadnemu z nich ani na myśl nie przyszło, że ani Izydor, ani Karol, nie są martwemi rzeczami i mogą mieć także swą wolę. Ale to taka zarozumiałość, taka szatańska pycha siedzi w tych ludziach, którzy ugięli kolana przed bożkiem dziewiętnastego wieku, przed złotym ciel- cem-materyą. Nie zapoznali oni ducha, lecz zlekceważyli moc jego; widząc w nim tylko pomysły, uniesienia, namiętności, zapęły, o których im się zdaje, że są tylko na to, ażeby się zamieniały w cyfry dla ich niechrześcijańskiej rachuby. Niechaj-że się ten duch broni, niech nie ustaje w swej waleczności, niech nie da wydrzeć ani jednej stopy ziemi z siebie; bo zaprawdę niemałe jest podobieństwo, że może uleść i stać się niewolnikiem materji na tak długo, aż póki go jaki wiekowy geniusz nie wyswobodzi z tych więzów i nie powróci mu panowania nad światem...

Obadwa konkurenci dawno już byli w Grzy- malinie. Tak jadąc, jak ruszyli z przed ganku, za kilkanaście minut byli już na dziedzińcu. Przez całą drogę nie mówili ani słowa do siebie — trudno im nawet było co mówić, kiedy konie, puszczone na wiatr, parły takim gwałtownym pędem, że kabriolet rzucał się po drodze jak piłka i raz tylko, kiedy ten lekki powozik, uderzywszy o kamień, podskoczył o dwa łokcie od ziemi, Izydor się na to uśmiechnął, obrócił się do Karola i rzekł:

— Ot! i małośmy karków nie pokręcili! Alektó wie, możeby to było i nieźle?...

— Nie miałbym nic przeciw temu w tej chwili—odpowiedział mu Karol oziębło i nie przerywał dalszego milczenia.

Zajechali nareszcie w dziedziniec. Tam się zatrzymali na moment, tam bowiem zastali trzy powozy, właśnie co przywiezione z Wiednia i dopiero co uwolnione z opakowania. Śliczne to były powozy; była jedna, duża karetka, na wiszących resorach, tak zwany: Staatswagen, z wyniosłym kozłem, ozdobionym pysznym czaprakiem, druga była mała karetka, trzeci powóz był duży, oszklony—a wszystko to eleganckie, pyszne i w smaku, jak tylko można

najlepszym. Oglądali obadwa młodzieńcy te tak ciekawe dla każdego konkurenta towary, a Karol bardzo je chwalił. Przybliżywszy się wszakże do eza- } praka wielkiej karety, lubo się mógł tego spodzie- /-. wać, jednak nie pomału się zdziwił, zobaczył tam ■bowiem dwa herby i już połączone za sobą: jeden Izydora, a drugi szambelanówny. Spozrzegł to Izy- f dor i spytał:

— Czy widzisz?

— Widzę — rzekł Karol — i tak rozumiem, że ob a czy wszy to, najlepiejbym zrobił, gdybym natychmiast nawrócił i do domu pojechał.

— O! toby nie miało sensu. Pierwej wyrok, a potem egzekucya, tak zawsze bywa. Te powozy mogą się przydać i tobie, ja ci je zaraz odstąpię. Każesz tylko na każdym z nich jeden herb zmienić, a i to nie będzie zbyt trudnem: wszakże twój herb, to krzyż i podkowa, moja podkowa i pół krzyża, cóż za wielka rzecz domalować jeszcze pół krzyża?

— A! •— rzekł Karol, wchodząc w żart jego — jeszcze na tem nie koniec: hrabska korona i strusie pióra, to także nie moje*.

gj •— Ani za koronę, ani za strusie pióra Józia pewnie się nie pogniewa, za to ci ręczę. '
Ale chodźmy.

To rzekłszy, obrócił się do swego marszałka dworu i rzekł mu:

— Samowar!* fajek! świec i ognia na komin do zielonego pokoju! wszystko w lot! i
żeby mi potem cicho było w całym domu, jak mak sia!

Z tem poszli do zielonego pokoju; lecz ledwie

poskładali kapelusze i rękawiczki, rozkazy pańskie już były spełnione. Jeden sługa przyniósł kipiący samowar, który zapewne bez przerwy kipiał w tym domu, drugi wniósł filiżanki, trzeci przekąski, czwarty świecę, piąty rozpałał ogień w kominie. Izydor sam nasypał herbaty w nalewkę, a nim naciągnęła, obadwa młodzieńcy przechadzali się w milczeniu po wielkiej komnacie, graniczącej z sypialnią.

Za małą chwilę była już cisza koło nich, jak na cmentarzu — a Izydor, wypiwszy całą filiżankę chińskiego napoju, przystąpił do Karola i tak zaczął:

— Będziemy mieli bardzo przyjemną z sobą rozmowę, mianowicie z tego powodu, że będziemy sobie prawdę mówić w oczy, rzecz nadzwyczajnie rzadka dziś na tym świecie, chociażby nawet pomiędzy braćmi. Proszę cię tedy, siadaj naprzeciw mnie i pozwól mnie wziąć inicjatywę.

To mówiąc, odsunął stół z niezapalonymi świecami, bo jeszcze słońce świeciło, przysunął dwa fotele naprzeciw sobie, w których oba usiedli, i tak mówił dalej:

— Przede wszytciem innym tedy muszę ci w tern prawdę powiedzieć, dlaczego cię tutaj przywiozłem i dlaczego nie postąpiłem z tobą, jak się zwyczajnie postępuje z rywalem. Otóż dwa miałem powody. Najpierwszy ten, że zaraz jutrobym się powiesił, gdyby dwóch zacnych ludzi zrobiło szambeiano- wi tę satysfakcję, żeby się bili o jego córkę. Takiego tryumfu za nic mu nie dopuszczę: to jest zwierzę, ssące krew z naszej spuścizny, mam sobie za najświętszy obowiązek deptać po nim, jak tylko mogę... Drugi zaś powód jest ten, że cię kocham. Kochałem twojego ojca ze czcią świątobliwą; stary ten żołnierz, który walczył usque ad finem i zginął potem, jak męczennik li tylko dla swojej pochopności do walki, był moim bożkiem. Taka krew, dochowana w takiej czystości, aż do czasów dzisiejszych, to jest świętość, do której się modlić należy. Ta krew płynie i w twoich żyłach. Co z ciebie będzie, ja jeszcze nie wiem, ale wierzę w krew i nie widzę po tobie wcale, abyś się jej zapierał. Dla takiej krwi warto jest coś poświęcić, warto nawet wylać i własną krew, zwłaszcza taką, jak moja. Była ona może także niezła po ojcach, ale dziś warta nie wiele... Ja nie widzę dla niej żadnej przyszłości; nie jestem nawet pewnym, czy syn mój nie będzie ślepy, albo kósonogim lub suchotnikiem, jeżeli go skrufuły nie zabiją w kolebce. Ja zresztą sam już niewiele wart jestem. Na- demną wisi miecz Damoklesa, którego ja nie potrafię odsunąć. Ja jestem z tej starej, przesądnej szlachty, która pomimo rozumu i wykształcenia, nie potrafi pójść z prądem czasu i którą przeto wiek dziewiętnasty najniezawodniej wymiecie. Takimby był i syn mój. Pocóż rozmnażać takie pokolenie nieszczęsne? — Samolubembym tedy był i w moich własnych oczach występny, gdybym dla szczęścia takiego człowieka, jak ja, poświęcał szczęście takiego, jak ty, który jesteś zdrow na ciele i duchu i możesz się stać pożytecznym, ba! świetnym nawet członkiem tej wielkiej rodziny, którą tak wszyscy kochamy. Czy zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem zupełnie — odpowiedział mu

Karol — ale nie widzę wcale, dokąd nas może zaprowadzić taka dysputa? W najlepszym razie doprowadzi nas ona do tego, że się jeden z nas dla drugiego dobrowolnie poświęci...

— Oczywiście do tego. Czyż trzeba więcej?

— Wcale nie trzeba, ale w takim razie i dysputy nie trzeba. Czy ty przyjmiesz taką ofiarę odemnie?

— Każdy z nas przyjmie, na którego ten los wypadnie.

— No to ją masz — odpowiedział Karol popy wcz o — i daj Boże szczęście!

To mówiąc, chwycił już za kapelusz.

— A! ba! — zawołał Izydor na to, wyjmując mu z ręki kapelusz i sadzając go napo wrót na jego miejsce — tak to nie będzie. Nie ten ustąpi, który się pierwszy z gotowością ustąpienia odezwie, ale ten, któremu chłodną rzeczy rozważą ten obowiązek przyznamy, Spodziewam się, że się zgodzisz na to, wszakże jesteście ludzie rozumni. Ale żebyśmy doszli do celu, trzeba nam oczywiście wypowiedzieć się obustronnie przed sobą, a mianowicie, opowiedzieć ze szczegółami, jak każdy z nas przyszedł do tego, że się w Józi zakochał. Moja historia jest krótka; zaczynaj ty, twoja dłuższa.

— Cóż tu w tem może być ciekawego?—rzekł na to Karol z niechęcią. — Jeżeli chcesz zresztą, to ci powiem, że od dnia dzisiejszego wcale się w Józi nie kocham. Odprawiła mnie ostatecznie i ja przyjąłem odprawę. Jeżeli o to idzie, to nawet nie mam żalu do niej za to tyraństwo; musiała to zrobić, była do tego zmuszoną.

— Zmuszoną? — zapytał Izydor z ironicznym zdziwieniem—& to przez kogo?

— Przez ojca.

— Ale fe, śmiej-że się z tego. Józi nikt do niczego nie zmusi, a najmniej ojciec. Jeżeli on o tem marzy, to się myli zupełnie i zapomina o tem, że Józia ma -Przewoźniki i sama jest w hipotece. Tylko to się stać może, co ona sama zechce; za tó ci mogę zaręczyć,

Karol pomyślał nad tem i rzekł:

— A to w takim razie jeszcze, tem mniej mamy co mówić z sobą, bo najwidoczniej ona kocha się w tobie.

— I to nieprawda. Ona ani się we innie kocha, ani w tobie, ale kochać się będzie w tym, który się z nią ożeni i umiejętnie ją poprowadzi. Jeżeliby się zaś już koniecznie w kimkolwiek kochać miała, to prędzej w tobie, niż we mnie; pomiędzy wami są dawne reminiscencye —ja się jej tylko podobam, może głównie dlatego, że sobie obiecuje za mną świetniejszą przyszłość, aniżeli za tobą. Główka tam dziwnie nabita ekwipażami, liberyą i salonami, czem wszystkim ją okarmiono we Lwowie, a szkoda, bo grunt tam był wcale inny...

— Wiesz! — zawołał na to Karol, zrywając się nagle z siedzenia—wiesz, jeśli ta Józia jest choćby tylko podobną do tamtej, którą poznałem w chatce Bernata, to chyba ja ślepy zupełnie. Co się to z niej zrobił! Bodajby przepadł na wieki ten, który tę czystą anielską duszę taką zarazi! zgnilizną!

— No siadaj-no — odpowiedział mu Izydor ze spokojnym na twarzy uśmiechem—siadaj i powiedz

mi coś o tej chatce Bernata. Ja już wiem trochę o tych dwóch romansach, które się tam zawiązały, ale chciałbym się wszystkiego dowiedzieć.

*— O! ta chatka Bernata!—mówił na to Karol na pół w zamyśleniu —ile tam szczęścia mieszkało niegdyś pomiędzy temi ubożuchnemi. ściankami! Jaka to była ta Józia, który mi tam pielęgnowała moją ranę na głowie, herbatki sporządzała co rano, opowiadała o tym przewoźnickim pałacu, w którym jej było tak zimno, cieszyła się Zawisłoczem, które sobie wyobrażała tak ciepło! Oh! jaka to Józia była natenczas! — A cóż się to z niej teraz zrobiło! Zimna, wyrachowana kobieta, marząca o ekwi- pażach i salonowych tryumfach, depcząca najpiękniejsze uczucia, jak kwiaty zwiędłe, lekkomyślnemi nogami, odtrącająca kamienną ręką tego od siebie, któremu dopiero wczoraj dozgonną przysięgła miłość! i odtrącająca go tak Nielitościwie dlatego, że jest ktoś drugi, który ma o dwie gałki więcej w koronie, o dwa powozy więcej w wozowni, o dwa pokoje więcej w swym domu! Oh! Izydorze! tak się oszukać, z takiego nieba być wyrzuconym w taką plugawą kałużę, to nie ziemską jest rzecz, to jest paszcza piekielna!

Ostatnie te słowa mówił Karol ze łzami, a zaledwie je skończył, w głos się jak dziecko rozplakał. I płakał tak bez ustanku, chodząc chwiejąco- mi się krokami po komnacie i drgając spazmatycznie na całym ciele.

Izydor milczał, lecz przypatrywał mu się z pilną uwagą.

Za małą chwilę uspokoił się Karol cokolwiek,

ale z dziwnie zmieszaną twarzą do Izydora przystąpił i mówił dalej:

• — Ale wiesz, niechaj kto mówi co chce, jest przecież coś osobliwego w tej zagadkowej kobiecie. Jakiś demon tam siedzi, anioł, czy szatan, sam nie wiem, ale jakiś duch zawsze z szatańską siłą atrak- cyi. Cóż powiesz na to? Ja ją dziś widzę jak naj- zdrowszemi oczyma, widzę w niej wszystko złe, jakby na dłoni, widzę, że przecież o wiele lepszej wart jestem żony, widzę, że kto wie nawet, czyby to dla mnie nie było największem nieszczęściem, gdybym się z nią ożenił — a przecież... ale nie! nigdybym tego nie zrobił, choćby tam ciebie nawet nie było! Nigdy i nigdy! Życie moje, zdrowie, naj-żmudniej- szą pracę do grobu, dam dla kobiety, któraby mnie kochała — ale mnie, mnie samego, nie moje powozy, konie lub stanowisko pomiędzy ludźmi! Dla takiej nic—i żebym na to chorował przez całe życie, gdybym nawet wiedział, że umrę, jeśli się z nią nie ożenię: to jeszcze nie! jeszczebym się z nią nie ożenił! — Rękę moją zawsze jej podam, jeżeli jej kiedy zapotrzebuje, czuję to, że gotów- bym był zrobić dla niej każdą ofiarę, ale ofiary z Siebie samego...

Tu umilkł, odwrócił się i dodał znowu ze łzami:

— Och! co mnie ta kobieta kosztuje, to tylko Bogu jednemu wiadomo!

Poczem przechadzał się po komnacie, zaledwie na pół przytomny.

Izydor przypatrywał mu się jeszcze zawsze z uwagą, ale już teraz całkiem inny był wyraz na

jego twarzy. Wyglądał tak, jak gdyby zrobił komuś coś dobrego i czuł w swem sercu owo błogie zadowolenie, będące najwyższą i najczystsza rozkoszą człowieka. Jakoż zdawało się rzeczą pewną, że w tej chwili powziął już jakieś postanowienie, zapewne dla Karola korzystne. Z wesołym uśmiechem na twarzy rzekł do niego:

— Siadaj-no tu koło mnie.

A gdy Karpi siadł, tak mówił:

— Nic rozumniejszego nie mogło się stać, jak to, żeśmy tu przyjechali. Bo co też za głupstwo solenne byłbym ja zrobił, że nie wspomnę o tych, które już porobiłem.. Umeblować dom, posprowa- dzać powozy... a czy to nie jest to samo, co łowić ryby przed niewodem? Ale to tak zawsze jest ze raną. Niech mnie się kto spyta, jak ma postąpić w tym albo owym wypadku, ja mu z pewnością doskonale poradzę; ale to, co ja sam zrobię dla siebie, jest zawsze największą niedorzecznością. Niepraktyczność! śmiertelny grzech w czasach dzisiejszy chi Dawnemi czasy można było żyć z takim grzechem Bóg wie jak długo i nawet być wielkim człowiek, ale w dziewiętnastym wieku się na to umiera. I mnie też ta śmierć nie minie, jak Bóg na niebie...

Karol tego wszystkiego słuchał, ale zaledwie w połowie rozumiał. Utkwiły mu tylko w pamięci umeblowanie i sprowadzenie powozów, jakoż rzekł na to:

— A ja nie widzę wcale, coby w tem było nierozsądnego, żeś się naprzód wyekwipował. Mogłeś przecie być pewnym, że jak się tylko odezwiesz .

O rękę Józi, to ci jej nikt nie odmówi. Gdyby było konkurentów piętnastu, to i toby ci nic nie szkodziło, zwłaszcza, że Józię już zapewne poznałeś

I wiedziałeś o tem, że na twoje zgłoszenie się gotowa porzucić nawetitegotóregoabydo szaleństwa kochała..

Uśmiechnął się na to Izydor i rzekł:

— A widzę żółci w tobie wcale nie braknie? Nie spodziewałem się tego po tobie, chociaż się mogłem spodziewać, bo najpierw, przesiedziałeś się dwa lata w kozie, a po wtóre, Józia cię obraziła. Ale jakkolwiek bądź, muszę ci to dobitnie powiedzieć, że ty na Józię z najfałszywszego zapatrujesz się punktu. Ty nie znasz kobiet wogóle, a co gorsza, ty nie znasz nawet i Józi. Czy wiesz, co to kobieta? Kobieta jest to stworzenie bierne nawskróś — kobieta nie jest sama w sobie jednostką — kobieta jest tylko dopełnieniem mężczyzny i dopiero z nim połączona stanowi całość. Kobieta jest tylko tem, czem ją uczyni mężczyzna; mężczyzna jest za wszystko odpowiedzialnym, za nic kobieta. Toute folie de la femme est une sottise de l'homme — powiedziano już dawno i doskonale. Ja kiedy widzę występna kobietę, to ją żałuję, ale się brzydę jej mężem. I nawzajem, kiedy widzę cnotliwą, zawsze mam poszanowanie dla męża, choć go w takim razie dwa razy tyle mam dla niej. O! zmiłujcie się, tylko mi kobiet tak surowo nie sądźcie! To są anioły, które się zabłąkały na ziemię przez całe swe życie po tej obcej dla siebie krainie, jak po ciemnicy — żadna z nich nie potrafi się obejść bez przewodnika — azliż winna z nich która, jeżeli dostała za przewodnika głupca

albo szatana?—A ozem że jest panna? Panna jest pączkiem, który sam jeszcze nie wie o swych kolorach, jest wyłożonem zewnątrznie naczyniem, w które w najlepszym razie nakładzono i tych i owych co najpokupniejszych towarów bez ładu; jest gąsienicą śpiącą, na pół martwą moralnie, z której dopiero kiedyś ma wylecieć ten piękny motyl, kobieta. I czegoż ty możesz wymagać po takim śpiącym stworzeniu? Tu ją podnoszą ku niebu jakieś pół- święte natchnienia, natchnienia, których nie pojmie żaden poeta, tam ciągnie ją jakieś uczucie do jakiegoś młodzieńca, tu ją olśniewa blask imienia, majątku, szczęścia, tam jej imponuje światłość wysokiej cnoty albo potęga rozumu — sama nie wie, gdzie iść, tak ją to wszystko rozrywa, ona, która dopiero wczoraj, półsenne otworzyła na świat oczęta — a tu tymczasem huczą nad jej głową ojciec i matka, dziadek, babka, stryj, ciotka, guwernantki, przyjaciółki, sąsiedzi, a każde huczy innym sposobem, każde jej prawi co innego, każde ją ciągnie gdzieindziej.— Ah! daj ty mi pokój! Gdybym ja był panną, ja, który mam rozum mężki, trzeźwy i doświadczony, jeżelibym nie zwaryował w pół roku, byłby to cud prawdziwy od Pana Boga!

Po chwili mówił Izydor dalej:

— Dajże ty pokój i* Józi. Co ona winna? Że się tam to i owo nie zupełnie potrzebne zakradło w umysł i seree, tego przed tobą nie taję. Przy takim ojcu i bracie, przy takiej ciotce, którąbym mógł prosto odesłać do domu poprawy, przy takim zresztą otoczeniu, W jakie ją wprowadzono we Lwowie, jak ty chcesz nawet, aby pierwotna przezroczystość jej duszy nie została troszeczkę przyćmioną. Ale to przyćmienie jest tylko leciutkim pył- Idem, który osiadł na brylantowej bryle jej serca. Przyjdzie mąż, raz tylko dmuchnie—i wszystko to ■zginie bez śladu.

Nawzajem teraz znów Karol przypatrywał się z wielką uwagą Izydorowi, a lubo młody i wcale jeszcze niedoświadczony, przecież nie mógł tego nie widzieć; że tylko głęboka miłość, połączona z równie głęboką zacnością duszy, mogła się tak .zapatrywać na Józię, zwłaszcza nie znając jej wcale, jaką była w samej istocie przed dwoma laty. Słowa te nadzwyczajnie rozrzewniły Karola — a tymczasem Izydor mówił dalej:

— I będziesz widział, co się to robi z tej Józi, zwłaszcza jeżeli dostanie odpowiedniego męża. Ale niema się co o to obawiać, ja nie znam lepszego męża dla niej od ciebie...

— Ja znam, bo jestem pewnym, że jej przy. szłość będzie daleko bezpieczniejszą pod opieką ftwoją.

— Fi...—mówił na to Izydor — to jest bardzo wątpliwe... Są może we mnie niektóre rzeczy, któ- remi w tej chwili ciebie przenoszę, może cokolwiek więcej mam doświadczenia; ale są znowu rzeczy do szczęścia małżeńskiego niezbędne, o których nie -chcę wspominać, a których mnie może brakuje. To wszakże wspomnę, że ja nie bardzo zdrow jestem. Piersi mnie bołą, czasem mnie jakaś ospałość obejmuje, czasem hipochondryczne miewam napady, wszystko to znaki bardzo nie dobre. Ja mam sumienie, które wprawdzie Józia swoją postacią we

ranie uspiła, ale tyś je obudził nanowo, za eo ci bardzo dziękuję...

— Ot! gadasz sobie. Ja nie znam człowieka zdrowszego od ciebie. Ja sam dziękowałbym Bogu, gdybym był w stanie to wytrzymać, co ty wytrzymujesz

— Otóż to jest, że się wytrzymało za wiele*. Bagatelal Trzeba było być wszędzie i ze mną i we- mnie, ażeby temu uwierzyć, co się już wytrzymało. Jakoż doprawdy/ że te nogi jeszcze tak czuję; ja sam ledwie wierzę, kiedy o tem pomyślę, gdzie nie był, przez com nie przeszedł i czegom już nie przecierpiał!

Tu się Izydor zamyślił i trwała chwila milczenia. Ale niebawem się zbudził, nadzwyczaj zajęty i ożywiony i tak mówił:

—, Ale wróćmy do Józi. Wiesz co, ty bardzo dobrze powiadasz, że tam w niej jest jakiś demon ukryty. To w samej rzeczy jest wcale niecodzienna kobieta. Ja już niejedną piękną kobietę widziałem, bardzo piękną, a nie pamiętam, żeby która takie na mnie sprawiła wrażenie, jak ona. Ja ją po> raz pierwszy ujrzałem tego roku we Lwowie. Zastałem ją w salonie Millefleurs i zastałem ją w oto czeniu najgorszem. Kobiety, które się w takim towarzystwie spotyka, nie robią nigdy na mnie- wrażenia: to są spręciki, ten się bierze, tamten się mija. Ale kiedy ją tam ujrzałem, pomimo- to, że tam ją ujrzałem, zaraz za pierwszym rzutem oka obudziło się we mnie jakoby jakieś zdziwienie: a cóż ta tutaj robi?—spytałem, kto to jest, poznałem ją, pomówiłem kwadransik #■ i miałem dosyć*

Śmiej ty się ze mnie, jeśli ci się będzie podobało, ale i a ci przecież to powinien, że jak na dwadzieścia pięć 'kul, które biję kula na kulę, o głowę moją idę, że najwięcej dwie pójdą mi w blachę — tak na dwudziestu pięciu ludzi, których obejrzę i z którymi się wedle woli rozmówię, także pewnie nie więcej, jak na dwóch się omylę. Ale nie dziw się temu, bo to jest najprostsza rzecz: zdrowy sens w głowie i wprawa. A ja już lat kilkanaście się poniewieram po świecie i nic innego nie robię, tylko czytam te książki, które chodzą na nogach. Może wprawny literat za kilka minut dowiedzieć się od niemej książki, która niema oczów i twarzy i nie odpowiada mu na pytania, czego się po niej może spodziewać; może również do takiej samej wprawy doprowadzić i znawca ludzi. Oto ja Józię przeczytałem odrazu i daję ci słowo na to, że mi się ani o jeden cień nie omylił-, prześliczna rzecz, którą opylono cokolwiek — wiedziałem o tem w pierwszym momencie. A że mi to stworzenie okazało się nadzwyczajnie sym- patycznym i dziwnie mnie ku sobie porwało, więc zacząłem chodzić koło niej. Ja się z takimi rzeczami nigdy długo nie bawię, bo i niema się z tem -co bawić; co się nie zrobi w trzech dniach, to się nigdy nie robi, trzeba tylko mieć pewną decyzję i puszczać odrazu „na wiatr!” Jakoż wistocie, po trzech .wieczorach spędzonych razem, już mi więcej nie było potrzeba. Nie powiadam tutaj, iioleż hien, żeby mi się Józia do czego przyznała, ale już wiedziałera wtedy na pewno, co być może, a co nie może. Tymczasem nadszedł ten wieczór u Millefleurs, na który ciebie przyprowadziłem. Przybliżyłem się wte

dy do Józi, dziwna rzecz! tak mnie czegoś odtrąciła,, tak nagle i tak nawet szorstko, że mnie to oburzyło, żem skipiał, jak woda w garnku. To mnie- nawet tak rozgniewało, żem porwał zaraz tego Niemca za kark, którego potem zwał nazajutrz. Biedny niemczyzna, nie będzie wiedział do śmierci,, za co został tak haniebnie pociętym...

— No, ale mówiąc prawdę—rzekł na to Karol— kiedy już tylko samą prawdę dzisiaj mówimy, to ten Niemiec coś tam na mnie powiedział?

— Coś tam powiedział, już nie pamiętam, ale- zapewne, że coś musiał powiedzieć, bo inaczej przecież nie byłbym go się uczeplił... Wracam do rzeczy. Dlaczego mnie Józia wtedy tak nagle odtrąciła od siebie, dzisiaj już wiem—ciebie zobaczyła i przypomniała jej się chatka Bernata—ale wtedy tego nie wiedział i powiadam ci, żem taką noc przespał,, a raczej przeczuwał, jakiej dawno już nie pamiętam... Coś dziwnego jest w tej kobiecie!...

Tu się Izydor znowu trochę zamyślił, poczem mówił dalej:

— Cokolwiekbyś, mała ta rzecz trochę nas oddaliła od siebie. Gdybyś ty był dnia tego nie przyszedł do Millefleurs, do dnia dzisiejszego Józia byłaby już dawno panią na Grzymalinie, bo to już wtedy tak było, żem się miał zaraz oświadczyć i nawet już dniem przedtem napisałem był do Wiednia do Brandmajera, aby przygotował dla mnie- powozy. Ale ta mała scenka oziębila mnie trochę i jeżeli chcesz wiedzieć, dla czego tu na wsi roz-włókl tę rzecz tak na długo, że szambelan aż ciebie sprowadził na mnie, aby mnie tobą zastraszyć, to

wszystko tylko dlatego, iżem wiedział, że to ówczesne odtrącenie mnie przez Józję, odtrącenie, takie serdeczne, nie mogło być bez powodu, a ten powód nie był mi wcale wiadomym. I jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to ten powód nie był mi wiadomym aż do dnia dzisiejszego. Oh! nie byłoby .się to ukryło przedemną! Chociaż Józia tak cię maltretowała widocznie i chociaż ty byłeś tak powściągliwym, byłbym ja z waszych twarzy wszystko wyczytał. Ale co się stało? zatumanilo mnie to, iżem wiedział o tem, że cię szambelan ściągnął do swego domu umyślnie i umyślnie na to, ażeby zniewolić mnie do przyśpieszenia oświadczeń. To mnie całkiem zbałamucilo i odwróciło uwagę od ciebie. Że ci się Józia podobała, że się w niej kochasz, to było dla mnie jasnym, jak dzień, ale to mnie najmniej obchodziło, chociaż rzecz pewna, że jako przyjaciela, byłbym cię i tak ostrzegł niebawem, ale tylko ostrzegł, nic więcej. Mnie bowiem nie

0 tego chodziło, który się w niej kocha po mnie lub razem ze mną, ale o tego, kto się w niej kochał przedemną, a mianowicie, w kim się ona kochała

1 jeszcze kocha, co było także rzeczą dla mnie nie tajną. No, ale omamienie to względem ciebie, w jakie mnie szambelan wprowadził, nie trwało długo: wczoraj się dowiedziałem o tem od przewoźników, co mnie mogło obchodzić, a dziś was znalazłem na wyspie... To jest ta cała historia — skończył nareszcie hrabia, wysuwając się na brzeg krzesła— obustronne wyznania są, a teraz już i-o wyrok nie trudno. Jakież tedy są dane. na których wyrok oprzemy? Oto najpierw, tyś się zakochał w Józi

przedemną, powtóre ona się w tobie kochała, a co . ważniejsza, kocha jeszcze do dziś dnia...

—Otl pleciesz, Bóg nie wie co—powiedział Karol prawie z goryczą.

.— Tylko prawdę. Po trzecie, ty się w niej i kochasz...

— Ani mi się śni.

— Poczwarcie, ona popełniła wprawdzie grzeszek przeciwko tobie, że pomimo miłości dla ciebie, zawiązała maleńką intryżkę ze mną; ale czyż to jest grzeszek śmiertelny, albo nawet nieodpuszczony? podobało jej się z namowy ojca i ciotki moje jakieś tam imię, moje* jakieś tam niby relacje, moje powozy, konie, folwarki; ale jak ciebie kocham, to jż .niejednej się podobało. Niema o czem mówić. Kon- . senkwencya ztąd taka, że Józia się tobie należy (i musi być twoją — a mnie się nie należy i nawet nigdy nie może być moją. Kobieta, która-by poszła za mnie nie dla mnie, tylko dla mojego imienia i moich folwarków, nigdy moją żoną nie będzie!

Te ostatnie słowa powiedział Izydor nadzwyczajnie dobitnie i zasunął się na powrót w głąb krzesła. Palił on w tej chwili lulkę z przepysznego bursztyna, który sobie sam wywiózł ze wschodu .i miał na głowie fez ponsowy z szafirowym kutasem—ale jak ten fez był dziwnie pomięty i przytłoczony na jeden bok głowy, tak i tę lulkę palił z takim roztargnieniem, że ciągnął z niej dym bez pamięci i tak gęstemi okrył się obłokami, że Karol, który wciąż patrzył na niego, prawie go całkiem nie widział. Po długiej ohwili dopiero, kiedy dym zwolna uniósł się w górę, a w lulce go więcej nie stało, wystąpiła twarz Izydora ku światłu, Ale jakżeż ta twarz była w tej chwili zmienioną! Błada zazwyczaj, teraz była ona bledszą niż kiedykolwiek. I jeżeli to nie był refleks od zielonych tape- tów, to obciągnęła się nawet troszeczkę zielona wy m kolorem. Przytem miał brwi dziwnie ja- , jakoś ściągnięte i nastroszone; około ust, tak zawsze uśmiechnionych łagodnie, teraz jakaś żółciowa osiadła gorycz, a w oczach jego przyćmionych i jak .gdymby osłupiałych cokolwiek, tyle się odbijało ciężkiego smutku, tyle boleści, że litość brała patrzeć na niego. Nie potrzeba było być wprawnym fizyo- nomistą, ażeby za jednym rzutem oka rozpoznać, że człowiek ten musi cierpieć okropnie, że cierpienie to opanowuje go całkiem, że się chwilami w ból zamienia piekielny, że prawie graniczy z rozpaczą. Widział Karol tę boleść, odgadywał jej powód i unosił się najrzewniejszym, chociaż milczącym współ- czuciem...

Izydor zaś tymczasem zmiął jeszcze raz czapkę na głowie, drgnął przy tem tak boleśnie, jak gdyby go żmija ujadła, i zaczął mówić — a mówił głosem drewnianym, jakby półmartwym i nawet trochę ochrypłym:

— Ale patrz! Otóż to takie szczęście ja mam przez całe życie! Ja, który tak wysoko, tak idealnie cenię kobiety, który im wyższość bezwzględną •przyznaję . nad nami, którybym niebo chciał zrobić dla nich na ziemi i zrobiłbym pewnie dla tej, któ- raby się mnie powierzyła i wstąpiła w me progi: ja... jeszcze nigdy nie spotkałem ani jednej kobiety, któraby mnie nie zniewoliła do tego, ażebym rzu

cił na cały ród ten przekleństwo i moje oczy na zawsze odwrócił od niego. Nie uczyniłem tego, patrzę tak na nich do dnia dzisiejszego, jak gdybym lat miał piętnaście, sobie, to przypisuję, że trafił tak nieszczęśliwie — oh! ale inaczej mówiłoby serce, gdybym go w kleszczach nie trzymał moim rozumem!.. Posłuchaj tylko — mówił Izydor dalej — i płacz nademną, jeżeli możesz mieć łzy dla takich ludzi. Wiotkim młodzieńcem jeszcze, kiedy stąpał po ziemi oskrzydłonymi nogami, kiedy świat cały stał w pełnym kwiecie przedemną, kiedy tak szukał skwapliwie ludzkiego serca, z którymby się mógł moim szczęściem podzielić, znalazłem kobietę, która mnie z demonicznym zapalem pociągnęła ku sobie. Upadłem przed nią ze skruszonym sercem na klęczki, ziemia mi zniknęła z przed oczu, niebo się otworzyło przedemną. Myślałem wtedy: choćby i zginąć, takie nadziemskie szczęście kupić za cenę życia, to bezcen. Ale po kilku miesiącach, jakżem się straszliwie przebudził! com wtedy ujrzał, nie potrzebuję ci mówić. Kobieta ta była to najzwyklejsza ludożerczyni, która mnie jadła... jak „beef-steak”. Padłem bez zmysłów na ziemię, uciekłem... Przez kilka lat potem ani mógł spojrzeć na kobiety! Dziwne o nich miałem wyobrażenie. Słuchałem kursów bistoryi, heraldyki, anatomii i weterynaryi w Paryżu, bywałem po wielkich salonach i małych; gdzie mnie kobiety niesłychanie nudziły—ale bawiły mnie za to w Jar diii d’hiver, tak jak mnie bawił Jardin des plantes, gdzie widział lwy i hie ny. Po kilku latach powróciłem do kraju, gdzie znowu znalazłem kobietę, która mnie dziwnie pociągnęła ku sobie. Zbliżyłem się z sercem takim otwartym, że mógłbym być w nim cały system słoneczny pomieścić—jużem się ze światem pogodził. Bogu dziękowałem za szczęście — o egzystencji takiego anioła na ziemi nie miałem ani pojęcia. Ale- znowu nie długo trwało to szczęście. W kilka tygodni bowiem powrócił dawny amant z prowincyi[^] przyleciał do mnie rozczochrany i blade, rzucił się na kolana przedemną: Panie! miej zlitowanie nademną! byłem więc tylko tym, z którym grano w piłkę przez ferye. Uśmiechnąłem się tylko z goryczą, uszczęśliwiłem kochającą się parę moim wyjazdem i zamknąłem się na wsi... Bóg wie, jak długo tutaj siedziałem. Ale przyszedł czas na mnie, w którym mi zaczęło być tęskno samemu: widok męża, prowadzącego wesołą uśmiechnioną żonę pod ramię, widok cichego domku, gdzie dwoje serc ludzkich chwali Pana Boga swoją miłością, widok małego, dzieciątka szebioczącego prześlicznie i tulącego się do kolan rodziców, napełniał mnie jakąś niewymowną czułością, a zarazem obudził we mnie dziwnie-niepokojącą tęsknotę. Boże—myślałem sobie—tyle tu szczęścia jest na tej ziemi, tak ono proste,Itak tanie i tak zresztą konieczne — a ja się błąkam samotny jak wielbłąd, widzę tylko wyschniętą, piaszczystą, bezludną puszcę przed sobą! czyż na tym świecie, na którym wszyscy tak żyją gromadnie, gdzie najwyższym szczęściem jest właśnie udział wzajemny/ czyż na tym świecie ja tylko jeden będę się błąkał samotny i tylko ja jeden nie znajdę nigdy nikogo, z którymby się mógł życiem moim podzielić? O! przecież się żenią ślepi, kulawi, gar*

baci i najubożsi, chacun trouve sa chacune, dla czegożbym ja nie miał jej znaleźć?— postanowiłem tedy poprostu, żony sobie poszukać; ale mając już takie doświadczenia za sobą, postanowiłem zarazem nie szukać jej sercem, ale rozumem. Jaki był skutek takiej kwerendy, nie trudno ci zgadnąć ztąd, że w samej rzeczy żadnej nie znalazł. Żona to nie jest węgiel kamienny... Tak znowu minęły lata. Znudzony wreszcie tem szukaniem daremnie, zacząłem pomału uczuwać niemałą zmianę w mojem usposobieniu. Tak zawsze dotąd swobodny, wesół i zawsze gotów do tego, co mi przyniosła fantazyja zacząłem uczuwać coraz częściej czczość, jakąś ospałość, a często tak dziwną tęsknotę, że nie umiałem jej nadać nazwiska. Co gorsza, niejednokrotnie nachodziły mnie chwile hipochondryi tak gorzkiej, że •wtedy mógłbym się być napić trucizny, czasem obejmowała mnie nawet rozpacz tak czarna, że prawie mi przychodziły na myśl jakieś heroizmy pogańskie. Ale znałem ja dobrze tego wszystkiego przyczynę. Jakoż natenczas postanowiłem sobie, spuścić troszeczkę z dawnego tonu: nie koniecznie dziewięć punktów w koronie, nie koniecznie tyle a tyle posagu i nie koniecznie lat siedmnaście; co większa, nie koniecznie taki a taki umysł, takie a takie serce, jakiem sobie z góry przeznaczył. Przez długi czas i to mi nie pomagało... Przecież nareszcie pomogło. Przyjechałem tej zimy do Lwowa i obaczyłem tam -Józię. Zamknawszy oczy na to i owo, trudno zaprzeczyć, że znalazł w niej jeszcze daleko więcej, niżelim teraz sam już wymagał. Z jakim zapałem chwyciłem się tej ostatniej gwiazdeczki, ja, stojący pod niebem, na którym już wszystkie gwiazdy pogasły, nie potrzebuję powiadać. I jak byłem już pewny mego zbawienia, jak pewny... świadczą, te nowe sprzęty w mym domu, te sprowadzone powozy. I nie byłby każdy na mojem miejscu postąpił sobie tak samo? Czy można tu było wątpić, że Bóg się ulitował nademną i wyswobodził nareszcie z niewoli?... Ale patrz, co tu znowu się stało! — dodał Izydor z twarzą jeszcze bardziej zmienioną. — Aht' niech przepadnie!—zawołał, porywając się z krzesła, i podnosząc obiedwie ręce do góry— niechaj się ziemia rozstąpi pod takim przeklętym człowiekiem* który nawet jednego serca znaleźć nie może dla siebie!... .

To wymówiwszy głosem rozzwierającym i prawie łzami zalanym, uderzył jednocześnie łuką o ziemię, że się rozbryzgnęła w kawałki—i wybiegł prędko do przyległego pokoju.

Właśnie się wtedy zmierzchało.

Karol tak uczuł głęboko tę boleść gwałtowną tego nieszczęśliwego człowieka, że go na chwilę odstąpiła przytomność. Lzy mu stanęły w oczach i skrzepliły, i przez te lzy patrzył we drzwi otwarte, w których zniknął jego przyjaciel. Oparł się o poręcz krzesła i stał tak pochylony przez chwilę. Ale niebawem się zbudził, wziął cichutko kapelusz, rzucił wzrok pożegnawczy za Izydorem i wyszedł na palcach do sieni.

Przez całą prawie godzinę Izydor nie powracał. Musiał zapewne cierpieć okropnie, wstydził się tego cierpienia i dlatego nie chciał się pokazywać przyjacielowi. Po godzinie dopiero wrócił, blady

jak śmierć, ale już całkiem spokojny. Przyszedł ze świecą jarzącą w rękę i zapalił od niej cały siedmio-ramienny świecznik, który stał przygotowany na stole. Ani mu się śniło natenczas, że był sam tylko w komnacie. Dopiero rozejrzawszy się przy tym świetle, jakże się zdziwił, kiedy nie ujrzał Karola. "Wybiegł w ten moment do sieni:

— A gdzie pan Karol?

— Jeszcze o zmroku odjechał.

Zdziwił się tem jeszcze więcej—a kiedy do zielonego pokoju powrócił, zaczął się przechadzać powolnymi krokami i bardzo był zamyślony. Jednak to trwało niedługo, wkrótce bowiem uderzyła go myśl, która mu się musiała nasunąć. Karol został jego spowiedzią porwany, ulitował się nad nim i wyjechał z postanowieniem odstąpienia mu Józki na zawsze. Co większa, on się zerwał tak nagle niezawodnie dla tego, ażeby zaraz jutro jeszcze, dziś może, gdzieś za granicę wyjechać! Taki postępek był bardzo do niego podobnym, odpowiadał on jego szlachetności i jego wygórowanej ambicyi, doskonale Izydorowi znajomej — a ponieważ właśnie przed kilku dniami odebrał pożyczkę Towarzystwa kredytowego, więc mu do tej podróży nie mogło nawet nic stanąć na przeszkodzie. Myśl ta podpałała Izydora jak ogniem.

— A ba! — zawołał prędko do siebie — na takiej drodze ty ze mną nie wygrasz!

To mówiąc, wybiegł znów prędko do sieni i krzyknął do ludzi:

— Hej! niech mi siodłają „Sovereign”^a, a John niechaj siada na „Sweeting”!

¹ W niedługiej chwili przyprowadzono konie przed ganek.

„Sovereign”^u był to ogier przepyszny, krwi pełnej angielskiej, którego Izydor z końcem przeszłego roku sam przyprowadził z Anglii. Zapłacił on za niego cenę bardzo wysoką; ale zwierzę tego rodzaju i jest prawie bezcenne. Jakoż istotnie, dość było tylko raz rzucić okiem uważnym na tego konia, ażeby być przekonanym że Izydor wcale nie ulegał tej ślepej manii koniarskiej, która idąc tylko za modą, a nie znając się wcale na rzeczy, sprowadza same wybiórki z Anglii i dziwi się potem, że produkuje i nich zwierzęta liche i najczęściej kaleki — ale że był amatorem serdecznym a co ważniejsza, znawcą gruntownym i niezawodnie jednym z tych ludzi, którzy w tej arcy-ważnej gałęzi rolniczego przemysłu są w stanie rzeczywiste położyć zasługi. Koń ten bowiem łączył w sobie te wszystkie przymioty, które najwyższą doskonałość stanowią a które razem, niestety, tak rzadko się napotyka. Duży był, mierzył z pewnością sześćdziesiąt sześć cali jeśli nie więcej, maści karej jak gałka bez najmniejszej odmiany i tego włosa krótkiego, lśniącego metalowym połyskiem, który daleko lepiej świadczy o wysokości krwi, niż rodowody pisane. Wyniosłość jego, zwięzanie szyi, jej wspaniałe zagięcie, było prawie bajecznem, z którego-to powodu, mianowicie przy łbie suchym, oku pełnym, otwartem i chrapie rozdartej, co do piękności mógł śmiało się mierzyć z wyborowemi egzemplarzami pustyń arabskich, z których sam także przez swoich dalekich dziadków bezwątpienia pochodził. Lecz co ważniejsza, cała bu

dowa tego wspaniałego zwierzęcia była zadziwiająca: każda tam partya była olbrzymią, a nawet silną do tego stopnia, że wzięta na oko w odosobnieniu, zdawała się prawie przesadną — a przecież wszystkie te partye razem stanowiły całość tak harmonijną i piękną, że trudno było oka od niej oderwać. Tak zbudowany korpus był osadzony na silnych, a wcale nie długich nogach, po których nie- tylko to było widać, że stoją jak słupy żelazne, ale się czuło zarazem, że kiedy ruszą, to tam łopata będzie chodzić jak skrzydło sokoła, a cała ta wielo- centnarowa machina będzie płynąć tak lekko, jak łódka. Patrząc na tego konia, można było Izydorowi z całego serca pozazdrościć jego doświadczonego znawstwa— a wtedy też innem zupełnie okiem trzeba było spojrzeć na ową wspaniałą stajnię i ujeżdżalnię, zbudowane z tak wielką starannością i kosztem...

„Sweeting” była to klacz złotogniada, mniejsza cokolwiek i subtelniejsza w budowie, alpska, prawdziwa Łubka. Pochodziła ona z ojca araba, a matki angielskiej— produkty takie nigdy nie mylą, dorównują one prawie zawsze piękną swym ojcom, a przenoszą ich często o wiele wielkością i potęgą budowy— jeżeli tylko krzyżowaniu takiemu towarzyszyło w doborze rodziców prawdziwe znawstwo.

Kiedy się Izydor zbliżył do swego konia i położył rękę na siodle, wspaniała „Sorereign” podniósł głowę do góry i stanął przodem prawie tak prosto jak człowiek, poczem się śmiało rozejrzał, jak gdyby do walki z sobą cały ten świat chciał wyzywać, który leżał przed jego oczyma i parsknął z całej siły nozdrzami. Izydor w oka mgnieniu już siedział na siodle i patrząc w twarz pełną księżyca, który ełemi garściami rozrzucał swe srebrne światła po ziemi, ruszył stępą z dziedzińca. Ale jak tylko za bramę wyjechał, ruszył kłusem. Wiadomo znawcom, co to jest kłus wyciągnięty takiego konia; nic w tem nie będzie przesadzonego jeśli powiemy, że się równa zupełnie pośpiesznemu biegowi niemieckiej lokomotywy. Z taką też samą szybkością sunął Izydor teraz przez pola, a były chwile, w których unosząc się w lekko falistej linii nad ziemią, sam prawie nie wiedział, czy stoi na jednym miejscu, a ziemia się z pod nóg jego z szybkością błyskawicy usuwa, czy ziemia stoi na miejscu a jego niosą jakieś siły piekielne — Cokolwiekbądź, za kilkanaście minut był on już u Starego Przewozu.

Lecz przyjechawszy na brzeg Wisłoki, nagle się zastanowił, a twarz jego odmalowała na swej powierzchni wyraz Osobliwszego zdziwienia. Wspomnieliśmy już nawiasowo powyżej, że nocą przedtem zerwały się były w Beskidach gwałtowne burze, a nawet tutaj spadła rześista ulewa; ta musiała być jeszcze daleko rześistszą w górach, albowiem teraz Wisłoka szumiała tak gwałtownymi bałwanami, że aż piana na nich stawała, a zataczana coraz bardziej szalonym, a coraz mniej regularnym prądem, ełemi warstwami osiadała na brzegach.

Przypatrzawszy się hrabia temu igrzysku, zwrócił się do swego dżokeja i rzekł:

— Zawołaj-no mi tu przewoźników.

John, zrodzony Niemiec, Brandenburczyk podo-

no, a udający Anglika, właśnie ów nieszczęśliwy rywal Antka rybaka, już kiedy pan jego skręcał do Starego Przewozu, okrył się prawie śmiertelną białością. Teraz, gdy dostał rozkaz wejścia do chaty swego głównego wroga, skostniał na siodle jak trup. Poznał on się już bowiem z potężną garścią tego polskiego chłopca, który pomimo jego nożowej obrony, byłby go pewnie zadusił, gdyby szczęśliwy przypadek nie był nadniósł Karola; zdawało mu się tedy, że wleźć teraz do chaty takiego dusiciela, to śmierć pewniuteńka. Jakoż ani się ruszył, choćby był miał i miejsce, a nawet i miłość Basi utracić... Ale na jego szczęście usłyszano już w chacie tętent przejezdnych koni, a stary Bernat właśnie co wyszedł w obejście, aby obaczyć, azali kto nie potrzebuje jego pomocy. Ujrzawszy jeźdźców, zbliżył się do nich — poznawszy najpierw owo dyable niemieckie, które jego synowi tyle przyniosło zgryzoty, nie pomału się zdziwił i zrobił krzyż święty na piersiach — ale w moment poznał i Izydora i przystąpił do niego.

— Słuchaj-no stary—rzekł hrabia, zwracając konia ku niemu — a jak ja się dostanę na tamtą stronę?

— Jaśnie wielmożny panie! niema na to sposobu...

— Ot! pleciesz sobie. Przecież tu jechał niedawno pan z Zawisłocza...

— Ej! jechał, panie!—rzekł na to Bernat zgryźliwie—taj jakoś za Bożą łaską przejechał, ale niechaj Bóg broni każdego od takiej jazdy. To, jaśnie panie, jeno 3 by koniom było widać z wody, bał wa
di

ny waliły przez powóz i wszystko się tam tak chwiało, że ja jenom już mówił: „Kto się w opiekę”. Mo- że go też tylko modlitwa moja uratowała, bo jakem żyw, jaśnie panie, od pięćdziesięciu lat jeszcze tu nikt takiej wody nie zbrodził. A było to jeszcze o samym zmierzchu — a gdzie to tamtej wodzie do terażniejszej? Niema tu, jaśnie panie, sposobu; do jutra koło południa nikt się nie dostanie na tamtą stronę.

— E! co mi gadasz! a cóż to, promu nie masz żadnego?

— A niema, panie—ale gdyby i był, toby się na nic nie przydał, nigdyśmy i na promie nie wozili przy takiej wodzie. Patrz-no jegomość, jak to tam rwie samym środkiem; żeby tam wieżę ciosową postawił, toby nie wytrzymała.

— No to czółno masz jakieś, przecież się czółno prześlizgnie.

— Jaśnie panie! czółno teraz to śmierć.

— Ej! stary Bernacie, jużes się widzę nie pomału postarzał. No! bierz-no czółno, dziesięć czerwonych złotych dam tobie.

A — Fe! jaśnie panie! Bógby mnie ciężko pokarał, gdybym dla jaśnie pana zrobił to za nagrodą, czemu się opieram za darmo.

— Ale cóż u stu dyabłów, żeby znów taka rzeczka była tak straszną! Jużem też całe morza przepływał podczas najdroższych burz, a przeciem jest zdrów z łaski Boskiej i cały. Więc nie?

— .Nie, jaśnie panie, niema na to sposobu.

— Patrzaj-że, jaki ja na to mam sposób—• rzekł prędko Izydor i zebrał w ten moment konia.

Widząc to Bernat, struchlał na miejscu, otworzył usta i podniósł obiedwie ręce do góry— ale tymczasem dzielny koń ruszył już ze zwykłą sobie szybkością i poniósł swojego jeźdźca w wodę.

Bernat stał osłupiały i prawie skrzepły na brzegu. A nawet Antek sam, który tymczasem wyszedł także z chałupy i obaczywszy swego rywala, zaczął zaciskać pięście i szczyrzyć zęby ku niemu, umilkł na widok takiej odwagi, która i jemu także, pomimo daleko gorętszej krwi od swego ojca, zdawała się tylko dziwnie zuchwałą igraszką ze śmiercią.

Tymczasem Izydor brnął coraz dalej w rozhukaną Wisłokę. I dopóki koń jego stapał po ziemi, nie było nic jeszcze straszego, ale jak tylko spłynął, okazało się zaraz wielkie niebezpieczeństwo. Już bowiem za pierwszym krokiem widać było po jeźdźcu, że się koń zachwiał pod nim i w oka mgnieniu woda go zniosła o cały sążeń lub więcej. Mimo to jeszcze się trochę posunął dalej, ale w ten moment uderzył bałwan w niego tak silnie, że przeniósł siodło, i tak skręcił jeźdźca, że zdawało się, jakby zupełnie wyleciał z siodła. W tem oka mgnienia— wszakże druga nadbiegła fala, a wtedy i koń i jeździec tak się zanurzyli głęboko, że było widać tylko głowę hrabiego. Musiała zapewne woda dołem poderwać konia, co go zniecierpliwilo tak, że się cały zanurzył i wtedy dał skok taki silny, że w jednej chwili i jeźdźca i prawie całego konia było widać nad wodą, jak gdyby napowietrzne zjawisko... Ale jak upadł napowrót w wodę, tak i jeździec i koń zanurzyli się całkiem, wybili sobą jamę piekielną, która się wszakże zwarła w ten moment i zakipiała tylko jak w garnku. I koń i jeździec bezpowrotnie przepadli...

Widząc to Bernat, krzyknął z przestachu, zakrył rękami oczy i zaczął mówić: Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...

Ale Antek patrzył na wodę rozdziawionymi oczyma. Jakoż niebawem szarpnął on ojca za poję i wskazał ręką na drugą stronę Wisłoki. Spojrzał tam stary i ku zdziwieniu swemu obaczył, że koń tam wypłynął i właśnie stojąc na brzegu, otrząsał się z tej lodowatej kąpieli. Spojrzeli potem oba— dwa po tymże samym brzegu, na którym stali; ba, i tu w oddaleniu kilkudziesięciu kroków coś się im pokazało czarnego. Pobiegli tam obadwa czemprędzej i już zdaleka poznali hrabiego. Przybliżyli się ku niemu i przekonali się, że cudem Boskim i on także wypłynął. Stał teraz na brzegu, zaczerpywał wielką pierśią powietrza i rozglądał się w koło, aby obaczyć, gdzie jest. Ujrzawszy obudwóch rybaków, już się na pewno przekonał, na którą stronę wypłynął; lecz przedewszystkiem zapytał:

— A mój koń nie wypłynął?

— Jest jaśnie panie! o^o go widać po tamtej stronie.

— Jest, jest — rzekł na to hrabia z radością.— O! taki koń nie utonie.

— Ale jakże ja go teraz dostanę?...

To mówiąc, szedł z rybakami brzegiem rzeki ku chacie, patrząc na nich z pod oka i obawiając się pewnie, ażeby mu nie czynili wyrzutów za jego nieufność i nierostropne zuchwalstwo. Ażeby to z pewnością odwrócić, rzekł do Bernata:

— Dyabelski tu jakiś bród masz przy twej chacie, mój stary; jakoż dobrze to robisz, że przynajmniej w czas podróży ostrzegasz. Kto inny na mojem miejscu byłby był pewno poszedł do Gdańska, chociaż tam wcale nie zmierzał...

— Ej! co tam już mówić, o tem, mój jaśnie panie! — rzekł na to Bernat, który miał zdrowe serce jak brylant i ani mu w myśli nie powstały wyrzuty. — Panu Bogu dziękować za łaskę, a jutro dać na mszę¹ świętą. Ale tymczasem chodźno jegomość prędko do chaty, bo się tu nie trudno zaziębić, a wtedy i o pokutę łatwo.

— Czekajno, mój staruszk — rzekł na to Izydor, zbliżając się właśnie do tego miejsca, z którego ruszył był w wodę — czekajno trochę, bo ten koń był u mnie wart wieś, a teraz nawet jest za dwie, ja go nie mogę tam pozostawić. Ej! żeby on umiał gadać! posłałbym go do Zawisłocza, a wielką- by mi sprawił przysługę...

Tak stał na miejscu i patrzył w zamyśleniu na tamten brzeg rzeki. Ale niebawem zaczął patrzeć z zajęciem. „Sovereign” bowiem, który tymczasem szedł tamtym brzegiem, także do góry, stanął teraz na środku drogi naprzeciw brodu i zarżał z Laka¹ tęsknotą, że Izydorowi aż serce zadrżało. Poczem zaczął biegać ponad wodą, głowę podniósłszy do góry/ kitę zmoczoną zrównawszy z krzyżem i rżąc coraz załobliwiej. Odrżała mu „Sweeting” nareszcie, po raz i drugi. Usłyszawszy ten głos, stanął prosto ku wodzie, wyprężył szyję i zdawał się patrzeć wyę- żonemi oczyma w tę stronę. A kiedy jeszcze raz „Sweeting” zarżała, on odrżał nadzwyczajnie rado

śnie i zaczął się zbliżać ku wodzie i próbować nogami, to postępując naprzód, to się napo wrót cofając. Jeszcze raz „Sweeting” zarżała. A wtedy on cofnął się o parę króciutkich kroków w ty i, stanął twardo na ziemi i rzucił się takim szalonym skokiem do wody, że prawie połowę rzeki przesadził. Przez oka mgnienie nie było go widać, ale w ten moment wystawił głowę o kilka kroków poniżej i parszając, jakby z moździerzów, w kilka sekund już był na brzegu. Rzucił się ku niemu Izydor jak opętany, objął go obydwoma rękami za szyję i przez długą chwilę słowa nie mógł wymówić z radości. Wziął go potem za cugle, a prowadząc do sługi, rzekł do Bernata:

— Przynieś-no mi jaką derkę, staruszk, żebym gó nakrył, bo mi się jeszcze zaziębi.

— Biegaj Antek po derkę—rzekł prędko stary— ale i jegomość chodź także do chaty, bo się pewno zaziębisz. Konia takiego wszędzie dostanie, ale zdrowia nie kupi na wagę złota.

— Takiego konia dostanie!! — zawołał Izydor na to i śmiał się dobrodusznie ze starca; poczem kazawszy słudze przejechać konie klusem, poszedł do chaty.

Tam jeszcze się palił ogień w kominie, dorzucono do niego drewek — a Izydor, przemoczony do nitki i zziębnięty jak kość, stanął przy tym ogniu i grzał się. Stał tak przez długą chwilę i myślał. I widać było po nim, że niebawem wcale* o koniu zapomniał, a myślał zapewne o Karolu i Józi Myślał gorąco i niecierpliwił się nie pomału, że się do Zawisłocza dostać nie może—i niecierpliwił się tem

bardzo długo — lecz w końcu uspokoił się trochę, uspokoił się wreszcie zupełnie i rzekł do siebie:

— Ha! takie jest przeznaczenie!

Myśli te, które po tem postanowieniu snuły mu się po głowie, musiały być zapewne bardzo zajmujące dla niego. Bo jego twarz wypogodziła się całkiem, swobodny uśmiech okrążył jego usta szlachetne, a w oczach jego zaświecił ten blask łagodny, który jest nieodstępny promieniem uczucia szczęścia.

Jednak pomimo wszystkich oznak błęgiego spokoju wewnątrz, zdawało się, jak gdyby od chwili do chwili oddech mu się zamykał w piersiach. Oddychał bardzo nieregularnie, a czasem prawie boleśnie. Niejednokrotnie przytem dotykał się ręką piersi i przyciskał ją silnie, tak jak gdyby go tam wewnątrz coś piekło i chciał sobie ulżyć takim naciskiem. Niebawem zaczął kaszleć—i kaszlał coraz częściej i krócej, krztusząc się przytem, a chwilami tracąc nawet oddech zupełnie. Kaszel ten musiał być jakiś niedobry, bo stary Bernat, który się znał na tem cokolwiek, spoglądał na niego z coraz większą obawą. Zakaszlał się biedny młodzieniec nareszcie tak silnie, że musiał aż chustką zasłonić usta i kaszlał tak długą chwilę — a kiedy odjął chustkę od ust, na chustce pokazała się krew...

Spojrzał on na tę krew zrazu prawie z przestrawieniem — ale niebawem gorzko się tylko uśmiechnął i zapadł w jakąś długą i bardzo smutną zadumę.

Niezadługo potem wstał, dobył pugilaresu, wydarł zeń małą karteczkę, napisał coś na niej i oddał ją Bernatowi, mówiąc:

— Jak tylko się będziesz mógł przeprawić przez wodę, zanieś tę kartkę do Zawisłocza i oddaj ją paniczowi, a jeżeli go w domu nie było, to oddaj ją pani.

Oprócz tej kartki wcisnął Bernatowi kilka sztuk złota do ręki, poczem wsiadł zaraz na konia i wielkim pędem odjechał.

VIII.

Nic trafniejszego nie było jeszcze pod słońcem, jak to przecucie, które Izydora jeszcze dnia tego samego pędziło do Zawisłocza. Albowiem Karol, rozbiwszy się tak szkaradnie po raz wtóry w swem życiu, jak tylko do domu. przyjechał, rzucił się do nóg swej matce, spakował sobie tylko mały węzełek i jeszcze tego samego wieczora odjechał. Przy pożegnaniu nie wspomniał, dokąd odjeżdża, a za ledwie natracił nawiasem o tego odjazdu powodach...

Zacna pułkownikowa, którą ten nagły odjazd zaskoczył tak niespodzianie, jakby ją była nie mogła zaskoczyć śmierć sama, na którą zawsze była przygotowana, z początku bardzo się tem zasmuciła; jednak po chwili, rozważywszy to zdarzenie wszechstronnie, nie tylko na nie się nie skarżyła, ale nawet nie miała nic przeciw niemu. Przede- wszystkim bowiem temu ożenieniu się syna z szambelanówną nie była ona nigdy przychylną, nawet, jak wiemy, była temu przeciwną; rozerwanie tego związku, tak gruntowne, a nawet ubezpieczone na przyszłość, było jej wcale na rękę. Powtóre, uważała ona to sama, że jej syn, lubo był pełen mądrych wybornych, był jednak jak naj szkaradnie w sobie rozdarty. Pełen bujnej imaginaey i nią rzucany na wszystkie strony, był on w szczęśliwych chwilach zdolnym do najpiękniejszych czynów, lecz w nieszczęśliwych do największych niedorzeczności* nie mając zaś żadnych ustalonych pojęć ani o świecie, ani o obowiązkach człowieka, ani nawet o sobie samym, nie miał żadnego fundamentu pod sobą, żadnej wytkniętej drogi na przyszłość: był jak liść z drzewa burzą zerwany, który tak samo mógł być zanieiony na szczyty gór najwznioślejszych, jak i Zgnić niewidziany w jakimś dołku mizernym. Wprawdzie ta podróż jego, którą nie wiedzieć nawet dokąd przedsięwziął, mogła go właśnie narazić na takie burze, które takich rozbitych ludzi zanoszą czasem na wiekiiste bezdroża — ale pułkownikowa, jak pod tym względem liczyła wiele na jego własne uczucie, jeszcze dotychczas niepokrzywione i niezepsute, tak znów pod innym była tego zdania, iż gdyby nawet rzeczywistemu światu cokolwiek bliżej zajrzał w oczy, to mu to nie zaszkodzi, bo ma zdrowe serce i oko i z tych doświadczeń wyjdzie tylko tem rozumniejszym, silniejszym i mocniej uzbrojonym na przyszłość. Jednak, pomimo tak zbudowanych nadziei, nie obeszło się także bez , pewnych obaw i smutków. Już bowiem to samo, że Karol zabrał z sobą całą tę sumę, którą z towarzystwa zaciągnął, było dla gospodarnej i o przyszłość dbającej matki smutkiem niemałym — a cóż;

dopiero powiedzieć o tem, że całe gospodarstwo i wszystkie sprawy rodzinne zwały się teraz na nią, i samą jedną? Bez przyjaciół, bez bliższych krewnych, z delikatnem zdrowiem i głową jak najmniej usposobioną do prowadzenia gospodarstwa w okolicznościach tak nieszczęśliwych, jakie zaszły podówczas, nie miała ona ani nadziei, aby mogła temu podołać. Przypominała sobie wciąż szambelana przestrogi, które jej bardzo trafiały do przekonania — a to ją jeszcze tem większą napępniało obawą. Być może—myślała ona sobie natenczas— że Karol z tej zagranicznej podróży powróci człowiekiem skończonym i znamienitym; ale jeżeli tam lat parę zabawi, to kto wie, czy będzie miał jeszcze do czego powrócić?— Cóżkolwiekby, pełna trwogi i nie wiedząc sama, coby jej teraz należało przedsięwziąć, napisała przynajmniej do Skiby, aby, o ile możności, jak najprędzej przyjeżdżał. Skiba był to jedyny człowiek, o którego skołatana i opuszczona staruszka mogła się oprzeć z ufnością i nadzieją -choć jakiegokolwiek pomocy. Wyprawiwszy ten list na pocztę, wyglądała odpowiedzi z niecierpliwością, ale zarazem nie bez pewnej obawy, było bowiem rzeczą bardzo podobną, że Skiba może i nie przyjedzie. Przebywał on wówczas we Lwowie, niepokoje zaczęte w miesiącu marcu, trwały wciąż jeszcze, Lwów był ich głównem siedliskiem, a Skiba, zawsze równo gorliwy o wprowadzenie w życie zasad gminowładnych, brał w nich udział niemały. Było tedy rzeczą bardzo podobną, że zajęty daleko ważniejszymi sprawami, aniżeli los jednej, choć ukochanej przez siebie rodziny, stanowiska swego nie rzuci i pozostanie we Lwowie. Jednak, na szczęście- pułkownikowej, sprawa publiczna przeszła już była natenczas w stan taki, iż rola ta, którą nawet w najlepszym razie można było odegrać we Lwowie, nie była wcale tego rodzaju, ażeby się od niej nie można było oderwać.

Natenczas bowiem przed wszystkim innemu już się był zebrał sejm w Wiedniu i rozpoczął swoje obrady — a więc główny ster całej tej sprawy przeniósł się do stolicy monarchii, to zaś, co się działo po stolicach prowincjonalnych, było już rzeczą podrzędną. Prócz tego jeszcze, w stolicy Galicyi działy się takie rzeczy, po których trudno się było czego dobrego spodziewać. Podówczas bowiem już wystąpiło było stowarzyszenie ziemiańskie, podówczas także już wcale inny kierunek wzięła rada centralna — i nietylko, że z tego powodu pomiędzy, temi obydwojma obozami dążności sobie przeciwnych wywiązały się spory drobnostkowe, miejscowe, partykularne i niesłuchanie godzące, lecz, co ważniejsza, z powodu tak już długiego, a tak gruntownego nieładu, objawiło się w ogólności rozprzężenie, rozstrzelenie się ogólnego ducha tak wielkie, iż było rzeczą widoczną, że reforma tą na tej drodze do żadnego celu nie dojdzie—a inny jej nadać kierunek mogłyby tylko jakieś gwałtowne, a przytem bardzo szczęśliwe wypadki, których się wszakże wcale spodziewać nie było można.

Taki stan rzeczy, obudzający ze wszystkich względów najprzykrzejsze uczucia, był już natenczas dla każdego tylko cokolwiek chłodniejszego człowieka widocznym — i to nawet do tego stopnia, iż.

każdy sąd o tej sprawie, w którymkolwiek powa- iniejszem kole wydany, wypadł na niezmierną niekorzyść całej prowincyi. Co ważniejsza, jeszcze dziś nawet, gdziekolwiek bądź o tych rzeczach dadzą się słyszeć jakie uwagi, to rzadko kiedy bywają one czem innym, jak najboleśniejzemi zarzutami przeciwko sobie samym, a często nawet bezwzględny wyrok potępienia na to wszystko, co tylko pod owe czasy pomyślano, albo zrobiono. Sąd taki, zazwyczaj na szczegółowych dowodach oparty, jest i sprawiedliwym i niesprawiedliwym. Niesprawiedliwym dlatego, iż rozpatrując się z nadto blisko w drobiazgach, które częstokroć nawet uwagi nie warte, traci z oka wzgląd jeden niezmiernie ważny, mianowicie* wzgląd na to, iż prowincya ta, przeżywszy lat ośm dziesiąt w najzupełniejszej ciemnicy, do działań politycznych roztropnych ani usposobioną była, ani być mogła. Ale sąd ten jest w gruncie rzeczy sprawiedliwym zupełnie — a to dlatego, iż wogóle cały duch, cały kierunek tej sprawy, był już z natury swojej, z przyczyny obcego źródła, z którego natchnienie odebrał, z przyczyny zlania się swego z żywiołami sobie obcymi, jak najzupełniej fałszywym — a jako taki twór sztuczny, nienaturalny, odlatujący od serca swojego organizmu przyrodzonego, nawet w najszcześniejszych okolicznościach, nie mógł żadnego istotnie- pożytecznego osiągnąć skutku. Jest bowiem prawdą bezsprzeczną a bardzo ważną, że ile razy Galicya przedsięwzięcie jakąbądź sprawę publiczną, a przy obraniu kierunku dla niej zapomni o tem, że jest rodzoną córką orr ganizmu innego, tyle razy zawsze wyda z siebie

;tylko plód krzywy, niedonoszony, niewczesny, z którego żadnego, miłego Bogu i ludziom, nie odniesie pożytku. Zpatrując się z tego punktu na ową sprawę, o której mowa, nie potrzebujemy się wcale wdawać w drobnostkowe szczególki, ażeby o niej wydać sąd sprawiedliwy i taki, który, jakiebądź kiedyś zasady społeczne przeważą w opinii, ostanie się na zawsze w historii.

Do takiego widzenia rzeczy przyszedł do tego czasu także i Skiba. Wtajemniczony we wszystkie najskrytsze ówczesne zamiary, wierzący w zbawienie- iiość wstrząśnień ludowych, brukowych i tym podobnych, a ztąd nie widzący dosyć dokładnie ani słabości sił, którym ufał, ani reakcyi podnoszącej już coraz śmiej głowę natenczas, miał on jeszcze wprawdzie i te i owe nadzieje, ale nadzieje te były tak słabe, tak połowiczne i nieodpowiednie jego dawniejszym marzeniom, że wiadomość o potrzebie jego przyjazdu do Zawisłocza całkiem je przeważała. Pokręcił się tedy Skiba jeszcze przez kilka tygodni po Lwowie, urządził sobie korespondencyę, po abo- nował gazety — i zjechał nareszcie do Zawisłocza.

Przyjazd jego przyniósł zacnej staruszce niewymowną póciechę. Stary ten przyjaciel jej domu okazał się i teraz zarówno przywiązany do jej rodziny, jak dawniej, gotowym do wszelkich usług, a choćby nawet i ofiar. Tem tylko jednym nie przyniósł jej pociechy, iż dowiedziawszy się o wszystkich okolicznościach, towarzyszących wyjazdowi Karola, bardzo się tem zdarzeniem sfrasował, nawet daleko więcej, aniżeli się sama staruszka mogła po nim spodziewać. Zapatrywał on się na ten krok

swego ucznia ze stanowiska swych własnych zasad i sąd jego o nim był zupełnie odmiennym. Prowadzono o tem obszernie i szczegółowe gawędy....

\ — Daj Boże—powiadał natenczas Skiba—ażeby Karol zachował się tak, jak się pani spodziewa, ale tymczasem ja tę rzecz widzę inaczej. Karol największą niedorzeczność popełnił, że dla tak błahych powodów wyjechał. Azaliż w takim człowieku jest jakakolwiek świadomość siebie, jakabądź ufność w swej woli, który przed marną pokusą musi aż za morze uciekać? To mi też żadnej nie daje rękojmi, że się potrafi oprzeć pokusom, które go spotkają gdzieindziej. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że tyle zabrał z sobą pieniędzy? — Mówiąc to Skiba, dziwnie się niecierpliwił.

— Ale to tak, Widzi pani! — powiadał dalej — taka to jest ta nasza szlachta. Nic nie pomoże pchać w nich naukę i wiadomości, nic nie pomoże ani najlepsze w nich wpajac zasady, ani też najwspanialsze stawiać przykłady, bo tam w nich jest jakiś ogień piekielny, który swojego czasu musi" koniecznie zakipieć. Na nic podczas takiego wybuchu wszystkie przestrogi! Nieszczęśliwy ten szlachcic musi odbyć swój paroksyzm gorączki i póty z żadnego z nich człowiek stateczny nie będzie, póki ten ogień zeń nie wykipi. Zapewne, że tak samo bywało i dawniej — lecz dawniej takiego kipiącego młodzieńca wsadzano na siodło i wyprawiano na wojnę, nabił się i natyrał przez jakie lat kilkanaście i potem wracał rozumny, chłodny i ludzki. Ale teraz—to wielka z tem bieda. Ci młodzi ludzie, zamiast na wojnę, której niemasz pod ręką, jadą do wielkich miast i zamiast kipieć w pożytecznej usłudze, kipią w rozpuście. Wracają potem, wprowadzie tak ochłodzeni jak tamci, lecz kiedy tamci przywozili z sobą hartowną duszę i ciało, ci przywożą duszę ospałą, a ciało miękkie i wyniszczone. I co tu robić z taką fatalną puścizną! Choćby tylko dla tego samego, z całej tej szlachty nic już nie będzie...

— Pan Skiba zanadto generalizuje swe spostrzeżenia — rzekła na to pułkownika poważnie. — Może te spostrzeżenia są całkiem prawdziwe, może nawet i bardzo ważne, ale tu, zdaje mi się, nie zupełnie stosowne. Mój syn jest wprowadzie jeszcze bardzo młody i z tego powodu może się tak łatwo obalamucić, jak każdy inny, ale ja przecież śmiem ufać w Bogu, że nie dozwoli mu upaść tak nisko, ażeby się zepsuł zupełnie.

Tu kochająca matka wypowiedziała się całkiem otwarcie z tych wszystkich nadziei, jakie pokładała w swym synu, a o których jużemy wspomnieli powyżej. Skiba słuchał tego wszystkiego z uwagą, ale tylko w połowie uwierzył—a potem tak mówił:

■ — Wprowadzie i ja się po nim spodziewam, że nie ulegnie on tak łatwo pokusom, jak wielu innych. Wyłożyliśmy przecież nie mało pracy na jego wychowanie, a praca ta nie poszła daremnie, albowiem prócz dobrych zasad, któreśmy w niego wpoili, zachował on jeszcze ten zmysł naturalny a zdrowy, ten smak subtelny a dobry, który go niezawodnie od wszystkiego złego odrzuci, a przynajmniej mu tego złego brzydotę wykaże. Ale pomimo to wszystko niepodobna nam z oka spuszczać i tego, że w czasach dzisiejszych rozpowszechnione

uczucie piękna, sztuka i cała zresztą cywilizacja, lubo bezwątpienia nie mało zrobiła na drodze dobrej, jednak także nie mało się przyczyniła do tego, ażeby zło i wogóle wszelkie zepsucie moralne przybrało formy na pozór piękne i nadzwyczajnie ładujące. Nie trudno było oprzeć się złemu natenczas, kiedy to zło w zbrukanych szatach, z napiętnowaną twarzą, walało się po szynkowniach i najplugawszych zaułkach; ale dziś, kiedy Wenus występuje w jedwabnych szatach i. brabanckich koronkach, kiedy jej Gracye - wykształceniem, wdziękami i wszeikimi przyborami piękności najcnotliwsze, a nawet częstokroć i najwykwintniejsze kobiety górują, kiedy w ich towarzystwie spotyka się młodzież jak najpiękniejszych zalet zkadinał, kiedy nareszcie bale, dla takich bogiń dawane, świetnością, bogactwem i zgoła wszeikimi płodami dobrego smaku przenoszą częstokroć nawet domy naj pierwsze—dziś, pani droga, żelaznej potrzeba woli, brylantowego na sercu puklerza, ażeby być pewnym siebie wśród takich pokus. Ja mówię o tem z taką precyzyą dlatego, iż jestem pewny, że Karol do Paryża pojechał. Wątpię ażeby pojechał gdzieindziej — a tam jeszcze się podobno temu złemu żaden z takich nie oparł, którzy mieli potemu fundusze...

Na tę uwagę pułkownikowa odpowiedziała już tylko westchnieniem — natomiast wspomniała o za- mierzonym i rozerwanem przez Karola małżeństwie. Przedmiot ten Skiba natychmiast podchwycił i tak o tem mówił:

— Jedno, co w tem całym zdarzeniu bezwątpienia jest dobre, to rozerwanie tych niedorzecznych związków z domem szambelana. Ja z mojej strony znalazłem niegdyś także niemałe upodobanie w pannie Józefie. Widziałem ją przed trzema laty, będąc raz w Przewoźnikach, uważałem ją pilnie i bardzo ■sobie w niej upodobał. Była tam w. niej prześliczna i żadnym oddechem sztucznego świata nie popsuta natura; jakoż natenczas myślałem sobie: — Ot! gdyby Karol taką mógł dostać żonę, jakżeby on i siebie i nas uszczęśliwił! Ale już wtedy, rozważywszy to pilnie, jaki to człowiek jest szambelan i jakim jest cały dom jego, przyszedłem do przekonania, że nawet i taka żona nie zdołałaby jeszcze •nagrodzić tego złego, któreby wyniknęło ze związków z tak mało zacząną rodziną. A cóż dopiero o tem rozumieć teraz, dowiedziawszy się ze szczegółami, w jakich towarzystwach ta panna się obracała w stolicy? Bywała po tych domach, gdzie oficerowie bywają; tańcowała z żołnierzami; nie wahała się należeć do wieczorynek i biesiad, na których rej wodzili żołnierze! Nie przeczę ja zresztą, że ona może temu nie winna; panna tam bywa, gdzie ją Zaprowadzą rodzice. Nie przeczę także, że nawet i z takiej panny może być żona najlepsza — ale to nie jest żona dla naszego Karola. Jakoż dobrze się stało, że się to rozerwało, trzeba, żeby się to już nigdy nie Zeszło — i takby to jakoś należało prowadzić...

Byłaby mogła uścisnąć Skibę za to pułkownikowa, co jej teraz powiedział, tak jej to trafiało do przekonania, tak pocieszyło jej serce. Jakoż wypowiedawszy mu się 'jeszcze i z tego, o ile jej na tem zależy, ażeby nie dopuścić do tego związku,

zapomniała mu wszystko, co mówił o Karolu i szlachcie.

Tak przez dni kilka trwały pomiędzy tem obojgiem staruszków (bo i Skiba już coraz więcej się ku starości nagiął) rozmowy bardzo ożywione i zajmujące, to o spodziewanych losach Karola, to o spodziewanem ożenieniu się Izydora z szambelanówną, to o polityce dziennej—aż nareszcie przyszedł czas, w którym trzeba było koniecznie dotknąć przedmiotów bliższych, wprawdzie daleko mniej zajmujących, ale nieledwie ważniejszych, bo stanowiących o przyszłej egzystencji rodziny. Były to rzeczy w same) istocie bardzo niezajmujące. Doświadczenia, porobione z nowym trybem gospodarowania dotychczas, acz bardzo krótkie, były jednak niezmiernie smutne. Połowa siana została w polu, bo robotnika nie było; nadeszły żniwa, a robotnika było jeszcze daleko mniej. Chłopi, udarowani tak nagle jaknajzupełniejszą swobodą, do której wcale nie byli przygotowani, oszołomieli tak niespodzianem szczęściem zupełnie, zaczęli pić, hulać po karczmach, włóczyć się po odpustach i targach i wogóle, na rachunek spoczynku po długoletniej niewoli, takie dosadne zaczęli odprawiać ferye, że nietylko przestali zasilać dwory swą pracą, ale nawet i w gospodarstwach swych własnych dziwnie się opuścili. Jeszcze gdzie dziedzic, mniej zważając na konstytucję, z pozostawionej sobie dominikalnej władzy choć jako tako korzystał, zagrodników była dość znaczna liczba z dziennego zarobku żyjących, gdzie wreszcie interes własny przelożono nad wszystkie względy i poczęto najemnika z wsi cudzych sprowadzać, przepłacając go wedle chwilowej potrzeby — tam lubo nieraz Z kosztem ogromnym, unikniono strat jako tako i przynajmniej z pola zebrano. Ale biedna wdowa, staruszka, po części nie umiała, po części zaś wcale nie mogła z wyżej wymienionych środków korzystać—i u niej żyto spadło z kłosa, a pszenica stała jeszcze do dziś dnia na pniu, chociaż to był już irodek miesiąca września.

Tak samo nie umiała ona sobie także dać rady w doniu. Pod wpływem owej okrzyczanej wolności, której najdziwaczniejsze pojęcia, aż do najniższych warstw docierały, cała domowa służba radykalnie się odmieniła. Itak, ekonom, zamiast pilnować półkoptów, jeździł najregularniej co tydzień na posiedzenia rady powiatowej do poblizkiego miasteczka, a nabiwszy sobie tara głowę rzeczami, które się w jego głowie na żaden sposób pomieścić nie mogły, chodził potem jak pijany, przez cały tydzień a co wieczór się gdzieś wymykał na polityczne gawędy* Pisarz, pierwszy orator w tejże samej radzie partykularnej, prócz tego jeden z koryfeuszów lewicy tamże, a nad to wszystko jeszcze sekretarz klubu prywatnych oficyalistów, zawiązanego w temże samem miasteczku niedawno, choćby był chciał* rzecz oczywista, że nie mógł pilnować swych obowiązków głównych, których, również rzecz oczywista, nawet nie miał teraz za główne, tylko za najpod« rzędniejsze, choć one właśnie chleb mu dawały. Ale nacóż tu i pisarza, kiedy nawet stary kamerdyner jejmości, który dotychczas najzawziętym nieprzyjacielem był wszelkich podróży, a za najulubieńszą miał sobie rozrywkę drzemać w skórzanym krze

śle w antykamerze, przebudzić się, zażyć tabaki, na Zegarek popatrzeć i znów zadrzemać — kiedy nawet ten kamerdyner musiał teraz być nieodbicie na ka- zdem posiedzeniu rady pilźnieńskiej, powróciwszy do domu, już nie spał, ale po całych dniach czytał gazety, a zasłyszawszy o istnieniu klubu lokajów we Lwowie, prawie co drugi dzień gdzieś wybiegał pomiędzy lokajstwo sąsiednie, propagując w nieiru myśl zawiązania takiego, samego klubu w Pilźnie, Dębicy, albo też Brzostku. Szczęście to wielkie, że się na miejsce nie zgodził; bo mąż tak poważny i odcytany ani wątpienia, że byłby w samej istocie klub taki zawiązał — a ci, którzy utrzymywali lokajów, byłiby dożyli jeszcze i tych skutków źle zrozumianej wolności, żeby byli musieli doświadczyć na samych sobie, jak ważną a trudną jest służba lo- kajaska. A kiedy takie panowało usposobienie w wyższych warstwach hierarchii, rzecz jasna, że się musiało udzielać i warstwom niższym; jakoż istotnie nie rzadka to rzecz była usłyszeć natenczas, jak chłopcy stajenni, zamiast konie czyścić, rozmawiali 'z sobą o zbombardowaniu Pragi—jak parobcy przy pługach zapytywali ekonoma, co tam słyhać z sejmu i rady — i jak klucznica przy dojeniu krów wykladała dziewczkom, co to jest konstytucya? — Ciekawość ta, lubo zkainąd bardzo chwalebna i roku? jąca na przyszłość, rfa teraz jednak kosztowała matkę Karola dość drogo — bo z tego powodu niesłychany zakradł się nieład na miejsce dawnego porządku: gospodarstwo upadło znacznie, ucierpiał bardzo zaniedbany inwentarz, ucierpiały także budynki—a co najgorsza, dawny rygor domowy, dawne. posłuszeństwo znikło bez śladu, o rozkazach już ani mowy nie było, a jeżeli jeszcze co uczyniono, to za* ledwie na prośbę.

Kiedy się Skiba w tem wszystkim zbliżka rozpatrzył, to nie tylko się odrazu przekonał, jak niezmiernie kosztowne są wszystkie reformy radykalne a nagłe —ale, co gorsza, zwróciwszy słuszny wzgląd na to, że Karol zabrał z sobą wszystkie gotowe pieniądze, zaledwie się mógł spodziewać, ażeby tak bezładnemu a teraz już dobrze nadniszczonemu go- gospodarstwu w jakibądź sposób można dać radę. Rozmyśliwszy tedy to wszystko, zaproponował pułkownikowej, aby poprostu puścić Zawisłocze w dzierżawę, a poprzestając na małym, lecz pewnym i bez kłopotu, siedzieć sobie spokojnie, póki Karol nie wróci, albo szczęśliwsze nie przyjdą czasy. Ale pułkownikowa odrzuciła tę propozycyę stanowczo. Była ona bowiem już dlatego wydzierżawieniu prze* ciwną, iż w takim razie wypadłoby było pozbyć się inwentarzów i wszystkich gospodarskich urządzeń, rzeczy w dzisiejszych bezpieczeństwańnych stosunkach niezmiernie ważnych, do których potem tak łatwo się nie przychodzi. Wieś, wypuszczona dzisiaj; w dzierżawę, podobno z niej już nigdy nie wyjdzie bo miałby właściciel potem, chcąc gospodarstwo objąć na siebie, włożyć w tę wieś prawie tyle, ile ona jest warta, to się zapewne rozmyśli i albo drugą wieś kupi, albo nabędzie procentowych papie?- rów, zawsze daleko lepszych, niż wieś galicyjska, która ponosi na sobie takie ciężary, jak.gdyby leżała w Anglii, a zato żadnych nie używa korzyści. Wydzierżawieniu zresztą była pułkownikowa jeszcze

i dlatego przeciwną, iż, jak mówiła:—Kto wie, w jakim usposobieniu Karol powróci?— może jedynym dla niego ratunkiem będzie zajęcie się gospodarstwem? W każdym zaś razie objęcie gospodarstwa na siebie będzie jedynym stanowiskiem, jakie będzie mógł zająć w swem społeczeństwie. Wolę ja tedy już sama ucierać się ze wszystkimi gospodarskimi biedami i stracić w nich zdrowie do reszty, aniżeli- bym miała mieć sobie do wyrzucenia, żem zaparła drogę do zajęcia odpowiedniego stanowiska memu synowi.

Uznał Skiba odrazu słuszność tych uwag poczciwej matki i rzekł z determinacją;

— Ha! to weźmy się sami do gospodarstwa.

I wziął się w samej istocie Skiba do gospodarstwa z całą energią, na jaką mógł jeszcze się zdobyć, i z całym tem poświęceniem, którego dla dobra bliźnich nigdy mu nie brakowało. Wziął się nawet do tego zawodu całkiem gruntownie i oczywiście zasadnie. Będąc tedy przedewszystkiem zdania, że żadnej praktyki nie można wykonać skutecznie, nie znając jaknajdokładniej teorii, wziął się Skiba do książek, ażeby się obznajomić z nauką agronomii, fizyki, chemii i wszystkich innych tu należących; nie omieszkał zarazem zapoznać się z nauką ekonomii, czyli administracyi, bez której, lubo się jej naszym zdaniem z- żadnych książek nauczyć nie można, tylko ją trzeba dla siebie koniecznie własną głową wynaleźć, wszystkie tamte nauki na nic się nie przydadzą. Jako człowiekowi uczonemu, a zatem mającemu i wprawę do studyów i elemen- ta tych nauk, nie było to trudno; jemu zaś jeszcze 0 tyle łatwiej, ile że przez dwa lata minione obeznał się już cokolwiek z gospodarską praktyką, a do tych studyów miał całą zimę przed sobą. Pobom- bardowano już zresztą do tego czasu wszystkie stołeczne miasta, skąpano we krwi całą tę rewolucję legalną—bolał nad tem poczciwy Skiba niezmiernie, gryzł się i smucił — ale ugiąwszy się pod ciężarem konieczności, jak wszyscy, rad był nareszcie, że mu się zdarza taka rozrywka w zajęciach, nie mających z polityką i socjalizmem żadnego Związku. Jakoż przez tę zimę przeszedł on prawie całą bibliotekę agronomiczną francuską, angielską, niemiecką, pol* ską—i co tylko było pomiędzy Humboldtem, do którego się po rozwiązanie niektórych wegetacyjnych 1 klimatycznych zagadek odnosił, a naszym zacnym Oczapowskim, wszystko to przeczytał, zanotował, spamiętał i uczynił swoją własnością. I nie można mu tego wcale zaprzeczyć, że czytać umiał i czytał

2 jaknaj surowszą krytyką, przywłaszczając sobie to tylko, co w miejscowych okolicznościach wytrzymało próbę zdrowego rozsądku. Jak tedy z jednej strony stanowczo odmówił wiary zdaniu Liebiga, że każda roślina żywi się tylko z powietrza, tak znowu z drugiej nie przyjął wcale zasady, ażeby otrzymane z ziemi produkty koniecznie w najbardziej wydoskonalonej sprzedawać formie, np. drzewo w kształcie pasztetów. Skiba na mniejszem poprzestał. I tak wyuczył się gruntownie nauki rozpoznawania rodzajów ziemi i osądzenia, do czego który z nich jest przydatnym, wyuczył się dalej teorii wegetacyjnej, z czego która roślina się składa i co powinna zastać w przygotowanej dla siebie ziemi, ażeby wydala

oczekiwane owoce; wyrozumiał potem zasady sku* tecznego pielęgnowania i zastosowania nawozów, wyrabiania kompostów i wszelkich innych środków pomocniczych, a wreszcie obeznał się także z narzędziami gospodarskimi, z ich przeznaczeniem, budową, użyciem, w którym to celu odbył umyślną po> dróż do Berlina, gdzie zarazem się poznał z wielu znakomitymi agronomami i o niejednej rzeczy dowiedział się z pierwszej ręki. Poradziwszy się jeszcze do tego sąsiadów i oświeciwszy się od nich o istniejących tutaj klimatycznych warunkach, jak niemniej o sposobach postępowania ze służbą i najemnikiem — pod koniec zimy już tylko tem był zajęty, jakiby system najstosowniejszy dla gospodarstwa zawisłockiego wymyślić. To też przez resztę zimy, prócz zajęć około dopełnienia inwenta* rzów roboczych i przysposobienia gospodarskich narzędzi, biedny Skiba i dniem i nocą przechadzał się po swojej basztowej komnacie, a w jego głowie kręcił się tylko turnus i turnus bez końca. Sto tablic najrozmaitszych zmianowań leżało na jego stole, które po całych dniach, patrząc na mapę Zawisłocza, to zmieniał, to poprawiał, to uzupełniał —> a w nocy już mu się nic nie przyśniło innego, tylko żyto, ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica, we wszystkich możliwych i niemożliwych po sobie następstwach. Biedny, uczony Skiba! Czy myślał on kiedy, ażeby w tej głowie, w której dotychczas tylko Platony i Justyniany, Cezary i Napoleony tak wspaniale odbywały rotacye, zamieszkały kiedyś same pszenice i grochy, azoty i fosforany? I czy my-, słał on kiedy, ażeby z temi grochami i azotami da leko trudniejszą była sprawa, aniżeli z najstarszymi mędrkami najstarszych światów, aniżeli nawet ze skandynawskimi runami, albo i z samym sanskry- tem?—A tymczasem w samej istocie nieraz, osobliwie kiedy mu w żaden sposób nie chciały kwadro- wać układane rotacye, dziwnie się gorszył i niecierpliwił i nieledwie upadł. Jakoż niejednokrotnie wołał natenczas z rozpaczą:—Wolałbym objaśniać Statuty wiślickie, szukać początków polskiego prawa w piramidach egipskich i decyfrować pieniążki, choćby tak gładkie, jak szkło, aniżeli się brać do tych ziemniaków i grochów. Jeżeli policuję z sobą niezgodne paragrafy statutów, choćby i takie, które żadnej ze sobą zgodności nie mają i mieć nie mogą, co jej skutkiem owoczesnego nieoświeezenia i nieumiejętności pisania nigdy nie miały — jeżeli wywiodeę powinowactwo praw polskich z utajonem znaczeniem hieroglifów egipskich—jeżeli na zatar* tych pieniążkach jakikolwiek sensik wyczytam, chociażby za pomocą alfabetu wymyślonego przeze- mnie — kto mnie w tem dojdzie, kto skontroluje?— W najgorszym razie jakiś drugi uczony coś innego sobie wyroi, inny alfabet wymyśli, coś innego wyczyta i poważnie się ze mną posprzecza; lecz coram populo zawsze będę człowiekiem rozumnym, ba, nawet im bardziej niezrozumiałe i oschłe rzeczy popiszę, tem głębszej uczoneści pozyskam sławę. A tu niech i najgłębiej zbadam wszystkie siarczany i fosforany, niechaj najmisterniejszą wymyślę rotacyę, . kiedy się nie urodzą ziemniaki, albo groch nie dopisze, każdy sąsiad się na tem pozna, każdy chłop wyrozumie, a wszyscy razem wyśmieją. —
Dziwnie

się niecierpliwił tem Skiba, a nieraz, kiedy o skutkach pomyślał, śmiertelne przechodziły go dreszcze. Lecz jako człowiek rozumny, a do tego stateczny, trwał wiernie przy swoim, a z obawy niepowodzenia tylko tem pilniej, tem skrupulatniej jeszcze przygotowywał się do rozpoczęcia tego Zawodu, który już teraz uznał za najtrudniejszy ze wszystkich. Jakoż z początkiem wiosny był on wistocie gotów ze swojemi planami i wziął się z całą energią do czynu...

Szczegółowe opisy gospodarstw nie należą zapewne do rzeczy tak bardzo zabawnych, ażeby się mogły bez ujmy zajęcia, a może nawet bez grzechu przeciwko sztuce mieścić w powieści, której celem przedewszystkiem powinna być piękność i prawda. Ale jeżeli Francuzi, Anglicy, Niemcy mieszczą niejednokrotnie w swoich romansach całe wykłady nauk tak specjalnych, jak marynarka, fizyka, chemia, a nawet i astronomia — to cóżmybyśmy mogli najprędzej do naszych powieści przypuścić, jeżeli nie gospodarstwo, my wszyscy razem, i czytelnicy i autorowie, po największej części i przed wszystkim innem ziemianie, rolnicy i gospodarstwem zajęci?— Toż w przekonaniu tem, że i ta książka, jak wszystkie nasze poprzednie, najgęściej się rozejdzie pomiędzy ziemian rolników, którzy się sami gospodarstwem zajmują, a zatem, że ich te gospodarskie opisy przynajmniej zbytecznie nie znudzą—przyjrzymy się także cokolwiek bliżej gospodarstwu Skiby, co naszym jest obowiązkiem, a to dlatego, iż, jak to widać z poprzedzających rozdziałów, stosunki gospodarskie w Gałicyi są jedną z główniejszych nici, z których się powieść niniejsza wysnuwa. Lecz przebiegniemy to krótko, jak tylko można najkrócej.

Owo więc plan, który Skiba dla gospodarstwa zawisłockiego wymyślił i natychmiast wprowadził w życie, nie był wcale bez sensu. Owszem, czynił on nawet zaszczyt jego głowie, że się umiała tak łatwo znaleźć na nowem'zupelnie polu. Idźmy za jego planem. Przedewszystkiem tedy przyjął on za zasadę; iż ponieważ grunty zawisłockie nie wszystkie są jednej natury, a zatem nie można dla wszystkich jednej postanawiać rotacyi. Wskutek rozgatkowania całego obszaru, wypadło mu go podzielić na cztery główne oddziały.

Pierwszym oddziałem objął on około stu morgów gruntów górnych, piaszczysto-gliniastych, lekkich i próżnych humusu, które, nie dowierzając im, aby mogły opłacić wyłożone na nie nakłady, wyłączył z góry z pod wszelkiej rotacyi. Postanowił zasiewać tam owsy i podsiewać je pastewnymi trawami, albo poprostu pozostawiać ugorem na pastwiska dla owiec, z czasem zaś doświadczać na tych gruntach skutków łubinu, z którą to rośliną zaczął natychmiast robić doświadczenia w szkółce umyślnie ad hoe urządzonej.

Drugim oddziałem objął około osiemdziesiąt morgów jaknajlepszego pola, które leżało tuż koło karczmy i młyna, nad samą rzeką i składało swą warstwę rodzajną z samego prawie humusu. To pole obrócił głównie pod rzepak, nazwał je rzepak-kowem, podzielił na cztery poletka i zaprowadził na niem następującą rotaeyę: rzepak, pszenica, koni-

-czyna na nasienie, koniczyna raz cięta na paszę, poczem znów nawóz i rzepak i tak dalej. Dostarczyć tak wielkiej ilości nawozu spodziewał się Skiba w ten sposób, iż z młynarzem i propinatorem, którzy na dobrej karmie utrzymywali corocznie po kilkadziesiąt sztuk bydła, zrobił umowę, że wszystek zbywający im nawóz będzie zabierał. Manipulacja taka i z tym kawałkiem pola i z nabyciem nawozu była dość trafną; Skiba zrozumiał wartość tego pomysłu i cieszył się nim niezmiernie, obiecując sobie zeń bardzo znaczne korzyści.

Pozostałą resztę gruntów ornych, wynoszącą jeszcze około czterechset osiemdziesięciu morgów, objął Skiba pod gospodarstwo regularne i systematyczne. W tym celu podzielił on całą tę przestrzeń na dwa równe oddziały, z których jeden pod uprawę jesienną, a drugi pod wiosenną. I na jednym i na drugim zaprowadził rotację ośmiopolową. Na jesiennym następującą*, żyto, ziemniaki, jęczmień, koniczyna, pszenica, groch albo wyka, owies i ugór, na wiosennym zaś taką; w pierwszym roku buraki, turnips, brukiew, kapusta i t d., • w drugim jara pszenica, żyto jare lub jęczmień, w tem koniczyna, potem pszenica, groch, bób i wyka, żyto lub owies, podsiany trawami na lat dwa.

Jak tedy widzimy, rozporządził Skiba zawi- słockiem gruntami, może z cokolwiek przesadnym "Względem na karmę i paszę dla bydła, zwłaszcza, że oprócz tego miał sto morgów łąk — ale zresztą bardzo systematycznie, na przyszłość nawet bardzo praktycznie; albowiem, jak to wiadomo, nigdy ten •w końcu źle wyjść nie może, kto zaprowadzi u siebie tak silną produkcję paszy, rozumie się wszakże, że tylko wtedy, jeżeli jest w stanie przetrwać te pierwsze lata, w których zmniejszona produkcja ziarna silny wywiera wpływ na dochody, a inwentarze jeszcze żadnych nie mogą przynieść korzyści.

Co do innych gospodarskich potrzeb, urządził się Skiba oczywiście wedle potrzeby. Podopiecznym inwentarzem roboczym był silny i piękny, uregulował także inwentarz stajenny. Był wszakże w tera ile możności oszczędnym: koni tylko kilka przykupił, mając zamiar/ przez dobre żywienie poprawić jakość przychowku — owiec na początek nabył tylko sto dwadzieścia—a co do krów, choćby ach mógł być, a nawet powinien znaczną liczbę wyprzedać, jednak tego nie zrobił, raz dlatego, iż się obawiał, ażeby Karol, powróciwszy do domu, nie pogniewał się na niego za zmarnowanie najulubień- szych przez niego zwierząt — a powtóre dlatego, iż na tak wielką ilość produkować mającej się paszy trzeba było koniecznie odpowiedniej ilości konsumentów. Tylko już co do gospodarskich narzędzi nie mógł się Skiba oszczędzić i posprawił wszystkie zupełnie nowe i odpowiednie. Również i có do ludzi, nie mógł na* dawnem poprzestać, a lubo tych i owych odprawił, przyjmował jednakże nowych i uzupełnił ich liczbę' tak, że każdy zaprząg miał osobnego parobka, każdy oddział połowy swego nadzorcę, każda robota, czy to w polu, czy w domu, swego kierownika i stróża.

Taki plan ułożywszy, przystąpił Skiba do wykonania—i trzeba mu to przyznać, iż wykonywał to

z taką ścisłością, jak tego dokazać może w Niemczech wprawdzie każdy człowiek chodzący, lecz w Polsce chyba tylko profesor. I z początku jak: najpiękniejsze okazały się rezultaty, tak w polu, jak w domu, a nawet w każdym domowym zakątku. Wszystko odpowiedziało Skibie, nic nie chybiło. Ażeby nie wpaść pomimo woli w zbyt długą rotację około jednego i tego samego przedmiotu, przejdźmy od razu do czasu zbioru drugiego roku. Owo więc, nawet po upływie dwóch lat całkowitych, nie mógł się Skiba na nie uskarżać, bo mu się wszystko powiodło najdoskonalej. Zasiewy, porobione w gruntach przez niego sprawionych, wydały plony nadzwyczajnie obfite. Zyto miał takie, jakiego nie pamiętano w Zawisłoczu od najdawniejszych czasów; rzepak wydał około dwunastu korcy z morga doskonałego ziarna, turnipsy, brukwie, buraki porodziły się tak ogromnie, że się sąsiedzi zjeżdżali, ażeby widzieć te dziwy, a jęczmień po okopowych roślinach dał ziarno tak obfite i tak dorodne, że jeszcze go Skiba nie wymłócił, kiedy go już zakupiono na browary, drąc się o niego i płacąc wyżej nad ówczesną cenę targową. Również nie mógł ón sobie nic zarzucić, tak co do zasiewów ozimych, które były w czas porobione, nie widziały ani kropelki deszczu i były jak najporządniej złożone w stodołach.

Ze służącymi i najemnikami przeszedł Skiba męki piekielne. Jakoż tu się dopiero dowodnie zacny nasz demokrat przekonał, że to nie chciwa zysków, butna a nieużyta arystokracja, nie nienawiść albo też niechęć rodowa przemawia wtedy ze szlachty, kiedy się ona skarży 'na teń lud wiejski i' z pełnym zastanowieniem przystępuje do wyświadczenia tych dobrodziejstw dla ludu, które kończą się mają, a które ją tak drogo kosztują; ale mówi z nich wtedy tylko własne ich doświadczenie, dokładna znajomość ludu i to Wrodzone ludzkie uczucie, które nie może rozlewać się z dobrodziejstwa - mi dla tych; którzy najpospoliciej i złe i dobre przyjmują z nieczułością kamienną. Zapewne, nie winien lud wiejski tej zdrętwiałości swojego serca?, winny temu ubiegłym wieki, winna może i sama szlachta; ale ta szlachta, na której ciążyą te winy, ..już oddawna spoczywa w grobie, a na tę, która dziś żyje, trochę za ciężkie te wielorakie pokuty! Cierpieć i cierpieć bez końca, drzeć resztę szat ni eden dartych na sobie i dzielić się niemi z uboższą braćmi, to jeszcze rzecz ludzka i to czyni szlachta; ale za takie cierpienia i poświęcenia być z jednej strony obryzgiwanym wyrzutami i błotem, a z drugiej spo- i tykać obojętność drewnianą, a czasem najczarniej-- szlachta niewdzięczność i nawet nie westchnąć i nie poskarżyć się na to—tego nikt nie potrafi, bć to, byłyby rzeczy nadludzkie. Nie potrafił też tego i Skiba, choć sam nie był szlachcicem, tylko wszedł w położenie szlacheckie. Ej! ileż-to razy natenczas on, tak łagodny i słodki i tak przywiązany do ludu, zgrzyta! zębami i wściekle połykał przekleństwa, kiedy mu trzeba było stu przynajmniej żniwiarzy, a wyszło ich pięciu lub sześciu? Zboże spadało z kłosa, czeladź wiejska zbijała bąki pomiędzy płoty i radowała się swoją swobodą, a na jego ginące plony nikt ani spojrział. Pobiegł Skiba sam na wieś:

Maćku, Bartku, Wojtaszku! owo siedzicie, ręce za pas włożywszy; chodźcie na pole, dostaniecie zapłatę! — Ba! kiej mi się nie chce—powiadał Maciek. Mam ja swoje zboże na polu, co mi tam do pańskiego!— powiadał Bartek, a Wojtaszek nawet się zaśmiał:—Ej! jak się to pany teraz kłopotą, przecie czas przyszedł i na was! — Ale zmiłujcie się—wołał Skiba — przecie się to nie godzi; Maćku, a czy nie dałem tobie dwa korce żyta, kiedyś marł z głodu w wiosnie i czyś mi nie przyrzekł odrabiać to w czasie żniwa? Bartku! a czyś ty nie wziął cztery korce ziemniaków, któreś winien do dziś dnia? Wojtku! a czym ja tobie nie wyjechał o wiosnie z dworskiemi pługami i czym cię nie poratował! Pomilkli na to na chwilę, a jeden z nich, poskrobawszy się w głowę, rzeki: — Juźci my pana także poratujemy, ale pierwej zrobimy sobie.— Zacisnąwszy czapczkę na uszy, Skiba uciekał wtedy, połykając łzy gorzkie, które mu się cisnęły do oczu. I z temi łzami stawał nad upadającym jęczmieniem lub żytem i myślał sobie... Czy powiedzieć, co myślał?—i pomyślał sobie:—Ej! żebym miał pańszczyznę! żebym ją miał przynajmniej póty, póki się z biedy nie wyrwę, póki się choć troszeczkę nie zapomogę, póki choć do połowy nie zaprowadzę mojej ośmiopolowej rotacyi. Zawczasem to podobno, za radykalnie, za nagle przeprowadzono tę wielką reformę! Gospodarstwa muszą podupaść, szlachta zniszczeje do reszty, a z nią i kraj cały. I wtedy* przypomniał sobie tę chwilę, kiedy to szlachta podpisywała petycję o zniesienie pańszczyzny. Z jakimże to zapałem, z jakim zaparciem się siebie garnęła się ona do dopełnienia tego

aktu, którym się swoją fortuną na połowę dzieliła z ludem. Skiba sobie przypomniał tę wielką scenę, znał on ją dobrze, ale dopiero teraz, kiedy sam na sobie doświadczył, o ile ta szlachta przez ten akt uszczupliła swych fortun, na jaką się naraziła ruinę, potrafił słusznie ocenić jej wartość. Jakoż od tego czasu całkiem innem on okiem zapatrywał się z tego względu na szlachtę. Wyrzeczenie się poddaństwa i wszelkich z niego płynących korzyści, wyrzeczenie się tego pochmurnego zabytku nieoświeconych wieków, było bez wątpienia jednym z najświętszych obowiązków szlachty, było ono obowiązkiem względem cywilizacyi dziewiętnastego wieku, a co ważniejsza, obowiązkiem względem tej chrześcijańskiej religii, którą wyznaje od tylu wieków, ale dopełnienie tego obowiązku było tak kosztownem, tak groźnem i niebezpiecznem dla jej własnego istnienia, iż z obowiązku się zamieniło w ofiarę, ofiarę wspaniałą i tak zaszczytną, jakiej napróżno szukalibyśmy może nawet w dziejach całego świata. Do takiego przekonania przeszedł dziś nauczyciel Karola—a lubo to się stało trochę za późno, jednak lepiej późno niż nigdy.

Owo więc Skiba, jakby na ukaranie za swoją <tak bardzo wrzącą i tak nieogłędną gorliwość o uwłaszczenie wiejskiego ludu, musiał z tym ludem przechodzić sam przez to wszystko, przez co przechodziła cała podówczas szlachta. Ale jak nad szlachtą, tak też i nad nim czuwała Opatrzność Boska i dała mu cierpliwość, skrętność a wytrwałość—a tak przecież o tyle sobie poradził, że z tego względu przynajmniej zbyt wielkim nie uległ stratom.

Nie gorzej powodziło mu się także i w domu. Sługi domowe, lubo jak zwykle, - krnąbrne, leniwe, niechętnie, utrzymywał on w posłuszeństwie. nie tyle surowością i grozą, na którą nigdy zdobyć się nie mógł, ile swoją własną pilnością, systematycznością; i pedantyzmem.; Najdoskonalsze to są środki na sługi, które, ..jako nasza nieodrębne rodzeństwo, wszystko przenieść potrafią, ale nudami dałyby się nakłonić nawet do samobójstwa. Miał tedy Skiba i, sługi porządne . i pracowite, i w ogóle w całym domu taki ład piękny, że wszystko się tam robiło, podług zegara; oczywistą rzeczą, że i wszystko . się wiodło. Bydło robocze, karmione według wagi: i mjary, a nigdy, nie przeciążane pracą, wyglądało; wybornie—krówki, choć zanedbane .niegdyś, dziwnie się poprawiły, a znaczną liczbą dorodnych cielątek sprawiała matce Karola swą okrągłością i wzrostem nieznaną dotąd pociechę. . Ze stu dwudziestu owie- . czek zrobiło się po dwóch leciach około trzysta, a wychowane przez Skibę jarki okazały się bez porównania lepszymi od matek. Nawet i konie, na których Skiba najmniej się znał, a każdego z nich oglądał z wielkim respektem i niezmiernie z daleka, także się poprawiły i pomnożyły do tego. stopnia, że -można było z nich znowu coś wybrakować. Dość, że we wszystkim widać to było jawnie, co może rozum człowieczy, co w gospodarstwie znaczy gruntowna nauka i jaką zasługę położyli ci znamienici mężowie, którzy rolnicze rzemiosło, miane jeszcze do niedawnego czasu za zajęcie zbyt niskie i nie wymagające żadnych umysłowych nateżeń, osadzili, na naukowych podstawach i przez to nietylko mu otworzyli drogę do przyszłości nieograniczonej i świetnej, ale już dzisiaj wyrobili dla niego jedno z n&j- zaszczytniejszych miejsc między zajęciami człowieka.

Tak wyglądało tedy owo' gospodarstwo w Za- wisłoczcu, które Skiba z takim * mozołem wymyślił i z taką pracą wprowadził - w życie! Ale nie dosyć' na tem, bo teraz każdy zapyta:—Jakież był tego gospodarstwa rezultat? jakież były dochody £

Że dochodów nie było żadnych, że po zaprowadzeniu takich zmian radykalnych już zaraz w drugim roku być wcale nie mogło, o tem zdaje mi się zaledwie potrzeba wspominać.

Lecz czy się to gospodarstwo opłacało, czy Skiba z jego powodu nie wlaźł w jakie kłopoty? Otóż io właśnie, że się nie opłacało, a kłopoty, w których się Skiba znalazł pod koniec drugiego roku, były zatrważające.

Jakież tedy były tego powody?

Oto pierwszy i główny powód był ten, iż radykalizm w gospodarstwie, radykalizm tak ryczałtowy a nagły, lubo w szczęśliwych okolicznościach może się doskonale opłacić każdemu kapitaliście, jednak szlachcica, nie mającego nic więcej oprócz -swego kawałka ziemi, prowadzi prosto do zguby. Gdyby Skiba miał o czem wytrwać przez tyle lat, na ile lat była rozłożona jego rotacya, chociażby zresztą dwa lub trzy lata mniej, to byłby pewnie z tryumfem wypłynął i przyprowadził Zawisłoczce do ogromnych dochodów. Ale to było niepodobieństwem, Albowiem przyjąwszy ten system dla gospodarstwa Zawisłockiego, powiększył wydatki, a na lat kilka wyrzekł się prawie całkiem dochodów.

I tak, w pierwszym roku zebrał, tylko jeden szczególny plon odpowiedni, to jest z poletka wziętego pod rośliny okopowe; w drugim roku zebrał plon tylko z czterech poletko w, rośliny okopowe, jęczmień, żyto i rzepak—a reszta poletków musiała albo leżeć odłogiem, albo, co gorsza, wydawała plony nie opłacające nawet roboty. Dochody w roku pierwszym były żadne, w drugim zaś nadzwyczajnie maleńkie. A tymczasem już w pierwszym i drugim roku nakłady na robociznę i całą administrację musiały być takie same, jak gdyby najodpowiedniejsze plony zbierano ze wszystkich kwater. Pociągało za sobą agronomiczne zasady, od których, kiedy już raz zostały przyjęte, nie podobna było odstąpić. Na taką administrację trzeba było dużo pieniędzy, których nie było. Tak trzeba było już na samym początku posprawić nowe gospodarskie narzędzia; bo jakże można przy racjonalnej uprawie orać sta-remi pługami, drapać po wierzchu niezdarnymi bronami, jak nie mieć walców, podskibników, ekstyrpatorów, kiedy te wszystkie narzędzia stały się już dziś niezbędnymi? Dalej, jak można nie mieć inwentarza roboczego tyle, ile wedle rozmiaru roli potrzeba? Trzeba było tedy kupować inne. Jak nie okopać pól, kiedy są niskie? jak nie kopać rowów po łąkach, kiedy są mokre? jak nie bronować i nie spopiołować tych łąk, kiedy są zamszone i wydają siano kwaśne, a mogą wydać słodkie? Już tedy rok pierwszy pochłonął wiele wydatków, wprawdzie według zasady niezbędnych, ale bardzo kosztownych. Ledwie nadeszła zima, okazały się nowe wydatki. Okazało się bowiem, iż pomimo najlichszych zbiorów ze wszystkich pól niesprawionych, zebrało się przecież paszy daleko więcej, niżeli jej mógł spopiołować własny inwentarz. Sto morgów łąk, dwadzieścia cztery morgi roślin okopowych i pokoszone ugory dostarczyły paszy niezmiernie wiele. Cóż tedy począć? Sprzedać połowę siana, to grzech śmiertelny przeciw przyjętej zasadzie; sprzedać ze dwa tysiące cetnarów buraków nie było komu—coż tedy począć? Trzeba było pożyczyć pieniędzy, a inwentarza nakupić. Manipulacja ta mogła być niezłą, ale to była już spekulacja, a Skiba był tylko agronomek; na tym inwentarzu nie wiele przyrosło; w przewidzeniu, że na drugi rok także taki sam zajdzie wypadek, zatrzymano go dla siebie, a tymczasem dług z procentami został na karku. Okazało się także, iż młócić cepami jest niepodobna, bo ani młocków na zawołanie dostać nie można, ani te zmłocki wymłacają tak jak należy. Sprawiono się zatem młócić jak tylko można najlepszą; sprawiono się do niej równie najlepszą siewkarnię, a chcąc ją ustawić gruntownie i systematycznie, przebudowało się z gruntu budynek. W następnym roku było odpowiednich zbiorów cokolwiek więcej, ale też i wydatków o wiele więcej. Jak bowiem nie robić dalszych rowów po łąkach, jak ich nie spopiołować, kiedy te doświadczenia odpowiedziały tak doskonale przeszłego roku? Okazało się również potrzeba niektórych nowych narzędzi, trzeba było nowe kupować nasiona, ceny robocizny podnosić, a przy tem ciągle i bezustannie naprawiać i podtrzymywać budynki, bo niepodobna im przecież dać upaść. Oprócz tego wszystkiego trzeba było żyć jeszcze, utrzymy-

wae dwór eały prawie tak samo jak dawniej, trzeba było opłacać raty Towarzystwa i opłacać podatki, w galopujący sposób podrastające. Na tó wszystko trzeba było niezmiernie wiele pieniędzy.

Temu całemu gospodarstwu Skiby przypatrywała się pułkownikowa z początku może z pewnem niedowierzaniem—lecz widząc, że ten poczciwy człowiek z taką skrętnos'cią, z takim poświęceniem, -a nawet z taką umiejętnością dla mej pracuje, uczuła się tak dla,niego ujętą, że nawet i pod. tym względem na ślepo mu zaufała. Jakie tylko miała pod ręką środki dostania pieniędzy, nie zaniedbała żadnego, ażeby mu,ich dostarczyć. Później, kiedy wydatki zaczęły się ciągle powiększać, trwożliwa o los swój staruszka za każdym razem zastanawiała się nad tem cokolwiek; ale jak z jednej strony już przez samą delikatność nie śmiała się Skibie sprzeciwić, tak znowu z drugiej już się podtenczas pokazywały jego pracy owoce, a te były tak dalece zadawalające, że nakłaniały ją tylko do tem większej ufności. Tak tedy pułkownikowa pomaleńku za- brnęła w długi, które będąc najrozmaitszej natury, składały razem sumę dość znaczną.

Ze swojej znów strony Skiba także się w swoich rachunkach nie pomału powikłał. Był on wprawdzie niezmiernie oględnym, nawet i skąpym; lecz na nieszczęście, nie miał żadnych finansowych talentów. Uczciwość, szlachetność, czystość, ze spraw pieniężnych, nawet najprostszyc, natenczas tylko bez szkody wychodzi, jeżeli jest uzbrojoną w rozum jak n aj trzeźwiej szy, doświadczenie lat wielu i lisią prawie Ostrożność. A jakże dopiero taka uczciwość

może wyjść tam, gdzie trzeba koniecznie łątać, sztukować, kręcić, ażeby i kredyt zachować i nie przeładować się procentami ? A w takim właśnie położeniu znajdował się Skiba, najpoćziwszy pod słońcem. Prócz tego, przez cale życie ubogi i nigdy ze znacznemi pieniędzmi nie mający styczności, jak z jednej strony nie miał wcale wyobrażenia o tem, jakimi sumami musi koniecznie obracać, ażeby takie gospodarstwo prowadzić, tak znowu z drugiej, mając wzrok wytężony tylko w ostateczny rezultat swoich teoryj, a nie zwracając dostatecznego względu na bieżące fazy jej przejścia, był w każdym kłopotcie zdania, że to już kłopot ostatni. Ztąd poszło, iż w każdym razie ratował się tylko chwilowo, z czego oczywiście skutek wyniknął taki, iż wprawdzie się nie spętał jednym grubym postronkiem, ale się opiął całemi setkami cienutkich nitek, których wszakże było tak wiele, że byłby z nich wcale dosadny postronek. Włazł on tedy w najrozmaitsze zaległości kupieckie i rzemieślnicze i w niezliczoną moc dłużników żydowskich — a przytem w tak nie- rostopny sposób pońadbierał dochody z propinacyi, młyna i t. d-, tak nedorzeczne pozawierał umowy z kupcami lasu, zboża i tym podobnych produktów, że nareszcie już sam nie wiedział, komu co winien i ile długi kosztują.

Nie przywiązując jednak zbyt wiele wagi do tych drobiazgów, a pamiętając tylko o tem, ile mu w tym lub owym roku przyniesie rzepak, koniczyna, pszenica, brnął coraz dalej w te sieci, które sam sobie zgotował.

- Tak się miały te rzeczy pod jesień drugiego

roku. O tej porze nowy kłopot opętał biednego Skibę. Oto, zebrawszy z pola, przekonał się, że w tym roku ma znowu tak wiele paszy, iż jej swym inwentarzem nie nakarmi. W roku minionym spał taką nadwyżką paszy inwentarzem drobnym i przezkupionymi krowami, ale to się nie opłacało, bo inwentarz drobny nie wiele zyskał, a krowy, lubo niezmiernie wiele dały mleka, jednak to mleko nie miało odpowiedniego nabywcy. Rozważywszy tedy tę sprawę przyszedł do przekonania, U najlepiej uczyni, jeżeli woły postawi na stajni, ale na kupno wołów trzeba było dług nowy zaciągnąć, a na zaciąg - gnienie takiego długu trzeba było zezwolenia pułkownikowej. Trwały o to dość długie dyskursy, bo staruszka była zdania, ażeby sprzedać zbyt paszę tak jej się to zdawało naturalnem, tak korzystnem, tak nawet w tych ciasnych okolicznościach koniecznem; ale na przedstawienia Skiby, że to na żaden sposób nie może być, bo w takim razie braknie na przyszłą wiosnę nawozu, w skutek czego cały system dotychczasowy zostanie zburzonym na zawsze—zezwoiła nareszcie, zwłaszcza, że jej nieboszczyk rónp takie karmił woły co roku i zawsze na nich zyskiwał.

Ale i dług zaciągnąć poiówczas, a jeszcze do tego tak znaczny, nie przychodziło z taką łatwością jak dotąd. Były to pod tym względem najfatalniejsze czasy w Galieyi Zły stan finansów państwa, nagłe zniesienie pańczczyzny, a ztąd równie nagły upadek wszystkich większych gospodarstw, o których jeszcze nie można było nic pewnego powiedzieć, a trzeba się było najgorszego spodziewać, zmniej-

n

szyły do niepoznania wszelki obieg gotówki, przez, co wszystek kredyt prywatny tak bardzo się zachwiał, iż właściciele kilku wsi nie byli częstokroć* w stanie pożyczyć tyle pieniędzy, ile im trzeba było na opędzenie bieżących wydatków, ubożsi zaś żyli krupami i mąką, nie mając za co kupić mięsa. Nic nie przesadzam w tem sprawozdaniu, jest to prawda najrzetelniejsza. Skiba tedy, lubo się rzucał i tu' i owdzie, nigdzie nie dostał pieniędzy; jakoż już zaczął tracić nadzieję.

Ale już to jakoś tak jest na tym świecie, że kiedy kto biegnie w przepaść, to chociaż mu czasem stanie na drodze jaka przeszkoda, zawsze się znajdzie jakiś dobrodziej, który tę przeszkodę usunie, W czasach największego braku kredytu, kiedy żaden rzetelny człowiek nie dostanie pieniędzy, ten, który ma długów po uszy i już się tylko dorzyna, zawsze ich zkąd dostanie. Czy to pochodzi ztąd, iż takiemu jest pilniej, a więc i lepiej szuka, nie ogląda się tyle na wysokość prowizyi, zaczem i znajdzie; czy stąd, że zawsze się chętniej tam garną lichwiarze, gdzie trupa czują, niżeli tam, gdzie widzą zdrowie i siły—sam nie wiem, ale tak się to dzieje. Cokolwiekbądź, kiedy się Skiba tak za pieniędzmi zwija napróżno i już rozpaczał, nie jadł, nie pił i nie sypiał po nocach, zjawił się w Zawisłoczcu pewien człowiek, który mu zaraz poradził.

Był to z pozoru, nie człowieczek, ogromny wzrostem, barczysty, silny, czerwonej twarzy i owych oczek maleńkich siwych, które w tłuste policzki zapadły bardzo głęboko, lecz niezawodnie ztamtąd widziały bardzo daleko. Był on niby dzierzawcą-

Borówki, wsi szambelana z Zawisłoczem granicznej, lecz. w rzeczy tylko jego ekonomem i totumfackim, z pozwoleniem używania tytułu dzierżawcy przez wzgląd na długoletnie* zasługi i niektóre ważniejsze sprawy, do których był używanym, a które wymagały więcej niż ekonomy. Człowiek ten nazywał się Kacki.

Owo więc ten Kacki przyjeżdżał często na grubopłaskim mierzynku na zawisłockie pola i przypatrywał się pilnie przedsiębranym na nich robotom. Spotykał on się tam prawie zawsze ze Skibą, a wtedy wypytywał się go jaknajciekawiej o jego gospodarskie zasady, oglądał narzędzia, zagony, zasiewy, plony i chwalił to wszystko niezmiernie. Człowiek ten, najpospolitszy i nieoświecony, byłby wcale obojętnym oświeconemu nauczycielowi Karola — ale że chwalił bezwzględnie wszystko, co Skiba zrobił, a jego rozumowi nie mógł się nigdy dosyć nadziwić, Skiba, człowiek tak słaby jak wszyscy inni, rozmawiał z nim chętnie i nieraz w sprzedażach jego pośrednictwa używał. Później zabrał z nim bliższą znajomość, a znalazłszy w nim człowieka wcale usłużnego, pieniędzy od niego pożyczał, których mu ten lichwiarz, ukryty zawsze, przez swoich żydków dostarczał, potem za niego wypłacał, znów przekazywał na żydów, lecz zawsze z tak małą dla Skiby szkodą, że mu nigdy nic nie mógł zarzucić.

Otóż ten człowiek zjawił się teraz już nie na polu, ale we dworze i poszedł prosto do Skiby na basztę. Kiedy go Skiba w terażniejszym swoim (usposobieniu obaczył, prawie się go przestraszył, Łył mu bowiem winien jakąś sumkę, niewiel

f] ką wprawdzie; ale miał kasę zupełnie próżną. Jakoż mu się zaraz usprawiedliwił. Ale imie Kacki ani sobie dał mówić o gospodarstwie, z ką łatwo przeszedł na kwestyę paszy i oczywiście zakończył na tem, że w Zawisłoczcu jest tyle brukwią buraków, rzepy i siana, że możnaby mieć piękny grosz za to, gdyby było co karmić. Zabłysnęła Skibie jakaś nadzieja, jakoż zaczął mówić o swoim z tego względu kłopotcie — niebawem też ta nadzieja się zupełnie ziszczyła, bo Kacki mu po prostu oświadczył, iż nietylko gotów postarać się o pieniądze dla niego, ale co lepsza, ma óh u siebie około ośm- dziesięciu wołów, które mu gotów odstąpić.

Me przewidział Skiba tych sideł haniebnych, jakie tu zastawiono na niego i dał się w nie jaknajłatwiej uławić. Jakoż pojechawszy w ten moment z Kaekim do Borówki, wszystkie te woły bez namysłu zakupił. Mając zaś głowę nabitą tylko tem szczęściem, które mu się trafiło, nie tylko nie zważał na to, iż za duże pieniądze kupował woły liche, wązkie, o cienkich kościach i tak wyskrzypane robotą, że wykarmienie ich było zaledwie podobnem, a w najlepszym razie musiało się stać niezmiernie kosztownem — lecz prócz tego zapłacił je jeszcze weksłami, z terminem tak krótkim, że go tego czasu na żaden sposób nie mógł być w stanie wydobycia tej sumy z tych wołów.

To też się stało grobem dla niego, w którym się sam własną ręką położył. Jeszcze być może, że gdyby się był trzymał samej roli, w której był silnym i mógł być jako tako praktycznym, byłby z czasem przez oszczędzenie się w wydatkach, przez od-

stąpienie chwilowe od niektórych zasad, przez podniesienie się cen produktów, które w samej istocie już się zaczęły były podnosić, możeby przebrnął to błoto, a przynajmniej w niem nie utonął; ale tak słaby w administracyi, rzucił się jeszcze do speku- iacyi; oczywiście, że musiał grób sobie wykopać i zginać.

Jakoż istotnie, zaledwo te fatalne woły stanęły na stajni, zaczęły się pomалу pokazywać znaki śmiertelne. Żydzi to wiedzą najlepiej, kiedy mogą swe kapitały jeszcze nadać zostawiać, a kiedy już

0 nie upominać się trzeba. Teraz zaczęli się jawić kolejną i dziwnie natarczywie nalegać.

Skiba był prawie w rozpacz. Godził się z nimi jak mógł, wypłacał procenty zbożem, drzewem i rozmaitemi zobowiązaniami na przyszłość, pożyczał gdzieindziej, a tu oddawał, lecz przez to tylko się ratował chwilowo

1 oczywiście wikłał się jeszcze tembardziej. A tymczasem się rzucał na wszystkie strony za środkami pomocy. Natenczas rzucił się on także do dłużników pułkownikowej, których przez dobroć serca oszczędzali dotąd oboje; ale i to nie pomogło. Pocziwego i czulego na ludzkie nieszczęścia Skibę umiano wszędzie schwycić za serce — i nigdzie nic nie oddano. Po powrocie do domu, znów przyei- sniony przez wierzycieli, powytaczał dłużnikom procesy — a te procesy to nie pieniądze. Rzucał się po kolei do obywateli, do sąsiadów, do żydów i zgoła wszędzie, gdzie tylko jakąkolwiek przeczuwał gotówkę — ale już wtedy cały świat wiedział o wikłani- nach, w jakie się Skiba wplątał, wiedział nawet da leko więcej, aniżeli było w istocie, a ztąd najlepsi zaledwie politowaniem odpowiadali na jego prośby.

Doszła nareszcie całkowita wiadomość o tym fatalnym stanie do samej pułkownikowej, skonfrontowano długi, zestawiono je razem — a wtedy piekło zrobiło się w domu. Poważna i świątobliwa matrosa, która przez całe życie widywała żydów tylko w postaci żebraków, płoszących przez drzwi o jaką łaskę, kiedy ci żydzi zaczęli włązić do jej komnat spokojnych i wykadzonych, kiedy się zaczęli upominać o swoje należności z natarczywością żydowską, ba, grozić skargami, procesami, a nawet i uwięzieniem — pocziwa matrona wpadła w rozpacz ostatnią. Zrywała się biedna staruszka, przyprowadzała się kosztem własnego zdrowia do przytomności, ażeby jakieś środki ratunku wymyśleć, zdawało jej się bowiem niepodobieństwem, ażeby przy długach nie wynoszących więcej jak dwie piąte części całego majątku, nie było już żadnego ratunku; ale jak Skiba, utraciwszy w tej nowej około weksłów i długów rotacyi, resztę swej przytomności, nie umiał już wpaść na tę drogę, na której się można było ratować — tak ona, lubo chwilowo do przytomności wracała, jeszcze tem mniej się mogła domyśleć tej drogi, na którą zresztą kogobądź mogły wprowadzić tylko zmysł bardzo zdrowy i nadzwyczajna energia. Było tedy piekło w ich domu. Staruszka chorowała, płakała, poszcząc i usiłując całonocnymi modlitwy wyżebrać sobie miłosierdzie u Pana Boga — a Skiba był jak żebrak-kaleka, którego zgraja psów rozwścieklonych opadła. Klócił się z nimi, opędał się im na wszystkie strony, pożyczał, ale przez to

tylko się jeszcze mnożyły długi i mnożyli się wierzyciele. Dwór zawisłocki wyglądał wtedy jak :kar - czma zajezdna dla żydów i 'innych spjkjlantów podobnych.— stan rzeczy widocznie się coraz pogarszał—i był to wtedy już mement ostatni dla przyjazdu Karola. Kilka miesięcy odwłoki jeszcze — a zastałby pewnie wszystkie dobytki rozdrapane przez wierzycieli, Skibę w więzieniu za długi, a matkę może na katafalku...

Tymczasem Karol siedział przez ten czas cały prawie ciągle w Paryżu. Szczegół ten dobrze przewidział Skiba. Paryż jest dla każdego Słowianina tem, czem światło dla émy. Nie chcemy przez to wcale porównywać Słowian do émów, ale że Paryż jest światłem, że nawet pod wielu względami jest słońcem terażniejszego świata, o tem nie ma wątpienia. Lecieć do słońca, niezły to smak, byle tylko nie po to tam lecieć, ażeby sobie skrzydła osmalić, wlokącym się krokiem do domu wrócić, a z całej podróży przywieźć tylko tę korzyść, ażeby można powiedzieć: byłem i ja tam. Skiba, jak wiemy, podejrzewał swojego ucznia i o to; ale co w tem, to się cokolwiek omylił.

Zdarzało to się niegdyś i bardzo często, ale dziś już się prawie całkiem nie zdarza. Młodzież tej warstwy, co Karol, im młodsza, tem więcej niepodobna jest do swych poprzedników. Ani jej krew tak gorąca, ani fantazyja tak bujna, a o skłonności

do szaleństw, u niej zaledwie wyjątkowo może być mowa. Nie rozumiem koniecznie, ażeby w tej młodzieży już z rodu temperament był inny; ale rzecz pewna, że jakoś dziwnie prędko się zmysł praktyczny w niej budzi, a nieraz może nawet zanadto (prędko otwierają się oczy na to, co jest korzystne a co niekorzystne. Niech] mi kto powie, który to z dzisiejszej młodzieży czemubądź się oddaje z tą wrzącą miłością i poświęceniem, która całą istotę człowieka porywa z sobą i chłonie? — prócz gospodarstwa i interesom, na których zazwyczaj się znają tak dobrze, że dnia dzisiejszego prawie zawsze łatwiejszą jest każda zmienna sprawa ze starym, aniżeli z młodym. Nagi, trzeźwy, liczebny realizm dziwnie Wziął górę nad wszystkim — dzisiaj już sobie prawie całe pokolenie wychował.

. Wszakże narzekać na to, wymyślać, płakać, albo co gorsza, rozumieć, że zapieckowem gderaniem można taki stan rzeczy odmienić, byłoby równą niedorzecznością, jak te płaczące dodatkowych, choć wcale niedodatnich krytyków i korespondentów gderania, że w literaturze** dzisiejszej nie rodzą się same Szekspiry.

Nie wiem zaprawdę, coby z nowymi Szekspirami robili, kiedy tamtego jeszcze nie zrozumieli, jak to widać dowodnie z ich krytyk, ale to śmieszne jest i podaje ich w podejrzenie, jakoby się własno- wolnie wyrzekali rozumu. Aby nie wpaść w taką samą śmieszność, nie będziemy się wcale rozwodzić z żałami nad tern, że umysł /dzisiejsze tak trzeźwe i że chłodny realizm tak bierze górę nad wszystkim. Natomiast zaś, widząc w tym zwrocie narodowego geniuszu takie samo dzieło Opatrzności, jakim był także ten wulkan poezji i wszelkich uczuć gorących, który wybuchnął przed trzema lat dziesiątkami, chcielibyśmy dopatrzeć w tem Opatrzności zamiarów, coby było daleko pożyteczniejszem, bo by nam dopomogło do tego, żebyśmy się do nich zastosowali.

Otóż, zastanawiając się nad tem uważnie, przychodzimy do przekonania, że chwilę tak trzeźwą dała nam na to Opatrzność, ażebyśmy po wielkich i bardzo kosztownych trudach, po wysileniach, kon- wulsjach nawet i konwulsyjnych miotaniach, przez któreśmy przeszli w dwudziestoleciu, kończącem pierwszą połowę dziewiętnastego, wypoczęli cokolwiek, rozpatrzyli się w naszej przeszłości i uczynili rachunek sumienia. Trzeźwość ta, która nas przy tem zatrudnieniu objęła, przynosi nam wprawdzie niemałe szkody: ci, którzy nie umieją albo nie czują potrzeby obliczać się z grzechami, tak się zatapiają w rachunkach pieniędzy, że idą w kupcy i żydy; ale dla kilku niesprawiedliwych nie zgubi Pan Bóg Ni- niwy, a chwila taka niezmiernie nam jest potrzebną. W niej bowiem spoczniemy, nabierzemy siły, spotęż- niejemy moralnie—a jeśli się przytem zapomożemy także i materialnie, to po tych stratach, któreśmy dopiero ponieśli,, a z których jeszcześmy się nie otrzęśli, wcale nam to nie zaszkodzi. Czyż nie jesteśmy jeszcze zawsze najuboższym ze wszystkich europejskich narodów? — A zresztą, ta chwila trzeźwości jest razem, jak to z pociechą widzimy, i chwilą cichej, spokojnej, gruntownej pracy. Taka praca była nam dotąd, choćbyśmy w ten rachunek

wzięli całe dzieje, prawie obcą zupełnie. Na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się dorazowe, na wojnę, choćby śmiertelną, stać było nas każdego czasu, ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwałą pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codzień przez całe życie, nigdyśmy nie umieli. Chwila tak- trzeźwa, jak jest dzisiejsza, może nas bardzo tego nauczyć. Powinna tego nauczyć — i w samej istocie już uczyć zaczyna, jak tego widoczne są ślady. W Bogu nadzieja, że z każdym dniem będzie ich więcej, a skrzętna, wytrwała, nieustająca praca, do jednego wiedziona celu, stanie się hasłem powszechnem. Jakoż jeżeli nam dzisiaj czego braknie, wcale nie wrzących, serdecznych, rozpaczliwych wybryków, ale właśnie jakiegoś trzeźwego, silnego, górującego głosu, któryby zabłysnąwszy zdrowego rozsądku słońcem, resztki zbłąkanych i chorowitych chmur rozpędził, wijące się między nami, a na dnie realizmu osiadłe robactwo podeptał, półgębki zamknął, usta mówiące otworzył i tym sposobem szeroki, bity a presty zarysował gościniec, po którymby nas do naszej przyszłości mogła prowadzić nasza praca pospólna. Tak my rozumiemy te czasy—i zdaje nam się, że w rozumieniu naszym nie mijamy się z prawdą.

Owo więc Karol, jak się o tera wspomniało powyżej, pojechał wprost do Paryża. Należał on wprawdzie wiekiem już do tej trzeźwiejszej warstwy, o której mowa, lecz pacholeństwem swoim zasięgnął jeszcze czasów wybujałego marzenia, zaczem i zachowanie się jego w Paryżu nie mogło pójść torem jego rozmyślnych następców. Rozbity zresztą w swem wnętrzu, bez zasad wyrobionych i pewnych, bez drogi przed sobą wytkniętej, bez znajomości statecznych, a do tego młody, żywy i zaopatrzony w daleko większy dostatek środków, aniżeli mu go było potrzeba, wpadł on, jak wielu innych, w tę jadowitą paszczę Paryża, która tak łśni i błyszczy i porywa ze sobą i tak gościnnie jest otwartą dla wszystkich.

Jak długo się kręcił w tym Wirze, dokładnie nam nie wiadomo.

Rzeczą jednak jest pewną, iż przejrzał jeszcze dosyć zawczasu przez róż i bielidła, ażeby jasnymi zobaczyć oczyma, że wstąpiwszy do jednego z najpiękniejszych tegoczesnego świata ogrodów, pominął kwitnące klomby, zielone kioski i wspaniałe świątynie, a wlaź w najbrudniejszą kałużę. Cofnął się wtedy, straciwszy wprawdzie na to doświadczenie niezmiernie wiele pieniędzy, ale na szczęście swoje, prócz tego nie wiele więcej.

. Po dokładniejszym rozmyśle zaczął z coraz większym niesmakiem patrzeć na ten czas utracony tak marnie, ale zarazem jął się rozglądać, gdzieby się miał teraz obrócić, ażeby się powtórnie na taki sam zawód nie narazić i tamten, ile możliwości, naprawić.

Pełen jeszcze dotychczas tej reakcji, która w nim zaszła po jego pierwszym rozbiciu, pełen głębokiej niechęci dla zasad demokratycznych, a rozmarzony prawie w zasadach im przeciwnych, zaczął on szukać ludzi takiegoż samego usposobienia.

Ale natenczas zaledwie ich można było zna

leżąc w Paryżu. Obóz ten, do niedawna tak liczny, rewolucja rozbiła, Rzeczpospolita nie dopuściła, a prezydentura rozproszyła zupełnie. Błąkały się jeszcze tylko jego ostatnie rozbitki. Kilka salonów? które jeszcze pozostały w Paryżu, a do których Karol wstęp zyskał, nie mogły go zadowolić pod żadnym względem. Zastawał on wszędzie tylko ból, smutek i odętnienie, rzeczy ani zabawne, ani nauczające. Salony inne, arystokracji, nowej i sztucznej, kupieckiej, pieniężnej i tym podobnej, nie tylko nie obudziły w nim żadnego do siebie pociągu, ale przeciwnie odrażę. W zielonym i dopiero co zawiązanym owocu nikt nie może smakować. Ludzie ci, każdy z osobna, mogą być bardzo szanowni, zacni i znamienici, ale ze swoją pretensją lepszności en Moe wydali się oni Karolowi czemś niesłychanie niesmacznym, najniezwyklejszym wynalazkiem dziewiętnastego wieku. Pomiędzy nimi też on wcale towarzystwa nie szukał.

Ale nie mogąc znaleźć zajęcia, pomiędzy ludźmi oddanymi towarzyskiemu życiu, a dzięki wychowaniu odebranemu od Skiby, czując jego potrzebę konieczną, szukał go kędy indziej, a i niedługo potrzebował go szukać w Paryżu. Jakoż niebawem zwrócił swoją uwagę na to, co w tym mieście zawsze jest znamieniem i świetnym i zawsze niem będzie, jakiegoby panowały opinie polityczne i rządy. Są to nauki i na ich cześć urządzone zakłady. Zakłady te, bez porównania bogatsze od najbogatszych śląego ładu, sprawiły na mnie niezatarte wrażenie; ale prelekcje porwały go prawie i uniosły ze sobą.

Nieźródnanne przymioty, któremi błyszczą wszystkie tamtejsze akademickie wykłady, chociażby treścią ich były najściślejsze i najsuchsze przedmioty, ten wdzięk wymowy, ta jasność, płynność i przystępność wykładu, są w samej istocie nieominioną matnią dla słuchaczy wszelkiego usposobienia i wieku. Jakoż i Karol, jak tylko kilku się przysłuchał prelekcjom, już się od nich nie mógł oderwać. Całe dnie trawił, połykając z nieugaszoną pragnieniem te bogate strumienie wiedzy, tak jędrne i zdrowe, a z taką łatwością się podające pojęciu. Nawet z początku tak się był rozłakomił, tak rozsmakował w tem biesiadnictwie duchowem, że zarówno połykał wszystko, co mu się tylko nawinęło 'pod rękę i do czego czasu mu wystarczało. Wszakże pomału przyszedł do przekonania, że jest to także tylko swawola, chociaż najmniej szkodliwa, ale zawsze, jak każda swawola do niczego nie prowadząca. Pomyślał tedy o jakimś ładzie w tem napawaniu się wiedzą, o jakimś trwałszym i stateczniejszym z tego pożytku. Już ta myśl sama była krokiem niezmiernie ważnym w jego rozbitym życiu. Przyniosła mu też ona ten nieoceniony pożytek, iż idąc za nią, a wybrawszy sobie historję powszechną i historję literatury, nauki tak sobie zbliżka pokrewne, wcisnął swoje porozstrzelane myśli na pewną ubitą drogę, na której z każdym dniem więcej bogacił swój umysł, a co ważniejsza, wdrażał go w światy, wymagające koniecznie głębszego i stalszego rozmysłu. Jakoż istotnie przy tak poważnej, a przytem gorliwej pracy, jego duch zaczął nabierać coraz jaśniej świadomości siebie samego, spajać się z sobą, mężnieć i twardnieć i wynosić się

na stanowisk©, daleko wyższe, aniżeli - go dać może jakaś kapryśna miłość albo nienawiść, jakaś tak ciasna zasada, jak demokracja albo arystokracja, lub tym podobna inna teoria partykularna, czy to odziedziczona z przeszłości, czy dopiero dziś wymyślona.

Wszakże ta praca poważna, dokonywana w towarzystwie całego zbiegowiska młodzieży, nastęczyła mu także nieuniknioną sposobność przypatrzenia się zblizka ludziom, li tylko pracy oddanym. To wprowadziło go także i w cały świat ten, tak pracujący i pracowity, stanowiący najznacniejszą część populacji Paryża, a tak mało znany przez cudzoziemców. Było to także niemałą dla niego korzyścią. Tu bowiem dopiero zobaczył on rzeczy, o których dotąd nie miał pojęcia i tu dopiero poznał dokładnie, na jakiej to drodze Francy a przyszła do takich doskonałości pod każdym względem i dlaczego to ona dziś tak góruje nad światem. Hojnie zapewne naturą uposażyła Francuzów, dając im bystrość pojęcia, umysł niezmiernie giętki, a do tego ten humor nieoceniony, który w najtwardszych nie opuszcza ich losach, ale tych samych darów nie odmówiła także natura narodom innym, przynajmniej nie odmówiła im w zupełności, czemu my sami może najlepsze ze wszystkich dajemy świadectwo. Jednak te dary natury, chociażby najobfitsze, pozostawione odłogiem, na nic się przydać nie mogą, czemu my także dosyć dobitnie dajemy świadectwo. Jakoż o tej niezmordowanej pracy, o tej wytrwałości kamiennej, o cierpliwości nadludzkiej, o tem wyłącznem poświęceniu się wreszcie obranemu raz zawodowi, mo że dokładnie powziąć wyobrażenie ten tylko, kto wszedł pomiędzy te ciche i umyślnie przed ludzkim •okiem schowane przybytki pracy i naocznie się temu przypatrzył. Karol nie wahał się wchodzić w te ubogie zakątki i wynosił ztamtąd codziennie niezatarte na całe życie wrażenia. Nabrał on razem poszanowania dla pracy, uczucia zaledwie znanego u nas, przekonał się, co może poświęcenie się i wytrwałość, a co jeszcze ważniejsza, zrobił to spostrzeżenie, iż w narodzie zdrowym, silnym, żywotnym, każdy człowiek ma jakiś swój zawód wyłączny, jakieś rzemiosło, które spawując, i sam się staje walnym członkiem społeczeństwa swojego i przyczynia się do utrzymywania tegoż społeczeństwa w sile żywotności i wzroście. Wyjąwszy niewielką liczbę pasorzytów, których nigdzie nie braknie, każdy tam człowiek jest czemś, każdy dźwiga na sobie część społecznego ciężaru, każdy jest jakimś czynnym organem całości, a tym sposobem bezładne kędy- indziej mrowisko ludzi jest tam społeczeństwem, jest spójnym,, jednym i silnym narodem. Spostrzeżenie to naprowadziło go na jeszcze poważniejsze, a raczej dokładniejsze myśli o sobie, jego, który cokolwiekby przeciw jeszcze zawsze był niczem i nie obrał dla siebie żadnego zawodu. Jest to zapewne nie bardzo dobrze, jeżeli o obraniu zawodu aż myśleć trzeba. Kto wskutek rozmysłu dopiero obrał zawód dla siebie, ten może wprawdzie wywiązać się dosyć znośnie ze swego zadania, ale do znamienitych rezultatów rzadko on doprowadzi. Tylko ten, który się, że tak powiem, urodził już z obranym dla siebie zawodem i kiedy przyszedł do roz

poznania się z sobą, ani sobie mógł wyobrazić, ażeby mógł zostać czem innym, jak tylko tem, co od dzieciństwa nosił w sw\$ m sercu, jest prawdziwym człowiekiem zawodu i pewnie go dopełni świetnie i niepospolicie. Ale kiedy komu takiego przyniesionego z sobą zawodu brakuje, co zresztą bywa najpospolitszym wypadkiem, dobrze jest, jeżeli się nad jego obraniem namyśli. Tak zrobił Karol i długo myślał... ale nic nie wymyślił. I nie dziwna to wcale. Nie wiele jest takich zawodów, któreby dla nas były otwarte, a te, które takimi są, przynoszą z sobą najczęściej wymagania tak trudne, że zaledwie podobna wobec nich się nie zachwiać. Ze wszystkich tedy zawodów pozostało mu gospodarstwo, które go nie mogło zniewalać myśleć inaczej, a działać inaczej, obiecywało pożądaną swobodę, a które zresztą miał już gotowe. Jakoż na ' to się zdecydował. Zaczął tedy natychmiast słuchać prelekcji fizyki, chemii i nauk innych, wyższych i niższych, a z jego przyszłym zawodem styczność mających* Miał on już dzięki staraniom Skiby nieobojętne ele- menta tych nauk, zaczem nie trudno mu było wcale do nich przystąpić i zapoznać fsię z niemi gruntownie. Nauki te trwały blisko półtora roku, a ten czas zbiegi mu tak prędko, tak lekko, a na dobitkę jeszcze tak go mało kosztował, że wtedy nieraz, przypominając sobie, jak drogo zapłacił za zabraną znajomość z tą właśnie stroną Paryża, która nie była warta ani złamanego szeląga, lzy mu stawały w oczach i nie mógł sobie nigdy tego grzechu darować...

Pod koniec lata drugiego roku swego pobytu

w Paryżu, zaznajomiwszy się już z teoryami, na których się gospodarstwo dzisiejsze opiera, wyjechał Karol na prowincję, a ztamąd do Anglii i Szkocyi, ażeby się zastosowaniu tychże teorii przypatrzeć. Co tam widział, nie będziemy tu opisywać, są na to osobne książki. To jednak musimy dodać, iż. obejrzawszy te arcydzieła, w których teorya tak świetnie nie objawiła w praktyce, nie uważał ich przecież za rzeczy, któreby można tak samo wprowadzić w życie u nas. Do przekonania tego przyszedł on mianowicie przez pilne rozważenie warunków, które istnieją np. w Anglii, a które, tylko one, jedynie, są w stanie zapewnić powodzenie tak śmiałym krokom postępu gospodarstwa rolnego i gałęzi przemysłowych z niem połączonych. Pomiedzy warunki te policzył najpierw wysokość cen tamecznych nie niezmierną, bo przeciw spadkom zbyt znacznym ubezpieczaną zmienianemi wedle potrzeby Ustawami celnemi. Jako drugi szczęśliwy dla rolników warunek, uważał tamtejszy stan atmosfery, który mniej więcej jest stałym, a nigdy tak bardzo zmiennym, ażeby produkcyja, zamierzona z wielkim nakładem, mogła jeszcze na pniu uledez zniszczeniu skutkiem nieprzewidzianych przypadków, Trzecim, również szczęśliwym warunkiem, zdawał mu się być stosunek tamtejszej ludności do przestrzeni roli pod uprawę przyjętej, skutkiem czego robotnik jest zawsze pewny, robotnik zapewne drogi, ale tak zręczny, Sumienny i pracowity, że się sownie wypłaca za odebraną nagrodę. Wziąwszy jeszcze na- koniec w rachunek tamtejszą opiekę rządu, liczbę rolniczych szkół i zakładów, rolnicze banki, policję

polową, drogi komunikacyjne w najlepszym stanie i t. d., nie tylko nie dziwił się temu, co zastał, ale dziwiłby się być musiał, gdyby przy takich warunkach rolnictwo nie było się wzniosło do tego stopnia doskonałości i jeszcze ciągle się nie wznosiło.

Lecz u nas, mianowicie w Galicyi, gdzie ceny zboża są zdane na opiekę przypadku, zawsze są niskie, a czasem nawet zupełnie żadne—gdzie atmosfera jest tak niepewną, grady takie dosadne, a śloty nieustępujące ani na jotę gradom, gdzie wiatry karpackie tak nieraz wściekle hulają, a mgły, osobliwie, nad brzegami rzek, między wzgórzami, nie- odbitą rdzę z sobą przynoszą,—w Galicyi, gdzie stosunek ludności do obszarów roli jest tak; niezmiernie małym, robotnik nigdy pewny, a zawsze niezręczny, leniwy i niesumienny—u nas nareszcie, gdzie na opiekę nad rolnictwem czas jeszcze nie przyszedł, na szkoły nas nie stać, banków rolniczych choć najtrafniejsze projekty na trudności trafiają, a policji polowej jeszcze nie masz wspomnienia, a drogi komunikacyjne dopiero się robią—u nas można za ledwie westchnąć za takim stanem rolnictwa, jakim się cieszą Anglia, Belgia i Niemcy, ale o wprowadzeniu go w życie, choćby przy chęciach najlepszych, nawet nie można pomyśleć.

Tak sobie Karol wiadomości nabyte o gospodarstwach tamtejszych zastosował do swego kraju i z takim zdaniem wrócił do Francji. Zdanie to było zapewne dość trzeźwe, jak na młodego, bo któż sztandary postępu wywiesi, któż zardzewiałe przesady zetrze i nowe wprowadzi rzeczy, jeśli nie

młodzi! — lecz niemniej przeto zdanie to ciężką go napoiło goryczą. Smutno jest bowiem czuć w sobie siły, mieć chęci, mieć i środki pod ręką, a wiedzieć, że wszystko to skutkiem barbarzyńskiej a nienawistnej przemocy, jest na bezczynność wskazane. Nawet chleb nasz powszedni, naszą własną wydo- wywany pracą, jest ściśle ograniczony wagą i miarą, ażebyśmy się nie przesyłili przypadkiem, ażebyśmy nie przyszli broń Boże! do zbyt dużych zapasów. Gorzkie to przekonanie! Poniżej ono, przynajmniej umysł i prawie koniecznie do ospałości zniewala. Takiemu uczuciu uległ także i Karol — a to uczucie jego jeszcze daleko więcej zgorzkniało, kiedy sobie rozmyślił, jakie to jest stanowisko dzisiejsze obywatela w Galicyi. Wspomnienie to otworzyło drogę jego melancholicznym myślom o upadku szlachty w tej nieszczęśliwej prowincji. Szlachta ta, rozbita dwiema rewolucjami moralnie, zniszczona materialnie, przebywa dziś jakoby w kleszczach podwójnych, które ją cisną z góry i z dołu. Straciła dawne swe przywileje, i nie tylko, że nie dostała nic za to, lecz jeszcze pod niektórymi względami nie wolno jej używać nawet tych prerogatyw, jakie służą właścicielom gruntów włościańskich—odebrano jej stanowisko dawniejsze, nie nadawszy żadnego nowego—a ztąd jej dzisiejsze istnienie, wszystkie stosunki tak społeczne, jak urzędowe, które ją otaczają, są tylko masą nieoznaczonych przypadków, zawisłych od złej albo dobrej woli urzędów. O ile życie w takich okolicznościach jest nieprzyjemnym i trudnym, Karol jeszcze nie wiedział, lecz się domyślał — a to go od zajęcia się

gospodarstwem odstrężyło stanowczo i ostatecznie. Jakoż porzucił tę myśl z żalem i smutkiem, ale z determinacją.

Czy dobrze zrobił, czy tak był zrobić powinien, przyszłość dopiero okaże. Ale on o przyszłości wcale Jiie myślał. Jakoż wróciwszy do Paryża, oddał się znowu naukom. Przeszedłszy mistrzów dzieje powszechnie, rzucił się teraz z tem większą ciekawością na historię swego narodu, wertując kroniki, inne pisma źródłowe, napawając się chrobrym duchem praojców i żyjąc cały w pobożnym rozmyślaniu przeszłości...

Tak minęła mu większa połowa zimy.

Tymczasem już od początku zimy zaczęły go dochodzić coraz częstsze listy od matki. Przez cały czas swego pobytu zagranicą miewał on zawsze wiadomości z Zawisłocza. Opisywała mu matka dosyć dokładnie to, co się tam działo, ale z początku wystawiała mu rzeczy te ze strony najlepszej i nigdy najmniejszym słówkiem nie zachęcała go do powrotu. Miała ona do tego swoje partykularne powody, o których nigdy nie wspominała—a w swoich listach chwaliła mu tylko jego oddawanie się naukom, zachęcała go do nich i dodawała na końcu, że do zamknięcia się na wsi będzie miał czasu aż nadto. O gospodarstwie Skiby wiedział listów jego własnych. Dawny jego nauczyciel, a teraz agronom, opisywał mu ze szczegółami swoje systemy, swoje podziały roli i sposoby uprawy, lecz jak z jednej strony zawsze najszerzej się rozpisywał o pozbieranych już plonach bajecznych, tak z drugiej znowu kwestyę administra-

cyjną i finansową zawsze przemilczał. Karol widział niektóre błędy w gospodarczym systemie Skiby, ale je, jak też i słuszną, miał za mało znaczące—nie wiedząc zaś nic o każdorodzinnym stanie rachunków, a spodziewając się po Skibie, iż w żaden sposób być rozrzutnym nie może, ani mu się przyśniło, aby to gospodarstwo jego mogło go przyprowadzić do jakichkolwiek kłopotów. Jeszcze nawet z początkiem zimy, kiedy już z listów matki zaczęły dosyć wyraźnie przeglądać zdania wcale niekorzystne o administracji Skiby, a nawet tu i owdzie przebijała się pewna obawa o przyszłość, Karol na to wcale nie zważał, mając te rzeczy zawsze tylko za drobnostki. Aż tu pod koniec miesiąca lutego odbiera list kilkuarkuszowy, w którym matka mu opisuje cały stan rzeczy tak, jakim był w samej istocie. Długi, lichwiarze, procesy, żydy, piekło w domu. Natenczas Karol już doskonale zrozumiał, jakim to kosztem Skiba wydobywał plony tak bajeczne. Jakoż niedługo bawiąc, wsiadł na kolej i do Krakowa przyleciał, a z tamtąd pocztą pobiegł na całą noc do Zawisłocza.

Wrócił więc młody dziedzic nareszcie do swego majątku—i wrócił, jak to widzimy, człowiekiem zupełnie innym, aniżeli niegdyś wyjechał. Półtrzecia roku czasu, strawionego na poważnych zajęciach i pracy, sprawiły w nim zmianę niemałą. Usposobił on młody swój umysł do statecznego myślenia, wzbogacił go wiadomościami, czerpanymi z najlepszych źródeł, a lubo nie ugruntował w sobie zasad pewnych i niezachwianych, nie wziął się jeszcze mo-

cze „Rozbitkiem," jednak wznosił się już na stanowisko daleko wyższe, z którego mógł lepiej panować nad sobą, i przez uzyskaną oświatę wyższą usposobił się lepiej do uzyskania pewnej więzi wewnętrznej. Taka więź, takie wewnętrzne ujęcie, stanowiące dopiero właściwą dojrzałość człowieka, rzadko kiedy bywa skutkiem samego wykształcenia umysłowego, albo owocem myślenia — ale go daje zazwyczaj dopiero czyn jakiś, czyn energiczny, stanowczy, dokonany z całą przytomnością umysłu, a będący zarazem jakoby hasłem lub drogowskazem na całą przyszłość. Szczęśliwi są ci, którym sposobność do podobnego czynu zdarzyła się na samym wstępie do życia; rozpoczęli oni swój zawód wcześniej, obaczyli kierunek całej swojej przyszłości od razu i rzadko kiedy potem omylili swe drogi. Karol, jak to już wiemy... nie należał do tych szczęśliwych. Rozbił się raz. w swoich politycznych marzeniach, rozbił się po raz wtóry w miłości i rozbił się potem przez pół- trzecia roku po światach wiedzy, wprawdzie nie bez. korzyści dla siebie, ale zawsze nie zrobił przez, to nic z sobą takiego, coby go wewnątrz ujęło, i dało mu upragnione, stateczne stanowisko pomiędzy ludźmi. W tej chwili, lub może nie taka, ja- kaby się należała jego zdolnościom, zdarza mu się po temu przecież choć jakaś sposobność. Obaczmy, czy ją potrafi uchwycić i obrócić na swoją korzyść?...

Karol przyjechał do Zawisłocza jeszcze na parę godzin przed świtem. Zastawszy wszystkich śpiących, wszedł cicho do swego dawnego pokoju i spać się położył.

Kiedy się zbudził około jedenastej godziny i zeszedł do dolnych komnat, zastał już tam i matkę i Skibę, czekających z niecierpliwością na niego. W pierwszym momencie wielka oczywiście była uciecha. Biedna matka, pod wrażeniem radości, zapomniała o wszystkich dolegliwościach, które ją tak utrapiły i tylko wypytywała syna o jego podróże i doświadczenia. Cieszył się także i Skiba, ale się mienił co chwila, wiedząc dobrze, że po krótkiej radości będzie musiał przystąpić do egzaminu bardzo dziwnego, przy którym nauczyciel nie tylko ma zdawać lekcję przed swoim uczniem, ale co gorsza, jak najpewniej jej nie zda i zostanie osadzonym in scamno asinorum. Ta sama myśl straszliwą napawała go trwogą.

Przyszła nareszcie ta chwila fatalna, w której Karol zapytał:

—• No, opowiedzcież mi państwo, coście tu ^r porobili?

Na szczęście Skiby, zabrała pierwsza głos matka i opowiedziała pobieżnie skutki, jakie się dziś okazują, zwalając, przez delikatność sobie wrodzoną, ich winę raczej na nieszczęśliwe okoliczności, aniżeli na tego, który je własnoręcznie sprowadził. Zapytać jeszcze Karol o te i owe szczegóły Skibę — i tak dowiedział się reszty.

Natenczas zabrał głos nieszczęśliwy agronom, chcąc mu się wytłómaczyć ze swojego systemu, a jednocześnie dowieść, że system ten jest nieomylnym i musi w końcu najpożądańsze przynieść owoce; ale jakim sposobem przyszło do takiej kryzys fatalnej, jakoś na razie nie wiedział. Jednakże Ka-

roi, do najwyższego stopnia zgryziony tym niebezpiecznym stanem jego fortuny, który nawet o wiele przeszedł jego, oczekiwanie, ani na to nie zważał, co mówił Skiba. Przechadzał on się ze spuszczoną głową, z założonemi za sobą rękami po obszernej komnacie i milczał. Po dłuższej chwili dopiero przystąpił do Skiby i rzekł mu, wprawdzie z wyrzutem, ale niezmiernie łagodnym:

— Ja tylko jednej rzeczy w tem nie rozumiem, mianowicie zaś tej, jakim sposobem mogłeś się ty tak dalece omylić, ty, który wszystko usiłujesz sprowadzić do jak najprostszej zasady i każdą rzecz masz za niepewną i ciemną, która się nie da dowieść cyframi?

— Ja ci dowiodę cyframi...—zaczął Skiba, ale Karol mu przerwał, mówiąc;

— Już mi nic nie dowiedziesz, bo cyfry są i świadczą przeciwko tobie. Dziwno mi nawet, jakieś mógł nie przewidzieć tych cyfr. A przecież było to nie tak trudnem. Przedsięwziąłeś gospodarstwo wkładowe, przedsięwziąłeś wydatki, na które nie miałeś funduszów: czyż nie konieczną w takim razie są rzeczą zaległości i długi?...

Skiba milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— No, ale proszę cię, jakże sobie było postąpić? Niepodobna przecież było prowadzić gospodarstwa takiego, jak za czasu pańszczyzny, które dziś nie może na żaden sposób opłacić. Ja to wyrachowałem jak najdokładniej.

— To źle rachowałeś. Ja nie zaprzeczam temu, że gospodarstwo takie, jak za czasu pańszczyzny, nie może się dziś odpowiednio opłacać, ale się może lichy opłacać, a to zawsze jest lepiej, aniżeli. "Żeby się całkiem nie opłacało i sprowadzało jeszcze za sobą długi. Są może wsie w położeniu tak nie- •szczęśliwem, że chcąc z nich opłacić tylko podatki i roboczną pomierną, trzeba się koniecznie chwytać jakichś środków pomocniczych, czasu pańszczyzny nieużywanych; ale jak z jednej strony i tam tylko natenczas można się chwytać takich środków, jeżeli są na to fundusze, tak znowu z drugiej Zawisłocze nie jest wcale w tem położeniu. Tu, zapewne, że Ci się żyto urodzi wybornie, jeżeli pod nie trzy razy zorzesz żelaznemi pługami, ziemię wyczyścisz, zwałkujesz i dasz nawóz silny, przygotowany na umiejętnie urządzonej gnojowni; ale jeżeli raz tylko zorzesz pługiem drewnianym i dasz nawóz zwyczajny, to ci się także urodzi. A cóż jest lepszem: czy sprodukować sto miar żyta bez kosztu, czy sprodukować sto pięćdziesiąt, lecz z kosztem, którego nie można zastąpić inaczej, jak tylko pożyczanemi pieniędzmi? — Tak samo się ma stosunkowo ze wszystkim. Wyborna jest rzecz zbierać co roku po dwa tysiące centnarów turnipsu, brukwi; ale kiedy kto ma po kilka tysięcy centnarów siana, a inwentarze tak małe, że i to siano jeszcze mu jest zbyt, naczemu produkować jarzyny, znowu z kosztem ogromnym i takim, na który niema funduszów? I tak dalej, i tak dalej, mój Skibo, z czego wynika ta ważna prawda, że gdybyś się był trzymał starej rutyny i więcej miał względu na okoliczności, niż na agronomiczne Zasady, to byłbyś propinacją i młynem opłacił podatki i towarzystwo, sprzedaż polowy łąk roboczną i bieżące wydatki, a coby ci

się urodziło na roli i w oborze, tobyś miał w zysku; zaprowadziwszy zaś gospodarstw wzorowe, masz ogromną ilość karmy dla bydła, której nie masz. czym skarmić, a sprzedać nie możesz; masz śliczne zboża, ale na ilość niezmiernie mało; masz mnóstwo mleka, o które się nikt nie zapyta, a przytem towarzystwo niezapłacone, podatki niezapłacone i długów po uszy.

Słuchająca tych uwag matka bardzo niemi się ucieszyła, bo widziała w nich sens dosyć zdrowy, a ztąd rękojmię, że Karol, kiedy się weźmie do gospodarstwa, potrafi sobie dać radę. Już mu to miała powiedzieć — kiedy wtem żydki, dowiedziawszy się o przyjeździe panicza, zbiegli się ze swemi pretensjami do niego. Weszło ich razem trzech do pokoju—i weszli tak, jak ich już nauczyła tu wchodzić niezaradność Skiby i delikatność, a trwoga w ciągłym przestachu przed ich procesami utrzymywanej stąrszki. Z taką też samą poufalscią, ba? prawie zuchwalstwem, zwrócili się oni do Karola, prezentując mu swoje terminatki, kontrakciki i weksle. Karol, lubo z surową powagą, spotkał ich jednak dość grzecznie i rzekł im, że wszystkie te pretensye będą im popłacone z pewnością, ale tymczasem muszą mieć jeszcze cierpliwość.

— Co to cierpliwość?—mówili żydzi, biorąc się do młodego panicza odrazu z góry i grożąc po- prostu skargami i procesami. Zdarzyło się przytem najzuchwalszemu z nich wymówić kilka słów takich, które były z ujmą samej pułkownikowej. Ale zaledwie odważny mówca wypowiedział te słowa, kiedy go Karol swoją silną dłonią chwycił za koł* cierz i przestraszona jego figurą z taką nieogłędnością uderzył w jego kolegów, że wszyscy trzech jerozolimczycy zniknęli tak nagle z komnaty, jak gdyby ich nigdy nie było a w komnacie; na ziemi zostały po nich tylko trzy czapki... Widząc to Skiba, tak się tem uradował, że aż ręce zatarł z radość, a nawet sama pułkownikowa się uśmiechnęła—musieli oni oboje nie mało od nich wycierpieć.

Był to zapewne dość niewłaściwy sposób korespondowania z wierzycielami, ale w tym razie konieczny, a zresztą bardzo skuteczny, bo od dnia tego żaden z wierzycieli, nawet ani Kacki, chociaż dopiero wczoraj tu był i dusił Skibę o jakieś dłużki pomniejszych, nie pokazał się w Zawisłoczcu.

Znalezienie się to dało nową rękojmię matce, że Karol potrafi postawić czoło tym gospodarskim kłopotom, nie da się im przygnieść do ziemi i może je w końcu zwyciężyć.

Ale niestety! ta scena z żydami była ostatnim dowodem jego energii.

Od tego czasu bowiem nie zdarzyła się już żadna sposobność do podobnych dowodów, a Karol •sam jej wcale nie szukał. Nawet o całym stanie interesów mówił on wcale inaczej, aniżeli się można było po nim spodziewać. Wspomniał wprawdzie jakby przez zęby, że z wielką pracą, z poświęceniem się, z trudem, możnaby może kiedyś wybrnąć z tych nieszczęśliwych wikłanin, ale przedsięwzięcie to byłoby ryzykownem niezmiernie, bo jest zawisłem od tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, a zresztą, ta praca, ten trud, to poświęcenie, nie mogą być nigdy wynagrodzone odpowiedniami skut*

kami, które w najlepszym razie muszą być tylko* mierne, zaledwie znośne i w gruncie rzeczy nic nie- znaczące.

— Pracować krwawo — mówił on wtedy—targać siły, rujnować zdrowie, borykać się z temi obrzy- dliwymi okolicznościami, jakie nas otaczają, a wszystko tylko na to, ażeby nyzyskać marny kawałek chleba i nigdy nie doprowadzić ani do mienia, ani też do żadnego znaczenia, to oczywiście nie warto.

Słowiańskie lenistwo, połączone z tą staropolską zasadą, która powiada: albo coś, albo nic zgoła—tak go usposobiło nieznośnie.

Jakoż, choć widać było po nim, iż mu myśli nie brakło, których urzeczywistnieniem mógłby fortunę swą wyratować od zguby, jednakże brać się do tego nie miał najmniejszej ochoty, a nawet do całej tej sprawy miał widoczną* odrazę. Z dalszych jego zdań zresztą nie trudno się było domyśleć, iż jest poprostu za tern, ażeby Zawisłocze sprzedać,, co wszakże tylko zdaleka dawał do zrozumienia,, nie mając zapewne odwagi wypowiedzieć wyraźnie.

Był przytem z każdym dniem coraz bardziej zgryziony, gorzki, smutny, milczący...

Takie usposobienie tego młodzieńca, w którego rękach spoczywała ostatnia nadzieja ratunku, napoiło niezmierną goryczą tak samą pułkownikową, jak też i Skibę. Ale milczeli oboje—i tak minęło dni kilka.

Jednakże tak pozostać nie mogło. Na coś się zdecydować trzeba było koniecznie. Nie mógł się zdobyć na krok stanowczy zdrów, silny i właśnie do dźwigania kłopotów jakby stworzony młodzieniec^

zdobyła się na krok taki jego matka, wiekowa, słaba i nieszczęściami skołatana staruszka.

Jakoż natenczas wystąpiła ona w całej swojej świetności i blasku z tą wolą silną w wielkiem swem sercu i z tą koroną poświęcenia na skroni, jakiej dosięgać umiały tylko nasze prababki. Bóg sam wie tylko, ile tam łez wypłynęło w ukryciu, ile tam modlitw zostało zasłanych do nieba, ile to nocy kosztowało bezsennych, nim się ta biedna zdobyć na takie przewyciężenie swoich uczuć najdroższych i najdotkliwszych boleści; ale kiedy trzeba było ofiary, to się na nią zdobyła i przyniosła ją temu, który o ofierze ze swej strony ani pomyślał.

Z największym tedy spokojem duszy, z najpiękniejszą pogodą na czole, przystąpiła ona dnia jednego do syna i rzekła mu prawie te słowa:

— Moje dziecko kochane, czas nagli, a my nie możemy nic postanowić. Tak to pozostać nie może, a jakabądź przyszłość nas czeka, lepiej ją zawsze uprzedzić, aniżeli żeby ona sama nas • zaskoczyła. Ratunek dla nas zwyczajny jest niepodobnym, ale jeszcze zawsze położenie nasze nie jest takie, ażebyśmy musieli rozpaczać. Zawisłocze jest to wieś piękna, na którą zawsze kupiec się znajdzie i nawet nieźle zapłaci. Nie jest ono zadłużo- nem ani w połowie i to, co po zapłaceniu długów zostanie, zawsze nam jeszcze na utrzymanie wystarczy — a oprócz tego mamy jeszcze in- demnizację i jakieś należytości bierne. Podzieliwszy się temi funduszami, będziemy mieli oboje dostatek: i ty będziesz miał dosyć środków do za-

Łupienia wsi innej i dla mnie pozostanie aż nadto. Postąpienie takie — mówiła dalej poczciwa matka, kłamiąc własnemu sercu — co do mnie, będzie mi nawet bardzo na rękę. Życie na wsi nie jest już dzisiaj tem, czem było dawniej. Żyje się tutaj .tak kosztownie jak w mieście, a nawet jeszcze kosztowniej. I ,ja już nie jestem taką, jak dawniej. Jeździć codzień do kościoła o pół mili, to już nad moje siły; nie mieć lekarza i apteki pod ręką, to już prawie ofiara. Nic niemasz pożądanego dla mnie, jak zamieszkanie w mieście. A dla ciebie także to będzie dogodnym. Ty sobie kupisz jaką wieś mniejszą i będziesz miał na niej egzystencję, wprawdzie skromną, ale za to swobodną. Nie zechcesz tego, to możesz zamieszkać w mieście i oddać się naukom, które tak lubisz; możemy nawet razem zamieszkać we Lwowie albo w Krakowie, .a tak będzie nam jeszcze lepiej. Z pewną obawą przekładam ci ten projekt, bo wiem, że ci żal Zawisłocza. I mnie go żal trochę — ale cóż robić! Życia nam żal jeszcze więcej, a przecież je porzucamy z pokorą i rezygnacją. Nie ma tu zresztą innego środka—a wierz mi, nie jest on jeszcze tak złym., abyśmy musieli rozpaczać.

Kiedy to matka mówiła, Karol patrzył na nią z początku z pewnem niedowierzaniem—ale widząc ją tak spokojną i tak jednostajnie pogodną, nie- . zmiernie się tą propozycją ucieszył. On od tygodnia o niczero innem nie marzył, jak o sprzedaży ojcowskiego majątku: to była jego idea, jego kaprys, jego fantazya; jeżeli zaś o niej nie wspomniał, to tylko przez wzgląd na matkę, o której myślał, że bez wielkiej boleści nie potrafi się od Zawisłocza oderwać; ale teraz matka sama mu tę myśl narzu- _ ciła. Karol nie posiadał się z radości.

Jakoż natychmiast postarał się o to, ażeby postanowienie sprzedaży rozeszło się między ludzi,

A zaledwie wieść o tem mogła się wynieść za bramę, tego momentu zdarzył się kupiec.

Był nim naturalnie Kacki.

Przyjechał on do Zawisłocza, poszedł do pokoju Karola i tak mówił:

— Słyszałem, że wielmożny pan chcesz sprzedać Zawisłocze. Dobrze to pan dobrodziej robisz, bo ten Skiba takich tu głupstw ponarabiał, że aż włosy wstają na głowie. Jeszcze i mnie za sobą .pociągnął, a ja, za pozwoleniem, osioł jak zawsze, gdzieś mógł, tom pieniędzy dobywał, a dawałem. No, nie stracone to rzeczy dla mnie; ale mi żal pana dobrodzieja serdecznie, bo to strata jest wielka. Dużoby o tem mówić...

— A niema wcale potrzeby—przerwał mu Karol—mówmy zatem o Zawisłoczku.

— Otóż co do tego interesu — mówił dalej Kacki — to, panie dobrodzieju, to jest wielki interes, trzeba dużo pieniędzy. Ja biedny człowiek, może i nie stać mnie na to. Ale myśląc ja sobie, że tu jest jakiś dług towarzystwa... a może i szparkasy?

¹— Nie, niema szparkasy.

'— A innych długów niema?

— Żadnych niema, prócz towarzystwa.

■ T— To bardzo źle. To trzeba dużo pieniędzy. No, ale myśląc ja sobie, że i ja tu mam jakichś kilkanaście tysięcy, więc jeżelibyś się wielmożny pan

bardzo nie drożył... Wielez wielmożny pan żąda za Zawisłocze?

— Mój panie Kacki — rzekł na to Karol — znasz Zawisłocze, nie potrzebuję ci go opisywać. Cena jego jest sto tysięcy.

— Sto tysięcy! — powtórzył Kacki, niby bardzo zdziwiony — a długi?

— Długi wszystkie ja płacę.

Jakoż zaczęto zaraz targ, który poszedł nadspodziewanie, bo kupujący ofiarował natychmiast dziewięćdziesiąt tysięcy, niebawem dziewięćdziesiąt i dwa i trzy i cztery. Gdyby się Karol był trzymał, byłby z łatwością dostał sto całkowitych, ale przez niecierpliwość dwa spuścił, a tak stanęła zgoda na dziewięćdziesięciu i ośmiu. Poczem mówiono już tylko o czasie, w którym kontrakt ma być spisany i wypłacone pieniądze. Kacki żądał dłuższej odwłoki i żądać jej musiał, bo szambelan był na Podolu — a Karol nie chciał na nią zezwolić. Zgodzono się wszakże na dni czternaście i oznaczono piętnasty dzień kwietnia na przedłożenie wyciąga hipotecznego, spisanie kontraktu i danie części pieniędzy; wypłatę zaś reszty należności wymówił sobie Kacki do św. Jana, na co Karol przystał bez sporu. Jeszcze może nigdy kupno tak znaczne nie zostało uskutecznione tak prędko — ale też jeszcze nigdy sprzedający tak upornie sprzedaży nie łaknął i może nigdy kupujący tak długo na swoje kupno nie czekał.

, Rachunek tego interesu był następujący: Dług- towarzystwa wynosił przeszło dwadzieścia tysięcy, a inne zaległości i długi także przeszło dwadzieścia tysięcy — pozostawało zatem Karolowi jeszcze pięćdziesiąt tysięcy, inwentarze żywe i martwe, woły stojące na stajni i długi bierne. Były to zatem środki dla skromnego człowieka jeszcze dość dostateczne do przyzwoitego wyżycia. Spodziewana indemnizacja wynosiła przeszło czterdzieści tysięcy, </ a już natenczas płynąca od niej renta przeszło dwa tysiące — zaczem i matka Karola miała zabezpieczone utrzymanie dość znośne.

Ale rachunek ten wykazuje zarazem, iż lubo interesy były w tej chwili przez nieopatrnego Sbibę, niesłychanie zwikłane, jednak położenie rzeczy było jeszcze takim, iż niepodobna jest, ażeby się nie można było bez sprzedaży zeń wyratować. Widać tu bowiem już na pierwszy rzut oka, że indemnizacja pokrywa wszystkie długi zupełnie — a więc Zawisłocze właściwie jest już dziś czystem. Zachodzą- tu wprawdzie te niekorzystne okoliczności, że kapitał indemnizacyjny nie j est płynnym, po wtóre, że nawet i stopa procentowa tegoż kapitału nie wyrównywa stopie procentowej pozaciąganych przez Skibę długów, a nareszcie, że te długi są tego rodzaju, iżby je trzeba zaraz popłacić; ale jużby to* była cała drewniana głowa, któraby nie zdołała temu złemu zaradzić. A przecież połowa długów, t. j. dwadzieścia tysięcy towarzystwu należnych, nie muszą być zaraz spłacone i wyrównywają stop\$ procentową indemnizacyi, a więc tak jakby ich całkiem nie było. Pozostaje zatem do spłacenia tylko druga połowa długów — na które jest co do sumy kapitału tyleż indemnizacyi, są dochody z całego Zawisłocza, są woły na stajni, są jakieś długi bierne-

i jest nareszcie samo Zawisłocze z inwentarzami, lasami, łąkami, propinacją i młynem, a więc ze źródłami takimi, o których niepodobna pomyśleć, ażeby w razie potrzeby nie wytrysnęły jakąś znacznieszą gotówką. Trzebaba chyba być takim transcendentalnym teoretykiem w gospodarstwie jak Skiba, ażeby w tak małym błotku ugrzęznąć i aż sprzedażą swej ojcowizny się z niego dobywać. A zresztą choćby się też i pomozolić cokolwiek, choćby i trochę pocierpieć, to czyż nie warto nawet i dobrze pocierpieć, ażeby się ntrzymać w posiadaniu ziemi ojcowskiej?

O tem wszystkim nie mógł Karol nie wiedzieć—ale któż nie zna naszych szlacheckich kaprysów, uporu i tych najrozmaitszych fantazyi, na które niemasz lekarstwa? Sprzedaż Zawisłocza była jego fantazyą. Jakoż ucieszony tak doskonale zrobioną zgodą z Kackim, pobiegł on z tą nowiną do matki. W samej istocie rzeczy taki obrót tej sprawy, zwłaszcza po tylu zgryzotach, które wycierpiała staruszka, był jeszcze dla niej dość znośnym, znośnym zapewne tak, jak lżejsze kajdany po cięższych, a może najznośniej szym dlatego, że był tak nagłym. Przyjęła też tę wiadomość pułkownikowa z zadowoleniem — ale natychmiast zarządziła wszystko po temu, ażeby mogła Zawisłoeze jak najprędzej opuścić. Wysłano zaraz nazajutrz wiernego sługę do Tarnowa dla wyszukania odpowiedniego mieszkania dla pani, a kiedy to się niebawem znalazło, zaczęto pomału pakować rzeczy staruszki ido Tarnowa wyprawiać...

Działo się to wszystko niby dosyć spokojnie i ładnie ale jeżeli kiedy było piekło cierpienia w domu, to teraz. Nikomu to bowiem nie było tajno, iż jeszcze były, a przynajmniej być mogły środki rstunku—a przecież naj nieszczęśli wszem zdarzeniem, trzeba było się poddać tak okropnemu losowi. Biedna matka Karola cierpiała nad tem okropnie. Cierpiała nad sobą, że na lat kilka, na kilka miesięcy, a kto wie, może tylko na dni kilka przed grobem, musiała opuszczać te miejsca, w których całe życie przeżyła i iść wycierać cudze kąty do miasta—cierpiała nad swemi sługami, nad sierotami, które wychowała od dziecka, a teraz musiała porzucać—najwięcej wszakże cierpiała nad swoim synem, który się takim niedołągą okazał, a może gorzej, może tak złym i nieczułym, że się nie umiał poświęcić nawet dla swojej matki. Krwawe to były łzy, które natenczas ta biedna staruszka płakała— oh! a ileż ich wypłakała! — Ale milczała. Nigdy przez te dni wszystkie nie było widać w jej oku łzy jednej, nigdy smutku, na jej poważnej twarzy, nigdy najmniejszej chmurki na czole. Z niesłychaną mocą niezłomnej duszy, z nadludzką siłą zdruzgotanego serca, znosiła ona ten cios okropny — na srom, na hańbę tym terażniejszym młodzieńcom i mężom, którzy nie umieją wstąpić nawet w ślad starodawnej kobiety!

Lecz nie mniej także cierpiał nad tem i Skiba, o mało, że pomieszania zmysłów nie dostał. Przedewszystkiem bowiem czcił on tę zacną staruszkę jak świętą, patrzył na nią uważniej niż Karol, a zatem wiedział, co ona cierpi. Widzieć te jej cierpienia, nie być w stanie jej pomódz, a co najgorsza, wie

-dzieć, że to on sam te cierpienia zgotował, było dla niego srogą męczarnią. Powtóre, czuł on to w swoim sercu, był przekonany, że ratunek jest jeszcze możliwym—ratunek ten przynieść mógł Karol, mógł, gdyby był tylko chciał być człowiekiem — lecz nie chciał. I taki Karol był jego uczniem! Strawić więc -życie całe, tyle poświęcić trudów, zabiegów, pracy, -aby wychować człowieka— a wychować takiego mazgaja—to jest okropna, to rozpacz. Skiba sobie darł włosy z głowy, wił się jak wąż w najstraszliwszej bóleści, byłby dał życie swoje za jedno słowo Karola— lecz próżno. On nawet mówić nie mógł o tem, bo "wszakżeż to on był sprawcą tego nieszczęścia. A zatem milczał—i nawet nie ,dał poznać tego po sobie, że cierpi tak, jak i matka... *

Tak więc cierpieli wszyscy naokoło Karola — a on o tem ani wiedział. Nie myślał o tem, nie zwracał na to uwagi, nie odgadł tego, czego nie widział, lubo to było tak naturalnem i prostem. On, •cały zajęty swoją sprzedażą, myślał już tylko o tem, jak będzie swobodnym z gotowemi pieniędzmi, jak ich dla siebie użyje. I może nieźle z tem myślał, bo w samej rzeczy marzył tylko o nowej do Paryża podróży, o naukach tamtejszych, które tak stoją -otworem dla wszystkich, o nauce historii, którą tak namiętnie ukochał. Aleć te obowiązki człowieka, to dziś, które nam cięży na barkach, to jutro, które nas czeka za progiem, ważniejsze są od najpiękniejszych historii!

Tak przyszedł nareszcie piętnasty dzień kwietnia, W tym dniu, jak to już wiemy, miał przybyć Kacki, ażeby sprawę kupna ukończyć -r- i w tym dniu także miała pułkownikowa wyjechać z Zawisłocza. Pilnujący swoich spraw kupiec przyjechał ze swoim prawnikiem już o godzinie dziewiątej rano i chciał się brać zaraz do spisania kontraktu. Karol nie miał nic przeciw temu — ale pułkownikowa, która tylko na zjawienie się tego złego ducha czekała, ażeby przed nim ustąpić, powstrzymała ich na małą chwilkę w swojej komnacie bawialnej, ażeby jej zaprzężono tymczasem i aby mogła wyjechać, nim się zacznie pisanie kontraktu. Kiedy jej zaprzężano, rozmawiała jeszcze z Kackim, opowiadając mu, gdzie jakie szczepy są po ogrodach, jakie wydają owoce, gdzie się znajdują inspekty, gdzie brzoskwinie, morele i winogrona. Opowiadała mu przy tem, z jakim to trudem i kosztem wypielegnowała ona te drzewka, jak to są rzeczy pożyteczne i miłe a rzadkie, jak je zatem trzeba chować starannie i chronić od mrozów i wiatrów. Przystąpiła potem do ludzi i polecała mu niektórych gospodarzy ubogich, potrzebujących pomocy, innych, którzy są chorzy i jak tym chorobom trzeba radzić, a nareszcie jego osobliwszej opiece poruczała sieroty, które sama pozbierała po drogach, powy chowy wała, a teraz tylko Boskiemu i jego poleca je miłosierdziu...

Tego wszystkiego słuchał Karol z nadzwyczaj -nem zajęciem, a lubo matka opowiadała te rzeczy jak najnaturalniej i z tą równowagą umysłu i serca, która ją nigdy nie opuszczała— jednak on jakoś zaczął tracić swą równowagę pomału i uczuł się dziwnie wzruszonym. Zamyślił się przytem, ckliwo mu

się zrobiło i zdało mu się, jak gdyby jakaś wilgoć uczuł w swych oczach...

Tymczasem zajechała wypakowana przed ganek kareta, a pułkownikowa wyszła do swojej dawnej sypialni, aby się ubrać do podróży.

Za chwilę potem pokazała się w progu, ubrana w płaszczyk, kapelusz i trzymając laseczkę w ręku. Tam się zatrzymała na oka mgnienie i obróciła się jeszcze raz ku swojej sypialni. Zdawało się, jakby coś zapomniała. Ale nic ona nie zapomniała, tylko chciała jeszcze raz rzucić okiem na ten kącik swój ulubiony i po raz ostatni go pożegnać. Karol popatrzył na nią z boku i ujrzał, że łzy strumieniami płynęły po jej zgrzybiałych licach. To go wzruszyło do głębi i zdało mu się, jakby się sam zachwiał na nogach,

W tej chwili wszakże staruszka przezwyciężyła się ostatecznie, zerwała się raźnie i puściła krokiem tak szybkim przez środek komnaty ku drzwiom otwartym, jak gdyby się nie chciała z nikim pożegnać, tylko dopaść karety i uciec czempredzej.

Widząc to Skiba, chwycił się obydwoma rękami za głowę i drżał cały jak w febrze, a jego oczy kapały się we łzach.

Jakoż istotnie, widzieć było tę biedną matkę, jak przygarbiona starością, zalana łzami i opierająca się na laseczce, wybiegała tak szybkim krokiem ze swego domu, ażeby swoje zgrzybiałe kości ponieść gdzieindziej — widzieć było tę starość, tę rozpacz, ten ból, te łzy, i nie zapłakać — trzeba było chyba nie być człowiekiem.

Al przecież Karol był także jakimś człowiekiem!

To też w tej chwili spłonął cały od wstydu* łzy mu trysnęły z oczu i rzucił się w objęcia sta-r ruszki.

— Nie, matko moja!—wołał on, łkając—nie! ja tego nigdy nie zniosę!

Na widok tego Skiba rzucił się z wzniesionymi ramionami ku niemu, wołając głośno:

— Karolu! życie dam moje za ciebie, a nie puść matki z jej domu!

Staruszka, która zapewne już przed tem była tak skołatana, że nie bardzo była przytomną, zaledwie teraz mogła zrozumieć, co się z nią dzieje; jakoż rzekła przez łzy:

— Puśćcie mnie! czego wy chcecie odemnie?

— Nie, matko moja!—zawołał Karol—będę chodził w siermiedze, poprzestanę na suchym kawałku chleba—a Zawisłocza nie sprzedam!

A to mówiąc, wziął matkę pod ramię i przy pomocy Skiby zaniósł ją prawie napowrót do jej sypialni. Tam ją posadził na krześle i padł przed nią na kolana, tuląc swoją splekaną twarz na jej łonie...

Za oka mgnienie wybiegł Skiba z sypialni, przebiegł uskrzydłońmi nogami komnatę, wskoczył do sieni i zawołał do ludzi:

— Hej! wyprzegajcie! pani już nie pojedzie.

Zaczem wrócił napowrót do gości; ale jak gdyby ich wcale nie widział, przechadzał się po komnacie, zaledwie dotykając się ziemi, zacierając

ręce z radości, śmiejąc się głośno i mruczając coś ciągle do siebie.

Nie mało tem zadziwiony Kacki ze swoim prawnikiem, siadł na kanapie, czekając z niecierpliwością, co z tego będzie.

Za chwilę potem wszedł Karol. O! jakżeż on teraz całkiem inaczej wyglądał! Mężczyzna piękny, wyniosły, miał on coś wspaniałego w swojej postaci. Na jego wysokim czole siedziała myśl, ten niezatarty ślad ducha, co jak rumieniec w owocu, dojrzałości jest cechą, W jego oczach połyskiwał ten blask spokojny a świetny, który być może tylko wyrazem tej równowagi, pewności siebie i jasności umysłu, o jaką próżno się kusić beczynnej a rozmarzonej młodości. Na jego ustach, cokolwiek w tem oka mgnieniu ścisnionych, widać było tę mężką, stanowczą i niezachwianą wolę, która dopiero co się w nim objawiła, jak gdyby go odrodziła nanowo i była zarazem już prawie pewną rękojmią jego całej przyszłości. Tak wszedł on teraz, z ręką założoną za pierś zapiętą surduta, z powagą i stanowczością w całej swojej postaci i rzekł do dzierżawcy Borówki:

— Mości panie Kacki, bardzo pana przepraszam, że muszę się cofnąć od zrobionej pomiędzy nami umowy. Ale widzisz pan sam, że postąpiłbym sobie naj nie właściwiej, gdybym jej chciał dotrzymać.

— A jakto, panie dobrodzieju? — zawołał na to Kacki—to pan mi już Zawislocza nie sprzeda?

— Nie.

— A jakże-to, panie? to ja tyle kosztów poniosłem...

— Koszta te panu nagrodzę.

— Hm! ale to, panie dobrodzieju, pan sobie z tem rady nie da na żaden sposób...

— O to się pan nie troszcz bynajmniej, to moja rzecz.

— Ba! ale to panie dobrodzieju i moja także. Bo ja tu mam przecież kilkanaście tysięcy, które w takim razie trzeba zaraz zapłacić...

— To, co się panu należy, będzie wypłacone, jak tylko można najprędzej.

— Ale, panie dobrodzieju! to nie można najprędzej, to trzeba zaraz, bo te weksle już dawno przepadły...

— Weksle, podpisane przez pana Skibę — dodał Karol dobitnie — które ja panu obiecuję wypłacić. Jeżeli panu jeszcze i to nie na rękę, to możesz zanieść skargę do sądu. Ale pamiętaj o tem, mój panie, że w takim razie ja mogę złożyć tę sumę w sądzie, a pana się kazać zapytać, jaką to drogą przyszedłeś do tych pretensyj. Rozumiesz mnie? Zaczem bądź zdrów. Jak go będę potrzebował, to pošlę po niego.

Z tem się obrócił i wyszedł napo wrót do sypialni swej matki.

Tak ten nieszczęsny rozbitek przecież nareszcie na jakiś brzeg stały wypłynął. W tej chwili widzimy w nim już całego człowieka, który staje na jakimś stanowisku, bierze coś przed się i otwiera

sobie drogę jakiejś pewnej i oznaczonej przyszłości Życzymy mu z serca, ażeby się na tej drodze z po wagą i wytrwałością utrzymał — a lubo ta rola którą przyjmuje na siebie, wydaje się ciasną i małą jednak możemy go z góry zapewnić, że i ta rola pojęta dobrze i odegrana umiejętnie, może go kiedyś zadowolić zupełnie.

II

Od tego momentu całkiem inny duch wstąpił w mieszkańców zawisłockiego dworu. Postanowienie Karola nie zmieniło jeszcze dawnego stanu rzeczy ani na jotę, a przecież druga połowa tego jakżeż była niepodobną do pierwszej i do wszystkich dni upłynionych! Dotąd każdy zgarbiony, osowiały i jakby struty, dzisiaj się czuł orzeźwionym, odrodzonym nanowo i śmiało spoglądał w przyszłość. Albowiem już samo postanowienie, będące skutkiem gorącej wiary w swe siły, jest połową wygranej. Potem już tylko wytrwałości potrzeba—a wszystko inne samo się znajdzie i pewnie nie minie zwycięstwo.

Powziąwszy tedy tak stanowcze postanowienie, ażeby się przy Zawisłoczku utrzymać, Karol się wziął z odpowiednią energią do rzeczy. Umiął on nawet w ten moment ocenić całą krytyczność swojego położenia i zwrócił przedewszystkiem wzgląd na to, ażeby przez zbytek ufności w swe siły nie włożyć odrazu zanadto k obowiązków na siebie, którymby

nie mógł podolać. A mogło się to stać bardzo łatwo, bo właśnie wtedy wiosna się zaczynała i zdawało się rzeczą niezmiernie ważną zaraz i w gospodarstwie rolnem stanowcze zmiany poczynić, a nawet poprostu cały ster jego we własną wziąć rękę. Czyn jednak taki byłby był w tym wypadku najnie- właściwszym. Jak bowiem Skiba głównie przez to pobłądził, iż odrazu, gwałtownie i radykalnie, cały system gospodarstwa zawisłockiego na inną stopę przerzucił, tak i Karol byłby pobłądził, gdyby przez prędkość był to wszystko zrujnował, co Skiba z takim mozołem i kosztem doprowadził do skutku.

Hadykaliizm, zastosowany przy obejmowaniu zarządu nad jakim bądź mechanizmem skomplikowanym, nie powiem, ażeby kiedyś nie mógł przynieść pożądanego skutku, ale na razie bywa zawsze niesłychanie kosztownym. Widzimy to najdowodniej na państwach, które ilekroć przedsięwzięły w adm- nistracji zmianę radykalną a nagłą, zawsze się tak powikłały pod finansowym, a nawet częstokroć i politycznym względem, iż rzadko kiedy ta sama ręka wywiodła je z tych wikłanin, która je w nie wprowadziła. W gospodarstwie jest także tak samo. Każdy nowy gospodarz, jeżeli się nie chce na niechybne narazić straty, musi w swym gospodarskim obrębie być konserwatystą—a przynajmniej pod żadnym warunkiem nie wolno mu być rewolucyoni- stą. Konserwatyzm, ustępujący powoli i z namysłem wymaganiom postępu, oto jest, naszym zdaniem, najwłaściwsza dla gospodarza zasada. Taką też zasadę przyjął Karol na całą przyszłość dla siebie — i zastosował ją w swoim zachowaniu natych

miast, chociaż właściwie w przeciwnym od wszystkich innych znajdował się położeniu. Mając wszakże i w tem położeniu głównie to na uwadze, iż jakkolwiek już zaprowadzony porządek ma zawsze tę wielką korzyść za sobą, że już istnieje—a każdy dopiero się zaprowadzić mający tę równie wielką niekorzyść, że go dopiero zaprowadzać potrzeba, na pierwszy moment tylko o tyle zajął się gospodarstwem rolnem, ażeby się przekonać, czyli istotnie w niem jaki porządek istnieje i jakie jest jego istnienie. Przekonawszy, się zaś, że Skiba zaprowadzonemu przez siebie systematowi ślepo był wiernym i istotnie taki miał w domu i w polu porządek jak w najlepszym zegarze, na początek nie zmienił nic i zostawił buławę polną i domową przy nim, jak była.

Sam zaś rzucił się przedewszystkiem na departament finansów.

Na samym wstępie niemałe spotkał trudności, Skiba bowiem, jak z jednej strony tak wielką ilość zaległości namotał, że oprócz weksli i egzeku- cye i sekwestracye siedziały jak zmory na karku, tak znowu z drugiej prawie wszystkie te źródła, z których można było spodziewać się jakiejś znaczniejszej pomocy, pozabieranemi drobnemi nadpłatami i zobowiązaniami tak pomącił i popieczętował, że niepodobna było do nich przystąpić. Prócz tego, były to czasy pod względem finansowym najfatalniej sze i stan ten codziennie się jeszcze pogarszał. , Ale Zawisłocze, wieś reputacyi najlepszej, firma nowa, jeszcze wprawdzie nieznaną, ale też nie zepsuta, a do tego energia rozumnego młodzieńca, jakoś

pomału pootwieraly sobie te drogi, które dla Skiby były całkiem zamknięte.

Tak przedewszystkiem zaczął on chodzić koło młynarza i propinatora, usiłując ich zniewolić do zrobienia umowy na lat sześć albo więcej i do zaliczenia należności z góry. Byli to ludzie pieniężni i mogli to zrobić; długo nie chcieli, ale nareszcie dali się namówić. Wpłynęło stąd zaraz kilka tysięcy. Po nich wziął się Karol do lasu. Skiba łam coś posprzedawał, jakieś drzewa materyałowe, jakieś sągi, za co wszystko wziął jakąś sumkę niewielką; Karol sprzedał sto morgów lasu na pniu, do wycięcia na lat sześć, i wziął większą połowę należności natychmiast. Trze ciem źródłem, w które uderzył, były gorzelnia i-łaki. Gorzelnia potrzebowała restauracyi bardzo maleńkiej a żydzi, pamiętający do dziś dnia te czasy, kiedy z półgorzel- nianej rurki lało się płynne srebro i złoto, zawsze mają na nią niesłychane łakomstwo. Nie były to czasy dla gorzałczanej produkcyi korzystne, ale Karol rozmaitemi dodatkami, a głównie dodatkiem zbioru siana z sześćdziesięciu morgów łąk i pozwoleniem wyrestaurowania piwnego browaru, tak ich umiał zachęcić, że zrobili umowę trzechletnią i także zaliczyli znaczną sumę pieniędzy. Uskuteczniwszy te trzy operacye, Karol już z całej piersi odetchnął. Interesa te, ściśle je wzięwszy, były jak najmniej korzystne, na prawdę Karol sobie połę ucinął; ale któż o tem wąpi, że lepiej utracić połę, aniżeli całą siermięgę? — Zawisłocze było uratowane. — Nie popłacił on jeszcze wszystkich długów, ale stracił co nagiejszą połowę — a te, które zostały, miał czem odroczyć i wiedział, że będzie je miał z czego popłacić.

Nie ustał wszakże na tera. Jakoż natenczas szucił się do ojcowskich dłużników, przeglądając z pilnością, od których-by mógł coś odebrać. Od tych dłużników. Skiba nic nie mógł wydobyć, a zniecierpliwiwszy się ich nieczułością, powytaczał im jprocesy. Karol postąpił sobie z nimi wcale inaczej. Wiedział on bowiem najpierw, iż włóczenie się między sobą po sądach, w okolicznościach zwłaszcza takich, w jakich my dziś żyjemy, powinno być rzeczą ostatnią — a powtóre wiedział i to, iż naj większa część dłużników głównie dlatego nie uiszczą się z długów, iż są za leniwi, za obojętni, za opieszali, ażeby poszukać środków*, któreby im do wypłacenia się z długu pomogły. Zmusić ich do tego sądownie jest zapewne drogą najprostszą, ale niezawodnie i zacniejszem jest to, jeżeli wierzyciel sam się zatrudni wyszukaniem tych środków i sam je poda swoim dłużnikom do ręki. Tak zrobił także i Karol—tym sposobem nie tylko, że się wobec dłużników ochronił od zarzutu o Nielitościwość i nieuwzględnienie tych czasów fatalnych, ale zarazem i cel swój choć w części osiągnął. W jednym miejscu bowiem przekazano go z długiem do kogoś pie- niężniejszego, który się natychmiast wypłacił, w innym przelano na niego indemnizacyjną zaliczkę, w trzecim dano mu jakieś inwentarze zbyteczne, w czwartem jakiś folwarczek w dzierżawę, który sub-arendował — a tak przecież odebrał przynajmniej to, co się odebrać dało bez wielkiego ucisku, i bardzo się tem poradował. Około Zielonych Świąt do

pasł nareszcie te woły nieszczęsne, w które przebiegły Ka... cki tak po łotrowsku ubrał biednego Skibę, i jako tako je sprzedał — czem pospychał ostatki długów i zaległości, jeszcze to tu, to owdzie się błakających. O św. Janie żmudna ta praca była już ukończoną — a Karol mógł śmiało każdemu popatrzeć w oczy, bo nie był nikomu winien ani jednego grosza. Mógł nawet z pewną dumą spojrzeć na siebie samego, bo pracą, wytrwałością, energią, przełamał, zwalczył, rozproszył okoliczności tak ^N nieszczęśliwe, w których już inni tonęli, ba! przed którymi on sam ugiął kolano na chwilę i już miał cofnąć się przed nimi.

Praca ta kosztowała go trudów niezmiernie wiele: zgadał się nieraz tak, że mu głosu zabrakło w piersiach, naponiewierał się po podróżach jak komornik lub sekwestrator, zmęczył się czasem scenami takimi, przed którymi może niejednen byłby uciekł i wszystkiego się wyrzekł — ale kiedy się to wszystko skończyło, to się i zapomniało, a zostało zwycięstwo świetne i piękne, a jakże miłe dlatego, że własnymi odniesione rękami! Radość ta, która Karola wtenczas objęła, nie da się z niczem porównać, chyba z radością pocziwej matki i tak serdecznego przyjaciela, jak Skiba, któremu się natenczas zdawało, że nad to szczęście, którego doznaje, nie masz większego na całej ziemi.

Postanowienie ratowania Zawisłocza własnymi siłami, szczęśliwie doprowadzone do skutku, przyniosło Karolowi nieocenione i wielorakie korzyści, których i my nie możemy przepomnieć, choćby tylko dlatego, ażeby wykazać, jak każda rzetelna praca, każde przewyciężenie naszej leniwej, ospałej, a często i niedbałej natury sownie nam się wypłaca. I tak najpierw przyniosło mu korzyść materialną bardzo znaczną, albowiem pomimo to, iż przez te operacje pieniężne dochody Zawisłocza tak znacznie uszczuplił, nie umniejszył wcale jego realnej wartości, czego najlepszy dowód złożył mu znany nam już Ka _ cki, ofiarując mu dzisiaj tę samą sumę za Zawisłocze, co dawniej. Po wtóre, przez wzięcie się do tej pracy wstąpił na drogę rzeczywistego zajęcia, rzecz bardzo ważna dla każdego młodzieńca — a przez utrzymanie się przy swej ojcowiznie zajął stanowisko obywatelskie w swem społeczeństwie, stanowisko w dzisiejszych galicyjskich stosunkach wprawdzie już bardzo ograniczone, okrojone i podupadłe, lecz w naszej rolniczej Polsce zawsze jeszcze wiele znaczące i ważne. Po trzecie, wyratowawszy swoją ziemię ojczystą z niebezpieczeństwa przejścia w niegodne, a przynajmniej wątpliwe ręce, położył już tem pewną zasługę, złożył dowody swojego dobrego usposobienia i swojej męż- kiej dzielności, która nie przeszła niespostrzeżona w sąsiedztwie i zjednała mu уваżanie u braci. Wreszcie zaś przez ten trud, przez tę pracę tak żmudną, którą ju? sam włożył w tę ojcowiznę, przywiązał się do niej, ukochał jakby uosobioną część siebie samego, potrafił uszanować jako takąż samą część swoich ojców i dziadów—a przez to ugruntował w sobie tę miłość, która nie tylko jużby mu teraz nie dopuściła była pozbyć się tej ojcowskiej puścizny tak lekkomyślnie, lecz zniewalała go także

do tem troskliwszego pracowania koło niej na przyszłość.

Z taką też ciepłą miłością wziął się teraz do gospodarstwa. Znalazł on i tu jeszcze trudności, może daleko większe, aniżeli w wypłaceniu się - z długów. Gospodarstwo dziś, bez pańszczyzny, a jeszcze do tego w Galicyi, gdzie mu tak nieszczęśliwe towarzyszą warunki, o jakich wspomnieliśmy powyżej, jest' niesłychanie żmudnem rzemiosłem.

Najlepsza ziemia, n&j łatwiej sza produkcya i naj- rostopniejsza głowa, jeżeli potrafią osiągnąć ten skutek, że opłaca podatki i z oszczędnością wyżyją, to już bardzo szczęśliwe są rezultaty. Gospodarstwo nasze, nawet tam, gdzie mają do dyspozycyi kapitałów tak wiele, ile ich każdej chwili potrzeba, są pracą ciężką, wymagającą ustawicznej baczności i pełną nieskończonych kłopotów — a cóż dopiero tam, gdzie kapitałów tych nie ma?—Karol, jak wiemy, wprowadził długi popłacił, ale pozostał bez grosza. Taki stan jego kasy otworzył przed nim całą paszczę nieustających trudów i zgryzot. Musiał się przygotować na wielkie biedy, uzbroić w cierpliwość żelazną, opatrzyć w lisią ostrożność. Jakoż natenczas, chcąc czy nie chcąc, musiał on pójść za jedną z rad szamhelana: ubrać się w buty juchtowe, w kubraczek z grubego sukna i jać się własnemi rękami wszystkiego. O! były to trudy niemałe. Wstawać raniej niż słońce, obchodzić obory, stajnie, stodoły, stać przy wydawaniu obroków, obiegać po kilka razy codziennie całe obszary roli, nad- głądnać przy każdej robocie, wszędzie czegoś uczyć, coś poprawiać, sto razy je dno powtarzać i wszędzie się gniewać, zaledwie mieć Czas do przyjęcia posiłku, a w wieczór całe godziny trwać na wypłatach i dyspozycjach — nadto zaś wszystko jeszcze przez całą noc myśleć o tem, czemu wypłacić robotników jutrzejszych, a często i zkąd tych robotników wydobyć, to już nie państwo, to jest rzemiosło, to praca. Ale Karol, władowawszy raz taką pracę na swoje barki, trwał w niej jak mąż—będąc tego pewnym, że tylko wytrwałość może go od powtórne- go upadku ochronić, a nawet z czasem tę pracę jego znacznie umniejszyć, postępował po tej ciernistej drodze śmiało, wesoło i próżen trwogi o przyszłość.

Nie można też tego zataić, iż lubo początkowo znalazł się położeniu niezmiernie trudnem, nie brakło mu także i pewnych ułatwień, które po części już znalazł gotowe a po części sam sobie sporządził. Tak jednym z największych ułatwień było to wszystko, co przedtem Skiba porobił w roli. Rzeczy te były fatalnemi pod względem finansowym, bo sprowadziły za sobą długi, lecz miały one wartość realną, z której można było korzystać. Już bowiem sam podział ról, podział oparty na tej zasadzie, ażeby dawać jak najsilniejsze nawozy na mniejsze stosunkowo przestrzenie, był wcale mądrym, bo zapewniał zbiór plenny, a umniejszał kosztów produkcji. Odcięcie kawałka roli pod rzepak, pszenicę i koniczynę i sprawianie go w większej części cudzym nawozem, było także korzystnem — a i wyłączenie z pod uprawy pól górnych i lichych miało- .także na początek swoje słuszne powody. Były w tem wszystkim niektóre chyby, jak np. konieczne sadzenie ziemniaków w przepisanej ilości, kie

dy się nie rodziły, jak niestosunek obszaru roli, przeznaczonej corocznie pod uprawę, do corocznego nawozu, którego przy takiej produkcji karmy dla bydła mogło być więcej i t. p. — ale te chyby można było łatwo naprawić, a silnie nawiezione grunty, które dziś w trzecim roku już trzech ósmych części zapewniały plony obfite i pewne, stanowiły ułatwienie niezmiernie. Prócz tego systematyczny Skiba wcale nieobojętnie się Karolowi przysłużył w domu, w oborze i stajni. Podchowwał mu bowiem już dwie warstwy młodzieży rogatej, karmionej suto i dziś już przerastającej swe matki—nie zmarnował mu koni, a nawet ich liczbę w dwójnasób powiększył—a wreszcie zaprowadził mu ład w całym obejściu, pomiędzy wszelką służbą, rzecz tak nieoceniona, a u nas do osiągnięcia tak trudna. Karol tedy, zaprowadziwszy te i owe odmiany w porządku rolnym, przy których miał głównie wzgląd na to, ażeby bez uszczuplenia sił roli, jak największe na teraz wydobywać dochody, tak mu niezbędnie potrzebne, zresztą ile możności uszanował prace swego nauczyciela — a natomiast z całą energią się rzucił na zmianę systemu administracji i domowego budżetu..

Tu hasłem jego stać się musiała oszczędność— i słusznie, bo bez niej do niczego się nie dochodzi. Nie obeszło się i tu bez trudności, z których i te i owe były po prostu nieprzełamane. Bo jak tu np. matce starszuce odmówić tych wszystkich rzeczy, do których ona była przyzwyczajoną przez całe życie? jak nie trzymać dla niej tych niezbędnych czterech anglezowanych koni, któremi zawsze jeździła, kiedy i te konie nawet, tu urodzone i tu wychowane, na jej usługach strawiły swe życie? jakże jej nie dozwolić utrzymania tych kilku sierotek, kiedy zajęcie się temi dziećmi jest jej jedyną rozrywką i pobożnym uczynkiem, tak niezbędnym jej sercu? jak wreszcie nie dostarczyć pieniędzy na wyszywanie ornatów, haftowanie poduszek, stuł i dywanów, na dar do kościoła, kiedy te ofiary są dla niej tak koniecznymi, że gdyby je zaniedbała, toby nie miała ani snu, ani spokoju? Jak oprócz tego poodprawiać te stare sługi, które od dziecka służyły w tym dworze i siły swoje stargały na tutejszych usługach? jak nie dać staremu Kubie, Maciejowi, Janowi, dawnym ojcowskim włodarzom, woźnicom, lokajom, tej samej pensyi i ordynaryi, którą pobierali od ojca? A jak znów dawać to wszystko, kiedy dziś niema z czego?—Dziwnie się Karol mozolił, coby z tem począć: niepodobieństwem było przyjmować na siebie takie wydatki, bo nie było ich z czego zastąpić; niepodobieństwem równem zrzucić je z siebie, bo były one zacnemu sercu jak gdyby święte, były jak gdyby domową religią. Spierało się serce z rozumem, a żadne z nich nie mogło zwyciężyć,..

Ale na szczęście, jak to się dziać zwykło w każdej rodzinie, przyszła z pomocą matka i sama się zrzekła większej połowy swoich wydatków. Szczęśliwa matka, widząc Zawisłocze uratowane, a syna na takiej chwalebnej drodze, byłaby się wyrzekła wszystkiego. Jakoż i dopomogła do rozstrzygnięcia innych kwestyi pomniejszych. Tak zostawiono wszystkie sługi co zacne, a co niegodne pooddalano, gracjali- ści zaś, którzy ubodzy, pozostali przy swoim, a któ

rzy się z bogacili, widząc, że się czasy zmieniały, sami się pozzekali części swych gracy. Lecz co do sług nowych, przyjmowanych przez Skibę, postąpił sobie Karol wedle swej własnej potrzeby. Wogóle pod tym względem pozbył się tej, że tak powiem niemiecczyny, której systematyczność zapewne, że się w końcu końców opłaci, ale u na«, nietylko że jest zwykle bardzo kosztowną, lecz często nie jest wcale potrzebną. Zaprowadziwszy tedy w każdym kąciku Jle możliwości jak najściślejszą oszczędność i podzieliwszy się zajęciami ze Skibą, wezwał już tylko cierpliwości na pomoc i oddał się z rezygnacją swojemu powołaniu, pracując pilnie,, nie lękając się żadnych trudowi oczekując z ufnością swojej pracy owoców.

Wszystkie te zrudne i wielorakie zajęcia, któreśmy opisali powyżej, zajęły mu tak dalece jego czas wszystek i tak pochłonęły jego całą istotę, iż do tego momentu, lubo to już się żniwa zbliżały,, nie przyszło mu nawet na myśl zapytać o dawnych znajomych. Co się działo z szambelanówną, co- z Izydorem? kiedy się odbył ich ślub? jakie ich było pożycie? — co robił Bernat stary? co jego syn Antek i jego niestała Basia? czy się z nią także ożenił? czy Niemiec odniósł nad nim zwycięstwo? — o tem wszystkiem nic nie wiedział.

Nie można nawet powiedzieć, ażeby był tych rzeczy tak bardzo ciekawym. Widzieć Bernata i Antka, tych ludzi pocziwych, którzy go niegdyś uratowali od śmierci, byłoby mu było bardzo przyjemnem. Obaczyć Izydora, takżeby mu było nie sprawiło- przykrości — ale chcąc widzieć jego. musiałby był i Józię obaczyć—a to go wcale nie pociągało. Nie miał on do niej już dzisiaj żadnego żalu— nie umarł przez to, ani nawet swych dróg tak bardzo nie skrzywił, że za niego nie poszła; ale zawsze widok tej, która dla marnych błyskotek innego przeniosła nad niego, która mu niegdyś miłość przyrzekła dozgonną, a potem prawie się tego wyparła, nie mógł mu być pożądanym.

— Niech sobie będą szczęśliwi — myślał on w duchu — nie zazdroszczę im szczęścia i owszem życzę z całego serca, ale ja między nimi nie jestem wcale potrzebnym.

Takie było jego postanowienie i było ono bardzo chwalebne. Po co on miał się pokazywać tam, gdzie jego obecność mogła wywołać tylko takie wspomnienia, które powinny były być zapomniane na wieki?—Ale to postanowienie wskazywało zarazem, że przecież jego dawna miłość dla Józi jeszcze nie całkiem w nim zgasła. Trzy lata czasu, wielka to przestrzeń, z jej upływem można wiele zapomnieć; lecz są uczucia, których ni czas najdłuższy, ni silna wola, ni najprzeciwiejsze okoliczności, nie zdołają utłumić. Czy w sercu Karola żywiło się jeszcze to całe uczucie, czy tylko jego wspomnienie, może obaczmy poniżej. Na teraz widzimy tylko tyle, iż był w jego sercu z tamtych szczęśliwych czasów głos jakiś, który się bardzo często odzywał. Nieraz odzywał się może daleko głośniej, aniżeli mu to było przyjemnem. Dlatego też tłumił go w sobie szlachetny młodzieniec o tyle silniej, a widząc, że mu się to nie zawsze udaje, postanowił sobie, jak najstaranniej tego wszystkiego unikać, eoby ten głos

w nim ożywiało tem więcej. Ztąd poszło, że dotychczas jeszcze ani razu imienia szambelanówny nie wspomniał, o odwiedzinach u Izydora ani pomyślał, a nawet nie odważył się wstąpić do chaty Bernata, chociaż nieraz znajdował się od niej tylko o parę set kroków i chociaż dziwnie go tam ciągnęło serce.

Aż raz, był to dzień skwarny i właśnie żęto pszenicę na Zawisłockim łanie nad wodą, naprzeciw chaty Bernata, Karol, jak zwykle, wyjechał na koniu w pole i długi czas jeździł pomiędzy żeńcami

I półkopakami, licząc i jednych i drugie i obrachowując, ile dziś w wieczór trzeba będzie wydać pieniędzy. Wzdychał przy tem nieborak z całego serca, bo rzepak, chociaż już był zebrany z pola i wymłócony, nie znalazł jeszcze do dziś dnia odpowiedniego kupca, jego kasa była nadzwyczaj szczupła— a tu żniwa szły całym pędem, a tu już jesienne zbliżały się zasiewy. Każdy dzień wtedy kosztował po kilkaset złotych. Zkąd tu aastarczyć pieniędzy? Jeszcze dzisiaj się jakoś wypłaci, może jeszcze i jutro, ale co począć pojutrze i dalej i jeszcze dalej!

Karol myślał nad tem, a głowa go bolała piekielnie.

A tymczasem żniwiarze, pomykając się raźnie zagonami, śpiewali pieśni wesołe, a ich głosy się rozchodziły po dalekich polach i lasach.

Bezwiednie słuchał Karol tych pieśni i mimo woli jakoś umysł jego się wypogadzał. Za przewodem Skiby znał on wszystkie pieśni ludowe, drukowane, pisane i niegdyś w uściech ludu żyjące, ale tych nigdy jeszcze nie słyszał. Nawet i tej melodyi nie słyszał, tak wesołej, swobodnej i lekkiej, jak gdyby sama swoboda. Zdawało mu się, jak gdyby rano przed świtem znajdował się w gaju i słyszał chóry naj swobodniej szych ptasząt. Było coś dziwnie lekkiego, coś rażnego, coś tak unoszącego się w tych głosach, że niepodobna było wobec nich pamiętać o jakichkolwiek smutkach lub żalach...

Karol spojrzął w siebie: smutnym był, uciśnionym, stłumionym, ale on tylko jeden był takim, a obok niego trzystu ludzi na łanie było wesołych, swobodnych, szczęśliwych. Możnaż-to, godzi się pamiętać o sobie w takim wypadku? Nie. Byłoby to nie po chrześcijańsku, byłoby nawet nie po ludzku. Karol był chrześcianinem i był człowiekiem. Jakoż w tej chwili wcale nie zapomniał. Był jeszcze prócz tego szlachcicem, powinien być zawsze szlachetnym

I był nim, rzucił więc bez namysłu swoje troski o ziemię i rzekł do siebie:

—• Ciężko mi bez was, to prawda; ale kiedy wam tak lekko bezemnie, poganinem byłbym, gdybym za wami żałował! Cierpię ja twardo i nie prędko przecierpię, ale kiedym przez to ujął cierpię tak wielu, to się skarżyć na to nie będę, zniosę i przetrwam, a o ile mnie za to nie wynagrodzi .moje przekonanie, Bóg mnie nagrodzi.

To mówiąc, zeskoczył z konia i wylazł na wierzch półkopka, a położywszy się na świeżo zżętej pszenicy, aby trochę odpocząć, oddał się myślom, pozwalając się im nieść wedle upodobania. Niemasz przyjemniejszej rzeczy, jak zrobić się listkiem zwiędłym i oddać się wichrom duchowym na łaskę. Jak się to wtedy nie pędzi, czego się to nie widzi, gdzie

się to nie zaleci. Jakoż i jemu Bóg nie wie, co się w tej chwili nie przesnuło przez głowę. Tu szlachta średniowieczna, nie umiejąca pojąć swego istnienia bez panowania nad niewolnikami i błakające się jej niedobitki do dziś dnia, tam ten lud nieszczęśliwy, śpiący jak gąsienica przez tyle wieków, to znów Polacy, którzy się tyle razy zrywali do usamowolnienia wiejskiego ludu, a nigdy zamiaru tego do skutku doprowadzić nie mogli, to nareszcie Kościuszko, wyborny żołnierz, ale słaby polityk, a jeszcze słabszy naczelnik narodu, który to zrobić mógł, a nie miał do tego odwagi... Gdzieżbyśmy byli choćby tylko pod materyalnym względem do dziś dnia, gdyby natenczas był lud został usamowolnionym i uwłaszczonym! Jakieby dziś były gospodertwa nasze, jaka pracowitość, jaki ruch skrzętny w całej naszej ojczyźnie! A czyżby za tem nie musiała była pójść także i oświata? Te myśli zaprowadziły go bardzo daleko i tak 'go pochłoneły całego, iż nic wcale nie widział ani około siebie, ani przed sobą.

Nie widział również, iż myśląc to, patrzył ciągle na chatkę Bernata, która stała dotąd na swoim miejscu i wyglądała tak zupełnie jak dawniej. Dopiero, kiedy się koło tej chatki jakiś ruch zrobił, przedmiot ten wpadł mu w oko i zaraz go z jego myśli obudził. [Karol popatrzał tam i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał, iż z dziedzińca tej chatki wyjechał bardzo ładny, nisko przy ziemi idący powozik, Zaprzężony parą eleganckich koników, a w nim siedziały jakieś dwie damy. Powóz wyjeżdżał bardzo pomału, a'towarzyszyło mu pieszo aż do bramy

jakichś dwóch ludzi, którzy się tym damom bardzo nisko kłaniali; damy się wyginały z powozu i coś jakby tym ludziom nakazywały, poczem powóz wyjechał za bsamę i ruszywszy wielkim pędem w okamgnieniu zniknął w chmurach żółtego kurzu. Karol stanął równemi nogami na półkopku,[ażeby widzieć, dokąd ten powóz pojedzie: na prawo, czyli na lewo, ale nie mógł tego zobaczyć, bo grunty Zawislockie były niskie, a tamte zaraz z samego brzegu wysokie.

Zdarzenie to, lubo nic nie znaczące, jednak jakoś go poruszyło. Że tymi obydwoma ludźmi, którzy powóz odprowadzali, byli Bernat i Antek, to mu się zdawało być pewnem; ale kto były te damy? Jedną mogła być hrabina Izydorowa, ale kim druga? I cóż tu mogła robić hrabina? czy znów kto chory leży w tej chacie? czy ci rybacy znów kogoś wyratowali od śmierci? A zdawało się to bardzo podobnem, bo przecież te panie nie odwiedzały Bernata i Antka, którzy obydwaj byli zdrowi.

To wszystko tak rozciekawilo Karola, że sobie kazał podać konia, dosiadł go i j puścił się wbród przez Wisłokę.

Za małą chwilę był już. na tamtej stronie i stał na. tem miejscu, zkad dopiero co powóz wyruszył. Stali tam także Bernat i Antek i rozmawiali ze sobą.

Zobaczywszy ich, zeskoczył z konia i rzekł:

— Jak się macie, moi kochani! Dawno już wybieram się odwiedzić was, ale wśród tych gospodarskich kłopotów nawet i na to nie było czasu, Myślałem, że który z was przecie pokaże się w Za-

wisłoczu, ale i wam jak widzę jakoś nie mogło się zebrać na to.

' Obadwaj przewoźnicy kłaniali mu się, witając go z wesołością serdeczną, a Bernat rzekł:

— Jużemy nie pomału zgrzeszyli, żeśmy się dotychczas nie pokłonili jegomości na zamku, aleć to i u nas nie obywa się bez kłopotów.

— No, cóż to wam takiego dokucza? Powiedzcie mi, może wam będę mógł pomóc, a wielką mi to przyniesie pociechę.

— Ztrudna nam co jegomość pomoże—rzekł na to Antek—bo już nam pomaga kto może, a przecież bez skutku.

— No, cóż to takiego?

— Ot, co!—rzekł Antek—żonisko moje, jak zaniemogło o wiosnie, tak się nie może opamiętać do dziś dnia.

— Twoja żona? — zawołał Karol — toś ty się, Antku, ożenił? a z kimże? przecież nie z którą inną jak z Basią?

— A juźci z Basią — odpowiedział młody małżonek, z pełnym zadowolenia uśmiechem—i zrazu za łaską Bożą było nam dobrze i szło nam wszystko szczęśliwie. Ot! i chłopczysko jakieś Pan Bóg nam dał, co się tu bawi na przyźbie...

To mówiąc, wskazał Karolowi na dwuletnie chłopiątko, które ubrane w czystą koszulkę i czerwoną czapkę z pawiem piórkem, bawiło się w piasku pod chatą.

— Ale jak znowu przyszła z kolei córeczka — ciągnął dalej stroskany mąż—tak mi Basia zaniemogła ostatnio i nie może się podnieść do dziś dnia.

Wolałbym już sam leżeć obłożnie, aniżeli się patrzeć, jak to biedactwo kwęka, a z sił opada codziennie.

— To mi cię żal, mój Antku, z całego serca— odpowiedział mu Karol, zamyślając się nad tem—ale chodźmy do chaty, niechaj też Basię zobaczę.

Z tem weszli do chaty. Dziwne wrażenie sprawiła na Karola ta uboga izdebka, w której niegdyś przeżył tyle dni, tak błogich i bolesnych naprzemian. Pięć lat z okładem już minęło od tego czasu—lecz mimo to, jakże żywo stanęło mu to w pamięci!— Gały oddech zatrzymał mu się w piersiach, tak go to wspomnienie wzruszyło.

Tymczasem na łożu, na łożu tem samem, na którym niegdyś cierpiał i kochał podwójnie zraniony Rozbitek, leżała teraz wycieńczona na siłach młoda żona rybaka. Była ona i dzisiaj tak samo piękna jak dawniej, tylko śmiertelna bladość pokrywała jej lica, a oczy jej, niegdyś tak żywe i tak jasnym błękitem świejące, były jak gdyby mgłami zakryte. Trzymała w tej chwili w rękę różaniec z metalowym krzyżykiem i oparta o kilka białych, a wysoko wypiętrzonych poduszek, zdawała się mówić pacierze.

Kiedy Karol z obydwojma przewoźnikami wszedł do chaty, Antek przystąpił do łóżka i rzekł do chorej:

— Patrzajno, Basiu, jakiego nam gościa Tan Bóg przynosi. Poznajesz-że jegomości?

Ale chora już go na samym wstępie poznała, a serdeczny uśmiech okrążył jej usta.

— Panu Bogu niech będzie chwała—rzekła ona

dosyć swobodnie — że jegomość sobie przecież nas przypomniał. A takim o to pana Boga prosiła !

— I wysłuchał cię Pan Bóg— odpowiedział jej Karol wesoło—miejże to sobie za dobry znak i bądź pewną, że cię i w czem innym wysłucha, jeżeli masz jeszcze jakie prośby do niego.

— Och! a cobym nie miała! A toż już leżę z jakie pięć miesięcy i ciężko mi się podnieść choć na godzinę. Już mi to lepiej teraz cokolwiek, już czasem stanę na chwilę na nogach, ale do zdrowia jeszcze mi daleko. Ale niech-no pan siada, ot tu na tej ławeczce, albo na żarnach, gdzie to niegdyś moją panią siadała: takam rada, że pana widzę, że i miejsca mu znaleźć nie mogę.^r

— Dziękuję ci bardzo, moja Basiu kochana— rzekł Karol, siadając przy niej—ale mi powiedz naj- pierw, co ci to właściwie brakuje?

Ale Basia, zamiast mu odpowiedzieć, obróciła się do męża i zapytała:

— I cóżeście uradzili?

— Ha! jużci trzeba jechać. Ojciec chyba pojedą sami. «

— Gdzież-to jedziecie?—zapytał Karol.

— A gdzieżby indziej, mój panie! — odpowiedział mu Bernat—po doktora do Pilzna. Po doktora a do apteki, do apteki a po doktora, oto moje terażniejsze podróże.

To rzekłszy chmurnie, wyszedł starzec z świetlicy, a Antek wyszedł za nim.

Basia odprowadziła ich wzrokiem i milczała przez chwilę z oczyma nieruchomi[@] wpatrzonemi

przed siebie, poczem te oczy zaszły jej łzami i płakała przez oka mgnienie. Odgadł Karol natychmiast przyczynę jej łez, żal mu się zrobiło biednej kobiety i rzekł:

— Nie frasuj się tem, moja Basiu. Starzy są zawsze gderliwi, a Bernatowi pewnie nie z serca to idzie. Gderze, bo stary, ale pocziwy jest i pewnie ci nie żałuje ani trudu, ani pieniędzy.

Otworzyło się serce cierpiącej Basi i rzekła na to ze łzami.

— Och! żebyś jegomość wiedział, jak mi lo przykro jest, że ten stary już tyle wydał pieniędzy na moją chorobę i jeszcze ciągle wydaje, tobyś się jegomość nie zdziwił, że ja tak płaczę. Jużbym wołała umrzeć, niż tak chorować. A to mnie gryzie jeszcze tem więcej, bo wiem to dobrze, że nie jest to żadna choroba, jeno kara Boża prawdziwa. Bo też i nic mi nie jest, nie boli mnie nic, jeno mnie taka niemoc opadła, jako tp bywa za grzechy...

— A cóżbyś ty takiego zgrzeszyła — rzekł Karol pocieszająco—żeby cię Pan Bóg aż karał chorobą?

, — Jużcim ja nie pogrzeszyła tak bardzo, jako się może komu zdawało, albo jak ludzie gadali. Jeździł ci do mnie ten Niemczyna, podobał mi się, bo grzeczny był i światowy; bałamucił ronie, że koniuszym zostanie u grafa i że się ze mną wtedy ożeni-^r ja sobie myślałam i tak i siak, ot jak zwyczajnie biedna dziewczyna... ale Pan Bóg to wie najlepiej, jeżeli co zawiniła. Ot! właśnieby też! nie tacy panowie tańcowali koło mnie, a czego by mi też był nie dał sam graf! Ale zawszem ja ciężko zgrzeszyła.

•żem tego chłopczyska bałamuciła tak srodze. Obraził się wtedy nieborak, nacierpiał się, już i pic zaczął nareszcie, a ja byłam tak zła, że nic na to nie uważała. I żeby nie moja panienska, która mi zaraz potem iść kazała za niego, to byłabym go może bałamuciła do dziś dnia. A to, powiadam jegomości, takie dobre chłopczysko, że już lepszego chyba niema na całym świecie. Otóż to za niego mnie Pan Bóg tak karze...

Bardzo się Karol zbudował taką wiarą w do- rażność kary boskiej, ale ażeby ją pocieszyć, rzekł na to:

— Nie przeczę ja temu, że może to być kara boska; ale może też być, że cię Pan Bóg tylko doświadcza, bo i to bywa. Wątpię nawet, ażeby cię za to bałamuctwo karał tak srodze, bo jak uważam, była to prawie niewinna rzecz.

— Gdzie tam jegomość niewinna! Nigdy takie bałamuctwo nie jest niewinnem i nigdy też nie uchodzi bez kary. Albo to sam graf za, co innego tak ciężko choruje, że już leży bez mała całe trzy lata?

— Jakto? rzekł Karol nie pomału tą wiadomością zdziwiony—to pan Izydor doprawdy tak ciężko chory?

¹ — A jużci tak. Czy to jegomość nie wie?

Bardzo się Karol nad 'tem zamyślił i rzekł:

— No, to niema co wcale zazdrościć szczęścia hrabinie?

Patrzyła znowu z kolei ze zdziwieniem Basia na niego i zapytała po chwili:

— Jakiej że, proszę pana, hrabinie?

Spojrzał na nią Karol i umilkł. Krew w nim zastygła. Mogłóż to być? Karol nie śmiał nawet zapytać. Ale niecierpliwość go piekła jak ogniem, jakoż rzekł wreszcie:

— Proszę cię, powiedz mi krótko, bo ja nic nie wiem. Czy pan Izydor się nie ożenił z twoją panienką.

— W imię Ojca i Syna! O! toż to jegomość nic a nic nie wie! A jakich-to ktoś jegomości plotek nanosił! Ani tam mowy nie było o ożenieniu. Graf leży już trzy lata na łożu i ani się ruszyć nie może...

Wiadomości te, jak tego się łatwo domyśleć, wzruszyły Karola do dna. Zerwał się z miejsca i chodził jak gdyby we śnie po izbie. Coś mu tam Basia opowiadała, ale on nic nie rozumiał, ani nawet nie słyszał. Myślał tylko, pocierał czoło i coś dziwnie się z sobą borykał. Przeprził ją wreszcie, że jej nic nie odpowiada, przyrzekł, że niebawem ją znowu odwiedzi i przywiezie jej swego lekarza, prosił ją, ażeby się śmiało udała do niego, jak tylko czego zapotrzebuje, poczem wybiegł pośpiesznie z świetlicy, dosiadł konia i popędził prosto do Grzy- malina.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Kiedy Karol się zbliżył do Grzymalińskiego pałacu, to już zdaleka zobaczył uiektóre zmiany, zaprowadzone tutaj tymczasem. I tak, przedwszystkiem innym uderzyły go w oczy ogromne, pomiędzy murowane słupy poosadzone sztachety, którymi cały pałacowy dziedziniec był obwiedziony. U wjazdu znajdowała się brama, na teraz szczelnie zamknięta, a koło niej, w kształcie maleńkiej baszty, pomieszczenie dla odźwiernego. Siedział-tam nawet odźwierny, w barwę herbową ubrany, który' wyszedł naprzeciw niego, pokłonił mu "się, ale bardzo pilnie go opatrywał w milczeniu. Karol był w swoim polowym kubraczku i miał dosyć zmięty kapelusz na głowie, co go zapewne nie dosyć dobrze zaleciło temu wiernemu słudze, ale na szczęście swoje siedział na pięknym, wyniosłym i roslým koniu, zamundsztu- kowanym i osiodłanym, a to go zapewne udobruchało. Ale Karol tymczasem się zniecierpliwil i rzekł:

— Cóż mnie tak opatrujesz? Otwieraj bramę.

— Już ci otworzę — odpowiedział odzwierny — ale, proszę wielmożnego pana, zajechać cicho, bo jaśnie pan nie może znosić żadnych hałasów.

Przejechał Karol przez bramę, lecz czy to przez niecierpliwość, czy przez zapomnienie, zajechał dosyć raźnie przed ganek. Na odgłos tętentu jego konia, wybiegła też sama zgraja sług, jaka tu zawsze bywała dawniej, lecz zamiast powitać gościa ową dawną wesołą służbistością, powitała go niemym zdziwieniem. Na twarzy marszałka dworu wymalował się nawet jakiś rodzaj przestachu, zapewne przed spodziewanym gniewem hrabiego za ten hałas w dziedzińcu; jakoż istotnie, w ten moment dał się słyszeć dzwonek w otwartej antykamerze, a marszałek zaledwie się zjawił, zaraz zniknął z wystawy. Karol już wtedy nie zsiadał z konia, tylko z kulba-ki zapytał:

— Czy można się widzieć z panem hrabią?

— Zaraz tu wróci pan marszałek, to powie.

Wrócił nareszcie marszałek, już z wesołym uśmiechem na twarzy i rzekł: HH| Jaśnie pan prosi.

Prowadząc zaś Karola przez długi szereg komnat, powiedział mu cicho:

— Bardzo to dobrze wielmożny pan zrobił, że przecie do nas przyjechał. Jaśnie pan często się dopytuje o pana. Ja już miałem nawet sam kiedyś skoczyć do Zawisłocza i wielmożnego pana do nas zaprosić.

Tak [przyszedł Karol do komnaty sypialnej, w której Izydor leżał na łożu trzyletniego

cierpie nia. Nie było żadnej zmiany w tej staroświeckiej komnacie, lecz zato jakaż ogromna zmiana w sa- mymże chorym! Gdyby był Karol nie wiedział, na kogo patrzy, z pewnością by go nie poznał. Całkiem inna to była postać. Całą głowę miał łysą, a brodę czarną, zarośniętą i długą, prawie do pasa. Twarz jego wychudła tak, że zdawało się widzieć tylko czaszkę ludzką, obciągniętą skórą białą jak marmur. Cały też wyraz tej twarzy był marmurowy zupełnie, tylko rumieńce, wypieczone na obydwóch policzkach i oczy czarne błyszczące, odróżniały ją od twarzy kamiennych posągów. Tak leżał on, a raczej siedział na łóżku, oparty plecami o umyślnie na to sporządzoną kolosalną poduszkę i trzymał książkę otwartą w rękę, którą jednak już oparł o kołdrę i właśnie co z ręki wypuszczał.

Zobaczywszy Karola, nie witał go wcale, tylko wziąwszy jego całą postać dokładnie na oko, tak go przez chwilę wytrzymał, a potem dopiero rzekł:

— 'Przecież się raz namyśliłeś do Grzymalina przyjechać! Zapewne się obawiałeś żywego trupa zobaczyć. Siadaj, jeżeli łaska, tam stoi krzesło...

Karol był w samej istocie jego widokiem tak wzruszony, że w pierwszym momencie sam nie wiedział, co mówić. Siadł wszakże, zabrał głos i usprawiedliwił mu się ze swego zapomnienia. Podczas gdy mówił, Izydor śledził go bardzo pilnie, poczem zapytał:

— I nie wiedziałeś nawet o tem, że Józia za- mąż nie poszła?

— Daję ci słowo, że nie.

— Miałeś być w samej istocie w wielkich kłopotach*.. Ale w takim razie podwójnie mi żal, żeś do mnie nie przyjechał. Byłbym w stanie dopomóc ci teraz bez trudności. Jestem teraz bogatym.

Karol patrzył na niego ciekawie, „ale o nic nie pytał.

— Dziwi cię to, żeś się wzbogacił—rzekł Izydor po chwili — myślisz zapewne, żeś wziął jaką puściznę. Wziąłem istotnie, ale po sobie samym. Choroba mnie wzbogaciła. Wiedząc, że żyć nie będę, puściłem Grzymalin na lat dwanaście w dzierżawę i wziąłem wszystkie pieniądze z góry, posprzedawałem wszystkie inwentarze i zaprzedałem indemnizację i fundusze. Nabrałem za to pieniędzy jak grochu, popłaciłem wszystkie długi i jeszcze mam kapitały. Byłbym ci tedy tych kapitałów mógł pożyczyć, a* to tem łatwiej, że jak widzę, już ich wcale nie potrzebuję...

— Bardzo ci za to dziękuję*—odpowiedział mu Karol—ale jużem się jakoś z tych kłopotów wydobył własną pomocą. Co zresztą mniejsza. Ale proszę cię, czy istotnie tak źle jest z tobą, że nie ma żadnej nadziei? Mnie się zdaje...

—• Tylko mnie nie pocieszaj—przerwał, jnu Izydor, podnosząc wychudłą rękę do góry — bo mnie będziesz mordował.

Karol umilkł. Po długiej chwili dopiero przemówił:

— Nigdy się tego nie spodziewałem! Byłeś tak zdrow, że nie znałem zdrowszego człowieka od ciebie. Jakże to przyszło do tego? kiedy się ta choroba zaczęła? co to jest za choroba?

■—Długoby o tem mówić, a nie warto. Gdybym ci chciał opowiedzieć, z kąd się moja choroba wzięła, musiałbym ci opowiadać całą moją biografię, a czy może być coś nudniejszego, jak biografia pospolitego człowieka? Każdy człowiek ma jakiś kapitał życia: jeden go wyda za lat sześćdziesiąt, drugi nim ciągnie do stu, ja go wydałem za lat trzydzieści. Co zaś powiadają lekarze, to ledwie warto powtarzać. Przed trzema laty zaziębiłem się i dostałem tyfusu, wydobyłem się z niego, ale się pokazały suchoty pancerzowe, piersiowe, płucowe i jakie sam chcesz. Nomenklatury tej zresztą nie znam i nawet o nią nie pytam; dosyć mi na tem, że wiem, iż kapitał życia wyszedł, a pozostała jeszcze jakaś zdawkowa moneta, która się wlecze. Ale i tej już nie wiele zostało.

To rzekłszy, podsunął się trochę wyżej i oczy przymknął, ażeby odpocząć—a tymczasem się zmierz- ■chło i do komnaty wniesiono lampę, w ciemno-błękitny klosz ujętą. To światło, prawie szafirowego koloru, w dziwny sposób oświetliło atmosferę komnaty; zdawało się, jakgdyby atmosfera ta spływała gdzieś z zabłąkitów. Odjęła ona razem twarzy chorego ten pozór marmurowy, półtrupia, a zamieniła go jakgdyby w postać jakąś zaziemską, przykutą za jakąś karę do ziemi. Po chwili obrócił się, spojrzął na Karola i rzekł:

.— Nie było cię półtrzecia roku w kraju, gdzie byłeś?

— Po_ największej części w Paryżu.

— Trochę hulałeś, potem zacząłeś się imać nauk i nachwytałeś ich mnóstwo, ale po szlachecku,

potrochu z każdego garnka, nie obaczywszy^v dna w żadnym. Wszyscyśmy tak zrobili, o co mniejsza,, bo dopóki jeszcze pamiętamy, że jesteśmy szlachtą, a nie chcemy wiedzieć o tem, żeśmy powinni się stawać rzemieślnikami w obranych przez siebie zawodach, to nawet inaczej n^e może być. Zrozumieli to ci, którzy zastępują Opatrzność na ziemi, i zmazali szlachtę z rejestru. Już jej niema de jure, a niebawem zapewne nie będzie i de facto. Całkowicie mnie nie obchodzi. Aprós moi le d^sługe- Ale cóż przywiozłeś z sobą z Paryża?

Na to pytanie Karol nie umiał mu odpowiedzieć.

— Ja się pytam, czy rozpatrzywszy się w swojej przyszłości, jesteś zdania, że będziesz mógł egzystować w swej roli, czy nie?

, — Nie mając innej roli rzekł Karol—muszę, chcąc nie chcąc, kontentować się tą.

— A to ci bardzo wieszczę. Będiesz szczęśliwym. Utyjesz, wzbogacisz się i będziesz żył długie lata. Proszę cię, czy oddawałeś się agronomii w Paryżu.

— Bardzo pilnie.

— Pojechałeś potem do Anglii i Szkocji, zwiedzałeś gospodarstwa wzorowe i stoisz dziś na wysokości tej nauki. Cóż tedy rozumiesz: czy u nas da się zaprowadzić to wszystko, czy nie?

■ — Wszystko nie, lecz z czasem bardzo wiele-

— Proszę cię, co tam Skiba porobił w Zawisłoczu takiego, że wszyscy tak o tem gadają? Jakież łąny rzepaku, jakież ogromne plantacje turnipsu i buraków, jakież łąbiny, kukurydze amerykańskie, lucerny i t. d. Czy to są rzeczy rozumne?

— Prawie wszystko to było rozumne. Skiba porobił niektóre błędy w administracji, ale co do agronomii, wielką mi oddał przysługę. Powikłał mnie wprawdzie trochę pod względem finansowym, lecz zato w postępie gospodarstwa rolnego przełamał co najgłówniej sze przeszkody i założył rai fundamenty do gospodarstwa takiego, iż się spodziewam, że za lat kilka stanie się ono rzeczywiście wzorowem, a Zawisłocze będzie przynosić bardzo znaczne dochody..'

— Satis! — rzekł na to Izydor — już wiem teraz, gdzie jesteś, a nawet wiem, dokąd zajdziesz. Za parę lat zawisłockie gospodarstwo będzie istotnie wzorowem, będą tam kopci^e przy, zamku dwie, parowe maszyny, na polach plony będą bajeczne, a zboże tamtejsze będzie się sprzedawało na wagę złota. Pan Karol, otyły jak Holender, będzie płacił jaknaj regularniej podatki, nie będzie nikomu winien ani jednego grosza, będzie miał kapitały i będzie jednym z najznamienitszych obywateli prowincyi. Czy nie tak?

Karol- milczał.

— Tylko nie myśl, proszę cię — mówił dalej Izydor — żebym to mówił z ironią. Ten ton suchy mojego głosu pochodzi z suchotniczej piersi, ale nie- z suchotniczego serca. Ja ci szczerze twojego usposobienia wieszczę, może ci go nawet zazdroszczę. Piękna to rzecz umieć się tak zastosować do wymagań czasu, wyrzec się z rezygnacją starożytnych praw swoich, złożyć swoją osobistość na ołtarz

tarzu pospolitego dobra. Zazdroszczę ci tej poczciwości serca, tej szlachetności umysłu. Ja się na to zdobyć nie mogłem! I gdybym nie musiał umrzeć na suchoty, to umarłbym pewnie na okoliczności, w które mnie gwałtem wtłoczono Fatalne to są okoliczności! Sam szatan nie potrafiłby fatalniejszych wymyśleć...

Tu chóry umilkł i odpoczywał przez chwilę z zamkniętymi oczyma. Ale wprędce znowu głos zabrał i mówił potem cokolwiek żywiej:

— Czy myślisz może, że mnie tak boli strata poddaństwa? Przecież tego nie myślisz. Jeżeli w czy- jem sercu mieszkało uszlachetnione uczucie ludzkości, to pewnie w mojem; jeżeli kto stał umysłem na wysokości dzisiejszego postępu, to pewnie ja; jeżeli kto był z całego serca za zniesieniem poddaństwa, to ja przed wszystkimi. Jakoż takiego zrzeczenia się byłbym pewnie z zapalem dopełnił. Ale dlaczegoż mi zabrano więcej, aniżeli postęp czasu* wymagał? dlaczego mi ziemię moją zabrano bez mojej woli. ziemię, na którą krwią, trudem i śmiercią zapracowali moi ojcowie? Czy słychana to rzecz, ażeby kiedy na kim tak jawny popełniono rabunek?... Czy wiesz, czem jest teraz państwo grzymalińskie?— jest to sto kilkadziesiąt kawałeczków ziemi, porozrzucanych luźnie na dWumilowej przestrzeni. Pasy darto ze mnie; nie trudno ci sobie wyobrazić, jak pó tej operacyi wyglądam... A potem zamieniono mnie w niewolnika. Nic mi już dzisiaj nie wolno. Nie wolno mi rąbać lasów, chociaż są jeszcze niby moją własnością, nie wolno mi domu, budy mi nie wolno postawić bez pozwolenia, nie wolno mi sługi przyjąć, jeżeli ten sługa nie ma na służbę patentu. A za to wszystko wolno jest tę resztę moich gruntów przerzynać drogami na wszystkie strony, wolno mosty stawiać na mojej rzece i moje przewozy kasować, wolno jeszcze za to wszystko kazać mi płacić i płacić i płacić i płacić bez końca, a jeżeli się nie wyplacę, egzekwować, fantować, sprzedawać. Na dobitkę tego wszystkiego wolno jest temu samemu mądataryuszowi, który niedawno co był moim sługą i w przedpokojach oczekiwał moich rozkazów, zawezwać mnie wedle swojej fantazyi do swego biura, wolno mu mnie zamknąć za kratę, wolno nawet obłożyć kijami, bo przecież jesteśmy równouprawnieni. Jeżeli możesz żyć w takich okolicznościach, bardzo ci tego winszuję. Ja nie. Jestem też bardzo szczęśliwy, że się to kończy...

Zabrał na to głos Karol i tak mówił:

— Zapewne, że okoliczności te są arcyfatalne, poniżające, przygniatające, ale powiedzże mi, cóż ma ten robić, który jeszcze żyć musi dalej? Czy w łeb sobie strzelić? czy pójść do klasztoru? czy bić głową o ten mur nierozbity i poty bić, póki sobie jej nie roztrzaska?—Nie można przeprzeć złego, trzeba się z niem pogodzić, a cały rozum w tem, ażeby sobie i wśród tak nieprzyjaznych okoliczności taką egzystencyę wyrobić, ażeby w niej jakoś wyżyć do końca.

—A można to?

: — Ja jeszcze nie wiem, stoję dopiero na progu.

— Cóż jednak sądzisz?

— Sądzę, że wyrzekłszy się tego wszystkiego,

czego już utrzymać nie można, a inne rzeczy zamknąwszy w sobie, postępując zaś wogóle z roztropnością i zrozumieniem bezstronnem tych wszystkich okoliczności, przecież jakoś wyżyć będzie można.

— Zapewnel — rzekł na to Izydor—zapewne, że ściągnąwszy z siebie skórę szlachetną, jak to zrobił; nieboszczyk Chochlik w roku 1848-ym, to wszystko można. Ale to nie każdy potrafi... O! potrafiłby każdy i ktoby tego nie zrobił natenczas, gdyby to przynosiło nadzieję ziszczenia takiego stanu rzeczy, jakiego się spodziewamy od wieku; ale zrzec się ostatejnie puścizny na to, ażeby z pojedynczej wpaść w niewolę podwójną, ażeby go zamiast z góry, jak było dotąd, gnieciono i z góry i z dołu, tego nikt nie potrafi. Ale już się to stało, niema o czem mówię. Niema o czem mówić tembardziej, ile że jak widzę, dobrze wam będzie. Będziecie mieli gospodarstwa wzorowe, bydło tłuste, jarzyny dobre, kuchnię wyborną — a czego wam więcej potrzeba?-

Karol zacisnął usta, a Izydor mówił po chwili dalej:

— Szlachta lubiła także niegdyś dobrze jeść i pić, lecz przez to nie zagasła w sobie ducha. Żywiła ona dobrze swe ciała, lecz na to, ażeby w danych okolicznościach mogła tem silniej i pilniej palić z siebie ofiary duchowi. Jakoż gdy tego była potrzeba, Walila z armat do swoich własnych dworów i zamków, tratowała swe własne pola i kładła się śmiercią za dalszy żywot ukochanych przez siebie przekonań lub uczuć.—Demokracja po stąpiła sobie całkiem przeciwnie. Poczęła ona swój żywot w świecie duchowym, morząc się głodem i paląc żarami gorących marzeń, wysuszała swe soki żywotne na to, ażeby wprowadzić swoje idee w życie; ale idee te wprowadziła na to, ażeby osiąść w spokoju na roli i tłustym kawałkiem chleba swoje zgłodniałe wykarmić ciała.—Tamci pielęgowali materję, ażeby nią mogli służyć duchowi—a ci posłużyli się duchem, ażeby przyjąć do posiadania i ugrzęznąć w materji. Jakoż niebawem, jeżeli jest jeszcze jaka szlachta na ziemi, podobno całkiem zamienią się role. Romantyzm, ideologia, życie w marzeniach za granicami rzeczywistego świata, stanie się rolą szlachty — a materyalizm, zachowawczość i wogóle żądność dóbr doczesnych, sprowadzenie raju na ziemię—rolą demokracji.

Pomilczał Izydor chwilę, a potem spytał:

— Czy nie jesteś takiego zdania?

— Nie powiem — odpowiedział mu Karol — ażeby to, co wyrzekłeś, nie było prawdopodobnem, nie powiem nawet, ażeby się to stać nie mogło, lecz jestem przekonany najmocniej, że się stać nie powinno. Bo najpierw, jeżeliby szlachta rzuciła się teraz w romantyzm, w ideologję tych praw, które bezpowrotnie straciła, toby uczyniła najgorzej. Wszelkie marzenia podobne, a przedewszystkiem marzenia wsteczne, prowadzą do bezczynności, do odrętwienia, a ztamtąd prosto do śmierci. Jeżeliby zaś szlachta rzuciła się do ideologii czynnej i zapragnęła to odzyskiwać nad ziemią, co utraciła na ziemi, toby wybrała i broń i pole jaknajniewłaściwsze. Czyny dokoane należą do historii, a walki o ich

ta

znaczenie, sprawiedliwość albo niesprawiedliwość powołaniem uczonych i nie bywają nigdy treścią; żywego życia. Jeżeliby tedy jeszcze jaka walka mogła dziś być właściwą dla szlachty, to > tylko walka o pierwszeństwo w posiadaniu i zamożności, o której nawet zapominać nie powinna i w której jej dziś jeszcze o tyle łatwiej o zwycięstwo, o ile sto-, sunkowo daleko większe ma środki potemu, niż wszyscy inni. Lecz walka o zasady dziś nie powinna już wcale mieć miejsca. Zasada przeszła w życie, stała się ciałem, stała się podstawą społecznego, porządku — zaczęłam do walki o nią ustały wszelki® powody. Jakoż jestem zdania, iż dziś powinniśmy raz na zawsze zaprzestać myśleć o wszelkich walkach wewnętrznych. I ci, którzy postępowe zasady wyznają z przekonania, i ci, którym te zasady pomi- mowoli na kark wtłoczono, powinni zapomnieć o tem, że w przyjęciu tych zasad była niegdyś pomiędzy nimi różnica — a natomiast powinniśmy się wszyscy razem połączyć do wspólnej pracy około tego, ażeby duch nasz pospólny nie przepadł i ażebyśmy jego mocą i siłą wznosili się coraz wyżej w naszeró plemiennem znaczeniu. Czasy te, w których społeczeństwu naszemu zamyślano za pomocą niezwykłych środków sporządzić znaczącą rolę na świecie, już przeminęły — a dziś każdy to widzi, że tylko żmudna, wytrwała, jednym duchem natchniona praca, może nam wrócić tę siłę, którąśmy, częścią przez ospałe marzenia, częścią przez wysilenia daremne, tak nadwątlili. W taką pracę zaprzędz siebie samego, w niej dopomagać swoim sąsiadom bez względu na to do jakiego stopnia oni hołdują postępowym zasadom i wogóle wpływać na to, ażeby każdy człowiek na tej ziemi żyjący miał się takiej pracy wedle sił swoich, oto jest, jak mi się zdaje, najwłaściwsza dla nas dziś dążność i najtrafniejsza nasza zasada. I zasada ta rzeczywiście coraz więcej się rozprzestrzenia i daj Boże, ażeby się jaknajprędzej stała powszechną, bo jestem pewny, że kilkanaście lat jej panowania przyniesie nam skutki tak świetne, o jakich dziś, smutni, rozbici i zniechęceni, nie możemy mieć nawet pojęcia.

Tak mówił Karol — a z tego widać, że Rozbitek ten już się całkiem spoił z sobą, stanowił świadomą siebie jednostkę, wiedział, gdzie jest i dokąd dąży.

Uznał to także i zgorzkniały Izydor i rzekł:

— Tak... tak..., mój drogi, jest to na dzisiaj jedyny sposób utrzymania się przy życiu. Bardzo się cieszę, że cię znajduję tak pogodzonym ze sobą i światem i tak gorącym apostołem nowego na tej ziemi porządku. Masz w tem najpewniejszą rękojmię swojego szczęścia, swojej pożyteczności, a ztąd i znaczenia. Wyobrażam sobie ten przyszły świat wasz, tak jakbym go widział i bardzo go wam pochwalam... Tylko, jeżeliś łaskaw, to mnie uwolnij od miłości dla niego. Nie mogę jej w sobie dla takiego porządku rzeczy obudzić. Nie lubię strzyżonych szpalerów, a jeszcze mniej mogę lubić społeczeństwa strzyżone. Nie takie Czasy mi się marzyły po głowie, kiedy myślałam o życiu. Pan wielki, jadący sześciu końmi, złotą karetą i otoczony nadworną milicją, a obok niego żebrak umierający z głodu między krzakami—to bardzo smutny jest obraz. Ale

ja wolalbym w takim obrazie być tym żebrakiem, bo go dobroczynna polieya weźmie gwałtem za kołnierz, ubierze w mundur^wedle przepisu i osadzi w domu przytułku. Wolność i wolność, jakże to nieskończenie różne od siebie pojęcia!

Nie chciał się Karol jego pojęciom sprzeciwiać i milczał. Lecz milcząc, myślał.

Teraz dopiero bowiem zrozumiał on całkiem tego człowieka i dojrzał, co go właściwie rzuciło w objęcia śmierci. Suchoty ciała były tu rzeczywiście — przychodzą one rzeczywiście po życiu spędzonym w takiej swawoli i w takiej szlacheckiej zarozumiałości na swoje zdrowie, a takiej średniowiecznej pogardzie dla życia, ale byłyby one z pewnością nie przyszły, gdyby był Izidor po wyleczeniu się z nerwowej gorączki, miał w sobie dosyć siły moralnej, ażeby nadwątloną nić życia napo wrót uchwycić i wzmocnić ją w sobie zdrowiem swojego ducha i żywą wiarą w konieczność dalszego istnienia swego na ziemi. Ale nie miał tej siły, nie miał wiary w tę siłę, a co najgorsza, nie miał nawet pragnienia utrzymania się jeszcze przy życiu. Zmiana stosunków społecznych, zupełnie jego uczuciom przeciwna, nieumiejętność zastosowania się do nowego porządku rzeczy, pomimo dobroci serca, szlachetności i zdolności poświęcenia się, przecież w głębi serca siedząca niechęć do zrzeczenia się swoich dawnych korzyści społecznych, wszystko to tak nadwątliło jego siłę moralną, iż podobno daleko wcześniej zaczęły się u niego suchoty duszy, aniżeli suchoty ciała. W każdym zaś razie przynajmniej równy tu udział miały choroba moralna i fizyczna i obie razem czyniły na wyścigi rum ubliżającą się śmierci.

Tak się to Karolowi zdawało, jakoż się nad 1,em zamyślił.

Tymczasem Izidor przerwał milczenie i rzekł: — Ja wiem, co ty myślisz. Karol się zbudził.

- — Ty robierasz i dopełniasz w wyobraźni moje ostatnie słowa i myślisz sobie, że Izidor bałamuci przed śmiercią. Ale tak nie jest. Powiedziałem powyżej, że nie mogę się rozmiłować w społeczeństwach strzyżonych: tem jednym słowem wypowiedziałem ci wszystko i spodziewam się, że mnie zrozumiałeś. Dodaję teraz, że słowo wyleciało mi z ust przypadkiem. Wiem, co mówię, a mówię •opierając się na dokładnej znajomości zamierzonej przez demokrację przyszłości. Demokratą nigdy nie byłem, ale ta śmiała idea, dlatego właśnie, że jest ■tak śmiała, obudzała we mnie zawsze najżywsze za- jęcie i studio wałem ją bardzo pilnie i nadzwyczajnie gruntownie. Bawiąc zagranicą, zstępowałem codziennie na te niziny społeczne, gdzie ta idea była miazgą życia, gdzie ludzie daleko łakomiej się jej duchem żywili, aniżeli chlebem i wodą, gdzie się wychowywali jej najżarliwsi na kiedys obrońcy. Ubrany w bluzę i habelkowe trzewiki, strawiłem niejedną wieczór za baryerami Paryża, albo w którejś podziemnej gargocie na Yaugirard i Faubourg latin. Nie zaniedbywałem tembardziej zabierać znajomości z najpierwszymi koryfeuszami demokracji i republiki, socjalizmu i komunizmu, a obiady dla nich, dawane w St. Oermain, VMe d'Avray i tak

dalej kosztowały mnie daleko więcej, aniżeli kolące w Maison d'or i au petit moulin rouge. Wybornie się tam nieraz bawiłem. Stać bowiem przy samem źródle, z którego wytryska świeży promień nowego ducha, stać u samego krateru tego ognistego wulkanu i doprowadzać go do wybuchu i widzieć zbliżać, jakie on skały olbrzymie, jakie Ognie piekielne miota pod niebo, to jest nie ladajaka rozrywka. Jak tedy widzisz, nie zaniedbałem niczego w mera życiu, ażeby się temi nowemi ideami napoić, uczynić je swoją własnością i przerobić się na człowieka odpowiedniego wymaganiom postępu. Ale na- próżno. Gdyby mi przyszło żyć z tymi ludźmi, których myśli są tak pełne energii i nieraz tak poetyczne, a swoją głębokością, wzniosłością, zuchwalstwem, szaleństwem, niedorzecznością tak rozmaite, toby mnie to bardzo bawiło, ale o to nie chodziło mi wcale, tylko o to, ażebym zbadał ich główną myśl i dowiedział się, czego oni końcem końców chcą i co nam myślą sprowadzić. Ażeby się tego jaknaj dokładniej nauczyć, popłynąłem przed sześciu laty do Ameryki północnej i bawiłem tam osiem miesięcy. Tam zobaczyłem sumę tego całego rachunku, ideę w czyn zamienioną. Tam też zobaczyłem te społeczeństwa strzyżone, o których mówię. Dziwna prozal—Być może, że Europa, mająca swoją historję i tradycje tak żywe, nie przyjdzie nigdy do tego, ażeby upadła tak nisko, jak społeczeństwa Stanów Zjednoczonych—być może, że nie ugrzęźnie tak głęboko w materyalizmie, nie unie- woli, nie zgłupi tak swego ducha, ażeby ten, prze rywając miejscowo albo chwilowo swoje kajdany, uje umiał inaczej objawić swojej swobody, jak tworzeniem pogańskich sekt, albo barbarzyńskim han- dlem murzynami; ale że i tutaj te nowe idee nie mogą nic innego sprowadzić, jak tylko lodowatą, kamienną prozę we wszystkich arteriach życia i naj nie znośniej szą niewolę dla wszystkich, to jest prawdą niezaprzeczoną. A wszakżeż ostateczną dążnością zasady demokratycznej nie jest nic innego, jak to, ażeby uniewolnić pojedynczego człowieka na korzyść ogółu. Na takim świecie, gdzie nie wol- no nikomu, być nawet tem, czem go Bóg stworzył, to jest samym sobą, a każdy musi być tem, czem. <mu być każą, niechaj sobie żyje kto chce!— mnie, tu začasno.

Tu chory spoczął, pomyślał trochę, a potem tak mówił dalej:

— Obrzydliwa to będzie niewola, którą wam ten wasz postępn sprowadzi. Będzie wam wolno. wierzyć i myśleć i mówić i pisać, jak się wam- bę- dzie podobało, ale nie będzie wam wolno spełnić ani, jednego czynu podług własnej fantazyi, bo przez, wzgląd na dobro ogółne, na. wszystko będą przepisy. A na co nie będzie przepisu, przystrzygającego, wszelką swobodę każdego pojedynczego człowieka do pewnej miary, to będzie ograniczone niemożnością, o którą się z góry postara przeprowadzona w życiu zasada równości. Kiedy mi dziś już nie. wolno ożenić syna przed skończeniem, przepisanych lat życia, kiedy mi domu nie wolno postawić na moim własnym gruncie, kiedy wolno jest poprowadzić drogę choćby przez środek mego ogrodu lub popod oknem mego pałacu, jeżeli ta droga jest dla.

pospolitego dobra potrzebną — a czegoż mi nie nakażą, albo nie wzbronią z postępem czasu? jakichże kajdan jeszcze nie włożą na mnie te wolnomyślnie zasady, kiedy się jeszcze lepiej rozwiną? — Wolność i wolność, jeszcze raz to powtarzam, jakże to nieskończenie różne od siebie pojęcia!

Wymówiwszy te słowa, odetchnął z głębi piersi i dodał:

— Ale patrz, jak tu ten duch ludzki wije się- i kręci na ziemi! Powiadacie, że postępuje naprzód: fałsz i nieprawda. Rozszerza się, uszlachetnia- tu i owdzie poprawia, czyści się, przytomnieje, ale naprzód nie postąpił jeszcze ani krokiem. Od wielu to wieków mozoli się nad tem, ażeby sobie sporządzić swobodę, ale napróżno. Z jednego gatunku niewoli tylko przelazi w drugą, ale wiecznie w niej siedzi. Z pod despotyzmu dziedzicznych władców przechodzi pod despotyzm dyktatorów, prezydentów lub komitetów, a teraz ciśnie się pod despotyzm zasad, najnieznośniejszy ze wszystkich dotąd praktykowanych. A ile to on nie poniesie trudów, pracy, ile krwi nie wyleje, ile mordów nie spełni, ile szczęścia nie zniszczy, nim z jednej formy niewoli przecisnie się w drugą! Straszny to widok jest tej ludzkości, tak się wijącej, w tej swojej tak ciężkiej i nigdy się niekończącej boleści! Ale jest w tem i pociecha. Jest to bowiem najlepszy dowód, że życie nasze nie z tego jest świata. Jest w nas nieu- gaszone pragnienie swobody, cały prąd ogólnego ducha naszego dąży wszystkimi siłami tylko do tego, ażeby się mógł wydobyć na wolnośćswolności tej tu nie zdobywa i jest to rzeczą widoczną, że jej tur nie zdobędzie—ale Bóg nie napróżno dał mu to pragnienie, ugasi on je gdzieindziej! Na ziemi był bój, za błękitami będzie zwycięstwo...

Przez ten cały czas Karol siedział na krześle, jak na kulbace, położył obie ręce na poręczy, brodę oparł o ręce i tak słuchał w milczeniu. Teraz wstał i przeszedł się po komnacie.

-4 Jak widzę, nie jesteś mojego zdania?—spytał go chory.

— Chciałem ci przeczyć—rzekł Karol—ale kiedyś tak skończył, to milczę.

— Cóż chciałeś zaprzeczyć?

— Chciałem zaprzeczyć temu, że niema postępu. Podług mojego zdania, nie widzi go tylko ten, który nie chce. Ale jeżeli kroki postępu i jego zdobycze mierzysz tak wielką miarą, że aż do nieba sięgasz, to oczywiście zaprzeczenie moje już nie może mieć miejsca. My się tu mniejszą mierzymy miarą i dlatego widzimy, że choć pomału, choć z trudem, przecież idziemy naprzód. Nie odbieramy też sobie nadziei, że z czasem przecież gdzieś zajdziemy, bo inaczej w samej istocie nie byłoby żadnego postępu i zgnilibyśmy na miejscu.

Przypatrzył mu się Izydor i rzekł:

—■ Jak widzę, znowu zmieniłeś swoje zasady.

— A znowu — odpowiedział mu Karol dobitnie— bo nigdy nie przyznawałem słuszności tym, którzy wlaźszy w błoto, siedzą w niem wiernie do śmierci i taką wytrwałość liczą sobie za cnotę. Byłem i ja niegdyś w tem trzęsawisku, lecz Bogu dzięki, z niego wylazłem, bo z doświadczeniem przyszedłem do przekonania, że odebrawszy dar taki, jak

życie, lepiej jest chód jako tako się za nie wypłacić, niżeli je zmiąć i wyrzucić,

Uśmiechnął się na to Izydor i rzekł: . " — Zapewne musiałeś wyczytać wiersz znanego poety, który mówi:

„Masz ginąć marnie, to wolisz żyć marnie.”

Uśmiechnął się na to także i Karol, a Izydor rzekł:

- — Dajmy pokój. To nas do niczego nie doprowadzi. Niemasz z suchotnikami rozmowy; każda ich myśl 'dobra— ale tylko dla suchotnika... Jakoż wcale ci myśli moich nie narzucam. I owszem, cieszę się tem, że życie w tobie tak żywe. Nie powinienem się nawet dziwić temu, że wy jeszcze tyle wagi przywiązujecie do tego życia. Może być dobrze dzikim Indyanom pod rządem takiego despoty, który czasem piec każe swoich poddanych na rożnie i-zjada ich potem; dlaczegóżby wam nie było dobrze pod wolnomyślnym rządem zasad demokratycznych? A wszakże was zjadać ^ie będą, a jeżeli wam jeszcze część ziemi zaborą, to dla dobra pospolitego... Ale kiedy cię tak żwawo zajmuje życie, to muszę cię spytać, cóż powiadasz o Józi?

— O Józi? — odpowiedział Karol przeciągle -- ja nic nie powiadam, bo nic o niej nie wiem.

— Proszę cię — mówił Izydor—jak to dziwnie Bóg pokierował jej losem! Sam nie wiem, co mam o tem rozumieć. Dwóch miała konkurentów i była w największym kłopotcie, któregooby miała wybrać — a osiadła na koszu. Tak Pan Bóg chciał, z czego Wnoszę, że musiała przecież coś zawinić, kiedy

Bog nie dopuścił, ażeby poszła za mnie, Byłaby to srozsza kara dla niej, gdyby musiała była pokutować tu przy mnie jak siostra miłosierdzia. A bardzo mało brakowało do tego, bo gdybym był zachorował tylko o jeden dzień później, ślub byłby był przyszedł pewnie do skutku. Ale tak to Bóg chciał... €pż myślisz o tem?

— Ja nic zgoła o tem nie myślę, bo o Józi nie myślę.

Przypatrzył się hrabia Karolowi z uwagą i za» pytał:

— Całkiem się wyleczyłeś?

— Jaknajzupelniej.

Trwała chwila milczenia.

— A ja przecież ci powiem—mówił Izydor dalej— że nie jest to pospolita dziewczyna. Ja znam kobiety, studyowałem je z taką pilnością, że mnie to kosztowało pół zdrowia; mogę też coś o nich powiedzieć. Józia ma znakomite kwalifikacje... Nie wiem, co się teraz z niej Zrobiło, ale wiem, że tam wogóle wielkie zaszyły odmiany i mam powody mniemać, że odmiany te wyszły na jej korzyść. Jeżeli już jesteś wyleczony z miłości dla niej, jak sam powiadasz, tobym ci radził tembardziej zobaczyć ją teraz.

■—Nie mam do tego najmniejszej ochoty.

— Dlaczegóż to? Czy gniewasz się na nią? > —Oh! wcale nie.

— Ale co?

— Ale nie mam już teraz do niej żadnego pociągu.

— Nie widziałeś jej przecie.

— Tem więcej wierzę mojemu sercu.

Milczał znowu hrabia przez chwilę, a potem rzekł:

— To mi żal tego bardzo.

1; — A teraz ja się spytam: dlaczego?

— Dlatego, że was kocham oboje i jestem przekonany, żeby wam dobrze byłoby z sobą. Oprócz tego szambelanówna, jeżeli dawniej była partią niezłą, to teraz jest wcale dobrą. Ma Przewoźniki, ma je z pewnością i w całości, bo nawet je odebrała na siebie, a krom Przewoźnik będzie miała jeszcze coś więcej. Znam cokolwiek jej terazniejsze rodzinne stosunki i mógłbym prawie za to zaręczyć...

Na tę uwagę Karol wstał z krzesła i rzekł:

— Już jest późna godzina, a u mnie robotnicy czekają wypłaty. Jeżeli cię to nie będzie nudzić, to cię będę odwiedzał tak często, jak sam rozkażesz; ale teraz muszę cię opuścić.

To rzekłszy, chciał chorego pożegnać.

Ale ten patrzył na niego otwartemi i piyen kliwemi oczyma i milczał.

Pod wrażeniem jego wzroku/którego znaczenia nie mógł odgadnąć, Karol się kręcił cokolwiek.

Nareszcie Izydor przeciągnął się jakby w boleści, przesunął ręką po nagim czole i rzekł:

— Okłamałeś mnie, panie Karolu.

— A to jak? — spytał Karol dość raźnie.

— Ale zapewne okłamujesz tak samo i siebie— dodał Izydor— a więc nie mam o to pretensyi.

— Nie rozumiem tego zupełnie.

— ■ Irytuję cię każde wspomnienie o Józii, a więc się kochasz w niej jeszcze, dziś' tak samo, jak da

Sjgpp

wniej, a może dziś jeszcze więcej. Ale mnie to cieszy, tak dobrze będzie. Nie winna ona temu, żeśmy się o nią zwarli z sobą, a jeszcze mniej temu, żeśmy się chcieli szlachetnością prześcignąć; niesprawiedliwościąby to było wołającą do nieba, gdyby za to musiała cierpieć przez całe życie. Ale jak widzę, nie będzie cierpieć i to mnie cieszy niezmiernie. Jedna to rzecz na tej ziemi, która mnie jeszcze niepokoiła cokolwiek, ale teraz już jestem spokojny...

— Bywaj zdrów — rzekł mu Karol — jutro cię znowu odwiedzę.

— Jutro?— rzekł Izydor— kto wie, gdzie ja już jutro będę. Daleką mam podróż przed sobą— zima się zbliża, trzeba się śpieszyć...

Te słowa zatrzymały Karóla, nie odpowiedział mu nic, ale i nie odchodził.

— Pamiętasz jeszcze te powozy— zapytał Izy- * dor — które sprowadziłem dla Józii przed trzema laty?

— Tak... przypominam je sobie cokolwiek.

— Te powozy są jeszcze u mnie, stoją nietknięte w wozowni. Pamiętaj o tem...

Wszystko to sprawiało na Karolu wrażenie jakiegoś tak dziwne, że sam nie wiedział, co mówić, a nawet co zrobić z sobą.

Na szczęście jednak w tej chwili przyszedł miejscowy proboszcz, a tak rozmowa przeszła na inny przedmiot.

— Jakże się pan hrabia masz? — pytał zacny kanonik, powitawszy obydwóch przyjaciół — lepiej

■dzisiaj cokolwiek? Tak długo niewidziany gość przy- . niósł panu upragnioną rozrywkę..

• — Rozerwał i pocieszył.

— No, to przyjdzie i sen tej' nocy zapewne.

— Wątpię, Karol obudził we mnie myśl nową i zajmującą, która mnie rozbudziła tem więcej i prawdopodobnie przy wiąże mnie jeszcze na dni kilka do ziemi. Myślałem, , że już dziś' pójdę do moich ■ojców... Czy wierzysz, kanoniku, temu, że człowiek siłą swojego ducha, mocą swej własnej woli, może się jeszcze długo utrzymywać przy życiu, chociaż śmierć już mu siedzi na piersiach?

— Nie, nie wierzę — odpowiedział proboszcz stanowczo.

— A! prawda, nie godzi się wierzyć temu.. ■Jeszcze dużo. pogaństwa jest we mnie. Czy będziesz łaskaw czytać?

— Owszem, po to przyszedłem.

— To proszę—rzekł Izydor, zapominając zupełnie o gościu.

Zasiadł tedy kanonik w krzesło, przy którym był pulpit przymocowany, a na nim otwarta księga zapalił dwie świece, przymocowane także do pulpitu i umbrelkami okryte i zaczął czytać w ten sens:

— 1. I przybliżali się do niego celnicy i grzesznicy, aby go słuchali.

2. I szemrali faryzeuszowie i doktorowie, mówiąc: iż ten przymuje grzeszniki i jada z nimi.

3. I rzekł do nich to podobieństwo, mówiąc:

4. Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeśliby stracił jedną z nich, iżali nie zostawuje

dziewięciudziesiąt i dziewięciu na puszczy, a idzie za nią, co zginęła, aż ją najdzie?

5. A gdy ją najdzie, kładzie na ramiona swe, radując się.

6. A przyszedłszy do domu, zwoływa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę moją, która była zginęła... .

Kiedy proboszcz wymawiał te słowa, Karola już nie było w komnacie.

IV.

Te pierwsze odwiedziny u Izydora sprawiły na Karolu przejmujące wrażenie, choć tego nie dał poznać po sobie.

Powróciwszy do domu, przechadzał się długo po swoim pokoju sypialnym, myśląc o tej śmierci straszliwej, która zawisła w tej chwili nad Grzymalińskim pałacem. Śmierć człowieka na ziemi jest zapewne tak zwyczajnym wypadkiem i tematem tak wyczerpanym, że trudno o niej coś nowego powiedzieć—ale śmierć taka i takie usposobienie przy śmierci nasuwało Karolowi niejedną myśl tak zajmującą i ważną, że trudno mu było nie zastanowić się nad nią.

Tymczasem wcale niespodziewany o tak godzinie, wszedł do jego pokoju Skiba.

Zjawienie się jego zadziwiło trochę Karola, jakoż go spytał:

— Ty jeszcze nie śpisz? czy może się stało coś złego?

— Gdzież tam —rzekł Skiba—tylko, jak wiesz,

nie mogę sypiać po nocach, a ponieważ i ty zapewne po odwiedzinach u Izydora nie będziesz mógł zasnąć tak prędko, więc jeszcze przyszedłem na chwilkę do siebie. Cóż mi powiesz o Izydorzem?

Nie uważał Karol tej ciekawości, z jaką jego nauczyciel to pytanie wymówił, a cały tem tylko zajęty, o czem myślał w tej chwili, rzekł na to:

— Al ten Izydor... Wierz, że mnie widok tego człowieka tak wzburzył, że może nie potrafię zasnąć do rana.

Skiba patrzył z coraz większą uwagą na chodzącego po pokoju Karola i śledził tak pilnie każdy wyraz odbijający się na jego twarzy, jakgdyby dziś właśnie spodziewał się jakiej nowej a ważnej w nim zmiany i chciał się o niej natychmiast dowiedzieć.

Tak też było w istocie.

Wiedział on bowiem o tem od ludzi, że Karol, obaczywszy jakieś damy wyjeżdżające z chaty Bernata, zaraz tamże pojechał. Nie było tajem Skibie, kto były te damy. Już tedy to samo naprowadzało go na domysł, że Karol dnia dzisiejszego mógł w sobie rozbudzić uczucia dawno przygasłe i myśli dawno już zapomniane—a wiedzieć o tem napewno, czyli je rzeczywiście rozbudził, nie było obojętnem dla niego. Wszakże daleko większą jeszcze w nim rozbudzało ciekawość, jakie też wrażenie sprawił na nim ten człowiek, który ustępował ze ziemi w tem przekonaniu, że życie w obecnych okolicznościach niema żadnej wartości i przy swej śmierci stał się jakby kodeksem przesądów. Wrażenie to było dla nauczyciela Karola nadzwyczajnie ciekawem, a to nietylko dlatego, iż teraz, kiedy jego uczeń wstąpił

na drogę czynnego bytu i zaczynał się stawać człowiekiem, on sobie miał za obowiązek najświętszy strzedz go od wszelkich szkodliwych wpływów i zbroceń; ale niemniej dlatego, iż wśród ustawicznych zajęć i prac gospodarskich, nie mogąc znaleźć dość sposobności do dłuższych z nim dysput, do dnia dzisiejszego jeszcze właściwie nie wiedział, jak się ten nowy człowiek wyrabia, co pod tym i owym względem dzieje się w jego umyśle i jakie w nim się konsolidują opinie. Niezmiernie tego wszystkiego ciekawy i cały drżący nad tem najulubieńszem dziełem swojego życia, chciał korzystać ze sposobności dzisiejszej za świeża. Dlatego tu przyszedł i dlatego raz jeszcze zapytał:

— Cóż mi powiesz o Izydorze?

— Czy widziałeś go kiedy w tych czasach? —• zapytał go Karol.

— Owszem, widywałem go dosyć często.

— Ja nie wiem sam — zabrał głos Karol — co mam o tem myśleć, ale tak mi się zdaje, że Izydor nie umiera na suchoty cielesne. On umiera na chorobę nieznaną u nas dotychczas! Chorobę tę nazwałbym brakiem moralnego oddechu. Potomek przodków znakomitych i świetnych, dziedzic znacznego majątku, jest on zarazem i od natury uposażony w znamienite przymioty. Nie brakuje mu także na cnotach doświadczeniem wyrobionych i na zdolnościach nabytych. Gdyby było jego życie przypadło w te czasy, kiedy stanowisko społeczne było tak jak fortuna i imię dziedzicznym, kiedy młodzieniec jemu podobny wstępował od rana na wysoki szczebel w hierarchii społecznej, a dorazowym czynem lub poświęceniem można było w ten moment wyskoczyć do wysokich i najwyższych godności, on byłby bezwątpienia zajął jedno ze znamienitszych miejsc w społeczeństwie. Ale nieszczęściem dla siebie, trafił na czasy, gdzie krom fortuny i imienia, nic nie oddziedziczył się więcej, gdzie zaćmienie sławy swych przodków jest niepodobnem, a nawet mierne znaczenie można osiągnąć tylko powolną pracą i długo zdobywaną zasługą. On nie zrozumiał tego czasu, a ztąd wiekuista sprzeczność pomiędzy nim a otaczającym go światem. On byłby był zdolnym poświęcić na ołtarzu pospolitego dobra odrazu całą swoją fortunę, ale wydawać z niej codziennie po groszu nie umiał. Potrafiłby wyciągać korzyści dla siebie z poczynionych przez postęp zdobyczy, ale temu postępowi zaprzeczał i sam się do niego przyczyniać nie chciał. Potrafiłby był odbierać cześć i szacunek należny wyższości, ale na tę wyższość zarobić nie miał wcale ochoty. Umiałby być dygnitarzem lub naczelnikiem, ale człowiekiem być nie potrafił. Co świat już dawno odrzucił, to on zachował w sobie i jest dziś jakby archeologicznym muzeum, pełnym podruzgotanych i zardzewiałych rupieci — a co świat przyjął, czem oddycha i żyje, na te niemasz miejsca w jego wyschniętej piersi; Zaczem tym piersiom zaczyna coraz więcej brakować oddechu, osobistość jego niknie i świat mu znika z przed oczu, a dusza jego coraz częściej wyrywa się z ciała, ażeby błędzić pomiędzy pozapadane groby na zapomnianych cmentarzach. Padnie nareszcie na którym grobie, przyschnie do omszonego głazu i już nie powróci.

Wysłuchawszy tego wszystkiego Skiba, rozpromienił twarz swoją nietajonem zadowoleniem i z wyrazem serdecznej pociechy patrzył na swego ucznia, ten zaś tymczasem, ciągle zajęty tą sprzecznością, jaka zachodziła pomiędzy wyobrazeniami jego a Izydora, mówił tak dalej:

-*- Ale to nawet inaczej nie może być... Nie potrafi ten dzisiaj znaleźć stanowiska dla siebie na ziemi, kto w swojej głowie tak niedorzeczne powyrabia pojęcia. Wszystko tam w tym umyśle ukształtowało się jakby na wywrót. I tak powiada mi najpierw, że nadeszły dziś czasy, w których indywidualność człowieka znika w ogóle społeczeństwa. Jest to fałsz i nieprawda. Właśnie mijają ostatki tych czasów, gdzie indywidualność człowieka w zwykłym porządku życia tylko o tyle coś znaczyć mogła, albo nie mogła, o ile należała do wyższej lub niższej klasy społeczeństwa. Klasy te albo stany zlewają się dziś coraz bardziej z sobą i właśnie najpiękniejsze otwiera pole dla indywidualnego znaczenia. Ale znaczenie to trzeba sobie własnoręcznie wyrobić. Nie jestże to wyraźny postęp uczucia sprawiedliwości? nie jestże to lepsze, aniżeli to, co dotąd bywało? Izydor mówi dalej, że ludzie nie mogą tutaj osiągnąć całkowitej wolności, przechodzą tylko z jednej niewoli w drugą, a teraz dążą do najcięższej niewoli zasad. Jest to fałsz drugi. Wolność bezwzględna nie jest podobna na ziemi, ale też jej nikt rozumny nie pragnie. Istniała ona już niegdyś, mianowicie natenczas, kiedy jeszcze społeczeństw nie było, ale okazała się nie wolnością^ tylko najogólniejszym bezprawiem w całym jego znaczeniu. Ludzkość postępująca w oświacie do takiej wolności dążyć nie może, takim dążeniem bowiem wróciłaby napo wrót do barbarzyństwa i do stanu dzikości. Przeciwnie, im więcej się ona oświeca, tem głębsze obudzą w sobie poszanowanie dla prawa i niczego goręcej nie pragnie, jak najwyższego udoskonalenia praw i zasad społecznych. Cóż to jest prawo? Prawo jest to wolność jednego, ograniczona wolnością drugiego^ A co to jest wolność? Jest to suma praw społeczeństwa. Im doskonalsze są prawa, tem doskonalsza jest wolność]—i tak dalej. Izydor mówi nareszcie, że niemasz wcale postępu. Jest to fałsz trzeci. Postęp ludzkości jest tak widocznym, tak się dziś wszędzie objawia, we wszystkich arteriach życia, że trzeba być chyba umierającym, ażeby go nie "widzieć. Księgiby trzeba spisywać, ażeby na to dowody wyliczyć. Jakoż nie o to może zachodzić wątpliwość, lecz raczej o to, iż są ludzie, którzy mniemają, że główna dążność tego ogólnego postępu nie jest taką, jakiejby ze słusznym względem na dwoistą naturę człowieka życzyć należało ludzkości. Powiadają oni, iż dążność ta jest więcej materyalna, aniżeli duchowa. Materya bierze górę nad duchem, a ludzkość stara się głównie o to, ażeby jej dobrze było na ziemi, mniej dbając o to, jak komu będzie za ziemią... Pozory, powodujące do tego wniosku, nie mogą być zaprzeczone. Ale azaliż to czas jest, wydawać ostateczny wyrok o epoce, która się zaledwie zaczęła? Czy po raz pierwszy to Europa po długoletnich wojnach i wysileniach rzuciła się do handlu, rzemiosł i pługa, aby odzyskać to, co straciła w czasach zniszczeń-

nią? Czy po raz pierwszy opanowała ją trzeźwość po poetycznych zapalach i eterycznych marzeniach? A zresztą, czyż nie tą koleją idą wciąż dzieje ludzkości, że jej duch epokami wznosi się w niebo i znów do ziemi przysiadła, a odpocząwszy, znowu wystrzela do góry? Nie traćmy zatem nadziei i patrzmy, a wtedy ujrzymy, że ten duch i dziś nawet nie pracuje li tylko na kawałek chleba codzienny. Rozsyłając okręty po krajach dalekich; poruszając maszyny, warsztaty i pługi, nie służy on tylko samej materii. Roznosi on bowiem równie skwapliwie swe światło w najodleglejsze tej ziemi zakątki, wali bałwany pogańskie pomiędzy barbarzyńskimi ludami, posyła dobroczynne promienie wiary w niedotknięte krzyżem świętym krainy, buduje wspaniałe miasta w pustyniach za ledwie znanych przed kilku dziesiątkami lat, a kiedy tak odważnie pracuje po obcych ziemiach, nie spoczywa tamże i w swojej europejskiej kolebie i mnoży szkoły, rozprzestrzenia dobroczynne zakłady, wciska się w warstwy najniższe i wszędzie roznosi światło i uszlachetnione uczucie ludzkości. Nie wystrzela on może dosyć wspaniale w górę, lecz zato rozprzestrzenia się z szybkością i potęgą powodzi, a opasując ziemię żelaznymi drogami i telegrafami dokoła, wie każdej chwili na każdym miejscu o sobie, łączy się, zlewa, jednoczy sam z sobą i prowadzi całą ludzkość wogóle do takiej przytomności i świadomości samej siebie, jakgdyby całą ziemię chciał zamienić w żywe i przytomne stworzenie, a całą ludzkość w jednego z milionów złożonego człowieka. To jest też najgłówniejszą cechą dzisiejszej ogólnoludzkiej dążności.

Żyć w takich czasach, być częścią tak pracowitej, postępującej, i ciągle się uszlachetniającej ludzkości, przyczynić się do tej pracy wspólnej, stawać się coraz znaczącą częścią tak dzielnego i przytomnego ducha tej ziemi, nie wiem ażali być może uważanem za karę... Ale są ludzie, którzy nie mogą znieść tego, że się urodzili w tych czasach, gdzie warto jest i trzeba być koniecznie człowiekiem — i wykluczają się z pomiędzy żyjących. Mniejsza o takich, którzy i z innych względów nie wiele walczyli, ale Izydora żal mi serdecznie.

Wysłuchawszy tych zdań swego ucznia, Skiba nie potrzebował już więcej. Wstał, ujął go za rękę, ścisnął z całej siły, a łzy mu stanęły w oczach. Rzekł przytem głęboko wzruszonym głosem:

— Dziękuję ci, mój Karolu, widzę cię przecież nareszcie człowiekiem.

— Czy nie spodziewałeś się tego?— spytał go Karol.

— Spodziewałem się zawsze, ale trudno mi to zataić, iż miałem chwile, w których także i rozpaczliwe obudzały się we mnie uczucia. A osądź sam, czy nie miałem do tego powodów?...

— To prawda — odpowiedział mu Karol — powodów do tego nie brakło. Ale czy może to inaczej być u nas? Czy może człowiek młody, mający coś więcej w głowie i w sercu, aniżeli trzeba do weteranów, na samym wstępie do życia pogodzić się z tą ciasnotą okoliczności, w której u nas żyć musi? Czy może poprzestać na takiej roli, która mu każe siać i zbierać, a w razie najlepszym, po latach wielu, dorobić się zachowania za ledwie na kilka

wokoło? — Ja się dziś na te rzeczy zapatruję już w sposób cokolwiek inny, ugiąłem karku do tego ciasnego jarzma, bo muszę; ale nie myśl, mój Skibo* ażeby mnie stanowisko to, które zaczynam zajmować na świecie, zadowalało zupełnie. Tyle lat strawić w pracy tak żmudnej, tyle rozbudzić w swej głowie myśli, tyle ożywić uczuć i wszystko to potem zagrzebać między kopcami rodzinnej wioski— to bardzo ciężka niedola, to ból, to rozpacz. Wstąpiłem już na tę drogę konieczną, jużem się z moim losem pogodził— lecz to uczucie boleści nad tem, że się to całe życie w tak ciasnym więzieniu przeżyje, że się nic więcej nie robi, jak tylko, że się to i owo zachowa i może i dzieciom przekaze, nigdy mnie nie opuści. Będzie mi się wszystko wiodło w tem życiu, jak tylko można najlepiej, będę miał wsie i pieniądze, może żonę poczciwą, dzieci kochane, miłość i poważanie u ludzi; ale wszystko to tego gorzkiego uczucia we mnie nie zatrze. Będę patrzył na moje ziemie, a widok ich będzie mnie tylko tem cięższym napawać smutkiem, będę patrzył na dzieci i będę płakał nad niemi... O! nie sądzmy tak Izydora surowo! Umiera on na suchoty cielesne, które sam sobie sprowadził, umiera na suchoty duszy, której nie umiał ożywić; lecz pod tem wszystkim ukrywa się jeszcze coś więcej. Ból to jest, ból wiekowy, społeczny, nieuleczony, który go zatrął, choroby w nim potworzył, na łożo rzucił i zabiera z tej ziemi. Od tej albo owej choroby, z tego bólu wynikłej, nikt z nas nie może być wolnym—i dlatego to nam tak trudno być ludźmi... To rzekłszy, poszedł ku oknu i patrząc przez nie w noc ciemną, zaczął bębnić po szybach w milczeniu.

Skiba siedział w głębokim krześle, pochylił głowę, zasłonił twarz swoją ręką kościstą i także milczał przez chwilę. Zbudził się wszakże i rzekł potem ze smutkiem:

Ha! tak to jest. Niema co przeciw temu powiedzieć. Boleść ta jest naszą pospólną własnością, każdego ona przygniata, a tylko odstępcy są od niej wolni. Ale ta boleść jest ,tp naszą odziedziczona, przyrodzona puścizna, jest jakby narośl jakaś na duszy, jak bywają narośle na ciele. Bywają ludzie garbaci fizycznie, my jesteśmy moralnie garbaci. Ale czy garbaty nie jest przeto człowiekiem? Cóżby powiedziano o którym z nich, gdyby dlatego, że jest garbatym, opuścił ręce i w bezczynności albo płakał wciąż do tych czasów, kiedy ten garb z jego pleców ustąpi? To samo powiedzianoby także i o nas. Jakoż pięknie to wypowiedział nasz wieczcz niezrównany, choeiaż sam był najwymowniejszym wyrazem tejże boleści, mówiąc kędyś w swych pieśniach:

Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy! Ale dla dobrą bliźnich swoich, ludzi. Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie, Zapomnij o swym prozkn, zważ na ogrom świata... . Sługa Boży praeuje do późnego lata; Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie, Nim go Pan trąbą straszliwą obudzi. Głęboka, niespożyta mądrość zamyka się w tych kilku wierszach; szkoda, że Izydor ich nie znał i nie wziął sobie do serca. Ale ty je znasz — do

dal Skiba, powstając z miejsca—i jestem pewny, że weźmiesz je sobie za godło na całe życie. Będziemy w dogodnej porze rozmawiać o tem obrzerniej— a tymczasem dobranoc ci.

— Już idziesz? zapytał Karol, budząc się z zamyślenia i odwracając się prędko od okna.

Po tym jego ruchu tak prędkim zdawało się, jak gdyby mu żal było, że Skiba już go opuszcza i jak gdyby mu miał jeszcze wiele do powiedzenia. Ale w ten moment uspokoił się i rzekł:

— Dobranoc.

Skiba wyszedł.—

Po jego odejściu zdawało się Karolowi, że już wyrzucił z siebie to wszystko, co go niepokoiło i gwałtem się dobywało na zewnątrz.

Lecz tak nie było. ^

Już bowiem rozebrał: się, już się do snu ułożył, już świecę zgasił, ale sen przecież mu nie przychodził. Zaczął nareszcie mrzeć trochę, lecz niespokojna to była senność, albowiem co chwila to mu się jawił w wyobraźni ten powóz obsadzony damami, który widział wyjeżdżającym z chaty Bernata—to mu się przypominało to wszystko, co Izydor mówił o Józi—to wreszcie jakoś dziwnie go to zajmowało, jakie to właściwie odmiany zaszły w Przewoźnickach, o czem z takim naciskiem wspominał jego przyjaciel?

Przespał tedy noc bardzo niespokojną i niesłychanie męczącą.

Ale i dzień następny nie o wiele miał spokojniejszym.

Ten niepokój wewnętrzny tak silnie go opañował, iż lubo nie wziął jeszcze żadnego postanowienia, jednak zaczął jak najpilniej się wypytywać, tak o losy całej rodziny szambelana wogóle, jak o Józię szczególnie, jak wreszcie o to wszystko, co się dziś działo w Przewoźnickim pałacu.

Tymczasem w pałacu tym zaszły istotnie zmiany niezmiernie ważne, a tak rozmaite, że Karol potrzebował ze dwa tygodnie czasu, nim się o nich podowiadwał.

My je znamy oddawna, czemu możemy je opowiedzieć zrozumiale, krótko i bez cudzej pomocy.

Owo więc dnia tego, kiedyśmy z Karolem i Izydorem po raz ostatni byli w Przewoźnikach, powziął byt szambelan z Alfonsem"postanowienie zaraz nazajutrz do Grzymalina pojechać i Izydora zniewolić do deklaracyi—jeżeliby się zaś to nie udało, ożenić z Józją Karola.

Wierny temu postanowieniu szambelan, pojechał w samej istocie nazajutrz wieczorem do Grzymalina. Ale natenczas zastał Izydora już leżącego w łóżku. Przyjechał po raz wtóry we dwa dni potem — ale Izydor już był bez przytomności. Rozmówił się szambelan z lekarzem i dowiedział się od niego, że dnia pierwszego pokazał się u hrabiego atak piersiowy, a dziś zdeklarował się tyfus. Jeżeli wyjdzie z tyfusu, to prawdopodobnie okażą się potem suchoty; odebrawszy taką wiadomość, szambelan położył krzyż na Gzymalin, a zwrócił się ku Zawisłoczcu.

Lecz w Zawisłoczcu już nie zastał Karola. Puł kownikowa przyjęła go chłodno i nawet nie powiedziała mu, dokąd jej syn odjechał. Dziwnie skonsternowany wrócił szambelan o domu—porażka, była kompletna.

Wszystkie te wiadomości przyjął Alfons z angielską flegmą i kamienną obojętnością; jakoż widząc, że niema na teraz tu już nic do czynienia,, zabrał się z całym swoim bagażem i na Podole wyjechał.

Ale szambelan, ojciec i człowiek starszej cokolwiek daty, zaczem przecież jeszcze nie z tak twardego wyrzeźbiony kamienia, nie umiał tego znieść z taką obojętnością. I bolało go to i obu- dzało w nim niecierpliwą ciekawość, dlaczego ci ludzie tak nagie i tak stanowczo odskoczyli od jego córki i domu? Szukał przyczyn, ażeby mógł tero pewniej zaradzić skutkom. Ale napróżno wybady- wat o nie i siostrę i córkę, nic od nich się nie dowiedział. Wpadał zatem na najdziwaczniejsze domysły i podejrzenia i szukał ich potwierdzenia na drogach. innych; ale i to go nie doprowadziło do celu. Przeciwnie, postępowanie, takie nieufne, podejrzliwe, krzywdzące, wzburzyło biedną dziewczynę jeszcze tem więcej, i tak już samem tem nieszczę- śliwem zdarzeniem nie pomału wzburzoną. Zamiast więc, jakich wyjaśnień, przyszło tylko do nieporozumień; wyrzucał ojciec córce, że swoją nieroztro- pnością podeptała szczęście swojego życia — córka nawzajem przypisywała winę tego wszystkiego ojcu— a oboje znów razem mieli w podejrzeniu ciotkę, że to ona poknuła tak niefortunne intrygi. Tak wewnątrz Przewoźnickiego pałacu stało się wtedy sceną

zgorszenia, a w niedługim czasie każdy to dojrzał, że tak, jak jest, dłużej pozostać nie może.

Ponieważ zaś jak to samo z siebie wynika, najwięcej nad tem wszystkim cierpiała Józia, ona też rzeczywiście musiała się stać tym, który jakimś krokiem stanowczym temu nieznośnemu stanowi rzeczy położy koniec.

Na jej szczęście, nie brakło jej do tego ani energii, ani determinacji.

Skończyło się wreszcie natenczas na tem, że najpierw wyjechała z Przewoźnik ciotka—a po niej wyjechał także i ojciec, oddając córce jej macierzyński majątek i wyrzekając się wszelkiej nad nią opieki.

Dwudziestoletnia Józia została panią Przewoźnik i samowładną panią swej woli.

Smutne to rezultaty — na szczęście wszakże spotykane tylko w rodzinach, które dopiero wczoraj swój nowomodny byt rozpoczęły i niezespolone jeszcze niczem z ogółem społeczeństwa, błakają się luźnie po jego skrajnych manowcach. Jeżeli zły przykład z siebie dają, nikt się nim nie zarazi— jeżeli zginą, nikt nie zapłacze nad nimi...

Wziąwszy te wszystkie zdarzenia na oko, zdaje się, jakoby one nie mogły być wcale dobrem świadectwem dla Józii. Ażebymy miały być dobrem, zapewne, że to trudno utrzymać — ale że nie są tak złem, jakim się być wydają, to jest. rzecz pewna.

Kto była Józia?—jeszcze my jej nie znamy.

Owo więc Józia była do dnia dzisiejszego tak dobrem, poczciwym dzieckiem, jakim się okazała niegdyś w chatce Bernata. Ale od tego czasu haniebnie ją psuto. Zdaje się, jak gdyby sobie za cel to wytknięto, ażeby zmiąć, zbryzgac, splugawić tę jasną i czystą perelkę, którą Bóg przez swą litość najwyższą rzucił w tę niezacną obłąkaną rodzinę. Zawieziono ją więc do stolicy i wprowadzono w towarzystwo najgorsze. Nigdy niewinnej kobiety nie zepsują mężczyźni, ale zawsze kobiety. Pomiedzy takimi kobietami strawiła ona całe dwa lata. Znajdowała się pomiedzy nimi, jakby w jaskini rabusiów, z których każdy udzierał po szmatce z tej białej i niewinnej sukienki, w którą ją ubrała natura. Otwierano jej oczy na rzeczy takie, które powinny były być dla niej tajemnicą do końca—wmawiano w nią, że jest piękną, bogatą i godną królowania na ziemi, a królestwo to piekielnemi malowano kolory — wystawiano ten cały świat li tylko ze strony ziemskiej, materyalnej i brudnej, a brudy te nawodzono promieniami tęczy i złota. Tak prowadzona młoda dziewczyna, gdyby była przyszła do przekonania, że na tej ziemi nie masz nic uwagi godnego, oprócz użycia, gdyby się była rzuciła w odmęt światowych rozkoszy, gdyby się była stała jedną z Messaiin swojego czasu — to i to może nie byłoby dziwnem. Ona jednak utrzymała się jeszcze pośród tej burzy, a kołatanajustawicznie najprzeciwniejszeni wichrami, tylko się zbałamuciła cokolwiek...

Każdy człowiek na tej ziemi, chociażby to był człowiek najlepszy i najzacniejszy, przecież ma na dnie swej duszy jakieś męty nieczyste, jakiś osad nieprzezroczysty. Nie frasujemy się tem: to jest

•grzech pierworodny, to ziemia. Całą sztuką człowieka prowadzić się z takim spokojem i z taką niewzruszoną stałością pomiędzy burze tego żywota, ażeby żaden wichur nie mógł wzruszyć dnem i ego •duszy do tego stopnia, że się te męty skłóciły. Wielu ludzi miało istotnie to szczęście. Przetrwali wszystkie wichry światowe, nigdy czysta krynica ich istoty moralnej się nie zmaciła; zaczem po latach męty te stwardły, stały się jakby kamienną skorupą i w końcu nie mogły już być wzruszonymi, choćby w nie uderzały orkany. Ale nie wszyscy byli tak szczęśliwi, osobliwie w młodości, kiedy te męty ziemskie są jeszcze tak subtelne i lekkie, że lada powiewem wznoszą się w górę i mieszają się z płynnym kryształem duszy. Józia nie należała także do tych szczęśliwych. Burzona i kołatana u stawnie, zmaciła w sobie krynice swej czystej duszy i straciła na chwilę jasne i pewne siebie spojrzenie.

Wróciwszy na wieś, dostała się do rąk swej •ciotki, najohydniejszej bałamutki pod słońcem — na jej nieszczęście, opętał ją wtedy także i Izydor, drugi bałamut wierutny — ażaliż dziwna, że ją zbałamucono do reszty? — Grunt wszakże, sama jej wnętrzna istota, nie była jeszcze zepsuta. Trzeba tylko było jakiegoś ważniejszego zdarzenia, ażeby ta istota się w niej objawiła.

Zdarzenie to zaszło istotnie: obadwa konkurenci odstąpili Ją nagle, w jednym dniu, prawie jednej godziny. Dusza jej przyszła w samej istocie do przytomności,...

Przytomność jej objawiła się wprawdzie przedewszystkiem innem w sposób taki, który trudno po

chwalić. Wzburzyła się ona bowiem przeciwko ciotce, co gorsza, wzburzyła się przeciw własnemu ojcu. Sceny te, na które umyślnie zarzucamy zasłonę, nie mogły sobie nigdy na pochwałę zasłużyć. Dziecko, burzące się przeciw ojcu, mogłoby tylko natenczas znaleźć usprawiedliwienie, gdyby je ten ojciec nakłaniał do występku lub zbrodni. Tu nie było tego wypadku. Józia błąd popełniła ogromny.

Ale była ona natenczas temi nieszczęściami, które na nią spadły niespodziewanie, tak utłumioną, zgryzioną i rozpaczoną, tak głęboko uczuła błędność swego dotychczasowego zachowania się, tak gorąco zapagnęła natychmiastowej poprawy, iż zdało jej Się, że wolno jej było w tym razie wcale nie przebierać pomiędzy środkami, ażeby możność tej poprawy sprowadzić. W tej zresztą zgryzocie, ■ boleści, rozpacz, nie wiedziała sama, co robi. Zapagnęła samotności — w niej widziała jedyną dla siebie pociechę — o nią się więc postarała z całą energią i stanowczością. Jak zaś stanowczo, jak istotnie objawiła się w niej ta pożądana reakcja, widzimy ztąd, że sam szambelan nawet nie zdołał jej stawić oporu, tylko oddał jej PrzeWoźniki, pozostawił ją jej własnej opiece, a sam na Podole wyjechał.

Józia tedy została sama.

Były to bardzo smutne dni, które jej wtedy przyszło przepędzać. Cała jej przeszłość stawała kolejną przed jej oczyma — a jakże to nieprzyjemne, jak upokarzające były dla niej obrazy! Czasy, które się skończyły owym tak błogim pobytem w chatce Bernata, gdzie się podziały? czemu tak prędko minęły? dlaczego po nich nie zostało ani śladu?

Jakże ona była swobodną, jak lekką, jak szczęśliwą natenczas! Jak miała szczęście całego życia swojego w swym ręku—jak mogła uszczęśliwić Karola!— Za jakąż karę losy rzuciły ją w towarzystwo takie szkaradne? — Gdzie był jej umysł zdrowy, gdzie jej serce natenczas, gdy zamiast modlić się w sukni żałobnej nad grobami poległych, zamiast czyste natchnienia swojego serca łączyć z krwawymi westchnieniami narodu, a pocieszać się żywo i Wiernie przechowywaną miłością dla tego, który cierpiał i jęczał w więzieniu — weseliła się w towarzystwie od- stępców i tańcowała po ziemi jeszcze krwią świeżą ciekącej?—Azaliż Bóg ją tak dalece odstąpił, że nawet nie czuła wstrętu od tego zezwierżenia, które ją otaczało natenczas? -

Zaprawdę, gorzkie to były uczucia, zabijające myśli, które się tą kolejną w niej obudzały.

I jakież to dalsze były skutki takiego zapomnienia się i zbratania z zepsuciem? Oto na miejsce dawnej skromności pogańska pycha zamieszkała w jej sercu, na miejsce uczuć naturalnych i prostych gorączkowe w jej głowie zakipiały marzenia, odezwały się żądze zuchwałe a niskie, zdrowy rozsądek ociemniał, wiara przygasła, zapomniano się może nawet i codziennego pacierza...

Dziwnie gorzko zrobiło się Józii, kiedy sobie rozmyśliła to wszystko.

Lecz to uczucie, które dziś głównie zawładnęło jej sercem, to było uczucie pokory.

Pokora, to łaska Boża. Rzadko kto dróg swych omylił, kto się stał godnym tej łaski.

Józia natenczas jeszcze nie wiedziała wcale,

jakie powinny, jakie jeszcze być mogą jej drogi. Czuła to, że dobrze zrobiła, że się osamotniła—ale i źle zrobiła, bo w tej samotności na zawsze pozostać nie mogła.

Ta myśl bardzo ją niepokoiła — i wtedy czuła się codzien więcej stłumioną, codzien dotkliwej gnębiła ją myśl, że się znajduje w położeniu wyjątko- wem i nienaturalnem, codzien burzliwsza obejmowała ją trwoga, graniczająca czasem z rozpaczą.

Tak myśląc nad tem coraz mozolniej, coby jej wypadło z sobą uczynić, przypomniła sobie nareszcie dom swojej babki w Krakowie, który jak cień tylko pamiętała z czasów swojego dzieciństwa, ale który zawsze był dla niej bardzo przyjemnem wspomnieniem...

Jeżeli sobie zechcemy przypomnieć, to wspomniła ona nawet raz o tym domu w jednej rozmowie z Karolem w chatce Bernata, a to natenczas, kiedy Karol jej opisywał wnętrze Zawisłockiego dworu. Powiedziała ona wtedy te słowa:

— Te staroświeckie sprzęty, te starożytne obrazy, ta kaplica domowa, ci starzy słudzy, ta cisza taka poważna i świątobliwa, ach! jak mnie to chwyta za serce! To mi przypomina dom mojej babki w Krakowie, to moją matkę wywołuje mi z grobu— jaby tam płakać mogła, ja będę płakać, kiedy tam wejdem...

Czy tedy tylko samo wspomnienie domu jej babki, czy tak blizkie powinowactwo tego domu z domem Karola, czy może wywołane tem nawet wspomnienie samego Karola, dość, że ta myśl dziwnie Józję zająła i to nawet do tego stopnia, że od

tego momentu cała już była w Krakowie. Ale i w skorzystaniu z tej myśli okazała się trudność niemała. Co się bowiem dziś działo w tym domu, było jej niewiadomem zupełnie. Od czasu śmierci jej matki, której powody podobno w niemałej części przypisywano szambelanowi, ustały wszelkie pomiędzy babką a ojcem Józia relacje. Józia nie wiedziała 'nawet napewno, czy babka żyje. Wnosiła tylko, że musi żyć jeszcze, bo przecież ze śmierci jej, jakkolwiek o zięciu swym zapomniała zupełnie, nie robionoby tajemnicy,

Kiedy się trochę chłodniej zastanowiła nad tą podróżą do babki, odwaga jej osłabiła się coraz więcej. Jakże jej ojciec musiał być tej samej staruszce niemiłym, kiedy go uznała niegodnym wszelkich bliższych z sobą stosunków! A kto wie* czy i córka nie była w równej u niej niełasce, bo czegoż to aż potrzeba, ażeby babka zaparła się swojej wnuczki? — Ale cóżkolwiekbaż, w tem położeniu trudno się tem było odstraszyć od chwycenia tego środka ratunku, który był w samej rzeczy ostatnim, niezawodnie najlepszym, a tak wiele obiecującym.

Tak myśląc, zdecydowała się na tę podróż. — Jakoż nie odwlekając długo, wzięła z sobą swoją kochaną Basię i starego kamerdynera jeszcze nieboszczki matki i wyjechała do babki.

* *

W głębi ulicy Floryańskiej, po lewej stronie, idąc od rynku, stoi dotychczas jeszcze dom o jednym piętrem i pięciu oknach od frontu, nad którego zajezdną bramą znajduje się we framudze małe słoń, wyrobiony z kamienia. Nad framugą i słońcem miały niegdyś miejsce dwa herby, z których wszakże do tego czasu tylko jeden pozostał, okazujący pannę na niedźwiedziu, a nakryty koroną. O dziewięciu pałkach, z której, jak zwykle, z pomiędzy rogów jelenich wyłazi niedźwiedź, trzymający różę w prawicy. Z drugiego herbu pozostał tylko u góry łabędź, rozdzierający dziobem swe piersi, z czegooby można wnosić, że to był herb rodowy Scypionów, ale ponieważ tarcza sama była zupełnie zatartą, trudno to utrzymywać z pewnością. Mieszkańcy ulicy Floryańskiej nie zważali wprowadzić na herby i zwali ten dom poprostu Pod słońcem, ale to, czego my się możemy domyślać z herbów, oni wiedzieli z kądinąd i uważając dom ten za starożytną siedzibę jednej ze znakomitych rodzin polskich, nadawali mu często miano pałacu.

Dom ten był własnością i mieszkaniem Józii-nej babki.

I w samej rzeczy był on jedną z takich starożytności, jakie jeszcze tylko w Krakowie można napotkać. Jak zewnątrz wyglądał, nie potrzeba już opisywać—a i jego wnętrze już ze wspomnień powyższych jest dla nas łatwo domyślnem. Same tam były starożytności: starożytne sprzęty, starożytne obrazy, starożytne kobierce, starożytna papuga w jednej, a sępi osiwiwały w drugiej mosiężnej klatce.

I najstarożytniejsza ze wszystkich Jmć Tatarska, wprowadzić nie w klatkę, ale tak samo jej godna, jak jej przyjaciółka papuga.

Sama babka szambelanówny była to także nie

nowożytna osoba. Liczyła ona sobie lat siedmdzie- siąt z okładem, miała włosy białe jak mleko i pozwijane w wielkie podwójne pukle przy twarzy, twarz pomarszczoną, prawie już babkowatą, tu i owdzie omszoną; ale pomimo to była jeszcze tak przytomną i rzeźwą, że tego zdrowia mogły jej śmiało pozazdrościć daleko młodsze od niej kobiety. Wysoka wzrostem, barczysta, silna, chodziła tak żwawo, że przechadzki jej nigdy nie były bliższe jak do rogatki; głos jej był tak donośny i silny, jak u młodego mężczyzny, a umysł jeszcze tak jasny i najczęściej tak trafny, że jej spostrzeżenia obiegały nieraz jako osobliwości po mieście. Świat ją nazywał dziwaczką, lecz niezawisły, a prawdę mówiący rozum zawsze światu jest dziwnym — jeżeli zaś w samej istocie niejedno, co z jej ust wyszło, mogło się światu wydać dziwaczne, to zato zacność, szlachetność i rodzima a religijna czystość jej charakteru była jednoznacznie i bardzo wysoko cenioną przez wszystkich. Dlatego też rzadki to dom był pod owe czasy w Krakowie, gdzieby o każdej porze najpożądanym gościem nie była starościna Janowska, jak ją tytułowano powszechnie, czcząc w niej tym tytułem' zarazem i jej poważną osobę i te dobre czasy, w których jeszcze istniały starostwa, a które ona tak żywo przypominała.

Dnia dzisiejszego siedziała starościna w Wysokiem krześle, jakby na tronie, a mając nos okulba- czony okularami, zwijała amarantową bawełnę na kłębek—pocziwa zaś Tatarska siedziała na niz- kim stołku i trzymała jej motek z cierpliwością godną drewnianych krosienek.

Opodal od nich siedział jakiś nie stary jeszcze jegomość, w czarnym fraku i całkiem zresztą ubrany czarno, trzymając w rękach rękawiczki wprawdzie nie nowe, ale dosyć czysto wyprane i kapelusz także nie nowy, lecz wygładzony, jak tylko można najpiękniej. Był to imci pan Herbaemski, porucznik, a zarazem kandydat na jedną z tych figur, które odpoczywają po trudach nigdy nieodbytych, daj\ się tytułami obdarzać przez grzeszność, a nosząc plotki po domach i trzymając motki jejmości, karmią się w południe proszonemi obiady, a w wieczór nieproszonemi herbaty. A ponieważ w starych, pozapadanych miastach, kilkunastu takich iehmo- ściów, w nabożnej wspólnie z kilku dewo Hmi i sta- remi pannami, wywiera na opinię publiczną wpływ nieraz do tego stopnia przeważny, że nawet ludzie, zkadinał wcale rozumni i niezawisli, myślą tylko ich wspólną głOwą i czują jadowitem ich sercem, więc im się wcale nieźle powodzi: awansują wciąż w swoich tytułach, zyskują wziętość, a czasem nawet brukową sławę i nigdy im nie brakuje ani herbat, ani obiadów.

Jednak u starościny nie mieli ci ludzie oso- bliwszej wziętości, lubo im na niej zależało nie mało. Przyjmowała ich czasem u siebie dla krot- chwili, z takiego samego powodu słuchała ich komerażów, ale mając w każdej sprawie swe własne zdanie, nietylko, że im się nigdy użyć nie dała za narzędzie do ich intryg plugawych, lecz jeszcze często temu lub owemu z nich ucięła tak ostrą prawdę w oczy, że nioboraczek języka zapomniał w gębie.

Taką mniej więcej rolę odegrał dzis»aj imć

Herbaciński. Słuchała go starościna cierpliwie, jak kogoś tam fory to wał w jej laskach, a kogoś innego czernił swoim wyszlifowanym języczkiem, lecz wysłuchawszy tego plugastwa i odsapnąwszy z głębokiej piersi, rzekła do niego:

; — Ale to asińdzi, jak widzę, wiesz wszystko, co się gdzie dzieje — a może nawet i to, co się nie dzieje? he? Zkądżeto asińdzi masz taki rozum? he?

Asińdzi rozum? he? — powiedziała papuga. .

Uśmiechnął się na to ślimakowatym uśmiechem imię Herbaciński i rzekł:

— Pani starościna zawsze łaskawa na mnie nad moją marną zasługę.

— Zasługę, hm! r- powiedziała na to staruszka i skrzyła nosem, którym umiała władać tak składnie, jak gdyby ręką lub nogą. Pozem spojrziała na niego przez okulary, a widząc, że ta przymówka jeszcze nie skutkowałą, zwróciła się do Tatar- kowskiej i rzekła:

— Moja Tatarowska, idźno do Jacentego i każ mu, żeby nam zrobił kawki, a nie zapomnij do- głądnać, ażeby dodał palonej marchwi, to bardzo dobre na piersi. A asińdzi, jeżeliś na mnie łaskaw, potrzymaj mi też motek na chwilę, nim Tatarowska powróci, bo . mi bardzo pilno zwinąć tę amarantową bawełnę.

Usłyszawszy tę propozycję, zwinął się zacny kawaler jak wąż. Nie chodziło mu o trzymanie motka—trzymać taki moteczek, patrzeć w zamglone oczy pomarszczonej babulki i prawić jej, jak jest piękną i jak jeszcze głowy zawraca mężczyznom, to była jego najulubieńsza rozrywka—ale trzymać motek z jakie półgodziny lub więcej, usłyszeć asiń- dzieja z jakie sto razy, a czasem dla odmiany wa- sana i dostać potem za to palonej marchwi, która jest dobra na piersi— to było nad jego siły. Dlatego też się skrzył jak wąż, a chociaż powiedział przytem: — Służę jejmości — dobył zegarka i popatrzył na godzinę.

— A to co? — zapytała go starościna—pewnie się asińdzi gdzieś śpieszysz?

— Nie śpieszę się tak dalece... — zaczął mówić porucznik.

-r- Ale, śpieszysz się, śpieszysz—przerwała mu starościna — jeno jesteś grzecznym dla mnie, jak zawsze. Nie myślże wasan, że go chcę tyranizować...

To mówiąc, wstała i zstąpiła po wschodkach z krzesła. Nie pozostało tedy gościowi nie, jak gospodynię pożegnać; jakoż tak zrobił, całując z ukłonami jej rękę, a ona mu się także kłaniała, mówiąc:

— Bądźże asińdzi zdrów, a nie zapomnij o starościnie; zawsze tu będzie gotowa dla niego marchew palona, to bardzo dobre na piersi. A uważaj asińdzi, żebyś na psie nie wyjechał. Mandat! do nogi!

— Żebyś na psie nie wyjechał! Mandat! do nogi — powtórzyła papuga.

Wyszedł nareszcie. A Tatarowska, jak wstała przed chwilą z krzesła, ażeby motek gościowi powierzyć, tak stała do tego momentu, trzymając motek na rękach rozczepierzonych i patrząc na starościnę.

— A. ty czego tak na mnie patrzysz? —zapytała staruszka.

— Sama nie wiem, co robić — odpowiedziała Tatarowska: — czy trzymać motek, czy iść po marchew paloną?

Po marchew?—zawołała staruszka—oszalała kobieta, czy co? A widziałas ty kiedy, żebym ja marchew piła, miast kawy?

— Jejmość tak przecie kazała.

— Cha, cha, cha! — śmiała się ze swego konceptu staruszka—o moja Tatarowska, jakże ty sobie serdecznie głupia.

Jakże głupia! — powtórzyła papuga.

--- Cicho papuga! —zawołała staruszka — cho- ciążes ty mi daleko milsza, niż tacy goście. Prawda, papuziu?

— Prawda, prawda — wymawiała jak najwyraźniej papuga.

Tak rozmawiając z papugą, starościna stała przy klatce i patrzyła na swego ulubionego ptaka, a zażywszy po trzykroć tabaki, rzekła dobitnie:

— Ptak, a ma rozum, a ludzie go się nauczyć nie mogą.

— Me wielkito tam rozum u tej papagi—rzekła Tatarowska.

Uśmiechnęła się na to starościna — a wtem jakiś powóz zaturkotał w ulicy i zatrzymał się przed bramą Podślonia.

— Wszelki duch! znowu' goście? — zawołała staruszka i wyjrzała przez okno.

— Cóż to takiego?—mówiła dalej—jakiś powóz opakowany? ktoś się omylił. Idź-no, Tatarosiu, i powiedz, że to nie oberża.

Wyszła Tatarowska — ale po chwili wróciła jakoś dziwnie zmieszana.

— Proszę jejmości...

— No, cóż tam?

— Mówiłam, ale wysiadają taki koniecznie.

— Poszaleli, czy co? A może to kwaterunek? Idź-no raz jeszcze i popatrz.

Wyszła powtórnie Tatarowska—ale teraz już wpadła do komnaty i zawołała:

— Proszę jejmości, to goście. Panna szambel- łańska z Przewoźnik.

— I szambelan? —spytała zmienionym głosem starościna i wyprostowała się przytem jak żołnierz.

Ja nie wiem.

— No, idź-no, popatrz—zakomenderowała starościna stanowczym głosem — i powiedz, że moją wnuczkę przyjmuję, ale pana zięcia nie. Nie! rozumiesz mnie?

To rzekłszy, zażyła po kilkakroć silnie tabaki i została w swojej postawie na środku komnaty.

W ten moment weszła Józia. Biedna dziewczyna. cała zmieszana i drżąca, jak listek na drzewie, weszła chwiejącym się krokiem do tego niepewnego dla niej przybytku i nie wiedziała na razie, czy ma się zbliżyć do babki, czy przy drzwiach pozostać. — Dopomogła jej w tem starościna, bo ją zatrzymała Swym wzrokiem, zapytując zarazem surowo:

— Czy jest tu także i ojciec?

— Nie — odpowiedziała Józia cichutkim głosem—tylko ja sama.

— Sama?—rzekła na to staruszka ze zdziwieniem. — A cóż to asińdzkę spowodowało do takiej waryackiej podróży? he? czy będziesz dawać koncerty w Krakowie? a może się do Paryża wybrała? he?

Józia się rozplakała jak dziecko.

— No, mówno—powiedziała jej staroscina trochę zmiękczoneym głosem— czemuż to wojażujesz tak sama? gdzież jest twój ojciec?

Na te słowa Józia się rozsłochała jak gdyby w spazmach i sama zapewne nie wiedząc, co się z nią dzieje, rzuciła się do nóg staruszce.

Podniosła ją babka z ziemi, utuliła cokolwiek, ale badała dalej.

Dowiedziała się wreszcie pomału, że między ojcem i córką przyszło do takich nieporozumień, iż wskutek nich szambelan wyjechał na zawsze, zostawiając ją samowładną panią na Przewoźnikach.

Zaczem zażyła, tabaki, pomyślała przez chwilę, twarz jej się rozpromieniła, a potem rzekła:

— Patrzajże, jaka heroina z asińdzki! Ale to trzeba było zrobić natenczas, kiedy cię ojciec zawiózł do Lwowa i kazał tańcować z Niemcami. Przepędziwszy dwa lata na takiej targowicy wdzięków kobiecych, dzisiaj możesz już nawet tego nie warta, ażeby cię wzięła w moją opiekę?

To mówiąc, patrzyła dziwnie bystreimi oczyma na wnuczkę.

Ale te słowa uderzyły w biedną, cierpiącą dziewczynę tak silnie, że zbladła jak ściana, ciemno jej się zrobiło w oczach i spadła z nóg, jakby ją kosą kto podciął.. Szczęściem chwyciła ją babka

w swoje objęcia i przy pomocy Tatarkowskiej zaniósła na krzesło. Przyniesiono w ten moment octów i wódek i otrzeźwiono ją w krótkiej chwili zupełnie.

Ciężką przeszła próbę nieszczęśliwa dziewczyna, ale nie było to dla niej bez korzyści. Od tego momentu bowiem babka zrobiła się dla niej wcale inną, przycisnęła ją do swej piersi, wycalowała z czułością, a uroniwszy także niejedną łzę nad nią, ciągle jej powtarzała:

— Bądźże mi, moje dziecko, spokojną. Nie'porzucę cię, nie opuszczę i będę stalowym puklerzem dla ciebie. Bóg jeszcze jest dosyć łaskaw na ciebie, kiedy cię z rąk tego człowieka wyzwolił. On twoją matkę w grób wpędził przed czasem, onby i ciebie był posłał za matką. Albo może jeszcze i gorzej...

Tak mówiąc, uspokoiła sierotę zupełnie, poczerń mówiła wesoło:

..= — Ajakeś mi pięknie wyrosła, jak wyładniała! pokażże mi się przy oknie.

Zaprowadziwszy ją zaś do okna, popatrzyła jej w oczy i rzekła:

— A jaka Niemka! czysto jak ojciec.

— A jaka Niemka! — powtórzyła Tatarkowska, przypatrując się jej z drugiej strony.

— A jaka głupia! — rzekła papuga.

Usłyszawszy to Józia, przestraszyła się tego głosu, ale staroscina się roześmiała, tłómacząc jej:

— To nie do ciebie, to do Tatarkowskiej.

Zaczem i Józia się uśmiechnęła — a staroscina tymczasem zaczęła dyspozycyę wydawać:

' - — Idźno, Tatarkosiu, i każ rzeczy poznosić, powóz zatoczyć, konie umieścić i - przygotować wie

czerzę dla ludzi. A nam każ dać świec i co jeszcze: kawy, czy herbaty? Ale co to się pytać? Przecie panna światowa, każ więc nastawić samowar.

Kiedy zaś przyniesiono świece i zastawiono herbatę, starościna kazała najpierwej papugę wynieść do antykamery, a potem powiedziała Tatarko wskiej dobranoc, co było już największą dystynk- cyą dla Józia, rzadko komu udzielaną ze zwyczajnych gości. Wtedy też babka zasiadła z wnuczką i kazała jej się spowiadać jak najdokładniej ze wszystkiego, co od trzech lat jej się zdarzyło. Uradowana takim przyjęciem Józia spowiadała się jakby przed księdzem. Słuchała ją pilnie babka, wypytywała o niektóre szczegóły, lecz często także i przerywała, ażeby jej swoich uwag udzielić. Natenczas tak jej mówiła:

— A to asińdzka chyba oszalała z kretešem, kiedy kochała Karola prawdziwie i z własnego popędu serca, a potem z namowy ojca i brata porzuciła go. Grafiatko ci się jakieś trafiło? a gdyby książę? a gdyby król? — gdzie twoje serce było natenczas? a gdzie sumienie?—Kto to tak robi? to fur- fanteryja, bałamuctwo, zepsucie. No, ale wyleczę ja ciebie z tej francuzczyzny!

Kiedy zaś Józia opowiedziała, co się stało z tymi konkurentami, że jeden padł na suchoty, a drugi za granicę wyjechał, staruszka rzekła z zapalem:

— A widzisz, aśka, co się to stało. Kto dwie sroki za ogon'chwyta, żadnej nie złapie. Masz zaraz karę. A kara słuszna, guz sprawiedliwy, boś go sama szukała. Ba, ale to na tem nie dosyć. Kto to wie, co z tego jeszcze dalej wyniknie. Bo to wiesz aśka, że kiedy się panna tak zbakieruje jak ty, to nie trudno jej o to, ażeby została panną na zawsze. Dużo konkurentów, choćby poodprawianych widocznie, to dla każdej panny nie dobrze—a cóż dopiero dla takiej, która tańcowała z Niemcami? Asińdzka głupstwo zrobiła wierutne. No, i gdzież-to jest teraz ten twój pułkownikowicz? he?

— Ja nie wiem—odpowiedziała Józia, spuszczać oczy ku ziemi.—Powiadają, że jest w Paryżu.

— Hm! — rzekła na to staruszka — takiego zacnego kawalera odpędzić! A musi być zacnym, ani wątpienia, bo oprócz tego, co o nim słyszę od ciebie, znam ja jeszcze i jego gniazdo. Znałam ś. p. ojca, zuch to był człowiek za młodu, potem żołnierz wyborny, a wreszcie obywatel stateczny, zamożny, szanowany powszechnie. I żonę jego znałam przed laty, poznałam ją jeszcze niegdyś, Boże odpuść! pod Blachą, lecz widywałam i później, w Tarnowie i tu w Krakowie za rzeczypospolitej — bardzo to zacna matrona. Syna takich rodziców odprawić z kwitkiem, to mogło się tylko w szambelańskiej wyroić głowie.

To powiedziawszy, zażywała tabakę, patrząc na swoją wnuczkę i myśląc. Potem zaś rzekła:

— No, ale trza jakoś temu radzić. Gdzie nie można przeszkodzić, tam trzeba podleźć — a Paryż przecie nie na księżycu.

Tak biedna Józia znalazła przecież nakoniec opiekę, i to opiekę wyborną, bo babka, jak to po niej widać już na pierwszy rzut oka, była nietylko matroną zacną, doświadczoną i pełną wytrawionego rozumu, lecz oprócz tego jeszcze dosyć surową i ry-

gorystką nieubłaganą, czego wszystkiego do zupełnej naprawy właśnie było potrzeba Józi. Nad to wszystko wiedziała jeszcze ta zacna babka jak najdokładniej, czego potrzeba — i lubo się przekonała, że jej wnuczka nie jest jeszcze tak bardzo popsuta, ażeby nad nią rozpaczać, wzięła ją jednak w ryzy tak ściśle, jak to tylko dawnymi czasy umiano. Dwudziestoletniej pannie nietylko nie wolno towarzystwa dla siebie wybierać, tu iść, a tam nie iść, ale ani się ubrać nie można było wedle swojej fantazyi, ani książeczki żadnej przeczytać, póki jej babka nie zcenzurowała i zaledwie pomyśleć co można było swobodnie, bo staruszka usiłowała kierować nawet jej najtajemniejszymi myślami.

Nie bardzo to było przyjemnie takiej światowej pannie i wypieszczonej w swobodzie, wstawać rano przededniem i iść na roraty, potem słuchać mszy świętej, czasem w bardzo dalekim kościele, potem odwiedzać zakłady dla chorych i ochronki dla sierot, którymi opiekowała się starościna, a wieczorem czytywać jakieś nudne historie, jak Jagiełło bił Krzyżaków, a dzielny Sobieski Turków albo Tatarów — ale pomału przyzwyczaiła się Józia do tego. Co więcej, zaczęła nawet z czasem znajdować w tych zajęciach przyjemność, zaczęła trochę innemi oczyma i innem sercem zapatrywać się na świat i powołanie kobiety — a chociaż to i owo zdało jej się mniej zabawnem albo i nudnem, to znowu ta miłość, ta serdeczność, ta szczerza, pełna uroku prostota, jaką ta zacna babka otaczała zawsze i ją i jej wszystkie zajęcia, tak ujmowała młodą dziewczynę, że mimo tylu świetnych rozrywek, jakich doznała

przez swoje życie, przecież musiała sobie to przyznać, że jej nigdzie tak dobrze nie było jak tutaj. Weszła tedy Józia już niewątpliwie na dobrą drogę — i o to już tylko chodziło, aby na niej wytrzymała i nie zbaczając z niej ani na chwilę, stała się wreszcie godną takiej przyszłości, jaka się słusznie należy zacnej i poczciwej dziewczynie.

Ale o to wszystko jak naj usilniej starała się babka.

Tak będąc zdania, iż naj rozumniej szą byłoby rzeczą cudzych bogów nie szukać, tylko zawiązać napowrót rozerwane stosunki z Karolem, usiłowała w sposób zręczny i odpowiedni obustronnej godności przesłać mu o tem wiadomość, co się stało z Józją i co się teraz z nią dzieje. Przy tak gęstych stosunkach pomiędzy Polską a Paryżem zdawało się to nie być zbyt trudnem — jak babka miała nadzieję, że się to zrobi. Ale się nie zrobiło, jak to już wiemy. Czy temu była winna zbyt duża oględność babki, czy niesłowność, albo niedbalstwo jej powierników, nie wiemy — ona sama była zdania, że taka jest wola Boża.

— Asiódzka musiała uabroić nie mało — mówiła ona wtedy do wnuczki — kiedy się nam nawet taka drobna rzecz nie udaje. Trzeba się poprawić, trzeba się modlić, bo jeszcze gniewny jest Pan Bóg na -ciebie.

Tymczasem zaś za nadejściem zapust wprowadziła swoją wnuczkę w świat tańczący. Wiedziała ona o tem, że w tem młodem sercu za nadto żywo rozbudziła się pamięć Karola, ażeby się jej tak łatwo mógł kto inny podobać.

— Nie trzeba drzwi szczęściu zamykać — ani tamować przeznaczenia Bożego.

Tak wprowadzała ona wszędzie swą piękną wnuczkę, gdzie tylko drzwi były otwarte, od starożytnych pałaców poczynając aż do rodzin przyjezdnych, dających bale w hotelach. Kazała nawet u siebie dawną zamkniętą wielką salę odnowić i wydała dwa tańczące wieczory. Pocziwa babka robiła z siebie wszystko, co mogła, ażeby opuszczonej Sierocie drogę do szczęścia otworzyć. Ale i to jeszcze nie skutkowało. Józia się podobała ogólnie i nadzwyczajnie—ale tylko żonatym. Młodzież, która tam była, jedna należała do rodzin tak znamienitych, że taka prowincjonalna szlachcianka była dla niej partyą za małą; druga pochodziła z gniazda tak skrupulatnego, że stosunki z takim szambelanem. uważała dla siebie za nieprzyjemne i niepożądane— trzecia, byli to, jak zwykle, studenci, którzy nazajutrz po balu musieli wracać do szkoły. Cały tedy skutek pojawienia się Józii w tamtejszych salonach skończył się na admiracji i komplementach.

Bardzo się tem frasowała pocziwa babka. Mówiła o tem wiele, rozprawiała bez końca, a konkludowała zazwyczaj słowami:

—Ale to są takie panny na świecie! Oh i nie jedna, ileż saina ich zapamiętam! Piękne są, najpiękniejsze ze wszystkich, wychowane wybornie, nie bez posagu i zresztą bez żadnego zarzutu—podobają się ogólnie, tańszą zawsze aż do dostania suchot, a grzeczności sypią się na nie jak grad... ale męża „pasz”, jak mówi Kochanowski. A dlaczego?... albo ja wiem?... Ale nie jest to bez przyczyny. Już tam jest pewnie w nich coś takiego, co mężów od nich odgania. Pokory, moja mościa panno! pokory, skromności a kobiecości, w tera jeszcze reszta nadziei.

— Ale co się tem babcia tak bardzo frasuje!— mówiła na to Józia wesoło. — Pójdę zamaż, to dobrze, a nie, to drugie dobrze. Przecież nie ja pierwsza ani ostatnia, która starą panną zostanie. Potrafiły to inne, potrafię i ja się obejść bez męża. Czy to już śmierć? czy to choroba?

■— Ani śmierć, ani choroba — mówiła babka— ale rzecz nie do rzeczy. Dolegliwy wyjątek, tak jak garb, ochromienie albo ślepotą. Nie życzę tego nikomu. No, ale co z tem robić? trzeba jechać na wieś.

W samej istocie zbliżyła się już teraz ta pora, kiedy trzeba było do Przewoźnik wyjechać. Przede- wszystkim bowiem nadeszła wiosna, czas najważniejszy dla gospodarstwa, którego nie można zaniedbać bez szkody. A potem już dla tego samego trzeba było do Przewoźnik wyjechać, ażeby je wziąć w posiadanie „de facto”, bo inaczej mógł tam zjechać szambelan, człowiek taki, któremu pod żadnym względem nie mogła zaufać babka.

Z wiosną tedy obiedwie damy wyniosły się na wieś.

Trudno to nawet opisać, jaką ofiarę przyniosła ta zacna babka swej wnuczce, wyjeżdżając z nią na wieś* a jeszcze do tego do Przewoźnik, tak dla siebie niemiłych. Już bowiem to samo, że opuszczała to ulubione przez siebie miasto, w którym lat czterdzieści z okładem prawie nieprzerwanie przeżyła, te ukochane kościoły, te zakłady i ochronki dla sierot, tę ciszę poważną swego zamkniętego BbUotPka — T S86 5

Podślonia, było dla niej niewysłowioną przykrością. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że musiała jeszcze raz w swoim życiu te Przewoźniki obaczyć, które obejmowały w sobie tak gorzkie dla niej wspomnienia? Tu bowiem, przed laty czterdziestu, na owej drodze rozstajnej, prowadzącej do Starego przewozu, jej mąż nieboszczyk spadł z konia, obojczyk złamał i Skonał w jej objęciach w tem miejscu. W dwadzieścia lat potem, pomiędzy temi gęstemi zaroślami, które dziś parkiem objęte zostały, jej syn jedyny, dwudziestokilkoletni młodzieniec, padł w pojedynku od kuli jakiegoś awanturnika Niemca, który się błakał po Polsce. Tu wreszcie, lat temu dziesięć, w dzisiejszej sypialni Józi, zgasła szambelano- wa, najukochańsza jej córka, ostatnia dusza, jej pokrewna na ziemi. Przewoźniki były dla starościny jak niby puszką Pandory, z której wszystko złe wyszło, jakie ją tylko spotkało w tem życiu. Przewoźniki, była to w jej pamięci ziemia przeklęta, gdzie każdy głaz, każde drzewo, każda droga lub ścieżka przemawiała do niej jakimś nieszczęściem.

Ale nie wspominała nic o tem swej wnuczce— i pojechała.

Wielka to była z jej strony odwaga—poświęcenie bez granic.

Jakoż istotnie straszna to była pierwsza noc, którą starościna w Przewoźnickim pałacu przespała. Zdawało jej się, że widzi swojego męża, jak się koń pod nim wspina, jak spada z niego i głowę sobie druzgocze o głaz przydrożny. Widziała syna swojego z zranioną pierśią, z krzykiem bóleści, z śmiertelną twarzą, padającego na ziemię. Szambelanowa nieboszczka błądziła przez całą noc po pustych pokojach pałacu, jęcząc i skarżąc się na te cierpienia, które ją zmiotły z tej ziemi. Biedna staruszka przecierpiała męki piekielne.

Nazajutrz rano zastała ją Józia klęczącą przy łóżku i zatopioną w modlitwie. Powstawszy z klęczek była blada i dżaca i mimo całej trzeźwości swego rozumu, zaledwie w połowie przytomna, Józia się tem przestraszyła niezmiernie i pytała jak- najusiiniej o przyczynę tej zmiany — aje staruszka milczała, tylko prosiła, aby mogła być na mszy w kościele. Posłano po księdza, była msza a starościna słuchała jej z nabożeństwem. Po mszy dopiero oprzytomniała cokolwiek—i dopiero natenczas opowiedziała wnuczce, jakie bóleści ją przytłumiły tak silnie, że im się poddać musiała.

Wiadomość ta dziwnie głębokie sprawiła wrażenie na Józi. Jakoż znowu inaczej jej się ten świat przedstawił, który na każdym miejscu zawiera w sobie tyle tajemnic—inaczej się przedstawiła jej własna drobniuteńka osóbką i jej drobniutkie dolegliwości—inaczej także się przedstawiła ta babka, tak niby zdrowa, silna, wesola, a przecież dźwigająca na swoich barkach takie ogromy bóleści. Małe to na pozór zdarzenie, było jednak niezmiernie nauczającym dla młodej dziewczyny, otworzyło jej oczy na prawdy jeszcze dotychczas nieznanne, wstrzęsło jej sercem z tej Strony, z której jeszcze było nietknięte, a nadewszystko sprawiło ten skutek, iż odtąd zaczęła ze czcią tylko patrzeć na babkę, zapominać przy niej zupełnie o sobie, a wszystkie jej słowa połykać z żarliwością, jak słowa Pisma Świętego.

I smutno było przez pierwszych kilka dni w Przewoźnikach.

Z czasem wszakże wypogodziło się niebo i tutaj, bo i staruszka pomału odzyskała dawną swą, trzeźwość i równowagę umysłu, przyczyniły się jeszcze do tego partykularne powody. Tak w parę dni po przyjeździe pań z Krakowa przysli starsi Judzie z gromady, ażeby im oddać swój pokłon, a byli to sami tacy, którzy jeszcze zapamiętali starościny tu mieszkającą. Pomiędzy nimi pierwsze zajmował miejsce stary Bernat ze Starego przewozu, który też głos zabrawszy za pozwoleniem jejmości, przy- pomniał jej jakby żywo te czasy, kiedy ona tutaj mieszkała i z królewską hojnością rozpościerała swą dobroczynną opiekę nad poddanymi. Im gorzej potem następowały chwile, których osobliwie za panowania szambelana wcale nie brakło, tem droższem tamte dobre stawały się przypomnieniem. Bernat to umiał powiedzieć i nie żałował swojej wymowy. Przecież to przypomnienie lat młodych,, jakkolwiek zachmurzone jednym i drugim nieszczęściem, nie pomału weseli serce i ożywiając© wpływa; na umysł, choćby jak przytłumiony. Toż i staruszka rozweseliła się z tymi ludźmi, odżyła częścią swojej własnej przeszłości i znacznie się na duchu podniosła.

Przyszły potem gospodarskie zajęcia, którei starościna bardzo się żarliwie zajęła, a to nie tylko dlatego, że się niemi zająć było potrzeba, ale że na każdy wypadek chciała w nie wdrożyć także i Józję. I nie żartowała staruszka z tem wcale. Trzeba było wstawać rano ze wschodem słońca

I rozporządzić dniem całym, trzeba było wiedzieć, -co się dzieje w każdym kąciuku, potem wyjść osobiście z kluczami w rękę do spiżarni i być przytomną wydawaniu, przed południem trzeba było w pole wyjechać, ledwie się obiad skończył, zasiąść do załatwienia korespondencyi i interesów bieżących, a w wieczór się siąść przy stoliku i rezultaty całego dnia pozaciągać w registry. Czasem nie było przez •cały dzień takiej godziny, w którejby można było ■spokojnie pograć na fortepianie, książkę czytać lub haftować na krośnach, czasem trzeba było wstać od kawy, od obiadu i od herbaty, ażeby zadość uczynić tłoczającym się zatrudnieniom. A oprócz tego trzeba było wiedzieć, jak się kto zachowuje pod każdym względsm, z księdzem proboszczem nieraz bardzo obszerne odbywać narady, szpitalikiem się trudnić, który babka urządziła natychmiast, organizować małą dla sierot ochronkę, administrować apteczką, chorych odwiedzać i Bóg wie jak wiele jeszcze takich i tym podobnych zaopatrywać zatrudnień. A musiało się to wszystko dziać jak w zegarku i nie można było niczego zaniedbać, bo babka była po staroświecku surową i można było „kpa dostać" od niej za lada marną drobnostkę. Nieraz •o małą rzecz takiego narobiła hałasu, że wszyscy słudzy struchleli, a lubo nigdy się to nie zdarzyło, żeby kogo kazała karać , jak postem i spowiedzią przed księdzem, przecież wszyscy jej się bali jak •ognia i pełnili swą służbę jak na komendę. Ale też za to każdy był okryty i syty, wszyscy zadowoleni, a czasu na rozrywki nie brakło.

Pod taką czynną i surową opieką, oczywista '

rzecz, że z Józii zrobiła się inna kobieta. Praca, chociażby niska i pospolita, zawsze doskonali człowieka i wywiera na jego usposobienie moralne wpływy najzbawienniejsze. Jego rozsądek się czyści, umysł nabiera powagi, dusza hartu, a serce, wyrabiając w sobie samorodne i odpowiednie naturze uczucia, uwalnia się od próżności i egzaltacji, a staje się tem zdrowem ziarnem w duszy człowieka, z którego wykwitają wszystkie jego dobre przymioty, cnoty i wieczna młodość, niespożyta do grobu. „Praca, jest to niewyczerpane źródło pociechy, niezawodne lekarstwo na wszystkie dolegliwości, najskuteczniejszy środek poprawy”. Kto jeszcze jest w stanie wziąć się do rzetelnej, sumiennej pracy, ten nie powinien o sobie rozpaczać. Praca też wyleczyła Józję zupełnie.

O! jakże ona innem dziś okiem zapatrywała się na te czasy, które w takiej niezacnej, bo prawie występnej swawoli przepędziła we Lwowie. Jakże musiała się wstydić sama przed sobą za swoje owo- czesne uczucia, pojęcia, wyobrażenia! Nie zdołała dziś nawet zrozumieć, jak mogła sobie upodobać w życiu tak lekkim, próżnym, nijakiem— a ze zgrozą tylko przypominała sobie swoje zachowanie się względem Karola. Przy takich zmianach, rzecz oczywista, że również innego nabrała wyobrażenia

O powołaniu kobiety. Przypomniały się, jak żywo czasy jej półdziecięce, chwile, spędzone w chatce Bernata, jej ówczesne pojęcia, zdania, przeczucia—

I obaczyła z zadziwieniem, że wszystko to, co się- wówczas znajdowało w jej umyśle i sercu, było zdrowe i zacne, choć może nie zupełnie świadome—

do tego też wszystkiego starała się jaknaj u silniej powrócić. Dopomogła jej babka, a Pan Bóg pobłogosławił—i tak się stało, że tamte lata, które przeżyła w obłądnie, zapadły w wiekuistą pomrokę jak sen zapomniany, a terażniejsze jej życie poczęło się rozwijać z tego samego wątku, który Bóg włożył w jej duszę, a nie zepsuli źli ludzie. I jakoś wszystko, złem doświadczeniem nabyte, bezpowrotnie przepadło — a wszystko dobre, wrodzone i naturalnym sposobem rozwinięte lub wykształcone wróciło. Tak przepadła chorowita jej bladość, przepadły bolesne a niespokojne marzenia o rzeczach niedoścignionych, przepadła próżność, żądza błyszczenia i wszelkie samolubne rachuby — a powróciło zdrowie duszy i ciała, szczerłość, otwartość, prostota, skromność i pokorne poddanie się boskim wyrokom, których żadne niecierpliwe miotania nie zdołają nigdy odmienić. Józia stała się ową skromną, zacną, pocziwą, prostą, a w swej prostocie przecież wspaniałą, polską dziewicą, o której marzą serca wszystkich pocziwych młodzieńców i która staje się z czasem tą naszą nieporównaną żoną, matką, obywatelką, żyjącą tak nieśmiertelnie w naszej rodzimej trądy - cy i z łaski Bożej żyjącą jeszcze także na ziemi.

Widząc tak błogie skutki swoich zabiegów, nie pomału się tem cieszyła babka. Nie rozwodziła się nad tem nazbyt szeroko wobec swej wnuczki, bo była tego staroświeckiego zdania, że nigdy nienależy dzieci psuć pochwałami; ale przecież niejednokrotnie wydała się ze swoją pociechą, to całując swą ukochaną wnuczkę nadto serdecznie, to spuszczać się

coraz częściej na jej zdanie, to nawet czasem mówiąc wyraźnie:

— Otóż tak, mościa panno, to lubię. Po woli Boskiej, a nie po ludzkiej, po polsku a nie po fran- Cuzku, z modlitwą na ustach, w pracy od świtu do nocy a z sercem otwartym dla wszystkich, to lubię. Tak też się nigdy nie zbłądzi i zajdzie się łatwo do jakiego zacnego celu. A jeżeli się nigdzie nie zajdzie, to przynajmniej to, czego się nie uzyskało na ziemi, z pewnością uzyska się w niebie. Lecz ja mam nadzieję[^] że na tem jeszcze się coś zyska, jeszcze czas na to, a teraz godzi się już mieć i jaką taką nadzieję.

Takie pochwały babki były najwyższem szczęściem dla Józki.

Tymczasem na takim życiu, na pozór niby dość jednostajnem, lecz przeto nadzwyczajnie roz- maitem w drobnostkach, mijały lata. Józka tak się przyzwyczaiła do tego życia, że nie pragnęła żadnej odmiany. Ale babka, przyzwyczajona w mieście do ustawicznego odświeżania się cudzemi myślami, nie mogła przestać na samych książkach i gazetach. Życie zresztą na wsi, bez. żadnej styczności ze sąsiadami, nietylko jest arcy nudnem, ale trąci zazwyczaj dziwactwem. Bardzo licznych stosunków sąsiednich nie pragnęła staruszka, ale chciała mieć stosunki takie, któreby jej sprawiały przyjemność. Na nieszczęście okolica ta nie miała zbyt licznych sąsiedztw, a te które były, nie przenosiły nawet najzwyczajniejszej pospolitości. Pomimo woli tedy musiała ona zwrócić swoją uwagę na pułkownikową, którą znała niegdyś ze strony najlepszej, a miała dziś - prawie w najbliższem sąsiedztwie. Względem odwiedzin u niej należało niby zachować jakiś skrupuł— ale Karol był za granicą. Nie zdawało się zresztą starościnnie, ażeby dlatego, że tam kiedyś coś było zaszło pomiędzy Karolem a Józką, o czem nawet nikt nic pewnego nie wiedział, wyrządzać taką niesprawiedliwość pułkownikowej, i bywać wszędzie, a ją omijać. Byłoby to więc nawet wprost sprzecz- nem z widokami, których się może już wcale nie miało, ale których się przeto nie odrzucało. Dość, że po długich naradach skończyło się na tem, że starościna sama bez Józki pojechała z odwiedzinami do Zawislocza. Pułkownikowa odwiedziny oddała, a tak jaknaj zupełniej naturalnym sposobem zawiązały się bliższe stosunki pomiędzy temi domami.

Matka Karola z początku, wierna swoim przesądom, nadzwyczaj obojętnie zachowała się względem Józki. Ale już najpierw nie mogła się w takiej obojętności uchować względem jej babki, która była matroną usposobień przedziwnych i swym charakterem otwartym a zacnym w krótkim czasie zupełnie ją sobie podbiła. A potem, przypatrując się Józce tak często i zbliżka, nie mogła się na niej nie poznać, przyczem ustępując codzień po trochu ze swoich przeciwko niej mianych uprzedzeń, pomалу całkiem się ich pozbyła. Tak przyszło nareszcie do tego, że pułkownikowa zawiązała jak najpiękniejszą przyjaźń ze starościnną, a Józce tak pokochała, iż po swym synu nie znała nikogo na całym świecie, któryby jej tak strojnie przypadał do serca, jak ona. Natenczas też nieraz sobie pułkownikowa myślała: jaka to szkoda, że sprawa ta tak nieszczęsny wzięła

kierunek; jakżeby syn jej mógł być szczęśliwym! jak ona szczęśliwą! ileby szczęścia mogło być w całym ich domu! Lecz o tem wszystkim, tak przed babką jak i wnuczką milczała—i tak minął czas aż do ostatniego Nowego Roku.

Natenczas, jak to już wiemy, opadły były pułkownikową owe gospodarskie kłopoty, które pomimo woli sprowadził Skiba. Zdarzenia te tak ją głęboko zajęły, że się zgryzła śmiertelnie i prawie całkiem upadła. Rzeczy te nie były niewiadome w całym sąsiedztwie, a tem mniej w Przewoźnikach. Sporządziły też one tam wcale nie „mniejszą zgryzotę”. Osobliwie zaś zgryzła się Józia temi nieszczęciami, bo nie tylko, że pułkownikową kochała jak matkę, lecz nadto jeszcze był jakiś tajemny głos w jej sumieniu, który jej mówił, że w gruncie rzeczy ona to stała się tych wszystkich zdarzeń przyczyną. Zgryzota ta doszła nareszcie u niej do tego stopnia, iż postanowiła, chociażby siebie samą poświęcić, a pułkownikową ratować. Ratunek ten był dla niej nawet wcale nie trudnym, bo miała nie tylko Przewoźniki zupełnie czyste, lecz mając zeń sześć razy tyle dochodów ile wydatków, miała jeszcze i gotowiznę. Z postanowieniem tem tedy zwierzyła się babce. Babka ją oczywiście uściskała serdecznie za tę pocziwość—i pojechała sama z tą ofiarą do Zawisłocza.

Ale pułkownikowa, lubo „tafc” ciężkie ją przygniatały okoliczności, lubo już prawie ginęła, przeciwko wszelkiemu spodziewaniu, ani sobie mówić o tem nie dała i ofiarę tę odsunęła stanowczo. Uczyniła ona to oczywiście [dlatego, iż wtedy już była napisała do syna i była pewną, że jak tylko przyjedzie najniezawodniej temu zaradzi a przyjęcie ofiary takiej od osób obcych było dla niej, kobiety wyniosłej sercem, a może nawet troszeczkę dumnej, upokorzeniem takim, któremu się oprzeć na żaden sposób nie mogła; ale również, rzecz oczywista, że starościna tych przyczyn odpowiedzi odmownej nie zdołała odgadnąć. Przeciwnie nawet, wytłomaczyła ona je sobie w ten sposób, iż pułkownikowa dlatego tylko mogła tej ofiary nie przyjąć, iż się w niej domyślała jakiejś tego rodzaju rachuby, której urzeczywistnić nie miała wcale ochoty. Domyśl ten, lubo zupełnie fałszywy, napełnił starościnę niewysłowioną goryczą; smutna i zachmurzona powróciła do domu i ferowała wyrok krótki a węzłowaty.

— Dopóki żyję, moja noga tam nie zostanie.

Uczuła pułkownikowa całą drażliwość swojego położenia względem Przewoźnik, po odsunięciu tak szlachetnej ofiary i zaraz dnia następnego była tam w odwiedziny, ale już to nie pomogło. Starościna była dla niej uprzejmą, lecz chłodną i taką pozostała do końca. Przykro to było Józii, usiłowała nieporozumienie to koniecznie naprawić, ale i to nie pomogło. Babka mówiła:

— Nie gniewam się na nią, nie mówię o niej nic złego i nie przeszkadzam ci wcale do żadnych związków z tym domem; ale już mnie tam serce nie ciągnie.

Stało tedy na tem z początkiem Nowego Roku, iż stosunki między temi obydwoma domami bardzo zubożyły: odwiedzały się te panie nawzajem co kilka tygodni, zachowywały względem siebie to wszystko, czego przyzwoitość wymaga, ale

prócz tego nic więcej. Dalsze wypadki, stawiające pułkownikową w położeniu daleko przykrzejszym, zniewoliły ją do zaniechania wszelkich relacji z sąsiedztwem, a tak przyszło do tego, że się te panie nawet przestały widywać. Cierpiała nad tem cokolwiek pocziwa babka, ale daleko więcej cierpiała Józia: była smutna, zgryziona i z niewymowną trwogą spoglądała na Zawisłocze, któremu w całym sąsiedztwie najfatalniej sze wrócono losy. Nie wiedziała natenczas, iż do tych fatalności najwięcej może przyczyniał się pośrednio jej własny ojciec, a wiadomość o tem byłaby ją może wtrąciła do grobu...

Tak stały rzeczy z początkiem wiosny.

Aż dnia jednego przybiegła Józia do babki, stanęła przed nią, była tak pomieszana, nieprzytomna, zdrętwiała, że nie umiała słowa przemówić.

— Cóż to takiego?— spytała babka, wypuszczając robotę z ręki i patrząc na nią przez okulary.

— Ach! moja babciu... — zaczęła Józia, ale jej głos zamarł na ustach.

— Cóż to jest? cóż to? ty mnie przestraszasz.

— Karol przyjechał — przemówiła nareszcie, oddychając z głębi ściśnionej piersi, jak gdyby największy ciężar zrzuciła z serca.

— Karol przyjechał? — przemówiła starościna przeciągle — w sam czas przyjechał, zobaczymy, co zrobi.

Na tę odpowiedź, która się jej dziwnie lodową wydała, niecierpliwa dziewczyna machnęła tylko ręką i z pośpiechem odeszła.

Ale nie była babka tak lodowatą, jak się jej zdawało. Owszem, zrozumiała ona swą wnuczkę[^] jak najdokładniej, odprowadziła ją do drzwi wil- gotnemi oczyma, a po jej odejściu rzekła da siebie:

— Biedna dziewczyna!

Wszystko, co odtąd działo się w Zawisłoczu wiedziano w Przewoźnikach, dzień za dniem. Józia. . modliła się Panu Bogu tak gorąco, tak rzewnie,, ażeby nie opuszczał Karola i dał mu odwagę i siłę do wydobycia swego majątku z przepaści, że nieraz na modlitwach trawiła wieczory. Nie miał natenczas Karol gorliwszego pośrednika pomiędzy sobą a niebem, jak Józję. Ale pośrednictwo to żadnego nie odnosiło skutku: Pan Bóg tym tylko pomaga, którzy się własną ratują pomocą, a jego proszą tylko o błogosławieństwo dla swojej pracy.

Tak przyszła nareszcie wiadomość, że Karol zawarł umowę sprzedaży z Kackim. Józia padła jakby piorunem rażona i utraciła przytomność. Wszystkie jej widoki, wszystkie nadzieje, wszystkie pociechy, jakich się jeszcze spodziewała w tem życiu,, bezpowrotnie przepadły!

— Oh! gdyby był tylko człowiekiem — wołała, wtedy wśród łez i boleści — — gdyby tylko swą ojcowiznę, gdyby tylko matkę ratował, a niechby ó mnie zapomniał, niechby mnie nie . znał w życiu, nic nie chcę więcej! Ale i tego nawet nie jestem godną..-

I zachodziła się od płaczu i całe noce trawiła we łzach...

Pocieszała ją babka, jak mogła, ale cóż w takim bólu pocieszy?

Zerwał się wreszcie Karol, otrząsł się ze swego

rozpaczliwego lenistwa, włożył jak Atlas swoją ziemię na barki i poszedł w drogę poświęcenia i pracy.

Na tę wiadomość Józia jak gdyby się odrodziła.

Przybiegła z krzykiem, z płaczem i śmiechem -do babki, rzuciła się jej do kolan i znowu słowa przemówić nie mogła. Coś niby ciągle mówiła, ale babka jej wcale nie rozumiała. Dowiedziała się wkoń- -cu i sama się rozpląkała z radości.

I jeżeli od owego momentu inny zamieszkał duch w starym dworze na Zawisłoczu, to ten duch nowy znalazł wierne odbicie i w Przewoźnikach. Józia była tak uszczęśliwioną, wesołą, swobodną, jak jeszcze nigdy w swem życiu. Dzieliła tę radość babka, z całego serea rozbierała po szczególe wszystkie postęпки Karola i wszystkie otwartemi usty chwaliła.

— Walny jest człowiek — mówiła wtedywidać, że w jego żyłach prawdziwa pułkownikowska krew płynie. Jak on się pięknie, jak rzetelnie wypłaca! jak szlachetnie postępuje sobie z wierzycielami, chociaż tego nie warci! jak roztropnie zachowuje się względem swoich dłużników, chociażby mógł ich podusić i nawet byłby usprawiedliwiony w tym razie! A jak pracuje, jak się nie kaja żadnej roboty! Wszystko to bardzo jest piękne i bardzo mi go rekomenduje. Ale...

Och! moja babciu—wołała na to Józia—tylko juz żadne ale... moja babeczko!

— Ale moje dziecko—mówiła babka—w Przewoźnikach nie był dotychczas.

: — No to nie był i może wcale nie będzie. A czy być musi koniecznie? Ja nie mam o to do niego żadnej pretensyi. Niech nie będzie. Dostyc mi na tem, że jest w Zawisłoczu i jest takim, że mi przynosi pociechę. Ja nie potrzebuję nic więcej...

r Przypatrzyła się babka swojej wnuczce z uwagą, a potem rzekła:

m']— A asińdzka, jak widzę, przeszła nawet moje oczekiwanie. Chodźże tu, niech cię ucałuję.

A ucałowawszy ją, zakończyła: '0 — Bądźże mi pewną, że jakikolwiek obrót wezmą twe losy, już cię Bóg nie opuści, bo nie opuszcza On nigdy poczciwych ludzi.

VI.

Wszystkie te zmiany, które zaszły w Przewodnickim pałacu, doszły prawie dosłownie do wiadomości Karola. A doszło go to wszystko od Basi.

Basia wyszła wprawdzie zamąż zaraz w kilka tygodni po przyjeździe starościny i zamieszkała na Starym przewozie, ale pomimo to, utrzymywała po staremu ciągle stosunki ze swoją ukochaną panienką. Obiedwie rówiennice kochały się między sobą jak siostry, wiązał je zawsze węzeł daleko bliższy, aniżeli bywa pomiędzy panią a sługą, a nie trudno się tego domyśleć, jak się ich serca otworzyły wzajemnie dla siebie natenczas, kiedy na Józię przyszły tak ciężkie próby, tak dojmujące boleści. Smutki, zgryzoty, cierpienia, zbliżają zawsze pocziwych ludzi do siebie, a wynikająca ztąd miłość wzajemna staje się balsamem dla ich ran ciągle jątrzonych, źródłem pociechy i bodźcem do wytrwałości. Tylko- społeczeństwa cierpiące kipią wewnątrz swymi w nieszczęściu, ale i te tylko dopóty, dopóki światło, doświadczeniem nabyte, nie nauczy ich tej prawdy głębokiej a prostej, że tylko wzajemna miłość i zgoda może ulżyć ich bólom i dać im siłę od* powiednią trudnym ich obowiązkom...

Józia zwierzała się ze wszystkich swoich taj et mnie przed Basią i tym sposobem rzeczy te doszły do wiadomości Karola. Wiedział on o wszystkim, co się dotychczas stało i jeszcze dotychczas działo w Przewodnickim pałacu, do tego stopnia, że nawet rozmowa, która pomiędzy babką a wnuczką odprawiła się przypadkowym sposobem właśnie w chatce Bernata, została mu powtórzoną dosłownie.

Jakie to wszystko sprawiło na nim wrażenie, nie trudno się tego domyśleć.

Ale już wytrawiony młodzieniec zniósł to wrażenie spokojnie a zamiast miotać się w kędzierzawych marzeniach lub uzbrojonych boleściach, zaczął się raczej badać sumienie, azali godnym jest takiej kobiety, jaką pod okiem babki stała się Józia. .

Zdawało mu się także, iż nie od rzeczy będzie pomówić o tem z matką, zasięgnąć jej zdania o tera i wyrozumieć jej pod tym względem uczucia.

Tak też i zrobił, a zaledwie potrzebujemy dodawać, że sumienna pułkownikowa dała jak najlepsze, a nawet bardzo serdecznie wypowiedziane świadectwo dla swojej ukochanej sąsiadki. Nie omieszkała ona wprawdzie natrącić, iż związków z takimi ludźmi, jakimi byli szambelan i syn jego, nie można sobie policzyć ani za zaszczyt, ani za szczęście, ale jak gdyby się obawiała wspomnieniem tem krzywdę uczynić zupełnie do niej niepodobnej szambelanównie,

opowiedziała mu zaraz jej szlachetną gotowość, z którą przysłała do niej swą babkę, podczas owych burz majątkowych w Zawisłoczu.

Tak tedy niby wszystko się pomału ku temu składało, ażeby ci młodzi ludzie zeszli się znowu z sobą i podali sobie ręce na wieki.

Ale ostatni wyrok po staremu jeszcze w Boskim był ręku.

Karol myślał o tem, może się nawet rwał swem sercem, może już w końcu był zupełnie zdecydowanym do Przewoźnik pojechać, ale choćby go kto był zabił, nie miał do tego odwagi. Już bowiem sama myśl o tem, z czem tam pojedzie, jakim przemówi językiem, teraz, kiedy tam nie był przez całe pół roku, nie wysłowioną przejmowała go trwoga — a cóż dopiero wtedy, kiedy sobie pomyślał, że może być zimno przyjętym, a może nawet wprost odprawionym? Badając siebie, czuł się zupełnie niewinnym, ale czy wyjazd jego tak nagły, wskutek słów kilku wcale niezrozumiałych i zapomnienie potem takie stanowcze, nie mogło być mu policzone za taką winę, której nigdy się nie odpuszcza? Ze wzmianek matki, z opowiadań Basi, ze wszystkich zresztą okoliczności, powinien był wprawdzie wnosić inaczej, ale czy zbadał kto kiedy dno serca kobiety? Czy nie omyłono się na niem już milion razy?

Trzeba się sercem wczuć w jego położenie, trzeba wziąć dobrze na oko jego przeszłość burzliwą i teraźniejszość spokojną, a wtedy można go prawie zupełnie usprawiedliwić z tego braku odwagi, który go pod tę porę opętał.

Jakoż, gdyby był los tej niedokończonej sprawy zawisł tylko od niego, to kto wie, azali ci ludzie nie byliby jeszcze do dnia dzisiejszego czekali na ostateczny ten wyrok, który miał ich uszczęśliwić albo potępić?

Ale, jak się powiedziało powyżej, los ten, jak wszystko, był w Boskich rękach, a najlepsze to ręce. Nic tam w nich nie zaginie, nic się bez potrzeby nie zwlecze, nic swego przeznaczenia nie chybi kiedy czas przyjdzie potemu. Upadają i wstają narody, gasną i zapalają się światy, azaliby człowiek nie miał odebrać zasłużonej nagrody lub kary, kiedy miara jego postępów się dopełniła?

Nie minęło to i Karola.

Jakoż, gdy dnia jednego, przed samym wieczorem, znów był przy żniwie i myślał o tem, że trzeba już koniecznie do Przewoźnik pojechać, a po staremu nie mógł zdobyć się na to, wpadła mu znowu w oczy chatka Bernata, wsiadł na koń i do niej dojechał. Znał on już tutaj drogę wybornie, a wszakże prawie co drugi lub trzeci dzień przyjeżdżał do Basi na konferencye...

Basia wciąż jeszcze była słaba, wstawiała trochę, ale zawsze napowrót się kładła. I teraz także leżała w łóżku, a około niej siedział jej mąż, trzymając na kolanach swego ukochanego chłopaka, który z kolei to świstał na glinianej piszczałce, to zapalczywie kąsał w kukielkę, przywiezioną mu z targu przez dziadka.

— Szczęśliwyś ty, mój Antku, jak anioł—rzekł Karol do niego — że masz takiego ślicznego chłopaka! Aj! czegobym to ja nie dał za to, gdybym mógł

taką dziecinę piękną a swoją nosić na rękach, tulić do piersi i świstać z nią razem na glinianej piszczałce!

— Okrutnie hultaj piszczy na tej piszczałce — rzekł na to Antek—że aż mi w uszach strzyka czasami. Sprzykszyłoby się to jegomości.

Ale pomimo to podniósł chłopca z kolan, popatrzył mu w oczy i pocałował go w rumiane po? liczki.

— O, co piszczy, to piszczy—dodała Basia, ale z zazdrością spojrzała na męża, całującego tak serdecznie dziecinę. Jakoż zaraz dodała: — Aleć jest w tem ludzka pociecha, bo dziwnie głucho byłoby tu w tej chacie, gdyby tego świstuna nie było. Jak tam głucho być musi na Zawisłockim zamku!..

— O! co głucho, to głucho—odpowiedział Karol z westchnieniem.

— A czemu?—zapytała Basia, patrząc na niego z pod oka.

— Czemu? albo ja wiem? taka jest Boża

wola.

— Wola Boża i jegomości — boć prawdę mówiąc, mogłoby być wcale inaczej.

— Proszę cię—rzekł na to Karol z zajęciem-^ dawno tu były twoje panie?

— O! już ich nie było ze trzy dni, aż mi to dziwno. Aleć to żniwa teraz, a stara jejmość pilnuje gospodarstwa, jak oka w głowie.

— Cóż tam słyhać w Przewoźnikach? nic nie ma nowego?

— Prawie jak nic. Powiadają tylko, że pan. szambelan ma temi czasy przyjechać. Ale nie wiem,

czy to być może? Chyba żeby i to prawda była, co dalej mówią?

— A cóż mówią?

— Mówią, że szambelan odkupuje od panny Przewoźniki i znów tu zamieszka, a pani starościna ma zabrać pannę z sobą do Krakowa.

— Tak mówią?—rzekł na to Karol, wstał z miejsca i zaczął się przechadzać po izbie.

Basia patrzyła na niego i uważała, że był jakby trochę zmieszany, kręcił się i jakby nie wiedział, co ma zrobić ze sobą.

A w tem dał się słyszeć turkot zajeżdżającego powozu w dziedziniec.

— Ot! i panie nasze przyjechały! — zawołała Basia z radością.

Karol skostniał na miejscu i stracił w tej chwili do tego stopnia przytomność, że się zachwiał na nogach, zatoczył się ku piecowi i oparłszy się lewym ramieniem o niego, jak zwiędły kwiat czekał wyroku śmierci albo zbawienia.

Tymczasem w samej istocie obie te damy zajechały półkrytą dróżką przed drzwi tej chatki rybackiej i zajechały tak jakoś szczęśliwie, iż zajęte rozmową, nakryte budą od upału i kurzu, a zasło- nione plecami stangreta, nie uważały wcale, iż tam w głębi dziedzińca stał koń osiodłany Karola. Kiedy się powóz przed drzwiami zatrzymał, rzekła starościna do Józki:

> Prawdę mówiąc, nie mam ja wielkiej ochoty oddawać osobiście wizyty Basi, bo nim się wygramolę, to słońce zajdzie tymczasem. Idź tedy ty sa

mm

ma, a jak mnie tam będzie koniecznie potrzeba, to mi daj znać.

— Dobrze, babciu, niech babcia sobie siedzi spokojnie i każe budę spuścić tymczasem, a ja zaraz powrócę—odpowiedziała Józia i wyskoczywszy lek-kiemi nóżkami z powozu, wbiegła do chaty.

Ale zaledwie ubiegła tyle, że się zrównała z piecem, stanęła nagle jak wryta. Zobaczyła Karola, poznała, ciemno jej się zrobiło w oczach i krew jej zastygła w żyłach.

— Pan...—rzekła ona bez myśli, zachwiała się i zaczęła się cofać powoli.

Nie o wiele przytomniejszym był także i Karol: serce mu się tak tłukło gwałtownie, iż myślał, że mu pierś pęknie, a cała krtań tak mu zdrewniała w tej chwili, że o wymówieniu choćby tylko jednego słowa nie mógł nawet pomyśleć,

Lecz widząc cofającą się Józję, strach go jakiś ogarnął. Zdobył się więc na rozpaczliwą odwagę, przystąpił do niej. ujął ją z wolna za rękę i popatrzył jej w oczy.

I ona wtedy spojrzała mu w oczy, on ją ścisnął za rękę i ona go odścisnęła, ale dotknięcie to sprawiło na niej tak przejmujące wrażenie, iż z sił opadła zupełnie, zachwiała się całkiem i aby nie upaść na ziemię, siadła na blizkiej ławie pod ścianą.

Karol ujął jej drugą rękę i upadł przed nią na kolana. Przez oka mgnienie byli oboje jak z głazu, ale niebawem już Karol gorącymi łzami oblewał jej ręce, a ona płakała głośno jak dziecko.

A starościna siedziała w powozie. Po odejściu Józji przystąpił stary Bernat do drzwiczek i witając swoją jejmość kochaną, pomagał Jacentemu opuszczać budę. Zacerpnąwszy świeżego powietrza, starościna odetchnęła swobodnie i zażywając tabakę, rozmawiała z Bernatem. Lecz wśród rozmowy dojrzała konia osiodlanego w dziedzińcu. Koń to był piękny, duży, wyniosły, zaczem jej zaraz wpadł w oko.

— A czyj to taki bachmat błyszczący?—zapytała staruszka.

— To koń młodego pana z Zawisłocza — odpowiedział jej Bernat.

— Czy i pan tu jest u was?

— Jest jasna, pani, jest tam w świetlicy.

— Al to trzeba się wygramolić!—rzekła starościna z pośpiechem i dawszy się Jacentemu wysadzić z powozu, weszła do chaty.

Zobaczywszy oboje młodych w takiej wymownej pozycji, także się zastanowiła cokolwiek, a przypatrzwszy im się z uwagą, rzekła dobitnie:

— Krótko i węzłowato rozmówiliście się asań-stwo ze sobą, jak widzę!

Na ten głos oprzytomnieli nagle oboje i rzucili się babce do kolan. Wzruszyła się tem staruszka, podniosła ręce nad ich głowami i rzekła:

— Błogosławię wam tu, moje dzieci, i pobłogosławię jeszcze gdzieindziej... Ale wstań no asińdzi i pokaż mi się, niechaj zobaczę figurę.

Wstał prędko Karol, całował ręce staruszki i patrzył jej w oczy z wesołym uczuciem szczęścia na twarzy. Popatrzyła na niego uważnie babka i rzekła:

— Niczego z wasoi kawaler; ale czemu taki kunktator? he? Czy chcecie już taką wprowadzić modę, ażeby wam panny przywożono do domu?

— Pani starościno dobrodziejko — rzekł na to Karol — kto chce żonę wprowadzić do domu, musi pierwej gniazdo uścielić dla niej, opatrzeć i ubezpieczyć, a ja dotychczas jeszcze nie byłem nawet pewny, czy będę miał jaki kawałek dachu dla siebie?

— Dobrze się asińdzi tłómaczysz; no, ale sia* daj no z nami, wy egzaminuj emy cię w domu.

Karol spojrział po sobie i usprawiedliwiał się babce, że za pół godzinki do Przewoźnik przyjedzie, ale tak jechać nie może, bo jest po polowemu ubrany. Tymczasem wszakże trzymała go Józia tak silnie za rękę, że ani myśleć było odjechać, a oprócz tego dodała jeszcze staruszka:

— Bardzo to przyzwoity kubraezek, który asińdzi masz na sobie. Pojedziesz do domu i we frak mi się ubierzesz, a ja fraków nie lubię, bo to cuchnie Niemcami.

— To pozwólcież mi panie—rzekł prędko Karol — ażebym przynajmniej kartkę napisał do mojej matki i zaprosił ją do udziału w tem szczęściu mojem wielkiem a tak niespodziewanem. Biedna matka moja rozplacze się tam pewno z radości!

— A! to co innego!—odpowiedziała na to staruszka—zaprosze nam asińdzi jejmość pułkownikową, ażebyśmy się mogli weselić razem.

Tak zaraz Antek został wsadzony na konia Karola i wyprawiony z kartką do Zawisłocza—a Karol, kochający, kochany i upojony swem szczęściem do utracania zmysłów, wsiadł razem z damami do ich powozu i do Przewoźnik pojechał.

Około godziny dziewiętej byli już wszyscy czworo zgromadzeni w salonie i oddawali się najweselszej i najszczęśliwszej rozmowie. Starościna z pułkownikową siedziały na wielkiej kanapie i układały pomiędzy sobą dzień i warunki wesela,* główne punkty intercyzy ślubnej, jak niemniej wszystkie wzajemne na przyszłość stosunki pomiędzy łączącymi się rodzinami. Karol zaś siedział z Józją na małej kanapie, spowiadając się przed nią ze wszystkich uczuć swojego serca i nawzajem słuchając jej opowiadań o tych latach smutku, zgrzyoty, cierpienia, które w tej chwili jak sen gdzieś przepadły, czyniąc rum wesołości/swobodzie i szczęściu. W samej istocie chwila ta była dla nich jak gdyby świętem całego życia: niebo się ku nim spuściło na ziemię, nadziemską nappełniło lekkością ich dusze i oblało ich światłem niebieskiem dokoła. Zdawało im się, że ziemia ze swemi chmurami wysunęła się z pod nich i że płynąć tak będą w tej niezmaconej światłości do końca...

Ale wtem zajechało jakichś dwóch jezdnych w dziedziniec, jeden z nich sługa z Zawisłocza, a drugi z Grzymalina, i przywieźli wiadomość: że Izydor zamknął powieki na zawsze.

Na tę wiadomość Karol zerwał się z miejsca, chwycił się obiema rękami za głowę i stał tak przez chwilę osłupiały jak posąg.

I wszyscy inni ulegli również temu bolesnemu wrażeniu — i była cisza w tyra przybytku wesela, jak w grobie.

Po chwili dopiero Karol otrzeźwiał i rzeki z niewymowną goryczą:

— A że też nigdy w tem życiu nie może człowiek dostąpić niczem niezamąconej radości! Z najpiękniejszego nieba wypada grom niespodziany, a wśród wesela otwierają się groby!...

A starościna odpowiedziała mu na to:

— Ziemia to, mój kochany, najszczęśliwsza ziemia! Nie dziw się temu, a raczej weź ztąd starą a zapomnianą naukę. Zrywaj kwiaty z tej ziemi, lecz pomnij, że pomiędzy najwonniejszemi różami najostrzejsze gnieźdzą się ciernie. Pożywaj dary Boże, boć są dla ciebie, ale wiedz o tem, że każda okrucha chleba może się z woli Bożej zmienić w truciznę. Żyj wesoło, swobodnie, szczęśliwie; ale... memento moril
GPIbOG.

Tak dobiegła nareszcie ta powieść o losach naszego Rozbitka do swego kresu—lecz po staremu pozostało jeszcze do powiedzenia i to i owo. Przedstawiło się obraz, złożony jak mozaika z wielu drobniejszych części—trzeba jeszcze zebrać te części, obrzucić promieniem jednostajnego światła i dać niby fotografię całości. Nazywam to fotografią, bo będę opowiadał rzeczy, które biorę prosto z natury...

* * *

Działo się to, jeśli dobrze pamiętam, w roku pańskim 1855. Bawiłem wtedy przez jakiś czas dłuższy we Francji — i dnia jednego, pod koniec miesiąca sierpnia, wybrałem się był z Paryża do Fontainebleau.

Ostatnie to miasto, równie ciche, jak sławne,

a położone jak biała wyspa w środku ogromnych lasów, było pod ową porę dla każdego Polaka nadzwyczajnie pociągającym: zgromadziły się tam bowiem przypadkiem najszczytniejsze serca, najwznieśliwsze umysły, jakimi się naród nasz może poszczycić. Mieszkał tam natchniony wieszcz ukraiński, Bohdan Zaleski, bawił przez całe lato Lenartowicz, tak serdecznie i tak zasłużenie kochany śpiewak „Li* renki”, wyjechał tam wreszcie, ażeby leśnem odetchnąć powietrzem, arcy mistrz polskiej poezji i pieśni, tak wzniósł swym duchem, a tak prosty umysłem i sercem, autor „Grażyny”. Oprócz tych gwiazd pierwszego rzędu, przybiegali tam jeszcze i inni — jedni, ażeby także po brukowej duszności Paryża, po pracach ciężkich codziennych i jeszcze cięższych bolach codziennych, świeższem odetchnąć powietrzem — drudzy, ażeby przy tych wiecznie płonących ogniskach uczucia i wiedzy ogrzać się, natchnąć, orzeźwić i przy wieść do domu wieści z polskiego olimpu o ludziach półbogach, dźwigających na swoich barkach olbrzymi ciężar wspólnego bólu, ■o nutach niedośpiewanych pieśni i promieniach nowego światła, połamanych w połowie i zgastych...

Przyjechałem do Fontainebleau o wczesnych popołudniowych godzinach, jeszcze na czas przed wie- czorem — ale trafiłem podówczas najniebezpieczniej. Dnia tego samego bowiem Mickiewicz wyjechał był do Paryża i miał dopiero za dni kilka powrócić. Poszedłem do Zaleskiego i nie zastałem go w domu. Tylko autora „Błogosławionej” znalazłem w jego :zacisznem mieszkaniu, siedzącego nad papierami .z ołówkiem w ręku. „Dzieciątko Jezus” wysnuwa

ło się wtedy po tym ołówku, z tego wieszczego serca, tak bogatego we wznieśliwość i wdzięki, a niezrównanego w swojej prostocie...

Dopóki słońce przygrzewało, pozostaliśmy pod dachem, rozmawiając o owych krótkich ale pamiętnych chwilach, któreśmy niegdyś przed laty razem strawili we Lwowie. Więc o gorących dysputach politycznych, któremi całe obejmowało się światy, 0 mowach w auli akademickiej i o tych schadzkach wieczornych u Karola Szajnochy, wypełnianych de- klamacjami i rozprawami, sięgającemi nieraz północy. Półdziecięce te czasy, pełniejsze marzeń niż myśli, a prawie całkiem próżne uczynków, jak przecież pełne są niewysłowionego uroku! Od tego czasu, przeszedłszy prób i doświadczeń nie mało, wstąpiwszy na drogę pracy i czynów, każdy się stał ja- kiemś pożytecznem ogniwnem w łańcuchu trudów

1 myśli swego narodu, a przecież wobec serca całe lata dzisiejsze niewarte czasem jednej owocnej godziny! Spracowaliśmy się przedwcześnie, otrzeź* wieli zanadto, a brak górniej szych nadziei zmroził wszelkie gorętsze zapęły. Dlatego owe urocze chwile wracają do nas tem częściej, a otaczając nas tęczowem powietrzem młodości, unoszą się nad na-- szemi głowami jak wiosenne motyle nad jesiennymi krzakami róży, pełniejszymi cierni, niż kwiatów. Tyleż dziś szczęścia w tych chłodnych, kamiennych czasach, ile tych wspomnień młodości!

Kiedy słońce się obniżyło cokolwiek, wyszliśmy z domu. I szliśmy w lasy, otaczające to miasto tak zbliżka. Lasy te mają dla Francuzów swoją historję, lecz błakają się tam po nich wpomnie-

nia, które i nas zajmować powinny. Największy geniusz naszego narodu wiele chwil tutaj przepędził, a niejedna z jego ostatnich boleści tu zamieniła się w słowa i przyłgnęła tymczasem do tych ciemnych ustępów, ażeby ją kiedyś ktoś znalazł i wieści o niej zaniósł do Litwy...

Przez drogę towarzysz mój opowiadał mi wiele o Mickiewiczu, o jego bólach z ostatnich czasów,

0 niewymownych cierpieniach.

Mickiewicz, stojący z załamanymi rękami, ze ścię- temi ustami i łzami zakrzepłymi przy oku, nad zwłokami swej żony, rozpostartymi na środku pokoju... nie ustąpi się nigdy z przedemnie! — To też ten cios straszliwy utłumił jego wzniesłego ducha do reszty

1 niezatarte po sobie zostawił ślady. Od tego czasu był on już jakby złamany, smutny, milczący i jednostajnie pochmurny, jak nocne niebios sklepienie, na którym wszystkie gwiazdy pogasły...

Jednego dnia, mało co przedtem, siedział on w tymże samym lesie, otoczony kilku przyjaciółmi, i opuściwszy głowę ku ziemi, milczał upornie, chociaż inni dość ożywiony wiedli rozmowę. Zabrał głos potem i zaczął mówić o Litwie. Ile razy mówił o Litwie, duch jego się wznosił na niedoj- rzane wyżyny, a jego myśl potężna i silna olbrzymie obejmowała akordy. . Trzeba było go słyszeć tak mówiącego, ażeby pojąć, do jak ogromnej potęgi może się podnieść uczucie. Porównywał Francję z Polską i Litwą, a pod przemożnym wpływem jego wymowy ta piękna, ludna, bogata Francja stała się smutną i nudną pustynią w porównaniu do Litwy. Wspominał nareszcie o owych starych, nie tkniętych lasach litewskich, które zawsze tak kochał, i mówił o nich przecudne rzeczy. Patrząc na niego, unoszącego się w poważnym natchnieniu nad swoim najulubieńszym żywiołem, pomimowoli wszystkim słuchaczom przypominały się słowa, powiedziane do niego przez innego poetę:

Jam ci powiedział, że jak Bóg litewski Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska, A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski, A w ustach słowo, co jak piorun błyska...

Tak przeniósłszy się duchem w owe puszcze litewskie i odmalowawszy ich piękność uroczemi barwami, wrócił nareszcie do Francji, opuścił głowę ku ziemi i rzucił pytanie: Czy może się nazwać pięknym kraj taki, który przez chciwość powycinał nawet swe lasy?—Na to jakiś prozaik zrobił uwagę, że właśnie siedzimy w lesie takim, który obejmuje kilkanaście tysięcy morgów. Wtedy wieszcz podniósł głowę, powiódł oczyma po otaczających go drzewach i rzekł swoim wybitnym litewskim akcentem:

— Ta co to za las! ani jednego ptaka w nim niema!

Takie już gorzkie było jego usposobienie natenczas. Wszystko, co wtedy mówił, nosiło na sobie taki sam wyraz gorczy i jednostajnego smutku. Było to bezzawodnie wieszczę przeczucie blizkiego zgonu...

Ożywił się potem, orzeźwiał nawet, kiedy stanęło postanowienie owej nieszczęsnej podróży na

Wschód—ale przecucie jego sprawdziło się nieste*- ty! aż nadto prędko...

Dalekoby mnie zaprowadziło pióro, gdybym chciał opowiedzieć moje wszystkie z owego czasu wspomnienia. Mijam je tedy i powracam na moją drogę.

Owo więc, odbywając tę przechadzkę po lesie, zdawało mi się, iż oko moje spoczęło kilka razy na jakimś przechodniu, który mi był skądś znajomy. Był to człowiek już wcale nie młody, mający pięćdziesiąt i kilka lat pewnie, dobrze już siwy, niz- kiego wzrostu, szczupły, lecz z wydatnymi barkami i jakby pochylony cokolwiek. Twarz jego, ogolona zupełnie, była bladą, prawie pożółkłą i wyglądała tak jak u ludzi, którzy strawili całe swe życie w ciężkiej siedzącej pracy; — mimlo to wszakże zdawał się on być żywym niezmiernie, stapał raźnie jak młody i z Wielkiem zajęciem oglądał to wszystko, co mu wpadało w oko. Dostrzegłem, jak mówię, tego człowieka, ale zajęty rozmową, nie zwracałem na niego uwagi. Myśl ta, że mi był gdzieś znajomy, opuściła mnie prędko, wyglądał bowiem z swego zaniedbanego ubioru *comme un bon bourgeois*, trudniący się jakimś rzemiosłem.

Powróciliśmy wreszcie z tej przechadzki, a że dzień jeszcze się wcale nie kończył, poszliśmy do parku, otaczającego tamtejszy zamek królewski. W tym parku, tuż prawie pod bokiem zamku, znajduje się, jssfc wiadomo, kopia owego sławnego Crla- dyatora rzymskiego, który tak świetnie ozdabia muzeum kapitolinckie. Stanęliśmy tedy przed posągiem, biorąc go pod baczniejszą uwagę. Ożywił się tym widokiem autor „Lirenki” przypominał mi przedewszystkiem, że podobno jeszcze Bajron, a potem Mickiewicz, Krasiński i inni, znaleźli w budowie tej głowy i rysach twarzy niezaprzeżony typ słowiański, zapewne kiedyś z jakiegoś nieszczęśliwego Słowianina zdjęty z natury. Idąc za tą myślą, Lenartowicz rzucił kilka uwag tak zajmujących, że mnie niemi jak gdyby przykuł do tego posągu—upłatali- śmy się w rzymską historię i czasy przedhistoryczne słowiańskie i zabrnęliśmy w niezmiernie długą rozmowę. Nie wiedziałem jeszcze natenczas, iż wkrótce potem Lenartowicz pojedzie do Rzymu i tam przy pierwowzorze tej kopii utworzy tak piękny i wzniosły ó Gładiatorach poemat...

Nie uważałem także, iż wśród tej rozmowy, tenże sam człowiek, którego przedtem dostrzegłem w lesie, zbliżył się do nas, stał przez chwilę za nami i słuchał; poczem jednak wprośc do nas przystąpił, ukłonił nam się i rzekł trochę naiwnie:

— A panowie także Polacy?

Nie potrzeba było mu odpowiadać. Zabrał głos i tak mówił:

— Przepraszam bardzo, że nieproszony mieszam się do rozmowy, ale niepodobna jest nie odezwać się, spotkawszy ziomków w tak dalekiej obczyźnie. Tu zaś nawet i trzeba się było odezwać, choćby tylko dlatego, ażeby panom podziękować za te piękne rzeczy, których się już nasłuchałem. Ale co panowie myślicie? jest-że to rzeczywiście Słowianin ten umierający Gładiator? Przedmiot ten już mnie niejednokrotnie gajmował, albowiem domysł ten jest mi oddawna znajomy. Mówiłem już

o tem z L... i Mickiewiczem, zasięgałem objaśnień w książkach i nie zaniedbałem także popatrzeć, co

O tem rozumieli Winkelman i Lessing, Mongez

I Hirt, Quatremere de Quincy i Gottfried Muller; ale przyznam się panom, że wszystko to nie przywidło mnie jeszcze do żadnego postanowienia...

Tu rzucił pytanie: Kto to byli gladyatorowie?— a odpowiadając sam sobie, wszedł w szczegóły takie, w które nie każdy wejść może. Nie dosyć bowiem, że zaczął rzecz swoją ab avo, t. j. od Marka i Decimusa Brutusa, kiedy się munus gladiatorium zaczęło, nie dość że przebiegł całą gladyatorów historię, wyliczając i opisując ich wszystkie rodzaje, jak Samnites i Mirmillones, Retiarii i Secutores, Essedarii, Andabatae, Bestiarii i Bóg nie wie jakie; ale wpadł jeszcze potem w przypuszczalną historię słowiańską, z którą podobno daleko lepiej się znał, aniżeli z rzymską, a niezawodnie goręcej ją kochał, bo wtedy podniosła się jeszcze wyżej jego płynna wymowa, a chwilami jaśniała nawet taką potęgą rozumu, iż wcale niepospolite sprawiała wrażenie. Wszystko to zaś, co mówił, nie miało na sobie ani cienia deklamatorskiej próżności, ani śladu chętki popisania się nauką — mówił tak, jakby był mówił o pogodzie lub słońcu — ale dlatego właśnie tem więcej wzbudzał podziwu, gdy mówiąc tak, miotał epokami historii jak piłką, powoływał się na łacińskich, greckich, arabskich autorów jak na braci rodzonych, a niejednokrotnie kilku krótkimi słowy wyraził myśl, o której inni wielotomowe spisali dzieła.

Nie wiem, jakimi oczyma patrzył mój towarzysz na tego człowieka—ale ja, przyznam się, z nie- małym zdziwieniem, nie koniecznie dla tego, że mówił tak uczenie i pięknie, co przynajmniej we Fontainebleau nie było osobliwością, ale [dlatego, że]m go tu spotkał tak niespodzianie.

Zaczem, gdy skończył, położyłem rękę na jego ramieniu, popatrzyłem mu w oczy i rzekłem:

— Poznawaj pan, jeśli pamięć masz dobrą.

Przymrużył oczy, przypatrzył mi się bliźniutko— i rzucił się w moje objęcia prawie tak samo, jak niegdyś Karolowi na Lwowskim rynku.

Nie był to oczywiście nikt inny, jak Skiba.

Pocziwy, serdeczny Skiba — ale jaki on był dziś wesoły, jaki szczęśliwy, a jaki rażny, jak gdyby miał lat ośmnaście!

■— Sto lat pana już nie widziałem — mówił wtedy — jeszcze gdzieś w czasach akademickich, a gdzieżbym był mógł poznać odrazu? Od tego czasu wszyscyśmy się zmienili. Ale patrz pan, co się to ze mnie zrobiło! Ja zawsze taki nudny, kwaśny, zgryziony, żeście mnie obydwa z Karolem nazywali „cytrynką”, patrz pan, zaledwie się teraz dotykam ziemi. Ale trzeba panu wiedzieć, że nie jest to bez powodu. Wypłynęliśmy przecie raz z moim Karolem na suchą. Ożenił się! jaką ma żonę! jaki bogaty! jaki szczęśliwy! a jaki człowiek! — Powiadam panu, że jeżeli kiedy się moje istotne życie zaczęło, to teraz. Wszyscy żyjemy — a ja za wszystkich! Nie miałem nigdy pojęcia, ażeby ta nędzna ziemia mogła dać człowiekowi tyle rozkoszy i szczęścia. I wyobraź pan sobie, na dobitkę tego wszystkiego, ci Karolowie byli jeszcze tacy pocziwi, że mnie tu

wyprawili i dali mi takie mnóstwo pieniędzy, że już od dwóch miesięcy siedzę w Paryżu, widziałem to wszystko na własne oczy, o czym tylko w snach moich marzyłem, żyję jak Sardanapal. i jeżeli mnie jesień nie zaskoczy, to jeszcze będę w Londynie, we wszystkich bibliotekach, muzeach, gabinetach, galeryach, w osobistej styczności z najpierwszemi znakomitościami oświeconego świata, wie pan, chociaż to już jest rzeczywiście, jeszcze zaledwie mogę temu uwierzyć... A spytaj mnie się pan, gdzie już nie byłem i kogo już nie widziałem! A jakie mam zbiory bogate w książkach, rycinach, modelach! wszystko to panu pokażę w Paryżu. Ale jeszcze wiele mam do widzenia, a nie Wiem, czy wszędzie będę miał tyle szczęścia, jak dotąd...

To rzekłszy, przyznał mi się zaraz, że przyjechał tu po to, ażeby być u Zaleskiego i strawić z nim jaką godzinę; miał nadzieję przez Mickiewicza być wprowadzonym, ale tymczasem ta nadzieja spełza na niczem. Był zatem w niesłychanym kłopotcie.

Nie trudno wszakże było mi go pocieszyć. Któż bowiem jest przystępniejszym od tych, którzy umieją cierpieć i kochać za wszystkich i sami, ca-łem swem sercem, oddają się ogółowi?

Tak pocieszywszy się prędko, nieoceniony mój Skiba wpadł znowu w swój złoty humor i opowiadał mi dziwy o tem, z jaką rozkoszą napawa się tem wszystkim, co tutaj widać, z jakim łakomstwem połyka te wszystkie nabytki sztuki, rozumu, wiedzy, które tu jak dary natury stoją cba wszyst-

"kich otworem, a o których do nas ledwie półzywe donoszą się wieści.

— Chciałbym połknąć, pochłonać, zrabować to wszystko, ażebym miał z czem powrócić do Zawisłocza; niechaj mi bowiem Karol mówi, co chce, wiem ja bardzo dobrze, po co on mnie tutaj wyprawiał.

Tak tedy usposobionym znalazłem natenczas Skibę — i nie mogę nawet tego opisać, jak miłe, podnoszące, sprawił on na mnie wrażenie. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że jeżeli był tak szczęśliwym, to tylko szczęściem drugich—i chociaż sam był jakgdyby w raj[^]j, przecież ani na chwilę nie zapominał o tem, ażeby miał czem się przyczynić do szczęścia tych, których zostawił w kraju. — Niewielu jest takich ludzi i nie często ich spotykamy.

Dlatego też, mając podówczas dosyć swobody, nie opuściłem już Skiby. Strawiliśmy jeszcze dzień jeden na miejscu, bawiąc się z przyjaciółmi i zwiedzając ów sławny zamek królewski, który tyle zawiera w sobie pamiątek, począwszy od tego pokoju, w którym zabity był Monaldeschi, a skończywszy na tym dziedzińcu, w którym Napoleon zęgnął się z ostatnią resztką swoich żołnierzy...

Wyjechaliśmy potem na południe, do Lugdu- nu, a ztamąd aż do Marsylji, zatrzymując się po wsiach i zapuszczając się w głąb prowincyi, ażeby się zblizka przypatrzeć tak tamtejszej kulturze ziemi, jak i życiu wiejskiego ludu. Skiba był tem wszystkim, co widział, niezmiernie uszczęśliwiony; rósł na widok tej pracowitości, oświaty, jaką znaj

dowaliśmy w tamtejszych warstwach najniższych, unosił się jak młodzieniec nad tamtejszemi wioskami, zamienionemi prawie w ogrody. Czasami kipiał od wewnętrznego uszczęśliwienia — a wtedy mówił:

i .— Oh! cóż to za pyszne rzeczy! jakie wspaniałe dowody na to wszystko, co ja mówię, czego pragnę, w co wierzę od niemowlęctwa! Wie pan, chociaż wiedziałem o tem, że to tak być musi, przecież jeszcze nie miałem wyobrażenia, ażeby tak było* A kiedy dzisiaj tak jest, wiem już napewno, co jutro będzie. Mogę także powiedzieć o sobie: A teraz, Panie, puść swego sługę w spokoju!

Przenosząc zaś bujną swą wyobraźnię to, co tu widział, w inne, dalekie kraje, czasem mi nie dał oka zamrużyć przez całą noc, malując gorącerai barwami wytwarzane przez siebie obrazy...

Pocieszny, nieoceniony był ten nauczyciel Karola, którego wprawdzie znałem oddawna, ale jeszcze nie znałem z tej strony. Pełen nauki i wiadomości, tak, że w nim nigdy dna osiągnąć nie było można, człowiek ten, który całe swe życie strawił w benedyktyńskiej pracy, przeszedł przez wielkie nędze i najkrwawsze boleści; człowiek ten, połamany fizycznie, wyschnięty ciałem i nieledwie już starzec, był jeszcze dzisiaj tak młody, żywy, pełen uczucia, wiary, uniesień, zapałów, jakgdyby go jeszcze ani razu nie dotknęła twarda rzeczywistości ręka, jakgdyby dopiero teraz rozpoczynał swe życie! — Przypatrywałem mu się z taką ciekawością, z takim zajęciem, jakgdyby mi się śród powszechnej ciemnicy jakaś nowa otworzyła drożyna, na której dawno

stracona znowu się pokazuje nadzieja... I zdawało mi się z początku, jakgdybym miał nie zwyczajnego człowieka przed sobą, ale jakieś zjawisko Tak wszakże nie było. Skiba był takim samym człowiekiem, jak wielu, a cała niezwykłość jego istoty leżała tylko w tem, iż przez wszystkie zawody, cierpienia i bóle potrafił miłość i wiarę przenieść w niepokalanej czystości. To też tą swoją nieustającą miłością i wiarą był w samej istocie niezwykłym, chwilami wielkim, a zawsze takim, że niepodobna go było nie kochać i nie szanować.

Kiedyśmy przyjechali z powrotem do Fontainebleau, już tam był znowu Mickiewicz. Na tę Wiadomość Skiba się nie mógł posiąć z radości. Przechadzał się po pokoju, w samej istocie zaledwie dotykając się ziemi, zacierał ręce i mówił:

— Hej! toż to będę używał, jak Heliogabal! Będę pił z samych czar złotych i kryształowych, będę jadł tylko słowicze języki i główki skowronków, a po każdym daniu położę sobie inny wieniec na głowę. Chociażbym miał powrócić aż w zimie, nie zobaczy mnie Papyż tak prędko!

Jakoż w samej istocie ugrzązł on tam natenczas tak dobrze, że go musiał odjechać.

Wróciwszy do Paryża, przez długi czas nie przyszło mi o niego zapytać. Aż jednego wieczora wszedłem do salonu redakcyi jednego z przeglądów miesięcznych, gdzie zwykle dość liczne odbywały się zgromadzenia. Pismo to, jeszcze młode podówczas, nie przyszło nigdy do zajęcia stanowiska pierwszego rzędu, a nawet niebawem potem, objawiwszy dążności zanadto śmiałe, zostało zniewolonem do zu

pełnego milczenia i „zachowania się na lepsze czasy Rzeczypospolitej”, jak mówi Bielski: Mimo to wszakże łączyło ono w sobie bardzo znakomite talenty, a jego wieczorne zebrania były daleko więcej zajmującymi, aniżeli posiedzenia najpoważniejszych redakcyi, a choćby nawet samychże akademii. Wszedłszy tam i zastawszy tłum osób, pływający jeszcze do tego w chmurach tytoniowego dymu, ani mogłem

O tem pomyśleć, aby zobaczyć wszystkich; zaczętem usiadłem przy najbliższej ścianie, ażeby słuchać W spokoju o czem mówiono. I usłyszałem wtedy głos jakiś, mówiący z niezwyčajnym zapalem o dziejach, naukach i literaturach słowiańskich. Mówca stanął na stanowisku wyższem nad wszelkie niechęci i nienawiści szczepowe, a oświetlając równie jasnymi promieniami światła wydatniejsze momenty dziejów i ogniska rodzimej oświaty, zestawiał czynny

I wyciągał z nich wnioski z nadzwyczajną trafnością. Przez długi czas nie zważałem wcale na to, kto mówi i jak mówi, tylko co mówi i czego chce. Wszakże z czasem niepodobna mi było nie dostrzedz, że mówca mówił dosyć wybitnym polskim akcentem, a niebawem i głos jego wydał mi się znajomym. Powstałem z miejsca, aby mu się przypatrzeć—i znowu spotkałem się ze Skibą.

Skończywszy swoją perorę, wziął mnie za rękę i rzekł:

— A co? jakże mówiłem?

— A! bardzo ładnie.

— Ale ba! ładnie. Nie o to chodzi. Tylko czy bajek dużo naplotłem, czy jeszcze w miarę? Ale to tak potrzeba. Bo u Francuzów, co się znajdują za Renem, to już barbara, a co za Wisłą, to dziki step. Takim nieukom trzeba imponować faktami...

I śmiał się Skiba, ciesząc się tem niezmiernie, że kilkunastu Francuzom niestworzonych nagadał rzeczy o moralnych i materyalnych bogactwach, jakie się znajdują za Wisłą.

Od tego czasu odwiedzał mnie dosyć często, a zawsze do mnie zabiegał, ile razy w rannych godzinach znajdował się około kościoła ś-ej Magdaleny. Wychodziliśmy wtedy razem odwiedzać galerie, muzea, konserwatorya, albo wystawę powszechną, gdzie dawny agronom czasem: całe godziny trawił nad machinami i narzędziami, odnoszącemi się do rolnictwa.

Przyszło do tego, że i ja go raz odwiedziłem, chociaż ledwie go odszukałem. Dziwny ten człowiek bowiem, lubo mi mówił, że żyje w Paryżu jak Sardanapal, mieszkał z tamtej strony Sekwany, na najwyższej wysokości ulicy Monsieur le Prince, w jakimś domu wyglądającym okropnie, na piątym piętrze sans compter l'entresol. Schody te, po których się 'właziło do niego, zwykle się w Polsce nazywają drabiną, a jego pokój zaledwie mógł mieć pretensję do jakiegokolwiek nazwiska. Ale był duży, a w stosunku do swej wielkości niezmiernie tani—dwie rzeczy nadzwyczaj ważne dla Skiby. Jakoż w samej istocie zastałem trzy czwarte części tego pokoju założone najrozmaitszemi gratami. Znajdowały się tam paki z książkami i rycinami, modele pługów, płużków i innych gospodarskich narzędzi, machina do robienia rur drenowych i ce

gieł, młyn ręczny, a oprócz tego siodła, mundsztuki, wędzidła, kosy, sierpy, ogrodnicze noże i Bóg sam tylko wie, jakie jeszcze najrozmaitsze rupiecie: Po między tem wszystkim siedział Skiba przy stole i robił spis tych rzeczy, mając je niebawem wyprawiać do Polski.

Zobaczywszy to wszystko, zrobiłem uwagę, że musiał wydać ogromną ilość pieniędzy, zakupując tyle rozmaitych towarów. Ale on na to uśmiechnął się tylko, zrobił jakąś minę tajemniczą i położył palec na usta, jakgdyby chciał rai powiedzieć: — Cicho!

Roześmiałem się na to z całego gardła, wyglądało to bowiem tak, jakgdyby gdzieś pokradł to wszystko i bał się, ażeby się to nie wydało. Powiedziałem mu to. Śmiał się i ręce zacierał — poczerni wszakże przysiadł się do mnie i rzekł:

— Otóż muszę się panu przyznać, że w samej rzeczy to wszystko jest ukradzione, ale ja tylko sobie ukradłem. Albowiem trzeba panu wiedzieć, że Karol mi nie dał ani grosza na sprawunki dla siebie, tylko mi dał pieniędzy na podróż; ale ja tak temi pieniędzmi pokierowałem, że i podróż odbędę j aknajwygodniej i jeszcze go zarzucę eałmi setkami prezentów.

Jużem sam nie wiedział, jakimi oczyma mam patrzeć na niego. Nieoceniony ten Człowiek mieszkał kędyś pod dachem, latał o milę do miasta, jadał po najnędzniejszych gargota&h, ażeby tylko z darowanych sobie pieniędzy j aknaj więcej oszczędzić, nakupić za nie dobrych i pożytecznych rzeczy i zawieźć je do swej ojczyzny. Pracował przytem jak mrówka, odwiedzał wszystkich uczonych, wciskał się wszędzie, gdzie tylko mógł się czegoś nauczyć, ażeby też i moralnych j aknaj więcej zgromadzić zdobyczy i zabrać je z sobą do swego rodzinnego kącika. Takim cnotliwym ludziom trzeba przypatrywać się zblizka, bo zaprawdę niewielu mamy ich między sobą... Wszyscy dziś podróżują— ale wiałaż jest między nimi, którzy wydobywszy się z Polski, choćby raz tylko pomyśla o tem w swojej podróży, żeby mieli z czem do niej powrócić?— Skiba był pod tym względem nieocenionym wyjątkiem i mógłby być wzorem dla wszystkich.

Jakoż od tego momentu postanowiłem sobie j aknaj więcej czasu z nim trawić i myślałem nawet

o tem, ażeby go zabrać ze sobą do Anglii. Ale już tylko dwa razy go potem widziałem: raz na pogrzebie jakiejś znakomitości z artystycznego świata, a drugi raz na wystawie rzeźb i obrazów. Znalazłem go w sali rzeźb, stojącego przed posągiem jakiejś kobiecej maski, ubranej w koronki i gazy

i trzymającej larwę przy twarzy. Wszystkie szczegóły w tym posądku, nawet koronki, były tu wyrobione z białego marmuru z nadzwyczaj nem mister- stwem, ale też była to, żeby krótko powiedzieć, tylko koronkowa robota. Skiba_N stał przed nią i przypatrywał jej się z niewymownem zajęciem. Kiedym się zbliżył do niego, ujął mnie ze zwykłym sobie zapalem za rękę i rzekł:

— Patrzaj pan, do czego to już nie przyprowadzono nawet w rzeźbiarstwie!

Przypatrywałem mu się z uwagą i zapytałem:

- Zapewne pan sobie dworujesz z francuskiego rzeźbiarstwa.
- A jakto?
- Cóż pan rozumiesz o tym posądku?
- Utwór przedziwny.
- Przedziwny, niema eo mówić, ale nie utwór sztuki.
- Tylko?
- Tylko sztuczki.
- Hml—mruknął na to z niecierpliwością Skiba — usiądźmy gdzie i pomówmy o tem.

Bo wie pan, że i mnie już to niejednokrotnie przychodziło na myśl, że ta genialność Francuzów, tak znamienita i wielka pod wielu względami, przecież gdzieś tak się gubi w drobnostkowości, że prawie znika zupełnie. Przyczyną tego będzie zapewne ich przyrodzone zamiłowanie w błyskotkach— ale kto wie, czy cały ich geniusz nie odznacza się więcej przymiotem mrówczym, doprowadzonym do olbrzymich rozmiarów, aniżeli istotną, przyrodzoną wielkością. Jakoś mi tu wszystko daleko więcej imponuje ilością, masą, objętością, aniżeli wyniosłością, lub głębią; mozaiki olbrzymie, wykończone jaknaj misterniej we wszystkich częściach, spotykam wszędzie, lecz jednostajnej wielkości, takiej naprzykład, jak tum koloński, jak Dant albo Szekspir, jeszcze tu nie spotkałem... Chodźmy, pomówmy o tem. *

Zdanie to Skiby zaplątało nas w niezmiernie długą rozmowę, która wszakże niebawem musiała nas napowrót skierować ku malarstwu i rzeźbie, bo to zajmowało najwięcej w tej chwili nauczyciela

Karola. Posiadał on i pod tym względem znamienity zapas teorii, ale praktyka, rozpoczęta zapóźno, ta masa wrażeń, jakie odebrał w tak krótkim przeciągu czasu, tak go zbałamuciła, iż na tem polu nie umiał się znaleźć z sobą. Poradziłem mu tedy, ażeby sobie uprosił którego z wykształceńszych malarzy i z nim przeszedł tę całą wystawę, z której, mógł się praktycznie daleko więcej nauczyć, aniżeli wiedział z mozolnie ponabywanych teoryj. Ale on na to tylko opuścił głowę ku ziemi i rzekł ze smutkiem:

— Ha! kiedy to już zapóźno!

— Powiedziałeś pan frazes — rzekłem mu na to — najrodowitszy polski. U nas bowiem każdy się tem tłómaczy, że mu do nauki zapóźno i dlatego rzadko kto co tak umie, jak trzeba. Francuzi są pod tym względem innego zdania, powiadają. *vaut mieux tard que jaynais*, uczą się ciągle i dlatego też umieją tak wiele, że nas aż zadziwiają.

■— Ale nie, nie!—zawołał na to Skiba—oh! ja- bym się miał wzdrygać przed jaką nauką? Przecież- o to mnie pan nie posądzisz. Tylko zapomniałem panu powiedzieć, że już odjeżdżam...

— Jakto? już całkiem?

— Niby to jeszcze nie całkiem, bo jadę ztąd do Grignon na dwa tygodnie i mam jeszcze powrócić, ale wróciwszy, nie zabawię już więcej jak tydzień, zaczem zaledwie tak długo, abym mógł wszystkich pożegnać. Nie wiem, czy jeszcze pana tu znajdę. Ale zmiłuj się pan, przecież nam tego- nie zrobisz, ażebyś do Zawisłocza nie wstąpił?

— Będę o tem pamiętał.

— Ale co to pamiętał! To trzeba koniecznie, io trzeba napewno. Jakto? nie miałbyś pan teraz być w Zawisłoczu? nie widzieć mojego Karola? Ależ to nie może być! Ja pana trzymam za słowo. Ja pana bardzo proszę, ażebyś był w Zawisłoczu. A nawet, przyznam się panu, że mi na tem nie mało zależy...

Uśmiechnąłem się na to i rzekłem:

— Pan jesteś grzecznym na wszystkie możliwe sposoby.

— Nie panie, wcale grzecznym nie jestem i nie o grzeczność tu chodzi. Pan wiesz, czym był Karol, kiedy wyszedł z więzienia. Policzyliśmy go pomiędzy moralnie umarłych. Dziś jest on jednym z pierwszych pomiędzy żywymi. Pan już wiesz, jak się to stało; ale aż al iż nie warto widzieć, jak taki człowiek żyje?... No jakże? ominiesz pan Zawisło- cze, chociaż panu będzie na drodze?

— Ale 'nie, wstąpię najniezawodniej, jeżeli tylko jeszcze w tym roku powrócę.

— No, to ja liczę na to z pewnością, zapowiadam pana gościem w Zawisłoczu i z tem polecam się jego pamięci.

To rzekłszy, ścisnął mnie prawie nerwowo za rękę—i zniknął w tłumie.

Od tego czasu już go nie widziałem w Paryżu.

*

Takie to tedy były te kilkakrotne spotkania moje ze Skibą, które mi się dotychczas zachowały

w pamięci. Sprawily one na mnie niezatarte wrażenie — przedewszystkiem dlatego, iż mi uzupełniły charakter tego człowieka, którego znałem od lat niepamiętnych i zawszem się mu przypatrywał ciekawie — lecz niemniej także dlatego, iż wtedy dowiedziałem się od niego całej historyi Karola, w którą mnie wtajemniczył tak dobrze, że mogłem ją uczynić przedmiotem niniejszej powieści.

Ale i wtajemniczenie to nie byłoby mi dało dosyć jasnego wyobrażenia o ostatniej metamorfozie Karola, a przynajmniej nie mogłoby utrwalić we mnie wiary, że ta metamorfoza jest rzeczywiście ostatnią—znałem bowiem sam tego młodzieńca dawnemi laty j aknaj dokładniej.

Był on cokolwiek starszym odemnie, ale tak mało, żeśmy razem odbywali nauki. Mieszkaliśmy nawet przez kilka lat w jednym domu we Lwowie, i żyli z sobą w dosyć blizkich stosunkach. Nie brakło i potem między nami dosyć częstych relacyi — ale pomimo to wszystko nie mogę wcale powiedzieć, ażebyśmy licowali z sobą uczuciami, opiniami, lub wogóle jakąś bliższą moralną korespondencyą. Za młodu bowiem był to chłopiec strasznie zuchwały, dumny, uparty i niezmiernie zarozumiały. On wszystko najlepiej rozumiał i umiał, nigdy nic sobie nie dał zaprzeczyć, a najczęściej czynił jakąbądź z sobą rozmowę wprost niepodobną. Prócz tego wyznawał jeszcze zasady takie, jakie niektórzy ludzie pod koniec XVIII wieku wyznawali we Francyi, i nie chciał tego wcale zrozumieć, że były to poprostu obrzydliowości. Taki Robespierre w osiemnastce mógł być dosyć zabawnym na chwilę, lecz na

czas dłuższy obudzał ekliwość, a w końcu stawał się wcale odrażającym. Takim był Karol za czasów szkolnych.

Niebawem potem zaszłe zdarzenia sprowadziły nas znowu razem z sobą. Przeżyliśmy wtedy między czterema ścianami wiele dni długich niezmiernie, ciekących wolno jak kropelki wilgoci ze skał podziemnych, przygniecionych boleścią suchą, nudną, i jednostajną, a przynoszących tylko tyle pociechy, ile jej człowiek może znaleźć w samym sobie i w Bogu. Karol natenczas żadnego Boga nie szukał, a w samym sobie znalazł tylko truciznę. Przerzucił się wtedy, jak to już wierny, w ostateczność przeciwną i utonął w rozpacz, którą sobie przybrał w powskrzyszane przez siebie, zagrobowe marzenia. Takie marzenia są piękne, oh! ledwie co może być od nich piękniejszym na ziemi! ale powinny one być tylko dodatkiem do życia. Potrzebne są bowiem tylko o tyle, o ile chcąc rów przeskoczyć, potrzeba się wrócić w tył, ażeby dostatecznego nabrawszy rozpędu, nie chybić skoku. Ale przeszłość i sama przeszłość, jako jedyna karma dla życia, jako treść jego wyłączna—to czarna rozpacz, to martwota, to śmierć. Jeżeli mi tedy Karol nie wiele zrobił o sobie nadziei wtedy, kiedy chciał zakrwawić połowę świata, ażeby przynieść zbawienie drugiej — to może jeszcze mniej wtedy, kiedy przyjął opinię, że terażniejszość i przyszłość nie warte są żadnej uwagi, a martwe o przyszłości marzenia jedynem szczęściem na ziemi.

Nie przeczę temu, iż ludzie takich przekonań mają w sobie jedną stronę piękną i zajmującą, są.

oni jak owe kwiaty zamyślane i smutne, które rosną na grobach i kwitną tylko umarłym, jest w nich woń jakaś jakgdyby zagrobowa, nadziemna, chwilami pełna najpiękniejszego uroku — lecz nie mniej przeto rzeczą jest pewną, że na dnie takich przekonań leży poprostu martwy, drewniany, lodowaty sceptycyzm, który gdziekolwiek tylko się ruszy w terażniejszości, prowadzi do takich samych zasad i czynów, jak nagi i niczem nieupiększony realizm...

Komu na tem zależy, niechaj sobie dosnuje tę myśl do końca i niech ją sprawdzi na najbliższych znajomych—ja tylko dodaję, iż, kiedy dostrzegłem takie usposobienie w Karolu, straciłem dla niego resztę mojego zajęcia.

Spotykałem go potem zwijającego się błyszczącym faetonem po Lwowie w czasach takich, kiedy wszyscy byli spieszeni i chodzili z opuszczonemi głowami—widziałem go starającego się o szambela- nównę, a znałem szambelana i Fonsia. Tak przyszło wreszcie do tego, że o nim zapomniał zupełnie...

Aż dopiero Skiba opowiedział mi historię ostatnich lat jego, historię dziwną i wcale niespodziewaną. Jakie wiadomość ta sprawiła na mnie wrażenie, nie potrzebuję powiadać. Zaledwie mogłem temu wszystkiemu uwierzyć. Ale Pan Bóg jest wielki — a za Jego pomocą i człowiek może się z czasem stać większym, aniżeli się na świat urodził. Musiałem zresztą Skibie uwierzyć, wszystko to bowiem, co mi powiadał, nie wyglądało żadną miarą na historię zmyśloną...

Jakoż, jeżeli kiedy pragnął czego ze szczerego

serca, to pewnie niczego więcej, jak obaczyć natenczas Karola i jego żonę. Postanowiłem też sobie jak najsolenniej za powrotem moim wstąpić do Zawisłocza i zabawić tam najmniej dni kilka. Postanowienie to chowałem nawet jak najpilniej w pamięci, chociaż jeszcze potem dość długo nie wracałem do kraju...

Ale w tym wirze co chwila się zmieniających uczuć i myśli, w tym niezliczonym natłoku zdarzeń, w tym czasie naszym, pędzącym z taką niepowsirzy- maną szybkością, czegoż to się nie zapomni? Tak i te powieści Skiby ustąpiły pomału miejsca innym i zasunęły się w jakiś tak oddalony zakątek mojej pamięci, jakgdyby ich wcale nie było. Wróciłem natenczas z zagranicy, przejechałem o milę od Zawisłocza i ani mi na myśl nie przyszło, żeby odwiedzić Karola.

Aż dopiero w rok potem, wracając znowu z jakiejś wycieczki po za granicę kraju, dnia jednego o wczesnej godzinie ranej stanąłem w Pilźnie. Zatrzymałem się przed pocztą i wyprawilem służącego, ażeby mi konie zmieniono—a sam tymczasem zasunąłem się w głąb powozu i przymknąłem oczy, ażeby po ustawicznym turkocie kół choć na chwilę wypocząć. Nie wiem, jak długo tak spoczywałem, ale zapewne nie mgnienie, bo już mi się zaczęły marzyć na dobre te dawne czasy, w których to tak ubogie dzisiaj miasteczko nie było bez pewnego znaczenia, bez zamożności, a nawet i bez świetności. Było ono natenczas stolicą powiatu i miało gród starościński, bywały tu zjazdy liczne, odprawiały się kondescen- cye, sądy, wybory i powiatowe sejmiki. Kościół tu tejszy był nieraz Świadkióm głośnych rozgwarów, mów pięknych obywatelskich, rad walnych na korzyść pospolitego dobra, a czasem może i brzęku karabel. Raz nawet całą jego posadzkę krwią zlano i zaścielono trupami, ale na szczęście stało się to pro publico bono. Było to bowiem czasu konfederacyi barskiej. Sawa stał tutaj w okolicy obozem, a wmieście zostawił tylko małą załogę. Sprowadzeni przez tutejszego wójta, weszli tutaj nieprzyjaciele i częścią wytlukli, częścią rozpedzili załogę, a sami osadzili się w mieście. Odebrawszy o tem wiadomość, wpadł znowu Sawa i zgromił nieprzyjaciela na rynku. Niedobitki cofnęły się do kościoła i obwarowali na chórze, lecz doścignieni i w pień wycięci od nieubłaganych konfederatów. Złowiono potem zdradzieckiego wójta, rozkrzyżowano na bramie jego własnego domu i kilkunastu kulami posłano za tymi, których na nieszczęście swych braci tutaj sprowadził. Okropny to musiał być widok, kiedy ten człowiek w krzyż rozbity na własnym domu patrzył mdlejącemi oczyma w cały szereg luf wymierzonych ku niemu, a mieszkańcy całego miasta stali w szerokim półkolu, urągając ohydnyemu zdrajcy i miotając przekleństwa na jego duszę, wrywającą się z ciała... Dom ten wójtowski stał natenczas przy rynku, może jeszcze dziś stoi, może nawet istnieje ta brama...

Tak marząc półsennie, otworzyłem oczy, ażeby się rozejrzeć za tym domem i bramą, lecz zamiast domu i bramy, ujrzałem konie już zaprzężone przy dyszlu.' Żal mi się zrobiło, że je zaprzężono tak prędko, gdy jednocześnie spostrzegłem, że konie te, które mi zaprzężono, nie mogły żadną miarą pocho

dzić z poczty. Wyjątkowym od' wszystkich poczty galicyjskich sposobem, wyborne ma zawsze konie poczta pilzneńska, ale takich niema i mieć ich nawet nie może. Były to bowiem dwa zjoto-gniade wałachy, duże, wyniosłe i przynajmniej półkrwi angielskiej, ubrane zaś w lekkie a ls'niące półszorki. wyglądały tak, jak gdyby je dopiero wyprężono z wiedeńskiej karety.. Zerwałem się prędko, aby zapytać, co ta niespodzianka ma znaczyć, kiedy wtę ujrzałem stojącego tuż przy stopniu jakiegoś młodego i przystojnego człowieka, który mi patrzył z uśmiechem w twarz i właśnie mówił:

— Spodziewam się, że teraz pewnie już wstąpisz do Zawisłocza,
Był to Karol.

Poznawszy go, chciałem natychmiast wyskoczyć do niego na ziemię, ale mnie chwycił prawie w powietrzu i natomiast sam usiadł przy mnie, a do stangreta zawołał:

— Jedź, z panem Bogiem.

Rozmowy mianej przez drogę nie będę tutaj powtarzał, mieliśmy bowiem tak wiele ważnych rzeczy sobie do powiedzenia, żeśmy rozmawiali o wszystkim, nie wyczerpawszy niczego. Dowiedziałem się tylko od niego, iż przyjechał do Pilzna, ażeby oddać jakieś pieniądze na pocztę, a zarazem odprowadził żonę i matkę, które pojechały w odwiedziny w jakieś dalsze sąsiedztwo i dopiero wieczorem powrócą.

— Doskonałeś więc trafił — dodał do tego—bo zjemy sobie w sukniach podróży kawałki obiadku, zajrzemy do gospodarstwa, jeżeli cię to nudzić nie będzie i przepędzimy dzień cały na pogadankach swobodnych.

Zajechaliśmy wreszcie do Zawisłocza. Kiedyśmy weszli do pokoju, przeznaczonego dla mnie, a znajdującego się w odnowionych murach starego zamku, ja wziąłem mego gospodarza ku oknu, mówiąc do niego po drodze:

— Przedewszystkiem innym pokaż mi się, niech cię dokładnie obejrzę; oszczędzę ci przez to z jakich •dwadzieścia pytań, a zresztą zaspokoję moją ciekawość i w tem, o cobym Wcale nie pytał

A przypatrzwszy mu się, znalazłem, że się do tego czasu i zewnątrz znacznie odmienił. Rysy jego twarzy zgrubiały, cera się osmałiła, dawny blask oczu nie przygasł wprawdzie, ale zamienił się w światło łagodne i jednostajne. Zmężniał przytem do nie-poznania, może i wyrósł cokolwiek, a utył wcale widocznie. Twarz jego zdradzała na pierwszy rzut oka człowieka, który w gospodarskiej skrzętności trawi swe życie, przez co nabrała wyrazu pewnej pospolitości, ale za przypatrzaniem się bliższem nie trudno było dostrzedz śladów głębszego myślenia; wogóle zaś po całej twarzy był rozlany ten spokój przytomny sobie, a trzeźwy, z jakim się nikt nie urodził, a każdy nabył tylko doświadczeniem i pracą. Ubrany był zresztą dosyć skromnie, czysto, ale niedbale.

Uśmiechał się, kiedym go opatrywał, a potem rzeki:

— Także znajdujesz, odmieniłem się bardzo?

•— Bardzo.

— Dwoma słowami: jaką znajdujesz zmianę?

— Pewna część ducha zamieniła się w ciało, ale... nie bez korzyści.

Po tej uwadze uśmiech zniknął z jego twarzy, jak błyskawica. Odstąpił nawet odemnie i przeszedł się w zamyśleniu po izbie. A powróciwszy, rzekł mi ze smutkiem:

— Ha! tak to jest. Ale niestety! inaczej nie mogło być. Dwom panom służyć nie można. Nasze gospodarstwa dzisiejsze są tego rodzaju, że absorbują całego człowieka, a czasem nawet i tego za- mało. Ja robię z siebie Co mogę, ażeby nie zciele- śnić zupełnie... ale... Musiałem mu przerwać.

— Pozwól-no—rzekłem—zdaje mi się, żeś mnie zrozumiał inaczej, aniżeli chciałem być zrozumianym. Nie widzę na tobie nic innego, jak na wszystkich, jak zresztą na sobie samym. Twoja kolej, to jest zwyczajna kolej każdego żyjącego człowieka. Kiedy Bóg stwarza człowieka, daje mu duszę, a ziemia daje mu tylko tyle ciała, ażeby dusza miała się przy czem utrzymać. Każde dziecko jest jakby eterycz- nem stworzeniem, żyjącem tylko chwilami na ziemi, a zresztą w świecie duchowym. Ale ta lekkość, ete- ryezność, ta swoboda duchowa, nie da się długo zatrzymać. Z czasem duch ludzki przytomnieje pomału, ucieleśnia się, twardnie, a ciało przybiera coraz więcej ziemi do siebie, aż w końcu tyle jej w. siebie nabierze, że pada swoim ziemskim ciężarem i na powrót staje się ziemią.

Mówiliśmy o tem jeszcze przez chwilę, a Karol mówił ciągle ze smutkiem. Musiałem mu tedy znów przerwać i rzekłem:

— Nie wiem, dlaczego rozmawiamy o takim przedmiocie, w którym nic nie wymyślimy nowego. Mojem zdaniem, szkoda nawet czasu na psychologiczne rozprawy. Na tera polu rozum ludzki dawno już dotarł do dna, a nie znalazłszy nic na niem, pozostawił wprawdzie pobudowane przez siebie teo- rye, ale sam w nie nie wierzy. Stosunek ducha ludzkiego do ciała jest jedną z tych niezliczonych tajemnic, które Pan Bóg dla siebie zostawił. Nie na- śladujmy tytanów, nie przypuszczajmy szturmowi do fortec boskich. A natomiast gospodarujmy skrzętnie tam, gdzie nam gospodarować wolno. Jakże więc twoje gospodarstwo? jak interesy? jakie widoki? Jak mi powiadał Skiba, jesteś szczęśliwym pod każdym względem, a nawet bogatym.

— Szczęśliwym?—rzekł Karol na to—tak, rzeczywiście, nie mogę tego zaprzeczyć. Jestem szczęśliwym w oczach ludzkich, a co ważniejsza, szczęśliwym nawet w mem własnem sercu. Ale wiesz, co rai przyniosło to szczęście? może Zawisłocze oczyszczone przezemnie z długów? może Przewoźniki wzięte za żoną? Może Grzymałin, odziedziczony po Izydorze? może najlepszą żoną? najukochańsze dzieci?... Wszystko to widzą ludzie i to mi liczą za szczęście. Ja nie zaprzeczam temu, że jest to także część szczęścia, ale właściwe szczęście, to uczucie pogody w duszy, do którego dopiero w tych latach przyszedłem, dała mi tylko moja własna praca. Choćby wszystko najlepsze posiadał, nie może być nigdy człowiek szczęśliwym bez pracy rzetelnej i skrzętnej, poświęconej jakiemuś poważnemu celowi i czyniącej go pożytecznym członkiem swojego

społeczeństwa. Najobfitsze dostatki, spadające na cię z nieba, przyniosą ci tylko radość, za którą zwykle idzie w ślad przesylenie i nuda: prawdziwe szczęście może ci tylko to przynieść, co zdobyłeś swą własną pracą. Ja jestem bardzo szczęśliwym, ale ja ciężko pracuję. Chodź, pokażę ci moje gospodarstwo.

To rzekłszy, Karol już był w jaknajlepszym humorze. Wzięliśmy kapelusze i wyszli w dziedziniec. Już z widoku samego dziedzińca nie trudno mi było powziąć wyobrażenie, jaki porządek tam być musiał zaprowadzonym. Każdy tu kącik bowiem był umiejętnie zużyty, wszystko obwarowane, a wszędzie czystość, jakby w pokoju. Z dziedzińca szliśmy najpierw do stajni, oglądając z kolei bydło, owce i drób, konie robocze i gospodarskie naczynia. Przy tym obchodzie uderzył mnie najpierw ten szczegół, iż znalazłem krowy ogromne, utrzymane prześlicznie i bezzawodnie pochodzenia holenderskiego, nie było ich wszystkich nad kilkanaście.

— Czy nie trzymasz krów więcej?

— Ani jednej. Zdaje ci się za mało?

— Na Zawisłocze oczywiście za mało.

— No, a ja cię przekonam cyframi, że dostatecznie.

Tu zabrał głos i opowiedział mi aż do najdrobniejszych szczegółów, ile go te krowy kosztują, ile corocznie ich utrzymanie i jakie z nich ma korzyści.

— Krowy te — mówił — kosztują mnie dużo, zjadają niezmiernie wiele, ale mi dają tyle mleka, ile dom potrzebuje, a przychówek od nich przed-

stawia korzyści, zupełnie odpowiednie nakładom. To też jedyny jest sposób, za pomocą którego u nas można się z krowami doliczyć jakiegokolwiek rachunku. Trzymać krów wiele a ładajakich, choćby nawet i takich, które tu w kraju nazywają się dobre, to oczywiście jest strata. Żywić je ile, nic nie przyniosą; żywić je dobrze, nie powrócą nakładu. Mleka niema, a przychówek kosztuje więcej, aniżeli można za niego odebrać. U nas to nawet inaczej nie może być. Dopóki bowiem bydło to wchodzi z Podola, Wołoszczyzny i Bessarabii, dopóki chłop nasz będzie się bawić takim chowem bydła, przy którym za nic sobie liczy obróconą na to karmę i pracę, my z nimi konkurować nie możemy. Chów bydła u nas, o którym tak wiele gadają, jest to tylko teoria, którą praktyka zbija jaknajzupełniej — i póty pozostanie teorią, dopóki miejscowa konsumpcja mięsa nie podniesie jego wartości do innej cyfry, a tego my podobno nie dożyjemy. Na cóż mi zresztą chować bydło na większą skalę, kiedy ja w roku zakupuję kilkadziesiąt sztuk bydła za tanie pieniądze, zużywam niem swoją karmę i sprzedaję je potem tak dobrze, że nietylko mi się wszystkie wydatki opłacą, ale jeszcze zazwyczaj pozostaje znaczna nadwyżka korzyści? Jak wrócimy do domu, pokażę ci kilkoletnie rachunki, a z nich przekonasz się o tem cyframi.

Taką samą zasadę cyfrową zastałem wszędzie. Pokazywał mi drób ogromny, karmiony rozmaitemi takimi surogatami, o które nie trudno przy gospodarstwie, konie robocze, grube i silne, lecz małe • i najlichszego gatunku, karmione trzecią częścią tego

co potrzebuje koń duży, a w pracy daleko wytrwalsze od niego — na koniec woły używane do pług, dlatego lepsze od koni, iż robią i rosną przytem w wartości. Oglądaliśmy -dalej wozownie, składy narzędzi i naczyń i innych gospodarskich rupieci, wszystko to utrzymane i poskładane w jaknajlepszym porządku, a co mnie przytem uderzyło najwięcej, to to, że sam wiedział o każdym pługu i wozie, o każdej bronie i każdym niemal chomencie. Poszliśmy potem do piwnego browaru, który był w ruchu.

— Browar — rzekł mi tam Karol — pędzę na własną rękę i dlatego krowy mam takie tłuste, chociaż tyle buraków nie sadzę, jak niegdyś Skiba.

Przeszliśmy wreszcie do gorzelni, którą właśnie restaurowano, ażeby za kilka dni zacząć robotę.

— Gorzelnia u mnie idzie zazwyczaj dziesięć miesięcy. Nie trudno mi o to, bo mam na nią produkty z Zawisłocza, z Przewoźnik, a teraz i z Grzymalina. Jest to wprawdzie nie gospodarstwo, tylko fabryka, ale u nas inaczej nie można; trzeba się chwycić nawet i fabryk, jeżeli tylko korzyść przynoszą i dadzą się z gospodarstwem pogodzić.

— A przynosi ci gorzelnia korzyści?

, — To jest...—odpowiedział mi Karol, zastanawiając się trochę — to jest, właściwie tylko tyle, że mi się opłaca. Ale ogromną przynosi mi korzyść tem, że mi zapewnia, ułatwia i reguluje sprzedaż produktów, konsumuje drzewo i płaci za nie, przynosi na zawołanie gotówkę, a wreszcie pomnaża znacznie ilość nawozu w sposób prosty, pewny i nie-kosztowny. W innym kraju, gdzie gospodarstwu towarzyszą inne okoliczności, rzecz oczywista, że ni-gdybym tu nie pędził gorzelni; co ja mam z tem pracy, zachodów i najnieznośniejszych kłopotów? — ale tu trzeba się nawet przed kłopotami nie wzdrygać, jeżeli się to opłaca. Przyznam ci się nawet, że ja tu u nas nie podejmuję gospodarstwa bez gorzelni, tak ona jest mi' potrzebna, tak nawet niezbędna...

Pod gorzelnię doprowadzono nam konie wierzchowe, wsiedliśmy na nie i wyjechaliśmy w pole. Była to pora jesienna, już było po zbiorach, ale i po zasiewach, a zatem można było coś widzieć. Przypatrywałem się jego rodom ciekawie i znalazłem, że wszystko to, co zaprowadził był Skiba, było do gruntu zmienione. Widziałem na górach łąn żyta, wynoszący pewnie ze siedmdziesiąt morgów, na nizinach łąn pszenicy przeszło sto morgów, łąn ziemniaczyska także około sta morgów, a z plantacyi buraków, turnipsu, brukwi, ani śladu.

— Biedny Skiba!—rzekłem do Karola z uśmiechem—nie pozostało tu po nim ani pamiątki.

— Gzy chcesz, ażeby ci się z tego usprawiedliwił?

. — Ale gdzie tam! Jest to naturalna konsekwencja tego, co już widziałem. Niepodobna jest dzisiaj gospodarować, nie znając wszystkich teorii, jakie są znane oświeconemu światu, ale jeszcze daleko niepodobniejsza, teorie te wprowadzić na ślepo w życie. Można je zaprowadzić i przeprowadzić z najlepszym skutkiem, ale tylko do pewnego punktu, to jest wyprodukowania produktów;^dalej już ani

rusz, chyba, że ktoś chce poprzestać na trzeciej części dochodów...

— Otóż to jest cała tajemnica naszych gospodarstw—rzekł na to Karol.—Jak widzisz z moich ról, zrozumiałem ją dobrze. Gdzie wszystko jest tak dowolne, jak u nas, tam i gospodarstwo musi być koniecznie dowolne. Jednakże nie myśl, ażebym miał coś do zarzucenia Skibie. Owszem, nawet za jego gospodarstwo jestem mu wdzięcznym niezmiernie. Wszystko złe bowiem, które mnie spotkać mogło, nawet musiało, a niezawodnie byłoby spotkało w sposób daleko dotkliwszy niż jego, on wziął na siebie i odemnie na zawsze odwrócił. Nauczył on mnie pomimowoli, co być nie może, a to jest nauka niezmiernie ważna i zazwyczaj bardzo kosztowna. A nauczył mnie także, co być może; pokażę ci rządową uprawę rzepaku, sposób sadzenia ziemniaków- rozmaite surogaty karmy dla bydła i arobiu i mnóstwo gospodarskich narzędzi, zastosowanych przez niego—wszystko to bardzo rozumne, praktyczne i zachowane przezemnie na zawsze. Już to ci muszę powiedzieć, że ten Skiba jest dla mnie pod każdym względem skarbem takim, którego nigdy i niczem nie potrafię zapłacić...

Powracając do domu, Karol mi opowiadał dalsze szczegóły gospodarstwa swojego. Nauczał mnie, jakich się trzyma zasad w swoim gospodarstwie dowolnem, jak zawsze wszystko poświęca potrzebom tym, które wykazuje rachunek, jak gospódaruje Przewoźnika, jak Grzymalinem zarządza, jak prawie główny ster całej tej gospodarskiej maszyny we własnych trzyma rękach, sam będąc rządcą, kontrolerem, kasyerem i wszystkim.

— Nie trudno ci z tego zrozumieć — zakończył swe sprawozdanie.— jak ciężką i żmudną, nieustającą pracą są wypełnione wszystkie dni moje. Wstaję codziennie wcześniej niż słońce, zawsze sam wszystkie kąty obejść, rozdysponuję wszystkie roboty i dojrzę początku ich wykonania; załatwiam potem sprawy handlowe, fabryczne, rzemieślnicze i inne, piszę listy, odprowadzam pocztę, Ledwie wstanę od stołu, muszę znów obejść wszystkie zakątki, zajrzeć do staj en, gorzelni, browaru, wyjechać w pole, co drugi dzień prawie być w Przewoźnikach, a przynajmniej dwa razy na tydzień w Grzymalinie. Dolicz do tego raporty i dyspozycje wieczorne, dolicz, że muszę' często zaglądać do kuchni, gdzie jada czeladź, ażeby każdy miał co mu się należy, dolicz te ciągle interesa z gromadą, z którą po staremu utrzymuję patryarchalne stosunki, dolicz wszystkie zajęcia nieprzewidziane, a wtedy pewnie mi nie zaprzeczysz, że żaden koń chodzić nie może w cięższym odemnie maneżu. Ale doświadczenie mnie nauczyło, że tak być musi. Albowiem to tylko jedno utrzymuje w mdjem gospodarstwie taki, jak widzisz porządek, to tylko mi daje rękojmię, że żaden czło wiek, żadne bydłatko, będące na moich usługach, nie doznaje krzywdy i to tylko zapewnia mi takie dochody, z jakich ci się książkami wykażę. A zresztą to tylko taka rzetelna, nieustająca praca, zrobiła ze mnie nareszcie człowieka. Kiedy sobie przypomnę, czem to ja byłem przez całą młodość, a zarazem widzę, czem i natenczas być mogłem, to mnie niele-

dwie obrzydzenie porywa przed samym sobą. Praca tylko i tylko praca może człowieka zrobić tem, czem go Pan Bóg mieć chciał, kiedy go stwarzał. O! gdyby to mogli, gdyby chcieli zrozumieć wszyscy, pomimo naszych najniezwyklejszych okoliczności, jakże bogatym, jak silnym, jakim potężnym byłibyśmy narodem!

Jechaliśmy przez długi czas stępa przy sobie, w nieprzerwanym milczeniu. Spojrzał na mnie Karol, a potem spytał:

— Jesteś coś zamyślony...

— Myślę o twoim gospodarstwie.

— Cóż myślisz?

— Myślę i to i owo...

— Proszę cię, przecież nie będziesz zdań swoich obwijał przedemną w bawelnę. Mogę ci za to zaręczyć, że wszystko przyjmę od ciebie, na każde pytanie odpowiem ci jak na spowiedzi, a nawet bardzo ci proszę o tę prawdę otwartą, o którą tak dzisiaj trudno, a której się napewno spodziewam od ciebie. Cóż tedy o moim gospodarstwie rozumiesz?

— Rozumiem to, co oczy widzą, inaczej nawet nie można. Wszystko tu jak dzień i nie potrzebuje objaśnień. Wszystko się tu obraca na czopach stalowych, wszystko oparte na cyfrach, wszystko idzie jak gdyby w zegarze i dlatego wszystko odpowiada wyrachowaniu. Bardzo mi się to podoba, bardzo to chwalebne i życzę, ażeby każdy miał takie gospodarstwo u siebie. Bylibyśmy wtedy wszyscy bardzo bogaci i bylibyśmy materialnie bardzo potężnym narodem. O tem niema ani wątpienia. Ale ja ci

£_{aro} inne pytanie, a mianowicie to: czy w tem gospodarstwie twoim niemasz niczego takiego, coby dogadzało tylko samej fantazyi?

Nie zrozumiał mnie Karol zapewne, bo odpowiedział mi na to bez myśli:

— A jakże ty chcesz, żeby w gospodarstwie polskim obeszło się bez fantazyi? Zaraz ci ją pokażę.

To mówiąc, wjechaliśmy właśnie w dziedziniec, po którym w tej chwili przechadzała się, przypędzona zapewne z jego rozkazu z pola, mała stadnina koni. Zeskoczyliśmy z siodeł, a Karol prezentował mi po kolei matki i młodzież. Bardzo to ładna była ta garstka naszych najulubieńszych zwierząt, a nawet znajdowały się pomiędzy nimi egzemplarze znamienitej wartości, kilka klaczy pełnej krwi angielskiej, kilkoro źrebiąt ogromnej wielkości i zadziwiającej budowy. Zaczęto potem wyprowadzać ze stajni młodzież cztero i pięcioletnią, a w końcu stanął przed nami sławny ów „Sovereign”, który niegdyś tak rozpaczliwą odbył kampanię z wezbranymi falami Wisłoki. Przypatrując się tym zwierzętom, miałem wielką przyjemność, nietylko bowiem znalazłem pomiędzy nimi indywidualia niepospolitej piękności, ale i cała ta stadninka wydała mi się taką fantazyą, na którą nie każdy się zdobyć potrafi. Wszakże w ten moment zabrał głos Karol i tak mówił:

I — Otóż to jest moja fantazyja! Mam czasem ■chwile,, że jej się wstydzę przed samym sobą, bo rzecz oczywista, że to niezmiernie wiele kosztuje, a nic nie przynosi. Jest to więc wybryk, którego

w naszym położeniu nie można dosyć naganie. Ale mam nadzieję, że z czasem i ten wybryk zmieni swą postać i stanie się pozytywnym. Jak bowiem widzisz, jest to najpierwej stadninka założona na mierną skalę: dwanaście matek, więc cały ogół nie przenosi sztuk pięćdziesięciu. Pożera mi to paszy niezmiernie wiele, ale przecież nie tyle, ażeby mi to czyniło dotkliwy uszczerbek w dochodach. Powtóre, zapewneś to zauważył, że tylko kilka matek jest pełnej krwi, a reszta mniej szlachetna, a więc i mniej kosztowna. Ponieważ zaś przy zakładaniu tej stadninki głównie zważałem na to, ażeby otrzymywane produkty dochodziły do jak największej doskonałości tak pod względem czystości, jak siły, a przy tem dosięgały jak najznaczniejszej wielkości, więc liczę na to, iż z czasem będę miał z tego i pożytek dla siebie i jeszcze tyle i tak dobrze będę mógł sprzedać co roku, że mi się to koniecznie opłaci. Obrachowa-łem kosztą i widoki tego zakładu z n aj zupełniejszą trzeźwością i mam nadzieję, że mnie rachunek ten nie omyli. Ale tymczasem prezentuję ci to jako fantazyę.

Nie odpowiedziałem nic na to.

—■ Cóż o tem myślisz?—zapytał Karol.

— Myślę o cyfrach, które leżą na dnie tej fantazyi.

— Nielitościwym jesteś jak widzę — rzekł na to z dobrodusznym uśmiechem.—No, no to chodź-że jeszcze dalej, pokażę ci taką fantazyę, w której, z pewnością żadnych nie znajdziesz cyfer.

I wzięwszy mnie pod ramię, zaprowadził w odwrotną stronę dworu, pod narożną basztę zamku. Stanąwszy tam, muszę się przyznać, że się nie pomału zadziwił. Tam bowiem, - jeżeli sobie' zechcemy przypomnieć, znajdowały się dawniej resztki starego włoskiego ogrodu, a dalej na dole las, obejmujący kilkadziesiąt morgów przestrzeni i roz-ciągający się aż do brzegów Wisłoki. Była to istna pustynia, zarzucona w bliskości zamku powyszczer- bianej alejami spróchniałych drzew i pozasuwa- nymi szkarpami, dalej obszernym moczarem, zaro- śniętym chwastami, a nakoniec tonącą w lesie chropawym, brzydkim i zasłaniającym wszelkie dalsze Cwidoki. Teraz zamieniło się to wszystko w przepyszny park angielski, jak u nas, wcale ogromnych ^rozmiarów. Zakład ten nie był jeszcze skończonym, ale E było już tyle zrobione, że można było przejrzeć plan cały i można go było przejrzeć jeszcze o tyle dokładniej, ile że późna jesień poobierała już drzewa z gęstwiny liści: najlepsza pora do oglądania tego rodzaju ogrodów. Przedewszystkiem tedy zniesiono tu dwie nieznośne szkarpy i zamieniono je napo- wrót w naturalne urwiska, ze starych alei pozostawiono tylko drzewa zdrowe i ładne i w grupach takich, że nie nużyły oka swą przystrzyżoną regularnością; wybrana na środku dawnego moczaru sadzawka i poprowadzona fantastycznymi zwrotami w głąb lasu, zmieniła resztę moczaru w gładkie i równe murawy, a zarazem ożywiła zwierciadłem wody to posępne ustronie—przecięty nareszcie sze- rokiemi pasami las, w jedną stronę wprost kn Wisi oce, a w drugiej trochę na prawo, otworzył tutaj prześliczny daleki widok na Przewoźnicki pałac, jego ogrody i białą gloryetkę stojącą tamże na wzgó-

ku, a tam na prawo odnosił widok Starego prze- * wozu i chatki Bernata, w tak przyjemne i drogie wspomnienia bogatej dla mieszkańców Zawisłockie- go dworu. Już tych kilka szczegółów, o których T dotąd wspomniałem, były dla mnie dostatecznymi, ażeby poznać, że ten, który plan tego parku rysował, miał nieposolity zmysł ogrodniczy, musiał nie mało ogrodów widzieć w swem życiu i miał takżę fantazyę po temu. Ale było takich dowodów jeszcze daleko więcej, gdziekolwiek bowiem było jakich kilka pięknych drzew w lesie, gdzie była jakaś zaciszna równinka, jakiś piękniejszy widoczek, wszystko to odsłonięto, dla każdego mostku, dla każdej kanapki, poręczy albo kamienia umiano obrać miejsce najstosowniejsze, gdzie zaś się okazała potrzeba drzew nowych, wiedziano najdoskonalej czy szpilkowe, czyli liściaste, karłowate, czy wielkie będą tutaj na swoim miejscu. Po tych nieustających cyfrach, któremi mnie Karol przez kilka godzin tak pracowicie częstował, odetchnąłem tu z głębi piersi i rzekłem.

— Al przecież coś obaczyłem u ciebie, co' utworzyła fantazyja bez cyfr! Po wiedz-że mi, któż zarysował plan tego ogrodu.

— Twój niski sługa — odpowiedział mi Karol z udaną dumą, lecz zaraz dodał:—Ale proszę cię, przypatrz się dobrze planowi tego ogrodu i powiedz •mi, jakie uczucie kierowało głównie tym sługą, kiedy ten plan rysował? Jeżeli zgadniesz, to mnie tem bardzo ucieszysz, tak bardzo, że wolno ci będzie za to dawać mi choćby najdziksze pytania i na wszystko będę ci odpowiadał.

Przypatrzyłem się otworzonym widokom na Przewoźniki i chatkę Bernata i rzekłem:

— Jeżeli tu kierowało tobą jakie uczucie, to oczywiście nie inne, tylko miłość dla żony.

O mało mi się nie rzucił na szyję, tak gó ta drobna rzecz ucieszyła. Nie trudno mi było domyśleć się z tego, jak musi kochać tę żonę, jakim jest mężem i jakie serce ma dla niej. Jakoż wisto- cie dziwnie mu teraz roztajało to serce i rzekł zaraz do mnie:

— Nie będę ci chwalił mej żony, będziesz ją widział, a więc sam ją osądzisz.

Kończymy teraz naszą rozmowę. Dawaj mi dalsze pytania, których nawet jestem bardzo ciekawy, bo widzę, że moje gospodarstwo, chociaż je chwalisz, przecież nie tyle ci się podoba, ilebym pragnął. Jeżeli sądzisz, że ta cała machina moja trąci za nadto spekulacją, fabryką, domem handlowym lub czemś podobnym, to mi to powiedz otwarcie, będę ci się tłumaczył.

— Ale do czegoż! Powiedziałem ci już przecie przed chwilą, że rzeczy te nie potrzebują żadnych tłumaczeń. Duszą twojego gospodarstwa jest nagi, trzeźwy realizm, ale to nie może inaczej być. Czasy gospodarskich fantazyi bezpowrotnie już przeminęły; kto je dziś jeszcze chce mieć, ten się musi wyrzec dochodów. O tem nie potrzebujemy już nawet wspominać. Bównież podoba mi się to, że tak skrzętnie pracujesz. Praca wyrabia człowieka, uszlachetnia go, uzacnia, podnosi i dozwala mu przeżyć tem łatwiej i weselej to życie, które w naszych oplakanych okolicznościach zawsze jest trudnem, czasem ciężką chorobą, nieraz nawet męczeństwem. Bez •

pracy zresztą nie będzie kołaczy, stare to i prawdziwe, lubo już zapomniane przysłowie. Jakoż nie

O to mi chodzi, tylko o to, iż zdaje mi się, że ty, posiadając tak rozległy majątek, zanadto może dałeś się gospodarstwu pochłonać: mała zmiana w administracji zarządziłaby temu zupełnie, nie uszczupliłaby ci dochodów, a za koszt utrzymania jednego człowieka dałaby ci niezmiernie wiele wolnego czasu, ktoregobyś mógł użyć, obawiam się powiedzieć pożyteczniejszej, ale przynajmniej wzniosłej i trochę więcej duchowo.

— Ciężką mam z tobą przeprawę—rzekł na to Karol—ale kontent z niej jestem, bo czy mi przyznasz słusność, czy mnie inaczej przekonasz, zawsze na tem skorzystam. Przedewszystkiem tedy muszę ci i zrobić uwagę, iż jak mi się zdaje, zrobiłeś sobie trochę przesadzone wyobrażenie o moim majątku. Zawisłocze to dobra wieś, Przewoźniki także są niezłe, obiedwie te wsie przynoszą mi jakie takie dochody; ale oprócz nich przyszedłem jeszcze do posiadania Grzymalińskiego państwa, a to robi wielką różnicę. Grzymalin bowiem został wprawdzie zapisanym przez Izydora, ale dobra te były przez niego wypuszczone w dzierżawę na lat dwanaście i prawie cała należytość wybrana. Rzeczy tej tak nie mogłem zostawić i musiałem ten majątek wykupić, a to mnie kosztowało indemnizację Zawisłocza i Przewoźnik, do której jeszcze trzeba było coś do- pożyczyc. Prócz tego trzeba jeszcze funduszków na zaprowadzenie Własnego gospodarstwa w Grzymali- nie, których nie miałem, trzeba było jeszcze pieniędzy do Pzewoźnik i Zawisłocza; dość, że się skończyło na tem, iż dzisiaj mam dług Towarzystwa kredytowego na wszystkich dobrach, a i nadto, jeszcze niektóre ciężary. Taki jest stan mego majątku. W takich okolicznościach, jeżeli dzisiaj tak stoję, że chociaż wciąż jeszcze jestem na dorobku, przecież mam dosyć na opędzenie wszystkich potrzeb zwyczajnych i niezwykłych, to mam to do zawdzięczenia tylko temu, iż tak. uprościłem administrację, że na Przewoźnikach trzymam tylko jednego staropolskiego ekonoma, na wszystkich pięciu Grzymalińskich folwarkach tylko jednego ekonoma i jednego pisarza, a zresztą sam jestem wszystkiem. Wiem o tem dobrze, że taka administra- cya jest poprostu ostatecznością i to ostatecznością taką, która mnie całego pochłania i zamienia mnie w mego oficjalistę—ale gdybym ten stan rzeczy chciał zmienić, musiałbym się przetrzucić w ostateczność drugą, niezawodnie daleko gorszą. Dostać bowiem człowieka, któryby mnie mógł całkowicie zastąpić i obowiązki swoje wypełniał tak ściśle, jak ja je wypełniam, jest prawie niepodobieństwem. Nie pozostały mi tedy nic, jak zaprowadzić administrację taką, jaką mają panowie niemieccy po swoich dobrach na Szląsku, w Czechach, Morawii i wszędzie indziej. Zwiedzałeś zapewne sam takie dobra, więc wiesz bezemnie, jak to ciągnie za sobą skutki. Gdzie są lasy, tam są i dochody — lecz gdzie ich niema, tam są także dochody i bardzo znaczne, ale większa połowa z nich idzie na koszt administracji. U nas, postępując sobie oględnie, administracja taka możeby zresztą kosztowała cokolwiek taniej — ale zawsze nie stać mnie na nią.

W takim bowiem razie ze wszystkich wsi moich miałbym zaledwie tyle, ile mi potrzeba na życie, byłbym ciągle biednym niewolnikiem każdego grosza i nie mógłbym sobie pozwolić ani najskromniejszej fantazyi. Tak zaś, kiedy ja jestem wszystkim, kiedy to, coby mi wzięli Ober-Yerwalter, kasy er, kontroler, trzech Unter-Verwalterów i ze trzech adjunktów, pozostaje się w mojej kieszeni, jestem nietylko swobodnym w moich wydatkach, ale mi jeszcze wystarcza na opędzenie potrzeb nadzwyczajnych. A potrzeby te u nas są wielkie. Do nich bowiem najpierw liczę utrzymywanie dawnych patryarchalnych stosunków z gromadą. Ja utrzymuję te stosunki do dziś dnia, bo jestem zdania, iż jak wszystko dobre, cośmy stracili fizycznie, tak i to trzeba koniecznie utrzymywać siłą moralną. Tu zaś zachodzi ta okoliczność, iż nasz lud wcale się nie rozumie na siłach moralnych i jeżeli ty nie masz dla niego śpichrzów otwartych na zapomogi, otwartej kasy na pożyczki, jeżeli się nie przyczyniasz do zakładania szkółek, szpitalów, do uposażenia kościołów i t. d., to nigdy wpływu na niego nie zyskasz. Wszystko to zaś, jak wiadomo, kosztuje wiele pieniędzy. Powtóre, liczę do takich potrzeb nadzwyczajnych składki, które u nas są liczne. Jakimże byłbym obywatelem kraju, gdybym nie należał do naszych agronomicznych towarzystw, nie przyczyniał się odpowiednio do obszerności mego majątku do składek na szkoły rolnicze, dobroczynne i naukowe zakłady i inne przedsiębiorstwa podobne? A oprócz tego, czyż nie powinienem utrzymywać polskich dzienników, kupować znacznej ilości książek, być na usługę moim uboższym sąsiadom i być gotowym do każdej innej obywatelskiej ofiary? Podoba mi się przytem trzymać ten albo ów dziennik francuski, angielski albo niemiecki, kupować książki w obcych pisane językach, czasem jaki obraz zakupić, czasem darować co komu lub zadowolić jakąś inną fantazyę. A tego wszystkiego czyniczym nie mógł, gdybym sam nie pracował i nie oszczędzał się tam, gdzie oszczędność możebna.

Zupełnie innem okiem spojrziałem teraz na jego gospodarstwo, takie zimne i prozaiczne, gdy on tymczasem tak mówił dalej:

— To tedy jest główny powód, dla którego sam się zajmuję ekonomią mego majątku. Ale są jeszcze powody inne. Zaraz tedy drugi powód jest ten, iż wedle mojego zdania, w położeniu podobnem nie dość jest na tem, że się ma tyle dochodów, ile potrzeba na bieżące wydatki, ale potrzeba koniecznie starać się o to, ażeby przyjść do jakiejś leżącej gotówki. Fatalne jest położenie szlachcica nie mającego zapasów — jest ofi wcięż siebie niepewnym, żyje w ciągłej obawie, nie ma dnia, ani nocy spokojnej. Mnie Pan Bóg w swojej łasce najwyższej strzeże jeszcze dotychczas; od czasu, jakem osiadł na Zawisłoczku, nie nawiedziło mnie żadne nieszczęście—ale czy ja wiem, co się może stać jutro? Niechaj że spadnie na mnie gradobicie lub pożar, niechaj przyjdą choroby, śmierć jaka, albo inne nieszczęścia, to cóż stanie się ze mną, jeżeli nie znajdę środków ratunku w zapasach? Będę musiał się uciec do tych funduszów, które są dźwignią mego gospodarstwa, a spożywszy je, pomimo całej obszer-

liczności moich majątków, jestem zniszczonym na lat kilkanaście, a może nawet na zawsze. A mogą się zjawić jeszcze i inne wypadki, mogą przyjść wojny, kontrybucye, grabieże, mogę się znaleźć w położeniu zrobienia jakiejś większej i dobrowolnej ofiary, mogę w danym wypadku być powołanym do pełnienia jakich obowiązków po za obrębem mojego domu—to cóż zrobię natenczas? Będę musiał wieś sprzedać, albo zastawić, albo żonę i dzieci skazać na niedostatki. Nie potrzebuję ci zresztą wiele o tem rozprawiać, a wszakżeż to rzecz jasna jak słońce, że gospodarz, obywatel, mąż, ojciec, ani może pomyśleć o spokoju i szczęściu, dopóki nie ma w swej skrzyni przynajmniej tyle gotówki, ażeby mógł przez trzy lata obejść się bez dochodów ze swej roli. A przyjść do takich zapasów w czasach dzisiejszych, gdzie się żyje tak drogo, i mnie, który dogadzając najrozmaitszym" swoim fantazyom, żyję daleko drożej od innych, czy podobna inaczej, jak własnoręczną a skrzętną pracą i oszczędnością we wszystkim innem? Nakoniec jeszcze postawię ci zapytanie: a dlaczego ja nie mam pracować? co mnie uwalnia przed Panem Bogiem od pracy? czy to, że noszę na sobie historyczne nazwisko? czy to, że mam kilka intratnych majątków? czy może to, że się za młodu uczył cokolwiek więcej od innych i mógłbym zająć wydatne miejsce na wielkim świecie, sam nic nie robić, a wyrokować o wszystkim?— Być może, że kiedyś z upływem czasu, po latach wielu, kiedy siły moje potargam, uwolnię się w części od takiej pracy, być może nawet, że zupełnie się oddam odpoczynkowi — ale dopókim młody, zdrowy, silny i zdolny do dźwigania ciężarów, chcę być takim samym pracownikiem w winnicy Pańskiej, jak każdy najuboższy wyrobnik, mam to sobie nawet za jeden z najświętszych mych obowiązków, mam to sobie za naj godziwszy i najpiękniejszy zaszczyt, jaki można w dzisiejszych czasach osiągnąć i jestem pewnym, że się w tem przekonaniu nie' mylę. Wiem o tem z góry, że w tym punkcie zgadzasz się ze mną, przyszedłeś nawet do tego przekorna daleko wcześniej odemnie, zatem nie potrzebuję się nad tem dłużej przed tobą rozszerzać.

Takie usprawiedliwienie się przedstawiło mi całą postać Karola w innem zupełnie świetle. Wystąpiła ona przedemną, jak posąg z białego wyrzezany marmury— i posąg piękny, wspaniały, pociągający ku sobie tak jasnością swoich wyrazów, jak leszcze daleko więcej ową jędrną, żywotną, zbawienną myślą, która była treścią jego istoty. Jakoż tą otwartą spowiedzią nie tylko mnie chwycił za serek tak silnie, że go, miast odpowiedzi, tylko ścisnął za rękę; ale obudził zarazem we mnie cześć głęboką dla siebie i pewną dumę, że jestem mu blizkim. Ale, tymczasem on, wpadłszy już raz na tor otwartej spowiedzi, tak mówił dalej:

— Tak usprawiedliwiłem ci się, jak widzę, zupełnie i dostatecznie, ale pomimo to zostaje mi jeszcze wiele do powiedzenia. Domyśliłem się z kilku twych uwag pobieżnych, iż lubo chwalisz tę skrzętność moją i trzeźwość, z jaką zawiaduję mojemi interesami, jednak obawiasz się, azali taka dbałość o dobra doczesne nie zcieleśnia mojej istoty zanadto i nie zabiera ducha w niewolę ciała. Uwagi te do

tknęły mnie jeszcze o tyle żywiej i zrozumialej, ile, że ja sam już je sobie niejednokrotnie robiłem, a nawet miewałem chwile, w których z tego powodu byłem pełen obawy o siebie. Niestety! jest to prawdą niezaprzeczoną, że niemasz niebezpieczniejszych siateł dla ducha, jak zajęcie się powodzeniem doczesnemu Z najwybujałych idealistów, ileż to już nie porobiło się spekulantów, samolubów i najbrudniejszych materyalistów! Poczyna się to zwykle od rzeczy maleńkich, a nawet zacnych: chce sobie wioskę swoją oczyścić z długów, gospodarstwo urządzić, dom wybudować wygodny, zapewnić kącik spokojny. Robi się to pamału, ale już przytem zaczyna się podobać wioska druga, łatwość jest, więc się ją zakupuje, chociaż się niema na to dostatecznych funduszków. Z tego powodu rzuca się w pracę, w fabryki, w spekulacje grosz przynoszące. Aliści przytem podoba się wioska trzecia, czwarta i piąta, albo podoba się złoto Jeżące we własnej szkatule. Przy spekulacjach przekonało się, że się miało do czynienia z ludźmi obranymi z ufności, wiary i wszelkich przymiotów szlachetnych, używało się przeciw nim czasem tylko ostrożności, potem wybiegów, wreszcie wykrętów, a może czasem nie odrzuciło się i podstępem. Straciło się wreszcie samemu ufność i wiarę, obudziło się łakomstwo i żądę, a w końcu, wiedząc już z doświadczenia, jak wiele na tym świecie można dokazać groszem, przyszło się do przekonania, że aby czemś być i coś znaczyć, trzeba mieć przedewszystkiem grosza jak najwięcej. Marzyło się może przez jaką połowę życia o jakichś * wielkich, wspaniałych, szlachetnych rzeczach, mających się kiedyś przy uzbieranych środkach przedsięwziąć—ale tymczasem się ocieżyło, zasmakowało się w miękkich fotelach, wybrednych sofach, pięknych salonach, błyszczących powozach, a może nawet jeszcze i gorzej, bo tylko w procentowych papierach. I ot jest materyalista, który napracowawszy się nie mało w swem życiu, sprowadził się pod koniec do miasta, mieszka wygodnie, jada wykwintnie, jeździ paradnie, a zamieniwszy się w bydlę, leżące na podściółce listów zastawnych, kupuje sobie poważanie i dobrą sławę za wydawane co tydzień obiady i ładajaki składki, wrzucane do kasy dobroczynnych towarzystw i ochron. Perspektywa okropna! — Ale, mój drogi, ja wiem o tem, że losy ludzi i takimi chodzą drogami a to już jest bardzo wiele. Jakoż bronię się przeciw temu, jak mogę i mam dosyć silnych obrońców. Albowiem oprócz tego anioła-sjtróza, który jest we mnie i broni mnie od wszelkiej chciwości, a ciąglą obudzą we mnie tęsknotę za światem duchowym, mam jeszcze matkę moją, mam żonę, mam nareszcie mego ukochanego Skibę. Wszystko to szczerę są duchy, a Skiba z nich najsilniejszy. Ten Skiba.., oh! gdybym miał taką wymowę, jak Jan Złotousty, to jeszcze nie potrafiłbym ci opowiedzieć, jakie zbawienne wpływy wywierał on na mnie i jeszcze ciągle wywiera. Najgorszym on był nauczycielem— byłby mnie może w monstrum zamienił, gdybym był nie miał mojego własnego uczucia i nie zachował tej moralnej puścizny, jaką wziąłem od moich rodziców — ale tak, oba te wpływy zrównoważyły się z sobą, a wszystko to, co przyjąłem od Skiby, obró-

ciło 'się tylko na moją korzyść. Dziś jest on w moim domu kapłanem ducha, stróżem ludzkości, aniołem pokoju i zgody, ołtarzem wiecznie płonącej nadziei. Przez niego ja głównie utrzymuję nieprzerwane związki ze światem duchowym. On mi utrzymuje dzienniki, czyta je wszystkie i zdaje mi z nich sprawę co wieczór, on mi wybiera książki, które mam czytać, on zachowuje w porządku i uzupełnia moją bibliotekę, on wreszcie za mnie wybiega w świat i utrzymuje mnie w związkach z tem wszystkim, co mi jest bliskie, pokrewne sercem lub duchem, co jest nauczające, nowe, świeże, ciekawe. Od niedawnego dopiero czasu jestem w stanie wyprawiać go w takie podróże, ale już jeździł przeszłego roku do Francji, a co tam robił, sam to widziałeś, niedawno zaś temu wrócił z Warszawy i zapewne sam ci zda sprawę z tej zajmującej podróży. Tak tedy, jak sędzę, i ta potrzeba jest wedle mojej możliwości zaopatrzoną—a jeśli u nas dni kilka zabawisz, o czym nie wątpię, to się dowodnie przekonasz, iż warujemy się przeciw zcieleśnieniu dosyć skwapliwie, a Zawisłocze, choć leży na ustroniu i w górach, jest w ustawicznych związkach z duchem całego świata, a czasem nawet może wie lepiej i prędzej o tem wszystkim, co nas powinno obchodzić, aniżeli się można dowiedzieć z naszych zamglonych dzienników.

Kończąc te słowa, spojrział Karol na zegarek i rzekł mi:

— Jeszcze mamy pół godziny do obiadu, a ty może głodny...

— Ale gdzież tam. Owszem, rad jestem temu,

że jeszcze obiad nie zaraz będzie, bo będę mógł jeszcze przed obiadem odwiedzić Skibę. Wszakżeż jest w domu?

—■ Ale jest, oczywiście, tylko on takie prowadzi życie, że do obiadu nigdzie nie wychodzi z pokoju, a ponieważ mieszka na baszcie, bardzo wysoko nad nami, więc zapewne i nie wie, że przyjechałeś. Zdaje mi się nawet, że gdyby kiedy o tych godzinach pożar wybuchnął w dziedzińcu, tobyśmy go z pomocą Bożą zgasili a onby się o tem dowiedział dopiero przy obiedzie. Idź więc teraz do niego, kiedy tak chcesz, a ja przyjdę po was niebawem.

Jakoż odprowadził mnie do wschodów, wiodących na basztę, a sam się wrócił.

Kiedym wszedł do komnaty Skiby, tej samej starożytnej komnaty, zawieszanej na wierzchu baszty, którą opisałem w swoim miejscu tak szczegółowo, znalazłem Skibę siedzącego przy biurze, na którym było porozkładanych mnóstwo tablic numizmatycznych i książek. Miał przytem pod ręką kartkę papieru, na której coś sobie notował. Obaczywszy mnie; zerwał się z miejsca i powitał, jak zwykle, z serdecznością wesołą i hałaśliwą. Wypowiedziawszy prędko to wszystko, co mu jego pocziwe serce przyniosło, rzekł potem:

— Ale przecież nie mogę tego zataić, że mam pretensję do pana. Siedzisz cały rok na wsi o kilka-ście mil od nas, przejeżdżałeś zapewne tędy nieraz a o nas nie pamiętałeś.

— Mogę panu zaręczyć, że tylko raz szczególnie przejeżdżałem tędy a i natenczas byłem tak niezdrów, że jechałem do Karlsbadu.

— Cóż panu było? śledziona, wątroba^ żołądek, nieprawdaż? wszystko to od tych bibuł, przy których tak wiele się siedzi. Znam ja to doskonale i mówię, że człowiek nie jest stworzony do takiej pracy. Ale jakże tego uniknąć, kiedy tym tylko sposobem można już tu na ziemi przygotować się do tego rodzaju życia, jaki nas czeka za grobem? Zabija się ciało, ale duch ma to, czego mu trzeba. Patrz pan i ja tu przodsięwziąłem pracę taką, która mojemu zdrowiu wcale nie służy, ale w niej trwam i wytrwam, póki nie dojdę do celu.

Pochyliłem się nad jego biurkiem, ażeby przejrzyć porozkładane tablice i książki i rzekłem:

— Cóż to? numizmatyka, ba, nawet cała archeologia? cóż to pan robisz?

— Przechodzę po kolei to wszystko, co u nas na tem polu zrobiono.

— Nie wielką pan będziesz miał pracę. M

Michał Grabowski, a oprócz tego kilkanaście artykułów luźnych i na tem koniec.

— Ja wiem o tem, że tego wszystkiego nie wiele, ale właśnie dlatego tem żmudniejszej mam z tem zajęcie. Proszę pana, co pan rozumiesz o tym archeologicznym ruchu, który się u nas ostatnimi czasy objawił?

— O co panu chodzi? czy o to, jak sobie ten ruch archeologiczny tłómaczyć? czy o to, czego się Wogóle po archeologii u nas można spodziewać?

— O jedno i o drugie.

— Archeologia—rzekłem?—jest to bez wątpienia bardzo ważna nauka, ale jest ona wszędzie tylko ważną o tyle, o ile się przyczynia do wyjaśnienia historii. Znaczenie jej jako samoistnej nauki jest tylko podrzędne, a to nawet tam, gdzie się już stała hermeneutyką i krytyką starożytnych sztuk pięknych, chociaż tem jeszcze się w zupełności nigdzie nie stała. Nawet na polu starożytności rzymskich i greckich, polu bardzo bogatym i bardzo już pilnie opracowanym, jest ona jeszcze zawsze fragmentaryczną; pojedyncze jej części przyniosły nauce dziejów nieobojętą przysługę, ale systematycznie utworzonego obrazu całości nieraasza jeszcze do dziś dnia. Zamierzone w tym celu, a znane nam prace Mullera, Bottigera i innych, są to tylko częściowo •szczęśliwe próby. A chociaż tam zapewne z czasem przyjdzie do tego, że te nabytki złożą się w całość porządną i pełną jednolitej wartości—to u nas nie | można o tem ani pomyśleć. Gdzie sztuki piękne nigdy nie kwitły, a mówiąc prawdę, gdzie ich na- , wet zgoła nie było, jakież być może dla archeologii pole? Nie przeczę temu, owszem, sam jestem ~ zdania, że gałęzi tej zaniedbywać nie trzeba, a ci, którzy się nią zajmują, zdobywają sobie już dlatego piękną zasługę, iż pracują z zapałem na polu niesłychanie niewdzięcznym—ale żeby się po. tych pra- ' -cach można choć miernych spodziewać zdobyczy, o tem wątpię. Jestem nawet przekonany, że na tych rozoranych mogiłach, na powalonych grodach i zamkach, które się u nas znajdują, nie da się nic więcej zbudować, oprócz kilku notatek, które nie Wiele przyniosą. W całej naszej archeologii jest tylko jedna gałązka, która jest bogatą i obiecującą, a tą jest numizmatyka. Dlatego chciałbym, ażeby przed wszystkim innem na tem polu do niej się wzięto;

tu się, da wiele skorzystać, tu się da nawet piękna utworzyć całość, na drugim miejscu położyłbym broń, zbroje, ubiory—a dopiero na koniee zostawiłbym zamki, grody, mogiły, groby, dla których u nas podobno same topograficzne opisy wystarczą. Siły zaś te, które się z takim zapalem tyra pracom oddają, wolałbym widzieć zwrócone tam, gdzie przeszłość żywym swym duchem do nas przemawia, zamiast tam, gdzie żmudna, kosztowna praca znajduje tylko milczące czerepy i kości...

— Otóż i ja jestem tego zdania — rzekł na to Skiba — borykać się ze śmiercią na to, ażeby z jej objęć wydobyć pamiątki życia, to rozumiem, ale wydzierać jej kości trupie i prochy, to szkoda czasu. Przeczytałem tu mnóstwo rozpraw częścią całkiem chybionych, częścią bardzo ciekawych i pięknych, ale nakoniec przeszedłem do numizmatyki i z Czackim w rękę siedzę, jak pan widzisz, nad rysunkami pieniążków.

Pokazywał mi potem Skiba bibliotekę Zawisłocką. Znalazłem w niej, jak na taką bibliotekę szlachecką, zasoby bardzo bogate: były tam kroniki polskie wszystkie, a między nimi niektóre w pierwszych wydaniach, z literatury Zygmuntowskiej większa połowa, a z czasów późniejszych, aż do Stanisława Augusta włącznie prawie wszystko. Była to jeszcze puścizna po dziadku Karola, który i to zachował, co sam odziedziczył po ojcach i wszystko-sobie współczesne zakupił. Z literatury zaś nowszej, znalazłem wybór zrobiony umiejętnie i z znajomością bibliograficzną, a z bieżącej, o ile mogłem dojrzeć za rzutem oka pobieżnym, nie brakowało nic

więcej jak tylko tłómaczeń i książek takich, które nie mają żadnej wartości. Prócz tego jeszcze i z literatur obcych znalazłem zapasy znaczne, a co tylko znakomitszego się pojawiło w ostatnich czasach w języku francuskim, angielskim i niemieckim, prawie wszystko tam było. Kiedyśmy wszystkie działy tych druków pobieżnie przejrżeli, pokazał mi Skiba rękopisy, których była liczba dość spora, a pomiędzy którymi głównie uwagę moją zwróciły książki do nabożeństwa pisane na pergaminie, jedna z czasów Władysława Jagiełły, druga z czasów Kazimierza Jagiellończyka, a kilka późniejszych, pamiętnik Karolowego pradziadka z epoki pierwszego najazdu Szwedów, .arcy ciekaw a Sylva rerum z czasów Augustowskich i bardzo bogaty zbiór wierszy i pieśni z czasów konfederacji barskiej, Nakoniec dopiero pokazał mi dzienniki, których liczba przeszła moje oczekiwanie. Było ich bowiem kilkanaście, z których większa połowa polskie, reszta w językach obcych.

— A! przyznam się panu, że tylu dzienników : się u was nie spodziewałem!

Ucieszył się Skiba tą moją uwagą i rzekł:

— Mielibyśmy ich daleko więcej, bo Karol na takie rzeczy nie żałuje pieniędzy, ale proszę pana,

" czy jest podobna dać temu radę? Ja i nad temi trawię połowę dnia codziennie, cóżbym zrobił, gdyby ich było jeszcze więcej? A przecież oprócz nich są ;.> książki bieżące, ba! są i dawne, o których trudno • zapomnieć. Jeszcze gdyby te pisma czasowe były wszystkie takie, jak z nich niektóre, to nieraz na uporanie się z całym tuzinem wystarczyłaby jedna Bibliotek —T. 886.

godzina, ale trudno zaprzeczyć, że są i takie, które trzeba czytać od deski do deski.. i — A do tych pan liczysz?

— Do tych liczę dwa przede wszystkim: Bibliotekę Warszawską i Przegląd Poznański.

— I Przegląd?— spytałem Skibę, patrząc uważnie na niego.

Uśmiechnął się na to i rzekł:

— Jużci zapewne, że ja się nie zupełnie zgadzam z zasadami Przeglądu, ale nic mi to nie przeszkadza przyznać, że jest to jedno z najznamienitszych pism, jakie kiedykolwiek posiadała literatura polska. Jest to zresztą pismo, dla którego jestem pełen podziwu, a to dlatego, iż piszą je ludzie prawie zupełnie w literaturze nieznanymi, a piszą z uczonością gruntowną, doskonałym językiem i z tak dokładną znajomością literackiego zawodu, jak gdyby byli literatami z rzemiosła. Wszakże nad to wszystko jeszcze daleko więcej uderzającym jest to, iż wydając to pismo od lat kilkunastu, jak najwidoczniej mają tylko służbę około dobra publicznego na celu, którą sprawują z takim poświęceniem, iż nietylko się wyrzekają wszelkich korzyści materialnych, lecz nawet i uznania swojej zasługi. Cnoty takie należy czcić i szanować; jakoż mogę panu zaręczyć, że Przegląd niema głębszego i rzetelniejszego czciciela odemnie.

Musiałem Skibę ścisnąć z całej siły za rękę i powiedzieć mu na to:

— Pan jesteś jednym z najzacniejszych ludzi, jakich mi się zdarzyło znaleźć. Ale pozwolisz mi pan, ażebyśmy kwestyi o zasady Przeglądu nie za kończyli na tej wzmiance pobieżnej. Mam też nadzieję, iż pomówiwszy o nich obszerniej, przekonam pana dowodnie, iż to, w czym się pan możesz nie zgadzać z Przeglądem, są to tylko rzeczy uboczne, a w głównych musisz się pan zgodzić koniecznie.

— Już naprzód się cieszę z tej dysputy — odpowiedział rai Skiba—bo się spodziewam, że się dowiem od pana niejednej rzeczy dla mnie zupełnie nowej; ale pomimo to trochę się tej dysputy boję, zwłaszcza jeżeli się do niej wmiecha pani pułkownikowa. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że dla niej Przegląd jest ewangelią, a i Karol także nie wiele się różni w tem zdaniu od matki; jak mnie tedy weźmiecie we troje w obroty, to chcąc czy nie chcąc, będę musiał kapitulować.

— Nie, panie drogi, pan nie będzie kapitulował, tylko zawrze z nami przymierze, które odtąd trwać będzie po wieczne czasy.

— Bardzo ciekawy, czy mnie do tego doprowadzicie; wiesz pan dobrodziej, ot! możebym i kontent był z tego, bo jest to jedyna rzecz jeszcze, o którą się czasem na seryo kłócimy z naszą najzacniejszą staruszką. Ach, panie drogi! co to jest za kobieta!... Ale to nie kobieta, to święta, która się ku zbawieniu ludzi jeszcze błąka po ziemi. Wszystko to, co pan dziś widzisz w Karolu, to jest jej dzieło—a co ona zrobiła z tej Józi! — No, ale jakże pan znalazłeś Karola? czy mam słusność, że się nim cieszę tak bardzo?

— Ale masz pan słusność zupełną, najzupełniej są

Chciałem mówić dalej — ale wtem wszedł do nas Karol, dając nam znać, że zupa na stole.

Za małą chwilę siedzieliśmy już przy obiedzie. Potrawy były nie wymyślne, nie bardzo liczne, ale czyste i smaczne: kuchnia polska, z umiejętnym zastosowaniem tego, co wymyślili pod tym względem Francuzi. Chwaliłem mu jego kuchnię, a mianowicie jej dostatność przy zachowaniu skromności, jej charakter polski, a tak umiejętnie uszlachetniony nabytkami cudzemi. Odpowiedział mi na to:

— Jak w kuchni, tak wszędzie, jest to moją zasadą. Powinniśmy przedewszystkiem zachować to, co jest rodzime, nasze, ale przyswajać sobie także i to, co dobrego znajdziemy u obcych. Podług mnie bowiem, jak ten niema zupełnej słuszności, który chwali bezwzględnie wszystko, co nam przekazali nasi ojcowie, tak ten jeszcze mniej, który gani to wszystko dlatego, że komu innemu dostało się coś lepszego w spuściźnie.

— Na to zgoda zupełna, ale niechaj mi wolno będzie powiedzieć, że przecież miłszym rai jest ten poczciwy prostaczek, który z miłością chwali bez-t względnie wszystko, co swoje, aniżeli ten niby-mę- drzec, który wywiesiwszy sztandar postępu, chwyta się na ślepo tego wszystkiego, co wymyślili Niemcy, albo Francuzi. Tak np. kotlety w papilotach, które dają w Cafó de Paris, są potrawą wyborną, ale przecież to nam po staremu trudno się obejść bez naszego polskiego barszczu. A jak to ten nasz barszczyk smakuje po tych kotletach!

— Ach! a jak on smakuje!—zawołał Karol, na co rzekł Skiba:

— A ja, powiem panom, ja i w Paryżu jadałem sobie barszczyk tak dobrze, jak w Polsce. Na rue cl'Amsterdam jest tam polska kuchenka, a pan Tomasz gotuje takie barszcze wyborne, że i tu lepszych nie znajdzie.

Opowiadałem Karolowi, jak żył Skiba w Paryżu i opisywałem mu jego mieszkanie, czemeśmy się ubawili wybornie. Przeszliśmy potem do rzeczy ważniejszych, a Skiba nam rzucał szkice Warszawy, które były jeszcze o tyle ciekawsze, ile że znał to miasto od lat czterdziestu i swoje obrazki dzisiejsze malował na tle pamiętanej przez siebie, a tak zajmującej przeszłości. Strawiliśmy na tem prawie cały czas poobiedni, a Skiba swojemi wspomnieniami Warszawy tak mnie przykuł do siebie, że m się z nim wyniosł do mego pokoju i kiedy Karol był zajęty gospodarskimi raportami i dyspozycjami, myśmy wciąż prowadzili niezamordowaną o Warszawie gawędę.

Okolo godziny ósmej dano nam znać, że panie już powróciły i oczekują nas w salonie.

Z uczuciem czci świętobliwej szedłem widzieć tę zacną matrone, której życie i czyny były rai znane tak dobrze. I ją samą znałem także i pamiętam jeszcze z tych czasów, kiedy nieraz po parę miesięcy przemieszkiwała we Lwowie, ażeby się przypatrywać zblizka naukom Karola. Zastałem ją wszakże bardzo zmienioną. Była to już całkiem osiwiiała staruszka i przygarbiona, zaczęła zdawała się być tak malutką jak dziecko. Ale mimo to była jeszcze tak trzeźwą i tak przytomną, jak gdyby lata nie wywierały na jej ducha żadnego wpływu.

Pani Karolowa była to teraz prześliczna kobieta: była prawie imponującą swym wzrostem i blaskiem urody, ale mimo to przedewszystkiem uderzała skromnością; bardzo obrotny zdradzała rozum i miała niepospolitą wymowę, ale te piękne dary służyły jej tylko dó tego, ażeby tem jawniej okazać uprzejmość i słodycz jej charakteru.

Gdzie takie kobiety ton dają domowi, tam się jest odrazu, jak gdyby we własnem kółku rodzinnem. Tak się też stało i ze mną. Stałem przez jaką chwilę z młodą gospodynią domu przy stole i przerzuciliśmy w prędkiej rozmowie wszystkie główniejsze wspomnienia z zapamiętanej przez nas przeszłości; wszystkiegośmy zlekka dotknęli, nie wyczerpawszy niczego. Rzekłem nareszcie:

— Ale mimo to wszystko, muszę pani powiedzieć, że zapoznawszy się z całym stanem rzeczy

• w waszem gospodarstwie i domu, jestem w najgorszym humorze.

— A to dlaczego? — zapytała głosem niepewnym żona Karola.

— Dlatego, że mieszkam ztąd tylko o mil kilkanaście, tyle już lat jesteście sobie tak blisko, a ja dopiero teraz was odszukałem i to jeszcze do tego przypadkiem.

— Będziemy się mścić za to na panu — odpowiedziała mi na to—i najpierw nie puścimy pana tak długo, dopóki przynajmniej tylu dni nie odsiedzisz w Zawisłoczu, ile lat my tu mieszkamy. A potem naznaczymy jeszcze i inną karę na pana...

— A ja—rzekła na to matka Karola—nakładam zaraz tę karę na pana, ażebyś zabrał miejsce tu przy mnie i odpowiedział mi na wszystkie te pytania, które panu z kolei postawię.

— Służę pani z całego serca, ale się boję, ażebym przez to nie zepsuł zwyczajnego w tym domu porządku; albowiem jak zasiądziemy oboje na osobności, to się zapewne tak zagadamy, że pan Skiba nie przyjdzie wcale do słowa i nie zda nam sprawy z dzisiejszych dzienników.

— Spodziewamy się ciekawych rzeczy dowiedzieć od pana — wszakżeż wracasz wprost z zagranicy?

Takeśmy zasiedli w ciasnem kółeczku, rozmawiając z początku o wszystkim. Niebawem wszakże przeszliśmy po staremu na nasze dawne wspomnienia, na lata pacholęce i akademickie, na rok 1846 i 1848 — a wśród takiej gawędki, kiedy nam wieczór przeminął, sam nie wiem...

Nazajutrz rano słuchaliśmy społem mszy świętej w pięknej domowej kapliczce, urządzonej w murach starego zamku, a po mszy odwiedziliśmy grób pułkownika. Cały ten ranek przeszedł nam na rozmowach poważnych i wspomnieniach pełnych żałoby.

Po południu obie damy pokazywały mi urządzone przez siebie szpitalik, a połączony z ochronką dla starców pozbawionych możności zarobku i sierot. Kilkanaście dusz chrześcijańskich znajdowało tam umieszczenie i opiekę pełną troskliwości, a próżną wszelkich hałasów. Pułkownikowa sama była mistrzynią tego zakładu wyrażając się swoją synową tylko o tyle, ażeby była pewna, że ją po

jej śmierci będzie miał kto zastąpić. Później zaprowadził nas Karol do szkoły gromadzkiej, którą uposażył dostatnio i zawsze sam nadzorował, a w końcu pokazał nam swoją szkółeczkę odrębną, w której kilku chłopaków uczył gospodarskiego rzemiosła. W obydwu tych szkołkach znowu Skiba był mistrzem, a nawet sam był nauczycielem. Zaczynał ten człowiek, lubo usposobiony do daleko wznioślejszego zawodu i nieraz latający duchem niezmiernie wysoko, nie wzdrynął się przecież przed zatrudnieniem na pierwszy pozór tak niskim. Natrafiłem mu tę uwagę, a on mi odpowiedział:

— Gdyby każdy człowiek wychował tylko jednego człowieka, tak jak należy, jużby to było niezmiernie wiele, a cóż dopiero powiedzieć o tem, jeżeli komu się uda wychować kilkudziesięciu? Ja wychowuję tutaj tylko lud prosty, z tych moich uczniów zapewne żaden czem innym nie będzie, jak ubogim rolnikiem, ale każdy z nich będzie ojcem rodziny, a teraz nawet i takim obywatelem kraju, jak i inni.

Dnia następnego zwiedzaliśmy chatkę Bernata i wtedy to poznałem się z tymi zacnymi przewoźnikami, którzy własnowolnie i mimo woli przyczynili się tak dzielnie do teraźniejszego szczęścia Karola i Józia. Poznałem także natenczas ową z wodnicę Basię, która niegdyś tak namęczyła biednego Antka. Była to dzisiaj kobieta jak posąg, a raczej jak piec tylko, bo już do tego czasu przeszła cokolwiek, ale była doskonałą żoną i matką i gospodynią wyborną. Karol i jego żona obchodzili ze mną wszystkie kąty tej chatki: pokazy wali mi tu żarna, na których najpierwej ranionemu młodzieńcowi objawiła się Józia, to łóżko, na którym tyle przecierpiał boleści... Lzy i uśmiechy towarzyszyły naprzemian tym odświeżonym wspomnieniom, które do dnia dzisiejszego zdawały im się być najważniejszymi chwilami ich życia.

W dniach późniejszych odwiedziliśmy Przewoźniki, ogród tamtejszy, sadzawkę, a nareszcie i tę wysepkę w jej środku, na której Karol niegdyś z rozpaczliwymi łzami pożegnał był Józia. Słucham z zajęciem opowiadań Karola o owych czasach, lecz przyszedł mi na myśl szambelan. Ciekawy byłem niezmiernie, co też się dzisiaj z nim dzieje i jak się ukształciły niezrozumiane przezemnie stosunki pomiędzy takim pocziwym zięciem a tak niezacnym teściem. Jakoż gdy Józia karmiła u brzegu sadzawki swoje łabędzie, a myśmy stali na wyspie, zapytałem go o to.

— Szambelan?...— rzekł na to Karol przeciągle.— O! szambelan jest to szczęśliwy człowiek od początku do końca. Ożenił się, spłodził syna i bardzo mu dobrze się powodzi. Gorzej trochę jego synowi, który omyliwszy się w swoich nadziejach i dostawszy od ojca zamiast Łañcuta, Przeworska, Brzeżan, albo przynajmniej choć dóbr podolskich, tylko Bobrówkę, sprzedał ją wyniosłszy się gdzieś na Podole, trzyma tam wielką dzierzawę. Żle mu jest teraz, a choć zapewne kiedyś jako pan milionowy na scenę świata wystąpi, zerwał tymczasem wszelkie stosunki z ojcem. Ale ja i szambelan żyjemy jak tylko można najlepiej: próbowaliśmy zrazu wpływać na siebie nawzajem, nie udało się nam to, a więc się tylko

odwiedzamy wzajemnie co roku i jesteśmy dla siebie tak grzeczni, że już więcej nie można. Tak przeżyjemy z sobą całe życie do grobu i dobrze nam z tem będzie..*

Pominęliśmy dalsze szczegóły tego wspomnienia, ażeby już nigdy do nich nie wrócić.

Natomiast zaś daleko swobodniej rozmawialiśmy o przeszłości nazajutrz, kiedyśmy z kolei przyjechali do Grzymalina.

— Pyszny to jest majątek—powiadał mi Karol, pokazując mi łany tamtejsze;— daleko więcej wart i daleko piękniejszy niż Zawisłocze z Przewoźnikami; ale dla mnie zawsze jak grób. Nie widział nikt nigdy uśmiechu na mojej twarzy w obrębie kopców tutejszych. Jest tu jakieś grobowe powietrze, które mi serce napawa nie wysłowioną żalobą. Taki to ród był piękny tych ludzi, taki bogaty zostawili mate- ryał na godnego na siebie następcę, tak łatwo mu było z taką głową i sercem Utrzymać się przy istnieniu, znaczeniu i dobrej sławie i wszystko to zaprzepaścił i sam zginął tak marnie! Smutne to dla mnie, prawie zabijające wspomnienie!

— A wiesz, co temu było przyczyną? Oto był człowiek, który po swoich przodkach odziedziczył za wiele.

Pomyślał nad tem Karol i rzeki pó chwili:

. — Ha] nmasz ty słuszność. Wielkie puścizny moralne trzeba przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza. On tego nie zrobił, zabrał wszystko, nic nie odrzucił. Po umierających dziedziczył i śmierć odziedziczył.

Kilka dni jeszcze potem bawiłem w Zawisłoczu.

Uradowany tem Karol, że się od swoich żmudnych zatrudnień oderwał więcej, aniżeli to mógł bez powodu uczynić, był w najlepszym humorze i chciał urządzać polowania, obiady i tańczące wieczory. Aleśmy uradzili, ażeby temu dać pokój. Nie masz prawdziwego uczucia pośród hałasów...

Poprzestaliśmy tedy tylko na krótkich wycieczkach w sąsiedztwa, a z nich każdego dnia przed wieczorem powracaliśmy wcześniej do domu. Wtedy zasiadaliśmy w ciasnym kółeczku, otwierając nawzajem swoje umysły i serca. Tak zapoznałem się z czasem z każdą myślą, z każdym uczuciem, które żyło w tej całej rodzinie...

I znalazłem tam wogóle pobożność, bardzo trzeźwy rozsądek, lecz przytem niewyczerpaną miłość i dobrą wolę...

Na dnie ich życia siedziała skrętna, wyrachowana praca, lecz nad nią unosił się uszlachetniony duch ludzki w całej swojej swobodzie i Wspaniałości...-

Nie myślałem nigdy, ażeby do tak trafnego pojęcia swych obowiązków, do tak szczerzego ich wykonania i wogóle do tak jędrnego, poczciwego i szczęśliwego żywota, mogli dojść także tak nieszczęśliwe Rozbitki!

Ale mogą to bez żadnego wątpienia, trzeba tylko do tego miłości, dobrej woli i pracy.
KONIEC